
Ptaki
bez gniazd
Łarysa Geniusz

Ptaki bez gniazd

Tłumacz:
Czesław Seniuch

Książka Łarysy Geniusz „Ptaki bez gniazd” ukazała się w ramach projektu
„Pamięć ponad czasem i granicami”.

Projekt współfinansowany przez Departament Dyplomacji Publicznej i Kulturalnej
Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP
w ramach konkursu „Wspólne działania polsko-białoruskie 2012”.

Rzeczpospolita Polska
Ministerstwo
Spraw Zagranicznych

Koordynator projektu:
Jarosław Iwaniuk

Białoruskie Towarzystwo Historyczne wyraża głęboką wdzięczność Rodzinie Geniuszów
za pomoc oraz udostępnienie zdjęć i dokumentów znajdujących w rodzinnym archiwum.

Konsultacja historyczna:
dr Helena Głogowska
dr hab. Małgorzata Ocytko

Redakcja i korekta: Witalis Łuba
Projekt okładki: Magdalena Muśko
Skład i wydanie: Agencja Wydawnicza EkoPress

ISBN 978-83-60456-40-8

Białoruskie Towarzystwo Historyczne
Białystok 2012

Ptaki bez gniazd

Łarysa Geniusz

Żłobowce

Błogosławiony rodzinny dom, gdzie rodzice i wszyscy drodzy bliscy. Błogosławiony maleńki spłachetek ziemi rodzinnej ojcowskiej na wielkiej planecie, który nazywał się Żłobowce[1]. Nazywał się, bo dziś go już nie ma, tego naszego folwarczku, jak i jego nazwy. Tam teraz kołchoz jakoś po ultrasowiecku nazwany, dom przewieziono do Wołkowyska[2] razem ze stodołą, a tam, gdzie było nasze obejście, stoi długi murowany chlew i kilka drzew, których wieśniacy nie zdążyli jeszcze wykarczować na opał. Ile razy tam zaglądam, proszę: chociaż te drzewa jeszcze zostawcie!.. Z wioski Aleksandrówka koło Wołpy[3], od dawnych przyjaciół moich rodziców, Zielenkiewiczów[4], widać jak na dłoni naszą zagrodę i prawie słychać jak wiatr kołysze drzewa. Czasem długo się wpatruję w ścieżki mej młodości. Wtedy ożywają wspomnienia. Zdaje mi się, że spracowane matczyne ręce tulą mnie do serca; aleją, czy jak myśmy mówili, przegonem szeroko kroczy tata[5], ja mu sięgam ledwo do brody, a ujrzawszy mnie, uśmiecha się pod swoim lekko zrudziałym wąsem i jak zawsze dzieli się ze mną swoją myślą w rodzaju: „Księstwo Połockie[6] odsądzają dziś od czci i wiary ze strachu, żeby nie zechciało się separować od imperium, ale czy ty myślisz, że twoja Białoruś by się utrzymała ekonomicznie, gdyby była samodzielna?". Tata wie, czym żyję i czasem chce się ze mną podroczyć jak z małym dzieckiem. Sprzeczamy się trochę. Moje idee dla niego, zniewolonego od pokoleń, to egzotyka. Tata wie, czym się za nie płaci i popatruje na mnie z jakimś czułym zatroskaniem.

Ksienia[7] jest niewysoka, ale ma wielkie niebieskie oczy, czarnowłosa i zgrabna, żyje wedle własnych praw i lubi czasem zapalić papierosa. Wszyscy jesteśmy temu przeciwni. Nina, bardzo urodziwa blondynka z zielonymi oczyma uwielbia tańczyć. Widziała gdzieś balet, więc pasąc gąski wytańcowywała swe dziwne figury na palcach. Nie śmialiśmy się z niej. Rościsław[8] jest wysoki, ale jeszcze nie metr dziewięćdziesiąt pięć, jak w wieku dorosłym. Uczy się w szkole gospodarstwa wiejskiego w Żyrowiczach[9], bardzo przystojny, czuły, cichy, posłuszny i pracowity, choć jeszcze dziecinny. Kiedyśmy razu pewnego jechali do Gudziewicz[10], powiedział mi o swoich planach, które były dosyć dziwne. „Jak dorosnę, weźmiemy od rodziców kawał ziemi, która nam się z tobą należy, i będziemy razem gospodarować, ty będziesz sadzić kwiatki, doglądać obejścia, a ja wszystkim pokażę, jak

należy zdobywać plony, potem weźmiemy do siebie rodziców i tak będzie nam dobrze". Miły, najmilszy mój brat, Herkules[11] z duszą jak lutnia. Wydawało mu się, że porzucić Żłobowce – to zdradzić rodzinny dom.

A ziemia mówiła do nas. Rozumiała nas, otaczała duchem przeszłości naszego ludu i wielką miłością swoich drzew i pól. Łany żyta falowały tuż za oknami i kłosy szeptały na wietrze. Było nam dobrze w wiosennym słoneczku, w deszczu, w wietrze, wesoło kroczyliśmy w kożuszkach swoich w zimie, konie nosiły nas kuligiem po drogach w przyjaznym świetle księżyca.

Dalej był Arkadzi[12], wiecznie wesoły, zgrabny i z twarzy podobny do mamy. Jego jakoś kochaliśmy mniej niż Sławaczkę[13].

Bardzo żywym, niezależnym, śmiałym chłopcem był najmłodszy z braci, Alaksiej[14]. Chłopcy żyli w przyjaźni, kochali konie i mieli swoje chłopackie zabawy. Ale jeszcze byli dziećmi, chodzili do szkoły i największym „chłopcem" w domu byłam ja. Wszystkie sprawy z podatkami, urzędowe, z długami i kredytami tata składał na moje ramiona. Nie lubił tych spraw, ja ich też nie lubiłam, ale pomagałam tacie jak mogłam. Nasza najmłodsza, Ludmiła, Lusieńka[15], jak myśmy ją nazywali, była dzieckiem rozkosznym, ślicznym, pieszczoszką naszą mądrutką. Była ulubienicą całej rodziny i w swym małym serduszku miała tyle miłości do wszystkich, że nie mogliśmy jej nie podziwiać. Bardzo kochała mnie, bardziej niż mamę, więc byłyśmy prawie nierozłączki.

Byłam w domu najstarsza z dzieci i też chyba najbardziej kochana przez rodziców, braci, przez Lusię i służbę. Ksienia i Nina[16] mnie nie lubiły. Nowy wielki dom i w nim wszyscy. Za polskich czasów trudno było znaleźć odpowiednią pracę, szczególnie gdy się miało dość zasobnych rodziców; na studia wyższe jednak nie starczyło możliwości materialnych, pozostawała więc praca na ziemi i czekanie na zamążpójście. Ja też podświadomie wyglądałam jakiegoś męża, ale to musiał być Białorusin. Nie było takich oprócz wieśniaków, ale wszystko jedno mój mąż będzie Białorusinem! A swatów było co niemiara, dochodziło do tragedii, czasem do śmiechu. Byliśmy prawosławni, więc i swaty szły z początku od młodych batiuszków. „No i co? Kup gęsty grzebień, żeby czesać brodę swemu mężowi" – prześmiewały się siostry i ja razem z nimi. Zdarzało się, że mężczyźni ledwo mnie zobaczyli, z miejsca prosili mnie o rękę. Dziwne i niesamowite! Mama ich wszystkich nie lubiła, a jej przyjaciółka, pani Jadwiga Zielenkiewiczowa[17] mawiała: „Nie ma kawalera dla panny Łarysy, chyba tylko Piłsudski[18]!". Był to wielki komplement, w którym miła pani Jadwiga całkowicie pominęła zaawansowany

wiek Marszałka Polski, mając na uwadze jedynie jego przynależność do wyższej sfery. Dla mnie nawet on nie wchodził w rachubę, jako że nie był Białorusinem…

Czas biegł. Było nam i ciężko, i dobrze, zależnie od długów, których było ponad miarę, bo same Żłobowce mój dziadek kupił ojcu głównie na kredyt banku wileńsko-tulskiego, którego papiery w czasie wojny niestety nie zaginęły i Polska z całą surowością te długi ściągała. Nieprawdopodobnie wysokie podatki, gospodarka przez wojnę doszczętnie zrujnowana i liczna rodzina – wszystko to razem nie pozwalało nam dojść do jako takiej zamożności. Pracowaliśmy wszyscy. Nasza mama – najwięcej. Bardzo nas oszukiwano, bo tata jako człowiek honoru ufał kupcom z Wołpy, którzy jego zaufania często nadużywali, a z przyjściem władzy sowieckiej doprowadzili rodziców do nędzy. Ze wsią żyliśmy bardzo blisko. Wieśniacy cieśnili się na swoich skrawkach ziemi, dzielili ją pomiędzy dzieci, żyli przeważnie w ubóstwie, sami wyrabiając dla siebie wszystko, od koszuli do naszych pięknych dywanów. Wełna, len i złote ręce Białorusinek, i człowiek odziany ciepło, schludnie i ładnie. Byleby było tylko na czym posiać ten len, ten chleb chłopski, smaczny jak kołacz. Wioski nasze były podówczas odwiecznym żywiołem białoruszczyzny, jakże dla nas bogatej, ponętnej i swojskiej! Wtedy jeszcze na wsi śpiewano. Śpiewano przy każdej okazji z wyjątkiem wielkiego postu. Wieczorami ze wszystkich wiosek płynęły pieśni szeroko, to smętne i tęskne, to bojowe, zadziorne, z buntowniczą nutą, spragnione czynu i wolności. Była w nich dusza ludu i moja dusza – dziewczyny już oświeconej, więc tym bardziej świadomej krzywd, których doznaje nasz lud ze strony zapiekłych w swym szowinizmie Polaków, jak kiedyś od Rosjan. Lud leżał bezwolnie pozbawioną praw politycznych masą na całej swej ziemi, gnębiony niedostatkiem, w poniżeniu i zniewoleniu.

Ziemia była dla nas wszystkim: kolebką, chlebem, pieśnią, miłością, grobem. Im więcej ziemi, tym pewniejsze jutro. Poza nią – żadnej nadziei na ratunek Jeszcze służba u panów czy u Żydów albo wędrówka za chlebem do ciężkiej pracy na obczyźnie. Świadomość narodowa rodziła się marudnie, z trudem. Chłopcy, aktywiści Hromady[19], albo nigdy nie powracali, albo zostawali bez zdrowia, skatowani i nadłamani przez defensywę, nie do życia już na tej ziemi. Trafił do mych rąk zbiorek wierszy Michasia Wasilka[20], lecz nie wzbudził żywszego zainteresowania: treść poezji i pieśni ludowej, obyczajów była znacznie głębsza, ciekawsza, a niekiedy niewymownie czarowna. Jak wyłowić perły z tego oceanu? Kto się na to zdobędzie, kto potrafi? Chłonęłam całe to bogactwo i w tym żywiole było mi najlepiej. Dla rodziców moich i sąsiadów było to trudne do zrozumienia.

Z przerażeniem zastanawiali się, gdzie się podziała cała moja nauka? A nauka otworzyła mi oczy na rozproszone wspaniałe, nieprzebrane skarby mego narodu. W moim polu widzenia wyraźnie wydzielali się nasi wieśniacy na tle tych półinteligentów, w których środowisku przyszło mi żyć. Ludzi prawdziwie mądrych wtedy jeszcze nie spotkam. Tragicznie samotna szłam po omacku intuicyjnie do własnych prawd, a jakie one są – wiedziałam dobrze z ideałów rewolucji francuskiej, z Wiosny Ludów i z konstytucji Stanów Zjednoczonych. Serce mi rozdzierała narodowa i społeczna niesprawiedliwość. Rodzą się przecież ludzkie maleństwa z jednakowymi równymi prawami do życia, skąd więc tak różne losy? A Polacy i ludzie, którzy są u nich w służbie, byli jak ślepcy, jakże oni się znęcali nad naszym ludem wprost na oczach świata! Nękali podatkami, poniewierali mowę, nie uznawali nawet naszej narodowości, jak gdyby idee demokracji i wolności człowieka nie poruszały ich serc i umysłów do tego stopnia, że wątpiłam nawet, czy je mają… Obok białoruskiej mizerii wysokie pensje najniższych nawet urzędników i ich strach, że istniejemy. Raz do mnie podszedł zasmucony mój tata – na poczcie w Wołpie poradzono mu, żeby córka zaprzestała prenumeraty białoruskich czasopism, a prenumerowałam tylko czasopisma prawicowe, bo było w nich coś z tego, co tak ukochałam w swoim narodzie. Byłam taka od pieluszek, przesiąknięta już wszystkim co nasze, z bólem i wolą walki za naszą wolność i naszą ziemię dla nas. Pewnego razu wiózł mnie przystojny chłopiec do swojej matki, jak mówił. Chyżo mknęły gościńcem lekkie sanie, on mnie jednym ramieniem objął, drugą ręką trzymał lejce. Miałam w oczach łzy, więc zapytał, czemu jestem taka smutna. Przed nami szedł młodzieniec, z ciężkich trepów wystawały mu podarte onuce i gołe pięty na zimnie. Czy mogłam iść za mąż (to był student), gdy to i tylko to działo się na mojej ziemi… Byłam dziwna i często sama siebie nie rozumiałam, od wszelkiego złego chroniła mnie jakaś siła. Od złego… A to zło w oczach rodziców, w oczach moich krewniaków było czymś zapewne wymarzonym: bogate zamążpójście, pieniądze, służące… „Nie, u mnie służących nie będzie, bo każdy winien obsługiwać siebie sam" – ciskałam w oczy przyjaznym mi ludziom. Cóż oni wiedzieli o tym, jak spójnie żyją chłopskie rodziny, jak dziewczęta tkają białe płótno do kufrów, jak marzą… Jak kobiety na polu zbierają do czysta kłosy w snopy, jakie one są pracowite, jakie dorzeczne? Są, naturalnie, różni ludzie, ale być człowiekiem podłym to wstyd i na pochwałę zasługują tylko dobrzy i sprawiedliwi. Jeszcze jako dziecko posłyszałam, jak nasi goście: wójt, pisarz gminny i batiuszka namówili się, żeby ukarać pewnego wieśniaka. Jego syn

narozrabiał (on jeszcze żyje) i trafił do więzienia, zaś ojciec wniósł za niego 500 złotych kaucji do sądu. I ten właśnie chłop w czymś tam batiuszce nie dogodził. Zmówili się więc, żeby chłopu tej kaucji nie zwrócić. Było to okrutne, bo w owym czasie pud żyta kosztował dwa złote, i choć wieśniak nie należał do biedoty, ani do tych, których poważałam, zrobiło mi się go żal. Powiedziałam mu o wszystkim i co ma zrobić, to znaczy pójść do osoby duchownej i ją przeprosić, żeby tak się ratować. Więc ten Pietruk wziął ze sobą miód, jeszcze tam coś, i tak załagodził sprawę: syna nie skazano i pieniądze ojcu zwrócono. Tej tajemnicy święcie strzegł…

Ludzie mnie chyba lubili, chociaż zrozumieć mnie nie było im łatwo: każdy pnie się w górę, a ja samochcąc zniżam się do nich i jeszcze ich chwalę… Cóż, oni nie wiedzieli, jakie wartości w sobie skrywają i, niestety, wkrótce się ich wyzbyli, gdy nadeszło to, co się zowie nowe…

No więc jestem inna niż wszyscy, ale czyż człowiek jest winien, że się taki urodził? A mnie było dobrze, jak w bajce! Dziwnie bywało – pośle mnie tata z wozami koniczyny do Wołkowyska, idę sobie nocą za wozami, bo koniom ciężko, ale koło lasu wdrapuję się zgrabnie po sznurze na wóz, bo tu, mówiono, przed paroma dniami umarł mężczyzna, padł martwy. No więc leżę tak twarzą w dół na żerdzi i dobrze mi, że jestem na wozie. Raptem czuję, że gdzieś spadam. Gdy mnie w końcu ocucono i podźwignięto wóz, który się przewrócił z nasypu, patrzę, stoją furmanki i ludzie stoją, którzy jechali na kiermasz, a Sroil z Wołpy podchodzi i powiada: „Aleście, panieneczko, upadła, wprost na te łapy świerkowe, gdzie ten umarlak leżał…".

Pewien chłopiec z wioski koło Wołpy pasał żywinę i wylepiał z gliny różne różności. Zobaczyła to pani z Białawicz i posłała go jakoś do Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, ale tego się dowiedziałam później. A teraz ten chłopiec, student, z wioskową młodzieżą w Wołpie urządzał przedstawienie, i nie byle jakie: „Demona"[21]! Zostaliśmy popatrzeć po cerkwi. Chłopak przywiózł ładne stroje z Krakowa – pożyczył, i sam jako demon latał, uwijał się i deklamował z przejęciem po rosyjsku z okropnym białoruskim akcentem. Po tym wyszukanym przedstawieniu „Demon" rzucił się ku mnie kompletnie mnie nie znając i oświadczył, że bardzo pragnie wziąć mnie za żonę. Jak skończę szkołę, żebym czekała na niego. On mnie znajdzie. Minęły lata i młody artysta zjawił się po moją rękę, ale mama nie zgodziła się na ten ślub, a ja pomyślałam, że to mi nie sądzone. Mój los zdecydowanie rysował mi się tragicznie, ale na szczęście dla moich rodziców,

którzy bardzo poważali medycynę, żył i studiował gdzieś w Czechosłowacji młody Białorusin, którego nie całkiem ślepy los przeznaczył mi na przyjaciela i męża[22]. Znałam go. Znałam również jego dom rodzinny i wszystkie ich zabudowania, oczywiście, ze snów, wiedziałam nawet jak wygląda Praga… Jego ojciec, zobaczywszy mnie u naszych krewnych, tak się zachwycił szczuplutką poważną dziewczyną, że nie zapomniał opowiedzieć o tym swemu synowi – otóż ja, synu, na twoim miejscu, tylko ją bym wziął… Później zobaczyłam również syna, na mnie u nich czekały konie, żeby jechać do wujka do Piotrewicz. Była jesień, dzień deszczowy, chłodny. W chacie Geniuszów, przyjaciół mego dziadka i krewnych, było ciepło i miło, wokół mnie uwijał się wysoki, przystojny pożeracz serc, jego mama zapraszała mnie serdecznie na obiad. Później mąż mi opowiadał, że coś mu się wtedy stało, że postanowił mnie już nie wypuszczać z chaty, tylko mu się nie udało. Pojechałam do wujostwa na głuchą wieś. Mego męża zaprosić tam nie chcieli, bali się, bo za bardzo już wszystkim się podobał. Ja o nim nie myślałam, miałam swe własne smutne i głębokie myśli, o których nie lubiłam nikomu mówić. Mnie rozeźlony śledczy nazwał walczącą samotnicą i była to bodaj jedyna prawda, jaką ten potępieniec powiedział. Los mi poskąpił przyjaciół, z którymi lżej byłoby dźwigać ciężar przez jakąś siłę zwalonej na mnie odpowiedzialności za losy mego narodu…

No więc jestem w Piotrewiczach u swoich kuzynów podpanków. Koło cerkwi w Słowatyczach podchodzi do mnie młodzież wiejska, członkowie komórek komunistycznych, ale rozmawiają po białorusku, śpiewają „Żył na świecie Lawon"[23] i inne pieśni. Wszyscy się we mnie rozkochują, co dziwi mnie, bo po mojemu to nie jest praca.

Odsiedziawszy 8 lat, wyszedł z polskiego więzienia jakiś Julek Karoza, który cały marksizm wykuł na pamięć i dzień w dzień przysyła mi zeszyty zapisane walką klasową. Ale to wszystko słabsze od rzeczywistości, jakieś nieprawdziwe, całkiem nie po naszemu i dalekie od tego piękna, które pociąga mnie w głębi naszego narodu, w jego historii, którą młody Geniusz przysłał mi z innymi książkami. A przy tym ja bardzo wierzę w Boga i tylko tą drogą mogę podążać w poszukiwaniu prawdy i ratunku dla mego ludu. Trzymam się bardzo daleko od tych swoich nowych znajomych, cieszy jedynie to, że na wsi pojawia się choćby taki protest. Rozkołysać by to wielkie, co tai się w narodzie, ale kto to potrafi? Cóż ze mnie za wojownik, jeśli to tylko moja wyobraźnia, a w gruncie rzeczy ból i miłość, i żywiąca serce nadzieja.

„Dziewczyna-lud” – mówi o mnie jakiś wielki naczelnik, pan Nurzyński, Polak, niewątpliwie, który raz mnie zobaczył i już biegł do rodziców prosić o moją rękę, a złośliwa siostrzyczka nasadziła na patyk kartofel i pokazuje mi z daleka jak się prezentuje mój swat – chudy, długi, z małą głową… Na rodzicach sprawa się skończyła, nie nasz człowiek…

A więc jestem dziewczę wiejskie, któremu wiele dało dobrze postawione gimnazjum w Wołkowysku, a jeszcze więcej książki i wszelka klasyka, która nie wiedzieć jakimi drogami znajduje mnie w naszych Żłobowcach. Czytam, myślę, kocham, żyję. A na razie jestem w Piotrewiczach. Jeden z moich stryjów, Ściapan Mikłaszewicz[24], jest ideowym komunistą! Dali mu już za to Polacy 3 lata, ale nie zrezygnował. Uciekał do Sowietów, skąd przywiózł sobie żonę, nie jest nazbyt uczciwy ze służbą i z ludźmi, ale wyznaje komunizm i marzą mu się artele z kołchozami, choć jest posiadaczem około 40 hektarów ziemi. Widzę tego stryja na wskroś – jest z tych, których nie akceptuję. Kocha gesty, ale dobroci i prawdy nie ma w nim za grosz… Mnie nie lubi, bo mówię zawsze to, co myślę. Mieszka tam po sąsiedzku ze stryjami kobieta, której mąż uciekł do ZSRS. Wyszywa komunistyczne sztandary, agituje. Bywam u niej, współczuję jej, ale nie ma w niej niczego białoruskiego, tak mi serdecznie drogiego i wiecznego, a bez tego – wszystko dla mnie obce: jeśli na górze nie będzie takich dobrych serdecznych Białorusinów, nie będzie szczęścia na tej naszej ziemi, bo zabraknie twórczej pełni białoruskiego żywiołu. Tak myślę.

Nadchodzi wiosna, Wielkanoc. Defensywa dokonała okrutnego nalotu na wioski w okolicy Piotrewicz, zabrali mego stryja Ściapana, a ja byłam u starszego Mikołaja[25]. Prowadzą nieboraka ze skutymi rękami, prosi mnie, omal nie płacze, żebym go ratowała. Jak tu go ratować? Zaprzęgam prędziutko konia i jadę tam, dokąd go powiedli. Dużo luda nazbierali po wioskach. Na moją furmankę posadzili stryja i kilku policjantów, a do hołobli z obu stron poprzykuwali kajdankami chłopaków. Jadę, wiozę ich i boję się, żeby koń nie ruszył truchtem z tymi przykutymi. Pamiętam, był tam jeden, z Cyganówki. Wyciągam z niego po cichu, dokąd ich, jak i co. Moja osoba robi wrażenie, powoli otwierają mu się usta, padają odpowiedzi, że tak być musi tam, gdzie polityka. Jeszcze na miejscu przyskoczył do mnie jeden i pyta: za cóż to stryja aresztowano? Mówię mu: „Człowieku! Pan to wie na pewno lepiej ode mnie, bo ja bym go na waszym miejscu nie aresztowała”. Podjeżdżamy do tak zwanej Czortowej Góry, a tam z lewej strony – lasek. Koń ledwo ciągnie fatalny ładunek. Patrzę, moi policjanci pojedynczo poschodzili

z wozu, koniowi lżej. Można by pogadać z nimi. A tu szturcha mnie mój stryj: „Łareczko, jak oni powsiadają, chwyć ich za strzelby, a ja dam drapaka do lasu, bo nie zniosę bicia, boję się, że zacznę sypać…". Zgiń, przepadnij z takim bohaterem! Nie dostał jeszcze gumą, a już sypanie mu w głowie! Ładna historia! Mówię mu: „Siedź, stryju, jak człowiek, ja cię uratuję, bo w przeciwnym razie wypalą ci kulę w jedno miejsce i zginiesz marnie". Czortowa Góra skończyła się i całym nieciekawym towarzystwem ruszyliśmy dalej. Koło Zelwy poprosili mnie, żebym zeszła z wozu i wzięli na furmana jakiegoś chłopa, bo pewnie przerazili się, że za dużo mi powiedzieli, a co nieco już mi powiedzieli. Wiedziałam do kogo w Wołkowysku uderzyć i przez kogo zadziałać. Przenocowałam u jakichś ludzi. Do Geniuszów nie poszłam, bo trzeba było tu dobrze główkować, jak na jutro dostać się do Wołkowyska. Żadnych autobusów! Rano po prostu kazałam jakiemuś chłopu z tamtych stron zawrócić konia i zawieźć mnie do Wołkowyska. Ku memu zdziwieniu, posłuchał mnie. Koń był wypasiony, gospodarski i w południe byliśmy już na miejscu. Pamiętam: pan Kołaczyński – główny śledczy i przy okazji mąż mojej koleżanki Liny Żyżun[26]. Przedostałam się do niego i po prostu proszę: „Nie bijcie chociaż tych wczorajszych naszych więźniów, szczególnie mego stryja". – „Czy my kogoś bijemy?" – wytrzeszczył na mnie oczy. Miałam na to sto dowodów, ale przemilczałam. Jednym słowem, mego stryja nie bili. Po paru dniach wypuszczono go, przyjechała ciotka i pijaniuteńkiego powiozła do domu. Ale widziałam, jak prowadzono ulicą chłopców pod konwojem: szli na palcach, widocznie pałowano ich gumami w pięty. Ot, gady!.. Umieli jeszcze podwieszać i lać naftę do nosa, cóż, tę kulturę dobrze opanowali prawowierni katolicy. Było niewesoło, wszyscy mi dziękowali, ale milczałam…

Właśnie zachorowała Hryszkiewiczowa, żona tego Hryszkiewicza, który uciekł do Sowietów, gdzie go zresztą w 1937 roku rozstrzelano… Niedługo myśląc przywiozłam jej jakiegoś felczera ze Słowatycz, a gdy zobaczyłam, że nikogo u niej nie ma, po prostu zamieszkałam u niej w chacie i zajęłam się leczeniem chorej wedle wskazówek felczera oraz dziećmi i gospodarstwem. Dobrze mi było, tylko pchły kąsały. Postawiłam chorej bańki, zrobiłam kompres (specjalnie nauczyłam się tego od mojej mamy, która nieźle leczyła ludzi). Z rana napaliłam w piecu, wydoiłam krowę, wygnałam na pastwisko, później powiodłam konia na wygon dobrze go spętawszy, i mały Kola, synek Hryszkiewiczowej (oboje już pomarli), go doglądał, a ja z małą Lubusieńką (teraz mieszka w Piotrewiczach) poszliśmy to i owo zrobić w chacie. Kto to widział wtedy, żeby panienka szła do

chłopskiej chaty i jeszcze tak pracowała? Można z daleka okazywać chłopom współczucie, ale żeby już tak się poniżyć… Moja rodzina była z tego wszystkiego wprost nieszczęśliwa i niebawem tata przysłał po mnie konie, żebym wracała do domu. Długo się żegnałam ze wszystkimi, odprowadzili mnie, a gdy się obejrzałam, zapłakałam – na drodze stał mały Kola i zalewał się łzami. W domu było tak dobrze, tata wybaczył mi moje kardynalne wybryki, uznał w pewnym stopniu swoją winę i było mi znów jak u Pana Boga za piecem. Z ZSRS pisał do mnie Hryszkiewicz, dziękując za opiekę nad rodziną i błogosławiąc chwilę, „gdy przekroczyłam próg ich chaty…".

Czas biegł. Zimą przed Nowym Rokiem mój drogi przyszły mąż powiadomił o swym przyjeździe. Nie bardzo się ucieszyłam, co innego miałam w głowie, chciałam nawet napisać, żeby nie przyjeżdżał, takie były mrozy, ale posłano do Rosi na stację dobre konie, i ciepłą burkę, z której przed gankiem szparko wyskoczył zgrabny, szczupły, wygolony, elegancki Janka Geniusz[27], student z Pragi i już prawie lekarz!

Sprawa była nie prosta, rozmawiał przeważnie z mamą, którą wprost oczarował, a mnie obiecał do końca naszych dni razem walczyć o Białoruś… Do domu już nie wrócił, wpadł tylko po papiery, żeby się ożenić. Widać było coś twardo postanowił, nie mógł koło mnie przejść spokojnie, chwytał wciąż za ręce i nie tylko, aż się zezłościłam. Wieczorem zapaliłam lampę i myślę, zaniosę mu, a był w moim pokoju, i gdy będzie nieuprzejmy, to tak mu nagadam, że poczuje się jak zmyty! Już ja mu pokażę! Właśnie teraz, gdy będziemy sam na sam. Wchodzę z lampą jak królowa z wysoko uniesioną głową. Mój przyszły mąż uprzejmie za lampę dziękuje, całuje mnie w rękę i oboje najspokojniej w świecie życzymy sobie wzajem dobrej nocy… Ta dżentelmeneria ostatecznie mnie do niego przekonała, a przy tym jeszcze wspaniały białoruski język, szeroki taki, i bogata duchowość tego biednego studenta – wszystko to raptem stało się dla mnie niewypowiedzianie drogie!.. Podziękowałam Bogu w duszy za to, że wszelkimi dziwnymi drogami przywiódł go z dalekich Czech do naszej chaty! Wkrótce odbyło się nasze wesele, białe konie w leciutkich sankach czekają. Rodzice błogosławią nas ikonami, my klęczymy, pocałunki, rozdzierający płacz mamy, z oczu Sławka ciekną łzy, Lusia płacze spazmatycznie, pod piętę w ślubnym pantofelku kładą mi pieniążek, żeby się u mnie mnożył grosz, dano mi w ręce cukier. Trzeba go rzucać na konie, to życie będzie słodkie… Wykonuję cały rytuał. W cerkwi pełno ludzi. Powiedziano mi, żebym idąc wokół ołtarza następowała leciutko na nogi mężowi, żeby się

mnie słuchał. Jeszcze przed ślubowaniem podszedł do mnie jeden z drużbów i szepnął, żebym w cerkwi mocno trzymała męża pod rękę, żeby nikt między nami nie przeszedł, że on sam chciał mi to zrobić, ale teraz kaja się… No więc trzymam swego narzeczonego mocno, całujemy się, przyjmujemy gratulacje. Mój „ateista" jedno co robił, to bez przerwy się żegnał podczas ślubu, więc dzięki Bogu… W domu czekają nas goście i dalej wszystko tak jak na weselu, podarunki, goście do świtu, mąż niesie mnie na rękach bez większego wysiłku i od razu odwozi do Zelwy. Jadą z nami jego mama i Sławaczka, który wybiera się od nas do szkoły w Żyrowiczach…

Smutno mi, że tak wiele porzucam w ojcowskim gnieździe. Będę tym żyła wiecznie ja i moje pióro. Zabieram ze sobą umiłowany przestwór pól, które mnie wychowały, trudne życie, ciężką pracę w polu na wielkiej gospodarce, topolowy gaj koło chaty i las, który sama sadziłam. Tak pięknie rósł i już rodził maślaki i rydze. Tamtą wioskę, która tyle mi naopowiadała o przeszłości, trochę umorusanej, ale z duszą jak rosa, którą tak dobrze rozumiałam. Jej pieśni poszły śladem za mną. Opuszczałam swoją rodzinę i ten skraweczek ziemi na ogromnej planecie – moje Żłobowce, gdzie się nigdy nie smuciłam i nie potrzebowałam żadnego towarzystwa, gdy było pole, nasz dom i las; i wesoło płynąca przez olszyny i akurat przez naszą łąkę miła rzeka Wołpianka, pełna szczupaków, płotek i obfita w raki. Smutno mi będzie bez taty. On taki mądry, widzi wszystko jak gdyby naprzód, żal mi tylko, że Żłobowców nie rozbudowuje, nie zakłada nowych sadów, nie zasadza lasu, jakby żyło się tam z dnia na dzień… Gdy za naszym domem zachodzi słońce, robi mi się aż strasznie, jakby ktoś odchodził na zawsze. Chłód i noc kładzie się na moje Żłobowce, jak mroczna groźba, jak przeczucie tego, co miało nastąpić później. Tata mój też musiał to widocznie przeczuwać, bo nie rozbudowywał swego zakątka na przyszłość. Z daleka już na horyzoncie majaczyła wojna ze wszystkim, co ze sobą niesie.

Gdyśmy z mamą jechali do Wołkowyska, gdzie miał nas czekać Janaczka i razem z mamą zawieźć do lekarza, bo poczułam się bardzo źle i mama nie chciała mnie chorej wydawać za mąż, tata jakoś bardzo długo jak nigdy tulił mnie do piersi. Lekarz orzekł u mnie wrzód na dwunastnicy, co potem potwierdzono w Pradze. Mąż przekonał wtedy mamę, że sam jest przecież lekarzem i będzie mnie leczyć, i kiedy wracaliśmy do domu, utulił mnie i wiózł jak dziecko. U mamy zrodziło się zaufanie do niego i przekonanie, że jest dobrym człowiekiem, co było najważniejsze. Później się rozczarowałam co do tego, ale to było później.

A tymczasem na ganek wyszedł tata spotkać nas z drogi i wniósł mnie na rękach jak syna w spódnicy, który starał się choć trochę ująć mu kłopotów, rozproszyć troski, podsunąć dobrą książkę, bo lubił czytać pasjami, jak ja. Był niepewny moich przyszłych losów. Mąż mój był zaledwie absolwentem medycyny, czekały go jeszcze w Czechach egzaminy państwowe, a to kosztowna i niełatwa zabawa. Później zresztą Polacy mogą mu nie dać pracy w Polsce, bo dyplom czeski i mąż Białorusin, świadomy, uparty, niezłomny, który nie da się kupić ni zastraszyć, ani wychować po nowemu.

Nigdy niczego nie planowałam, plany to domki z kart, a w świecie wszystko było takie niestabilne i wojna w Hiszpanii[28] rzucała niespokojny cień na całą Europę. Myślałam sobie: niech będzie już, co ma być; gdy dwoje ludzi idzie z czystym sercem i wiarą w dobro, to przecież życie nie powinno ich zmiażdżyć. Nie dano mi jakiejś wielkiej wyprawy, bo wedle słów mego męża to wszystko jest niepotrzebne, bo i moda tam gdzie on mieszka jest zmienna, więc dano nam weksle na kawałek ziemi oraz trochę grosza. Niebogaty ten mój mąż jakoś nie za bardzo tym się przejmował, zdawało się, będziemy żyć powietrzem… A może należał do mężczyzn obdarzonych przekonaniem, że tak czy owak na kawałek chleba dla rodziny zawsze zarobi.

Wkraczaliśmy więc w życie z jaskrawym piętnem białoruskości na czołach. Z sercem oddanym Ojczyźnie szliśmy na spotkanie wszystkim tym wrogom, dla których sama nazwa naszej ziemi była wyzwaniem.

Zelwa[29]

Przytulny dom, maleńki kawałeczek ziemi, dwoje rodziców i ja z mężem na razie, bo niebawem musi jechać kończyć medycynę – tak oto jesteśmy w Zelwie. Mąż wielce łaskawy stara się zapoznać mnie z białoruską literaturą, której prawie nie znam. Znam Maksima Tanka[30] i jestem zachwycona jego twórczością, jest na poziomie, jest to, co trzeba. Mąż czyta mi Kupałę[31], opowiada o sobie, jak ukończywszy rosyjskie gimnazjum w Grodnie nie mógł wstąpić na polski uniwersytet.

Gimnazjum nie miało uprawnień państwowych. W latach dwudziestych na Litwie w Kownie osiadł rząd Białoruskiej Republiki Ludowej[32], który później zaprosili do siebie Czesi, przyznawszy jednocześnie Białorusinom, jak i innym studentom Słowianom, państwowe stypendia. Białorusini swoich synów, przeważnie absolwentów białoruskich gimnazjów, wysyłali na studia do Pragi nielegalnie. Było to niewymownie piękne, ale jak się tam dostać? No i właśnie w 1922 roku wybrał się tam mój mąż. Trzeba było jakoś przedzierać się przez Litwę przetartymi przez Białorusinów ścieżkami.

W Wilnie działała Białoruska Rada Szkolna[33], gdzie pracowali Taraszkiewicz[34] i Hryniewicz[35], którzy dobrze zapowiadającym się studentom wydawali zaświadczenia od Rady Szkolnej, stanowiące przepustkę do Czechosłowacji. Działacze ci udzielali młodym błogosławieństwa na drogę do wiedzy odbierając od nich zobowiązanie, że otrzymawszy oświatę każdy Białorusin wyda książkę w ojczystym języku ze swej specjalności i na własny koszt udostępni studia wyższe jednemu swemu rodakowi. Brak było inteligencji, którą należało stworzyć. Mąż też takie zobowiązanie podpisał. Wyprawiał go w drogę Bronisław Taraszkiewicz, a sędziwy Hryniewicz wypytywał wszystkich, jakie kto zna pieśni ludowe i prosił, żeby mu śpiewać. Na Litwę trzeba się było przedzierać przez trzy silnie strzeżone strefy. Janaczka Taraszkiewicz skierował do niejakiego Kanczewskiego[36] w Dukształach[37], białoruskiego spółdzielcy, który łańcuszkiem przesyłał ludzi dalej. Z Kanczewskim przegadali całą noc. Był to ideowy, bardzo mądry Białorusin, jednak nie dało się wysłać Janka starym szlakiem, bo ktoś o nim już doniósł i Kanczewski wyprawił go pozornie z powrotem, z tym żeby wysiadł na pierwszej stacji i udał się do dobrego litewskiego księdza, do którego dał swój list. Pociąg się nie zatrzymał i Janka skoczył z niego wprost w ręce policjantów. Jakoś tam się od nich wykręcił i dotarł do tego księdza Litwina. Widać, nasi i litewscy księża przyjaźnili się i ten ksiądz posłał męża do łącznika Litwina. Dopiero łącznik ów deszczową nocą chyłkiem koło granicznej wartowni przeprowadził na dalszy szlak młodego Białorusina. Uściskali się, pocałowali. „Robię to dla ciebie jak dla brata" – powiedział Litwin, który pomagał Białorusinom za darmo. Tak mąż przekroczył granicę i wsiadł do pociągu do Kowna. W pociągu sprawdzano paszporty i zaświadczenie nie wystarczyło. Żadne prośby nie pomogły i męża zabrano na policję, ale tam zjawili się przedstawiciele BRL Wasil Zacharka[38] i Dzmitryjew[39], którzy rychło przekonali Litwinów, że Janka to nie szpieg i zabrali go ze sobą. Tam mąż spotkał się z Hilarym Dworczaninem[40], który również dotarł podobną

drogą. Wydano im bardzo piękne białoruskie paszporty, ale na nie wiz nie wydawano. Wtedy wydano im jakieś litewskie „liudijimas"[41] i na nich wystawiono wizy do Czechosłowacji. Łastowski[42] dał im trochę pieniędzy ze sobą i tak pojechali do Berlina, przejechawszy z trudem przez polski korytarz, gdzie Polacy przyczepili się do nich żądając wizy tranzytowej. Obiecali okazać im wizy w drodze powrotnej. I tak przez Berlin do wymarzonej Pragi czeskiej. Torba na sznurku, w rogach torby dwa ziemniaki, żeby się nie ślizgała, buty z cholewami i koszula domowa płócienna – tak wystrojony znalazł się mój mąż w Europie. Tak ciągnęli tam też inni z naszej ziemi, żeby móc się uczyć. Wielu z nich umierało, opowiadał mi kiedyś pewien przyjaciel, czego przyczyną było ciężkie zadymione powietrze w Pradze, mizerne stypendia i w rezultacie suchoty, a inna przyczyna ich zguby – to miłość do swego ludu i ufność tym, którym ufać nie należało… Wracali na wschód, gdzie powstawał „białoruski dom", jak im wmawiano, i tam wkrótce znajdowali grób… Było chwalebne ze strony Czechów, że dawali nam choć takie możliwości, i ja to zapamiętałam na zawsze. A chłopcy pośpieszali do Pragi, choć nie byli Franciszkami Skorynami[43], ale chciało się wierzyć, że ich życie i wiedza nie miną bez śladu dla naszej drogiej, pełnej cierpienia Ojczyzny. Opowiadano, jak grupa chłopców kupiła po drodze w Berlinie wielki okrągły bochen chleba, a że nasi ludzie lubią jeść solidnie umytymi rękami, więc oni też weszli do jakiejś kawiarni, żeby pożywić się przy stole. Pokroili chleb na skiby i wrąbali cały bochen od razu. Patrzący na to Niemcy wytrzeszczali oczy, zakładając się zapewne między sobą, czy chłopcy zjedliby coś jeszcze, więc posłali im od siebie potężny półmisek niemieckich kanapek. I chłopcy je również wrąbali na wesoło, ku podziwowi fundatorów. Tak to udawali się nasi w wielki świat. Znacznie później zdarzało mi się słyszeć od Czechów, że Białorusini w Pradze mieli opinię najuczciwszych i najpracowitszych ludzi i rząd też nigdy się na nich nie skarżył.

A póki co jestem w Zelwie, rozmawiamy z mężem, chodzimy razem na spacery. Jest pewien malutki sklepik z bardzo smacznymi słodyczami. Mój Janaczka swoje szczupłe grosiki oddaje żonie na cukierki, kupił mi nawet bardzo ładny materiał na szlafroczek i tak rozrzuca te swoje mizerne złotówki, kompletnie nie myśląc o jutrze, szczęśliwy tylko tym, że dziś jesteśmy razem, jeszcze wciąż razem. Było to tak piękne, że tę radosną do mnie niezmierną uwagę pamiętam do dziś, w późnych latach mego życia. Sporo czego dorobiliśmy się jego pracą, wszystkośmy tracili i znowu byliśmy niemal w nędzy, ale nigdyśmy nie kalkulowali, co będziemy jeść jutro. Bóg jakoś strzegł nas i nasze życie, i tak żyjemy jeszcze dziś.

Nadszedł czas wyjazdu męża do Pragi. Nie pobyliśmy razem nawet dwa miesiące. Zawiozłam go z tatą na stację, pożegnaliśmy się. On po prostu jechać musiał. Wróciliśmy do domu, w kącie stała laseczka męża, w domu pustka, pościel opuszczona i wtedy się rozpłakałam, pojąwszy swoją samotność. Sama już nie byłam, byłam ciężarna i to było niepojęcie dziwne, jak w ogóle dziwne i tajemnicze jest powstawanie życia nowego człowieka. Czas płynął i nasze listy przepełnione wzajemną miłością, tęsknotą i myślami, jeszcze nieśmiałymi, o tym naszym nienarodzonym dzieciątku. Pomagałam mamie męża przy ogrodowych grządkach, prałam bieliznę, myłam podłogę w chacie i bardzo, bardzo tęskniłam do męża, ale też i po swoich Żłobowcach – jak oni tam beze mnie? W maju pojechałam tam na kilka dni, ale odczułam jakby, że mój spłachetek jest już, by tak rzec, odkrawany. Po staremu serdeczna była tylko mama, Lusieńka i Sławaczka, tak jakbyśmy mieli jedną wspólną duszę. Powróciłam z wielką walizą wyładowaną wędlinami i różnymi smakołykami od mamy. Mąż przysłał mi kilka ciekawych czasopism i listów miłych, nasze ścieżki zaczynały się zielenić… Moja figura wyraźnie psuła się i na nosie zagościły piegi. Sukienki moje zrobiły się na mnie za małe i ubierałam się coraz brzydziej. Nikt o tym wszystkim nie myślał, a ja nie miałam ani grosza przy duszy. Ale czy to ważne? Ważne było to, że w Zelwie zaczęły się aresztowania na wielką skalę. Na 1 Maja w szkołach, zdaje się, że w Konnej, ktoś zamalował sadzą portret Piłsudskiego i na tablicy napisali, że chcą białoruskiej szkoły. Gdzie indziej znowu zdemaskowano komunistyczne komórki. W dzień brano dorosłych, mężczyzn, a wczesnym rankiem prowadzono nieposłusznych wyrostków, póki ludzie jeszcze się nie pobudzili. Mówi się, że bardzo ich bito. Gdy jeden z nich został wywołany na kolejne przesłuchanie, poprosił o scyzoryk, żeby przegryźć co nieco z paczki, którą mu przysłano. Chwycił scyzoryk podany przez konwojenta i na oczach świadków ugodził nim siebie w gardło. Skonał natychmiast i zaczęto dużo o tym mówić. Podobno sami Polacy oburzali się, gdy w autopsji okazało się, że chłopiec miał całe ciało poodbijane od kości. Byłam tym bardzo mocno zbulwersowana, tak żal mi było swoich współplemieńców. Napisałam do męża list, w którym lamentowała każda litera i poniosłam na pocztę. Tam spotkał mnie pewien Polak, pan Iżyłowski, którego dziad był jeszcze w powstaniu, i powiedział, że tegoż dnia będą chować zabitego. Czy nie chcę popatrzeć na niego? Dziś, gdy tyle więzień mam za sobą, rozumiem, że była to prowokacja, a wtedy wszystko brałam za prawdę… Poszłam z nim.

W Zelwie, gdzie teraz park, wtedy był czworokąt kramów, jeden budynek, a ze wszystkich stron drzwi do niego. Tam pod tymi drzwiami stał tłum, który

policja rozpędzała w obawie przed demonstracją. W piwnicy policji, tej defensywy, na tapczanie leżał zabity. Był niewysokiego wzrostu, ospowaty, w nowym płóciennym garniturze. Dokoła siedziały kobiety pobladłe i spłakane. Moment – i ja już klęczę, modlę się, modlę się żarliwie, jak nigdy. Wstaję i mówię: „Będę miała syna i tak go wychowam, że stanie ze mną do walki z okupantami, żeby nasi ludzie, uchodząc od tortur obcych, nie musieli sami sobie skracać życia!..". Zdawało mi się, że to nie ja mówiłam, ale czas już był na takie słowa, jeśli nie na czyny. Wobec wszystkich tych, którzy ośmielali się niewolić, dręczyć nasz umęczony naród! Powiedzieć im to w oczy był już najwyższy czas! Tam była policja i mój postępek na zdrowy rozum był niemal niewiarygodny. Zaczęto mnie okropnie bojkotować. Okrzyknięto komunistką, którą nigdy nie byłam. Po prostu nie mogłam nigdy, a teraz w szczególności, znieść dręczenia, poniżania mego narodu. Wszakże oczekiwałam dziecka, które będzie nieodrodnym synem naszego ludu i trzeba, żeby los naszych białoruskich dzieci był losem ludzkim. Nie tylko w obcej literaturze pięknej, ale tu, w naszej rzeczywistości musi zagościć wolność, humanizm i oświata w ojczystej naszej mowie, i wreszcie własne państwo bez krwawych protektorów!

Najgorzej zrobiłam biednym rodzicom męża, którzy i tak drżeli o los swego jedynego syna, samotnie i uparcie przeciwstawiającego się wstecznictwu obcych w przekonaniu, że i my wreszcie staniemy się ludźmi, jak marzył i pisał nasz Kupała. Tatę ciągano, mówi się, że wykupił się jakoś i wybronił mnie powołując się na mój odmienny stan. Miano mi trochę za złe, ale dało się znieść, gdyż miało prawo być gorzej. Rodzice Janaczki byli dobrymi ludźmi.

Nareszcie na wakacje przyjechał mąż. Nie poznał mnie takiej zbrzydłej. Rodzice opowiedzieli mu o moich przygodach, co go bardzo na mnie rozeźliło. Nie wolno mi było tak postępować, jeszcze nie czas, tym bardziej w takim stanie. Długo płakałam, nie chciałam się tłumaczyć przed nikim, że to się działo wbrew mojej woli. Ja tylko czułam potrzebę protestu, jak czuję ją teraz i wszędzie, gdziekolwiek się dzieją takie rzeczy przeciw nam.

Mama męża niebawem wyjechała na Łotwę do swej siostry, a ja zostałam na gospodarstwie w naszym obejściu. Była krowa, nawet dwie, prosiak, kury i wszystko co w zagrodzie. Mąż często pomagał mi nosić zielsko z ogrodu dla prosiaka i na ogół starał się być zawsze przy mnie. Bardzo to sobie ceniłam. Tyle że mieliśmy pustki w kieszeni… Mąż pojechał do moich rodziców, ale co mógł dać mój tata? Zboża już nie było aż do nowych zbiorów, a krów nie można sprzedawać na wiosnę.

Mąż postanowił, że odda weksle do protestu. Sądził, zdaje się, że tutaj nic już dłużej nie pozostanie po dawnemu. Rodzice moi nie godzili się żadną miarą na to, by sprzedać mój kawałek; to się całkiem nie mieści w psychice chłopa. Chłop myśli jedynie jak swą ziemię pomnożyć, zwłaszcza gdy nowe dziecko w drodze. Na to, by oddać weksle do protestu, potrzebny był również mój podpis. Głównie mój. Wiedziałam ze swej smutnej praktyki domowej, co to wszystko znaczy. To komornicy, licytacje, przemyślne opłaty za wszystko i łzy, łzy moich rodziców… Nie – powiedziałam, na to ja nigdy nie pójdę, lepiej już rozwiodę się z tobą, mój mężu… Powiedziałam mu to całkiem poważnie. Mąż był zgorszony, jego mama też. On miał długi w Czechach, które musiał terminowo spłacić. Ja obwiniałam swych rodziców, bo przecież ziemia jest moja, ale nie potrafiłam sprawić im takiej przykrości, nie było siły, by mnie zmusić do tego… Wreszcie tata męża woła mnie do siebie, do pokoju. Idę jak na ścięcie. „I cóż, Łarysko, nie podpiszesz weksli przeciw własnemu ojcu?" – „Nie, tateczku, nie podpiszę, nie mogę zrobić czegoś takiego…". Wtedy stary ojciec mego męża wyciągnął do mnie ręce i powiedział: „Jestem szczęśliwy, dziecino moja, że jesteś właśnie taka. Jeśli nie możesz skrzywdzić swoich rodziców, to nigdy nie skrzywdzisz mego syna…". Rozpłakałam się… A dobry stary Piotr Stanisławowicz Geniusz[44] sprzedał swoją drugą krówkę i spłacił synowy dług. Nigdy mu tego nie zapomniałam i gdyśmy byli w Pradze, robiłam wszystko, żeby mu wysyłać przekazy jeden za drugim… Biedni ci nasi rodzice, jakże mało mieli z nas radości! Tyle, być może jedynie, co z naszego człowieczeństwa, naszej przyzwoitości…

I pomarli wszyscy oni, moi rodzice, Janaczki rodzice, bez nas, samotni i opuszczeni przez wszystkich. A to jest cząstka naszego narodu, jego cierpień, cierpień jego dzieci, które nigdy nikomu się nie sprzedały, nie sprzeniewierzyły się i nie wyrzekły się swego narodu, ani tego, co jemu, jak wszystkim narodom, jest należne!

Żeby coś niecoś zarobić, wzięłam na kwaterę ludzi, jak to robiła mama męża, bo Zelwa nie miała żadnego hotelu. Byli to kupcy Żydzi oraz polscy inżynierowie, którzy dostarczali do Anglii drewno z naszej Białowieży przez tych inżynierów odbierane. Ci kupcy to milionerzy, którym zależało na dobrej obsłudze inżynierów, by przychylnie odbierali las. Na mnie spoczęła wielka odpowiedzialność, ale po pierwszym obiedzie wszystko się ułagodziło w przekonaniu, że będzie im dobrze. Umiałam gotować. W domu się nauczyłam – dom nasz zawsze był pełen gości… Rodzice lubili pograć z nimi w brydża czy w preferansa. Bywało, że do późna w nocy siedzą za jakąś pulką preferansową i to ich pasjonuje. Była to ich jedyna rozrywka u nas,

na wsi. W takie wieczory mama mnie powierzała przygotowanie wieczerzy. Niekiedy przygotowywałam także wystawne obiady świąteczne i tak się nauczyłam przyjmować gości. I swoich lokatorów przyjmowałam jak gości. Inżynier Malicki, poważny wysoki Polak miał bolesne odciski na nogach, ale gdy szłam z wiadrami do studni, chwytał moje wiadra i kulejąc przynosił wodę. Powodem takiej uprzejmości, jakeśmy się potem dowiedzieli, było współczucie dla naszych niewesołych losów i uznanie dla mojej pracy, poniżającej wedle ówczesnych mniemań dla przyszłej żony lekarza. Podobało mu się moje męstwo i siła ducha, z jaką wszystko znosiłam. Na jego rozkaz skąpy milioner bardzo mi dobrze zapłacił za lokatorów, a inżynier Malicki poprosił nas na odjeździe, byśmy zaprosili go w kumy dla naszego dzieciątka, gdy będzie dziewczynka, a jeśli chłopczyk, to jego małżonkę. Przyobiecaliśmy to temu dobremu człowiekowi. Tak więc mieliśmy trochę grosza choćby na papierosy i na niezbędne rzeczy dla nas w domu.

Zbliżały się polskie wybory, w których kandydaci zostali wyznaczeni z góry[45]. Jeszcze wczesną wiosną umarł Piłsudski. Polacy starali się mocniej ująć w ryzy swoje mniejszości. Nie mówiło się już Białoruś, lecz „Kresy Wschodnie", a narodowość pisano po prostu: tutejsi.

Czy nie rozumniej by było, nie korzystniej dla nich i dla nas, być ludźmi i demokratami we wspólnym państwie? Ale próżno tu było apelować do rozumu, Białorusini zbojkotowali wybory. Nie poszliśmy do wyborów i my.

Nadszedł czas wyjazdu męża do Pragi. Pojechałam do rodziców prosić o pieniądze. Było im ciężko. Oszukali ich kupcy z Wołpy, którzy na słowo honoru zabrali żyto, a weksli im nie zwrócili. Był to postępek nieludzki i ludzie tylko czasem nie chcą pojąć swojej i tylko swojej winy, gdy los ich surowo karze… Trzeba było siać, ale młócili i odsyłali do Rosi[46]. W ten sposób dali mi aż tysiąc złotych. Na ten czas było to dużo pieniędzy. Można było jechać do Pragi. Jakież jednak było nasze zdziwienie, gdy mężowi nie pozwolono wyjechać z Polski! Wypomniano przy okazji i to, że nie poszliśmy na wybory… Zostało tylko parę egzaminów i oto wszystko w ruinie. Umówiliśmy się z mężem, że będziemy żyć tak, żeby nikomu nie dawać łapówki i różnych boryszów, co było szeroko w Polsce rozpowszechnione, że będziemy wszędzie walczyć o uczciwość. Teraz wszystko to okazało się śmieszne – trzeba się było ratować na wszelki sposób. Mąż poszedł do zelwiańskiej działaczki, pani Chajęckiej, żony miejscowego lekarza. Ledwo go wysłuchała, odparła, że Białorusin niekoniecznie musi zostać lekarzem, że ojciec jego ma sześć hektarów i trzeba je orać, i reszta to próżne gadanie… Od takiej bezczelności

męża ogarnął strach: oto czego nam życzą, czyż to nie poprzednicy Hitlera?.. Tym bardziej postanowił wyjechać! Poradzono nam zwrócić się do starosty w Wołkowysku. Pojechaliśmy we dwoje, ja już w ostatnich miesiącach ciąży. Wielka sala. Na starostę czeka mnóstwo ludzi. Wreszcie wchodzi. Ja siedzę, bo ciężko mi stać. Nagle podbiega do mnie jak oszalały policjant, tarmosi za ramię i wrzeszczy: „Wstać!!!". Boże mój, to nieludzkie! Mąż blady jak płótno, cóż on może wobec takiego chamstwa? Rozmawiam ze starostą sama, jestem spokojna. Nie, mąż nie może jechać uczyć się, a to „ze względu na dobro państwa"… Ciekawe… Nam szkodzi wiele rzeczy, również i to, że sprzyjają mężowi Czesi. A w owym czasie panowała straszna nienawiść między tymi dwoma narodami, obrzucają się nawzajem zniewagami, i to odbija się na naszym losie. Tak topnieją nasze pieniądze, więc znowu jadę do rodziców.

Jestem teraz całym sercem przy swym dzieciątku, a mąż bardzo pragnie, żeby to był syn. W domu śpię w swym panieńskim łóżku we własnym pokoju. Nocą we śnie przychodzi do mnie kobieta, wobec której czuję się maleńkim drobnym ziarenkiem. Kobieta ma na czole trzy ciemne kręgi, środkowy wyższy. Patrzy na mnie uporczywie i mówi, że będę miała syna, ale na mnie spoczywa wielka odpowiedzialność za jego los, żebym o tym pamiętała… Budzę się, jestem zaniepokojona i prześladuje mnie obraz kobiety ze snu. Wierzę, że będziemy mieli syna i myśmy jeszcze nienarodzonemu dali imię Jurek.

21 października 1935 roku narodził się syn[47]. Zdawało mi się, że wszystkie te kłopoty z wyjazdem, że to wszystko tylko po to, żeby syn przyszedł na świat przy mężu. Może tak rzeczywiście było? Urodził się u nas w domu i poród był bardzo ciężki. Cała Zelwa czekała w napięciu, czy będzie syn, bo przecież mówiłam, że urodzę syna… Dzieci przychodziły do szkoły i obwieszczały nauczycielom, że mamy syna… Napisaliśmy do Malickich zgodnie z obietnicą, a na ojca chrzestnego poprosiliśmy dobrego człowieka, mego znajomego jeszcze ze szkolnych lat, który jak my był Białorusinem[48]… A dziecko krzyczało, ssało łapczywie mleko, poruszało energicznie rączkami i nóżkami, rwało się do życia. Urodziło się drobniutkie – 2,8 kg, ale szybko mu przybywało. Ja zmieniłam się, głęboko w serce przenikało macierzyństwo. Dać życie człowiekowi to po prostu jest cud, przed którym milknie wszystko inne. Nawet chłopy nieokrzesane i bez serca łagodnieją i dobrzeją koło kolebki swego dziecka. To już takie mądre prawo życia.

Odwiedzali mnie znajomi, ale byliśmy bardzo biedni i niebogata była wyprawka mego syna. I oto pojechał tata na stację po gości. Żona inżyniera

Malickiego[49] była niezwykle elegancką damą i jej prezenty dla synka były bardzo piękne i bardzo bogate. Czułam się zakłopotana, ale wieczorem przyszedł oczekiwany batiuszka, sędziwy kapłan Jakobson[50] i ochrzcił nam synka w domu. Staliśmy z mężem i płakali…

I oto mąż otrzymał pozwolenie na wyjazd. Nie tak po prostu. On się zwrócił był z prośbą do pewnego ziemianina, a ten do swego znajomego ministra, i tak powstało dopiero zezwolenie. Mąż odwiózł mnie z synem do moich rodziców, spędził dzionek z nami i pożegnaliśmy się. Chłodno już było. A mnie było jeszcze chłodniej, gdy sobie uświadomiłam, że jestem teraz z synem taka osamotniona. Zapaliłam lampę, wzięłam zeszyt i zaczęłam pisać wiersze. Pisałam je cały czas, ale nigdzie nie posyłałam. Zdawało mi się, od czasów Safo[51] słowieńskiej napisano tak wiele. Pisałam wiersze dla siebie i pokazywałam tylko siostrom. Moje wiersze podobały im się. W naszej chacie wszyscy biegli do dzieciątka. Mama z tatą oddali nam swój najcieplejszy pokój. Spałam jak ptak – ledwie pisnęło dzieciątko, już byłam na nogach. Zdawało mi się, żem lwica, gotowa na śmierć w obronie swego syna.

Pewnego razu w sobotę zobaczyłam na podwórzu obcą furmankę i zsiada z niej mój mąż! Myślałam, że to przywidzenie, ale to był on. Wrócił z Warszawy. Polacy rozbili czeski konsulat w Warszawie i póki co Czesi nikogo do Pragi nie wpuszczali. Kazali przyjechać za parę tygodni. Chociaż pieniędzy miał bardzo mało, przyjechał do nas. Było to wprost wymarzone, jak słońce zza chmur. Parę tygodni przy kołysce syna byliśmy bardzo szczęśliwi i ten praski europejski student powiedział mi, że nie wiedział jak ciekawe może być życie w takiej głuszy. Aż nadszedł dzień, kiedyśmy znowu się żegnali, i gdybym wiedziała, że to aż na długie dwa lata, pewnie bym nie mogła tego wytrzymać. Syneczek miał półtora miesiąca. Bez męża było ciężko, a jeszcze ciężej było myśleć, jak on tam sam, bez pieniędzy, jak mu tam idzie nauka w tych warunkach, temu mojemu twardemu człowiekowi, który jako pierwszy z małej Zelwy, napinając wszystkie siły dąży do tego, by stać się lekarzem. Lekarzem Białorusinem z małej wiejskiej chaty, z ubogiego skrawka ojcowskiej ziemi. I dopiął swego, choć głodował, pracował na drogach, na budowach, gdzie tylko się dało. I został lekarzem, i to było szczęście.

A syneczek rósł. Był to cudowny czyściutki chłopczyk, ulubieniec całej rodziny naszej. Najbardziej kochały go mała Lusieńka i moja mama. Chłopczyk nazywał mnie „Wawaćka" (Łaraczka), a mamę moją tak jak my wszyscy – mamą. Przyjechał tata męża i radował się chłopczykiem, kupił mnie i jemu prezenty,

pobył trochę z nami. Mąż pisał często, ale wrócić do Polski nie mógł, bo tutaj go ścigano, nie ukrywając tego, że wsadzono by go do Berezy Kartuskiej[52]. Mieszkałam u rodziców i pomagałam tacie jakoś utrzymać nasze Żłobowce. Były zaległe duże podatki i zadłużenie u kupców z Wołpy, przeważnie to, któreśmy już spłacili. Tata mój się załamał. Musiałabym długo opisywać całe moje zmagania, najścia sekwestratorów na nas i na wioskę po sąsiedzku. Jak wlekli krowy, cielęta, płótna, dywany i len. Jak kopali butami ciężarną kobietę, aż poroniła dziecko w piątym miesiącu ciąży, jak rozkradali panieńskie skrzynie, które matki przez całe życie natkały im na posag… Nikt nie karał za krzywdy naszemu narodowi wyrządzane, a obcym głowa od nich nie bolała. Robili to nikczemnicy, źli ludzie, tacy, co i dziś jeszcze prześladują bezkarnie mnie i zatruwają resztki mego życia, robiąc z nami co chcą. Nawet list od syna idzie do nas dwa razy dłużej niż zwykle, lub może tych listów w ogóle nam nie oddają… Czasem zdaje się nam, że nie między ludźmi przyszło nam żyć…

Wreszcie mąż napisał do mnie, że mam się starać o przyjazd do niego. Znalazł gdzieś skromną pracę i czas mu już zobaczyć syna. Pół roku wlokła się sprawa mego wyjazdu. Mieszkałam już w Zelwie, dokąd też już powróciła mama mego męża. Pokochała bardzo swego wnuka i uczyła go różnych piosenek. Chłopczyk naprawdę był ładny, a gdy czasem płakałam, obejmował mnie rączkami za szyję i mówił: „Apać, Wawaćka, apać", co znaczyło „Nia płacz…" – nie płacz – i już mi było lżej. Raz zaczął krzyczeć na mnie mój tata, to malec stanął przed nim z kijkiem i głośno mu oświadczył: „Monio Wawaćka kiciać!" – nie wolno na Łaraczkę krzyczeć. Dziadek się wielce zawstydził, a skrzyczał mnie dlatego, że wstawiłam się za Rościsławem. Tata czasem bywał niesprawiedliwy wobec niego. Przykazywano mi każdorazowo, bym co dwa tygodnie jeździła do starostwa, i znów odmawiali zezwolenia, i znowu za dwa tygodnie… Tak ciągnęło się już pół roku, ale jeździłam, prosiłam i nie traciłam nadziei.

Rodzice wciąż gospodarzyli, wywijając się jak tylko można od długów. Czasem przywoływali mnie, kiedy bywało im trudniej. To były ostatnie czasy mego pobytu na Ojcowiźnie. Był koniec 1937 roku. Od pól ciągnęło zimnym wiatrem i słońce zachodziło bardziej krwawo. Wieczorami, nocami wybuchały częste pożary, jakby wróżąc nieszczęścia. Jeszcze raz wzywano tatę w sprawie prenumeraty białoruskich gazet, grożono grzywnami (na przykład za psy itp.) i nieprzyjemnościami, a tata zdążył już do nich przywyknąć. Gazety poszerzały wiedzę o Białorusi, dotykały naszej historii, wokół nich grupowali się nasi najlepsi literaci.

Podnosili mądrze i dokumentalnie, nie hasłowo, prawo do niepodległości i niezawisłości naszego narodu. Pisywałam wiersze, ale jak dotąd nigdzie ich nie posyłałam, czasem tylko mężowi:

Kiedy pierwsza gwiazdeczka zaświeci na niebie,
Wspomnij, miły, że masz przecież nas!
Na tę gwiazdkę ma dusza już śpieszy do ciebie,
Bo spotkania nadchodzi już czas… itd.

Wiersze zaginęły. A naród jęczał. Polacy mieli jeszcze tyle czelności, że zarzucali nam, że ich nie kochamy, jesteśmy niewdzięczni za pęta… Narastał protest przeciwko nim… Milczałam, ale wszystko gromadziło się w sercu, dojrzewając pragnieniem walki o lepszy świat.

Pewnego razu o zmierzchu trzymałam Juraczkę w ramionach, było bardzo cicho, nikogo nie było w domu. Myślałam o losach naszego ludu i raptem odczułam taką pewność, taki przypływ sił, że nic dla mnie już nie było straszne i przestałam się bać dalszej swej drogi. Mocno przytuliłam do siebie dziecko, aż zamarło od przypływu niepojętej szczęśliwości. Od tej pory szłam naprzód pewna siebie i tylko w zgodzie ze swoim sumieniem. W Zelwie poradziła mi żona ówczesnego wójta, zresztą Białorusina, żebym, gdy znowu pojadę do starostwa po zezwolenie, powiedziała im, że jestem narodowości polskiej. Wkrótce pojechałam tam i powiedziałam im, że jestem Białorusinką i nigdy swej narodowości się nie wyrzeknę, i wiem teraz, że tylko dlatego oni nie puszczają mnie do męża! Oni się stropili i usłyszałam w odpowiedzi, że od czasu, gdy podałam prośbę o pozwolenie na wyjazd, oni już wypuścili za granicę trzystu Żydów i rzecz nie w tym. Podszedł do mnie jakiś wysoki urzędnik i powiedział, że on też jest Białorusinem i postara się mi dopomóc. Po pewnym czasie rzeczywiście otrzymałam pozwolenie. Pojechałam pożegnać się z rodzicami. Wszyscy byli zadowoleni, że jedziemy, a ja tak płakałam, tak płakałam, jak nigdy. Tak mi ciężko było opuszczać ich wszystkich. Jak gdybym tymi swymi nerwami, tym swoim wyostrzonym czuciem przewidziała całą tragedię, która czekała moją rodzinę. Pożegnałam się gorąco z tatą mego męża, wzięłam syna, trochę pościeli, swoją ikonę, którą mnie błogosławiono, walizę i pojechałam. Do Wołkowyska odprowadziła mnie mama z Lusieńką. Mama bardzo kochała Jurę. Gdy odjeżdżałam od nich, mama chwyciła go i poniosła w pole, żeby nikt nie widział jej bólu i łez po ukochanym wnuku. Także teraz trudno jej było oderwać chłopczyka od piersi. Ja jeszcze kupiłam Lusieńce

małe upominki, wycałowałam mamę, jej oczy i ręce, i wskoczyłam do pociągu. Mama zachwiała się, ktoś ją podtrzymał, pociąg ruszył.

Praga

W Warszawie spotkali mnie znajomi i następnego dnia wsadzili do pociągu praskiego. Niemodnie ubrana, chuda i smutna trzymałam na kolanach ciekawego chłopczyka, tłuściutkiego i rumianego na buzi. Pasażerowie w przedziale częstowali go kto czym miał, a on im szczebiotał po białorusku.

Przeszliśmy polską kontrolę. Byli nieuprzejmi. I zaraz przychodzą prawie tacy sami, ale serdeczni i uśmiechnięci witają nas i jestem pełna podziwu. Okazało się, że to już Czesi, chociaż mówią po polsku. Koło mnie zebrali się ludzie, ktoś wziął Jurę na ręce i powiedział, że on jest jego tatą. Chłopczyk zaprzeczył, ale swego tatę rozpoznał natychmiast, objął za szyję i tak poszliśmy po taksówkę.

Dwa lata spowodowały jakieś pęknięcie między nami i to się dało odczuć. Mąż kwaterował dzieląc pokoik z jakimś studentem. Myśmy przyjechali w ostatnich dniach 1937 roku, a męża kolega odjechał do swych rodziców. Parę tygodni przemieszkaliśmy razem, a później mąż zawiózł mnie i swego nader ciekawskiego synka, który już zdążył połamać strzałki w jego zegarku (bo dlaczego się one kręcą?) do Modrzan. To było przedmieście Pragi, gdzie mieszkał wujaszek Wasil Zacharka, któremu niedawno zmarła żona[53], i pani Maria Kreczewska[54]. Tam nas zostawił. Sam mieszkał i pracował w Pradze, a do nas tylko zaglądał, w niedzielę zaś z reguły bywał.

Mnie powitali tu jak swoją, serdecznie i ciepło. Pani Kreczewska była wdową po zmarłym przewodniczącym Białoruskiej Republiki Ludowej Piotrze Antonowiczu Kreczewskim[55]. Osoba starsza już, inteligentna i niezwykle taktowna dama. Mieszkała z wujaszkiem Wasilem w jednym domu, ale oddzielnie. Miała maleński pokoik, ledwie na jedną osobę, a wujaszek miał dwa pokoje z kuchnią. I jeden pokój odstąpił właśnie nam.

Wujaszek Wasil był namiestnikiem P. Kreczewskiego, a przedtem w rządzie BRL – ministrem finansów. Był to człowiek wielkiej powagi i myślący tylko o Białorusi. Interesował się bardzo wszystkim, co działo się na naszych ziemiach. Ode mnie sporo się dowiedział. Działalnością polityczną nie zajmował się, czasem tylko pisał protesty do Ligi Narodów wobec bezprawia nad narodem białoruskim, podtrzymywał emigrację i bliską łączność z emigrantami innych narodowości – z Ukraińcami i Rosjanami. Był białoruskim eserem[56]. W Boga nie wierzył, ale prosił, żeby pochować go po chrześcijańsku. Do Pragi zaprosili ich Czechosłowacy już z Litwy, dokąd najpierw przeniósł się rząd BRL. Korzystali z niewielkiej zapomogi od rządu, a za okupacji – od Czeskiego Czerwonego Krzyża.

Po zjeździe, który był zwołany do Berlina[57], gdzie apelowano do wszystkich Białorusinów, by wracali budować tzw. „ludowy swój dom", jak wtedy mówiono, ośrodek BRL nie przyjął propozycji Ciszki Hartnego (Żyłunowicza)[58] i nie zlikwidował BRL. Na Białoruś nie powrócili, zachowując uczciwie i godnie wierność idei niepodległości swej Ojczyzny, choć pozostawali w ciężkich warunkach materialnych. Ćwikiewicz[59], Zajac[60] i Prakulewicz[61] powrócili do BSRS, lecz wkrótce ich tam fizycznie zlikwidowano.

Żona wujaszka Wasila była rodem z maleńkiego folwarku Wołosowo, koło wsi Bezwodna, teraz w zelweńskim rejonie. Była to wykształcona mądra kobieta. Zajeżdżała do nas, jadąc do swego brata i matki. Myśmy z mężem odwozili ją do nich furmanką w 1935 roku. Palina Iwanowna z Lautów była szczerym i oddanym przyjacielem wujaszka Wasila. Bez niej rychło postarzał i osunął się. Przy mnie pisał historię Białorusi[62]. Całe życie gromadził na nią materiały. Wszystkim naszym chętnie czytał fragmenty swego dzieła, nad którym pracował do śmierci. Główną cechą charakteru wujaszka Wasila była jego nienaganna uczciwość. Żył bardzo skromnie. Nie spotkałam tam zresztą zamożnych emigrantów, jeśli tylko mowa o ludziach uczciwych.

W Czechach od razu odczułam niezbyt miłe zjawisko – tam nie kochano tzw. obcych. Było ich w Pradze wielu, od Żydów poczynając. W Czechosłowacji panowała prawdziwa demokracja i wolność. Tam każdy mógł uczyć się i mieszkać. Co prawda, nie wszystkim udawało się zdobyć pracę, bo wielu było własnych bezrobotnych, więc i mój mąż, by tak rzec, pracował nielegalnie i za marne grosze. Zastępował lekarza specjalistę chorób skórno-wenerycznych, czeskiego legionistę pułkownika Vítězslava Hradila[63], który sam pracował na Praskim Hradzie (na Hradczanach), a mąż prowadził jego gabinet prywatny. Hradilowi

odpowiadała uczciwość i pracowitość Białorusina, a mąż miał tam dobrą i ciekawą praktykę oraz minimum egzystencji dla nas trojga.

Bardzo szybko nauczyłam się po czesku i mogłam już wszędzie dać sobie radę. Kultura wyniesiona ze swego domu rodzinnego nie ustępowała w niczym tej osławionej europejskiej. Uczciwość, uprzejmość, prawdziwość i śmiałość, gościnność, ofiarność i co nieco rozumu szybko przekonały do mnie tych, którzy mnie poznali. „Jiříček je chytrý po mamince" – co znaczy Jurka jest rozumny po mamie, bo „chytry" po ichniemu – to rozumny. Gdy się im przyjrzałam, to i nasz lud w niczym nie był gorszy od nich. „Sami nie wiecie, co posiadacie" – pomyślałam sobie. Dać nam tylko taką samodzielność, jak mają oni, i my byśmy potrafili pracować dla siebie nie gorzej od nich, bo i nasi ludzie mają głowy na karku.

A Czesi pracować umieli! Pięknie rozbudowali swoje miasta, postawili swój przemysł niemal na poziomie amerykańskim, uprawiali rozumną demokratyczną politykę. Ich pierwszy prezydent był prawdziwym ojcem dla narodu. Nazywano go „Tatíček Masaryk". Tomáš Garrigue Masaryk[64] (Garrigue – nazwisko po żonie – Amerykance) był niedościgłym reprezentantem demokracji i humanizmu w Europie. Zmarł w roku naszego z synem przyjazdu do Pragi, niedługo przed tym. Opowiadano, że tłumy nie schodziły z ulic do późna w nocy, żeby jeszcze spojrzeć, żeby odprowadzić w ostatnią drogę swego drogiego „Tatíčka". Teraz prezydentem był Edvard Beneš[65] – towarzysz broni Masaryka, przyjaciel zachodnich demokracji i wielki słowianofil. Czesi w ogóle to tacy Słowianie, o których mi się nawet nie śniło. Oni rozumieli słowiańskość nie jako rasę, a jako braterską wspólnotę krwi złączaną miłością i rokującą wielkie nadzieje na przyszłość. Na rubieżach słowiaństwa zrodziło się takie niemal modlitewne oddanie mu, o jakim na przykład nie pomyśleli Polacy, szczególnie w stosunku do nas. Podobało mi się, że na ulicach cudownej Pragi rozmawialiśmy swobodnie w ojczystej naszej mowie i nikt nas nie wytykał palcami, nie wyśmiewał nas i nie prześladował, jak to było w Polsce. Na wszystko to patrzyłam z wielką radością, a moje osobiste stosunki z ludźmi zdobyły tyle dla mnie sympatii, że znacznie później sędzia śledczy w Mińsku powiedział mi w trakcie złośliwych badań: co z pani za człowiek, że ni na Białorusi, ni w Czechosłowacji nie możemy znaleźć świadków przeciw pani! Bo rzeczywiście nie znaleziono. Byłam sądzona bez jednego choćby świadka. Czesi niekiedy mijają się ze swą jasną drogą, ale trzeba im przyznać, że znowu na nią powracają.

Wszystko tu dla mnie było nowe, ale bynajmniej nie lepsze niż u nas. Sytość nigdy nie była dla mnie ideałem, a człowieczeństwo – zawsze. Czechów czasem nie rozumiałam – oni mogli płakać na widok pisklęcia, które wypadło z gniazda i obojętnie przechodzić obok człowieka w biedzie. Wszystko u nich było przeliczane na „koruny", i co trzecie słowo w rozmowie to była „koruna". Tu nie wierzono tak mocno w Boga, jak w moim kraju, i choć świątynie u nich były imponująco piękne i dostojniejsze od naszych, to jednak zdawało mi się, że nasza sumienność, ofiarność i szczerość w stosunkach międzyludzkich były nieporównanie wyższej próby. Podziwiałam natomiast panującą u nich czystość i porządek.

Bardzo często serce mi ściskała tęsknota do swoich. W oczach stawała mi mama żegnająca nas łzami – taką ją widziałam ostatni raz w życiu i nigdy jej już nie zobaczyłam.

Nareszcie znaleźliśmy pokoik w Pradze i rozstałam się z wujaszkiem Wasilem i panią Kreczewską. W tym pokoiku zimą mieszkali cyrkowcy. Wiosną wyjeżdżali na występy po miasteczkach i wsiach i na ten okres odstąpili nam skromnie umeblowany lokal. Syn czuł się całkiem dobrze i przejawiał wielką samodzielność. Razu pewnego gdzieś się zapodział i znalazłam go po drugiej stronie szerokiej ulicy, gdzie siedział przy stoliku i spokojnie popijał mleczko. Sam sobie je zamówił. Czesi lubią dzieci, więc chętnie go obsłużyli przekonani, że należność uiszczę. Chłopczyk był tak sympatyczny, że zwracał na siebie uwagę w tramwajach i na ulicy, a sąsiedzi bardzo go lubili, przynosili mu różne smakołyki i zapraszali do siebie.

Mieszkaliśmy w wielkim domu, tzw. Kaszparaku[66]. Z małymi wyjątkami mieszkała tam biedota, emigranci i prostytutki. Obok nas mieszkał nauczyciel z rodziną. Przyjaźniliśmy się z nimi. Poza tym przyjeżdżali do nas Vostrzy, był to młody inżynier z żoną nauczycielką. Z tym dobrym i nadzwyczaj inteligentnym przyjacielem męża z czasów studenckich zaprzyjaźniliśmy się na całe życie. Nauczyłam się po ichniemu gotować czeskie potrawy i wypiekać bułeczki.

Pragą zachwycałam się bardziej niż jej mieszkańcami, którzy wydali mi się mniej godni jej dostojeństwa. Nie tknięta przez wojny Praga oczarowywała, przemawiała historią starych budowli, wąziutkich średniowiecznych uliczek. Polubiłam Pragę, ale kochałam tylko moją Białoruś. Mieszkaliśmy na jednym korytarzu z tą rodziną, gdzie wcześniej mieszkał mąż z młodym studentem, panem Novakiem. Jacy dziwni są Czesi! Pewnego razu przyszła do mnie tamta gospodyni z pretensją, że pewnie przeze mnie wyniesie się od niej dobry lokator. Zdziwiłam

się, bo go prawie nie znałam. Okazało się, że przystojny student nie może się uczyć, bo zakochał się w pani doktorowej, ciągle bierze do siebie Jiříčka, stracił spokój, nauka mu nie w głowie i ja jestem winna! Kto słyszał taką niedorzeczność? Porozmawiałam później szczerze z panem Novakiem. Starał się wytłumaczyć niepojęte. Wedle jego słów był synem handlarza, nie żaden romantyk, miał narzeczoną, którą, jak mu się zdawało, kochał. Wszystko jakby przemyślane, należycie zaplanowane, i nagle dzieje się coś, czego nie może pojąć! Dla mnie to także wydało się dziwne: jak można planować uczucia? Nie mogłam żadną miarą pomóc rozbudzonej wyobraźni tego człowieka, więc uciekł z tego mieszkania. Oto jacy byli Czesi: trzeźwi, rzetelni, ale emocjonalnie pobudliwi.

Czeski byt powoli przenikał do moich nawyków. Żeby lepiej gotować, kupiłam sobie książkę kucharską i z zainteresowaniem przeczytałam tam, jak się przygotowuje na obiad „żabie udka". W tym momencie przypomniały mi się nasze kiełbasy, salcesony, wątrobianki, prosięta i indyki, które tak smacznie przyrządzano na Białorusi. Żaby to musi być obrzydliwość nie z tej ziemi! Ale czeskie knedliczki smakowały mi.

Tym czasem wydarzenia biegły swoim rytmem. Tej nocy Praga nie spała: Niemcy okupowali Austrię[67]. Czesi przeczuwali, że to może spotkać również ich. Nie mylili się, niestety. Tymczasem jeszcze w Pradze odbył się wspaniały Zlot Sokolstwa[68]. Rozpaczliwa manifestacja patriotyzmu, piękna, prężności sportowej, siły. Przez kilka tygodni Praga nie zasypiała i nie budziła się. Po prostu nie spała! Witała, poiła, karmiła i obdarowywała gości krajowych i z zagranicy. Śmiała się i płakała otwierając przed nimi na oścież swe czyste serce, prosząc jak gdyby o zrozumienie, ratunek i pomoc przeciw temu, co żelaznym groźnym krokiem maszerowało z Zachodu na Europę z wrzaskiem „Heil Hitler!". Na stadionie demonstrowano cuda gimnastyki zespołowej w obecności ulubionego prezydenta z nieodstępnym przyjacielem – pierwszą damą Republiki – jego małżonką. Ale to było ostatnie już rozpostarcie skrzydeł wolnego narodu. Nadciągały ciężkie chmury.

Wszystkie miejscowości wolnego kraju przywiodły na ten zlot miłość i wierność swemu rządowi i stolicy. Widziałam jak przekupki brały w podołek cytryny i pomarańcze ze swoich stoisk i niosły swej młodzieży, która wciąż i wciąż napływała do Pragi, pozdrawiając drogą stolicę. Później widziałam, jak każda z tych przekupek trzymała w rękach gazetę, gdzie pisano o oderwaniu od Republiki jej prowincji z Sudetami na czele, i jak każda z nich zalewała się z bólu łzami.

Podówczas płakał cały ten dobry, przez wszystkich opuszczony naród. To nie była Republika, lecz ich dom, drogi i gościnny, ich wspólnota rodzinna, na którą żelaznym marszem następował ich odwieczny wróg i ratunku znikąd nie było. Łapczywie urwała sobie również kęs z żywego ciała Republiki odurzona Polska[69], nie myśląc o tym, co jutro czeka jej własny bezbronny, nieszczęsny naród. Jedyna tylko Rumunia pozostała w tych strasznych dniach ludzka i przyjazna.

Nie bez kozery więc kobiety rumuńskie podczas Zlotu Sokolstwa wznosiły przed trybuną okrzyki o swym oddaniu i przyjaźni…

A czas biegł. Nie potrafię zapomnieć czeskiej mobilizacji. Wszyscy w naszym domu słuchaliśmy przemówienia Hitlera, który krzyczał, wściekał się, chcąc jak gdyby sparaliżować zastraszone narody. Wreszcie w nocy ogłoszona została mobilizacja. Ludzie śmiali się z radości, rzucali się sobie w ramiona! Nie płakali, nie bali się, byli szczęśliwi, że mogą, że mają szczęście iść i walczyć w obronie swej wolności, swej Ojczyzny. „Teď víme, na čem jsme" – wiemy, co mamy robić! – wołał do mnie nasz sąsiad uszczęśliwiony. Nie sądziliśmy, że wróg pozwoli Czechom na mobilizację. Sąsiedzi ponakładali maski, a myśmy mieli tylko jedną i zaczęliśmy się kłócić z mężem, on wpychał ją mnie, a ja jemu z powrotem, aż wreszcie odrzuciliśmy ją w kąt. Na rano pyta mnie mąż, co moim zdaniem powinien robić? Wedle mnie i jego, powinniśmy przede wszystkim odwdzięczyć się teraz dobremu narodowi za wykształcenie i gościnność. I mąż poszedł zapisać się ochotniczo do wojska. Ale wojny nie było, a dlaczego? Tego po prostu nie wiem… Jak myślę dzisiaj, Praga nie miała siły zatrzymać nawały niemieckiej, która miała siłę zostawić mokrą plamę na miejscu tysiącletniego miasta… Udali się więc spokojnie do domów Daladier[70] z Chamberlainem[71] i innymi, odsunąwszy niebezpieczeństwo – jakże na krótko! – od siebie. Prezydent Edvard Beneš opuścił swoją Ojczyznę. Ze łzami słuchaliśmy wszyscy jego ostatniego przemówienia.

Żegnał swój naród, zmuszony do jego opuszczenia. Tak wtedy zapragnęłam podziękować mu za wszystko, co dla nas zrobili Czesi, że w tajemnicy przed mężem napisałam do niego na Hrad podziękowanie w imieniu wszystkich Białorusinów w Pradze i wyrazy szczerego współczucia z powodu tego tragicznego zawirowania historii. Znacznie później tylko mężowi pokazałam podziękowanie z Hradu, które nadeszło stamtąd w odpowiedzi na mój list. Długo je przechowywaliśmy w czasie wojny.

W Czechosłowacji powstał nowy rząd na czele z tragiczną postacią: z Háchą[72]. Po 15 marca 1939 roku, burzliwego śnieżnego dnia do Pragi weszli Niemcy.

Starałam się nie wychodzić na ulicę. Mało kto teraz płakał. Ludzie rzucili się do sklepów, kupując wszystko, poczynając od mydła i słoniny. W Kaszparku mieszkała rodzina niemieckich komunistów, to był robotnik i jakiś działacz Otto Klauder z Ani – swoją żoną oraz z córką. Ani wiele mi doradzała, pomagała. Gdy ja miałam pranie bielizny, Otto chodził z Jurą na spacery i często przynosił nam moskiewskie gazety. Mówił mi, że o losach wojny przesądzi sowiecka broń, co się później sprawdziło. U nich poznałam wielu ludzi. Jedni z nich, rumuńscy Żydzi, uciekli z Pragi i nam pozostawili swoje mieszkanie. Mały pokoik i przez korytarz – kuchenka. Mieszkanko niedrogie i dla nas w sam raz. Żydzi byli bardzo młodzi i żona była niezwykle urodziwa. Było to czwarte piętro, najwyżej w tym domu. Niżej pod nami mieszkała pani Kosacz-Szymanowska, siostra Łesi Ukrainki[73], a jeszcze niżej – rodzina Małżułów z dwiema córkami studentkami. Z młodszą Lidą zaprzyjaźniłam się.

Teraz wszystko przeważnie zależało od Niemców. Także praca. Nie było teraz bezrobotnych. Niemcy wojowali, Czesi szli na ich miejsce. Wojska swego Czesi nie dawali, ale cywilów do pracy – tak. Mąż, jak wcześniej, pracował u doktora Hradila, którego wypędzono już z Pragi, więc był tak nerwowy i nieszczęśliwy, że nie mógł pracować. A może i nie chciał… Całymi dniami przesiadywał koło radia, słuchając zachodnich demokracji.

Później były ostatnie listy od naszych rodziców i zaczynała się wojna z Polską.

Razu pewnego zawitał do nas nieznajomy, który przedstawił się jako Tyran. Mówił doskonale po białorusku i przyjechał rzekomo z Łotwy. Miał wszystkie wydane na ów czas książki Maksima Tanka. Wyprosiliśmy u niego jedynie zdjęcie Tanka z pierwszej stronicy. Wypytywał nas, co myślimy, co zamierzamy robić itd. Dziwiła go pasywność męża, wystraszoność, ale niczego nie mówił konkretnego. Nocował u nas w korytarzu, bo było ciasno – jeszcze w Kaszparku. Następnego dnia, kiedy mąż udał się do pracy, poprosił mnie o nóż, zdjął but i zaczął majstrować przy obcasie. Gdy go rozgrzebał, ukazał się otwór, a w nim 500-złotowy banknot – Polska wtedy jeszcze istniała. Śledził jak na to zareaguję. Spytałam tylko, po co mu to? „Chcę studiować w Pradze" – odpowiada. „Takie buty!.. – pomyślałam sobie. To jakiś człowiek niedobry, dziwne, że przy mnie wyciągnął ten banknot…". Wszystkim lokatorom wydał się podejrzany. Poczęli szeptać między sobą i pytać mnie, kto to jest? Powiedziałam, że jakiś przyszły student. Poprosił mnie, żebym go zostawiła w mieszkaniu samego, po czym wyszedł. Mąż był w pracy. Wieczorem, zanim wrócił, kładłam spać Juraczkę, gdy nagle wszedł do

mieszkania młody człowiek, okazał mi jakąś legitymację, na którą nie spojrzałam – taka byłam wystraszona, że nogi się pode mną ugięły. Uspokoił mnie, wypytał o naszego nocnego gościa i poszedł. Przytuliłam do siebie synka i ledwo doczekałam się męża.

Niedawno tę historię opowiedziałam pewnej kobiecie. Zapytała mnie tylko: „Czy był taki podobny do Chrystusa?". Mówię: „Tak, biedny, mizerny i właśnie podobny do Chrystusa". Kobieta wymieniła jego nazwisko. Ten człowiek pomagał najpierw zorganizować, a później skompromitować i zniszczyć Hromadę… To był człowiek straszny… Nigdy więcej takich nie wpuszczaliśmy do domu. Przychodzili tylko przyjaciele i nasi z Modrzan.

Po podziale Czechosłowacji zaczęli nas prześladować Polacy. Szło im pewnie o to, żeby Czesi odesłali nas do Polski, jako że byliśmy polskimi obywatelami. Znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia, wyrzucają nas. Ktoś poradził mężowi, żebym ja z synem udała się do pewnego czeskiego senatora i poprosiła go o poręczenie za nas. No i idziemy z Juraczkiem, prowadzę go za rękę. Ledwieśmy weszli, jak wszyscy w urzędzie zainteresowali się uroczym chłopczykiem, który tak ładnie recytował czeskie wiersze. Pan senator przyjął nas uprzejmie. Niezbyt zręcznie poprosiłam go o pomoc – zawsze byłam skrępowana prosząc dla siebie o cokolwiek. Senator kazał sekretarce coś napisać, po czym podpisał to i trafiliśmy w ręce wszystkich pracowników tego urzędu. A oni zdążyli już kupić dla Jury czeskie książeczki i zebrali mu trochę grosza. Usiłowałam pohamować się przed okazaniem, że nie nawykłam do datków pieniężnych, że co najwyżej daję je innym, ale oni wszyscy byli tak szczerzy, tacy dobrzy, że wzięłam ten podarek dla syna i pożegnaliśmy się serdecznie z nimi. Tym sposobem pozostaliśmy w Pradze i groźny naczelnik policji, jakiś Słowak – zapomniałam już jego nazwisko – nie mógł nas po prostu wyrzucić.

Polacy przewąchali jakoś, że mam żal do nich i rodzice pisali ze strachem, dlaczego nie zamilknę w tej Pradze i żałują, że wypuścili mnie z rąk…

Czytam polskie gazety. Krakowski „Kurier Poranny" pisał, że Polacy na pewno pokonają Niemców i wtedy poszerzą swoje granice tak, że polski żołnierz poda rękę japońskiemu i aż tam sięgną granice Rzeczypospolitej! Kogo Bóg chce ukarać, temu rozum odbiera, myślałam. Zdążyliśmy jeszcze zrobić portrecik Juraczki i posłać go rodzicom, jak Niemcy napadły na Rzeczpospolitą. Szkoda było naszych ludzi, szkoda było rodziców naszych, ziemi naszej. Wojna to nie żarty, a Niemcy – nie anioły! Wyszło jeszcze gorzej, niż obawialiśmy się. Zjednoczenie

Białorusi i jej „wyzwolenie" przesłoniły mi całkowicie nieszczęścia mojej rodziny. Wkrótce napisano nam, że mój tata zamienił swoje mieszkanie na gorsze w Grodnie i ja wiedziałam już, co to znaczy[74]. Niebawem to się potwierdziło. Z Zelwy napisano nam o tym, jak przy ścianie jakiegoś chlewu w Zelwie zabito 21 osób, w tej liczbie staruszka batiuszkę Jakobsona, zelwiańskiego księdza i innych… Boże mój! Komu i po co to było potrzebne! Jeśli ktoś się czegoś spodziewał, to nie tego. Ten sędziwy kapłan – pamiętam – bardzo lubił tulipany, a jego matuszka była stareńka i malutka, jak kuropatwa. Przychodził do nas chrzcić Juraczkę i był taki bezbronny. Co tam się u nas dalej robiło, nie wiedziałam, ale los taty mnie bardzo poruszył, i znowu pytałam: za co? Nie wiedziałam jak im pomóc. Napisałam list do Połówek[75], do człowieka, który był wielce nam zobowiązany, do Lucika Uładka[76]. Był to człowiek pobożny, nasz sąsiad. Dawaliśmy mu łąkę do koszenia, pole pod siew. Mama leczyła im dzieci, żeniła je i nawet na weselu korowajnicą u nich była, co kłóciło się z jej zasadami. I oto ten właśnie człowiek ich zaprzedał, pierwszy podpisał się na wywózkę mamy z dziećmi, bo tatę dobijano już w Grodnie, w więzieniu, razem z jego bratem Wałodziem[77] i bratankiem Witalem[78]. Syn tego Lucika, też Uładzimir, stał się teraz ważnym prawosławnym sowieckim kapłanem, którego wciąż wysyłają za granicę. Mówi się, że jest partyjny. Mówił mi jeden człowiek, że wtedy zapanowało powszechne zezwierzęcenie, lubowanie się w zadawaniu cierpień i koniec świata. Tak kilka wieków temu następował Czyngis-chan[79] na słowiańskie ziemie… Smutne było zjednoczenie ziemi naszej bez błogosławieństwa dobrym dziełem.

Z wujkiem Wasilem żyliśmy w bliskiej przyjaźni. Staruszek lubił do nas zajechać. Nie przypuszczał, że z mego honornego Janka będzie dobry mąż. Cieszył się tym. Janek interesował się bardziej literaturą i pięknymi kobietami, i prawie nie interesowała go polityka, podczas gdy wujek Wasil żył nią.

Wkrótce po moim przyjeździe do Pragi zmarł Tamasz Hryb[80] – także członek rządu BRL, jego najmłodszy minister. Zmarł na zapalenie płuc – szacowny Fleming[81] nie zdążył był jeszcze dać ludziom penicylinę. Jeździliśmy wszyscy na kremację, która sama w sobie była już dla mnie czymś dziwnym. Tam poznałam Jermaczenkę[82], Rusaka[83], Bakacza[84], Kałoszę[85] i innych. Trumna powoli odpływała od nas i na chórze jakiś ukraiński śpiewak śpiewał z przejęciem „Nie pogasną gwiazdy w niebie"[86]. Ja także odczułam, że jestem na obczyźnie i serce ścisnęło się z goryczy. Później była świecka stypa. Pod naszym herbem[87] i sztandarem[88] wisiał portret Hryba. Zebrało się dużo ludzi – Czechów i braci emigranckiej. Wałodzia

Tomaszczyk[89] wymieniał mi ich z nazwiska. Od Czechów był znany slawista profesor Slavik[90]. Przemówił mądrze i serdecznie. Od Ukraińców głos zabrał zdaje się profesor Doroszeńko[91], który kiedyś jako pierwszy napisał książeczkę o naszym odrodzeniu. Sam on pochodził z Czernihowszczyzny, więc władał bezbłędnie mową białoruską. Od rosyjskich eserów przemawiał ciekawy człowiek Czernow[92]. Była na stypie również Rodzianko[93]. Zdaje się, że lubiła mnie. Często spotykałyśmy się w cerkwi. Skromna, w chusteczce pod brodę, ta szlachetna działaczka nigdy chyba nie myślała o sobie. Doktor Hryb po zakończeniu uniwersytetu pracował w oddziale białoruskim archiwum słowiańskiego. Płacono tam grosze, więc dorabiał jak mógł w to skąpe bezrobocie, nosił nawet, powiadano, i sprzedawał ludziom po mieszkaniach krawaty, a w archiwum pisał, pracując z samozaparciem dla Białorusi. Mówi się, że zostawił po sobie dużo wartościowych prac naukowych. Białorusini wydawali czasem w Pradze „Iskry Skaryny"[94], nad jakimi pracował przeważnie doktor Hryb, a finansował je Wasil Rusak – tęgi mężczyzna, bardzo energiczny powstaniec słucki, który po wojnie zmarł w sowieckiej niewoli. Obecni byli jeszcze Kławsuć[95], Wituszka[96], Astapkiewicz[97] i inni. Byli przeważnie pożenieni z Czeszkami i mieszkali w Pradze.

Białorusini z małymi wyjątkami żyli bardzo ubogo. Zagadkowo zamożny był tylko Iwan Abramowicz Jermaczenka. Był to lekarz, który miał bogate apartamenty w centrum Pragi i reklamował się ze swym gabinetem we wszystkich dosłownie czeskich gazetach. To był bardzo dobrze ubrany tęgawy mężczyzna średniego wzrostu, stale uśmiechnięty, choć nie budził do siebie zaufania. Żonaty był z jakąś rumuńską Rosjanką[98], która także ukończyła medycynę (stomatolog) korzystając z białoruskiego stypendium. Mieli dwie córki[99]. Nikt z nich nie mówił po białorusku. Ten bogaty człowiek nie miał żadnej litości dla swych biednych współziomków i po prostu się od nich separował, ale teraz właśnie zaczął udzielać się w białoruskim życiu, interesować się wydarzeniami i wysuwać się na pierwszy plan[100]. Ja go po prostu nie lubiłam, nigdy nie zyskał mojej sympatii i zaufania. Wszyscy się go bali, ale ja, po tamtym wydarzeniu w domu, gdy poczułam się bardzo silna, nikogo się nie bałam i zaczęłam go zwalczać. Jak można działać w imieniu narodu bez serca otwartego na wszystkie nasze biedy i sprawy? Ja, dziewczyna wiejska, w żaden sposób tego pojąć nie mogłam… Interes mego narodu – to świętość, krwią gotowa byłam płacić za jego lepsze jutro, ale chcę, żeby wszyscy tutaj mieli czyste serca i ręce! Przyjechałam stamtąd, gdzie ludowi jest szczególnie ciężko i w imię jego dobra będę żyć i pracować. Nie znam innych

kalkulacji i z nikim mi na razie nie po drodze. Uważnie się wszystkim przyglądam, nie mając w tym żadnego doświadczenia, ale znam swoją drogę. Na przykład, bardzo ufam wujkowi Wasilowi, pani Kreczewskiej, Tomaszczykowi, nawet Rusakowi, ale Jermaczenki nie akceptuję! Dla przykładu: mój mąż w bardzo trudnym dla siebie momencie, gdy był dosłownie bezdomny i głodny, zwrócił się do niego o pożyczkę. Nie pożyczył, ale udzielił mu gwarancji w banku na 200 koron i strasznie bał się, żeby mu nie przepadły. Przyjaciela Kałoszę zatrudnił na czarno w swojej willi pod Pragą i płacił nędzne grosze. A pani Kreczewskiej czy wujkowi Wasilowi, ludziom leciwym i bardzo ubogim, ten bogacz przyjść z pomocą nie raczył. Głodowali też inni nasi przyjaciele z wyższym wykształceniem… To wszystko wziąwszy pod uwagę doszłam do wniosku, że to nie żaden białoruski patriota, dlaczego więc rwie się do rządzenia tą maleńką rodziną, jeśli jej za rodzinę swoją nie uważa? Co to za gra i kto go, i po co nasłał na nasze głowy? Gdy dowiedzieli się o mojej depeszy do prezydenta Beneša, to wujek Wasil przemilczał ten fakt ze zrozumieniem, a Jermaczenka nie oszczędził mi gorzkiej uwagi, że to było niemądre, bo należy iść nie z Hradem, a przeciw niemu. Ale wtedy mi nie zaszkodził, nie wydał mnie.

Po upadku Polski, której byliśmy obywatelami, straciliśmy swoje obywatelstwo. Po niemiecku to było „Staatenlos" (bezpaństwowiec). Było to nie tyle nieprzyjemne, co niebezpieczne. Każdy obcy był wzięty pod surową kontrolę, kto mógł, to uciekał, ale gdzie my mieliśmy się podziać? Było niewesoło… Niemcy ze swą znaną skrupulatnością kazali gromadzić się w swoich organizacjach przez siebie dozwolonych, mając ich przegląd. Białorusinom pozwolono założyć Białoruski Komitet Samopomocy[101]. Musieliśmy zorganizować go sami. Było nas mało, nie mieliśmy lokalu ani środków na to. Zebraliśmy się w kawiarni. Wyłoniliśmy kandydatów do władz, ale ja i wujek Wasil swoje kandydatury wycofaliśmy od razu i pozostały dwie osoby: Rusak i Jermaczenka. Tego ostatniego obawiamy się, ale daje nam poznać, że jest wszechmocny i bez niego nic się zrobić nie da. Wybrano go większością jednego głosu. Ludzie go nie lubili i obawiali się, a wujek milczał. Na sekretarza wybrano Bakacza, mnie na skarbnika i wykręcić się nie mogłam, nie było zresztą po co. Jermaczenka ustąpił pod Komitet jeden z pokoi w swoim apartamencie. Do Komitetu napływali ludzie. Rusak przyprowadził Wolfsona. Był to Żyd. Bardzo chcieliśmy go ratować. Wzięliśmy w końcu jego, syna i córkę. Tych dwojga nigdyśmy nie oglądali, ale oni jak i my otrzymali legitymacje Komitetu i tak przeżyli. Oprócz niewielkich składek członkowskich nie

mieli większych wydatków. Przyjąć ich było sprawą niebezpieczną, ale zdrajcy wśród nas nie było. Żadnej polityki w Komitecie nie uprawialiśmy, bo i nie wolno nam było. Tylko głupiec mógł twierdzić, że Niemcy mogliby pozwolić komuś na jakąś politykę. Wszystko się sprowadzało do ciasnych ram samopomocy. Komitet też żadnej innej działalności nie prowadził, a niewielkie wpływy ze składek oddawał za pokwitowaniem Bakaczowi, który nie miał z czego żyć.

Mówiono, że Białorusini bardzo dzielnie walczyli, ale to wszystko na nic. Zaczęło przybywać jeńców naszych i było ich wielu. W Berlinie zaczęła dla nich wychodzić gazeta „Ranica"[102], która rychło trafiła i do Pragi. Mąż ją prenumerował. Oprócz niemieckich wiadomości z frontu znalazły się w niej sprawy białoruskie, wiersze i korespondencje. To była gazeta nie gorsza od wszystkich innych protektorackich, któreśmy czytali, i była w naszym ojczystym języku. Ludzie bardzo zabiegali, by miała również białoruską treść. Było to jedyne białoruskie drukowane słowo.

W tym czasie uciekli z Sowietów Rościsław i Wicia[103], mój stryjeczny brat. Kiedy zabrano tatę, to wszczęto poszukiwania Sławaczki, który był już pełnoletni. Chłopiec błąkał trzy miesiące po lasach, to ukrywał się u krewnych, którzy nie bardzo spieszyli mu z pomocą. W końcu chłopcy przeszli granicę i uciekli do Polski, do tatowej siostry, która była żoną prawosławnego księdza[104]. Miła ciotunia rychło pozbyła się naszych młodzieńców. Naszywszy im na grzbiet litery „P" wyprawiono ich do pracy w Niemczech. Od chłopców dowiedzieliśmy się o tragedii naszych rodzin. Rodziców Wici (jego mamą była siostra taty) zabito w ich folwarku Jaryłówka[105] (obecnie w Polsce). Ciotce wyrwano język i darto z pleców pasy skóry. Wujka Cimoszę (każde z nich było już po osiemdziesiątce) po prostu zabito, a ich syna Wałodzię bito, wydarto mu oczy i wreszcie zabito. Po czym w Jaryłówce zorganizowano tańce pod harmoszkę i ogólną zabawę, a trupy leżały na podwórku obok…[106] Wicia w tym czasie bił Niemców[107], a gdy wrócił, przewieźli z moim tatą trupy z jaryłowskiego chlewa pod cerkiew w Brzostowicy i tam pochowali. Potem zabrano tatę, mówiono, że znęcał się nad nim niejaki Sundukiewicz, który go konwojował, a tata szedł w milczeniu. Mówili mi ludzie, że był z nimi w grodzieńskim więzieniu, z którego już nikt z naszej rodziny żywy nie wyszedł. Mamę moją z dziećmi, sponiewierawszy ją na miejscu, wywieziono do Kazachstanu. Nie umiałam znaleźć sobie miejsca, wciąż i wciąż zadając pytanie: za co, za co? Chciałam odebrać sobie życie otworzywszy gaz, zaznawszy przedtem jeszcze innych nieprzyjemności. Mąż mnie wywlókł z maleńkiej kuchni.

Razu pewnego wzięłam do ręki „Ranicę", popatrzyłam adres i posłałam tam swoją maleńką fantazję na temat wiosny i Ojczyzny. Nikomu nic o tym nie powiedziałam, ale gdy przyszedł następny numer „Ranicy", nawet w rubryce „Korespondencja" nie znalazłam najmniejszej wzmianki o mojej serdecznej wiośnie… Ale znalazłam pewnego dnia list w skrzynce pocztowej adresowany do mnie od redaktora gazety: moja fantazja, wedle słów redaktora, to rzecz bardzo dobra i przewidziano ją do numeru wielkanocnego. A więc zacznę teraz pisać. Wszystko, co dla mnie było najdroższe, zabrano mi i zniszczono. Ale są tu bracia moi w niewoli, ciemni, nie wiedzą nawet dobrze, kim są, nie doceniają sami siebie. Chcę zaistnieć dla nich, ale tak: z serca do serca. I tak się zaczęło. Szybko znalazłam się na pierwszej stronie gazety, polubiono mnie. A myślałam tylko o naszych ludziach. Czasem na kolanach wypraszałam u Boga słowa i myśli, które wspierałyby w niewoli braci moich, nie pozwalając im zapomnieć o swych rodzinach, o rodzinnych wioskach. Żeby umacniały w nich poczucie własnej ludzkiej wartości, ukazując im obrazy z naszej historii. Wiele moich wierszy trafiło do redakcyjnego kosza, wielu nie przepuściła cenzura, ale wszystkie pisałam dla moich rodaków, zraszając je nieraz własnymi łzami. Niemcy, rozpędziwszy się na całą Europę, nie zwracali większej uwagi na jakąś tam słowiańską białoruską gazetkę i ja póki co z tego korzystałam. Poszedł hyr, do Pragi poczęli przyjeżdżać działacze, żeby popatrzeć na mnie, porozmawiać. Miałam swoją linię, własną politykę. Liczni moi rodacy z wykształceniem wyższym nie kryli swego podziwu.

Jermaczenka woził nieszczęsnego wujka Wasila po ośrodkach, w których byli nasi ludzie. Sam jechał w wagonie dla Niemców, a wujka upychał między najuboższych. Wujek pisał mi zewsząd: on tam dopiero zrozumiał moją nie zależną od nikogo postawę, moją odwagę, gdy publicznie Jermaczence w oczy powiedziałam, że on jest szkodnikiem dla sprawy białoruskiej. Białorusinów trzeba było uświadamiać, a tych, którzy jeszcze pozostali żywi, zachować żywymi. Przyszłość była jeszcze pisana widłami na wodzie i żadną miarą nie wolno nam było orientować się na Niemców. Przyjrzałam się ich polityce, ich barbarzyństwu i od razu pomyślałam: nie napisać im ani słowa, jakby dla nas w ogóle nie istnieli, a jeśli dotknąć tematu, to prawdziwie, a z całej duszy piastować i opiewać swoją Białoruś, czego nam dotąd zabraniali opętani kolonizatorzy naszej ziemi. Udało mi się to. Później mnie zdemaskowali, ale już kończyła się wojna i było im nie do mnie. A może po prostu miałam szczęście, może i wśród nich byli ludzie umiejący uszanować patriotyzm poetki niewielkiego bardzo nieszczęsnego narodu. Ja również

za okupacji starałam się nigdzie nie pracować, w czym dopomagał mi maleńki syneczek.

Po naszej ulicy chodziły z dziewczynkami takimi jak Jura dwie bardzo dystyngowane damy, starsza i młoda. Ciekawie mi się przyglądały. Wydaje mi się, że podówczas prawie wszyscy na mnie spoglądali z zainteresowaniem. Pewnego dnia w sklepie, koło worka z orzechami – pozostałości z czasów Republiki – nasz Jurka potarmosił i rozgniewał te dziewczynki całkiem nie po dżentelmeńsku. Widziałam, że to Niemki i patrzyłam, co będzie dalej. A dalej podeszła do mnie młodsza dama i powiedziała, że jest okazja, byśmy się poznajomiły, bo ona jest tu obca, mnie zna od dawna z widzenia i chce zaprzyjaźnić się ze mną i chodzić wspólnie na spacer z dziećmi. Tak między nami nawiązała się prawie przyjaźń lub co najmniej bardzo ciepłe stosunki. Dama odwiedziła nas z dziećmi i ja po naszemu, po białorusku, serdecznie poczęstowałam je kawą i słodyczami.

Tymczasem Sławaczka i Wicia jechali konwojowani do Niemiec. Niemiec, do którego na gospodarstwo trafił nasz Raścisłaŭ, prowadził go do domu ciągle się oglądając. Nie dziwota: toż to nie człowiek, a potężny dąb – czegóż to o tych Słowianach się Niemiec nie naczytał! Chwyci jedną ręką za kark i Niemiaszek ani piśnie! Rościsław nie zrobił tego. Uciekłszy od jednych, nie mógł i nie chciał wszczynać nowej awantury. Został nakarmiony, potraktowany po ludzku i Sławaczka zaczął Niemcu pomagać. Miał za sobą Szkołę Gospodarstwa Wiejskiego w Żyrowiczach[108]. I też z natury był chłopcem zmyślnym i rozumnym. Był wysoki, miał metr dziewięćdziesiąt pięć, szeroki w barach. Włosy gęste, jak bogaty żytni snop, pięknie leżały mu na głowie, proporcjonalny równy nos z lekkim garbkiem, zielonawe, pełne skrytej dobroci oczy, w które zaglądałam zadarłszy głowę. Niemcy go cenili i po swojemu lubili. Sam kierował ich całym gospodarstwem, ale pisał mi, że nader mu ciężko jest, że nie słyszy swego imienia, bo nazywają go Niklas (od nazwiska Mikłaszewicz). Z jednego był tylko rad, że nie rozumieją niczego, jak łaje ich pełnym głosem po swojemu. Po wszystkich swoich wędrówkach Rościsław był całkiem obdarty, o czym napisał do mnie mimochodem. Czesi pozwolili mi wysłać mu odzież. Posłałam mu wszystko, czego potrzebował, od bielizny do ciepłej ładnej kurtki i pozostałych drobiazgów męskiej toalety. Chłopiec zrobił się elegancki, a Niemcy dali mu do tego kapelusz (Hut!) oraz zegarek (ein Uhr). Rościsław posiadł wszystko, co wyróżnia „wyższą rasę – Niemców", więc zrodził się u nich pomysł ożenić go i usynowić. Poczęli do mnie pisać do Pragi miłe listy, mieli tam u siebie jakąś córkę czy siostrę, która skłonna była

wstąpić z nami w pokrewieństwo. Brata odrzucało od tego, to było nie dla nas. Ale oto zabrał go siłą przez Arbeitsamt[109] do siebie jakiś niemiecki naczelnik. To już była prawdziwa tragedia dla nas wszystkich. U starego gospodarza żyło mu się jak w rodzinie, a tutaj posadzono go w kuchni i karmiono byle czym. Kazali młodemu paniczowi doić krowy, co dla niego było największą udręką. Poprzedni Niemiec przynosił mu nocą w tajemnicy jedzenie, niemal płacząc, ale wrócić go sobie nie mógł. A ja rozmyślałam tylko, jak go, nieszczęsnego tego mego brata Rościsława ratować? Co za świat, co za dola nasza nieszczęsna…

Przez Polskę przesłano mi list od mamy. Zawieziono ich gdzieś do północnego Kazachstanu na stację Kijały, gdzie był głód, chłód i ciężko. Mama pisała, że zazdrości Marii Pawłownie czyli tamtej cioci Mani, którą zabito wraz z mężem i synem[110]. Drżałam o życie mamy i kiedy wieczorem wracaliśmy skądś z mężem i zimno uderzało mnie w twarz, dla mnie było to zimno dzikiego Kazachstanu. Bałam się, nie bez podstaw, że mama nie przeżyje. Mama już nigdy więcej nie spotkała się ni z nami, ni z naszym tatą. Tak towarzysze likwidowali „klasę", wyniszczając nas po kolei do ostatniego. Straszliwy Hitler był dla nieszczęsnych nadzieją na ratunek, lecz i dla niego byliśmy tylko Słowianami, których należało zniszczyć w pierwszej kolejności… Ludzie ginęli jak muchy. Nie bez kozery dwaj tyrani stali się przyjaciółmi. Francja już leżała pokonana, nie uratowała jej nawet przesławna linia Maginota[111]. Bohatersko i niemal w osamotnieniu zmagała się jedynie stara mądra Anglia, a państwa padały jedno po drugim. Führer et consortes snuli plany agresji, Niemcy heilowali, Anglia stawiała opór, Stalin zacierał ręce nad zagładą Europy, a ludzie ratowali się jak mogli, gdy inni ginęli w męczarniach.

Mąż jak i przedtem co dzień chodził do doktora Hradila. Biedny pokonany legionista od rana do późnej nocy kręcił BBC i inne źródła obiektywnej informacji; jako wojskowy, a przy tym pułkownik, orientował się trochę w łatwych i krwawych podbojach Führera, dobrze wiedząc, że mało jest podbić, trzeba jeszcze terytorium okupować, utrzymać na nim jaki taki porządek itp. Na szczęście dla Europy Hitler był wojownikiem, ale bardzo marnym politykiem i nie potrzeba było wielkiego rozumu, żeby przewidzieć zakończenie tej awantury. A na razie my wszyscy byliśmy w rękach ludzi nienormalnych, których należało jakoś przechytrzyć, żeby samemu jakoś przeżyć i jeszcze w miarę możliwości pomóc ludziom. Żyliśmy z dnia na dzień, wieczni cudzoziemcy, ptaki bez gniazd, jedynie w Bogu pokładając nadzieję. Ale nadszedł dzień, w którym doktor Hradil

roześmiał się koło swego radia, a Stalin, jak powiadają, dostał drgawek kompletnie zaskoczony – Hitler napadł na Związek Sowiecki! Hradil rzekł wtedy, że stało się to, co trzeba. Ja naczytałam się o niemieckiej technice i wiedziałam, że jest ona nie tylko dla parad w Berlinie, które oglądaliśmy na ekranach, że ona teraz orze krwawymi bruzdami moją Białoruś i zielone nasze sioła są w niebezpieczeństwie. Miałam nadzieję jedynie, że bici tak często w historii, i tym razem wywiniemy się jak kto potrafi, i naród ocaleje.

Do nas na górę zaczęły zaglądać dziwne typy, wyraźnie nas nagabując o nasze nastroje i lojalność. Jesteśmy przecież bez obywatelstwa i o żadne jakoś nie prosimy, a niemieckie na pewno byśmy otrzymali… Śmieszne. Jermaczenka miał swego adiutanta, niejakiego Owczynnikowa. Mówiło się, że kiedyś za cara Jermaczenka był jego adiutantem, a teraz role się zmieniły. Za rządu BRL Jermaczenka był konsulem białoruskim w Konstantynopolu i tam się bardzo wzbogacił sprzedając białoruskie wizy emigrantom, którzy ratowali się uciekając za granicę. I ten oto adiutant, który nie znał ani jednego słowa po białorusku, a przemawiał jako reprezentant naszego narodu, nazajutrz po inwazji niemieckiej na ZSRS zaczął objeżdżać nas wszystkich i zwoływać do Komitetu! W Pradze huczało jak w ulu, ludzie poczuli obawy i strach. Gestapo wszędzie likwidowało wszystko, co się jeszcze ostało. Owczynnikow zjawił się ponownie u nas wszystkich. Pojechaliśmy wszyscy oprócz męża, który musiał wszak zarabiać na chleb i dlatego niezmiennie przebywał u Hradila, którego teraz dopiero nie sposób było oderwać od radia. Zgromadzili się wszyscy i tylko nie było córki i syna Wolfsona, których zresztą nigdy nie było i nigdy ich nie widzieliśmy. Wszyscyśmy zasiedli w milczeniu. Czuło się napięcie, niepokój. Każdy myślał o losie najbliższych i swoim własnym. Jermaczenki nie było. W końcu pojawił się uśmiechnięty, ale jakoś krzywo, nie bardzo pewny siebie. Zarządził wybór przewodniczącego zgromadzenia. Zwrócono mu uwagę, że zwykle on sam przewodniczy zgromadzeniom, ale odparł, że na ten raz prezes organizacji nie może przewodniczyć zgromadzeniu. Zaproponowano kandydatury Zacharki, Zabejdy[112] i moją. Myśmy głośno odmówili, chociaż pojęcia nie miałam, co się tu szykuje. A oto co było: Jermaczenka odczytał telegram do Hitlera od naszego Komitetu. Zaczęliśmy protestować argumentując, że Komitet Samopomocy jest organizacją apolityczną i nie ma prawa formułować takich telegramów. A chwilę przed tym przyszedł mój mąż, który po kolejnym telefonie od Jermaczenki pośpieszył tutaj z pracy. Nie dano mu jeszcze siąść i opamiętać się, jak już został „wybrany” przewodniczącym zgromadzenia

i Jermaczenka przystąpił do odczytywania telegramu. Nic jeszcze z tego nie rozumiałam, a mąż zbladł – on pojął w lot podły i przewrotny manewr Jermaczenki… Telegram Jermaczenka zatytułował jako „od Białorusinów w Pradze" czy jakoś tak. Sporządzono protokół zgromadzenia, ale nikt z nas go nie podpisał! Nie podpisaliśmy go świadomie. Wracając do domu mówię do Bakacza: „Ależ świństwo nam zrobiono. Piotrze, napiszmy własny protokół z tej awantury, podpiszmy i przechowajmy do lepszych czasów". Bakacz wystraszył się, po prostu skisł i zwierzył mi się, że czasy są straszne i nie wszystkim można wierzyć…

Pierwszy i ostatni raz mój mąż przewodniczył podczas zgromadzenia Białorusinów, a tym bardziej w Komitecie. Telegram ten nadano bez niego, za podpisem, wedle słów Jermaczenki, „przewodniczącego zgromadzenia". Najciekawsze jest jednak to, że niebawem z mieszkania Jermaczenki zginęło archiwum Białoruskiego Komitetu Samopomocy w Pradze. Jermaczenka jak zwykle uśmiechał się… I oto archiwum owo znalazło się w Mińsku, i wedle niego byliśmy sądzeni. Tylko że tam dokonano jeszcze jednej podłości: na niepodpisanym protokole wszystkie nasze nazwiska były wywiedzione przez kalkę! Gdy mi to pokazał Kogan, mój śledczy, zrozumiałam dopiero podłość całą nie tylko niemieckich agentów… Zrozumiałam wiele rzeczy, i ogarnął mnie wstyd za tych wszystkich ludzi, którzy nas osaczali jak psy gończe i dokonywali takich prowokacji, mając czelność nazywać się urzędnikami, reprezentantami narodu, który był taki czysty, taki nieszczęsny, i który tak żarliwie pokochałam na całe życie. Oto co znaczy ich „prawda"! Nie, z takimi mnie i wszystkim dobrym ludziom, którzy pragną, by istniał nasz świat, nie po drodze! To hańba, której powstydziłby się bandyta… Żal mi się zrobiło mego męża, takiego czystego, takiego naiwnego wobec tych hien. Tylko mój tata powiedział kiedyś, że przewrotnością można przejść cały świat, ale z powrotem już się nie wróci.

Naszą ziemię ogarnęła wojna. „Jak chmurny dzień jest moje serce dzisiaj…" – pisałam ja w owe dni. Pisałam więcej jeszcze. Jedne rzeczy drukowano, innych nie. Przychodzili do nas ludzie, którzy w wojnę mieli trudności z wyżywieniem się. U nas z tym było lepiej. Mąż był wyspecjalizowanym wenerologiem i jego pacjenci nieraz dopomagali nam żywnością, bo każdy wiedział, czego inny potrzebuje. No więc podkarmialiśmy swoich rodaków, słaliśmy paczki jeńcom. Nigdy nie mieliśmy pieniędzy, ale nikt od nas nie wyszedł głodny, podczas gdy większość ludzi myślała tylko o sobie.

Po klęsce Polski do Pragi jakimś cudem dotarł z Warszawy Zabejda-Sumicki. Zajechał do Rusaka, a w ogóle to zaopiekował się nim Jermaczenka i jego ludzie.

Ale wylądował w szpitalu i wypadało go odwiedzić, podziękować za piękne pieśni, bo nasze pieśni ludowe wykonywał niezwykle pięknie. Wybrałam się właśnie z różami odwiedzić chorego w szpitalu. Leżał chłopisko na całym łożu spocony jakiś i blady, całkiem nie podobny do tego z obrazków. Cóż, usiadłam i wręczyłam mu róże, które obdarowany maestro, przewróciwszy teatralnie oczami, wąchał w zachwyceniu. Porozmawiałam z nim chwilę i więcej tam nie poszłam. Za to wkrótce przyszedł do nas sam maestro. Mój Janaczka, żarliwy i wielki patriota, zaprosił go do nas choćby i dwa razy w tygodniu na obiady, żeby rodzimy talent zachował siły na pieśni. Maestro nie omieszkał korzystać z zaproszenia.

Tymczasem czas był już posłać Jurkę do szkoły. Chłopiec umiał już czytać i niemal przemawiać na temat swej miłości do Białorusi. Wprawdzie miał zaledwie 6 latek, ale bardzo chciał do szkoły. Obcokrajowcom nie wolno było oddawać dzieci do czeskiej szkoły. Mieli zabronione. Mogliśmy więc posłać go albo do niemieckiej, albo do rosyjskiej[113], która właśnie obok została wzniesiona jeszcze za Republiki. Rankiem odprowadziliśmy go uroczyście po raz pierwszy do szkoły. W króciutkich granatowych aksamitnych spodenkach, w sweterku i białych pantofelkach biegł przed nami nasz chłopczyk i nagle przepadł! Poszliśmy do nauczycielki na piętro i nie bardzo wiemy, co jej powiedzieć, gdy po chwili zjawia się nasz malec, który już zdążył obiec i obejrzeć wszystkie piętra rosyjskiego gimnazjum, jedynego na całą Europę Środkową, przy którym znajdowała się ta szkoła początkowa. To myśmy go i pozostawili. Prędko stał się najlepszym uczniem i najgorszym rozrabiaką w szkole, przy czym zaskarbił sobie na stałe miłość wszystkich nauczycieli, którzy go edukowali. Mówiono, że dlatego rozrabia, bo nie ma nic do roboty w klasie, gdyż w ciągu tygodnia opanował cały program roczny. Pisał, co prawda, okropnie, ale nauczyciel języka czeskiego pocieszał mnie, że wszyscy wielcy ludzie piszą brzydko i że „Jiří je rošťák, ale roztomilý" (Jurka jest rozrabiaką, ale przemiłym). Nigdyśmy mu w nauce nie pomagali i tylko tata nie nadążał z kupowaniem mu książek, tak szybko je pochłaniał.

A książek nam wciąż przybywało, tylko nigdy nie mieliśmy pieniędzy. Żywiąc różnych uciekinierów, przyjaciół i ludzi przypadkowych, cały czas myślałam: „Boże, wszystko oddam, co mi zbywa, głodnym i potrzebującym, tylko uczyń tak, żeby mojej zmarzniętej, głodnej mamie dał ktoś kawałeczek chleba czy miseczkę ciepłej strawy tam, w tej zapomnianej od Boga ziemi". Myśmy oboje z mężem uważali, że najważniejsze jest, by ludzie przeżyli tę okrutną wojnę. Potem już i my będziemy mieli pieniądze, byle tylko doczekać swoich…

„Czemu do was przychodziło tyle ludzi – wydzierał się podczas przesłuchań rozjątrzony śledczy – to jak do amerykańskiej szpiegowskiej rezydencji!" – „Jestem poetką!" – odpowiadam mu. „No to co z tego! U nas nawet do Szołochowa[114] tylu ludzi nie przychodzi". Nic już mu więcej nie wyjaśniałam, bo w tym durnym głąbie kapuścianym żadną miarą nie mieściło się pojęcie ludzkiej dobroci… Zresztą on ze swoją szajką niemało się nagłowić musieli, żeby za ów jedyny Komitet, który zresztą, ku mojemu wielkiemu żalowi, niczego nie dokonał, i za moją książkę „Od niw ojczystych"[115] dać mi ni mniej, ni więcej jak 25 lat ciężkiej łagrowej harówy na Dalekiej Północy. Do tego jeszcze z tego jedynego mojego oskarżenia ukuli sprawę przeciwko mojemu biednemu mężowi, którego dobry Bóg, oprócz białoruskiej ciężkiej doli, raczył obdarzyć niespokojną buntowniczą żoną na całe życie, i jemu również w szczodrej mińsko-sowieckiej rozrzutności ofiarować 25 lat nieludzkiej niewoli… Gdyby człowiek znał z wyprzedzeniem swój los, nie dożyłby go…

A tymczasem spełniał się mój sen wyśniony tuż przy odjeździe z rodzicielskiego domu: z pagórka naszej siedziby wzniosłam się na skrzydłach i poleciałam, przysiadając czasem na ziemi, i znowu wzlatywałam i leciałam gdzie tylko chciałam po całym niebie. Latałam – to znaczy pisałam, rozmawiałam z braćmi. Dobrze jest tak latać choćby we śnie, przebijając się przez chmury wyżej i wyżej.

Wujaszek Wasil odnosił się do mnie z wielkim poważaniem. Ilekroć uczestniczyliśmy razem w białoruskich zgromadzeniach, starał się zawsze podkreślić jakieś moje znaczenie, moje pierwszeństwo moralne. Przestrzegał mnie przed niektórymi ludźmi, których nie chcę wymieniać z nazwiska, a gdy miałam operację wyrostka, zabrał do siebie Juraczkę i zaopiekował się nim jak mógł. Operowano mnie w klinice niemieckiej, bo nigdzie indziej nie było jeszcze zaciemnienia. Bardzo dobrze potraktował mnie młody lekarz, który mnie operował. Kiedyś praktykował w klinice razem z mężem. Nawet położył mnie w oddzielnym pokoju, gdzie leżało tylko parę osób. Następnego dnia, gdy zjawiła się gruba starsza siostra, ideowa partyjna hitlerówka, to na jej polecenie przeniesiono mnie jako Słowiankę na salę ogólną. Wszyscy byli bardzo oburzeni, że tak mną poniewierają po operacji, a najbardziej – lekarz operator. Przepraszał nas za to. Starsza siostra była osobą z gatunku wydr partyjnych, na których, jak okazało się dalej, trzymał się cały system.

Jermaczenka, który zdecydowanie separował się w życiu prywatnym od swych rodaków, razu pewnego zaprosił mnie z mężem i synem oraz wujaszka

Wasila do siebie, do swojej willi. Nie poczęstowano nas bynajmniej smacznym obiadem, jak to zwykle robiłam ja, a tylko jakimś tanim winem, kawą i czeskimi kołaczami z kwaśnymi śliwkami. Wujaszek grał w golfa, myśmy rozmawiali, a Jurkowi Jermaczenka podarował autko dziecinne, nadto już sfatygowane i niesprawne. Ledwie się od niego wymówiłam, stanowczo, ale jak najtaktowniej, chociaż trzęsło mnie z oburzenia, bo to nie był prezent, lecz jakaś dana dziecku biednemu jałmużna obliczona na wieczną wdzięczność rodziców. W ogóle ta wizyta na wiele spraw otwarła mi oczy. Po pierwsze, zauważyłam, że jestem temu człowiekowi na coś potrzebna… Na co? Wkrótce stało się jasne. Gdy mąż był w pracy, podjechał do nas swym eleganckim samochodem sam Jermaczenka. Już to, że posiadał samochód, gdy nikt inny nie miał, było „niesmaczne". Przygotowałam przekąskę, herbatę i czekałam co też mi powie. Zwrócił się do mnie jako do patriotki i chrześcijanki, czy nie zechcę z nim pojechać na Białoruś i pracować dla narodu w ramach Samopomocy – takiej charytatywnej, humanitarnej Samopomocy, jako że innej działalności nam uprawiać nie wolno. Dla mnie było to śmieszne. Wiedziałam już, co znaczy ten ład, i że oni nam nie dadzą tego, czego my chcemy, a być ich sługusem nie chcę. Przekonywał mnie uparcie i natrętnie. Moje stanowisko było niezachwiane. Mój mąż, gdy wrócił z pracy, był tą wizytą wielce zdumiony. Widać było, że Jermaczenka coś knuje. Umocowany ze wszystkich stron Jermaczenka i my, bezpaństwowcy, na dorywczej pracy, podejrzewani przy tym o lewicowość… To pewnie z powodu mojej przyjaźni z Anią Klauder i mieszkania, które nam pozostawili Żydzi.

Było niespokojnie. W powietrzu odczuwało się narastającą grozę. A tymczasem moja nowa znajoma Frau Piper o nas nie zapominała. Często wpadała do nas z dziećmi i razu pewnego zaprosiła mnie na five. Poszłam do niej z przyjemnością; była to póki co jedyna nadzieja na jakąś obronę, choć nie wiedziałam, kim jest pani Piper. Nie mogłam znaleźć jej mieszkania. Nigdy nie sądziłam, że piękna willa z garażem i basenem to jest jej dom. Ubrałam się bardzo skromnie i niedrogo, ale ujrzawszy bogate apartamenty mojej znajomej, trochę się stremowałam, ale tylko na moment. Mam męża – bardzo pozytywnego człowieka, ja sama także, jak sądzę, taka jestem, więc nie mam czego się wstydzić. Weszłam z podniesioną głową. Szukając mieszkania nieco się spóźniłam. Poprosiłam o wybaczenie. Było to przed Bożym Narodzeniem. W kąciku wielkiego salonu na krągłym stoliku stał wianeczek ze świeczkami i nakrycie do kawy. Było to skromniej, jak u nas, ale bardzo pięknie podane. Przyszedł pan domu. Wiedziałam o nim tylko, że jest

lekarzem. Zaczął wypytywać mnie gdzie pracuje mąż, po czym zwrócił się do mnie, czy nie przyszłam po to, by prosić o lepszą pracę dla męża. Poczułam się dotknięta. Jak tylko potrafiłam, wyjaśniłam mu po niemiecku, że mąż nie potrzebuje pracy, bo ją ma i że przyszłam do nich wyłącznie dlatego, że podoba mi się jego żona. Nagadałam mu. Wróciłam do domu zła, ale stosunki z Frau Piper stały się jeszcze bardziej przyjacielskie. Jedynie gdy mi proponowała pomarańcze, które Niemcom w Pradze przydzielano, ani razu ich nie przyjęłam… Poza tym układało się wszystko dobrze między nami, dzieliłyśmy się czasem swymi skromnymi wojennymi zdobyczami spożywczymi czy kawą. Mieszkali z nimi rodzice – Opa i Oma – babcia i dziadek. Bardzośmy się z nimi polubili. Zupełnie się nie kryli ze swą niechęcią do Hitlera. Wisiał u nich jego portret, lecz dość mały. Śmiesznie mały. Nasze dzieci razem się bawiły, pływały w basenie, skąd Jura wyniósł ciekawe spostrzeżenie, że Niemcy – to naprawdę inna rasa, bo Ewelin i Ingrid mają całkiem co innego jak on. Kąpały się dzieci na golasa.

Bardzo się zdziwiłam, gdy pewnego razu po południu przyjechał do nas Jermaczenka z Owczynnikowem i kazał się wieźć do Piperów, bo chce się z nimi poznajomić. Przestraszyłam się, bo żadną miarą nie mogłam się na to zgodzić. Ale on uciekł się do krzyku i wręcz groźby, więc nie mogłam się wywinąć. Piperowie byli rozumnymi ludźmi, więc miałam nadzieję, że zrozumieją moją sytuację. Jermaczenka przyjechał zawiadomić Pipera, że jedzie do Mińska jako ważna osobistość i zaprasza go do siebie na wieczór pożegnalny. Zapomniałam powiedzieć, że doktor Piper był Obermedizinalrat[116] i Oberregierungsrat[117] na Czeskim Hradzie – to jakby najwyższy niemiecki protektor nad czeskim ministerstwem ochrony zdrowia. Tacy Niemcy nie lubili gestapowców, a tym bardziej takich jak Jermaczenka. Wszystko mi wybaczyli, jak wybaczyli i inne wizyty, gdy mnie czasem u nich „szukano"… Dziś to wszystko jest dla mnie jasne, ale im, jak sądzę, jasne było już wtedy…

Piperowie to ludzie wspaniali. Śpieszyli z pomocą nie tylko nam, ale i Czechom, kiedy zwracałam się do nich z taką prośbą. Tylko ja niczym nie mogłam im się odwdzięczyć za ten ratunek, tylekroć mi przez nich okazany. Byli to ludzie najlepsi ze wszystkich spotkanych w moim życiu. Opa i Oma kiedyś mi powiedzieli, że Piperowie są rodem z Hanoweru i najpewniej Anglicy z pochodzenia.

Tak więc Jermaczenka powędrował na wschód[118]. A my wciąż śledziliśmy życie i wydarzenia na wschodzie. Nikogo tam już nie miałam, większość naszego rodu już wygubiono, a mama z braćmi i siostrami domarzała w Kazachstanie.

Dom nasz rozwalili miejscowi „działacze" i nie wiadomo dlaczego przewieźli do Gudziewicz. Ten dom śnił mi się po nocach rozdzwoniony głosami najbliższej rodziny.

Moja ziemia, która uformowała mi duchowość, otulała mnie od dzieciństwa wielką miłością rodziców, wieśniaków, każdego drzewa, kłoszącego się pola, oczekiwała ode mnie podzięki, miłości. Zniewoleni jej synowie oczekiwali mego słowa i współczucia. A moja miłość do Ojczyzny wyrywała się na stronice prawie nie naszej gazety, która na swych szpaltach drukowała jakimś cudem niemal wszystkie niepokoje mego serca. Lubiono mnie. Gdy nazbierało się tych wierszy więcej i nie było jak ich opublikować, bo gazeta wychodziła za nasze pieniądze i jej nakład był ograniczony, redakcja zwróciła się do czytelników o pomoc. Posypały się pieniądze, posypały się listy do redakcji. Mówią, że to z miłości do nas, skromnej garstki poetów za granicą, którzy budzili patriotyzm w sercach najbardziej nawet obojętnych. Na ogół chwalili mnie nasi wszędzie, gdzie tylko mogli. Nie było gazety, która by tak czy owak nie wspomniała mego imienia. Zdawało mi się, że znowu jestem w rodzinie, którą kocham z równym oddaniem. W strony rodzinne wierszy swoich nie posyłałam, ale często przedrukowywano je z „Ranicy"[119]. Jermaczenka miał siłę, wujaszek Wasil[120] przeszłość, bo z Niemcami nic wspólnego mieć nie chciał, a ja miałam popularność jakąś dziwną, konspiracyjną, prawdziwie białoruską, od nikogo niezależną, zrodzoną z mego bólu, ze znajomości naszego ludu i rozpaczliwej miłości do mej Ojczyzny.

Starałam się nie tykać naszych niedawnych wrogów. Leżącego się nie kopie – uczył mnie tata. Było mi ich żal, chociaż wielu z nich nawet te ich nieszczęścia niczego nie nauczyły. Polacy na naszych ziemiach często wydawali Niemcom naszych. Opanowali wszystkich gauleiterów z pomocą swych sprytnych kobiet. Przykro było patrzeć na to. Po prostu zapominali, że to wojna i że giną jak muchy swoi nieszczęśni ludzie. Litwini i Łotysze, na ile wiem, także starali się „oczyszczać sobie terytorium na przyszłość", to znaczy eksterminować z reguły mniej aktywnych Białorusinów. Ciężko było to wszystko wytrzymać.

Ogrom mej miłości, zdawało mi się, zwielokrotnił mi siły. Dusza moja trzepotała w wierszach i wszyscy się wsłuchiwali we mnie, nawet obcy. Polacy przysłali z Warszawy człowieka, który powtarzał mi, żebym tak trzymała, że kupują „Ranicę" jedynie dla moich wierszy; później przysłali mi książki. Czech, profesor Tichý[121], znany słowianofil, napisał do mnie, że zniszczy wszystko, co drukowali emigranci w przeciągu 25 lat, pozostawi tylko moje wiersze. Już poczynił ich

przekłady… Cóż! Profesor Tichý był słabym człowiekiem. Gdy mnie wydawano Sowietom, on także cisnął we mnie kamieniem, żeby później, po wyjściu w świat tomu „Niewodem z Niemna”[122] znowu wyrazić mi swe wielkie uznanie. A no, ja się nie gniewam, bo żaden naród tylu udręczeń, jak białoruski, nie przyczynił mnie i mojej rodzinie… Żaden naród tak nie poniżał swoich poetów, swych kobiet. Sadystyczne wymyślne tortury niemal codziennie znoszę nawet od ludzi, którzy wczoraj byli przyjaciółmi… Każdy chciałby, żebym myślała tak jak on, żebym też tak samo sprzedała swą duszę, swoją białoruskość i to najpromienniejsze, co przechowałam w duszy ze swego dzieciństwa. Wtedy myślę tylko o mamie i tulę się w myślach do jej rąk, słyszę jej prorocze słowa, że za tę moją wielką miłość ciemni ludzie przysporzą mi jeszcze większych cierpień. Rozumiem jej tamten niegdysiejszy strach, i wtedy płaczę. Kiedyś, gdy dostrzegłam swój wpływ na ludzi, nie ciągnęło nie za mąż za dobrego człowieka. To za proste. Nęciło mnie wyjście za mąż za człowieka złego i później rozbudzenie w nim wszystkiego, co wielkie i dobre, do czego człowiek doszedł różnymi drogami, a głównie – przez miłość! Sądziłam, że źli ludzie to tacy, których nikomu jeszcze nie udało się oświecić, ile słodyczy, ile wzniosłości daje człowiekowi poczucie, że ty jesteś jego niezachwianym przyjacielem, bratem.

Jakże łatwo spychane jest na margines wszystko, co święte, gdy człowieka zanęci się pieniądzem! Jak tanio człowiek pozbywa się i przyjaźni, i mowy swojej, i przeszłości, i ziemi swej, i dzieci swych, i wreszcie samego siebie… Tak myślę dziś, gdy w duszy czuję rany zadane mi przez Białorusinów.

Widzę docenta Wołka[123], jak poniewiera mną przezwiskami wobec setek białoruskich studentów, widzę Eudokię Łoś[124] jak pali w Związku Pisarzy Białoruskich moją książkę, widzę władze Zelwy, jak nasyłają na nas różnych szpiegów, a my karmimy ich zwyczajem przodków naszych. Nasyłają takich, co to sami wchodzą do naszej chaty i przetrząsają nasze sprzęty i moje słowa. Widzę nauczycieli zelwiańskich, którzy obsiadają cały autobus i nikt się nie zdobędzie na ustąpienie mi miejsca, i ja padam, gdy autobus przechyla się na wybojach, a oni wybuchają śmiechem… Moich współrodaków, którzy sprzedawszy cały mój ród szkalują bezpodstawnie moich rodziców, kalają moje imię tylko dlatego, że napiętnowali je nowi panowie… To nie do opisania! Choćby te plugawe typy, których się na mnie nasyła, by mi wyznawali swoją miłość… Nie myślę już kogo można kupić, myślę z goryczą któż z Białorusinów nie sprzeda się? Rozglądam się. Dokoła najokropniejsi sąsiedzi moi, którzy podsłuchują każde nasze słowo,

podpatrują każdy mój krok i donoszą już całkiem jawnie, a do mnie przychodzą pożyczać czy prosić o pomoc… Mam w oczach Kuźniacowa – naczelnika Komitetu Wykonawczego w Zelwie, jak wieczorem z okien szkoły muzycznej stojącej naprzeciw naszego domu podgląda nas, fotografuje jakimś aparatem przez firanki, gdy my, starzy, rozbieramy się do snu. Jak wyrzucają męża z pracy, jak poniżają jego i mnie, jak szczują na nas naszego syna i on, zmuszony przez nich, spojony i podjudzony, patrzy nam w oczy nieszczęsnymi swymi oczami i razem z nami potem płacze… Boję się człowieka wpuścić do domu, gdy to człowiek sowiecki, boję się swych krewnych, których kilku dalszych zostało. Boję się, gdy ktoś nam przynosi coś w podarku. Po cukierkach takich uratowałam się tylko kefirem i lekami, a mąż zżółkł, zbielał i ledwie wyżył po takim podarku… Wszystko to spełza na nas z góry w zemście za to, że czegoś takiego ja człowieczeństwem nazwać nie mogę i z takimi metodami, z takimi ludźmi mi nie po drodze…

Jacy święci byli moi rodzice, jakie przeczyste były nasze Żłobowce, które same jedne, zdaje się, mogłyby dziś zaleczyć te rany, ale tam przeraźliwie pusto i tylko głosy zamęczonych ofiar jęczą z wiatrami po nocach… Za co? Za co? Dlaczego tak zezwierzęciał człowiek? Czy tak już na wieki? Czy to ten nasz lud, za który szłam na zatracenie nie mrugnąwszy okiem? Co oni poczną, gdy „zbudzi się Bóg" i poruszy się w nich sumienie? Jak pragnie się widzieć człowieka, który nie jest donosicielem, który nie życzy nam zła, nie zbliża się do nas z zamiarem poniżenia nas, oszukania lub zakapowania nas. „Jeśli dziesięć lat mówić na człowieka, że jest psem, w jedenastym roku zacznie biegać na czworakach i zaszczeka. To do was zastosowano tę metodę, bo takich odpornych jeszcze nie widziano, bo nic was złamać nie może" – powiedział do mnie pewien prawdziwy, chociaż od nich, człowiek, który nie jeden raz cisnął w naszą stronę kamieniem, ale potem poszedł po rozum do głowy, gdy zobaczył krew…

Kulturalne narody mają ustanowiony czas ochronny dla bydła, zwierzyny dzikiej i, oczywiście, dla starych działaczy i poetów, którzy swe życie poświęcili pełnej cierpień walce o swój naród. Czyżby tak głusi byli, gdy wywożono ich braci na Sybir czy do Kazachstanu? Czyżby tak obojętnie lub aż wrogo patrzyli na tysiące Żydów, gdy ich bezbronnych, żywych, prowadzono do wspólnej jamy? Czyżby nie reagowali, gdy wróg rozstrzeliwał i puszczał z dymem całe wioski? Przecież ludzie za mojej młodości byli litościwi, solidarni z tymi, których spotkało nieszczęście; co się stało, że otępieli, co ich zmieniło, nauczyło myśleć tylko o sobie, o telewizorze i meblach, o dywanach i motocyklach? A gdzie sumienie?

Kiedyś ludzie odsuwali się od tych, co mają krew na rękach, co na swym sumieniu mają ludzkie łzy, a dziś – to bohaterowie, nauczyciele młodzieży, wzór dla społeczeństwa… Jak dziś zdefiniować pojęcie: człowiek? Co by tacy zrobili, gdyby wsadzić ich do jednej jamy, jak to jest u Wasila Bykawa[125]? Jak by się zachowali względem siebie nawzajem w obliczu niebezpieczeństwa? – Boję się myśleć. Może i za oceanem zdarzają się ludzie tacy bezduszni, głusi na cierpienie innych, ale tam są, na pewno są i prawdziwi chrześcijanie, i misjonarze, i organizacje obrony praw człowieka, i ludzie im się przysłuchują. A tu jedyny postulat pod adresem obywatela – to pracuj, pracuj i jeszcze raz pracuj o nic nie pytając, a gdy ci rozkażą, idź na śmierć, bronić swoje pęta… Przerażające.

Ale odbiegłam od tematu. W Pradze mówiono, że jestem szczęśliwym człowiekiem, bo mam tylko jednego wroga – Jermaczenkę. Tak, on o nas nie zapomniał. Przede wszystkim, odjeżdżając do Mińska pozostawił Komitet Bakaczowi i mnie. Śmiać nam się chciało: całe archiwum Komitetu – protokół założenia organizacji, nasze ankiety personalne, protokoły zgromadzeń – wszystko zginęło. Po prostu wyparowało i koniec.

To właśnie pokazał mi Kogan na śledztwie w Mińsku, ale jak! We Lwowie, gdyśmy czekali jeszcze razem z mężem, ja go namówiłam, żeby nigdzie nie wspominał o praskim Komitecie. Niechaj już ja sama za to odpowiadam. Wtedy u niego pozostanie tylko to, że po mobilizacji posłano go na wschód, a na to wszędzie są dowody i papiery. Biedny mój mąż milczał jak głaz! Rzucono go do jakiejś nory w tej przeklętej mińskiej „Amerykance", gdzie można było tylko stać, i to w wodzie. Stał w tej wodzie tydzień bez jedzenia. Mówi teraz, że śpiewał pieśni… Stał, aż nogi mu popuchły jak kłody…

I właśnie wtedy pyta mnie Kogan, czemu pani mąż nie przyznaje się do praskiego Komitetu? „Ach – powiadam zakładając najgorsze – to ja go tak nauczyłam, bo ja tu swojej winy nie widzę, a on to już całkiem niewinny". A na ścianie – dostrzegam rozbryzgi krwi i zamieram… „A czy wyście mu pokazali archiwum?" – pytam. – „Nie. Pokazałem tylko pani". „No to pokażcie również jemu". I wtedy dopiero ten potępieniec wypuścił Janaczkę. Jestem od niego silniejsza i fizycznie, i duchowo, więc cały czas starałam się go osłaniać, i chleb mu oddawałam, i wszystko, co lepsze i tak oto mu mimo woli „dogodziłam"…

No więc: Jermaczenka przekazuje Niemcom wykaz osób, które mają z nim razem jechać na Białoruś, wyłącznie lekarzy, bo chyba innych nie potrzebowano. Liczba dość znaczna, a wśród nich i moje imię! I tutaj wpadłam w panikę!

Wszyscy rozbiegli się w poszukiwaniu pomocy, nie żałując grosza, a u nas ani pieniędzy, ani nawet obywatelstwa i żadnej nadziei na pomoc!

I wtedy postanowiliśmy pójść do Piperów. Zostaliśmy przyjęci bardzo przyjaźnie, ale Piper jest Niemcem, który za tę sprawę odpowiada, jak gdyby minister ochrony zdrowia. Widzę jednak, że bardzo chce nam pomóc. Przede wszystkim powiedział od razu, że „panią, Frau Geniusz, wybronię, bo pani lekarzem nie jest i nie ma tam nic do roboty; tutaj coś jest wyraźnie nie w porządku; lecz obydwojga wybronić żadną miarą nie jestem w stanie. Niech więc pan doktor jedzie, a potem się zobaczy".

Ciężko było mężowi opuszczać nas i Pragę. Trudno było Hradilowi rozstać się z nim, ale nie było ratunku… Mąż zwlekał z wyjazdem ile mógł, żeby jeszcze choć jeden dzień pobyć w domu, aż przyszedł gestapowiec i zapytał uprzejmie, dlaczego mąż bojkotuje Befehl[126]? Spakowaliśmy to, co uznaliśmy dla niego za niezbędne i rankiem odprowadziłam go na pociąg. Płakałam wprost nieprzyzwoicie, sercem leciałam za nim z bólu… A w domu wisiało jego palto, leżały jego książki, rzeczy, a on nie przychodził, i ja wiedziałam, że nie przyjdzie i zalewałam się łzami… Niebawem pochowałam wszystko, co jego, bo wiedziałam, że muszę doglądać Jurkę i tak pogodziłam się z losem. Jeszcze przed odjazdem poprosiłam męża, żeby zwrócił się do Zabejdy i innych z apelem o niedokuczanie mi pod jego nieobecność, co mąż zrobił. Jura uczył się. Ja pisać przestałam. Cierpienie osobiste zagłuszyło to, co wielkie i patriotyczne. Czekałam teraz listów od męża, wieści z Białorusi. Jeszcze gdy Jermaczenka przyjeżdżał do nas ze swoim kierowcą i namawiał na wyjazd z nim do Mińska, mówił, że otrzymamy tam kartki na artykuły spożywcze. Zapytałam, co tam jedzą nasi ludzie, nasz naród, inteligencja? … A coś im tam dają, odparł. …Ach tak, mówię, to jakże można jeść to, co wróg, gdy naród głoduje? Ja bym jadła tylko to samo, co ludzie nasi jedzą. „No, tam się zobaczy" – mówi do mnie ze swym przylepionym do twarzy uśmieszkiem, od którego skóra mi cierpnie… Umówiliśmy się z Janaczką, że będzie tylko lekarzem i żadnych funkcji, jak zresztą napisane jest w tamtym papierze. Więc był lekarzem w klinice w Baranowiczach. A my zostaliśmy w Pradze…

Wujaszek Wasil zachorował na płuca. Powiedziała mi w sekrecie pani Kreczewska, że jakiś bardzo podejrzany jego lokator pchnął go nożem w bok… Jaki był tego powód, mogę tylko domyślać się dziś, gdy wiem więcej o „metodach". Wujaszek zrezygnował z warunków, jakie Niemcy proponowali jemu i Białorusi, i korzystał po cichu z pomocy Czerwonego Krzyża, oczekując najgorszego.

Ratowało go, jak i doktora Hradila, radio. Wujaszek był demokratą i jedynie mądre operatywne BBC podtrzymywało go na duchu. Bardzo się obawiał, by jacyś samozwańczy führerowie nie pojawili się u nas i nie podjęli zgubnej polityki. Poznał Niemców i powiedział do mnie tak: „Nie mamy wyboru albo-albo. Jeśli wygrają Niemcy, to nas wszystkich wyniszczą. Jak wygrają Sowieci, to wyniszczą inteligencję i asymilują naród, a to lepsze niż śmierć całego narodu… Trzeciego wyjścia nie ma".

A tymczasem w Pradze miała wyjść z druku moja książka „Od niw ojczystych". Czesi starali się ze wszech sił wydawać swoją klasykę i moja dumna, szczera i nie służalcza książka bardzo im odpowiadała! Powiedział mi o tym czeski cenzor, niejaki Ukrainiec Lewicki[127]. Książkę przygotował do druku doktor Tumasz[128], mój zaoczny przyjaciel i znakomity krytyk, bardzo przy tym wymagający względem mojej twórczości poetyckiej. On pierwszy usłyszał mój głos i prowadził mnie jak dziecko ucząc, chwaląc i ganiąc w dążeniu do głębszej poetyckości, lepszej formy wiersza rozumnego i bez agitacji. Ale razu pewnego napisał mi o Chińczyku, który posadził ryż, pielęgnował go i polewał, i roślina parła w górę, aż przebiła strzechę chińskiej chaty i rosła do nieba, i „biedny kulis" nie mógł już jej dosięgnąć. To mnie podtrzymało na duchu, ale samej mi też moje wiersze się nie podobały i wciąż chciałam czegoś więcej, żeby dusze moich rodaków uczynić na zawsze białoruskimi, żeby były wytrwałe i silne w zmaganiu się z niedolami białoruskiego żywota, czego należało się spodziewać.

Zaglądał do nas często Bakacz. Był to sekretarz Bronisława Taraszkiewicza, który odsiedział cztery lata w grodzieńskim więzieniu za Hromadę i uciekł do Czechosłowacji. Tu studiował na uniwersytecie i pracował, jak kiedyś Janaczka, gdzie tylko się dało. W czasach naszej znajomości był kimś w rodzaju służącego u białogwardyjskiego generała. I tu także nabab Jermaczenka człowiekowi nie pomógł… Bakacz, rodem gdzieś spod Izabelina, był dobrym Białorusinem, przyzwoitym skromnym człowiekiem, bardzo ubogim, wycieńczonym więzieniem i chyba schorowanym. U praskich działaczy był jakby na posyłki i niezmiennie im sekretarzował. Mieszkał u dobrych Czechów, a jego gospodyni kochała go, jak tylko kochać potrafi mężczyznę czyste oddane kobiece serce. Miałam z nim wspólne troski, na przykład organizowanie koncertów Zabejdy w Pradze: żeby sala była najlepsza i żeby widownia była pełna, i żeby była reklama, i prasa, i pieniądz, i laury. Nabiegaliśmy się solidnie i wspaniały głos maestra działał na nas jak podnieta, żeby sam koncert wypadł jak najlepiej. Bo pierwszy koncert, który

Zabejda-Sumicki dawał w słynnej czeskiej sali Teatru im. Bedřicha Smetany, był tak bardzo deficytowy, że nic nie mogliśmy dać śpiewakowi, oprócz reklamy i sławy, bo w Pradze go jeszcze nie znano. Długo jeszcze śpiewak nie mógł nam tego darować. Z Piotrem[129] żyliśmy po bratersku, bardzo szczerzy względem siebie i zawsze się za nim wstawiałam, choć czy on mi odpłacał tym samym, raczej powątpiewam… Aż tak przyzwoity to on nie był.

Żuk, który także bywał u nas, znany był jako komunista, czego nie krył przed nami. On chciał żyć, żeby doczekać się komunizmu. Nam nic do tego, myśmy są demokraci, którzy szanują przekonania innych i tylko żądaliśmy, by inni szanowali nasze. Gdy bywał głodny, podkarmialiśmy go, gdy go Niemcy aresztowali, ratowaliśmy go. Za to on, gdy mnie wykradano z Pragi, prowadzał kagebistów po czeskich mieszkaniach, by mnie znaleźć i wydać. To mu się nie udało. Gdyby nas schwytano wtedy, w 1945 roku, zapewne dawno byśmy już nie żyli… Przyszedł później do nas i śmiertelnie nas przeraził, ale pokazałam mu drzwi. Kto sprzeniewierzył się przyjaźni, ten nie ma wstępu do skromnego naszego domu. Powiadają, że wdzięczność jest miarą kultury człowieka i jest w tym prawda.

Z Paryża przeniósł się do Berlina Mikoła Abramczyk[130] i bardzo podźwignął poziom roboty białoruskiej w Niemczech. Organizował swoich, bronił przed szykanami ze strony Niemców i dopomagał im jak mógł. Widać było, że troszczy się o swoich. Ci, którzy go znali, wypowiadali się o nim z entuzjazmem. Kiedyś też przyjechał do Pragi, do Rusaka, i jak zwykle odwiedzili mnie. Mikoła był średniego wzrostu, szatyn, twarz zdradzała inteligencję, co znajdywało potwierdzenie w rozmowie z nim. Zdawało się, że ten człowiek nie ma słabości i wie, czego chce. O sprawie białoruskiej i Białorusinach nie umiał spokojnie mówić, żył tym. Był człowiekiem czynu. Cenił mnie. To wrażenie utwierdziło się, gdyśmy się poznali bliżej. Gdy odwiedził mnie następnego dnia, długo i szczerze rozmawialiśmy. Imponował mi zakres jego zainteresowań i to, że trafnie przewidział wynik wojny (a był to rok 1942) i już wtedy myślał o tysiącach naszych, wywiezionych na roboty do Niemiec czy jeńców z wojska polskiego. Przyjechał do mnie w związku z mającą się ukazać moją książką. Nic nie wiedziałam o wydawaniu książki, bo finansował ją Komitet. Sporządziliśmy umowę, że należy mi się 50% od czystego zysku za książkę oraz 50 egzemplarzy autorskich. Posłuchałam go i podpisałam umowę. Później się okazało, że autorowi w Europie Zachodniej przypada tylko 15% czystego dochodu z książki. Gdy nie chciałam wziąć za książkę pieniędzy, bo za swe wiersze nigdy ich nie brałam, Mikoła do mnie powiedział:

„A myśmy właśnie to przewidzieli, że jesteś osobą niemożliwą, więc „spętaliśmy" ciebie umową". A jednak ja i tak całej należności nie wzięłam, bo uważałam, że wszyscy powinniśmy pracować dla ludu bez wynagrodzeń. Miałam męża, miałam chleb i tego nam wystarczyło. Mieć możliwość pracy na rzecz kultury swego narodu – to już wielka wartość sama w sobie, a wspieranie jego odrodzenia jest jak modlitwa do Najwyższego, który obdarza nas mądrością i mocą dla podniesienia go z kolan. Niedobra matka jedynego syna, która nie potrafiła zapewnić mu właściwego wychowania, zabezpieczyć go na przyszłość, więc padł ofiarą płomiennego patriotyzmu rodziców. Był głodny i ludzie nie zawsze go nakarmili, ale często krzywdzili. Nie, ludzie poświęcający się zmaganiu za naród nie mają prawa mieć rodziny, by nie unieszczęśliwiać swych dzieci…

A biedny wujaszek Wasil leżał w szpitalu gruźliczym za Pragą. Wybraliśmy się do niego wszyscy razem. Był rad, zwłaszcza że Mikoła miał mu wiele do powiedzenia. Ja go pocieszałam, że wiosną będzie mi dyktować, a ja wszystko zapiszę… Wujaszek spojrzał na mnie smutno i powiedział, że wiosną będzie już spać pod trawką i ja tam przyjdę do niego. Wracaliśmy do domu na piechotę, w zadumie…

Z czeskim wydawnictwem porozumieliśmy się, że wydamy białoruskie pocztówki. Nie łatwo to było zrobić w wojennym czasie, ale to znów było jak cud: Czesi nie umieli niczego mi odmówić. Tym sposobem świat ujrzało 12 pięknych widokówek naszej przyrody. My, wszyscy Słowianie, wspieraliśmy się nawzajem milcząco, choć nigdyśmy nie popierali wydawnictw z tematyką proniemiecką, czego u nas, u Białorusinów, w ogóle nie było. Nie należymy do narodów szeroko znanych, więc i nikt się nam specjalnie nie przyglądał. Przyjrzeli się dopiero wtedy, gdy wyszła moja książka. Dopiero to się nie spodobało. Do Pragi przyjechał Jermaczenka, wywołał mnie i kazał zbierać się do drogi, do Mińska! Jego goście, funkcjonariusze gestapo, pytali mnie z kim współpracuję, że wydałam książkę, w której nie ma nic o Hitlerze, o Göringu[131], o Nowej Europie. Odparłam (dosłownie), że mam za mały talent, bym mogła pisać o tak wysoko postawionych osobistościach. Że z nikim nie współpracuję. Wtedy mi powiedziano: „Kto nie z nami, ten przeciw nam". Jermaczenka odniósł się do mnie bardzo brutalnie i uprzedził mnie, że mogę wybierać tylko Oświęcim lub Mińsk. Gdy zapytałam, co ja tam miałabym robić, odparł: „Propaganda machen" (uprawiać propagandę). Mówię im, że jestem gospodynią domową i propagandy uprawiać nie potrafię. „Nam potrzebne jest tylko pani nazwisko" – odpowiedział mi na to Niemiec.

Co miałam począć? Listy do męża szły długo, poddawane ostrej cenzurze. Jeszcze jesienią ledwie się wywinęłam z kolejnej pułapki. Mąż przysłał zaproszenie, żebym przyjechała do niego w gości. Zauważyłam, że tym są żywo zainteresowani Jermaczenka i jego żona. Jermaczenka niezbyt przychylnie wypowiadał się o mężu. Nie podobało mu się, że mąż, wedle jego słów, za dużo gada i pisze do domu rzeczy niepotrzebne. Co on takiego pisał – już nie pamiętam. Jermaczenkowie jednym głosem przekonywali mnie o niewierności męża i żebym niezwłocznie jechała do niego, by ratować swoją rodzinę. Mówili mi, że mąż po prostu założył sobie harem! Wiedziałam, że na taką legendę da się nabrać każda ograniczona kobietka: zazdrość oślepia. O haremie, ale Jermaczenki, wieści się przedostały już przez Warszawę do Pragi, więc czemuż to sama Jermaczenkowa nie zbiera się do drogi, tylko mnie wypycha, strasząc na wszelkie sposoby? Pewnego razu, przyjechawszy do Pragi, Jermaczenka wręczył mi list od męża, w którym prosił o czajnik, o leki i inne drobiazgi. Oddając mi list Iwan Abramowicz poprosił mnie, żebym napisała wiersz na jego cześć. Mówię mu, że mogę napisać, owszem, ale tylko pamflet. „Szkoda, szkoda, Łaryso Antonowna, a pani foto stoi u mnie na stoliku". Nigdy mu swego zdjęcia nie dawałam. Kazano mi przynieść wieczorem rzeczy dla męża. Było tam kilka osób i, jak na warunki wojenne, dość wystawna kolacja, kiedy tam przyszłam. Zaproszono więc i mnie. Wypiłam trochę wina i zjadłam kawałek kurczaka z kalafiorem. Zapamiętałam to, ponieważ tej kolacji omal nie przypłaciłam życiem. Rozmowa toczyła się dziwna. Wszyscy oni mówili bardzo nieprzyjaźnie o nieobecnym Bakaczu. Niczego nie mówiono wprost, ale zrodziło się we mnie podejrzenie, że Bakaczowi grozi niebezpieczeństwo. Wyraziłam swoje zdumienie i poprosiłam, by nie szargano imienia tego człowieka… Zrobiło się późno, gdyśmy wyszli od nich. Pewien człowiek, którego nazwiska nie chcę wymieniać, ofiarował się, że mnie odprowadzi do domu. Odrzuciłam ofertę z oburzeniem i ze złości, zapomniawszy o strachu, pobiegłam przez całą Pragę do domu, bo tramwaje już nie chodziły. Przyjaciół, niestety, nie miałam, co pojęłam z wielkim smutkiem. A wujaszek Wasil z panią Kreczewską mieszkali za Pragą.

No więc otrzymuję list od męża, żebym do niego przyjechała. Nie podobało mi się to, ale zaczęłam się zbierać. Realizować wyjazd należało przez gestapo, dokąd zaniosłam konieczne dane. Te papiery i zaświadczenia musiałam kilka razy uzupełniać. Wreszcie po kilku tygodniach, a może później, kazano mi przyjść po paszport. Poszłam z Juraczką. Z synem czułam się bezpieczniej. Do pokoju,

gdzie wokół biurka siedziało pełno ludzi, Juraczki nie wpuszczono. Nastrój był bardzo napięty, przyglądano mi się ze wszystkich stron. Wreszcie powiedziano mi, że dają mi pozwolenie na wyjazd do Słonimia[132], dokąd już został przeniesiony z kliniki na stanowisko lekarza obwodowego, ale tylko w jedną stronę. Powiedziałam otwarcie, że to nie wchodzi w rachubę, że na takich warunkach nie pojadę. Odpowiedziano mi brutalnie, że niepotrzebnie zawracałam im głowę, i że tam na miejscu otrzymam zgodę na powrót. Za drzwiami czekało na mnie moje dziecko i oddech mi odjęło, gdy uświadomiłam sobie, dokąd zaprowadziłam ze sobą tego mego maleńkiego obrońcę.

Nazajutrz wysłałam telegram do rodziców męża w Zelwie z pytaniem, co mam robić? Oni odtelefonowali do Janaczki i depeszowali do mnie, żebym na takich warunkach nigdzie nie jechała. Uważałam, że mi poszczęściło, że wymknęłam się z kolejnej pułapki. Boże mój! Co by to było? Jak żeśmy później uściślili, to w tym właśnie czasie, gdy mieliśmy przyjechać z Juraczką do Słonimia, tam była straszliwa obława, gdzie nie pytano, kto jest skąd, a po prostu zabijano, wszystkich, kto się nawinął. Wtedy zginęła żona Eliasza Lewczyka[133]. A po tamtej kolacji u Jermaczenki chwyciły mnie straszne wymioty, żółtaczka i słabość. Ledwie mnie odratowano płukaniem żołądka. Kilka dni nie wstawałam z łóżka, no i masz ci los, oto co mnie spotyka!… Być poetą to znaczy nie tylko zaznawać miłości zniewolonych ziomków, ale i zemsty ze strony silnych wrogów naszej ziemi i wolności. Przypomniał mi się w tym miejscu śledczy Kogan z Mińska z lat znacznie późniejszych, który czynił mi wyrzuty, że nie przyjechałam za okupacji do Mińska, że mogłam dopomóc partyzantom. Nic bym im nie pomogła, poeci nie zabijają, poeci nie przebaczają krwi przelanej niewinnie…

Bardzo przyjaźnie odnieśli się do mych trosk Piperowie. Odrzucali stanowczo wszelkie pomysły o opuszczaniu Pragi. I oto znowu zmusza się mnie do wyjazdu. O co im idzie? Jermaczenka miał wielkie bogate apartamenty w centrum Pragi. Sam on nie pracował, jego gabinet prowadził jakiś Rosjanin, a przy drzwiach stał okropny wykidajło, który jeśli ci nie otworzył, to żadną miarą nie wyszedłeś na zewnątrz. Było to zagadką dla wszystkich. Jermaczenka wyznaczył dzień i godzinę gotowości do wyjazdu z nim. Posłałam telegram do Abramczyka, żeby mnie ratował. A sama poszłam z prośbą do Piperów, którzy bardzo się moim losem przejęli. Co przedsięwziął w tej sprawie Piper, nie wiem, ale powiedział mi, żebym, zanim udam się do Jermaczenki, poszła do gestapo i zapytała, dlaczego, skoro zabrano mi męża, grozi mi się Oświęcimiem. Więcej mam nie mówić ani

słowa. Tak też zrobiłam. Powiedziano mi, że mnie nie wyślą do Oświęcimia, a jeśli nie chcę, to nikt mnie nie musi siłą wieźć również do Mińska… A ja jak cebulka włożyłam na siebie trzy komplety bielizny, dziecko oddałam znajomym Ukraińcom i byłam już gotowa iść na stracenie. Wprost nie wierzyłam, że mnie wypuszczono. Ale do Jermaczenki poszłam! Wchodzę. Wykidajło mnie wpuszcza. Zawsze demonstracyjnie uprzejmy Jermaczenka zwrócił się do mnie opryskliwie jak do swej niewolnicy, nie zapraszając mnie do środka, ani żebym usiadła. Spytał tylko, czy jadę z dzieckiem. Wtedy mu wygarnęłam, co wiedziałam. Pociągnął mnie za rękę do pokoju, twarz mu się zmieniła do niepoznania! „Czegóż człowiek nie robi dla ojczyzny! Wołałem panią dla niej właśnie. Padnę przed panią na kolana i będę prosić, żebyśmy pojechali do Mińska, zrobię Janka ministrem ochrony zdrowia, tylko niech pani jedzie do Mińska". – „Pan nie jest człowiekiem. Pan jest kameleonem, pan jest zdrajcą! Zginie pan razem ze swymi Niemcami, które już trzeszczą!". Nie ustępował: „Jeśli Niemcy przegrają, zawiozę panią do Szwecji, zapewnię dostatek, tylko jedźmy!". Ale heca! Cóż to za podlec! Ach, jak ciężko jest pisać dla Ojczyzny, co będzie dalej? A dalej doktor Piper chciał pisać skargę na niego, że prześladuje rodziny ludzi, skierowanych do pracy na Wschodzie. Prosiłam go, żeby tego nie czynił. Nigdy się nie mściłam, chociaż drogo za to zapłaciłam. Jeszcze gorzej było z mężem i z Juraczką. Modliłam się tylko do Boga, żeby uratował nas, biednych, z tego wiru wojny. Jedyną wielką nadzieją i wsparciem dla mnie był mój maleńki synek, taki dobry, taki śmiały.

A tymczasem w Bohnicach za Pragą, w sanatorium dla ciężko chorych na gruźlicę dożywał swych lat Wasil Iwanawicz Zacharka, minister finansów i zastępca przewodniczącego Rady BRL. Ledwie od niego wróciłam, jak za parę dni otrzymałam kartkę pocztową zapryskaną krwią. Prosił mnie: „Córeńko, przyjeżdżaj prędko" itd. Powróciła właśnie pani Kreczewska, która powiedziała mi, że wujaszek jest bardzo słaby, że krew mu się gardłem rzuciła i chce widzieć mnie niezwłocznie. Wujaszek już dawno prosił mnie, żebym częściej go odwiedzała. Bał się innych ludzi, nie chciał nikogo widzieć.

Wujaszek był przykryty swoją kołdrą, której biała powłoczka była cała we krwi. Powiedział do mnie, że zbliża się koniec jego życia, że on był jednym z twórców aktu 25 Marca 1918 roku[134], po śmierci P. Kreczewskiego jest Przewodniczącym BRL i, jako wybrany przez naród członek rządu, odchodząc, pragnie przekazać swe pełnomocnictwa w ręce godnego człowieka. Co mam zrobić? Nie ma takiego człowieka, jest tylko taka kobieta, a kobieta nie może być prezydentem.

Cóż, był to rok 1943… Nie, mówię, nie wolno tak postąpić, nie wolno idei niepodległości naszego narodu zabrać do grobu! „Nie wierzę nikomu, córeńko, jest wielu ludzi, ale każdy się na kogoś orientuje, a tu trzeba być wiernym tylko narodowi. Na to stanowisko mógłbym postawić tylko ciebie, gdybyś nie była kobietą". Wtedy zaproponowałam Abramczyka. Długo przekonywałam wujaszka do powagi i dalekowzroczności tego człowieka, i jego miłości do Białorusi. Nie powiedziałam tylko, że Mikoła jest trochę za miękki, za dobry, żeby stawać do takich zmagań. Mikoła znał języki, bardzo dobrze się orientował w polityce, nienawidził Niemców, umiał wykorzystać każdą okazję, żeby tylko zrobić coś pożytecznego dla Białorusi. Wujaszek poprosił, żebym podała mu papier. Poprawiłam mu poduszkę. Siadł i zaczął pisać testament, który prosił przepisać w trzech egzemplarzach na maszynie i nazajutrz mu przynieść. Pani Kosacz-Szymanowska, siostra Łesi Ukrainki, pięknie przepisała mi ten testament i następnego dnia wujaszek Wasil podpisał egzemplarze, poprawiwszy jeszcze drobne pomyłki. W testamencie Mikoła Abramczyk został mianowany Prezydentem Białoruskiej Republiki Ludowej, a Łarysa Geniusz – Sekretarzem Generalnym BRL. Na oboje nas przechodziło archiwum BRL, które znajdowało się w mieszkaniu wujaszka Wasila. Niezwłocznie nadałam telegram do Mikoły, żeby przyjechał do Pragi. Nie puszczano go. Nie puszczono i po następnym telegramie. Wujaszek wiedział, że personel medyczny był przekupiony, żeby natychmiast powiadomić o jego śmierci. Wujaszek Wasil dożywał swych lat w wiecznym strachu przed gestapo, bardzo się bojąc obozu śmierci. Nawet wręczając mnie i Mikole testament prosił nas, byśmy nie podejmowali żadnych działań za jego życia. Bał się, żebyśmy, mając takie pełnomocnictwa, nie utworzyli na Białorusi partyzantki narodowej. Z początku zresztą myśleliśmy o tym, ale później doszliśmy do wniosku, że pociągnęłoby to za sobą jedynie fizyczne wyniszczenie naszego ludu. Szkoda nam było na gesty krwi białoruskiej. Sytuacja polityczna rysowała się tak, że należało się dobrze rozglądać, gdzie, dokąd i jak stąpnąć, by nie zaszkodzić sprawie. A póki co należało ratować i wywieźć z Pragi białoruskie archiwum państwowe[135], by go nie przejęli Niemcy. Aktu obwieszczenia niepodległości w archiwum już, niestety, nie było. Były porozumienia z Litwinami, z Halicką Republiką Ukraińską, a także teczki z archiwami ministerstw BRL i innymi ważnymi dokumentami. Byłam rada choćby tylko z tego, że Mikoła zdążył jeszcze zobaczyć się z wujaszkiem i z jego własnych rąk odebrać ten dokument. Pierwszy egzemplarz otrzymałam ja, drugi Mikoła, a trzeci wujaszek Wasil zostawił sobie. Nikt o tym nic nie

wiedział. Wszystko robiliśmy bez świadków. W Mińsku już istniała Centralna Rada[136], a to był jak gdyby drugi rząd, opozycyjny. Było to wbrew woli także Niemców, którym demokratyczna BRL nie mogła i nie chciała, bardzo nie chciała się podporządkować. Dawali wujaszkowi duże pieniądze, żeby wystąpił w imieniu BRL. Odpowiedział im: „To dla mnie za duże pieniądze, ale za małe jak dla mego narodu". I tak żył ze skąpą pomocą Czeskiego Czerwonego Krzyża. Potrafił sobie wszystkiego odmówić. Pastuszek w dzieciństwie, przeszedłszy we wczesnej ubogiej młodości gruźlicę, dobiwszy się o własnych siłach jakiej takiej egzystencji, nie myśląc o niej rzucił się w wir walki o wolność swego ludu i pozostał do końca wierny sprawie i uczciwy. To właśnie było najstraszniejsze dla Stalina, który już pokazał w 1937 roku, a i wcześniej też, co ma zamiar zrobić z Białorusią. Nie bez kozery mówiono mi w trakcie śledztwa, że polowanie na mnie rozpoczęło się właśnie w 1943 roku. Czułam to, wiedziałam, dlaczego pragną mnie dostarczyć do Mińska i bardzo bałam się Jermaczenki. Gdyby trzymał tylko z samymi Niemcami, dawno by już wydał im Wolfsonów – rozważałam, ale też wiedziałam, że on jest wrogiem Czechów i demokracji. Liczył bardzo na wujaszkowy testament, ale wujaszek już się go nie bał. Wujaszek umierał. Wasil Rusak także na to samo liczył, ale wujaszek i jemu nie dowierzał. Nie podobał mu się też i Kastuś Jezowitow[137], członek rządu BRL, który mieszkał w Rydze. Zaczął się skłaniać ku Niemcom, choć nie szczerze, a z wyrachowania. Wujaszek nawet tego ścierpieć nie mógł. Powiedział do mnie: „Jezowitow jest jak generalska kobyła, zawsze chce być pierwszy", a tu trzeba umieć być nawet ostatnim. Przyjdzie czas i będziemy pierwsi, jeśli nie my, to nasi potomkowie, na wolnej ziemi ojców naszych. Ten czas przyjdzie!!! Najbardziej bałam się ciosu ze strony Jermaczenki, to była przewrotna sztuka, a przy tym miał w ręku mego męża. Prosiłam Boga, by dał mi siły, żebym była mocnym człowiekiem w najtrudniejszych okolicznościach życia.

Spakowaliśmy z Mikołą parę walizek naszego archiwum państwowego, które on powiózł do siebie z myślą o przerzuceniu ich do Francji. Nie wiem do dziś, czy i jak mu się to udało. To archiwum bardzo chciał mi wyrwać z serca Canawa[138], który znacznie później postawił mnie przed groźbą śmierci. Cóż: „Bez woli Bożej włos mi z głowy nie spadnie, więc nie boję się was!" – ledwie trzymając się na nogach z głodu, chorób, przesłuchań i ponad rocznego więzienia godnie i spokojnie mówiłam. A w oczy mi zaglądało okrucieństwo moich prześladowców i śmierć.

A póki co odchodził w noc Mikoła Abramczyk z walizami, a ja myślałam z trwogą o losie chorego wujaszka Wasila, naszego archiwum, o losach naszego

narodu. Wujaszek gasł z każdym dniem. Odwiedziłam go w niedzielę 13 marca 1943 roku. Zauważyłam, że przeniesiono go na oddział najciężej chorych. Leżał zżółkły i słaby. Chciał, żeby podać mu basen. Poprosiłam, żeby się nie wstydził, ale mało na co już reagował. Prosił tylko, żebym nie odchodziła nazbyt śpiesznie, żebym przysiadła przy nim na trochę. Oddał mi swój egzemplarz testamentu. Poprosił, bym zachowała dla siebie jego zegarek. Obiecałam mu to. Pożegnałam się z nim.

Gdy nazajutrz poszłam do szpitala, wujaszek Wasil już nie żył. Ręce mi opadły. Wokół mnie działy się niepojęte rzeczy. Otrzymałam zagadkowy list od niejakiej Engelhart z poleceniem, żebym się stawiła wieczorem na ulicy Filipa de Monte, grożąc mi, jeśli nie przyjdę. (Jak się później okazało, była to aferzystka.) Podchodzili na ulicy do mnie jacyś ludzie… Wszystko było niesamowite. Musiałam wszystko wytrzymać, żeby godnie pochować wujaszka Wasila. Następnego dnia załatwiłam formalności w zakładzie pogrzebowym. Czesi z wyjątkową przychylnością dali zmarłemu trumnę metalową, co w czasie wojny było ewenementem. Pomyślałam sobie, że kiedyś pozbieramy wszystkich swoich żywych i umarłych i przewieziemy do swego białoruskiego domu, który będzie dla nas wszystkich naszym narodowym, ojcowskim, ukochanym domem. Kiedyś, kiedyś… A tymczasem beczałam i szykowałam się na pogrzeb. Samotna jak palec. Żeby chociaż był przy mnie mój Janaczka!..

Następnego dnia przyjechali z Berlina Mikoła Abramczyk i Staś Hrynkiewicz[139]. Przyszła pani Kreczewska i było mi już lżej. Stasia znałam z listów. Pisywał do mnie z obozu dla polskich jeńców wojennych, gdzie przebywał razem z kuzynem męża, do którego pisywaliśmy, posyłaliśmy książki, czasem paczki. Był to dobry Białorusin, polski oficer, niedokończony lekarz. Jego patriotyzm, inteligencja i maniery, a do tego białoruska szczerość ujmowały mnie.

Ustalono godzinę pogrzebu. Przewieziono ciało Zmarłego na Cmentarz Olszański do prawosławnej kaplicy. Chociaż wniosłam dodatkową opłatę za ogolenie nieboszczyka, niestety, tu zostałam oszukana. Ludzi na pogrzeb przybyło bardzo dużo. Było dużo wieńców. Trzymałam się. Juraczkę prowadziła pani Jadzia, pewna moja znajoma. Chłopczyk jak gdyby rozumiał całą powagę chwili, był spokojny, zadumany. Dobrze celebrował nabożeństwo ojciec Isakij[140], Rosjanin, bardzo dobry człowiek i kapłan. Gdy rozpoczął słowo ostatniego pożegnania i nawiązał do losów Białorusi i doli Zmarłego, to mówił tak, jakby sam był z naszego narodu. Wtedy już nie wytrzymałam. Podcięło mi nogi. Wyprowadzono mnie. Niechaj Miłosierny Bóg zmiłuje się nad tym dobrym kapłanem.

Robiono dużo zdjęć z pogrzebu, a gdy już wszyscy się rozeszli, Staś Hrynkiewicz pobiegł jeszcze po fotografa i sfotografowano mnie już przy mogiłach. Wujaszek Wasil został pochowany obok swej żony Paliny z Lautów, bo miejsce było z góry zakupione i obliczone na dwa groby. Stał tam już pomnik z rzeźbionym znakiem Pogoni. Do pomnika później przymocowano tablicę z imieniem i nazwiskiem Zmarłego. Nie wolno było ujawnić jego tytułu. Również wtedy nie uznawano niepodległej Białoruskiej Republiki Ludowej. Hitler i jego generałowie i gauleiterzy budowali tzw. Nową Europę z tysiącletnią rzeszą, w której Białorusinom przeznaczano jedynie los niewolników, jak zresztą i wszystkim Słowianom. Przyjmując słowa współczucia od Czechów i emigrantów różnych narodowości miałam świadomość, że odszedł od nas wielki człowiek, który jak tylko mógł, tak uczciwie wobec swego narodu reprezentował naszą Ojczyznę za granicą. Równie ciepłymi słowami pożegnał Zmarłego Gajda[141], poseł czeski w Litwie w czasach pobytu tam władz BRL. Był i pozostał zawsze wiernym przyjacielem Białorusinów i osobiście wujaszka Wasila.

Wiele lat później, podczas niewyobrażalnie szalonej zamieci na Incie podeszła do mnie Estonka i zaczęła wychwalać z przejęciem wujaszka Wasila Zacharkę. Znała go. Jej rodzona ciotka, Estonka, była żoną czeskiego konsula Gajdy. Rodziny przyjaźniły się ze sobą i ta młoda kobieta nie raz bywała w gościnie u wujaszka Wasila podczas swych pobytów w Pradze

Tak więc 14 marca 1943 roku odszedł od nas Wasil Zacharka. Myśmy pozostali po nim. Ja, prosta dziewczyna, prawie wiejska, której jedyną bronią była niewypowiedzianie wielka miłość do Białorusi, uczciwość życiowa i mój talent. Mikoła znał języki, dobrze orientował się w polityce i miał już doświadczenie w zmaganiach o Białoruś. Wszyscy bardzo chcieli wiedzieć, kto obejmie urząd po wujaszku Wasilu. Na razie milczeliśmy. Ciarki biegły mi po skórze, gdy na myśl przychodził Jermaczenka. Nie tylko zresztą on… Na stypę po wujaszku Wasilu przyszło nas wielu, gromadziliśmy się grupkami. Do nas poszliśmy tylko my: pani Kreczewska, Mikoła, Staś i ja. Było nam smutno, ale przecież w ciasnej, swojskiej białoruskiej rodzince. Mieliśmy do siebie zaufanie. Pani Kreczewska przekazała wtedy Mikole białoruski paszport Piotra Antonowicza Kreczewskiego oraz dawny duży artykuł z amerykańskiej gazety (tytułu nie pamiętam) o obwieszczeniu 25 Marca 1918 roku Białoruskiej Republiki Ludowej.

Następnego dnia wszyscy my pojechaliśmy do Modrzanów, gdzie sortowaliśmy i odkładaliśmy to, co trzeba było natychmiast wywieźć z białoruskiego

archiwum wujaszka Wasila. Rzeczy jego osobiste po dezynfekcji oddaliśmy Stasiowi Hrynkiewiczowi. On powiózł je dla Białorusinów, którzy byli wywiezieni do pracy w Niemczech i nie mieli w co się odziać. Tak dogadałam się z wujaszkiem. Nikt nam nie przeszkadzał w sortowaniu archiwum. Na pogrzebie nie było nikogo z Niemców, więc wydawało się, że oni nic nie wiedzą. Odrzucając rzeczy niepotrzebne Mikoła po prostu odsunął pudełeczko od zapałek. Podniosłam je i znalazłam w nim wspaniałe białoruskie znaczki z Pogonią jeszcze z 1918 roku. „Wszystko, czego się dotkniesz, jest błogosławione" – powiedział do mnie Mikoła i dziwnie jakoś spojrzał na mnie. Była wojna, nie było rzeczy, ubrania, obuwia, zaś u wujaszka Wasila były nowe pantofle pasujące Mikole, więc mówię mu: „Weź ty sobie po wujaszku chociaż te pantofle, choć cokolwiek, twoje są podarte". – „A w czym ja gorszy jestem od Ciebie, Łaryso Geniusz, nie widzę żebyś ty sobie cokolwiek wzięła". Tak do mnie powiedział Mikoła, co napełniło mię zaufaniem do niego oraz spokojem co do dalszego biegu naszych spraw. Wszystko, co było najbardziej wartościowe, spakowaliśmy i przywieźliśmy do nas. Tam przepakowaliśmy, żeby odwieźć dalej. W tym momencie przyszedł do nas Zabejda-Sumicki. Nie wpuścić go myśmy nie mogli. Ja w dalszym ciągu stałam na kolanach i pakowałam. Wziąwszy w ręce pieczęć państwową, od razu ją pocałowałam. Ciekawe, że ten właśnie wypadek przypomniał mi w śledztwie śledczy. Może sam Mikoła kiedyś wygadał się o tym…

Przyjaciele odjechali, zabrawszy ze sobą część archiwum, bo bardzośmy się bali i nie bez podstawy, że Niemcy będę na to ostrzyć zęby. A na razie chodziłam jak zaczadziała, myśląc wciąż: jak to będzie dalej? Nie dawało nam to żadnej władzy, ale mieliśmy szczęście przechować przeszłość, fakt i tradycję obwieszczenia naszej niepodległości, co dla każdego narodu jest rzeczą świętą i wielką. Różnie się toczą losy narodów. Są państwa samodzielne, są federacje, ale jak by nie było, mając za sobą taki fakt odczuwaliśmy, że jesteśmy narodem! Nie wolno odbierać, anulować lub zacierać zdarzeń wielkich w życiu ludzi i narodów. Nie wolno zubażać narodów, pozbawiając je ich osiągnięć. Nie, nie oddam przeszłości!

Czas biegł. Wszystko przypominało wujaszka Wasila. Każdy emigrant, każda sprawa, która dotyczyła Białorusi. Teraz dopiero stawało się jasne jak ten cichy i skromny bojownik wysoko trzymał sztandar Białorusi. Nie było do kogo pojechać, nie było z kim się poradzić – tylko na jego mogiłę. Nie było w Pradze więcej ludzi, dla których sprawa białoruska byłaby ważniejsza od osobistych spraw. Wujaszek widział ich na wylot i wiedział, że w razie czego będą to adiutanci, nie

dowódcy i polegać na nich nie można. Czasem myślałam, że nie tych co trzeba przysłał Bronisław Taraszkiewicz, że to nie ci, którzy ofiarnie oddadzą zdobytą wiedzę i życie swe Ojczyźnie. Perspektywy osobistej wygody i dobrobytu dawno już zagłuszyły to, co lepsze, co jeszcze być może odczuwali w młodości. Opowiadano kiedyś, że niejaki Astapkiewicz, ożeniwszy się z Czeszką, myślał teraz tylko ich kategoriami, tak jak Kławsuć, jak lekarka Sidaruk, która żeby nie pojechać na wschód, symulowała chorobę kręgosłupa. To akurat nic takiego, ale kobieta zupełnie zapomniała skąd ona jest i za czyje stypendium uzyskała wykształcenie.

Najbardziej mi się nie podobał malarz Saławiej. Był członkiem Komitetu, jak i wszyscy, ale niechętnie mówił po białorusku, odcinając się tym samym nawet od wiadomości z ojczyzny. Jak na złość, przyjechała do niego później rodzona siostra z Białorusi z mężem i synkiem. On i jego czeska żona nie zrozumieli nieszczęśliwych dobrych ludzi, nawet wtedy, gdy umarł w Pradze na zapalenie opon mózgowych ich jedyny synek i los ich popędził dalej w niewiadome na obczyznę.

Również jakoś z internacjonalistycznym dystansem odnosił się do sprawy białoruskiej Zabejda-Sumicki, który nieraz wymawiał nam, że jedyny artysta Białorusi, jej sława, nie ma nawet własnego samochodu, dopóki Mikoła nie powiedział mu kilka słów o tym, jak należy rozumieć zmaganie za Ojczyznę i w dodatku jeszcze w czasie wojny. Żyło mu się nieźle, cóż więcej my, zniewoleni, mogliśmy mu dać? Ograniczony w swoich osobistych zainteresowaniach, zastraszony i krótkowzroczny politycznie był również mój mąż. Żuk zaś był nam absolutnie wrogi, ale od przyjaźni i siakiego takiego współczucia nie uchylał się. Dziś myślę, że miał wtedy takie zadanie. Bezwolny i krótkowzroczny był również Buśka[142] i nie do końca jakiś rozszyfrowany, nieszczery inżynier Jurka Burak[143]. Powiadają, że najlepsi prascy Białorusini powymierali na suchoty lub powyjeżdżali do Mińska, gdzie również niedługo pożyli.

Aktywny był tylko Jermaczenka, więcej nawet niż należało, ale jego działalność była wyraźnie wodą nie na nasz młyn. Bakacza jakoś szybko i zdecydowanie wyprawiono do pracy w Niemczech. Jego wierna Maria posyłała mu wszystko co można, jej miłość wywoływała szacunek, jej ofiarność, czystość i szczerość uczuć budziły mój podziw. Takiego przyjaciela Bóg daje ludziom nieczęsto, szkoda tylko, że korzystając z przyjaźni kobiety Bakacz nie odpłacał jej tym samym.

Czasem zaglądał do Pragi Wituszka[144], który nie wyrzekał się białoruskości, ale nie w głowie mu było zamienić wysoki materialny poziom życia na krzyżową drogę szczerej walki o Białoruś. To wszystko mniej więcej o tym, co było w Pradze.

Na tym tle cichy i absolutnie nam obcy Żyd Wolfson wiedział doskonale, że muszą przeżyć wojnę i wszystkie jej nieszczęścia on, jego dzieci i my wszyscy. Czasem przychodził do nas i milczał. Młody inżynier Kałosza, chudy, znękany niedawnym brakiem pracy oraz głodem, tym ciężkim głodem, gdy wszystko jest i tylko nie ma grosza w kieszeni, żeby podjeść do syta, ożenił się teraz z Olgą Wierszyniną[145] i gdzieś tam pracował. Nie pamiętam, może nawet gdzieś wyjechał, nie spotykałam go.

Olga Wierszynina była córką jakiegoś bardzo zagadkowego dla mnie człowieka, niewątpliwie Białorusina[146], ale ja go już żywego nie zastałam. Był żonaty z Czeszką, która u jego boku bardzo pomagała w swoim czasie świeżo przybyłym białoruskim studentom w Pradze. Pomagali im jak umieli, podkarmiali, kiedy trzeba, i dla wielu byli jak rodzice. Mówiono, że Wierszynin – to było nie jego własne nazwisko. Później Czesi wydali Kałoszę razem z nami. Nie wiem w jakim stopniu był on zasłużony i gdzie go wysłano. Wiem tylko, że w końcu wrócił do Pragi, ale Oli swojej już nie zastał. Pod presją niepowodzeń odebrała sobie życie. Kto miał dzieci – nie wiem.

Dość poważną figurą wśród praskich Białorusinów był Wasil Rusak, powstaniec słucki. Był to energiczny działacz, szczery Białorusin, ale według mnie, niezbyt lotny. Miał po żonie sklep, w którym handlował i zarabiał nie najgorzej. Miał ładną willę za Pragą i nie miał dzieci. Czasem finansował „Iskry Skaryny" czy coś innego, co przeważnie przygotowywał do druku doktor Hryb. Rusak bardzo lubił być wszędzie na pierwszym planie, co mu się nie zawsze udawało. Mówił czymś na kształt słowiańskiego esperanta. Wielu osobom trochę pomagał, ale mówiono, że każdą pomoc ziomkom zapisywał w specjalnej księdze, by tak rzec, dla porządku. Człek był niezły i niegłupi, ale trochę oryginał. Nie mógł zrozumieć, jak to taki skromny Geniusz, który w swoim czasie nie dorobił się żadnego kapitału, może posiadać wszystkie płyty Zabejdy. Mało, że te płyty, to jeszcze ma taką białoruską żonkę? Po odjeździe Janaczki Rusak zjawił się u mnie z podarunkami, z artykułami spożywczymi. Przyniósł wszystkiego po trochu i bardzo się dziwił, że ja mu za wszystko zapłaciłam i zabroniłam cokolwiek jeszcze przynosić. Różnie kombinował, jak mi dopomóc. Wymyślił, że trzeba mu u mnie przechować artykuły spożywcze, bo Niemcy mogą zrobić rewizję w sklepie. „Nie – powiadam – przyjacielu, nic mi twojego nie potrzeba". Chodziło mu o to, żebym ja mu napisała poemat o nim i przy tym o Powstaniu Słuckim. Nie miałam wtedy czasu nawet posłuchać o tych sprawach, czego dziś żałuję. Rusak miał dobry głos i chętnie

śpiewał w amatorskim zespole operowych artystów czeskich w Pradze. Czesi wydali go gdzieś w 1945 roku i mówi się, że w łagrze go zabito. Razu pewnego w łagrze w Incie ujrzałam pewną kobietą bardzo do niego podobną. Była ze Słucka i, jak się później okazało, to była jego bratanica Kacia Rusak…

Niedaleko za Pragą żył u pana i doił krowy Mikoła Suddziew. Był to dobry prosty chłopiec z armii Bałachowicza. Żył z Czeszką Marzanką, kobietą bardzo pracowitą. Dzieci nie mieli. Suddziew chętnie przyjeżdżał do nas, lgnął do Białorusinów i umiał żyć nieporównanie lepiej od nas wszystkich, oświeconych idealistów. Bardzo mnie lubił. Po wojnie przyjął sowieckie obywatelstwo i przyniósł nam ankiety na nie. Gdy odmówiłam, zauważył z bólem: „Pani będzie wielka po śmierci". Wedle jego praktycznych przewidywań taka postawa nie opłaca się… Każdemu swoje.

Byli też inni Białorusini w Czechach i na Słowacji, ale oni ku nam nie ciążyli: białoruskie perspektywy nie były ponętne. Żeby rzeczywiście coś zrobić dla narodu, należało być przygotowanym na niebezpieczeństwa i całkiem zapomnieć o sobie. Nie każdy się może na to zdobyć, a co gorsza, nie każdemu starczy sił. Czechom było bezpieczniej. Bardzośmy im współczuli, ale im się wydawało, że ich wrogiem są tylko Niemcy, podczas gdy my mamy wrogów więcej, ze strony których groził nam apartheid i myśmy zdawali sobie z tego sprawę. Nasze zmagania nie miały na razie żadnych perspektyw, ale nie bacząc na to my, często poniżeni i pokrzywdzeni, uparcie walczyliśmy o swoje prawa, o ziemię swoich przodków, o mowę swoją poniewieraną, o historię i państwowość. Do takiej walki zdolni byli tylko mocarze. Mieliśmy takich nie mało. A nam było inaczej jak Czechom. Ten sam strach po zamachu na Heydricha[147], ten sam ból, gdy liczyliśmy ich ofiary.

Bez męża moja sytuacja materialna była dość trudna. Rzecz w tym, że doktor Hradil płacił mężowi bardzo niewiele, a żeby było mu jeszcze taniej, do książki pracy męża wpisywał honorarium o połowę mniejsze, wtedy mniej musiał płacić m.in. na kasę chorych. Gdy męża zabrano, to mnie płacono tylko według książki. Hradil wiedział o tym, ale jemu było to obojętne. Na kartki przeżyć było trudno, a dokupić coś już nie miałam za co. Gotówki nie mieliśmy nigdy, bo za dużo było głodnych i w ogóle potrzebujących. Opowiedziałam o wszystkim pani Piper i oni poradzili mi, bym udała się do doktora Wechtera, który był szefem Związku Lekarzy Niemieckich i zarządzał wszystkimi sprawami medycznymi.

Poszłam do niego. Był to mężczyzna w średnim wieku, sympatyczny z wyglądu, z blizną, jak przystało na niemieckiego studenta. Rozmawialiśmy trochę po

czesku, trochę po niemiecku. Powiedziałam mu krótko o wszystkim i że za takie mizerne grosze nie utrzymam się. „A pani Hradilowi mówiła o tym?" – pyta. – „Nie. On sam powinien wiedzieć o tym" – odparłam. – „Ach, nie mówiła pani, no więc to jest fałszywa powściągliwość z pani strony. Ot, co: trzeba Hradila podać do sądu". – „Nie – powiadam. – Gdy mąż nie miał kawałka chleba, on mu dał pracę, chociaż skromną. Niech będę głodna, ale złem za dobro nie odpłacę". Wechtera wywołano. Ja wyszłam. Nieco później Piperowie mi powiedzieli, że według opinii doktora Wechtera, Białorusini to naród szlachetny…

Dopomógł mi jak zwykle doktor Piper. Zwrócił się do Czecha, prymatora, to znaczy do burmistrza miasta Pragi, który podwyższył nieco naszą skromną pensję. Można było żyć. A przy tym nasza sąsiadka, pani Moravcowa, szyła rękawiczki skórzane do sklepu, skąd otrzymywała wykroje. I czasem ja jej pomagałam. Był to szew dekoracyjny i nieźle mi się udawał. To była uboga kobieta, ale jakżeż dobra!

Jura biegał do szkoły i Sawicki[148], dyrektor szkoły, bardzo chciał, żeby on przebywał zawsze z jego synami Nikiem i Wanią, żeby nabierali od niego energii i sprytu. Synek uczył się nadzwyczaj dobrze. W gruncie rzeczy nie uczył się, tylko wykręcał się i rozrabiał, ale gdy pewnego razu pani przeczytała fragment jakiejś ciekawej prozy i kazała mu opowiedzieć, mały powtórzył tekst słowo w słowo, czym niezmiernie zadziwił całą klasę.

Jura był nad podziw pobożny. Jeszcze jako maluszek co rano szukał czegoś pod poduszką, co mu kładł tam aniołek nocą. Aniołek musiał być bardzo kochający i szczodry i dzień zaczynał się radośnie. Gdy niekiedy ten aniołek zapominał coś tam włożyć, chłopczyk miał żal do niego i raz nawet powiedział „kaka aniołek" – brzydki aniołek, ale więcej tego nie powtarzał. Anioł był dobry. Malec był czyścioszkiem i obdarzał litością wszystko, co żyje. Gdy razu pewnego zagubiła mu się jakaś zabawka, ja przychodzę, a on stoi na kolanach i wiedzie rozmowę z dobrym Bozią, żeby pomógł mu odkryć, gdzie może być zguba. To mu później pomogło, samotnemu, udręczonemu życiem młodzieńcowi, zdominować prześladowców, którzy usiłowali zniszczyć go moralnie, dzięki czemu pozostał dobrym człowiekiem. O Jurku, o jego uzdolnieniach i mądrości, krążyły po Pradze anegdoty. Jurka pisał wiersze. Zaś charakter pisma miał okropny. Ale nauczyciel języka czeskiego powiedział mi, że wszyscy wielcy ludzie brzydko piszą…

Ten dobry Czech wielce sobie cenił małego Białorusina, podczas gdy rosyjscy nauczyciele nie wszyscy go lubili i on nie wszystkich lubił. Jedna nauczycielka,

najpewniej monarchistka, oświadczyła w szkole, że żadnej Białorusi nie ma itd. Chłopiec się oburzył i powiedział: „Jestem maleńki, ale potrafię pokazać na mapie, gdzie leży Białoruś, a pani i tego nie wie. To wstyd…”.

Kiedyś powrócił ze szkoły bardzo zamyślony, coś się działo w jego dziecinnym serduszku. W końcu podszedł do mnie i mówi: „Mamuniu, dziś cierpiałem za Białoruś”. Stropiłam się: „Jakim sposobem, synku?”. A sprawa była następująca: nauczyciel, który nie uznawał Białorusi, tylko swoją jedyną i niepodzielną Rosję, rozciągnął chłopca na ławce i solidnie mu przyłożył. Może i była ku temu jakaś tam przyczyna, ale czysta dusza dziecka wiedziała, za co go biją maleńkiego… W czeskiej szkole byłoby inaczej, ale w czasie okupacji obcokrajowców nie przyjmowano do czeskich szkół.

Tak gorzkie losy naszego narodu już od dzieciństwa doskwierały naszej progeniturze. Nie raz jeszcze bito mego chłopczyka za jego białoruskość, znęcając się nad nim fizycznie i moralnie. Biją go jeszcze i dziś. A co będzie z maleńkimi wnukami? Czy im też przyjdzie cierpieć jak nam? Cóż, niech się dzieje wola Boska, tylko niech nie będą gorsi od nas, niech się nie wyrzekają swego białoruskiego, niech będą uczciwymi ludźmi i prawdziwymi synami naszego Narodu!

A mój drogi Rościsław przy pierwszej okazji uciekł do domu. Pomagali mu w tym chłopcy w Berlinie. Przyjechał do Żłobowców. Ziemia tam była już niemiecka. Jak inne majątki, Niemcy zawłaszczyli ją dla swoich bohaterów wojennych. A Grodzieńszczyznę już zawczasu przyłączyli do swoich Prus. Brata póki co zostawiono w charakterze kogoś w rodzaju ekonoma w jego Żłobowcach. Czyli jak na razie nie najgorzej. Rościsław odnalazł samotną babcię Ryhorychę, staruszkę, wdowę po naszym parobku Ryhorze, i wziął ją do siebie zamiast matki. Później dołączyli do niego jacyś chłopcy. Sławaczka przewiózł z Gudziewicz na powrót nasz przeniesiony tam nie wiadomo po co dom i zaczął w nim mieszkać. Ten wyrwidąb kochał mamę jak dziecko. Dla niej, wywiezionej gdzieś do dzikiego Kazachstanu, odbudował ten dom, żeby miała dokąd powrócić ze zsyłki. Ludzie nie mogli uwierzyć, że i po wojnie nie skończy się to nieludzkie znęcanie się nad człowiekiem. To nie mieściło się w głowach mieszkańców starej białoruskiej ziemi. Mówiono, że tak było kiedyś tylko za Tatarów… Ale Tatarzy akurat – to nie było największe nieszczęście w dziejach naszej ziemi. Metody niszczenia ludzi z ich narodową kulturą nie były u nich tak bezwzględne jak dziś… Próżno czekaliśmy z Rościsławem swoich rodziców. Bestie ludzkie dawno już wydały na nich wyrok śmierci. A myśmy się jeszcze łudzili…

Tak jak Czechosłowacja, jak Grodzieńszczyzna, tak i nasza Zelwa, i nasze rodzinne Żłobowce zostały w tej wojnie przez Niemców włączone do Rzeszy. To nam dawało możliwość wzajemnego wspomagania się paczkami. Dzięki temu pomagaliśmy i rodzicom męża, i Rościsławowi. On przewoził na powrót nasz dom, a ja mu posyłałam z Pragi gwoździe i różne żelastwo, zwłaszcza kosy, które były wyjątkowo dobre i ludziom potrzebne. A olbrzym Rościsław zamówił dla siebie wykonanie kosy szerokiej na półtora metra. Gdy on kładł pokos, to trzy kobiety wiązały za nim snopy. Był tak święcie przywiązany do Żłobowców, że nie mógł pojąć jak ja mogę tam nie powrócić. Nie mógł zrozumieć, że obowiązki żony i matki są ważniejsze nad rodzinny kąt…

A ten kąt śnił mi się po nocach. Nie bardzo mu tam było dobrze, temu mojemu jasnowłosemu Rościsławowi, był samotny. Razu pewnego otrzymaliśmy dziwny list. Rościsława prześladował czarny cień. Widywał go często i na podwórku, i w domu. Wraca o zmierzchu z pola – koło niego staje czarny człowiek, westchnie i rozwieje się w powietrzu. Mój mąż, trzeźwy medyk, przeczytawszy ten list doszedł do konkluzji, że Rościsław mógł zobaczyć coś takiego tylko w nietrzeźwym stanie. Tak też bratu odpisałam. Brat, ten czysty jak łza niezepsuty młodzieniec, zaczął teraz, jak pisał, pić i palić z tej niedoli i osamotnienia. Tyle że czarny człowiek ukazywał się wszystkim, kto mieszkał w Żłobowcach: i starej Ryhorysie, i dziewczynie, jaką Sławaczka wziął do pomocy staruszce, i chłopcom, którzy z nim mieszkali. Myśmy z Rościsławem nigdy nie kłamali, uznając to po prostu za niehonorowe. Więc nie mogłam mu nie wierzyć. Jeszcze dzisiaj opowiadają wieśniacy o tym czarnym człowieku, jak po nocach chwytał go za pierś. Brat mi nie wszystko o nim opowiadał, chcąc mi widocznie oszczędzić zmartwień.

Cóż, pewnie to znowu stare rodowe duchy, tak dobrze znane w siedzibach moich antenatów. Może w ciężki przedśmiertny czas nawiedzają swych wiernych potomnych duchy przodków. Jest przecież coś pomiędzy ziemią i niebem. Często do brata pisywałam. Nazywał mnie Złotą Rybką, a to dlatego, że wszystko mu chciałam wysyłać, być we wszystkim pomocna. Czesi mi wszystko dawali: i drzwiczki do płyty, i całą płytę. Aż dziw, jak to wszystko tam dochodziło. A przecież dochodziło!

Gdy raz letnim wieczorem Rościsław z chłopcami wracał znad rzeki, podeszli do nich partyzanci. Zostali zaproszeni do domu, napojeni i nakarmieni. Wtedy przywołali gwizdem towarzyszy, którzy otoczyli Żłobowce, i nie byli pewni, jak brat zareaguje na ich wizytę. Wszak wytoczyli rzekę krwi z naszego rodu

w 1941 roku… Partyzanci zaprzyjaźnili się ze Sławaczką. Zaprowadzili go do tamtego Lucika i chcieli go zabić za to, że podpisał się za wywiezieniem i wydał na poniewierkę naszych rodziców. Ale Rościsław jako chrześcijanin jak ja, poprosił ich wszystkich, żeby wyszli, a gniew i pomstę pozostawili Bogu…

A mama kostniała z zimna i głodu w Kazachstanie, dopalało się jej życie, Arkadź i Alaksiej walczyli u Andersa. Maleńka Lusia doroślała przy kazachskich owcach, a Ksienia i Nina najmniej myślały o chorej matce. Gdzieś tam, nie bardzo nawet wiadomo gdzie, bodaj czy nie w grodzieńskiej turmie, błagała wielkim głosem o pomstę niewinnie przelana krew taty, ale myśmy z Rościsławem nie mścili się. Nie lubiliśmy swych wrogów, aż tak dalece chrześcijanami nie byliśmy, ale pomagaliśmy im w ciężkich chwilach, może trochę licząc na to, że dobrem uczłowieczymy nieco ich dusze, a może i na nic nie licząc, po prostu nie umieliśmy czynić zła.

Dowódca tego niewielkiego oddziału partyzanckiego koło Wołpy, niejaki Misza, ze swymi chłopcami, bardzo sobie upodobał gościnę u Rościsława. Obaj razem obmyśliwali operacje, bardzo przy tym dbając o to, żeby nie cierpieli mieszkańcy. Nieco później przegadaliśmy z bratem całą noc. To było w Zelwie. Rościsław zapraszał mnie do Złobowców, ale tam mnie nie puszczono. Zapewniał, że partyzanci byliby radzi spotkać się ze mną, i wtedy właśnie zaczął mi o nich opowiadać. Zapytałam, czy nie rąbnął go niemiecki komisarz? Poprosił mnie, żebym go nigdy więcej o to nie zapytała. Powiedział też, że mama musi żyć, a on musi się jej doczekać.

A tamten komisarz był wcześniej w Zelwie, był to, jak mówiono, Niemiec z Polski, miał jedną rękę i psa, którego chętnie szczuł na ludzi. W Zelwie wieszał Żydów, bił Białorusinów i kochał Polki. Mówił mi Sławaczka, że nauczyciel z Zelwy Fajkowski jest tłumaczem u niego, więc ma już całkiem przekrzywioną twarz i wybitą z zawiasów szczękę od bicia tego komisarza. A siedemnastoletnią dziewczynę poszczuł psem, który tak ją pogryzł, że skonała… „Czemuż nie zabijecie gada?" – pytam. „Nie wolno, Złota Rybko. Stu naszych ludzi by zabili. Musimy chronić wioskę". Mówił, że jednego takiego dopadli w lasku na konnym spacerze, to padł gad na kolana i krzyczał: ja byłem dobry, ja byłem dobry! Dali mu tylko wycisk, pewnie także w trosce o wieś. Tamten Misza, widać, niegłupi był chłop. Ożenił się był z dziewczyną z wioski Połówki, po sąsiedzku z nami, i zmarł po wojnie na suchoty…

Dzięki znajomości niemieckiego Rościsław dużo komu pomógł. Żył spokojnie, bo ludzie go lubili, ale pod koniec przyszli jacyś dalecy nieznani partyzanci

i omal go nie zabili. Nie chciał jechać do nas, do Pragi. Kochał matkę i czekał na nią, zapewniając mnie, że bolszewicy się zmienili i już przestali nękać i wyniszczać ludzi. Matka, matka i matka…

W Krasnym Hrudzie miałam siostrę cioteczną[149], co była za Kalinowskim. Rościsław bywał u nich i do nich przewiózł swoje rzeczy, kiedy w 1944 roku szedł do sowieckiej armii. Najpierw się chował, bo chciał jechać szukać naszej mamy, ale ta nasza siostra go wydała. Rościsław zginął 28 kwietnia 1945 roku i pochowany został gdzieś w rejonie Barnim w Niemczech.

Znacznie później Nina prosiła mnie, żebym przestała myśleć o Białorusi, bo oni wyniszczą cała naszą rodzinę. Zabili już mego tatę, zadręczyli świadomie mamę, otruli siostrzyczkę Lusię w 1952 roku we Wrocławiu, wykończyli moralnie i fizycznie Jurkę, a pod koniec wojny sowiecki oficer zabił strzałem w skroń brata Rościsława, mówiąc: „Twoja siostra pisarka jest przeciwko nam, a tyś kułacki syn…". Tej informacji nie zdołałam sprawdzić, ale sadząc po tym, jak oni niszczyli ludzi, a w szczególności naszą rodzinę, jest to całkiem prawdopodobne. Czegoś takiego nie robili nawet hitlerowcy, zwłaszcza z ludźmi swoimi. Mój wysoki, mój jasny, mój kochany młody brat… Zapytuję tylko Boga – za co?

Parę lat temu w Wołpie podszedł do mnie człowiek. Powiedział mi, że w wojsku chłopcy z Daniłowców[150] namawiali Rościsława do ucieczki spod Berlina, ale odmówił. Powiedział, że w domu są Papieniukowie i inni, którym on zrobił wiele dobrego i teraz oni przysługują mu się tym, że bolszewicy go prześladują… Pozostawmy i to Panu Bogu… Jesteśmy z Rościsławem jak dzieci i na razie to jest nasz krzyż.

Po powrocie z łagru byliśmy bardzo biedni, prawie nędzarze. Na prośbę Janaczki pojechałam do tej swojej siostry Leny w Krasnym Hrudzie. Sławaczka pisał mi, że przewiózł do niej również moją maszynę do szycia Singer. Miał do nas po długiej rozłące przyjechać nasz syn. Chcieliśmy sprzedać maszynę, żeby go trochę lepiej podjąć. W Wołpie spotkali mnie nasi wieśniacy, zaprowadzili do wsi, brygadzista dał konia i człowieka. Pojechaliśmy do Krasnego Hrudu. Siostra moja siedziała pod jabłonią, a przed nią leżały stosy jabłek, którymi mnie częstowała. Bardzo się dziwiła, że ja dobrze wyglądam, a ona taka chora i chodzi na zastrzyki. Zaczęła narzekać, że jest taka biedna, więc upewniłam ją, że o nic ją prosić nie zamierzam. „A cóż ty masz?" – pyta mnie. „Mam syna, mam męża, a to jest wielki skarb!" – odpowiedziałam siostrze. I zapytałam wtedy o swoją maszynę. O ubraniach brata nie mówiłam, bo ona je przerobiła dla swych synów. Siostra wyraziła gotowość zwrócenia mi maszyny, ale tylko wtedy, gdy dam jej 600 rubli

(było to przed reformą), bo ona dała memu bratu, którego wydała, dwa kilogramy słoniny i 500 rubli gotówką, więc mam jej to zwrócić, bo inaczej nie mamy o czym mówić… Wtedy wieśniak, który był ze mną, mówi jej: „Kiedy pani dawała Rościsławowi pieniądze, pud żyta kosztował 500 rubli. Ja dam pani teraz dwa pudy żyta, tylko proszę oddać Łaraczce jej maszynę". Nie oddała. Przypomniało mi się, jak do Pragi w czasie wojny przyjechała jej rodzona siostra z rodziną, z mężem batiuszką Łapickim[151] i dziećmi, i jak staraliśmy się zrobić dla nich wszystko, co było możliwe, ale nie powiedziałam tego. Człowiek, który mnie przywiózł, chciał rzucić okiem na maszynę, więc poszliśmy do byłego pałacu, w którym mieszkała moja siostra. Parkiet lśnił, zieleniały pluszowe meble, bił ze wszystkiego w oczy wielki dostatek. „To mi ludzie przechowali" – tłumaczyła się skąpa do podłości sknera siostra. A wieśniak mówi do niej: „No właśnie! Widzi pani, pani rzeczy przechowano, a tu za cudzą maszynę żąda pani pieniędzy od osoby która ich nie ma, ledwie na drogę…". Moja maszyna stała poraniona kulą i granatem. Przeżyła nas. Pogłaskałam ją ręką i poszliśmy. W tym momencie siostra wprost wpadła w histerię, jej córka zaczęła płakać, żebym u nich została, syn przyniósł już gorzałkę. „Nie – powiedziałam. – Z takimi ludźmi ja się chlebem nie przełamię". I wyszłam. Siostra dziwiła się, jak mnie, panią, jeszcze wożą wieśniacy, a oni wozili mnie może trochę obawiając się przewodniczącego, ale wozili. Całą drogę powrotną bolało mnie serce i tę podróż wspominam ze strachem. To była rodzona córka zamęczonej w 1941 roku siostry taty, cioci Mani…

Ludzie zdziczeli, wyrywają jeden drugiemu ubogie łachmany i rzeczy stare. Wypłynęło z człowieka na powierzchnię co najgorsze. Każdy odruch szlachetności w środowisku bolszewickim uchodzi za „przesąd burżuazyjny", jest czymś tak nienormalnym, jak kiedyś podłość. Wartość człowieka mierzy się nie jego czynami, świadectwem życia, lecz ową schizofreniczną wściekłością, z którą wielbiono kiedyś Stalina, a teraz to, co sławiono zamiast niego. Ludzie poszaleli z dzikości. Opowiadano mi, że w 1941 roku nastąpił koniec świata i ludzie, żeby przeżyć, zamieniali się w bestie. Kiedy jastrzębie aresztowały tatowego brata w Gudziewiczach, stryja Wałodzię, to jego żona ze strachu porzuciła czwórkę dzieci od czterech do piętnastu lat i uciekła do Polski.

Starsza siostrzyczka wyszła za kogoś, a maleństwa powlekły się aż do Krynek, to od Gudziewicz prawie 50 kilometrów, do swego dziadka Jurka Anisimowicza. Szukały ratunku. Dziadek doniósł na nie do NKWD z prośbą, żeby zabrali od niego te szlacheckie dzieci i wywieźli tam, gdzie wywożą wszystkich… Ale wywieźć ich

nie zdążono, bo Niemcy byli szybsi. To mi opowiadała Tamara, jedno z tych biednych dzieci. Dziadek umarł w Choroszczy, straciwszy rozum. Ale to było później. Ludziom zabierano ziemię, ich sąsiadów, ich krewnych, ale najstraszniejsze, że zabierano im sumienie, to białoruskie, chrześcijańskie sumienie moich rodaków. To samo obserwowałam również w Pradze. To była jedyna okazja, gdy ujawniały się najbardziej zwierzęce instynkty ludzkie i nazywano to postępem… U Hitlera robiono to podług jego rozkazów, a tutaj robił to każdy! Każdy się starał dowieść, że potrafi katować, dręczyć i zabijać, a więc przydatny dla Stalina. Nie sposób sądzić, by człowiek tak spreparowany zdolny był do stworzenia kultury godnej człowieka rozumnego. Z takich źródeł wcześniej czy później wypłynie zguba dla świata. Maszyna to nie kultura, a śrubki to nie indywidua.

A więc jest Praga, rok 1943, wiosna. Do Pragi ma przyjechać na urlop mój mąż, czekamy go z Jurą niecierpliwie. Ale zanim przyjechał mąż, pojawił się na moje nieszczęście Jermaczenka. Od razu przysłał do mnie swego adiutanta Owczynnikowa z nakazem przekazania Jermaczence archiwum białoruskiego po Wasilu Zacharce. W odpowiedzi pokazałam mu drzwi. Po kilku godzinach on znów przyjechał do naszego małego pokoiku, tym razem z notą niejakiego Langera i Richtera – naczalstwa z Mińska. Wyjaśniłam Owczynnikowowi uprzejmie, że mieszkamy w Protektoracie Czech i Moraw i tylko tej władzy mogę się podporządkować. Trzeci raz przyjechał z rozkazem już od praskiego gestapo. Powiedziałam, że pojadę do Jermaczenki.

Starannie się wystroiwszy, żeby się uchronić od kompleksu niższości wśród nich, wsiadłam do tramwaju. Wszystko we mnie dygotało. Weszłam po schodach do mieszkania Jermaczenki. Otworzył mi jego wykidajło. Przy drewnianej beczułce z koniakiem zapewne stały pełne kieliszki, zakąski nie widziałam, a Jermaczenka i dwaj Niemcy siedzieli już pod dobrą datą, czerwoni i nie radzący sobie z wymową słów. Zapytali mnie, gdzie jest klucz od archiwum Zmarłego. Zainteresowałam się, po co im to? „Chcemy poznać przeszłość, żeby wiedzieć jak dalej mamy traktować Białorusinów jako naród". Powiedziałam, że klucza nie mam. „Cóż, wyłamiemy zamek" – wymamrotał Niemiec. Atmosfera gęstniała. Słów padało niewiele i były ciężkie jak grad. A kto ma klucz? Komu go dał Zacharka? W naszym interesie nie leżało wplątywanie w to Mikoły i komplikowanie już bez tego dostatecznie skomplikowanej naszej sytuacji. Otwarłam więc swoją elegancką torebkę i położyłam klucze na stół. Niemcy spoglądali na mnie z ciekawością. Byli trzeźwiejsi od Jermaczenki.

Byłam cała ubrana w czerń i szarość, a najczarniejszy był mój nastrój. Na schodach rozbeczałam się po babsku. Nie miałam koło siebie nikogo, kto mógłby mi cokolwiek doradzić. Gdy przyjechał Janka, nie okazał moimi sprawami najmniejszego zainteresowania. Bardzo był zajęty sobą i tylko sobą. Zdawało mi się, że przestał już nawet być dżentelmenem, aż przykro mi było patrzeć na niego. Dużo opowiadał o Słonimiu i o sytuacji na Białorusi. Niemcy odnosili się do niego z niedowierzaniem, żywił się razem z nimi, ale w osobnym pokoju, całkiem sam, żeby nie mógł słyszeć Niemców. On zresztą sam nie siadałby z nimi przy stole, ale to, że oni go sami separowali, było poniżające. Mąż opowiadał o rozstrzeliwaniu całych wsi, o tym jak starał się ludzi ratować. Męża posłano tam na miejsce aresztowanego doktora Dylewskiego[152], również z Czechosłowacji. Przeciwko mężowi byli Polacy i Niemcy. Polacy rękami Niemców starali się niszczyć element białoruski lub wysyłać do Niemiec. Wielu naszych zdążyli już wykończyć oskarżając ich o komunizm. Komunista czy nie komunista – dla nas nie miało to znaczenia. Ratować trzeba było wszystkich. Mąż wyrwał z obozów sowieckich i żydowskich lekarzy i oni wszyscy uciekli do partyzantki. Kiedy komisarz Erren[153] obwiniał męża o współdziałanie w tym z nimi, odpowiedział mu, że chyba jako komisarz wie, iż Żydów uczyć rozumu nie trzeba. Erren jeszcze pod wpływem Polaków żywił do męża nienawiść, ale Piper z Pragi osłaniał Jankę, i komisarz nic mu nie mógł zrobić…

Tymczasem Jermaczenka z Niemcami pojechał do mieszkania wujaszka Wasila, skąd przewieźli archiwum wujaszka na kwaterę Jermaczenki. On miał pojęcie, co zawierało archiwum. Wujaszek pokazywał mu dokumenty, których teraz nie znajduje, co wprawiło go we wściekłość. Opowiedziała mi o tym pani Kreczewska, której Jermaczenka obiecał, że jej imieniem nazwie żłobek w Mińsku. Nie poruszyło jej to. Wiedziała, co jest wart ten awanturnik. Zresztą argumenty Jermaczenki były gołosłowne, bo nie miał dowodów na to, co w archiwum było. Niemcom powiedziałam, że wujaszek pozostawił mi archiwum jako swojej krewnej. Ale nie spałam w nocy ze strachu.

Janka zabierał się do powrotu. Pozostawanie z Jermaczenką było niebezpieczne, więc Janka poszedł prosić o pozwolenie, żeby mnie i Jurkę móc zabrać do jego rodziców w Zelwie. Ku naszemu zdumieniu zgodzono się na to, lecz tym razem zabroniono nam jazdy do Słonimia i w ogóle do „Ostlandu” [154], jak mówili. Zebraliśmy się w te pędy i przez Berlin i Warszawę wyruszyliśmy na dwa tygodnie do rodziców w Zelwie. W Berlinie spotkaliśmy się z przyjaciółmi i oni nam

pomogli wsiąść do pociągu warszawskiego, który był po prostu zatłoczony. Jechaliśmy w milczeniu, milczało też nasze dziecko. Niemcy patrzyli na nas spode łba, z jawną nienawiścią do nie-Niemców. Koło pociągu biegały ich partyjne „Frau" z opaskami na rękawach pomagając wciąż swoim. Czuło się tu, że Niemcy to ludzie, którzy resztę dwunożnych mają za nic. Jakże tam żyją nasi z nimi? Jak wśród wilków?..

W Warszawie coś sprzedawały koło pociągu wymizerowane podrostki. Snuli się głodni i wyniszczeni ludzie. Na tym tle pysznili się pewnością siebie syci Niemcy w mundurach i ich eleganckie Frau, które po prostu nie zauważały tych nieszczęsnych wokół siebie, czy może pogodziły się bez większych oporów, że to podludzie. Żal mi było Polaków. Teraz cierpieli, a kiedyś ten otumaniony lud myślał, że jest narodem panów nad nami i teraz przeżywał gorzkie rozczarowanie. W pociągu w tym samym przedziale wracali Niemcy z urlopów. Był wśród nich jakiś Szwajcar, kolejarz, który mówił bez strachu na głos, że rozumie partyzantów białoruskich…

W Białymstoku stały kolumny Żydów z gwiazdami na rękawach. Twarze ich były otępiałe, jakby stały tu tylko ich ciała, a sami oni – za swym wzrokiem – gdzieś daleko. Tragiczne było, że nikt nie może ich wydobyć z tej otchłani, chociaż Niemców, zdawało się, nie ma zbyt wielu. Rzucić by się na nich i ktoś by przynajmniej ocalał…

Pociąg mknął przez rodzinną ziemię, ale jakąś dziwnie pustą. Była wczesna wiosna, w Pradze ledwie rozkwitał bez. Na polach stały powywracane do góry nogami liczne czołgi z lufami skierowanymi na zachód. Teraz zastygły, jak przerażające pomniki tragicznej bezsilności. Przy pociągu wzdłuż torowiska leżały powywracane parowozy i wagony, a tuż koło nich – szare, gorzej niż biednie odziane kobiety pasły krowy. Kręcący się w polu mężczyźni mieli na głowach jakieś nienaturalne nakrycia na głowach, jakby wojna tu trwała wieki i wyniszczyła na Białorusi wszystkich czapników. Ze stacji w Wołkowysku tragarze rykszami przewieźli nasze bagaże do pociągu podmiejskiego.

Wreszcie jesteśmy w Zelwie. Świeci jasne popołudniowe słoneczko i wyświetla nazwę stacji, tym razem po niemiecku. Boże, myślę, kiedyż się doczekamy, żeby wszystko na naszej ziemi nosiło własne imię? Jadą jakieś furmanki, wiozą troskliwie do Zelwy nasze walizy, a my stąpamy lekko po naszej ojczystej ziemi, a ona od samej stacji zda się jakaś poraniona, opuszczona i osierociała. W samej Zelwie jest jeszcze straszniej. Nie wiadomo czemu całe centrum w ruinie, spalone.

Pożar zatrzymał się na naszym domu. Ojciec męża wdrapał się był na dach i polewał go wodą, ratując tym sposobem resztę ulicy. Chlew tuż obok spłonął i widać już stojące krokwie nowego chlewa.

Wybiegli do nas rodzice, całują wnuka, płaczą. Ojciec wychudzony, czarny i bosy niczym żebrak, mama, schludnie odziana, biła masło, jakby przeczuwając, że jadą goście. Dokoła strasznie: popioły, ruiny… W naszym domu mieszka rodzina Archimowiczów. To ci, którzy za to, żeśmy ich wzięli na kwaterę, okradną pośmiertnie mężowego ojca i znowu spróbują donieść na nas i wydać nas na powtórne męczarnie. Z odrazą wspominam tych najgorliwszych w Zelwie katolików…

Długo w noc rozmawiamy, wspominamy i skargom końca nie ma. Całą duszą jestem w rodzinnych Żłobowcach, ale pojechać tam nie mogę. Na to potrzebne jest specjalne pozwolenie. Tak pragnę zobaczyć ścieżki, na których jeszcze są może ślady rodziców, i gdzie oni sami i co z nimi nieszczęsnymi dzisiaj? Straszne jest, gdy burzy się gniazda i zabija się życie na ziemi. A gniazdo było stare, wielkie i tyle ptaków w nim!

Jestem sama ze swymi myślami. Mąż jest zaledwie świadkiem, nie bolą go ni rany Ojczyzny, ni tragedia mojej rodziny. On ma swoje życie, słonimskie rozmaite awantury większe i mniejsze i starcia z jakimś tam komisarzem Errenem, który, jak się później okazało, nie miał nic przeciwko rozstrzelaniu męża, gdyby nie Praga i nie doktor Piper w Pradze.

Nazajutrz mąż odjeżdża i ja go odprowadzam. Nie w głowie mu jakaś tam BRL i śmierć wujaszka Wasila, jego i moi rodzice – to wszystko furda w porównaniu do jego osoby. Zupełnie nie czuję, że odjeżdża mąż. Lżej mi jakoś od tego. Rozmawiam serdecznie z jego rodzicami, a Jura biega, szaleje, włazi do domu przez okno i wyrywa się na pole paść krówkę z pastuszkami.

W drugiej połowie domu mieszka Kacia Wiktorka z synami, stryjeczna siostra męża. Straszy mnie partyzantami, odwiedza ją jakiś odrażający Niemiec i wszystko razem dziwi mnie. Raz wywołała mnie na ulicę. Zobaczyłam coś potwornego: ulicą pełzło coś podobnego do małego czołgu, a z naprzeciwka leciał na koniu pełnym galopem mój sześcioletni syn! Machnęłam ręką, co będzie, to będzie: nieposkromiony mały potomek wieśniaków dopadł swego żywiołu. Ludzie go podziwiali. Ojcowego konia zabrali bolszewicy, to on dawał wnukowi pełny berecik owsa, a wnuk biegł do sąsiada, który miał dobrego konia. To właśnie na nim trzymając się za grzywę gnał mój syn, który nigdy nie siedział na koniu. Gnał i śmiał się z radości.

Na miejscu byłego czworokąta kramów na zelwiańskim rynku zasadzono młody park. Nie było Żydów z ich sklepikami. Tędy także przeszła ta sama tragedia, co wszędzie. W czarnej jakiejś chacie mieszkała wdowa po batiuszce Jakobsonie[155], równie tragicznie poczerniała. Odwiedziłam staruszkę. Moi znajomi pokazali mi dzieci uratowane przez nich od wywózki, teraz osierocone. Czemu nie uratowano nam chociaż Lusieńki? Po Zelwie chodzili niemieccy żołnierze nie bardzo straszni dla mieszkańców, poszukiwali samogonu i jajek. Robili sobie ajerkoniak.

Nasi sąsiedzi Bajbusowie, którym chata spłonęła do szczętu, organizowali wieczorynkę. Panna Stasia z panem Wiesiołuchą, swoim przyszłym mężem kompletnie nie przejmowała się niedolą, nie czuła strachu ni litości dla tych, co ginęli w łagrach, na froncie, w lesie… Ludzie wyraźnie zdziczeli, otępieli, skoro w takich czasach mogą sobie tańcować. Każdy ważny Niemiec miał w Zelwie kochankę i to było jeszcze straszniejsze. Były to przeważnie Polki, którym się zdawało, że zajęły odpowiednie „pozycje kluczowe" i w ten sposób mogą znowu uprawiać swoją polską politykę przeciwko Białorusinom…

A na płocie wisiało ogłoszenie z listą rozstrzelanych zakładników. Nie doczytałam jej do końca… Jęczała tylko poraniona ziemia, a ludzie jak mrówki krzątali się bezgłośnie myśląc o życiu. Zapytałam jedną znajomą, jak ona może żyć z Niemcem, który z pewnością zabijał ludzi. „On nie tak dużo zabił – odpowiedziała. – Może kilkanaście osób, a i to, gdy zabijał, to był pijany…". Boże, co się z ludźmi robi, na takiego przecież strach spojrzeć!

Jakiś fryc zaczął zaglądać i na nasz ganek… Niczego w życiu tak się nie bałam, jak tego zbója: spasiony kark z niezagojonymi czyrakami, nachalny, patrzył łapczywie na mnie, i umarłabym, gdyby mnie tknął, bo czegoś takiego bym nie przeżyła… A wszystkie zelwiańskie damy poczytywały to sobie za honor…

Niech diabli porwą taką perspektywę! Niemcy mnie szpiegowali, a nasza Kacia im w tym pomagała… Widział kto coś takiego?! Wreszcie poszłam do komisarza poprosić, żeby pozwolił przyjechać do nas bratu. Ten przyjął mnie uprzejmie, wydał pozwolenie i wyraził nadzieję, że zostanę w Zelwie na stałe.

Sławaczka przyjechał! Wysoki jak dąb, przystojny. Stoję, przyglądam się, płaczę. A on objął mnie i nie może wydusić słowa… Całą noc przegadaliśmy. Czasem słyszeliśmy przelatujący samolot. Wtedy Sławaczka mówił mi, czyj jest, bo rozpoznawał po warkocie. Obgadaliśmy wszystkie rodzinne, wszystkie partyzanckie sprawy. Rościsław bardzo chciał, żebym przyjechała do Żłobowców, że partyzanci

radzi są spotkać się ze mną. Nie dowierzałam tym, którzy zabili mi ojca i wyniszczyli całą rodzinę… Mój wujek miał córkę i myślałam, że nieźle byłoby ożenić z nią brata. On zajeżdżał do nich, ale gdy go zapytałam, czy ją kocha, przyznał mi się, że kocha inną, ale weźmie tę, bo ja chcę tego… Przeraziłam się i zaczęłam go błagać, żeby się ożenił z tą, którą kocha. Z żadną się nie ożenił. Przeszkodziła mu śmierć…

A tymczasem mój brat odjeżdżał z mamą mego męża do Piotrewicz.

Do Zelwy przyjechał białoruski zespół estradowy. Artyści przyszli do nas zaprosić mnie na koncert. Nosiłam się bardzo elegancko, stroje w Pradze szyte były gustownie, dlatego wszyscy, również Niemcy, zwracali na mnie uwagę. Stałam wśród kobiet i wyciągnięto mnie za rękę do przodu. Artyści chcieli, żebym również ja zabrała głos. Wyjaśniłam im szczerze, że to nie dla mnie… Koncert był bardzo udany i miejscowy batiuszka zaprosił artystów do siebie. Tam przy czarce rozwiązały im się języki. Niemal każdy toast wznoszono za mnie. Powybierali mi na pamiątkę wszystkie drobiazgi z mojej torebki, a gruby Niemiec zaczął rozpytywać, jaką to ważną jestem personą, że nie wzniesiono toastu choćby za Deutschland? To dawała znać o sobie u ludzi cała skondensowana nienawiść do wszystkiego, co nie jest nasze. I było to zadziwiające.

Następnego dnia był już Sławaczka. Prawie o wschodzie słońca pod oknem zjawili się wywołujący mnie artyści. Poszliśmy wszyscy razem na zelwiański cmentarz, skąd było widać Zelwiankę i drugi jej brzeg, który nazywał się już „Ostland", a myśmy byli „Reich". Byłoby to śmieszne, gdyby nie było tragiczne… Milczeliśmy. Oczyma duszy ogarnialiśmy całą naszą ziemię i mówiliśmy co chcieliśmy, nie bacząc na możliwych donosicieli pośród nas… Wreszcie posiadaliśmy, chłopcy przynieśli gorzałkę i zakąskę. Na młodziutkiej trawie wypiliśmy po czarce, popłynęły łzy. Pięknie rysował się Sławaczka wyciągnięty na trawie w zamyśleniu.

Artyści rozchodzili się ze swymi kobietami. Zabierali ze sobą to, po co głównie jeździli po wsiach: kosze z jajami i słoniną. Nieśli je uwieszone na kijkach po dwoje. Nie mieli samochodów ni karet. Na piechotę. Wszyscy ściskali mnie i całowali. Mówili coś połykając łzy. Później w białostockiej gazecie przeczytałam bardzo ciepłą relację z tego naszego spotkania[156]. Wreszcie odprowadziłam Sławaczkę. Miał dobrego swojego konia, ale jechaliśmy powolutku, rozmawiając o rodzicach. Jechaliśmy i jechaliśmy, nie chcąc się rozstawać… W końcu jednak daleko za Borodziczami[157] padliśmy sobie w objęcia i wycałowaliśmy się. Ruszyłam

raźno, żeby się nie oglądać, ale nie wytrzymałam, odwróciłam się i zobaczyłam wstrząsającą scenę. Koń stał w miejscu, a brat całą swoją potężną postacią spazmował we łzach.

Nigdy więcej go w życiu nie widziałam. Pozostawałam przy mężu, lecz sercem rwałam się tam, gdzie ten wierny, najdroższy mój brat, żeby z nim razem, zabrawszy ze sobą syna, wyglądać rodziców…

Tej wiosny drugi raz rozkwitały dla mnie bzy.

Śniło mi się, że kwiaty bzu obsypały próg naszego domu.

Bez obsypał twego domu próg,
Rościsławie, najmilszy mój bracie!

Nazajutrz przyjechał Janaczka. Został ze Słonimia po prostu wyrzucony. Niemcy, których leczył z chorób wenerycznych jako wenerolog, poradzili mu, żeby milczał i mówił tylko „Jawohl", czyli „tak jest!". Tak też mówił.

Dano mu tydzień aresztu domowego i wypędzono. Polacy tym razem zrobili nam coś dobrego, ich donosy, na szczęście, nie skończyły się śmiercią męża. Niedawno ojciec Aleha Łojki[158] jeździł jako świadek w sprawie słonimskiego komisarza Errena do Niemiec. Rozpatrywana była również sprawa zagrożenia męża rozstrzelaniem. Wyratowała go, jak pisałam wcześniej, Praga, to znaczy znowu Piper…

Przyjazd męża to był po prostu cud. Nie mogliśmy wręcz w to uwierzyć. W papierze, który mu wydano, był zakaz uprawiania zawodu lekarza na obszarze całego tzw. „Ostlandu"… Janka bronił wiosek i odważnie występował przeciwko Errenowi… Polacy się cieszyli, nie umieli patrzeć w przód i przewidywać…

Ktoś, kto przyczynił się do wyrzucenia męża ze Słonimia, zrobił nam przysługę. Po tym, jak do niego w nocy strzelano, jak na niego donosili Polacy i nie lubili go Niemcy, można było się spodziewać, że żywy im nie ujdzie, bo likwidowali tam ludzi jak chcieli. A tu cud: jedziemy do Pragi! Byliśmy króciutko u rodziców męża, zajrzeliśmy jeszcze do Piotrewicz, tych takich skomunizowanych za czasów Polski. Naszych krewniaków zastaliśmy na wiejskiej potańcówce. Oczom nie wierzyłam: taka wojna, partyzantka, na drogach szaleje śmierć, a wioska pędzi samogon, pije i tańcuje sobie jak w czasie pokoju. Myśmy tak nie mogli, czując w naszych sercach ból tej ziemi. Dali mi pozwolenie na odwiedzenie brata, ale mąż mnie nie puścił, śpieszno było do Pragi.

Do Wołkowyska jechaliśmy pociągiem podmiejskim, ludzie mi się przyglądali, zwracali się z pytaniami, prośbami. Na kilka dni zatrzymaliśmy się

w Berlinie, spotkaliśmy się z przyjaciółmi na wspólnej kolacji, gdzie wszystko było na kartki. Chwalili mnie zabierający głos przyjaciele, a Mikoła, który przemawiał ostatni, powiedział wręcz: „To nasza Joanna d'Arc". Pociemniało mi w oczach. Raniutko wyjechaliśmy. Kilka osób nas odprowadziło, zająwszy wcześniej dla nas miejsca w wagonie. Długo trzymałam w ręce bukiet czerwonych róż, a w uchu miałam wciąż głosy przyjaciół.

W Pradze zaczęły się nieoczekiwane kłopoty: według rozkazu ze Słonimia męża należało odesłać do pracy w Niemczech jako lekarza obozowego. Skąd taka nienawiść z tego Słonimia? Co Janka mógł tam zmajstrować? Przypomniało mi się, jak trochę wcześniej odwiedził mnie w Pradze pewien bardzo elegancko odziany typ. Był w uroczystym nastroju i z całą powagą poprosił mnie o moją rękę: proszę pozwolić mi zaopiekować się panią i jej synkiem. Zatrzęsło mną, ale zapytałam go, na jakiej podstawie prosi mnie o rękę, gdy żyje mój mąż? „A on już nie wróci" – odparł mi mój niedoszły niewczesny konkurent. O nic więcej już chyba go nie pytałam. Zbiegał po schodach z cylindrem w ręku.

A więc w Pradze wiedziano, że mąż żywy nie wróci…

Znaczy znowu ulitował się Bóg nad naszą rodzinką. Nie pozostało mi nic innego, jak znowu udać się do Frau Piper z prośbą o ratunek. Jak zwyczaj białoruski nakazywał, nie poszłam z pustymi rękami. Chociaż podarunki moje były niewielkie, ale bardzo praktyczne. Mąż dostał pracę w Arbeitsamcie, skąd wysyłano ludzi do pracy. Było to miejsce dobrze płatne, ale bardzo się memu mężowi nie podobało.

„Nie chcę tych pieniędzy, nie chcę tam pracować – skarżył się mój Iwan Piatrowicz – chcę być lekarzem i tylko lekarzem". Znowu poszłam do dobrych ludzi, którym już mocno dałam się we znaki. Doktor Piper był wielce zdziwiony, że mąż rezygnuje z takich pieniędzy, by móc nadal doskonalić swoją specjalność. Wtedy tylko pojęłam całą mądrość naszego przyjaciela, gdy mąż otrzymał nisko płatną, ale za to dobrą pracę w kasie chorych. Pracowali tam sami wybitni lekarze, od których można było wiele się nauczyć. Piperowie jeszcze z pomocą swych przyjaciół pomogli nam zmienić mieszkanie, bo Juraczka podrósł i jego łóżeczko było już mu za małe, a na wstawienie większego brakło miejsca.

Przeprowadziliśmy się więc na ulicę Herzmanową nr 7. Codziennie wyprawiałam swych chłopców – jednego do szkoły, drugiego do pracy. Niecierpliwie czekałam ich powrotu, bo czas był niespokojny i każdy przeżyty szczęśliwie dzień już sam był wielką wygraną. Przychodzili do nas rodacy. Zapomniałam wspomnieć,

że pewnego razu, tuż po moim przyjeździe do Pragi, przyszła do nas doktor Hałubianka[159]. Osóbka korpulentna, niewysoka, dobrze ubrana i miła. Rozmawiała ze mną bardzo afektowanie i miałam wrażenie, że mi nie wszystko powiedziała. Więcej jej już nie widziałam. Z początkiem wojny zakończyła swój żywot samobójstwem.

Dużo przyjaciół zaglądało do nas. Ludzie byli ciekawi jak wygląda ich poetka, która pisze tak, jak oni myślą, jak czują. Dobry i drogi doktor Tumasz nadal wygładzał moje wiersze, chociaż teraz pisałam mniej. Zaczęto mi się przyglądać, mieć pretensje, wyrzucać mi mój pesymizm. Po podróży do Zelwy trudno było o optymizm. Wojna zostawiła krwawe ślady na naszym narodzie, na ziemi nie zasianej, na naszych ładnych miastach i najboleśniejszy ślad – na nieszczęsnej mojej rodzinie. Wojna – to w ogóle gra nieciekawa…

Brat często pisał. A ja przez Genewę, przez Polski Czerwony Krzyż szukałam braci i mamy, wywiezionych do Kazachstanu. Rościsław był rad, że sypia przy otwartych oknach, że ludzie tak dobrze się do niego odnoszą, że go rozumieją. Ale ludzie to ludzie, i oto napadli na Żłobowce jacyś inni partyzanci i Rościsław ledwie uszedł z życiem… Żadną miarą do nas, do Pragi jechać nie chciał, czekał wciąż na naszą nieszczęsną mamę, żeby miała swój kącik i kawałek chleba na starość.

Jura uczył się dobrze, dużo czytał. Mąż mu kupował wiele książek. Miał swoją szafę, swój kąt. Chłopczyk był dowcipny, umiał już myśleć, orientować się w uproszczonej egzystencji wojennego czasu. Na wschodzie Niemcy się cofali i front zbliżał się do Białorusi. Znowu pociski zaczną rozdzierać piersi ziemi ojczystej, znowu zginie wielu spośród tych najlepszych w narodzie. Niemcy pewnie już sami nie wierzyli w zwycięstwo. Zrobiło się jakoś mniej strasznie. Minęła pierwsza rocznica śmierci wujaszka Wasila Zacharki, w Pradze zakwitły i przekwitły już bzy.

Pewnego dnia mąż wrócił z pracy wielce zaniepokojony. Kazano mu w pracy przez telefon jutro z samego rana stawić się w gestapo. Nie mogliśmy zasnąć. Czyż mało jest przyczyn w takim czasie, że można stracić nie tylko wolność, ale i życie… Następnego dnia mąż powrócił do domu jeszcze bardziej zmartwiony: kazano mu, żebyśmy we trójkę – mąż, ja i Jura – jechali niezwłocznie do Mińska na kongres[160]. A czemu Jura? Rozkaz z Ostministerium… Znaczy znowu Jermaczenka, znowu jego czarna ręka sięga po moje gardło… Proszę męża, żeby wziął w pracy zaświadczenie, że nie może porzucić zajęć, których taka masa w czasie

wojennym. Mówię mu wprost, że dla syna on jest ważniejszy ode mnie. Ktoś musi jechać, ale jechać na spotkanie z frontem – to jechać na śmierć… Tylko żeby oni nie jechali, bo znowu czuję pułapkę… Jadę sama. Nie zwracam się już do Frau Piper. Ona sama pośpieszyła do nas, żeby mnie ratować. Ale za późno już było. Musiałam jechać. Z Pragi jechał jeszcze według tegoż rozkazu inżynier Wasil Rusak. Jedziemy więc we dwoje. Nie było czasu na namysły, w żyłach była jeszcze młodość i jedyny prawdziwy strach – o swoją rodzinę, a ta… pozostawała w Pradze.

A do Pragi właśnie przyjechał Adolf Klimowicz[161]. Zatrzymał się u nas. Przyjechał ratować Białorusinów. Białoruska chadecja postanowiła ratować swoich, przeprawiwszy ich do Czechosłowacji, stąd przyjazd do Pragi Klimowicza. Znając stosunek bolszewików do religii, można się było spodziewać eksterminacji, po prostu fizycznej likwidacji nielicznych chadeków białoruskich. Z Niemcami im było nie po drodze i nie chcieli uciekać z nimi razem. Z krótkiej rozmowy z Klimowiczem widać było, że Czesi orientują się tylko na Rosjan, czekają ich i chcą spróbować współpracy z nimi. Klimowicz przewidywał koniec takich rachub i dał wyraz swojej ocenie sytuacji, ale kto nie spróbuje, ten nie uwierzy tym, co dobrze poznali i jednych, i drugich.

Czesi uważali się za najkulturalniejszych i najrozumniejszych ze wszystkich Słowian i zdawało się im, że w takim sojuszu będą hegemonami w odniesieniu do zacofanych Rosjan i pozostałych Słowian, że wszystko się potoczy wedle ich planów, zwłaszcza cała gospodarka. Przekonać ich, jak bardzo się mylą, było nie sposób. Cóż, kogo Bóg chce ukarać, temu odbiera rozum.

Przygotowałam zapas artykułów spożywczych, co tylko się w tym wojennym czasie dało zdobyć, żeby Janka miał ich dostatek, a Juraczkę żeśmy oddali Růženie Vitmajerovej, kobiecie, która często nas odwiedzała i była zdaje się sowieckim szpiegiem, ale wtedy myśmy o tym nie wiedzieli. Ze sobą prawie nic nie wzięłam oprócz kanapek i butelki koniaku na wszelki wypadek. Mąż i Klimowicz odprowadzili mnie do pociągu. Spostrzegłam, że zostawiłam w domu swoje niewielkie pieniądze i portmonetkę. Klimowicz pojechał po nie. Był to już na samym początku niedobry znak.

Wreszcie pożegnałam się z nimi i pociąg ruszył. Mąż nie ukrywał łez. Jechaliśmy do granicy z Polską. Rusak milczał nad czymś rozmyślając i tylko posapywał, a ja się do niego nie odzywałam. Jechała z nami rodzina bardzo ciekawych ludzi.

Zapytali mnie, dokąd my jedziemy. Dowiedziawszy się prawdy, nie mogli znaleźć spokoju. Gotowi byli zawrócić mnie siłą, przewidując najgorsze. Oni słuchali zakazanego radia, czego myśmy się bali. Parę już lat minęło, jak nam usunięto z odbiornika radiowego fale krótkie i na manetkę powieszono ostrzeżenie, że za słuchanie obcych radiostacji grozi kara śmierci. Baliśmy się o syna. Czasem tylko przychodzili Micinowie i wkładali do odbiornika szpilkę. Ktoś stawał na warcie i w ten sposób słuchaliśmy zakazanego radia. Baliśmy się dozorczyni domu, i nie bez podstaw. Wszechmocna donosicielka za Niemców taka sama była później za bolszewików.

Czesi poprosili mnie o mój adres i dali mi swój.

Obiecałam, że od razu poinformuję ich o swej podróży, jak tylko powrócę, na co ich zdaniem szanse były mizerne.

Bliżej Polski zjawili się Niemcy, którzy jechali do domu na „Urlaub". Byli to widocznie folksdojcze, bo rozmawiali po polsku. Wieźli z Włoch pończochy jedwabne, jedwabie i inne prezenty dla swoich pań. Wydzielał się spośród nich bardzo ostry w języku Austriak w krótkich skórzanych spodenkach, młody jeszcze. Milczałam, ale on zapytał mnie o jakąś drobnostkę. Odpowiedziałam mu poważnie i musiałam powiedzieć mu również dokąd jadę. Austriak, który jechał do Warszawy, bowiem tam został zmobilizowany, bardzo się przestraszył i także był skłonny zawrócić mnie z tej drogi siłą do domu, ale właśnie dojeżdżaliśmy do granicy polskiej.

Przesiadaliśmy się do pociągu polskiego, a najpierw szliśmy do komory celnej. Austriak wziął moje rzeczy i stał demonstracyjnie przy mnie. W życiu nie widziałam tak strasznego człowieka o zwierzęcej twarzy z przełamanym nosem, jak tamten główny celnik. Wymyślał, rwał, ciskał rzeczy siejąc przerażenie. Polacy jakoś nie bali się, już się widać zwykli z tym, ale w Pradze podobne zachowanie możliwe było tylko na gestapo. Miałam paszport bez obywatelstwa, ale zwierz uczepił się tylko mojej książki „Od niw ojczystych", potrząsał nią i wykrzykiwał, że to jakaś straszna „russische Literatur"! Wystraszył się także mój towarzysz podróży, pytając, co to za książka. Gdy mu wyjaśniłam, że to moja książka wydana w Pradze, sprawdził to, zamienił kilka zdań ze „zwierzem" i chwyciwszy moją walizę poprowadził mnie pośpiesznie do pociągu. Musiałam mu powiedzieć, że jestem poetką, co wprawiło fryca w zachwyt. Dziwny to był człowiek – miał nazwisko słowiańskie. Zmienił się bardzo i omal nie płakał, że muszę jechać w samo piekło. Zaprosił mnie na obiad do wagonu restauracyjnego, gdzie pozwolił

rozrzutnie obstrzygać swoje kartki spożywcze na nas dwoje. Zaproponowałam mu koniak, a on oddał mi swój deser. Niemcy nas obserwowali, ale on zachowywał się jak dżentelmen. W Warszawie zaprowadził mnie i Rusaka do poczekalni dla Niemców i nie odchodził ode mnie, dopóki nie przekazał mnie w ręce doktora Szczorsa[162], którego odnalazł w Warszawie, i nie przekonał się, że to całkiem porządny człowiek i nic mi nie grozi. Za wszystko to prosił mnie tylko, żebym mu odpowiedziała na list, gdy go mi napisze do Pragi. Niezwykle dobry był ten człowiek. Jak Piperowie.

Warszawa wydała mi się smutna i bezludna. Każdy dom, w którym byli Niemcy, opleciony był kolczastym drutem. To pobudziło we mnie szacunek dla Polaków. Miejsca w tramwajach były rozdzielone dla Polaków i dla Niemców. Przechodnie na ulicach byli spięci, smutni i ubrani bardzo skromnie.

Szczors zabrał nas do siebie. Miał mieszkanie koło szpitala. Najpierw poszliśmy do jego matki, która leżała po usunięciu wyrostka robaczkowego. Miał u siebie też przyjaciół z Berlina. Na kongres się nie wybierał i dziwił się, dokąd to nas niesie.

Bardzo chciałam wiedzieć, co ukartował Jermaczenka… Jego nieobojętność dla mojej osoby wzbudziła we mnie czujność.

Nazajutrz z samego rana jechaliśmy już w stronę Białorusi. W pobliżu Białegostoku pojawiły się już pociągi zwalone z torów i było ich coraz więcej. Pociąg szedł tylko do Wołkowyska, a tam były tylko pociągi wojskowe, na które nikt nas nie chciał zabrać. Rusak był jak pień, o niczym nie pomyślał, nie przedsiębrał, tylko siedział i sapał drzemiąc. Powiedziano mi, żebym zwróciła się do jakiegoś naczelnika. Ten był bardzo wzburzony. Popatrzył na mnie smutno i zapytał, czy się boję. Powiedziałam mu, że nie boję się i że jechać musimy. Jechaliśmy mijając Zelwę, a gdzieś tam był mój brat, byli rodzice męża, ale przerwanie podróży koło nich było niebezpieczne i dla mnie, i dla nich. Zatrzymać się w takim czasie znaczyło pozostać na zawsze, a w Pradze czekało dziecko.

Wreszcie wsiedliśmy do pociągu, gdzie sami wojskowi i ani jednej kobiety. Otoczyli mnie Niemcy wracający z urlopów do Mińska. Chwalili Białorusinów, bali się partyzantów. Do pociągu podbiegały dziewczęta z masłem, z jajkami i jednej z nich podarowałam swe paciorki, tak mi się chciało coś tu pozostawić.

Bardzo mi się chciało pić. Podjeżdżaliśmy do Mostów[163]. Wszędzie były napisy „tylko dla Niemców” i to było aż straszne, czułam, że po prostu wybuchnę od tego. Weszłam do bufetu i mówię: „Nie jestem Niemką i chce mi się pić.

Oto pieniądze, poproszę lemoniadę". Dano mi butelkę i wzięłam ją do pociągu. Niemiec urlopowicz poradził mi, żebym tego więcej nie robiła. A jak tu wytrzymać, gdy wszelkie plugastwo jedno, co potrafi, to narzucać różne swoje porządki, nie licząc się absolutnie z rdzenną ludnością kraju i jej najświętszymi prawami… Jak długo tego jeszcze?..

Pociąg leciał na spotkanie nocy. Koło torowiska co i raz zwalone pociągi i bunkry, bunkry. Lasy wzdłuż kolei wysieczone szeroką porębą. A dalej szare chaty, słomiane strzechy, i bieda tam na pewno, i strach. Szczęście jeszcze, że żywi ziemia, a nasi umieją przeżyć i na kamieniu…

Do naszego przedziału nabiło się Niemców, i każdy mi coś opowiada. To czołgiści. Nie wszystko rozumiem, ale staram się słuchać. Jest w nich strach, ból i poczucie beznadziejności, narzekają na wszechobecną partyzantkę. Jeden Niemiec pyta się mnie, czy nie boję się taka jedyna między samymi mężczyznami? Mówię, że nie, że Niemcy i ich żołnierze są rycerscy – kłamię jak najęta. „No, my jesteśmy rycerze u siebie w domu, a na ziemiach podbitych rycerzami nie jesteśmy" – odpowiada szwab. „Prawdziwy rycerz wszędzie jest rycerzem" – mówię i patrzę mu prosto w oczy, a on je zwraca w bok.

Ale oto pociąg zatrzymuje się, słychać strzały. Do przedziału wchodzi oficer, rozgarnia towarzystwo i mówi do mnie: „Tu będziemy stać całą noc, koło pociągu jest bunkier, ale tylko dla Niemców. Jeśli pani się boi, może pani pójść do bunkra". Odpowiadam mu: „Tak, boję się bardzo. Mimo to pozostanę tutaj. Dziękuję panu za uprzejmość". Oficer wyszedł. Rusak posapywał w kącie, gdzieś strzelano, zrobiło się bardzo zimno. Zdaje się, że zadrzemałam. Nad ranem zaczął się ruch, żołnierze zapalili w małym piecyku, zrobiło się cieplej. Koło nas pojawił się ciekawski Niemiec z wścibskimi oczami i jął wypytywać: po co jedziemy, skąd i kim jesteśmy?

W tym momencie Rusak wyjął mapę Białorusi, którą, mu kiedyś narysował Żuk, gdzie granice Białorusi pokrywały się mniej więcej z naszymi granicami etnograficznymi. Mapa w rękach cywilnego pasażera nastroszyła Niemca, wyrwał ją z rąk Rusaka i zaczął badać coś wykrzykując. Wystraszyłam się, jakże można być tak nieodpowiedzialnym jadąc w stronę frontu! Dałam Niemcowi butelkę koniaku, pokazałam pozwolenie z Pragi, żeby tylko się odczepił.

Na kolei gdzieś stukano, naprawiano coś, co nocą popsuli partyzanci. Wyjechaliśmy późno. Przodem szła platforma z piaskiem. Jechaliśmy bardzo wolno, zatrzymując się. A pociągi zwalone z torów nie do policzenia. Jeden leżał, a paro-

wóz jeszcze dymił. To dopiero partyzantka! Na jakiejś stacji nawsiadało żołnierzy, pełny wagon. Jechali na front. Nikt mi nie mówił tego, ale wygląd mieli dziwny, jedni jacyś nieobecni, inni otępiali. Zadumane tragiczne twarze z zamkniętymi oczami. Któryś coś jadł, inny przeglądał fotografie i zdawało się, że chętnie plunąłby na tę całą rzeźnię, gdyby tylko mógł, i pognałby do swej rodziny. Myślałam: jakież to barbarzyństwo – wojna, wzajemne zabijanie się…

Wreszcie jesteśmy w Mińsku, wysiadamy z pociągu. Podbiegli do nas rykszarze, same dosłownie wyrostki zaprzęgnięte do taczek. Czy widziane to rzeczy? Wwaliliśmy jednemu takiemu swoje bagaże i powiózł. Patrzę na Rusaka i mówię: „No i przyjechaliśmy na Białoruś, żeby biedny chłopaczek wlókł nasze walizy". Rusak podszedł do chłopaka, wprzągł się do taczek obok niego i tak szli środkiem ulicy.

Mińsk leżał poraniony, rozbity, same ruiny i zgliszcza. Rozpłakałam się. Nerwy nie wytrzymały. Nie mogłam patrzeć na zszarzałych wynędzniałych moich rodaków, na ich wybiedzone twarze i na kontrast sytych Niemców…

Pokazano nam budynek, w którym odbywał się kongres[164]. Przyjechaliśmy za późno. Kongres już się odbył. Do nas podchodzili ludzie, zapoznawali się z nami. Mnie wszyscy znali z literatury. Twarze zaczerwienione od jakiegoś podniecenia. Okazało się, że występowali dumnie przeciw wszystkim wrogom Białorusi, również przeciw Niemcom, czego nie tajono. Na kongres zgodzili się potępieńcy okupanci dopiero gdy już odstępowali, gdy im samym groziła zagłada. Wtedy nagle przypomnieli o nas. Ludzie to widzieli.

Podszedł do mnie Wituszka[165] i powiedział, że zawiezie mnie do Arsienniewej[166]. Gdyśmy znaleźli się koło jego samochodu, jakiegoś grata, zatrzymał się i mówi: „Łaryso Geniusz, ja nienawidzę Niemców, jestem tylko i aż Białorusinem, ale musimy zdobyć ją dla narodu, tę naszą ziemię, i trzeba wszystko wykorzystać dla tego celu… Musiałem to pani powiedzieć." – „A ja i tak wiedziałam o tym".

Pojechaliśmy do Kuszelów[167]. Natalla Arsienniewa była w domu sama. Przywitałyśmy się. Myliłam się. Raptem wwaliło się do domu pełno młodzieży, wszyscy chcieli, żebym tego wieczora była wśród nich i spędziła go w ich towarzystwie. Natalla Arsienniewa wszystkich ich uprzejmie wyprosiła. Ułożyła mnie w pościeli i ja płacząc usnęłam jak dziecko. Wieczorem mnie zbudzono. Przyszedł Kuszel[168]. Niewielu spotkałam w życiu tak szlachetnych, bezinteresownych patriotów jak Kuszel. On, jak Wituszka, żył i oddychał tylko tym, co mógł uczynić dla Białorusi.

Byliśmy w takim położeniu, gdy nie wolno nam było pominąć najmniejszej możliwości świadczenia o tym, iż jesteśmy ludźmi i że ta ziemia – to nasza ziemia! O sobie mało kto z nas myślał. Myśleliśmy o narodzie, o sprawie. Nie wolno nam było poderwać nasz naród, musieliśmy tylko starać się go zachować fizycznie, ratować go od wrogów, od fałszywych jego przyjaciół, popychających nasze wioski na zatracenie. To było konieczne.

„Dla nas mało się różnią Niemcy i Rosjanie – odparł mi Kuszel, gdy oskarżałam Niemców. – Oni to bestie, ale i tamci nic dobrego oprócz łagrów i śmierci jak dotąd nam nie przynosili". Milczałam. Zaczął się alarm i zeszliśmy do piwnicy, gdzie poczułam się jak w Pradze, bo publiczność była w niej europejska. Okazało się, że w tym domu mieszkają Niemcy i schron jest wspólny. Następnego dnia z Natallą Arsienniewą poszłyśmy do Domu Rządu. Nas sprawdzono, dano przepustkę i ruszyłyśmy na górę. Jako pierwszy spotkał nas Kastuś Jezowitow. Był niezwykle uradowany, że spotkał nas, bo od dawna pisywał do mnie nazywając mnie słowikiem emigracji białoruskiej. Przyszedł do nas też Jurka Wićbicz[169]. Szykował się do odjazdu, więc otworzył swoją walizeczkę i pokazał mi, że oprócz koszuli zabrał ze sobą na drogę moją książkę… Zgromadziła się młodzież. Ktoś sfotografował nas. Później Jezowitow poznał mnie z Radosławem Ostrowskim[170]. „Słyszałem o pani" – powiedział do mnie Ostrowski, spojrzawszy na mnie jakoś nie bardzo przyjaźnie. „I ja o panu słyszałam" – mówię mu w odpowiedzi. Prezydent się śpieszył. Zapraszał wszystkich do wielkiej sali. Poszliśmy tam również. Na ścianie głównej wisiał wielki portret Ostrowskiego. Sala była pełna ludzi. Ostrowski nakazał wszystkim ewakuację, po odebraniu trzymiesięcznych poborów, i ogólną ucieczkę. Ludzi ogarnęło poruszenie. Zobaczyłam swego znajomego jeszcze ze szkolnych lat. Podszedł do mnie i uspokoiłam się trochę, bo wiedziałam, że ten dobry człowiek uratuje mnie choćby z piekła. Znów pojechaliśmy do Kuszelów, ale bez Natalli. Ona pobiegła do rodziców Adamowicza[171], którzy zostali sami. Najmniej myślała o sobie, pomagała innym.

Rozkazano wszystkim zebrać się już z rzeczami koło budynku, w którym odbył się kongres. Zaczęłam pakować rzeczy Kuszelów i wiązać wszystko w tobołki. Kuszel rozejrzał się po mieszkaniu i powiada: „Trzeba, żeby nasze serce pozostało z nami, reszta to głupstwo, rzeczy nabyte". Dużo czego pozostawało. Usmażyłam jajecznicę, nakarmiłam wszystkich i pojechaliśmy na ten podwórzec, gdzie zebrało się już dużo ludzi. Nie widziało się walizek: toboły i toboły. Serce ściskało się na widok tych ludzi. Dokąd jechać, do kogo jechać? My, którzy

byliśmy zaproszeni z zagranicy, mieliśmy prawo odjechać pociągiem. Sporo nas było. Przyjaciele wyprosili samochód osobisty Ostrowskiego i złożyli do niego swoje rzeczy. Wsadzili mnie do samochodu, żebym jechała z nimi, jak przyjdzie kierowca. Samochód pełen teczek, walizeczek, a ja siedzę pośród nich i pilnuję. Twarz mam we łzach, chociaż wszyscy są dla mnie dobrzy, ale miasto w gruzach niemiłosiernie przygniata. Niemcy jadą, szwargoczą, a my tu siedzimy, czekamy łaski wrogów – żeby oni sczeźli!.. Podszedł do mnie Aleś Saławiej[172], przysiadł, taki piękny młodzieniec i przedeklamował mi moje wiersze. Z maleńkim zawiniątkiem i młodą żoną z dzieckiem na ręku podszedł jeszcze jeden poeta. To był cały jego skarb. Łykałam łzy. Dla wszystkich obfita moja Białoruś, mieszkają tu i bogacą się różni odszczepieńcy, tylko dla swoich dzieci ona taka nieszczodra. A one ją kochają, życie swoje składają jej w ofierze i giną, i wiatr ich ślady zamiata. Nawiasem mówiąc, tamten poeta z żoną trafił w Niemczech do bauera. Ich dzieciątko zmarło i nie mieli w czym go pochować, aż przeklęty fryc zlitował się i dał dwie deszczułki zmarłemu Białorusiątku. Zakopali je jak zwierzątko.

Siedzę, czekam na szofera. W końcu widzę: nadchodzi spasione chłopisko i zobaczywszy mnie krzyczy co ja robię w jego samochodzie. Mówię mu: „Te rzeczy zostawili tu przyjaciele i powiedzieli, że pan zawiezie je razem ze mną na dworzec". – „Nikogo nie powiozę, to nie moja sprawa" – grzmi jego wysokość szofer prezydenta. „Ach tak, ty taki owaki, gdy tylu ludzi w niebezpieczeństwie i trzeba im pomóc, będziesz ty mnie tu słuchać, czy nie? Nie? To wiedz, ty wilczy pomiocie, że wieźć mnie to za duży honor dla ciebie, paskudo!" – krzyczę, a sama wyrzucam z samochodu rzeczy na kupę. Zdumiony szofer może by mnie już i powiózł, ale z takim zwierzem, fagasem niemieckim sama już nie chcę. A przecie sam prezydent pozwolił przyjaciołom skorzystać z samochodu, więc cóż on tu się znęca nad nami? Ludzie patrzą na mnie jak na raroga. Podchodzi kulejąc jakiś mężczyzna, daje mi kij i mówi: „Niech mu pani da tym kijem, łobuzowi, mam ich po dziurki w nosie. Ja, lekarz, chciałem tu zorganizować Białoruski Czerwony Krzyż. A oni, tacy jak ten, nie pozwolili mi, gady". Na dziedzińcu narasta bunt. Ale kapitan opuszcza tonący statek ostatni! O tych ludziach nikt nie myśli. Wracają wreszcie przyjaciele, pociągu nie ma. Widzą, co tu się dzieje, milczą, kręcą nosami, a do mnie podchodzi batiuszka[173], mój swojak do tego, i proponuje swoją furmankę na rzeczy i gościnę w swoim domu w pobliżu dworca, żeby było bliżej. Jego człowiek już ładuje walizy na wóz, ale powstaje przeszkoda. Skądś się pojawia typ wysoki, czarny o nazwisku Ściapanow. Przyczepił się do moich

mężczyzn, a jest ich koło dziesięciu, żeby nigdzie nie jechali, że on ich zawiezie do schroniska, tam przenocujemy itd. Nie pozwala ładować rzeczy. Krzyczę, żeby sobie poszedł i żeby nikt go nie słuchał, bo jego schronisko w ruinach – to jest diabelska pułapka! Czuję łapę Jermaczenki, on chciał, żeby tutaj był i mój mąż, i nasz syn, który nie ma jeszcze dziesięciu latek… Nie odchodzi, bandzior, tylko mówi: „Nie słuchajcie tej kobiety, nie jedźcie do popa, tutaj urządzimy z wami wesoły wieczór". Dla mnie wszystko jasne, nas stąd wszystkich zabrać trzeba. I nie Niemcom my potrzebni. Jasne jak słońce! Kombinuję jak tu być bliżej dworca. Już ich kilku się zgrupowało przeciwko mnie. Wreszcie mówię: „Kto chce jechać ze mną, niechaj jedzie, a jak nie, to będzie z wami źle". Ściapanow wyjął paczkę papierosów, całą setkę, i częstuje nimi Jezowitowa, a ten spojrzał na niego i powiada: „Pańskie papierosy nie w moim guście…".

Furmanka ruszyła i my wszyscy poszliśmy za nią. Nikt nie odszedł. Nie opuścił nas i Ściapanow z kompanią. Odprowadzał nas trzy kilometry do tego batiuszki, namawiając wciąż, żebyśmy wracali, ale zwyciężyłam ja! Córka tatowej siostry, cioci Mani, była żoną ojca Łapickiego i właśnie do nich przyjechaliśmy.

Przy stole siedział staruszek batiuszka Bałaj[174] razem z nami, a najważniejsze, że my ze swymi rzeczami. Moi kuzyni, żona i syn ojca Bałaja odjeżdżali do cerkwi, która miała bardzo mocne sklepienia w podziemiach. Siostrunia mnie nie zapraszała, a ja siadłam na kanapie, zdjęłam buciki i odetchnęłam. Nareszcie spokój. Ze mną przyjaciele. Po jakimś czasie poszliśmy z Jezowitowem na dworzec. Wszędzie leżało pełno rannych, jęczeli. Pociąg odchodził dopiero o piątej rano, ale żeby dostać bilety, trzeba było mieć poświadczenie o odwszeniu, po niemiecku – Entlausungschein… Ależ ci Niemcy! Giną, podciągają portki w biegu, a do ostatniej chwili trzymają się regulaminu i „Ordnung"!

Znowu jestem na kanapie. Przy stole wszyscy przyjaciele. Na stole rewolwery. Wszyscy zdenerwowani. Przyszli jeszcze nieznajomi. Widocznie i oni rozgryźli Ściapanowa, ale milczeli i patrzyli, co będzie dalej. Jeden z przyjaciół znał moją rodzinę, mego dziadka. Mówi do mnie: „Jakże pani z takiej bogatej chaty tak dobrze zna nasz byt, duszę naszego ludu? Skąd się pani wzięła taka piękna?". Jestem tu sama pośród nich. Niemal płaczą, że trzeba uciekać ze swojej ziemi, na pociechę dumni z tego, że przynajmniej na kongresie występowali twardo przeciw Niemcom. Nie wymieniam ich nazwisk, niech żyją w spokoju. Na stole pojawiła się przekąska, flaszka. Pili i płakali, i wszyscy byli jedno. A mnie gotowi byli bronić swoim życiem. A tu – nie ma pewności, czy dożyjemy do jutra…

Alarm. Wszyscy skryliśmy się w piwnicy, siedliśmy na batiuszkowych ziemniakach i kubłach, ale Jezowitow wyciągnął mnie za rękę i mówi: „Nie bój się, mój słowiczku, oni nie będą bombardować miasta".

Następnego dnia raniuteńko byliśmy już na dworcu. Zaświadczenia o odwszeniu ja i Jezowitow po prostu kupiliśmy. Zajęliśmy cały przedział. Jeszcze przysiedli się do nas krajanie i czekamy na odjazd pociągu. I tu – zamarłam: zobaczyłam Ściapanowa, a z nim niemieccy żołnierze, którzy napadli na nasz przedział z wrzaskiem: „Raus, russische Schweine!"[175]. Wszystkich nas wyrzucono! A pociąg rusza! Kuszel dał mi ze sobą do przewiezienia dla niego długi kożuch, a ja mam jeszcze swoje rzeczy. Dałam kożuch Siedniowowi[176], poecie, bo on nic nie miał ze sobą. Wszyscy rzucili się do innych wagonów, kto gdzie mógł. Pociąg ruszył. Na kijku wisiał Kuszelowy kożuch, a Siedniow jechał na zderzakach. Ot co potrafił Ściapanow!..

Niemcy siedzieli jeden na drugim. Nabrali ze sobą maszynek, paczek, burczą na nas, omal nie wypychają z wagonu. Przyjaciele mitygują ich, a ja proszę, żeby się nie poniżali, niech będzie, co ma być. Dziesięć minut jedziemy, a piętnaście stoimy i tak się pomalutku posuwamy. Niemcy przycichli, wciąż na mnie popatrują, a ja pożywiam swoich przyjaciół – każdy przyniósł mi, co tam miał, i ja rozdzielam wszystkim Białorusinom i nieznajomym po równo. Jechał tam jakiś lekarz, jechali inni, których całkiem nie znaliśmy, lecz z którymi jednakowo dzieliliśmy się. Niemcy warczeli, potem zaczęli wymyślać na głos. Dla nich my wszyscy byliśmy „russische Schweine" i siedząc na swoich trofeach zgrzytali zębami ze złości, że ta ich pełna pychy i pewności siebie wyprawa po kolonie zakończyła się tym, czym powinna się była zakończyć – ucieczką na złamanie karku do domu. Chłopcy denerwowali się, ale ja poprosiłam, żeby wzięli na wstrzymanie i nie odpowiadali na zaczepki. Gdy było już nie do wytrzymania, podniósł się z miejsca starszy Niemiec i powiedział, że zna naszą mowę, i zwrócił się do nich: „Powinniście się uczyć od tej kobiety, jak być człowiekiem". I jeszcze coś tam im mówił. Wszyscy poczęli mi się przyglądać, a jakiś baronet, którego w ubraniu cywilnym wysłano z frontu do domu ustąpił mi miejsca i wszyscy odetchnęliśmy swobodniej.

A pociąg wlókł się i dwa razy tyle stał, co pełzał. Na każdym takim postoju przychodzili do mnie przyjaciele, którzy trafili do innych wagonów. Każdy coś mi przynosił: albo cukierek, albo kawałeczek ciasta z domu, Mironowicz[177], nasz artysta malarz – wielką srebrną monetę łotewską „łat", które Łotyszki noszą jako medaliony. A Najdziuk[178] nazbierał koło torów na zaminowanym polu pierwszych

czerwonych poziomek i przyniósł je mnie. Niemcy nas obserwują i niczego nie rozumieją. Jeden nie wytrzymał i pyta mnie: „Niech pani powie, madame, czyżby pani miała tylu kochanków?". Zdumieliśmy się wszyscy: o czym jak o czym, ale o miłości w ich rozumieniu nikt z nas nie myślał nawet patrząc na poranioną naszą ziemię. Jeden z przyjaciół powiedział: „To jest nasza poetka". Niemiec nie rozumie tego, mówi, że u nich także są poetki, ale aż takich uczuć nikt do nich nie żywi… Żadną miarą nie mogliśmy wytłumaczyć Niemcowi naszej wzajemnej miłości, głębokiej jak niedola naszej Ojczyzny.

Dalej od Mińska postoje robiły się rzadsze. Na jednym takim wyszedł z wagonu również Niemiec, który zadał nam tamto pytanie. Utykał i wolno ruszył wzdłuż wagonów. Gdy wrócił, podał mi bukiecik chabrów bez jednego słowa. Widocznie zrozumiał nas. Na jednym z postojów mnie także przyjaciele wyciągnęli z wagonu. Była to jakaś stacja. Z daleka nadbiegał chudy duchowny, aż mu warkoczyk na szyi podskakiwał. Widocznie uciekał przed frontem. Wezwano mnie do wagonu, gdzie omal nie zemdlałam: na ławce stała butelka wódki i zakąska, a przy niej Jeremicz[179] z okropnym Ściapanowem – raczyli się kielichem… O moi naiwni przyjaciele! Żadnych zasad! Gdzie dalekowzroczność?!.

A pociąg przyśpieszał. Przyjaciele wykańczali moje żelazne zapasy, wszyscy domagali się ode mnie pamiątek, dawali swoje souveniry. Za oknami migały wioski, szare jeszcze chaty, kobiety koło nich wymizerowane, szare, zagonione. Zupełnie jak na obrazach Mironowicza. Staliśmy z nim i sprzeczaliśmy się. Ja zawsze widziałam naszą Białoruś hożą, kwitnącą, radosną. On dowodził mi, że się mylę, a ja mu mówiłam, że patrzę do przodu. Po drodze ludzie wychodzili z pociągu i robiło się luźniej. Po drodze równoległej do pociągu jechała masa samochodów bez początku i końca… Niemcy już całkiem oswoili się z nami, tylko my na nich prawie nie zwracaliśmy uwagi. Zachodziło powoli słonko i kładło pożegnalne promienie na szeroką porębę wzdłuż torowiska, na pola, na wioski, i tam były moje oczy i serce. Zdawało się, że widzę swój dom, tatę kroczącego ciężko po ścieżce, roześmiane siostry. Braci zagadanych i mamę zakłopotaną, jak przyjąć mnie i czym podjąć swe dziecko oderwane od serca.

W domu, ilekroć zachodzące słońce kryło się za chatą i jego ostatnie promienie jakoś tragicznie lizały wzgórek naszego podwórka, ogarniała mnie żałość i trwoga o dzień jutrzejszy. Serce ściskało przeczucie czegoś niedobrego i ja biegłam do domu i wspiąwszy się na palce obejmowałam tatę za szyję lub tuliłam głowę do maminej piersi. Mama krzywiła się, zniecierpliwiona jakby trochę tymi

moimi dorosłymi odruchami, ale czuło się, że jest szczęśliwa, bo milkła i wycierała oczy. W takich chwilach całowałam główeńkę Lusi i raz nawet powiedziałam na naszą świnkę „świneczko dziecinko", czym mnie później czasem przezywano. Dziękuję tamtym dniom za miłość do mnie prawie każdego stworzenia, drzewa i ziemi samej. A może to ja tak wtedy wszystko kochałam?

Jeszcze maleńka, miałam wielkie przeżycie. Opowiedziano mi o raju i piekle, i ja ciągle rozmyślałam, co zrobić, żeby ukochani moi rodzice nie trafili do tego piekła. Niech już lepiej ja za nich odpokutuję. Nie sypiałam po nocach, ciągle płakałam i bardzo chciałam prędko umrzeć. Ten strach długo mnie prześladował. Byłam pobożna od kolebki, jak od kolebki już byłam wierną córką swojej Białorusi. Chude, chorowite, brzydkie dziewczątko, rozkochane w swych rodzicach i w dookolnym rodzimym żywiole.

Łzy spływały mi na dłonie, a pociąg gnał. Piekło dopadło moich rodziców, wróg zburzył nasze gniazdo, a ja jestem bezsilna, pierwszy raz w życiu jestem bezsilna i nie potrafię im dopomóc, uratować ich. Przypomniało się, jak śpieszyłam do domu z Wołkowyska taka mała. Wiecznie zamyślona. „Kędyż ty szłaś, córeczko?" – pytał tata. – „Biegłam na prostki, na Łazy[180]" – odpowiadam. – „Ach, dziecinko moja, tylko co pogoniliśmy tam trzy wilki, cielaczka rozdarły…". Aha! Teraz rozumiem, dlaczego tak ryczały krowy koło krzaków!..

Wszystko przelatuje przez pamięć i tak pragnie się zobaczyć mamę, i tyle, tyle jej opowiedzieć!..

Nie piszę o kochaniu, nie lubię obnosić się przed ludźmi z tym, co czasem boleśnie raniło serce. Wszystko to mijało, przechodziło, powszedniało, a miłość do braci, do ziemi, do Ojczyzny zawsze była jasnym Bożym światłem w mej duszy. To za nią znosiłam cierpienia i nie mrugnąwszy okiem poszłam na męczarnie, niosąc wysoko jej imię jak świętość, imię mojej Białorusi…

Nadszedł wieczór. Za Lidą[181] pociąg prawie się nie zatrzymywał, rwał naprzód co sił w tłokach. Tam musiało być mniej partyzantów. Niemcy zaczęli śpiewać o „Heimat", bo cokolwiek by nie powiedzieć, jechali radzi do swych domów. Myśmy powychodzili z pociągu koło Wilna i poszliśmy do Jeremicza, który nas wszystkich zaprosił. Jego żona[182], Polka, oraz córka[183] nie bardzo były rade naszemu masowemu najściu, ale ugościły nas i ja nie zwlekając poszłam spać. Mężczyźni jeszcze rozprawiali. Następnego dnia odwiedziłam tam swoją kumę, panią Malicką. Bardzo czekała Rosjan, bo zjawił się ksiądz, który zapewnił ich o ojcowskiej miłości Stalina do katolików. Ten ksiądz, sprzedawczyk czy naiwniak, cieszył

się podówczas w Polsce dużą popularnością. Z rana pożegnaliśmy się z Jeremiczami i podmiejskim pociągiem pojechaliśmy do Wilna. Twarz miałam spierzchniętą, nogi spuchnięte. Szliśmy pod Ostrą Bramą do Najdziuków[184]. Jezowitow kupił mi po drodze jagody, Mironowicz niósł lody, jak dziecku…

Popatrywałam na nich z miłością i życzyłam, żeby im się udało ujść z życiem z tej całej niedoli. U Najdziuka spotkała nas cała miła rodzinka, szczególnie żona[185]. Bardzo szczodrze nas podjęto. Jezowitow i Mironowicz wybierali się do Rygi. Trzeba im było ratować bogate swe archiwa. Pożegnaliśmy się jak z najbliższą rodziną. Nigdy więcej ich nie spotkałam.

Z Najdziukiem i jeszcze jednym przyjacielem poszliśmy zwiedzać Wilno, w którym byłam po raz pierwszy. Wstąpiliśmy do księdza Adama Stankiewicza[186]. Ucieszył się. Mój przyjaciel mnie uprzedził, że z polityką księdza nie zgadza się, ale zachował się przyjaźnie. Ksiądz Adam od razu zdobył moje zaufanie. Obejrzeliśmy jego książki. Z Pragi akurat przyjechał Klimowicz i opowiedział o białoruskim duchu naszego domu na obczyźnie. Ksiądz był poruszony. Później poszliśmy na Plac Łukiski, gdzie owiał nas duch męstwa Kastusia Kalinowskiego[187] i poczucie odpowiedzialności za los naszego narodu, jego mowy i kultury. Nam się nie rysowało nic jasnego, tylko Murawjowowie[188] jak za czasów Kastusia, ale słabszymi być myśmy nie mieli prawa. Za sobą mieliśmy hekatomby ofiar za Białoruś. Szliśmy różnymi drogami, każdy walczył jak umiał i jeżeli walczył za swój naród szczerze, będzie mu to policzone.

Ostatnie westchnienie Kastusia nie pozwoli nam się zatrzymać nawet w najbardziej rozpaczliwym momencie naszych zmagań za losy Ojczyzny… Czułam to.

Wieczorem długo po białorusku mówiło radio. Słuchaliśmy. Nocą przyjeżdżali uciekinierzy z Białorusi. Smutni. Pędzą dalej. Następnego dnia poszliśmy na dworzec. Pociągi nie odchodziły. Długo siedzieliśmy. Najdziuk pocieszał mnie, dziękował mi za wszystko, za ducha moich wierszy: „Za to, że taka jesteś…". Szedł jakiś pociąg wojskowy, a myśmy nie mieli ni papierów, ni biletów, a też i mówiliśmy po niemiecku oboje fatalnie. Co robić? Nakupowaliśmy niemieckich czasopism ze swastyką i Führerem jak należy i wsiedliśmy. Cóż… Mogą nas tu rozstrzelać – bez wyroku. Ale – żadnego strachu! Wszedł Niemiec, a mój przyjaciel wskazuje na półkę, gdzie ma w walizce papiery, i dalej przegląda pismo „Sygnały" (było takie czasopismo). Przeszło… Trochę się spociłam.

Na granicy między Litwą i Prusami wysiedliśmy. Tutaj już od dezynfekcji wykpić się nie dało. Trzeba było wszystko oddać do odwszalni i moje praskie

stroje były jak psu z gardła wyjęte. Dokoła było dużo furmanek, to Rosjanie końmi jechali do Niemiec w świetle księżyca. Parę kilometrów szliśmy piechotą do granicy. Tam zażądano od nas papierów, ale widać było, że jesteśmy Europejczycy, a do tego u Natalli Arsienniewej chwyciłam trochę tytoniu na wszelki wypadek, więc poczęstowałam nim pograniczników. Pociąg niósł nas przez Prusy. Na jakiejś stacji zobaczyliśmy rodzinkę batiuszki Łapickiego. Siedzieli na licznych pojemnych tobołach. Moja siostrunia zauważyła, że koło mnie sami mężczyźni… Było mi wstyd za poziom myślenia i postrzegania i byłam rada, że jedziemy dalej do Insterburga[189]. Oni wszyscy kierowali się do Königsberga[190], pewni siebie i zadowoleni.

Jesteśmy w Insterburgu. Mój towarzysz podróży, który przeprowadził mnie przez te wszystkie drogi, jechał z powrotem do rodziny. Jego pociąg odchodził wkrótce, a mój – wieczorem. Odprowadziłam go do wagonu, spojrzał na mnie smutno i powiedział: „Może chociaż pocałujesz mnie za wszystko…". Podstawiłam mu spierzchnięty od wiatru policzek i roześmiałam się. Pociąg ruszył. Wieczorem na swojej walizce, zmęczona, samotna, smutna jechałam przez Toruń do Pragi.

Jestem w Czechach! Muszę się przesiąść do pociągu na Pragę. Zapomniałam jak się nazywa ta stacja. Wychodzę i widzę przed sobą Rusaka! Ale heca! Jakeśmy razem wyjechali, tak razem wracamy, ale jakoś nie chciał ze mną rozmawiać, udawał ważniaka… I oto tramwajem podjeżdżam pod swoje mieszkanie. Dobrze jest w domu. Nikogo nie ma. Leżą zeszyty Jury, przeglądam je machinalnie. Patrzę, na siebie – ręce mam brudne, twarz spierzchniętą strasznie, nogi spuchnięte jak kłody. Ktoś jest koło drzwi – to powraca mąż. Pierwsze pytanie: czy przywiozłam mu książki z Zelwy?.. Jak wróciłam żywa, jak to wszystko przeżyłam, jak Ojczyzna przed frontem – o tym ani słowa… Rozpłakałam się… Stanęli przed oczyma ci, co chcieli mnie bronić do ostatniego tchu, ci co płakali dziwnie po męsku żegnając się z Ojczyzną…

Nagrzałam wannę, wykąpałam się, usnęłam. Następnego dnia obudził mnie dzwonek. Otworzyłam. Patrzyła na mnie z roześmianą twarzą pani Ruženka, której zostawiłam Jurkę, ale twarz jej raptem zbielała i złośliwy grymas zastąpił uśmiech… Ona się śmiertelnie przeraziła, zdumiona, że ja powróciłam do domu. Zmroziło mnie. Ja przedtem także nie wierzyłam tej kobiecie, która na siłę pchała się nam do mieszkania. Dziś żałuję tylko, że nie przepędziłam tej kobiety precz od naszego progu…

Wychowana przy matce, pojęcia nie miałam, że ludzie mogą być niewdzięczni za dobro, że mogą podle szpiegować swych znajomych. Juraczka był wesoły i on jedyny cieszył się z mego powrotu. Po kilku dniach zaprosiła mnie na wizytę u siebie Widawisa Pawłowna Lacka, żona zmarłego profesora Lackiego[191]. Interesowała się jak wygląda Mińsk i jakie tam nowości. Spoglądałam na ściany ich pokoi, zawieszone wielkimi fotosami Mereżkowskiego[192],Teffi[193], Gippius[194], Błoka[195] i innych. Wszystko to byli przyjaciele gospodarzy. Poozdabiali swymi „własnoręcznymi" podpisami całe mieszkanie, bo wszyscy byli członkami żartobliwego „Sojuza Obiezjan" (Związku Małp). Piłyśmy kawę, gawędziłyśmy. Zdziwiło mnie zainteresowanie Widawisy Pawłownej moją osobą. Jechałam do domu rada, że straszne już minęło. Nie miałam ochoty powracać myślami do minionej podróży, bo ciosem noża w serce była myśl o Rościsławie, o jego losie, o leciwych rodzicach męża… Potrzebowałam spokoju, żeby odbudować swoje siły.

W domu czekała mnie niespodzianka. Obaj mińscy duchowni z rodzinami z Königsberga zjechali do nas do domu… Goście są goście, ale tutaj nie gościna, bo trzeba ich jakoś ratować, zameldować, urządzić itp. Przy tym mój mąż nie lubi duchownych, ani kłopotów z nimi i w ogóle zrobił się nerwowy, jakby i sam siebie nie lubił… Ale wszystko się jakoś utrzęsło. Ojciec Bałaj miał syna, pięknego jak z obrazka, i gdy ktoś do nas dzwonił do drzwi, matuszka chowała chłopca w toalecie czy w łazience, żeby nikt go nie widział i nie porwał. U Łapickich było dwoje dzieci – Lola i Żorżyk, akurat rówieśnicy dla Jury. On się nimi zajął. Gestapo nie pozwalało ich zameldować i wtedy przypomniałam sobie czeskie małżeństwo, które poznałam wyjeżdżając do Mińska.

Znalazłam sama i rząd, i tego człowieka, który szczerze się ucieszył, że widzi mnie żywą. Zaprowadził mnie do swego naczalstwa. A naczelniczką Pomocy Społecznej dla Czech i Moraw była Frau Not. Kobieta wysoka, po czterdziestce. Wypytała mnie o podróż i powiedziała, że wokół Mińska była wielka zdrada. Rozmawiałyśmy jeszcze, i jakoś tak się stało, że ja, poruszona tym co widziałam, pytam ją jak ona może znosić takie zachowania swoich rodaków na naszej ziemi? Odpowiedziała mi bardzo poważnie, że moralność jej współziomków bardzo upadła i ona nie ma prawa opuścić swego stanowiska, gdy potrzeba ludzi szlachetnych i oddanych jej ojczyźnie… Była to prawda.

Jak mówili mi Czesi, Frau Not starała się zawsze złagodzić surowe nakazy tego czasu i bardzo aktywnie pomagała Czechom. Przy mnie wezwała swoją sekretarkę i przykazała jej wpuszczać mnie do siebie o każdej porze, gdy tylko będę

potrzebowała. Pomogła mi zameldować duchownych, dając gestapo takie polecenie i jej słuchano.

Tego Czecha zaprosiliśmy do siebie na poczęstunek, na kielicha. Z Frau Not bardzośmy się zaprzyjaźniły i mogłam teraz pomóc każdemu, kto potrzebował pomocy. Gościła mnie sympatycznie w swym bogatym mieszkaniu, opowiadała o swoim narzeczonym, który jest chirurgiem wojskowym. Codziennie pisała do niego listy.

Wkrótce moi goście byli już rozlokowani. Nie było dla mnie rzeczy niemożliwych, ludzie mi pomagali z radością jak tylko mogli. Nie zdążyłam otworzyć ust do Micinów, jak oni już odstąpili jeden pokój rodzinie ojca Bałaja, a Łapiccy ulokowali się w Modrzanach z panią Kreczewską w mieszkaniu wujaszka Wasila, za które płaciliśmy my. Zapomniałam o jeszcze jednej rzeczy. Zanim włączyła się Frau Not, naszym duchownym powiedziano, że nie będą zameldowani, bo nie mają pracy. Łapicki zamyślił się i wreszcie pokazał mi brudnopis od Jermaczenki. A więc batiuszka i tam już był.

Jermaczenka nadyktował mu o sobie, że był w Mińsku człowiekiem wierzącym, humanitarnym, pomagał wdowom, cerkwi itd. Same niewiarygodne łgarstwa, które Łapicki miał podpisać. Wzięłam od niego tę pisaninę i poszłam sama do praskich duchownych, do ojca Isakija. Mówię mu: „Ratujcie naszych kapłanów, oni mają pieniądze, ale dajcie im tylko pracę dla oka, żeby ich zatrzymać tutaj, w tej mniej więcej zacisznej Pradze". Zrobili mi to z radością i polecili, żeby ojcowie już tego dnia przyszli odprawić wieczorne nabożeństwo! Jakże oni się zdziwili, gdy kazałam im iść odprawiać nabożeństwo! A gdy jeszcze udaliśmy się do Frau Not i załatwiwszy wszystko obeszliśmy się doskonale bez Jermaczenki, uradowany ojciec Mikołaj Łapicki powiedział: „Pani nie ma żadnych apartamentów, żadnych samochodów, nawet futra z karakułów, a potrafi pani zrobić wszystko, co chce, i to w Pradze, przy czym uczciwą drogą…". A Jermaczenka szykował już tę podkładkę dla naiwnych Amerykanów… Dobrze mu tak! Rozgniewał się na mnie strasznie. Zaczął w listach domagać się ode mnie, żebym oddała mu do archiwum wszystko, co tyczy się Białorusi. Posłałam go do diabła.

Do Pragi przyjechała córka Radosława Ostrowskiego z jego zięciem[196] i ci wszechmocni ludzie przyszli do mnie z prośbą o pomoc. Uzyskali pozwolenie na zamieszkanie w Pradze, ale pracy im nie dano… Poprowadziłam ich na Czeski Hrad do doktora Pipera. Śmieszne: w tym Pałacu Czernińskim czułam się jak w domu, jakbym tam kiedyś mieszkała. Czy to nie dziwne?.. Piper jak to Piper,

przyjął mnie uprzejmie, Minkiewiczowi zaś dał pracę w najlepszym praskim szpitalu na Bulowce. Ja go poczęstowałam papierosami, które zawsze miałam przy sobie w portcygarze wujaszka Wasila, i dla towarzystwa zapaliłam też sama. Pierwszy raz w życiu.

Wszyscy mi pomagali: Czesi, Niemcy, emigranci, komuniści i nacjonaliści, swoi i obcy. Dziękowałam Bogu, że nie opuszcza nas samych sobie wśród obcego narodu i czyni serca obcych ludzi przyjaznymi dla nas i oddanymi nam, a serca naszych rodaków – otwartymi i kochającymi moje imię i osobę, mego syna i mego męża, i to w takich strasznych czasach. Do Pragi zaczęli się zjeżdżać uciekinierzy z Białorusi, z Ukrainy. Do pani Kosacz-Szymanowskiej przyjechały jej siostry. Obie siedziały w sowieckich łagrach. Bardzo miłe, w chusteczkach, skromne, uczyły mnie rozumu, i bardzo dzisiaj żałuję, że ich nie posłuchałam.

Prawie wszyscy rodacy odnajdywali mnie i nasz dom. Byli to głównie żarliwi patrioci, którzy z bólem ruszali w świat tylko dlatego, że brak perspektyw dla pracy narodowej białoruskiej przy sowietach był im od dawna znany. Gdy stawało pytanie: wolność czy Ojczyzna – ludzie wybierali wolność. Nie wszyscy do nas zajeżdżali. Jechali jacyś Awdzieje i Bałdzieje, którzy, jak głosi fama, podorabiali się bardzo na ostatniej wojnie, handlując gorzałką i artykułami spożywczymi przy powszechnym głodzie. Tacy odwiedzali Jermaczenkę; z nami nie mieli o czym rozmawiać. Ostrowski z rodziną póki co zatrzymał się u Rusaka. Do nas wpadł tylko raz i to na chwilę. Widać było, że nie lubią mnie. A wszyscy nieszczęśliwcy z piekącym bólem po rozstaniu się z Ojczyzną byli u nas stałymi gośćmi. Razem biedowaliśmy. Nadszedł czas moim rodakom przyjrzeć się światu, który był całkiem różny od naszego tradycyjnego.

Juraczka uciekinierami szczerze się opiekował. Uczył się nad podziw dobrze. Gdy czasem wpadł mu gorszy stopień, ambitny chłopczyk zabierał się poważnie do lekcji i znowu szczycił się sukcesami. 27 lipca 1944 roku obchodziliśmy skromnie moje trzydziestoczterolecie. Mąż mi kupił złoty pierścionek z ametystem i zapatrzyłam się w niebieskość cudownego kamyka. Przypomniały mi się oczy mego średniego braciszka Arkadzia – były właśnie takie niezmącenie niebieskie. Tego akurat dnia oddawał Bogu duszę gdzieś w Loreto koło Rzymu w armii generała Andersa. Zawiadomienie o tym przyszło po wojnie. Już nie pisali do nas więcej ani Rościsław, ani rodzice męża. Lęk o ich losy zapierał dech. Wszyscy ratowali się, uciekali, a Rościsław szukał matki, którą bardzo kochał. Na próżno, wszystko na próżno, wiara w dobro sprawdza się tylko w humanitarnych demo-

kratycznych państwach. Do Pragi przyjechali poeta Siedniow, docent Żarski[197], Rusak. Byli to przeważnie ludzie sowieccy i tej wielkiej, nieomal świętej miłości i ofiarności wobec Ojczyzny nie żywili. Nie znajdywałam z nimi wspólnego języka. Czasem ich zachowania przypominały prowokację. Nie dało się pojąć, co dla nich stanowi wartość w życiu i czy jest coś, w co wierzą… Czas był kaleki. Co czekało tych, rozproszonych po świecie całym, co czekało tych w domu we wspólnym surowym kotle rosyjskim? Czy chociaż jeszcze przez parę dziesiątków lat pozostaną sobą?

Nam było najgorzej. Do wszystkich nieszczęść tego czasu spadło na nas i to, że byliśmy „kułakami"… Samo to słowo zabijało niewinnych, osierocało dzieci, skazywało na zsyłkę, więzienie, na cierpienia nie do opisania. Byliśmy jak Żydzi za Hitlera – wszyscy samym tym jednym słowem osądzeni na zagładę. To słowo jak ogniem wypalone piętno jest czytelne na moim czole nawet dzisiaj. Niosę je jak cierpienie i jak gorzką dumę za tych, co zginęli w męczarniach… Zwłaszcza dziś. Mam tych pieczęci „mniejszej wartości" na sobie więcej niż inni i wszystko to znoszę z dumą! Kiedyś przecież wszystko było tyko dla Polaków, później – „Nur für Deutsche"[198], a teraz tylko dla tych, co w partii lub dla donosicieli. W sowieckiej gradacji jestem na najniższej półce: 1. – Białorusinka, 2. – poetka niepokorna, 3. – „kułackie nasienie", 4. – zek – więzień Gułagu, 5. – chrześcijanka, która wierzy i się nie boi, 6. – syn w Polsce, 7.– przyjaciele na całym świecie, 8. – śmiertelnie winna za testament… Każdy z tych punktów jest tak straszny, że lepiej byłoby nie żyć na tym świecie, a ja jakoś żyję. I sama się temu dziwię.

W Pradze zmarł ukraiński poeta Ołeś[199]. Na pogrzebie było bardzo dużo ludzi. Złożyli mu hołd także Białorusini. Ja bardzo lubiłam dziennikarza ukraińskiego Olega Łaszczenkę[200], to był płomienny i rozumny patriota, swoisty w stosunku do ludzi, których dzielił instynktownie na wartościowych i nędzników. Wiedział zawsze coś nowego, dobrego. Niemców nienawidził do tego stopnia, że pewnego razu, gdy go chciałam poznać z Frau Piper, zaledwie bardzo niechętnie podał jej rękę. Miałam wielu znajomych, a nawet przyjaciół wśród Czechów, a on uznawał tylko Ukraińców, i to nie wszystkich. Za to gdy już kogoś zaakceptował, to na zawsze. Nigdy się co do ludzi nie mylił.

Czesi w stu procentach byli przeciw Niemcom i czekali z upragnieniem na Rosjan, rysując swoją przyszłość przy nich w różowych kolorach. Myśmy co do tego nie mieli najmniejszych złudzeń. Gorzkim doświadczeniem na moją rodzinę legła tak zachwalana przez różnych agentów kultura wschodnia. Perspektywy

były nieciekawe. A czas biegł i wiosną ludzie zaczęli opuszczać Pragę. Pociągi były przepełnione, ludzie wciskali się przez okna, jechali pod amerykańskie bomby, ale jechali.

Przewodniczącym Komitetu Samoobrony w Pradze był Aleksander Rusak[201]. Komitet znajdował się w jego mieszkaniu, gdzie on ulokował również Abramową[202] z rodziną, gdy przyjechali do Pragi. Zrobił to na moją prośbę, ale rychło musiałam pożałować swego zaufania. Abramowa bardzo prędko napisała donos na Rusaka do gestapo, żeby otrzymać po nim mieszkanie. Bardzośmy się rozczarowali do tzw. sowieckich Białorusinów, ludzi, którzy w dążeniu do swych niecnych celów chwytali się kłamstwa i oszustwa, gardząc wszelką etyką. Metody tych spryciarzy i przecherów były niekiedy haniebne. To były wilki w ludzkiej skórze. Żadnej dobroci ni miłosierdzia, żadnych granic dla zła. Rozmowa z takimi typami nie dodawała skrzydeł, tylko budziła sprzeciw wobec podeptania wszystkiego co dobre w człowieku i w ludzkości. Zdawało się, że ciężkie warunki egzystencji zabiły w tych osobnikach wszelkie ideały poza tymi, które w danym momencie dadzą się przeliczyć na zysk. „Co to jest? Materializm?" – myślałam, stroniąc od nich.

Pozytywnym wyjątkiem od tej masy byli Micinowie z Kijowa. Łączyli w sobie jakoś to, co szlachetne z tym, co praktyczne, pozostając przy tym bardzo dobrymi, inteligentnymi ludźmi. Prosili oni męża, żeby on też wyjechał z nami. „Nie, jestem socjalistą – twierdził mąż – i zostanę tutaj". Wobec tego prosili go, żeby pozwolił na wyjazd z nimi mnie z Jurką, że nas nie opuszczą, że wyratują, że zaopiekują się nami. „Nie – upierał się mąż. – Syna nie dam, a jeśli żona chce, niech jedzie sama, bez dziecka". Milczałam. Wstrząsał mną tylko nieznany dotąd strach przed tym, co nas czeka w przyszłości. Moim największym pragnieniem było wyjechać z Pragi jak najdalej, żeby uniknąć losu rodziców, który był straszliwą rzeczywistością. Wielkim męstwem było powstrzymać siebie i nie uciec, gdy uciekali najrozumniejsi.

Nigdy nie słuchałam męża, a teraz po raz pierwszy posłuchałam go. I zgasło dla mnie słońce, i chyba już nigdy więcej nie rozbłysło na moim szlaku. Micinowie tulili mnie do siebie, gdy odjeżdżali, namawiali mnie, żebym jechała z nimi, płakali. Na koniec przyszła do mnie Frau Not, żeby ratować mnie i syna. Nie pojechałam. Nakłaniał mnie doktor Janka Stankiewicz[203], żebym wyjechała, Łaszczenko zafrasowany nie mógł pojąć, gdzie ja zostaję?! A mój mąż gotował nam ciężkie cierpienia, głuchy i ślepy wobec losu.

„Co pani robi, pani Łaryso? – zapytywał zdumiony Łaszczenko. – W końcu przestaję pani żałować, a zaczynam współczuć bolszewikom: co oni mają z panią zrobić? Dwie są możliwości: albo dać pani jakieś wysokie stanowisko, albo od razu zabić… Biedni bolszewicy!" I żeby dowieść, że on jest nie mniej odważny, kolega Oleg pozostał w Pradze, podobnie jak ja. Wprawdzie schwytali go, ale udało mu się uciec od nich na Zachód. Szczęściarz! Ale on był nieżonaty i nikt nie stawiał mu ultimatum, nikt nie szantażował dzieckiem… Pani Piper, która zachorowała, także prosiła, żebyśmy jechali z nią razem, żebym była przy niej.

Przedtem, jakieś pół roku wcześniej, przyszedł do nas Opa (ojciec Frau Piper). Mąż był w pracy. Gość zaczął mnie uświadamiać, że teraz takie czasy, że lekarze pracują i łopatami, i że jego zięć nie jest w stanie w tym wypadku nam dopomóc, że mają rozkaz wysłać mego męża do pracy w obozie pracy na Morawach, do Kunic, dokąd przeniesiono z Austrii jakąś fabrykę lotniczą. Jasne było, że na Jankę złożono kolejny donos. Jermaczenka nie spał. A właśnie nastąpił nalot na Pragę i Opa został na obiedzie. Serdecznie i szczerze porozmawialiśmy ze staruszkiem. O ile w domu córki zachowywał się bardziej wstrzemięźliwie, o tyle u nas krytykował Führera bez reszty. Jasne było, co Niemcy myślą, ale strach o rodziny i o życie paraliżował im usta.

Tak więc mąż znowu musiał jechać gdzieś tam w lasy morawskie, gdzie w ciężkich warunkach mieściła się tamta fabryka i obóz pracy. Pewnego razu odwiedziłam go, dotarłszy tam przygodną ciężarówką. Mieszkał bardzo prymitywnie, ale stołował się w czeskiej rodzinie robotniczej i miał się tam dobrze. Poznałam tam Karela Votrubę, mężowego felczera. Był studentem medycyny, który, gdy Niemcy pozamykali czeskie uniwersytety, nie pojechał do Niemiec, żeby ukończyć studia, tylko wolał pójść do pracy w kraju. Karliček do ostatniej chwili pozostał naszym wielkim przyjacielem. Raz powiedział do mnie, że chciałby ożenić się z Białorusinką. Był to wspaniały człowiek i szczery przyjaciel.

Mocno się trzymał naszej rodziny Aleksander Rusak. Było w tym coś niejasnego. Różnie o tym się mówi. W owym czasie przewalało się wiele różnych ludzi, a myśmy nie posłuchali jedynej dobrej rady, którą mi kiedyś dał Jermaczenka: nie puszczać obcych do domu. Tymczasem chcieliśmy ludziom dopomóc czym można. Pojawiali się zewsząd.

Pewnego razu przyjechała do nas pani Maria Kreczewska ze swoim szwagrem doktorem Vukdeliciem. Był to Czarnogórzec, wysoki, przystojny, z synami Brankiem i Dragiem. Kiedyś studiował w Pradze i zakochał się w takiej jak on

studentce, ślicznej Białorusince, i powiózł ją do dzikiej Czarnogóry, gdzie wtedy jeszcze kobiety uciekały do lasu, żeby urodzić, i do domu przynosiły synów w podołku. Siostrze pani Kreczewskiej taki los nie groził, bo cała rodzina była oświecona. W bogatym czarnogórskim narodowym stroju wyglądała cudownie i wołano na nią „Kralica", co znaczy Królowa. Jadwiga zachorowała później na astmę. Urodziła dwóch synów i dwie córki I oto Vukdelić z synami przedzierał się z jakiegoś powodu dalej na Zachód, starając się uniknąć spotkań z Niemcami. Drago pięknie śpiewał po włosku. Chcieliśmy pomóc tej krwince naszej rodzimej białoruskiej jakimś ubraniem, niezbędnym w czasie niedostatków wojennych. Nigdy nie byłam skąpa i rada byłam dzielić się z ludźmi, czym mogłam. A pomagać trzeba było wiele komu. Czasem było śmiesznie, bo inni nieznajomi jacyś ludzie słali mi pieniądze. Jeden dobroczyńca napisał, że chciał sprawić radość sobie, więc przechodząc koło poczty wysłał mi pieniądze, bo już ja będę wiedziała, co z nimi zrobić. Inni, wychodząc z naszego mieszkania siłą wypychani, żeby uniknąć drobiazgowych rozliczeń, zdążali jeszcze wstąpić na pocztę, by wysłać mi tysiąc koron. Nie mówiąc już o tym, ile się paczek słało z chlebem czy cebulą ludziom…

Jednych się odprowadzało, innych się przyjmowało, a w kieszeniach przeważnie pusto. I dobrze było! Tylko moi sędziowie śledczy nie mogli tego pojąć; tu się ludziom bezinteresownie nie pomaga, więc nasze mieszkanie uznano za ośrodek amerykańskiego wywiadu. A myśmy tych Amerykanów na oczy nie widzieli, tak jak oni nie wiedzieli o naszym istnieniu. Czesi także przychodzili po pomoc, szukając dojścia do dobrego Pipera, który mi nigdy nie odmówił. Bywało, że choć witaminy wypisze więźniowi na Pankracu (więzienie praskie), a czasem i dopomoże poważniej.

Byłam taka, jaką mnie w domu wychowano, a Oleg Łaszczenko powiadał: „Gdyby panią, Łaryso Antonowna, znał Hitler, nigdy by nie mógł być taki okrutny i krwawy". Ale ten wyrodek nie znał natury Białorusinów i zaiwaniał po swojemu, przynosząc wstyd starej niemieckiej kulturze, a na nas napędzając strach wariackimi rozkazami. Gdy był zamach na niego, nie było człowieka, który nie życzyłby mu rychłej śmierci. Lecz niestety, los go zachował ku klęskom własnego narodu i na nieszczęście tych wszystkich, przez czyje ziemie toczyła się bezlitosna wojna, a po niej miały przyjść równie ciężkie udręki.

Znowu niepokoił mnie Janka. Nasze małżeństwo było jak sen, jak nierzeczywistość. Los nas ciągle rozdzielał: to po weselu na kilka miesięcy, to po urodzeniu Jury na dwa lata, to na Białoruś, to teraz na Morawy.

Na moim stoliku przy łóżku leży Ewangelia, którą czytuję wieczorem, a mały Jura tuli się do mnie i słucha. Jemu ciągle mało mego towarzystwa: „Mamo, niechaj dziś będzie mój dzień i będziemy tylko ze sobą, będziemy malować, czytać, opowiadać…". Tak nam wtedy jest dobrze! Jesteśmy jak dwaj koleżkowie równolatki, cieszy nas jedno i to samo, i gdy mu czytam fragmenty ze swojej „Rahniedy"[204], jemu się zdaje, że on jest małym Iziasławem[205]…

Nasze dzieje są również rozrzucone po archiwach praskich i smutne, że nie ma już ich odkrywcy, doktora Hryba, nie ma wujaszka Wasila, który pracował nad historią Białorusi. Żyjemy dziś jedynie trwogą o dzień dzisiejszy i o los najbliższych. Już nawet Europa jest podzielona i całe narody podołączano tam, gdzie chcieli spece od dzielenia, nie pytając o zgodę tych, którzy krew przelewali…

Znowu cudze porządki, znowu łamanie na inną manierę tego, co już było tyle razy łamane, i wymiana bogów i odwiecznej prawdy ludzi oraz ziemi, na której ci ludzie żyją od prawieków… Tak, nie było już więcej słońca. Ono przychodzi z błogosławieństwem, a nie z brutalną siłą, która wszczepia w ludzkie dusze prawa niedorzecznych osobników. Eksperyment. To właśnie jest to, co nas czekało po wszystkich okropieństwach minionej wojny. Pokój nie jest balsamem dla duszy, pokój – to nowe rany, których końca nie widać. Wojna nie skończona, jeszcze deprawuje się dusze, i karze się i piętnuje za wierność staremu Bogu… A On spogląda z wysokości swego krzyża, pozwala błądzić i, w poszukiwaniu różnych prawd, powracać na koniec do tej odwiecznej i mądrej: „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego". Bo tylko na tym można zbudować szczęście i pokój na Ziemi. Ideę miłości do człowieka Jezus z Nazaretu przypieczętował dobrowolną śmiercią na krzyżu. Nie, On nie pędził milionów wyborowej młodzieży na zagładę, żeby swoje idee zamocować siłą, lecz sam poszedł na śmierć. Wskrzeszał umarłych, uzdrawiał chorych, nakazywał ludziom, by się kochali nawzajem, by byli sprawiedliwi, nie pożądali cudzego, a więc i cudzej ziemi. Nauczał. Dwunastu apostołów, prostych ludzi, umocowało Jego prawdę trwalej i rozumniej niż dziś to robią tysiące gazet, radio i telewizja światowa. Mądrość jest skrzydlata. Ona jak nasiona dębu leci i ukorzenia się już na wieczność. Prosto i rozumnie, wzniośle i wiecznie.

A na razie gromadzą się w Pradze nieszczęśni własowcy, którym los pozwolił jeszcze trochę pożyć, bo oszukani przez Stalina, wydani wrogowi na jego łaskę i niełaskę, dawno już byliby nawozem tej ziemi, gdyby się nie ratowali w ROA[206]. Kto konał sam z głodu i masowego znęcania się nad ludźmi, ten sądzić ich nie może. Ich tragiczny los budzi łzy. Tu znowu dominuje pojęcie dwóch tyranii i trzeciej

możliwości ratunku nie ma. A gdyby choć kropla ludzkiego zrozumienia i współczucia dla nich! Tutaj najmądrzejszych czeka los baranów gnanych na rzeź i rozum tu bezsilny. Tylko siła, ślepa siła, tyle że bagnety nigdy nie zakwitną jak drzewa. Czołgi nie zaorzą pola pod chleb. Bomby to nie zabawki, a samoloty to nie ptaki…

U chrześcijan też byłby postęp, ale miałby humanistyczne cele.

Niemcy masowo uciekają z Pragi. Uciekają do przerażających Niemiec, do niedobitków zburzonych miast, gdzie panuje głód. „Ale tam z każdym dniem będzie lepiej – powiedziała mi Olga Petriwna, siostra Łesi Ukrainki – a tam, gdzie pani chce pozostać, tam nigdy dobrze nie będzie, nigdy…". Jakże często dzisiaj ją wspominam, ale ratunku nie ma. Mój „socjalista" był szczęśliwy, że wszyscy powyjeżdżali i moja osoba pozostała do prawnej małżeńskiej dyspozycji, a reszta jest bez znaczenia. Tylko poeci jak ptaki przeczuwają przyszłość i cierpią z wyprzedzeniem. I zdaje mi się, że stąpam po nożach i stopy mi krwawią.

Ktoś z Czechów przyniósł nam kawałek mięsa, poradził też kupić chleba na zapas. Wieczorem młodzi Czesi chodzą i zrywają niemieckie napisy na ulicach, i rozbijają je o bruk. U nas Wielkanoc, akurat Wielki Piątek. Przyszedł do nas inżynier Łoś. Bardzo rozumny Ukrainiec, żonaty z Czeszką, ale teraz zarysowuje się inna perspektywa na politycznym horyzoncie i Czeszka pomału go wypędza. Mają dzieci. Gdyby była Ukrainką, to poszłaby z nim zmagać się dalej, a Czeszce potrzeba tylko wygody i luksusu, na który widoków nie ma…

Przypomniała mi się inna Czeszka[207], żona doktora Janki Stankiewicza, znawcy i badacza al-kitabów. Ona jest jego najwierniejszym przyjacielem. Świetnie zna nasz język, a trzej synowie[208] jej to płomienni białoruscy patrioci. Nie każda Białorusinka dorównałaby jej w oddaniu sprawie naszej Ojczyzny. Daj jej Boże zdrowie! Nazajutrz, w Wielką Sobotę, idziemy z Jurą do cerkwi, do wielkanocnej spowiedzi i komunii. Jest niespokojnie. Moja spowiedź przypomina bardziej dyskurs polityczny z ojcem Isakijem, z którym dobrze się rozumiemy i łączy nas słowiańskość. Wychodzimy z synem z cerkwi. Słońce, wszędzie flagi narodowe amerykańskie, angielskie, sowieckie. Tłumy na Placu Husa. Wkrótce tam wybuchnie bitwa i czołgi rozbiją stary zabytkowy ratusz oraz słynny czeski zegar Orloj, w którym dwunastu apostołów wychodzi ogłaszać mijające godziny. Powiadają, że Czesi w średniowieczu oślepili tego mistrza, żeby nigdzie już nie mógł zbudować drugiego takiego zegara. Ktoś powiedział, że był to Żyd. Możliwe.

Gdybyśmy się zatrzymali jeszcze na minutę, byłoby po nas. Mieliśmy szczęście. Czesi już gdzieś walczą o rozgłośnię radiową. Wszędzie flagi i flagi… Młody

niemiecki żołnierz wyprowadza za rękę z samochodu pannę młodą w welonie z bukietem w ręku. Bardzo nie w porę… Już nikogo na ulicach, tylko barykady i strzelanina. Męża wzięto na punkt opatrunkowy w kościele. Chodzę do niego, a on umiera ze strachu, jak będzie pod kulami wracać do domu. Tylko ja jedna się nie boję. Idę, a kule mnie omijają. Ludzie wyrywają kamienie z bruku, barykady wciąż rosną, stoję w drzwiach naszego domu, wstydziłabym się nie być dzisiaj z ludźmi. Tak przez kilka dni. Radio nadaje od rana. Czesi wspólnie z własowcami chcą bronić Pragi, to znowu Niemcy błagają własowców, by ich nie porzucali. Zmieniają się od razu role. W naszej części Pragi jeszcze dość spokojnie. Rano słyszę przez radio, że sowieckie czołgi już są na przedmieściach Pragi! Jestem przerażona, wszystko, co o nich przeczytałam i usłyszałam, co przeżyła rodzina, staje przed oczyma, i już czuję jakby śmierć wyciągała po mnie swe kościotrupie ramiona i już mną zawładnęła. Ach, Janka!..

Po paru godzinach czołgi są na naszej ulicy. Siedzą na nich młodzi zakurzeni żołnierze z wesołymi minami zwycięzców. Oficerowie wydają jakieś komendy, są ważni i z rezerwą wobec miejscowej ludności, która ich wita, rzucając kwiaty na czołgi, dziewczęta w strojach ludowych wdrapują się na nie – maj! Jura już poznajomił się z jakimś oficerem, przyprowadził go do domu. On mi się nie podoba. Z jakiegoś powodu u nas zakwaterowuje się jakiś sztab. Wielkanoc u nas, więc stawiam na stół co mam, a oni przynoszą z kuchni swoje i wódkę. Śmieszą ich nasze kieliszki, proszą o szklanki. Słyszę jak major mówi żołnierzom, żeby niczego u nas w domu nie ruszali, że nie wolno!

A na zewnątrz Czesi dają wycisk Niemcom młodym i starym. Major mówi mi, żebym im powiedziała, że tak się nie robi, że leżącego się nie bije. Rozumiem, że to tylko słowa, bo czemuż to on sam im tego nie powie, tylko patrzy jak widz. Na nagich plecach Niemców sińce od bizunów. Oni rozbierają barykady. Wieczorem nasz mały sztab odjeżdża. Nazajutrz Czesi pędzą Niemców ulicami. Wszyscy oni mają wymalowane smołą swastyki na czołach. Są wśród nich kobiety i znani nam od początku wojny antyfaszyści. Czesi ich biją. Biją ich głównie kolaboranci, ci, którzy z nimi współpracowali. Łupią ich niemiłosiernie…

Prowadzą ulicą dzieci niemieckie. Wiedzie je ktoś ze Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża. Czeszki podbiegają, szarpią te dzieciaki, obalają na jezdnię, depcą nogami. Mąż mi nakrył głowę swoją marynarką: „Nie patrz, matko, nie patrz". A w domu siedzieć nie uchodzi, bo powiedzą, że nie cieszymy się z „wyzwolenia" i może być niewesoło… W domu Jura biegnie z płaczem i krzyczy: „Nie chcę żyć

na takim świecie, gdzie biją dzieci". Och, synku, potomku szlachetnego nieszczęsnego narodu!.. Sąsiadka przypadła do mej piersi i płacze: „Pani doktorowo, nie mogę patrzeć na znęcanie się nad ludźmi, ale tylko pani mogę to powiedzieć, swoich się boję". Miła pani Kopecka! Niedawno przecież pomagała, przechowywała Żydów… Na ulicy podeszli do mnie jacyś ludzie i mówią mi to samo, co moja sąsiadka. Ktoś z nich powrócił z obozu i nie może patrzeć, jak poniewiera się człowieka. Tak torturować i zabijać mogą nieliczni i właśnie im oddano władzę nad resztą ludzkości. Jeszcze tak niedawno, gdy koło nas zatrzymywał się pociąg z więźniami w pasiakach, podawaliśmy im jedzenie, współczuliśmy wszystkim, nawet Niemcom… A teraz… A teraz za jedno niemieckie słowo rozjuszone Czeszki katują na śmierć. Szli jeńcy belgijscy i zapytali o coś po niemiecku, to tak się na nich wyzwierzyły babska, że omal ich nie pozabijały i dopiero dowiedziawszy się, że to jeńcy, Belgowie, w jednej chwili przemieniły się w czułe samarytanki – ale Belgowie napluli im w twarz. Pędzą bose Niemki po tłuczonym szkle i batożą je i wciąż im mało, a wąsaci sowieccy wojacy wynoszą Niemcom po kuflu piwa. Bitwa skończona, ogłoszono zwycięstwo i żołnierz nie potrzebuje już zabijać, on pragnie pokoju. Trzech Niemców powiesili za nogi, oblali benzyną i podpalili. Niech diabli porwą taką kulturę! Przejąwszy bez reszty hitlerowskie metody, krzyczą, że oni są demokraci! Na Placu Pankrackim wieszają publicznie Pfinzera, to niemiecki historyk, który fałszował historię Czech i za to mu taki honor: publiczna egzekucja. Bodajby doczekać tak nam publicznego odłupcowania tych, co fałszują nam naszą przeszłość!

Od rana czeskie mamy z dziećmi w wózkach i jedzeniem czekają na placu na „widowisko". Niemało: trzydzieści sześć tysięcy ludzi. Mądra Anglia zapytała przez radio: czyżby to był naród Masaryka? Od tego momentu zaczęto wieszać na podwórcu więziennym. Smutny Karliček przychodzi i mówi, że z żadną Czeszką nigdy się nie ożeni, bo powściekały się. Do jego przyjaciela sędziego na Pankracu przyszła znajoma dziewczyna, żeby on postarał się dla niej „listok na popravu" (bilet na egzekucję przez powieszenie). Bo amatorom tego widowiska sprzedawano bilety. „Nie – mówił – nigdy się nie ożenię z moją rodaczką, lepiej wezmę Białorusinkę…". Drogi mój Karličku! Białorusinki też nie wszystkie są poetkami, nasze kobiety też są różne, ale takich, żeby chciały patrzeć, jak się wiesza ludzi, takich niewiele. Jedna tylko Eudokia Łoś jak na razie paliła moje żywe wiersze, więc jej można by zaproponować bilecik…

Mój Boże! Ten nasz naród nie jest jeszcze taki najgorszy – on w swym sercu człowieczym jest jeszcze dość kulturalny w porównaniu z tymi tu, z jednymi i drugimi w Europie. Bandyci są także u nas, ale my ich mamy za zwyrodnialców, nawet w czasach, gdy dla nich paliło się zielone światło, nie było ich wielu…

Jest koło nas sowiecki szpital. Stary sierżant co dzień zabiera tam z obozu kilka Niemek i nigdy ich nie krzywdzi, nakarmi je i jeszcze da ze sobą. One dziwią się jego wysokiej kulturze. Czesi długo jeszcze sprawowali sąd historii nad odwiecznym wrogiem Słowiańszczyzny, żal tylko, że metody ich odwetu-sprawiedliwości nie przynosiły honoru Słowianom w XX wieku naszej ery. Stworzyli taką „revolučni gardu" (gwardię rewolucyjną), którą powszechnie przezywano „gwardia rabownicza". Ci mołojcy strzelali do każdego, kto się nawinął pod rękę, aż jeden z nich przyszedł do naszej kioskarki kompletnie zdeprawowany i opowiadał, że te niemieckie dzieci, które prosiły go, żeby ich nie zabijał, stoją mu przed oczami w dzień i w nocy, i czuje, że oszaleje…

Przyszedł do nas pewnego razu z automatem partyzant słowacki, który wiedział tylko jedno: że drukowano mnie za okupacji, jak drukowani byli wszyscy co do jednego pisarze czescy i słowaccy. Przyszedł rozprawić się ze mną. Przystawił mi do piersi osławiony, opiewany, opoetyzowany automat i chciał już strzelać. Ale jeszcze pomyślał. Mieszałam ciasto w misie i nie przerywając mieszania wpadłam w śmiech nie do opanowania. Jura tymczasem był już na podwórku i wrócił do domu z potężnym żołnierzem Ukraińcem, który, zobaczywszy jak traktowana jest matka jego małego tłumacza, dobył z siebie kwiecistą połajankę i krzyk o tym, jak tacy, których myśmy wyzwolili, ośmielają się tu jeszcze straszyć nasze kobiety! Słowak zaczął się tłumaczyć, że gdyby wiedział, że Jura mówi po rosyjsku, tak by nie postąpił. Zdawało się, że on już nie Słowak, a prawie Rosjanin, póki ma automat w ręce. Posłał go Ukrainiec do wszystkich diabłów i „bohater" już się więcej u nas nie pokazał.

Sąsiedzi Czesi prawie wszyscy byli ze mną zaprzyjaźnieni, a w czasie samej rewolucji zjawiły się chłopy, które rozwoziły węgiel. Sami komuniści. Ja im, bywało, dawałam za każdym razem po garści machorki, w jaką nas szczodrze zaopatrywał z Białorusi tata męża. Skombinują trochę węgla, przyjeżdżają i proszą zapalić, no to daję im po trochu „ziela", nie biorąc od nich węgla, a przy wielkim święcie – traktując ich czarką znakomitego białoruskiego samogonu.

No to przybiegli bronić mnie w ten niespokojny czas. Więc powinszowałam im zwycięstwa i naskrobałam w pudełku zapalić.Przybiegł ze wsi i nasz bałachowiec

Suddziew, który również poczuwał się do patriotycznej odpowiedzialności za całość mojej osoby. Później byliśmy otoczeni samymi opiekunami.

Żołnierzyki, a zwłaszcza wyższe szarże, nałapały tryperków w Europie, oględnie mówiąc. Na tę okazję był dla nich odpowiedni szpital, ale komu by się chciało tam zgłaszać o takim podniosłym czasie wiktorii! No to leczył ich „swój doktor". Leczył chłopców bardzo sumiennie, a myśmy ich nawet lubili. Żaden z nich nie radził nam ruszać się z Pragi, ale w towarzystwie każdy opiewał z rozczuleniem piękno ziemi ojczystej i nawoływał do powrotu do domu. Myśmy wierzyli jednak rozmowom bez towarzystwa.

Mnie wszyscy dogadzali, wozili samochodami, przynosili podarki. Byliśmy zadowoleni, bo przestali się nami interesować „słowaccy bohaterowie". Nierzadko te nowe przyjaźnie były dla nas dość kłopotliwe: tego częstuj, tamtego wieź do rentgena. Najgorzej było, gdy oni częstowali się u nas okazując nam swoją wdzięczność, i należało wypić z nimi. To było nieuniknione. Po dwóch pojemniejszych kielichach mąż robił się nieżywy, a nie pić z nimi baliśmy się. W gruncie rzeczy myśmy się ich w ogóle bardzo bali. Pić z nimi musiałam ja jako ta silniejsza. W życiu nie piwszy, piłam pełnymi szklanicami, połknąwszy przedtem spory łyk oleju, i nic mi nie było! Trzymałam się, jak wszyscy Mikłasze, moi przodkowie, słynni z tego, że wypić potrafili, a nie tracili ani głowy, ani nóg. Mąż nie mógł się nadziwić. Zdawał sobie sprawę z mej rozpaczliwej ofiarności, ale nie rozumiał, nieszczęsny potępieniec, że to on mnie skazał na te pokuty, a ja go wyciągam z piekła.

Na razie więc wszystko biegło dobrze, bo głównie szło o to, by pozostać w Pradze za wszelką cenę. Póki co zabierano obywateli sowieckich, a myśmy nigdy sowieccy nie byli, więc nas to nie dotyczyło. Czescy aktywiści również trzymali się od nas z dala. Mąż pracował na swej ostatniej wojennej placówce w wielkich Zakładach Czesko-Morawskich w Pradze. Podczas wojny Czesi tam Niemcom robili czołgi, a teraz nawet nie wiem, co tam się produkuje. Męża zostawiono na miejscu, ale jego szef, Czech, musiał wiać. Z dyrektorami nie cackano się, kazano im ćwiczyć przysiady i inną gimnastykę jako karę za kolaborację. Męża bardzo szanowano. Nigdy im niczego nadzwyczajnie dobrego nie zrobił, ale i zła im nigdy nie wyrządził. Pomagał jak mógł i był jednym z czterech lekarzy zakładowych w Republice, których Czesi pozostawili w spokoju i w miejscu pracy.

Żyło nam się materialnie nieźle, tylko spokoju nam brakło – nie mieliśmy wiadomości od rodziców męża i od Sławaczki. Nie wiadomo było, co jest z mamą

i resztą rodziny. Tatę uważałam za zmarłego. Jego przecież zabito w grodzieńskim więzieniu, tak jak i stryjka Wałodzię. A o mamę byłam niespokojna.

U nas znowu zrobiło się centrum białoruskiego życia. Wszyscy uciekinierzy, którym nie udało się zbiec na Zachód, zbierali się u nas. Trzeba było ich jakoś ratować, bo do domu wracać nie chcieli. Częstym gościem u nas stał się Piotr Ściennik[209], bardzo dobry poważny chłopiec, zaangażowany w pomoc uciekinierom. Gdzieś na wsi koło Pragi mieszkali Białorusini, a wśród nich doktor Minkiewicz z żoną i dwiema córkami, z których jedna była narzeczoną Piotra. Z Piotrem rozumieliśmy się jak z rodziną i robiliśmy wszystko, żeby ratować naszych. Przychodzili i doktor Minkiewicz, i docent Żarski, który pozostał, żeby wrócić do domu, bo na Zachodzie obawiał się, jak twierdził, bezrobocia. Pojawiały się różne typy i dopiero teraz rozumiem, że wśród nich pełno było donosicieli.

Razu pewnego przyszła dziewczyna, która szukała męża. Mówiła, że uciekła z sowieckiego łagru, a miała przy sobie tylko indeks uniwersytetu wileńskiego, który okazała. Męża mego znała. Nie chcę wymieniać jej nazwiska. Zachowywała się niejasno, ale uważałam za swój obowiązek pomóc również jej. Rzuciła się przede wszystkim na papierosy, które paliła bez przestanku. Karmiłam ją, gdy wrócił mąż. Bajerowała nam, że uciekła z łagru, żeby zobaczyć nas, że ją wykradziono z obozu od Amerykanów do łagru sowieckiego. Słuchaliśmy jej nie podejrzewając, że jest nasłana po nasze dusze. Zobaczyła u nas Piotra i wciąż go wypytywała jak się dostać na Zachód. Piotr milczał. Razem z nim nie wierzyliśmy jej.

Wreszcie wspólnie z nim wysłaliśmy pewną Czeszkę do Pilzna, żeby nam się wywiedziała o wolny amerykański obóz dla przesiedleńców. Był najwyższy czas ratować ludzi. I trzeba było, że w tym momencie zachorowała córka Mikuliczów[210]. Zachorowała ciężko na tyfus. Położono ją w szpitalu na wsi, gdzie w ogóle jej nie leczono, bo miejscowy personel był komunistyczny, a Mikuliczów uważano za uciekinierów od sowietów. Biedni rodzice biegali koło okien, a dziewczyna konała bez pomocy. Ojca do chorej nie wpuszczano. Wkrótce przyszedł Piotr poczerniały z bólu – Hela zmarła. Nieszczęście pozbawiło nas ostrożności. Myśleliśmy tylko o umarłej. Mnie proszono, żebym się wystarała o zgodę na pochowanie jej na praskim cmentarzu dla emigrantów. Zwykle Czesi niczego mi nie odmawiali, i tym razem również nie odmówili. Ciało przewieziono do kaplicy cmentarnej. Było jakieś jesienne już święto i pojechałam do tej kaplicy na wieczorne nabożeństwo. Prawosławni dobrze mnie znali i ja ich również znałam.

Koło kaplicy zobaczyłam Żuka i zapytałam go ze zdziwieniem, co on tutaj robi. Popatrzył na mnie dziwnie i odparł, że przyszedł spojrzeć na mogiły żołnierzy. A tu pojawiła się jeszcze i „studentka uniwersytetu wileńskiego". Przeraziłam się. Powiedziała mi, że znowu ją wypuszczono z łagru i zaczęła nawijać, że praskim Białorusinom grozi nieszczęście. Moją nieufność wzbudziła cała atmosfera tego wieczoru, a tu jeszcze takie rozmowy… Dziwne.

Nazajutrz spadł deszcz. Mąż wyruszając do pracy prosił mnie, żebym nie jechała na pogrzeb, bo on także zaczął węszyć niebezpieczeństwo. Z rana przyjechał Piotr i zostawil u nas chłopczyka w wieku naszego Jury, a sam pobiegł na cmentarz. Pogrzeb miał się odbyć po południu. Zostawiłam w domu dzieci i powiozłam do tamtej kaplicy bukiet białych mieczyków. Pojechałam, żeby złożyć kondolencje biednym rodzicom i przeprosić, że nie mogę być na pogrzebie.

Matce powiedziałam, że zauważam, jak za mną wszędzie chodzą i boję się, żeby im nie przyczynić jeszcze większej biedy. Matka, zrozpaczona z bólu, zaczęła mnie prosić, żebym jednak koniecznie przyjechała. Powróciłam do domu, nakarmiłam dzieci i pojechałam z nimi na cmentarz. Mąż wracał z pracy dopiero wieczorem. Gdyśmy koło cmentarza na Olszanach wychodzili z tramwaju, zobaczyłam na drugiej stronie ulicy dwóch sowieckich oficerów, którzy widocznie stali tam od dłuższego czasu, bo aż im rogi się pozawijały na bluzach od deszczu. Podbiegłam do dzieci i ze strachu ogarnęłam je ramionami. Spokojnie szły pod dużym rodzinnym parasolem trochę zdziwione.

Zmarłą już pochowano. Spóźniliśmy się. Zasypano mogiłę, nad którą stali nasi ludzie, a między nimi, obejmując jedną naszą dziewczynę, stała ta kobieta szpieg. Zatrzęsło mną. Nasypano pagórek i poszliśmy do cerkwi. Nie wiedzieć skąd nazbierało się tyle naszych. Nie bali się okazać współczucia ziomkom w nieszczęściu. Stoję, patrzę na nich i płaczę, a ta kanalia pyta mnie, czemu ja płaczę? Mówię jej, że dokąd mają jechać ci nasi nieszczęśni rodacy, kiedyż wreszcie nasza Ojczyzna będzie dla nas, a my – gospodarzami w niej. Nie mogę powstrzymać łez. Po chwili podchodzi Piotr, wszyscy wyjmujemy portmonetki, składamy się, ile kto ma, i Piotr rozlicza się z batiuszką.

Ludzie odchodzą, a my ciągle mamy jeszcze coś do zrobienia. Nareszcie ruszamy we trójkę. Kanalia. W środku Piotr i ja. Idziemy pod ręce. Raptem powiada: „Przejdźmy na polski". Obejrzałam się – za nami pośpieszali ci oficerowie, od których osłoniłam dzieci. Boże!.. Podeszli i napadli na nią, po co wyszła z łagru i wszystkich nas wiodą ze sobą do sowieckiego łagru przesiedleńców. Kanalia

szturcha mnie i mówi, żebym uciekała. Dlaczego? Jak ja zostawię Piotra? Boże mój…

Przywiedli nas za druty. Piotr pokazuje swoje polskie dokumenty, ja wykłócam się z nimi, że nie jestem ich obywatelką, ale bez Piotra, myślę, nie wyjdę. Piotr zbladł, zapalił papierosa. Nareszcie wraca jeden z oficerów i mówi, że mogę iść do domu. Krzyczałam tam, że dzieci same w domu, bo chłopców wyprawiliśmy od razu. Co robić? Widzę, że Piotrowi nie pomogę, ale resztę ludzi trzeba ratować. Wychodzę, a ten, który mnie wyprowadza, mówi: „Kim pani jest?". Odpowiadam: „Gospodyni domowa". – „Kim pani jest?" – powtarza pytanie. Mówię: „Poetka". Wtedy zaczyna mnie namawiać, żebyśmy jechali do Związku Sowieckiego, że odwiozą nas samolotem, nawet nie przez łagier. Krzyczę: „Nie, nie, nie!". I biegnę jak szalona do tramwaju.

Zanim przyszedł mąż, już zdążyłam posłać znajome Czeszki do naszych ludzi, żeby się ratowali i prędko uciekali. Z jedną posłałam też tego chłopczyka, a sama w płacz. Gdy przyszedł mąż i coś zaczął mówić, że kolacja niesmaczna, że on nie lubi kiełbasy, rozpłakałam się gorzkimi łzami, ale o wydarzeniach na cmentarzu mu nie opowiedziałam. Opanował mnie śmiertelny strach przed tym losem, który ten człowiek zgotował mnie, sobie i naszemu dziecku, bo było jasne, że przed nami przepaść i teraz już nie do ominięcia…

Boże mój! Czy i my mamy zginąć, jak moi nieszczęśni rodzice i cały nasz ród? Miły Boże! Ratuj nas, ulituj się, Boże, nad dziecięciem moim na tej obcej i teraz wrogiej nam ziemi.

Pełna najstraszniejszych przeczuć, nawet następnego ranka nie wspominałam mężowi o tym, co się działo na cmentarzu. Moje Czeszki doskonale wykonały prośbę, ostrzegły kogo trzeba. Mąż poszedł do pracy, syn bawił się z dziećmi na dworze. Ranek był mroczny, a w sercu niepokój, jak nigdy dotąd. Zaczęłam warzyć jakieś powidła na zimę, ale wszystko mi leciało z rąk. Mniej więcej koło obiadu ktoś zadzwonił do drzwi. Gdy otwarłam, zobaczyłam dwóch wczorajszych oficerów. Stali przed progiem. „Nie spodziewała się nas pani?" – zapytał rudy. „Spodziewałam się" – odpowiadam absolutnie prawdziwie, bo tak właśnie myślałam, że prześladować mnie nie przestaną. Wydali mi się tak straszni, że gdybym tu żywego Hitlera zobaczyła, to nie byłabym tak przerażona… Weszli do mieszkania. Poprosiłam, żeby usiedli. Zaczęła się rozmowa. „Bardzo panią prosimy o powrót na Białoruś. Tak pani tu skromnie żyje, a u nas Aleś Kuczar[211] zarabia jedenaście tysięcy rubli miesięcznie. Pani także damy tyle". – „A coście wy zrobili

z naszymi pisarzami w 1937 roku[212], czy jestem wam potrzebna w tym samym celu?" – mówię im. – „Spodziewaliśmy się wojny" – odpowiada oficer. – „Cóż, możecie znowu spodziewać się wojny i robić to samo". Nic mi na to nie odpowiedział, tylko jął prosić i namawiać, żebyśmy wracali na Białoruś. Spojrzawszy na książki, obiecał, że wszystko zostanie przewiezione. „Dzięki – powiadam. – A coście zrobili z moimi rodzicami?" – „Myśmy byli surowi sami dla siebie" – odpowiada prześladowca. – „Wy znowu możecie być surowi sami dla siebie – mówię. – Nie, dajcie nam spokój. Nigdzie nie pojedziemy!" W czasie naszej rozmowy wciąż dzwoniono. To ta kanalia pyta, kto jest u nas? Gdy jej powiedziałam kto, to schowała się, niby wystraszona, żeby jej nie złapali. Zdaje mi się, że uwierzyłam jej, tak umiała udawać. Wróciłam do pokoju i oni z kolei zapytali, kto to był. Powiedziałam, że listonosz. Poźniej przyszła pewna Czeszka i siadła w kuchni, przybiegł Juraczka. A u nas rozmowa wciąż ta sama: „Nie chcę was słyszeć i znać. Idźcie sobie tam, skądżeście przyszli". Wtedy ten rudy mówi: „Nauczymy panią lubić sowieckich oficerów. Proszę pojechać z nami na Plac Zwycięstwa, zajrzymy do kawiarni". – „Tam jest wasz sztab. I tam mnie chcecie wieźć. Dla mnie wszystko jasne. Więc żebyście wiedzieli, że mnie żywej w swe ręce nie dostaniecie. Prędzej wyskoczę oknem i zabiję się na miejscu, zanim mnie schwytacie". A kanalia wciąż dzwoni… Zmyślam im, jak mogę. „Co powiedział pani mąż na to, żeśmy panią wczoraj zatrzymali?" – „Nic nie powiedział, bo nic nie wie". – „Czyżby pani nic mu nie powiedziała?" – „Nie – mówię – nie powiedziałam". – „To proszę i nadal mu nic nie mówić" – radzi bandyta. Sama wiem – myślę sobie – co mam robić, a ty mi się wynoś z mego domu!

Wreszcie poszli. Bojowa moja Czeszka, obawiając się czy mi czego nie zrobią, zamierzała już wzywać czeską policję. Zadzwoniła i weszła kanalia, i akurat przyszedł mąż. Opowiedziałam mu szybciutko to wczorajsze i to dzisiejsze, a sama padłam bez pamięci koło swego łóżka na kolana i zaczęłam modlić się do Boga. Po prostu oniemiałam w swojej milczącej modlitwie.

A nadchodziło straszne, i trzeba było być przygotowanym na jego spotkanie, zupełnie nie myśląc o sobie, lecz tylko o sprawie, o testamencie. Nie wolno było też zejść ze szlaku przetartego przez najlepszych synów Ojczyzny.

Nie wolno mi. Tak mi dopomóż Bóg!

Janka bardzo się wystraszył. Podałam obiad i jak zwykle zaprosiłam kanalię. Tylko tym razem nie było z nami przy stole dobrego chłopca Piotra. Nie raz przy tym stole spożywaliśmy obiad wszyscy razem i snuliśmy plany. Siedzi dziewczyna,

której tak chciałam pomóc czym tylko mogłam. Nie chciała niczego przyjmować, ale ja jej, tej „biednej Białorusineczce", to pończoszki, jakich po wojnie nie uświadczysz, to pieniądze. Papierosy tylko przyjmowała i kopciła jak komin.

Raptem dziewczyna wstaje i mówi: „Nie przeraźcie się, ale ja jestem posłana, żeby was wykraść, mnie w tym szkolili. Już od trzech tygodni zabiegamy, żeby Czesi was wydali, ale oni za nic nie chcą. Wydali wszystkich, a was wydać nie chcą i my musimy pochwycić was i uprowadzić. A teraz pytajcie o swoich znajomych na Białorusi i wszystko wam powiem". Spytałam ją tylko o Piotra i ona odparła mi, że go nie uratuje, bo on był w Związku Młodzieży Białoruskiej[213]. Powtórzyłam raz jeszcze prośbę o uratowanie Piotra. Na próżno. Oniemiałam z bólu i obrzydzenia do tej kobiety szpiega, która przyssała się pod pozorem „nieszczęsnej rodaczki" do naszej rodziny i oto czym się odwdzięcza.

Przyjaciele mi o wiele później powiedzieli, że w więziennej latrynie widzieli napisane nazwisko Piotra i krzyż przy nazwisku. Znaczy, że zabili go…

O nic już nie pytałam tę kanalię. Nie mogłam patrzeć w jej stronę i tylko czekałam, kiedy ten smród wywietrzeje z domu. Może nawet chciała dobra dla nas, może za to moje serce zbolałe za Białoruś, a ja ją znienawidziłam jak hienę. Nie mogłam zrozumieć, jak można łapać, porywać nieszczęsnych, którzy podnoszą się z odwiecznej niewoli i starają się jak mogą podźwignąć i uświadomić naród. Wszyscy sprzedajni przerzucają się z obozu do obozu i wypływają w każdych okolicznościach na powierzchnię jak brudna piana, a najlepsi ideowi ludzie giną…

Rozumiałam bolszewików. Zapłacili dużymi ofiarami za swoje zwycięstwo, ale ich zwycięstwo to nie jest nasze zwycięstwo, bo ich celem jest wyniszczyć nas i asymilować, czego dowiedli za cały czas swego istnienia. Oni nie potrafią żyć z narodami jak brat z bratem, jak równy z równym, ale jak ten führer niemiecki, gotowi są cały świat przerobić siłą na swój moskiewski ład, nie myśląc o tym, jakie wartości niszczą… Straszni mi się teraz wydają ci wszyscy chorzy żołnierze, którzy wyszli z życiem z ciężkich bojów i naprawdę życzyli ludziom dobra. „Nie wracajcie, nie wracajcie do domu, tam nie macie nic do roboty…" – to ich słowa.

Teraz ich wszystkich boję się, nie mogę na nich patrzeć, ani ich słyszeć. Nigdy więcej nie otwierałam dla nich drzwi. Przeniesiono ich gdzieś poza Pragę razem z ich sztabami i Czesi bardzo serdecznie się z nimi pożegnali, choć wiele rzeczy im się nie podobało. W miejsce tych skromnych szarych bohaterów z krwawych zmagań pojawili się teraz tyłowi „wojacy" z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych,

którzy zdążyli już przekreślić tamto dobre i szlachetne, co pozostawili żołnierze frontowi. Teraz nie wolno było wydawać naszych. Minie czas, zatrze się różnica, jedni drugich lepiej zrozumieją, a wtedy…

To odnosi się głównie do Białorusinów zachodników, czyli pochodzących z ziem Białorusi Zachodniej, którzy nie mieli zobowiązań wobec państwa sowieckiego, bo nie mieszkali w jego granicach i niczego ono im na razie nie dało, nie uznając nawet KPZB[214], a żąda od nich wszystkiego! Wszystkiego bezapelacyjnie! Jeszcze na Białorusi słychać lament i jęki chłopów rozkułaczanych na śmierć lub wywożonych z chat na pustynie, w które los zaopatrzył to państwo na nieszczęście i cierpienia jego mieszkańców. Chodziłam jak oczadziała – z bólu za siebie i za tego dobrego Białorusina Piotra…

Jak się wywinąć, jak ratować rodzinę? O sobie nie myślałam. Trzeba było płacić, twardo płacić za ośli upór swego „socjalisty". Uciekać z Niemcami nie mając z nimi nic wspólnego było wbrew logice, ale jakaż logika u Stalina, gdy od jego kaprysów ginęły miliony!.. Taki już nasz los! Bo trzeba przecież, żeby z granicznego Wimperku, jak my, trafić prosto na koniec świata – do Komi, to trzeba naprawdę mieć dolę białoruską… Tymczasem ja wiem mniej więcej, kiedy po nas przyjdą, i wiem, że Czesi nie chcą nas wydać, i wiem, że nie mają prawa wyłamywać nam drzwi… Dużo wiem, ale jak ratować się? Zostały jeszcze dwa dni… Wstrętne „pańskie" skrupuły: nie możemy schować się gdzieś u Czechów, żeby komuś nie przyczynić biedy, zła, nie ściągnąć na nich jakiegoś „Sybiru"… Więc to z nas można zdzierać skórę, ale myśmy nikogo niczym jeszcze nie skrzywdzili. Moje ręce są po to, by pomagać innym, i oto my jak durnie, i nie wiemy co nam samotnym począć? Bóg i my, tylko ufność w Bogu przodków moich.

Mój „ateista" pogubił się nie na żarty. Ja mam choć swego Boga, a on ma swoją logikę, która trzeszczy. Miał mój mąż pewnego dobrego pacjenta, któremu w swoim czasie zrobił wiele dobrego, pana Dvořáka. Był szefem jakiegoś klubu sportowego. Poszliśmy do niego we trójkę, żeby on nam jakoś pomógł przedostać się do Pilzna, gdzie byli humanistyczni rozumni Amerykanie, którzy jeśli nawet i sadzali ludzi, to nie dla znęcania się, lecz za winy. Słyszeliśmy to na ich temat wiele razy, a my przecież nie mamy żadnej winy! Śnią mi się ci Amerykanie po nocach jako jedyny ratunek dla naszej nieszczęsnej rodzinki.

No i jesteśmy u pana Dvořáka. Dzionek późnego lata, pełen jasnego słońca. Chodzą sobie wokół szczęśliwi ludzie, bardzo szczęśliwi, bo nikt ich jutro wykradać nie zamierza. Pan Dvořák pomóc nam nie może, zachorował i wyszedł do

nas, by nam powiedzieć, że nie może. Nie mógł naprawdę. Dwa tygodnie później umarł na stole operacyjnym na raka pęcherza moczowego… Cóż, zbliża się jakaś nieuchronność… Przypomniał mi się mój wiersz jeden z ostatnich:

Daj mi odkupić udręką poety
Dolę i wolność, i szczęście narodu!..

Mamy jeszcze dobrego człowieka, pana Čado. To Czech. Pragnę uratować chociaż Jankę. Telefonujemy do niego od pana Dvořáka i Janka jedzie do niego. Wsiada do tramwaju koło skweru. Dostrzegam z przerażeniem Żyda Wolfsona, któregośmy wyratowali w czasie wojny. On zza drzewa obserwuje nas… Boże mój! Nas przecież mogli przez niego rozstrzelać… Co za świat, co za ludzie w tym „socjalistycznym świecie"… Do domu wracam z Jurą. On jest moją siłą. Dobrze, że chociaż Janka jest bezpieczny, cios spadnie na nas dwoje i my to zniesiemy! Bóg z nami. Skupiam wszystkie moje siły i moją wiarę, i całą miłość do mego narodu – zdzierżę! Syn, moje chłopię, jest ze mną, i on wszystko doskonale rozumie. Co prawda niedawno nam powiedział, że kto był na górze, ten jest teraz na dole i na odwrót, i jak to dobrze, że myśmy pozostali w środku. I właśnie wychodzimy ze wszystkich tych ram: nas wzięto na muszkę.

Jesteśmy z synem w domu. Dzwoni telefon, to jeden Czech pyta się, czy jesteśmy w domu… A więc wyjaśnia się jeszcze jedna zagadka. Ten Czech przylgnął do naszego domu w czasie wojny, żebyśmy mu pomogli w opracowaniu jakiegoś ogólnosłowiańskiego słownika. Kiedyś on był konsulem w Jugosławii, tak nam się przynajmniej zarekomendował. A my, głupcy (ja, ja!) jeszcześmy karmili gada w ciężkim czasie wojennym… Niech was diabli porwą, wy szpiegowskie nasienie! Pluję na was!

Mnie z synkiem czeka walka, dobrze, że choć mąż bezpieczny. Jak mnie złapali na cmentarzu, z rozpaczy napisałam list do prezydenta Beneša, żeby mnie ratował, bo w swoim czasie ja się go nie wyrzekłam. Nie jest najelegančiej powoływać się na swe „zasługi", ale co zrobić, gdy musi się ratować rodzinę. Teraz o tym myślę.

Z synem we dwoje w mojej pościeli czytamy Ewangelię po białorusku, modlimy się gorąco do Boga. Dwoje nieszczęsnych przeciwko wściekłemu stalinowskiemu aparatowi, dwoje samotnych Białorusinów – Boże, Boże ratuj nas! I tak zasnęliśmy zgasiwszy światło.

Zbudziło mnie nieprzerwane dzwonienie i trzask drzwi w sieni. Co się dzieje? Mówili przecież, że drzwi wyłamywać nie będą! Wychodzę, a tam głos za

drzwiami: „Mamuśka, wpuść mnie, to ja, twój Janka, chcę być razem z wami na życie czy na śmierć…". Otwieram drzwi, pan Čado przyprowadził mego „gołąbeczka" na moją głowę… Ja sama byłabym spokojniejsza. Ot, życie! Szybko posłałam mu pościel i pomyślałam, że mimo wszystko jest on szlachetniejszy, niż sądziłam…

Mieliśmy przygotowane trzy zastrzyki na wypadek, gdyby nas brali na tortury jedni lub drudzy. Postanowiliśmy, że lepiej jest wszystkim trojgu rozstać się z życiem. Zastrzyki leżały od wojny.

W domu mam mniej więcej wszystko, nawet suszone ziemniaki. Chodzimy po mieszkaniu na palcach bezgłośnie jak duchy, głównie leżymy. Poniedziałek. Kiedyż już będą nas wykradać? Okna pozawieszane i nikt nie wie, że jesteśmy w domu. Wie tylko ten pan Zika, były konsul w Jugosławii, szczur oblazły, żeby on ranka nie doczekał… Minął jakoś dzień, chłopców swoich nakarmiłam, rozmawiamy niewiele, więcej rozmyślamy. Nie czytałam jeszcze „Hrabiego Monte Christo" Dumasa, więc właśnie zaczęłam czytać. A niech to licho! Ładna mi się lektura trafiła na ten czas… No cóż, my tutaj także jak na tamtej wyspie If…

Cały czas chorowałam na owrzodzenie żołądka i od tych przeżyć zaczęło mi bardzo boleć w dołku. Zwykle pomagała mi soda. Było już pod wieczór, cisza dokoła. Wstałam boso, z włosami rozpuszczonymi do pasa, w długim do ziemi szlafroku, wzięłam szklaneczkę cienką wenecką i zamieszałam łyżeczką sodę, żeby wypić, gdy nagle zaczął dzwonić dzwonek, ale tak dzwonić uporczywie, że zapomniałam tę sodę wypić, więc przytrzymując łyżeczkę dłonią w szklance, żeby nie brzęknęła, nie daj Boże, podeszłam do drzwi i mocno podparłam je ramieniem. Za drzwiami rozmowa jak na kiermaszu, a ja stoję bez strachu, ale trzymam łyżeczkę, żeby nie brzęczała. Zdaje mi się, że dygocę. Nie, niech oni nie wiedzą, że jesteśmy w domu… Donośny nasz dzwonek nie przestaje dzwonić. Ciemnieje. Idę na palcach do swego łóżka. Mąż leży jak nieżywy i milczy, bo cóż tu można mówić? Mierzę okiem odległość od okna. Zatrzeszczą drzwi, to wyskoczę głową w dół. Wiem, że jestem im potrzebna, jak i cała moja kułacka rodzinka. Nie, ja się im żywa nie oddam! Dzwonek i ani na chwilę nie milknie. Dzwoni do pierwszej w nocy. Potem zasnęliśmy.

Ranek był słoneczny, chodziliśmy i jedliśmy cichutko, prawie nie oddychając. Była poczta, ktoś dzwonił, nikomu nie otwieraliśmy. Juraczka, nasz niespokojny jak żywe srebro synek, całymi dniami siedział pod stołem na dywanie i budował wieże z poduszek leżących na kanapie. Zadziwiająco spokojny mały. „Synku,

ty na pewno chcesz na podwórko, taki piękny dzień?" – „Nie, mamo, co mi z tego, że byłbym na dworze i nie miał tatusia i mamusi, lepiej posiedzę pod stołem i będę miał mamusię i tatusia" – tak nadzwyczaj roztropnie rzekło nasze mądre dziecię.

Zawsze mam jakiś zapas jedzenia. Jestem wieśniaczka. Teraz właśnie wszystko to się przydało. Jura lubi co dzień pić smaczne kompoty… Tak przetrwaliśmy tydzień, aż do soboty. W sobotę wyszliśmy. Do mieszkania nabiegło dużo ludzi, płaczą, całują nas, przynieśli jedzenie i kwiaty. Jedni sądzili, żeśmy uciekli, inni obawiali się o nasze życie.

Znaczy, że pod nasz dom podjechała ciężarówka z „wyzwolicielami" i żołnierze pod naszymi oknami trzymali rozciągnięte brezenty, a dowódcy dzwonili, ale ku naszemu domowi zeszła się cała część miasta, w której mieszkamy, cała dzielnica, i podnieśli krzyk, że nie oddadzą „pani doktorowej", że my jesteśmy ich ludzie, dobrzy ludzie! Ciekawe, że najgłośniej krzyczeli komuniści. Cóż, ludzie pracy nie raz odczuli moją przychylność, a pomiędzy nami uchowała się niejedna tajemnica czasów wojny. Ci dobrzy ludzie krzyczeli, że bez czeskiej policji nikt nie ma prawa nas tknąć, a tu było akurat bez policji. Nasz ziomek inżynier Żuk pomagał nas szukać. Prowadzał prześwietną „ekspedycję" po lokalach, po mieszkaniach (a jest ich ponad 30), zaprowadził ją nawet do piwnicy, a przy drzwiach postawił wartę. I tak do pierwszej w nocy. Potem już się nie pojawili. „Ekspedycja" zakończyła się. Powieźli Piotra, nałapali jeszcze kandydatów do łagrów w Komi. I także tym razem nie udało im się nas pochwycić. Bóg nam dał jeszcze trzy lata ludzkiego życia. Co prawda, niespokojnego…

Mąż był blady, chwiał się, był jak cień. Pobiegł gdzieś z protestem do komendantury, ale delegacja mieszkańców naszej dzielnicy już zdążyła złożyć wizytę w głównej sowieckiej komendanturze w mieście Łysa nad Łabą. Biedni, dobrzy, oni już i tam nas ratowali…

Napisałam jeszcze raz do prezydenta republiki i tym razem napisałam jeszcze do ambasadora amerykańskiego w Pradze Laurence'a Steinhardta[215]. Wierzyłam tylko jemu. Czesi otrzymali papier z moimi inicjałami, przepisali mój list na maszynie po czesku, a ja przez dobrze opłaconą osobę posłałam ten list bezpośrednio do amerykańskiej ambasady.

Na trzeci dzień dobry Steinhardt już powiadomił mnie, że rozmawiał z czeskim rządem i na razie mam się nie niepokoić. Całowałam ten list i zdawało mi się, że niebezpieczeństwo minęło. Niestety nie minęło, ale trzy lata od 1945 do

1948 roku to były lata najstraszniejsze, gdy ludzie marli w łagrach jak muchy. Byli po prostu niszczeni przez „wielkodusznych" zwycięzców obiema rękami, szczególnie ludzie ideowi narodowo. Oprawcy znajdywali wspólny język z niemieckimi sługusami i czynili ich wykonawcami eksterminacji wszystkiego, co białoruskie. Ludzie, żeby ujść z życiem, podleli w oczach, kajali się nawet za winy, których nie popełnili. Przysięgali na wierność Stalinowi i komunizmowi, nieludzkie nazywali – humanistycznym, niemądre – rozumnym, swoje dobre odsądzali od czci i wiary, odżegnywali się z bólem serca od białoruskiego jak od ognia, utraciwszy nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze odżyjemy.

Wszystko zalewa „Matuszka Ruś". Biedni niedobici własowcy wysługiwali się z oddaniem jako kulturträgerzy na naszych ziemiach, żeby tylko Niemcy nie odesłali ich do domu, gdzie ich dobrze znano… To właśnie oni oraz partyzanci stali na straży nie naszego narodu i pilnowali Białorusinów, żeby im nie przyszło do głowy obudzić Białoruś, tę odwieczną, z własną historią, z umiłowaną Pogonią, z mową ojczystą, z pieśnią ludową i z miłością do swego odwiecznego narodu.

Czas biegł. Z Praskiego Hradu nie było od prezydenta Beneša żadnej odpowiedzi. Można było przypuszczać, że żadnych moich listów nie otrzymał. Nadszedł czas oddać Jurę do czeskiej szkoły. Rosyjskie gimnazjum i szkoła początkowa przeszły teraz w ręce nauczycieli przysłanych z Moskwy. Nie podobali mi się: podejrzliwi wobec wszystkich i wszystkiego, bezdusznie rygorystyczni, pełni sołdackiej buty i stalinowskiej bezwzględności niczym się prawie nie różnili od wychowawców Hitlerjugend. Postanowiliśmy oddać Jurka do normalnej szkoły czeskiej. Najpierw nie chciano mi oddać jego papierów ze szkoły rosyjskiej, ale słyszeć nawet nie chciałam, żeby on nadal się tam uczył. Z drugiej strony w owym czasie obcokrajowcom niełatwo było oddać swoje dziecko do szkoły czeskiej. Zaczynały się właśnie „wybory ludowe" i inne sowietyzmy. Trzeba było zebrać kilka podpisów wiarygodnych świadków, że w czasie okupacji nie byliśmy kolaborantami itd. Czesi podpisywali nam to obydwiema rękami i Jura został przyjęty do szkoły. W szkole rosyjskiej skończył klasę czwartą i Czesi chcieli, żeby chłopak powtórzył u nich tę klasę, bo sobie nie poradzi. Uprosiłam, żeby go wzięto do klasy piątej na próbę. Gdy przyszłam do dyrektora po paru tygodniach, jak mi polecił, okazało się, że Jura jest najlepszym uczniem w klasie, a przy końcu roku był on już najlepszym w całej czeskiej szkole i przez wszystkich lubianym „rozrabiaką".

Jura miał już nowych kolegów, ale oni mu się nie podobali. Chłopczyk często dzielił się ze mną myślami. „Mamusiu! Ich zabawy są jakieś dzikie. Oni na

chodnikach rysują same szubienice i bawią się w wieszanie ludzi". Tak! To było straszne. Nasi niekulturalni Białorusini nigdy takich zabaw nie znali. Chyba że teraz, z „duchem czasu"? Było o czym rozmyślać.

Nareszcie nadeszła wiadomość od taty – na razie są w Zelwie cali i zdrowi. Tata przesłał list od Sławaczki jeszcze z wojska. O jego śmierci jeszcześmy nie wiedzieli. Starzy Białorusini w Pradze byli bardzo zajęci sobą, musieli, biedacy, produkować dowody swej lojalności względem nowych porządków i kajać się za to, czego nie zrobili, bo nikt z nich prawie nic nie zrobił dla sprawy białoruskiej. Zabejda utrzymywał, że jego polityka była najrozumniejsza i jemu nic nie grozi. To oczywiste. Przyjechała do nas Widawisa Pawłowna Lacka. Pocieszała mnie, że nieudane próby wykradzenia mnie to wcale nie najstraszniejsze. Życie jeszcze przede mną. Czesi z pasją zajęli się rozciąganiem ruchomości po Jermaczence z jego mieszkania i z jego willi, gdzie gospodarzył z jego nadania sędziwy ojciec żony. Nic złego staruszkowi nie zrobiono, tylko wypędzono go z apartamentów. Przed końcem wojny Jermaczenka zapuścił brodę, żeby go nie rozpoznano. Ale Niemcy sami go posadzili za to, jak głosi fama, że spekulował złotem przewożonym w oponach samochodu z Mińska, gdzie w dodatku miał po połowie z siostrą swojej żony sklep komisowy! Dowiedziałam się o tym od Piperów. „Wie pani – mówił doktor Piper – postąpiłem tak jak pani, Frau Łarysa, nie mściłem się. Gdy żona Jermaczenki przyszła do mnie prosić o zapomogę, ja pozwoliłem dostarczyć mu do celi witaminy i inne drobiazgi toaletowe. Widzi pani? Od pani się nauczyłem" – powtórzył z lekką ironią.

Nadeszła smutna wiadomość o naszych gościach – o rodzinie batiuszki Bałaja. Rodzina trafiła pod amerykański nalot dywanowy na Drezno. Gdy wydobyli się szczęśliwie ze schronu pod cerkwią, ich syn Kościa chwycił rower leżący na ziemi. Niemcy podobno z miejsca go rozstrzelali. To było straszne.

Tymczasem w Czechosłowacji odbywały się manifestacje, mityngi, parady. Końca im nie było. Mąż jak i przedtem chodził do pracy w swoich zakładach i czasem było mu ciężko. Gdy przyprowadzano do niego chorych robotników Niemców, musiał traktować ich bezlitośnie, jak reszta personelu. A on zawsze do wszystkich odnosił się jak lekarz, który widzi chorego i jego dolegliwość. Utwierdzała go w tym jego lekarska i białoruska etyka. Znam męża całe życie i nigdy nie zauważyłam, by kiedykolwiek się sprzeniewierzył szlachetnym zasadom etyki lekarskiej, wierności swej mowie ojczystej i znękanej cierpieniem Ojczyźnie.

Od czasu owej nieudanej próby wykradzenia mnie ze strachem chodziłam po ulicach, a za mną wciąż pomykali szpicle, których znałam już z twarzy. Zamierałam,

gdy koło mnie zatrzymało się jakieś auto. Pewnego razu zajrzał do nas funkcjonariusz czeskiej tajnej policji. Powiedział mi nawet, że prezydent Beneš „urgoval", to znaczy jeszcze raz pytał u nich, jakie są moje losy. Listy przekazał on do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdzie ministrem był podówczas komunista Nosek. Listy położyli pod sukno, a teraz do sprawy powracają. Ów funkcjonariusz poradził nam przyjąć czeskie obywatelstwo, które zostanie nam dane, a mnie osobiście poradził, żebym się zapisała do Związku Kobiet Antyfaszystek i do Związku Przyjaźni Czesko-Sowieckiej, a wtedy wszystko będzie dobrze.

Wrażenia wywołane tamtą próbą porwania, tym zuchwalstwem oraz sytuacją zagrożenia całej mojej rodziny były tak ciężkie, że następnego dnia poszłam i zapisałam się do Związku Przyjaciół Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, którego prezesem był profesor Špaček. Zaczęłam uczęszczać tam na lekcje języka angielskiego razem z małym Jurką. Synek zaprzyjaźnił się blisko z bratankami premiera Czechosłowacji Zdenka Fierlingera[216], którzy przyjechali z Ameryki i prawie nie mówili po czesku. Ich starsza siostra wykładała w Związku angielski.

O Jurku krążyły po Pradze nowe anegdoty. Raz mu nauczycielka poleciła ułożyć zdanie ze słowem „beautiful" – piękny. I chłopczyk powiedział: „Moja dziewczyna jest bardzo piękna". Nauczycielka wyśmiała małego. Jura obraził się. Gdy mu dała podobne zadanie ze słowem „niemożliwy", Jura odpowiedział złośliwie: „Nasza nauczycielka jest osobą niemożliwą". Od tej pory nie znosił jej.

Jurkę i tutaj wszyscy polubili, a nauczyciele cenili go jako ucznia i jako małego, samodzielnie myślącego, rozumnego i szlachetnego człowieka. Zdolności chłopca były imponujące i myśmy pragnęli edukować go jak najwyżej. Uczył się już w czeskim gimnazjum i ich profesor Niemiec przechowywał u siebie wszystkie jego prace domowe, w których dostrzegał głębokie myśli i talent. Tak obiecująco zapowiadała się młodość naszego jedynego syna.

Najważniejszym jednak problemem stawał się teraz problem istnienia. Czesi szybko tracili własną wolę w swoim państwie i rzeczywistą władzę w nim w coraz większym stopniu przejmował Stalin. Dla nas było to tragiczne. Przez profesora Špačka, który od razu zwrócił na moją osobę uwagę, nawiązałam pewną łączność z mymi przyjaciółmi, posłałam im swe ostatnie wiersze, których nikt teraz nie miał ochoty drukować, tym bardziej że nie były do druku. Wiedziałam, że wszyscy oni jakoś się w życiu pourządzali, a najważniejsze, że żyją. Czasem otrzymywałam gazetkę wydawaną po białorusku przez francuskie Związki Zawodowe[217]. Tę właśnie gazetkę przyjaciele rozpoczęli moim wierszem, więc mnie nie zapomnieli.

Przypomniałam swoje odważne jak na czas wojenny wiersze, mój ból nad losem ziomków w niewoli, wywiezionych na roboty, i tych w lasach, i tych co w wioskach. Białorusin w moim domu – chleb na stole, czasem ostatnia jego kromka równo podzielona między gościem i synem. A przyjdzie czas, że miliony moich rodaków pożałują mi nawet skórki od chleba w niewoli, nie pomogą małemu mojemu synowi opuszczonemu i zagubionemu na powojennych drogach w obcej ziemi. Jeszcze zastawią sieci i zmącą wodę na odmęt, z którego uratować może tylko miłosierny Bóg.

Gdy razu pewnego niosłam w łagrze pod konwojem ciężkie bierwiono przez śnieg po pas i poczułam, że się duszę, że moje serce odmawia dalszej harówy, pomyślałam o tych, co wysławiając tę dla nas stworzoną udrękę jeżdżą sobie w błękitnych ekspresach lub we własnych czy służbowych samochodach na wprost, przez świeże mogiły mojego rodu i wszystkich, co za ich sytość zapłacili swoim życiem. Matko nasza, Białorusi nasza! Jak długo jeszcze będą dzwoniły łańcuchami dzieci twoje?

Ale tę chwilę przeżyłam znacznie poźniej, już w Komi ASRS.

Tymczasem stało się, że wywieziono Mikuliczów, bo nie życzyli sobie uciekać, bo nieszczęście ich ubezwłasnowolniło. Takich nietrudno zgarnąć. Inni pouciekali i nawet siostra Mikulicza, której nie upilnowano. A więc kanalia zebrała bogaty ułów. Odpokutują za to, że nie pokochali „ojczulka, wąsate słoneczko ziemi ruskiej". Później i mnie z mężem skażą łącznie na pół stulecia i nie potrafią pojąć, jak można nie podziwiać „wielkiego i mądrego", który zdążył wymordować nie tylko mój ród, ale i znaczącą część mego narodu, najlepszych jego synów.

Ilu już tyranów nosiła nasza ziemia, i każdy srogo nakazywał najbezczelniej w świecie kochać siebie! „Pies liże rękę, która go batoży…". O nie, nie! Nie! Myśmy są potomkowie Mikoły Husowskiego[218], my z plemienia Skoryny! My – bracia Kastusia Kalinowskiego – my już dla was nie psy!!! Świat przewrócił się do góry nogami i wszystko zasłonił sobą Gruzin, podparty stoma milionami bagnetów i pepesz. Gruzja do dziś jest dumna, że jeden Gruzin potrafił zgładzić miliony Słowian. Śmieją się w kułak Gruzini i mają nadzieję na ciąg dalszy w tym samym stylu. Straszliwy siepacz zdobi ich domostwa jako bohater narodowy. Szczerze im życzę, by lepszych nie mieli!

Mam przed oczami przesuwające się mniszki jak szkielety z oczami prześwietlonymi cierpieniem, wdowy z wyrokami z orłowskiego więzienia, nie mówiąc o cierpieniach naszych narodów. Budować własne powodzenie i dobrobyt

na takich działaniach – to znaczy być za życia bydlęciem niegodnym imienia „człowiek". Właśnie obserwuję tutaj, jak to bałwochwalstwo przyswaja sobie środkowoeuropejski kulturalny naród i z żalem postrzegam ożywianie w nim bydlęcia ludzkiego z epoki kamiennej…

Rozwiewa się cień Masaryka nad jego narodem, wspomnienia o nim wędrują gdzieś na dno głębokich szaf jak kapitalistyczny dysonans, jak groźba recydywy kapitalizmu w nowym socjalistycznym ładzie. Odwieczni słowianofile Czesi szukają rysów słowiańskich w wąsatej i dziobatej twarzy Dżugaszwilego, trochę się krzywią, ale rozkaz to rozkaz, i Praga pod wpływem nowych brodatych i wąsatych proroków staje na głowie. Czyżby im także Bóg odjął rozum do reszty? Nie, to nie zmiana bóstw, to cyniczna anulacja osiągnięć ludzkości w ciągu dwóch tysięcy lat oświeconej ery chrześcijańskiej.

Zaczynam powoli rozumieć, co ja narobiłam zapisując się do Związku Przyjaciół Stanów Zjednoczonych: dla mnie prześladowanej to straszne niebezpieczeństwo, ale jednocześnie dla mnie jako człowieka – jedyny przejaw życia, promień światła w mrocznej jaskini, w której się znajdujemy.

Wszystko grozi nam zgubą, ale swego sumienia, swej twarzy, swego człowieczeństwa nie tracimy! Juraczkę zapisaliśmy do YMCA – to Związek Młodzieży Chrześcijańskiej w stylu organizacji amerykańskiej. Razem z Fierlingerami pojedzie na letni obóz dziecięcy nad Sazawą. Mówi się, że to najlepszy obóz letni w Europie Środkowej.

Mąż ma urlop i po raz pierwszy jedziemy na wspólny odpoczynek do Szpindlerowego Młyna w Sudetach. W prywatnym domu wypoczynkowym było nam nieźle, ale mąż nie chce chodzić. Leży na słońcu i wygrzewa się. W górach dobrze, zielono. Po Pradze powietrze jest jak najlepsze lekarstwo. Wyżywienie niezłe, ale porcje mikroskopijne i jesteśmy na wpół głodni. Mąż taki szczęśliwy, a ja – całkiem nieszczęsna, smutna, rozdygotana, miejsca sobie nie znajduję. Raptem ogarnia mnie strach o Jurę, piszę do niego nad Sazawę listy pełne miłości. Cierpię. Czemu? Tu wszystko jest niemieckie, a Niemców wypędzono. Chodzą same staruszki w czarnych chusteczkach, patrzeć na nie nie można – tyle tragicznego bólu w ich twarzach… Ten ból aż krzyczy i ja go słyszę, bo dobrze wiem, co to za ból. A dokoła weseli kuracjusze, popijają „pivičko", śmieją się, chodzą w góry, a resztę mają za nic. Chodzą tu też wystrojone damy – Czeszki. Próbują się trzymać w pobliżu pracujących w lesie kolumn więźniarek. Pewnie to żony kolaborantów, bo jak konwojent jest dobry, ludzki, podchodzą do nich, witają się, gawędzą…

Żal, że nie widać końca łagrów i zniewolenia, i zdaje się, że to dopiero początek. Ciężko mi niewymownie. Ze swymi przeczuciami, wiecznie spięta, nieufna, jestem dla swego męża udręczeniem. On sobie leży, czyta i nie dręczą go żadne przywidzenia ni chimery… Niewesoło jest mieć poetkę za żonę – zapewne myśli sobie. A ja biegnę do kościoła, gdzie rezyduje jeszcze ksiądz Niemiec, którego nie zdążono dotąd wygonić. Szukam, gdzie by tu znaleźć ulgę? „Proszę o mszę za zmarłych" – zwracam się do księdza. Mówię mu kim jestem i że mi jest bardzo ciężko. W kościele jest inaczej niż w cerkwi, stoję, modlę się, ale po mszy nie jest mi ani trochę lżej…

Idzie wycieczka na Śnieżkę (najwyższa tam góra 800 metrów). Uprosiłam męża, żebyśmy poszli też. Tak dobrze! Niebo blisko, a jak się zachmurzy, obłoki płyną pod nogami. Nie mogę się napatrzeć na to piękno, skaczę lekko jak koza, nie znam zmęczenia, ale zaczyna się deszcz, więc wchodzimy do schroniska, coś przekąszamy. Za nami wbiega zasapany typ z teczką i pyta, czy nie zamierzamy iść jeszcze na Śnieżkę? Szpieg, szpicel i tutaj za nami, w tych boskich górach, ledwo dyszy, nieszczęsna kreatura. Jaka szkoda, że nie idziemy na Śnieżkę…

Do domu w Pradze wracamy autobusem, a później pociągiem. W autobusie czujemy się jak pod strażą, tak jesteśmy otoczeni. W pociągu już swobodniej. Jedziemy do domu i nam smutno: nad Pragą już ściana dymu i sadzy. I oddycha się wyraźnie trudniej.

Jura wróci za parę tygodni. Przed wyjazdem byliśmy u niego nad Sazawą. Woził nas łodzią, ugościł obiadem. Byliśmy z innymi rodzicami z ich kręgu, gdzie się śpiewa i czyta modlitwy. Chłopak czuje się tu dobrze i tak się cieszy nami, tak się cieszy! Ma coś do napisania, ale główka leniuchuje na tej pięknej rzece, więc prosi, żebym mu pomogła trochę. Sam zrobiłby to lepiej, gdyby mu się chciało, ale trochę pomagam. Matka.

Jedziemy, a ja myślę o nim, tak pragnę zobaczyć syneczka! Za te trzy tygodnie tyle się poczty nazbierało! Nazajutrz biorę się do porządków. Mąż kupił mi dużo ładnych rzeczy przed naszym odjazdem: nowy neseser, pantofle jedne, drugie, szorty. Układam wszystko na miejsce. Przecieram ściany, trzepię dywany, pastuję parkiet, myję, szoruję, pracuję cały dzień do czwartej w nocy, żeby wszystko było jak trzeba. Praca odpędza niepokój.

Nazajutrz długo śpimy. Mąż do pracy idzie dopiero za dwa dni. Na podłogę spada cała poczta. Biegnę, zbieram listy i wśród nich dostrzegam list z Polski, od mojej siostrzyczki Lusi. Zamieram: dlaczego nie od mamy? Boję się otworzyć…

Boże mój! Daję go mężowi… Mąż otwiera, czyta, milczy. Pobladł… Boże mój, mama zmarła w 1945 roku z głodu w Kazachstanie, tata zginął w grodzieńskim więzieniu, Rościsław zginął 28 kwietnia 1945 roku w Armii Kościuszkowskiej, Arkadzij zginął w 1944 roku, 27 lipca, w Armii Andersa we Włoszech… Nogi mam jak z waty… Świat mi przed oczyma wiruje… wiruje.. To jest prawda?.. To nie może być prawda! Za dużo tego na jednego człowieka na jeden raz!.. O, mamo!.. O, Sławaczka!.. Czyżbyś i ty poważył się mnie opuścić, braciszku mój?.. Arkadziczku, tatku… To nieprawda, nieprawda, nieprawda… Biada mi! Jak to przeżyć i po co żyć?.. Boże mój! Obroń moje dziecko jedyne, ratuj mego męża… Juraczka, syneczku mój, jak ci tam, Jura? Chyba tracę rozum, waliłam głową w podłogę, gryzłam ziemię. Po prostu ja oszalałam.

Po kilku dniach dopiero poszłam się starać, żeby mi pozwolono wysłać paczkę do Polski, przyodziać nieszczęsnych, posłać Lusi leki, bo choruje na brucelozę, którą się zaraziła od owiec w Kazachstanie…

Trzeba pojechać popatrzeć, czy żyje Jura? Nocą mi się przyśniło, żebym nie narzekała, że może być jeszcze gorzej, jeszcze straszniej… Śmierć i zgroza otaczają mnie ze wszystkich stron, zbliża się jakiś koniec absolutny, tragiczny kres cierpienia. W owym momencie mój mąż miał żonę nienormalną. Żaden człowiek nie nosił w sobie takiego straszliwego bólu, jak ja… Siostrom posłałam swoje rzeczy, pomagali mi ludzie. Odziałam tam ich wszystkich, pooddawałam wszystko co miałam. Lusieńka była szczęśliwa. Pomogli im tam również moi przyjaciele w Polsce, dali im mieszkanie we Wrocławiu. Teraz mogły żyć.

Lecz dla swej rodziny stałam się nieznośna, duchem byłam wśród zmarłych. W domu był tylko mój cień. Za dusze zmarłych dałam na mszę w kościele i modlił się za nich katolicki ksiądz. Jeszcze kanalia przestrzegała mnie, że prascy księża, którzy pozostali, są ich agentami i wszyscy denuncjują… Nie wiem, czy to była prawda, ale robiło mi się strasznie nawet po usłyszeniu jednego rosyjskiego słowa.

A siostry żyły, otrząsnęły się. Słałam im co tylko mogłam – i piękną biżuterię z Jablonexu, i leki, i rzeczy nowe, i trochę ponoszone, i tym żyłam. Czasem żal mi było męża, bo ze mną nie miał już o czym mówić, jak z durniem. Ustawiam wokół siebie zdjęcia zmarłych i wpatruję się.

A u męża w pracy zaczęły się kłopoty. Zmuszano go do wstąpienia do partii. Odpowiedział im, że lekarze i księża nie mogą należeć do partii. Partie są cztery, a oni są dla wszystkich. Poczęto więc wszędzie kopać pod nami dołki i nie mieliśmy już spokoju.

Pewnego razu przyszedł list, na którym było tylko tyle: „Doktor Iwan Geniusz w Pradze". Szukano nas długo, ale znaleziono. List był od mego brata Alaksieja. Był mniej więcej tej treści: „Drogi szwagrze, gdzie jest moja siostra i gdzie nasz Jura?". Zaczęła się wymiana listów. Poleciała do niego tragiczna wiadomość. Znajdował się w Anglii, przystojny, rosły, z krzyżami zasługi, ale bez ran wojennych. Arkadzij skonał na jego rękach, został pochowany w Loreto, we Włoszech, w bratniej mogile z Polakami – towarzyszami broni.

Brat chciał mi dopomóc, więc posyłał co mógł, głównie angielskie papierosy, bo ich wciąż było mało. Pewnego razu przysłał mi w papierosach złoty krzyżyk pięknej artystycznej roboty. Nie rozstawałam się z nim, aż zdarli mi go razem ze ślubną obrączką i zegareczkiem w sowieckiej turmie i nigdy mi tego nie zwrócili…

Trochę uspokoiłam się. Gościł u nas przyjaciel brata, Anglik, Sidney Alard. Żywo interesował się naszą rodziną. Odwiedzał nas, co bardzo nie podobało się naszemu otoczeniu, a myśmy mimo woli staczali się ku własnej zgubie, nie chcąc się ukorzyć przed ponurą rzeczywistością. Żyło się niełatwo, aleśmy żyli jak prawdziwi ludzie, w zgodzie z własnym sumieniem, nie sprzedając go za żadną cenę, bo nie ma jej na ludzkie sumienie! Nie handluje się nim, i nikt mi nie powie, że nie można go ustrzec!!! Nie ma sumienia – nie ma człowieka.

Sumienie ludzkie – to kościec człowieczeństwa.

Zaczęto nas poganiać, żebyśmy przyjmowali obywatelstwo. Mąż chciał obywatelstwa czeskiego, aż piszczał. Nękany obcokrajowiec chciał chociaż raz w życiu być obywatelem państwa. A Sid Alard zapytywał mnie: „Kto broni ludzi bez obywatelstwa?". Odpowiadam mu: „Bóg". – „A obywateli angielskich broni Bóg oraz król" – arcymądrze ripostował Sid… Żałuję, że wtedy nie rozumiałam jak należy słów przyjaciela brata, a i on także mógł tę prawdę jeszcze raz mi przypomnieć, i życie nasze byłoby łatwiejsze…

No więc zaczęliśmy się starać o obywatelstwo czeskie, jak tego chciał mąż. Czesi nie tak łatwo szafowali po wojnie swoim obywatelstwem. Trzęśli nami na wszystkie strony. Sprawdzali nas po kosteczkach i żadnych „grzechów" nie znajdywali. Nie mogli tylko zrozumieć, dlaczego o nas, obcokrajowców, zabiegają wszystkie ich cztery partie. Oni nam o tym powiedzieli. Nie mogli pojąć, że jesteśmy Białorusinami, że jesteśmy ludźmi w każdych okolicznościach, którzy nie sprzeniewierzyli się prawdzie, szlachetności, swojej Ojczyźnie, narodowi i wszystkim dobrym ludziom w świecie. Ludzie o ciasnych umysłach tego nie pojmują.

Jura wystąpił przeciwko obcemu obywatelstwu i powiedział nam, że jest to zdrada wobec własnego narodu. Słuchaliśmy tego z niedowierzaniem. Dzisiaj przypuszczam, że może tego nauczyli go jacyś agenci. Pewnego razu został nam porwany. Powieźli go ze sobą jacyś sołdaci wkrótce po ich wejściu do Pragi. Całą noc nie było chłopczyka i myśmy umierali ze strachu. Następnego dnia przywieźli nam go żołnierze tamtego sztabu, który u nas się zatrzymał był na samym początku. Z nim nam przywieziono mięso, kiełbasę i swoją, zdawało nam się, przyjaźń. A dziś czemuś myślę, że może oni nam wtedy podkupili dziesięcioletniego chłopczyka. Dzisiaj już mogę od nich oczekiwać wszystkiego, nawet rzeczy nieprawdopodobnych. Syna nigdy o to nie wypytujemy. Ciężko byłoby nam zadawać mu takie pytania, ranić go nimi, a on milczy. Milczy…

Ludzie zaczęli odczuwać rozczarowanie w stosunku do sowieckich żołnierzy i cywilów. Rzeczywistość stawała się coraz mniej ponętna, odbiegając daleko od tego, co propagowały sowieckie gazety. Najbardziej nie podobał się ich pościg za zegarkami. „Dawaj czasy" stało się ich pogardliwym przezwiskiem.

Cztery partie walczyły o elektorat przed wyborami. W Czechach najwięcej głosów zebrali komuniści. W Słowacji – nie komuniści. Słowacy nie mogli darować Benešowi śmierci księdza Tiso[219]. Beneš i w tym wypadku kierował się zemstą. Niedostatek wielkoduszności to tragedia ograniczonych jednostek reprezentujących naród. Czas biegł. A Czechosłowacja ciągle nie potrafiła otrząsnąć się z zaczadzenia odwetem i demonstracjami, ale gromkie słowa nie mogły przesłonić surowej dla komunistów prawdy, że naród nawykły do ładu i porządku nie zaakceptuje pustosłowia i tradycja zwycięży.

Mego bezpartyjnego męża zwolniono z pracy. Dano mu jakieś odszkodowanie. Musiał teraz pracy szukać. Tymczasem otrzymaliśmy czeskie obywatelstwo[220]. Dziś mi się zdaje, że dano nam je po to, żebyśmy nie szukali innego, gdy nie chcemy sowieckiego. „Je nam cti dat vam občanstvi" (to honor dla nas dać wam obywatelstwo) – mówili do nas Czesi wręczając je nam.

Mąż szukał pracy, a przyjaciele robili wszystko, żeby nas przeciągnąć do siebie. „Od roku jadłbym już konserwy – mówił mąż – gdybym ciebie posłuchał". Prawda, że póki co jadał świeże mięso, ale to tylko póki co, bo niebawem przez prawie dziesięć lat wypadnie mu żywić się sardelą i chlebem z plewami. I ta konserwa będzie dla niego jak marzenie senne, które się nie spełnia…

Zapraszano nas do Paryża, przysłano papiery, żeby ułatwić nam otrzymanie pozwolenia i wizy. Objawili się tam nasi krewni. Mąż nie chciał nawet słyszeć

o tym, a mądry Jura tak radził: „Chodź, mamuniu, pojedziemy z tobą, a tatuś tak nas kocha, że nie wytrzyma i prędko za nami przyjedzie". Tak właśnie postąpić było rzeczą najrozumniejszą. Ale mąż, głowa rodziny. Zobaczymy, co będzie dalej, jak też ta głowa pokieruje?

Kłopotem u ludzi są szmatki i rzeczy. U nas to były stosy książek, których mąż był wprost niewolnikiem. Zdawało się, że one są dla niego droższe od nas dwojga. Zaciskałam usta i owładało mną ostateczne przeczucie zguby. Mąż szukał pracy. Obiecano mu ją w Karlowych Warach i w innych miejscach, a dano wreszcie w miasteczku Wimperk przy samej granicy w Sudetach. Wystarczyło odrobinę pobłądzić i już jesteś za granicą w objęciach Amerykanów. Cóż to za piękny niespełniony sen!.. Zdawało się, że niczego innego człowiek nie pragnie, jak tylko żeby przestać się bać, że znowu cię schwytają i powloką jak innych na koniec świata w te ich śmiertelne śniegi i mrozy.

Czesi zapewne dali nam właśnie ten Wimperk, bo zakładali, że jest jakiś rozum w tych białoruskich głowach. Ale kogo Bóg chce skarać, temu rozum mąci… Próby rozmowy na ten temat z mężem były daremne, i choć jedynym argumentem jego były konserwy – trzymał się go obiema rękami i nie sposób było zruszyć go z miejsca. Jemu się śniła Ojczyzna, a mnie – wolność i życie pośród równych sobie ludzi, czy są kułakami czy lumpami, byle tylko byli ludźmi uczciwymi. Jadłabym raz dziennie tylko, żebym nie musiała się bać o swe jedyne drogie dziecko. Rzeczywistość była straszna: żadnej możliwości pracy literackiej lub jakiejkolwiek pracy dla swego ludu, pożytecznej, konstruktywnej, a do tego ten ciągły strach przed tyłowymi „bohaterami" armii, która powoli odchodziła z Europy do domu, pozostawiając tych drugich po sobie.

Alosza o nas nie zapominał. „Dwa tysiące moich braci tu spoczywa" – pisał przesyłając nam zdjęcie Monte Cassino i słynną o nim pieśń. Pisał po polsku, bo tak go uczono w szkole (inaczej nie uczono), i polskie otoczenie armii Andersa spolonizowało go do reszty. Chłopiec nie mógł pojąć, że Białoruś – to nie tylko ci, którzy zabili naszych rodziców; że Białoruś – to nasz kraj, dawny jak baśń, to nasza Matka Ziemia i nasz cel. Nie czas był, żeby przekonywać brata, posłałam mu tylko początek swojej książki z wierszami o tej ziemi. Radością dla mnie było to, że przynajmniej on jeden wyszedł z tej wojny żywy. Później zaczęły pisywać do mnie dziewczęta – jego sympatie, i ja pociłam się odpowiadając im po angielsku. Chłopak był jak malowanie – wysoki, zgrabny i na zdjęciach – jak wyrwidąb pośród młodych dąbczaków – swych kolegów żołnierzy. Tylko, niestety, lubił gin.

Do czego mi się szczerze przyznał. Pisał o tym jego andersowski dowódca. Pisał o nim jako o roztropnym i dobrym człowieku. Alaksiej, gdziekolwiek z wojskiem przechodził, z łatwością opanowywał miejscowy język. Znał więc już włoski, niemiecki i doskonale opanował angielski.

Pisał, że mógł się uczyć w wojsku Andersa, ale wolał wojować…

Alaksiej był naszą radością, a jego przyjaciel z angielskiej misji wojskowej w Pradze, Sid Alard – naszym miłym gościem. A w oczach władców losów tej ziemi, gdzieśmy mieszkali, był to niemal śmiertelny grzech. Bo chociaż brat bił się ze wspólnym wrogiem, to teraz się okazuje, że tylko ofiary śpią po kopcach i mogiłach jako równe pomiędzy sobą, bo zwycięzcy dzielą się już na klasy.

A ja uznawałam podział na ludzi niedobrych i dobrych, bo rozumny oświecony inteligent jest nieporównanie bardziej społeczeństwu potrzebny od zbydlęconego tępego proletariusza, którego celem jest wyłącznie koryto. Tak będzie wiecznie, bo ludzie mogą żyć lepiej w sensie materialnym, ale nie doskonalą się masowo do wzniosłości i ofiarności wybranych przez los jednostek, które jak były, tak pozostaną przykładem dla ludzi. Bezcelowe jest równanie wszystkich ludzi do poziomu prymitywów. Na Zachodzie ludzie wspinają się na poziom szlachetnych inteligentów. Tacy właśnie są wybierani i powoływani do władzy nad społeczeństwem.

Mąż powoli szykował się na Wimperk, a Jura poszedł do szkoły. Wkrótce mąż pisał, że jest mu tam nieźle. Wybrałam się do niego w odwiedziny. 200 kilometrów za Pragę. W górach już było zimno i sam Wimperk zrobił na mnie tak ciężkie wrażenie, że rankiem uciekłam do kościoła, żeby choć trochę okrzepnąć duchowo. Nigdzie jeszcze nie było mi tak okropnie, jak w tej mieścinie. Nie umiałam się otrząsnąć ze strachu, a mąż nawet nie próbował mnie zrozumieć. Dusza poety jest jak sejsmograf. Jeszcze raz pojechaliśmy tam z synem na świętego Mikołaja (czeskie tradycyjne święto). Wrażenie nie było lepsze. Odwrotnie. Nawet dzisiaj trudno mi pisać o tamtych dniach.

A mąż czuł się tam jak ryba w wodzie.

Jesienią 1947 roku pan Křivonoska, nasz dobry znajomy, wiedząc jak bardzo pragnę spotkać się z mymi siostrami, zdobył samochód i powiózł nas na Śnieżkę, gdzie spotykali się Czesi z Polakami, bo góra była podzielona na pół. Jechało się wspaniale. Przenocowaliśmy w hotelu na przedgórzu i nazajutrz ruszyliśmy piechotą na Śnieżkę. Nieśliśmy prezenty i serce drżało na myśl o rychłym spotkaniu po tylu wydarzeniach. Góry jesienią są również piękne, dolinki jeszcze zielone, sosny

dziewiczo zadumane w czystym niebie, a pogoda była jak wyśniona. Juraczka biegł lekko w górę, a ja już nie biegłam, jak bywało wcześniej, bo oddech zrobił się krótszy. Na Śnieżce są dwa hotele i w polskim znaleźliśmy naszych! Nina mocno postarzała, a Lusia była jak z obrazka – taka zgrabna, taka urocza, że trudno nie patrzeć na nią. Pan Křivonoska od razu powiedział, że takiej dziewczyny nie wolno zostawiać Polakom. Czesi niezmiennie darzyli ich niechęcią. Przeprowadziliśmy siostry na czeską stronę, ja dostałam przekąskę i rozłożyłam na stole, ale nikt nie mógł jeść i nawet niewiele rozmawialiśmy, po prostu oniemieliśmy. Nałożyłam Lusi na paluszek złoty pierścionek, który mąż mi kupił w dniu śmierci Arkadzia, nic o tym nie wiedząc. Lusia marzyła o pierścionku i była uradowana. Był jeszcze materiał na sukieneczki i inne rzeczy. Jura był bardzo zadowolony i wciąż przebywał z Lusią. Sprezentował jej swoją piękną góralską ciupagę.

Zapytałam je o zamęście i śliczna Lusia odpowiedziała mi, że jej pan młody jest… z tamtego świata. Dreszcz przebiegł mi po skórze. Wcześniej jeszcze, gdy im opisywałam ten czarny cień, który prześladował Sławaczkę, Lusia odpowiedziała mi, że gdy przebywała w Kazachstanie, do niej też przychodził czarny cień. Pierwszy raz wszedł przez zamknięte drzwi do ziemianki, w której mieszkali. Wszyscy spali, Lusia jeszcze myła się, a cień powiedział: „Spoj, niewiesta, nie pugajsia…” (Zaśpiewaj, dziewczyno, nie lękaj się). Lusię znaleziono na ziemi zemdloną. Od tego czasu, jak i w Żłobowcach, widywało go wiele osób. Mama obudzi się, a nad śpiącą Lusią stoi czarny cień. Lusia powiedziała mi, że zwykła już się z nim. Pewnego razu obudziwszy się i ujrzawszy cień zapytała go: „Czego ty ode mnie chcesz?” – „Twoją mamę” – odpowiedział cień. Dwa miesiące później mama zmarła. Cień pojawił się jeszcze raz i w powietrzu zabrzmiały słowa „So swiatymi upokoj” (z cerkiewnej modlitwy za zmarłych: wieczne odpoczywanie!). Więcej już go Lusia nie widywała, ale jak gdyby czekała nieuniknionego spotkania z nim, swojej śmierci. Znacznie później, 22 maja 1952 roku Lusia zmarła zagadkowo, lecz nie duchy były przyczyną jej śmierci…

To wszystko jest niewiarygodne, ale nie mam podstaw nie wierzyć swemu prawdomównemu bratu, swojej mamie i drogiej siostrzyczce. Nie mam podstaw nie wierzyć im i ja im wierzę. Miałam zamiar zabrać Lusieńkę do siebie. Przed odjazdem odwiedziłam policję czeską, gdzie mi obiecano zameldowanie jej, jeśli uda mi się przewieźć ją do Pragi. Lusia gotowa była iść z nami, ale Nina tak się przeraziła, że aż pobladła i zaczęła błagać, żebyśmy Lusi nie brali, bo za to posadzą ją, Ninę, a ona już znała sowieckie więzienie…

Polskie towarzystwo chętnie się zaopiekowało moimi siostrami. Ponieśli nawet ich rzeczy. Przyjacielscy i dobrzy Polacy w biedzie są jak bracia. Ze Śnieżki widać było polską stronę. Zdawało mi się, że tam trochę bezpieczniej. Moja Lusieńka poszła jak rusałeczka z nimi w moim zielonym kostiumie, w ładnej białej czapeczce. „Gdyby nie ta czekolada, którą jem i gdyby nie podarunki od nich, myślałbym, że to sen" – powiedział rozumnie mój Jura.

Jak to dobrze, że je zobaczyłam. Pan Křivonoska nie mógł żadną miarą darować, że zostawiliśmy Polakom taką dziewczynę, takie cudo… Zamyślone, zasmęcone jak nie z tego świata dziewczę odeszło ode mnie na zawsze, maleńka Lusia… Nie szczodrze odmierzył los nić jej życia. Opowiadałam im o tym partyzancie Toliku (zdawało mi się, że miał na imię Misza, ale ludzie z Połówek powiedzieli mi, że Tolik). Wspominali, jak aresztował tatę niejaki Sundukiewicz (z Łazów, zdaje się), jak Zajac z Tupiczan, rozbestwiony bezbronnością swego pana, gonił go aż do Łunny. Jeszcze żyje w Mostach niejaki Kapiejka, który przykleił się do Rościsława w czasie wojny, a po wojnie prześladował go tylko za to, że jest synem kułaka. W ten sposób dowodził swego rabskiego oddania Stalinowi, pomagając mu w eksterminacji ocalałych z wojny. Pewnie nadal denuncjuje takich samych niewinnych pracowników tartaku w Mostach. Żelazna gwardia dzisiejszego reżymu. To przez takich ginęli ludzie, nie wszyscy, oczywiście, tylko ci, którzy nie uciekli ze swych gniazd, z ojczystej ziemi, którzy żywili złudzenia, że inni także za uczynione im dobro odpłacą dobrem, a za prawdę – prawdą… Czyżby w ten sposób mieli wyniszczyć cały nasz ród?

A krwawe szpony już pomału zaciskały się wokół mego gardła i mały synek szedł na spotkanie okrutnemu sieroctwu. Sądzone jest, widać, całemu naszemu rodowi ginąć na zębiskach tych bestii ludzkich. Mnie jest szczególnie trudno, bo ja kochałam ten lud, kochałam go bezgranicznie… A może to tylko mierzwa ludzka, krwawa piana tych zbroczonych krwią dni, może jeszcze bije ludzkie serce mojego narodu, który zaprotestuje przeciwko sadyzmowi? Tak bardzo chciałam w to wierzyć.

Mąż pisał z Wimperku, przywoływał mnie do siebie, bo mu było ciężko. Straszny ten Wimperk okropnie. Na samo wspomnienie ogarnia mnie strach. Musiałam zostawić synka na kwaterze i jechać do męża. Moi dobrzy znajomi Sirapołkowie znaleźli jakąś Ukrainkę, panią Kuczyńską, której oddaliśmy Jurkę. Opiekę nad nim objął pan Křivonoska, nasz znajomy Czech. Często przyjeżdżałam do Jury. Wtedy szliśmy do naszego mieszkania i spędzaliśmy w nim kilka dni.

Byliśmy szczęśliwi. Zauważyłam jedynie, że Jura stara się być samodzielny, co mnie trochę niepokoiło. Pani Kuczyńskiej nie słuchał. Mąż mało poświęcał mu uwagi, a teraz nie widywał go w ogóle. Chłopczyk wyrósł, wyciągnął się.

Pewnego razu jechałam do męża. Zwykle w autobusie bywało spokojnie, ale tym razem przyczepił się do mnie jakiś typ, bardzo źle mówiący po czesku z rosyjskim akcentem. Nie mogąc wydusić ode mnie słowa, zwracał się do szofera i do wszystkich pasażerów, że ta dama to burżujka, sama mieszka w Wimperku, a syn jej uczy się w Pradze itp. Przypomniał mi się Olechnowicz[221], który kiedyś przeżywał podobne nękanie, więc nic nowego. Po paru dziesięcioleciach jeden z ich „przedstawicieli" zacznie mnie nękać w Polsce, w drodze do Krynek. Gdy mąż spotkał mnie w Wimperku, wskazałam mu mego prześladowcę, który natychmiast wziął nogi za pas. Podobnie w Polsce ich czekista dał nogę w las nie dojechawszy do Krynek…

Deptali mi po piętach, śledzili, otaczali i tylko mój mąż był głuchy i ślepy, i jak poprzednio obawiał się wciąż, żeby tylko nie przekroczyć granicy do Niemiec Zachodnich. Mąż miał pielęgniarkę za sekretarkę, której ojcem był Niemiec, a kochankiem aktywista partyjny, Czech, bardzo żywo interesujący się naszymi osobami. Mąż również w tym nie widział niczego strasznego, nawet wręcz odwrotnie. Natomiast dla mnie wszystko było jasne, ale ogarniała mnie pasywność tępej owieczki idącej na rzeź. A należało zabierać syna i ratować się, bronić życia syna i swego. Karygodne rzucanie nas Stalinowi pod nogi nigdy nie zaciążyło kamieniem na sumieniu mego męża. Dla niego byliśmy raczej rzeczami, niż żywymi ludźmi.

Miał własne zainteresowania, własne życie. Będąc w Wimperku gotowałam mu. Serwowałam, paliłam w piecu, a w wolnym czasie malowałam kredkami czy akwarelą. Gdy jechał gdzieś dalej na wezwanie, zawsze brał mnie ze sobą. Wtedy patrzyłam na lasy, na opuszczone w nich przez Niemców domy i myślałam o Białorusi. I tu, i tam było mi straszno. Straszno, gdy toczy się wojna, ale straszniej jeszcze, gdy po jej krwawych śladach wkracza psie szpiclowanie, podłe podglądanie, nękanie i denuncjowanie ludzi, którzy nie chcą się zginać wpół, nie zamierzają się usprawiedliwiać i nie słuchają rozkazów kochania czegoś, przed czym kiedyś zadrży ludzkość jak przed piekłem. Tu logika budziła śmiech, a podłość i płaszczenie się było prawem życia. Wiele się dziś zmieniło, chociaż podłość daje o sobie znać, tyle że nie tak jawna i bezczelna, nie tak cyniczna jak wtedy.

I tak, w miejsce wysokiej kultury europejskiej wtargnęły do Czechosłowacji pojęcia: niedźwiedź – naczelnik, tajga – prawo… Pewnego razu w sobotni wieczór

rozmawialiśmy o czymś z mężem, ktoś nieoczekiwanie zadzwonił, a gdy otworzyliśmy – w drzwiach stanął Jura, który zanosił się od śmiechu. Miał wakacje i sam do nas przyjechał. Cóż to była za radość! Ale Jura chciał pojeździć na nartach i mąż zawiózł go na samą granicę do znajomych, gdzie były trasy zjazdowe i nawet skocznia. Tam za granicą żyli ludzie, którym po wojnie było bardzo ciężko, lecz dźwigali się ekonomicznie i moralnie i z każdym dniem ich życie stawało się lepsze. Pojechałam po Jurę, ale on chciał jeszcze pojeździć. Do nas powrócił sam. Przybiegł na nartach. Jechał przez opustoszałe wsie i było mu straszno. Nie wszystko jeszcze Czesi zdążyli zagospodarować na tzw. „pohraničí", i w tym celu zaprosili nawet Bułgarów, i właśnie „bratuszki" pomagali tam zakładać kołchozy. Ile krów, tyle naczelników na stokach Sudetów. A kiedyś tam każdy gospodarz miał po kilka krów i ich ilość ogólna była dziesięć razy większa i dziesięć razy lepsza od kołchozowej. Ludzie na to wszystko patrzyli sceptycznie, ale, jak powiadali Niemcy: „Befehl ist Befehl"[222] – i każdy się rozkazom podporządkowywał, żeby tylko nie trafić w krwawe stalinowskie szpony.

Napisał do mnie profesor Špaček, że chciałby ze mną się spotkać i porozmawiać. Do Pragi pojechał mąż, ale Špaček z nim rozmawiać nie chciał.

Siostry moje już się w życiu pourządzały i zdawało się, że będzie im spokojnie i dobrze. Pomagali im moi znajomi, kto czym i jak mógł. Pisały nawet, że tak dobrze im nie było nigdy w życiu. Miały dobre mieszkanie i każda miała swoją pracę, i najważniejsze – obie razem. Ale niestety, chciało im się pożyć jeszcze lepiej, a głównie – weselej. Co się potem zakończyło tragicznie.

Alosza pisywał jak przedtem. Już się pogodził z losem i z nową swoją Ojczyzną – gościnną ziemią Anglii. Zbliżała się wiosna, w górach wcześniejsza. Gdy mąż dłużej nie powracał, wychodziłam na dwór i obserwowałam mknące ciemne chmury i gubiący się w nich bezbronny księżyc. Tamtej pewności życia, jutrzejszego dnia już nie było się można nawet spodziewać. Każdy żył z dnia na dzień, nawet partyjni. W Czechosłowacji miały się odbyć wybory, ale się nie odbyły. Zamiast nich znowu była rewolucja, tym razem dzieląca naród na komunistów i demokratów. Wygrali komuniści, bo tak Zorinowi[223] rozkazał Stalin.

Dawno już minął czas krwawej okupacji niemieckiej, z której wyszliśmy żywi, ale najważniejsze, że moja poezja, moja miłość do Białorusi pozostała czysta jak krynica polna. Nikomu nie powiedziałam, ani nie napisałam słowa oprócz mojej Ziemi i mego Narodu. Moje słowa były tylko dla ciebie, mój Kraju Ojczysty ukrzywdzony, tobie była cała wierność moja, którą przeniosłam przez niełatwy

czas, bo tylko tobie poświęciłam całe swe życie. Zbliża się kolejny czas próby. Dla mnie będzie on jeszcze straszniejszy, ale Boże Ziemi mojej, Boże Przodków moich, daj mi siłę, bym przetrwała to najtrudniejsze. Niech moja wierność i moja miłość będą godne mąk twoich kilkuwiekowych, Białorusi moja! Gałązka z Twego drzewa, ziarenko piasku z Twego pola, niosę Tobie resztę mego życia i moje serce. Tak pragnę cierpieniem swym przetrzeć jasny ślad ku jutrzejszej Twej doli. Zostawiam Wam wszystkim na pamiątkę słowa moje i na miłosierdzie Wasze progeniturę moją. Niechaj krzywdy mnie uczynione będą odkupieniem dni szczęścia dla nich na Ziemi, która naszą jest. Internacjonał – to nie znaczy włożyć na siebie cudzą maskę i wyrzec się wszystkich wartości swego rodu, lecz znaczy to trwać w szczerym braterstwie ze swym narodem i w braterstwie między narodami. Internacjonał – to nie jest podporządkowanie się silniejszemu, lecz podporządkowanie się równości praw, miłości i prawdzie. Nikt lepiej od nas samych nie zaśpiewa naszej „Reczańki”[224], nie zatańcuje „Lawonichy”[225], nie podźwignie naszej szlachetnej kultury ludowej na poziom tak wyniosły, żeby świat zobaczył, iż jesteśmy samoswoim, samoistnym od prawieków, pełnowartościowym narodem!

Nie mam nic, nawet lisiej norki, a w perspektywie – serce rozpięte na oblodzonych drutach Dalekiej Północy – za Białoruś. Tak jest widocznie sądzone. O, Boże, nie opuść mego jedynego syna i nie dopuść, by zagubił w pułapkach sierocego żywota imię i twarz swoją człowieczą i białoruską! Za sobą już mam mogiły swoich najdroższych, a przed sobą udrękę i krwawy los. Zmierzę z nim swe siły. Co będzie silniejsze: wasze szyderstwo nad nami czy moja miłość? Niechaj na mojej osobie zakończą się cierpienia naszego narodu. On zasłużył, żeby wolnym być! Przeniesiona przez wieki mowa mego ludu, nasza kultura – humanistyczna już od Eufrozyny Połockiej[226] – jakież to wartości w świecie łagrów, uśmiercających człowieczeństwo mrozami Workuty i ogniem Oświęcimiów! Czy wolno skazać na zagładę i zapomnienie takie wartości narodu bez szkody dla całej ludzkości? Śpij spokojnie, drogi wujaszku Wasilu Zacharka, nie oddamy na poniewierkę naszego skarbu. W moje ręce przeszła Twoja wola, a serca córek zawsze są wierniejsze matce rodzonej! Wszystko zostanie mi odjęte i ślady moje będą niemal zatarte, lecz ziarna czynów waszych i naszych słów przetrwają wszystkie tortury moralne i rozkwitną w niedalekim czasie, żeby żył wiecznie naród nasz!

Nie, nie powinnam obwiniać mego męża, bo nikt nie uszedł swemu losowi przeznaczonemu z góry. Idę. Będą mnie oskarżać o to, że ich nie lubię. Bo innej

winy nie mam. Niech ktoś z żyjących, komu zamęczą rodziców, wytracą jego ród, oderwą od serca i pozostawią na poniewierce jedynego syna, rozbiją rodzinę i oboje małżonków zasądzą na łączną karę pół stulecia rąbania kilofem przeklętej od Boga i ludzi marzłoci, niech taki ktoś orzeknie, czy można za to „lubić" i takie działania wedle przepisanej recepty nazywać „mądrymi"??? Może kogoś zmuszono do takich działań za grubszy okrajec tzw. „ludowego chleba", ale czy to są ludzie? To sługusy i ich ofiary.

Nie może być wartościowym i szlachetnym to, co wdraża się w życie haniebnymi metodami. Wielkość brzydzi się krwawą przemocą!

Kończy się moja gościna u tzw. bratniego słowiańskiego narodu. Jak łatwo Czesi zastąpili swą odwieczną wierność słowiańszczyźnie gruzińskimi wąsami swego nowego idola? Straszno mi jakoś, bo przebudzą się i ogarnie ich przerażenie: co i na co tak łatwo i tak bezmyślnie wymienili? Cóż, on zdążył już stać się „natchnieniem" tkaczek białoruskich, „wzbogacając" nasze tkackie motywy ludowe wzorem swoich butów unurzanych w słowiańskiej krwi, oraz, co gorsza, strasznych dla świata swych gruzińskich wąsów… Też mi „natchnienie" dla narodów ziemi, w dodatku europejskich!

Gdzieś w zamkniętym strzeżonym miejscu dogasał czeski prezydent Beneš. Teraz był już wrogiem. Wykorzystano go i wrzucono do dołu, bo stał się niepotrzebny… Tak się dzieje z każdym politykiem, z każdą ludzką prawdą, która już nie pasuje do marksistowskiego Talmudu. A Talmud ten utknął w pseudoprawdach XIX stulecia i wpasowywał teraz w prokrustowe łoże ogłupionych wyznawców nowej, obcej człowieczemu, szczególnie słowiańskiemu sercu religii. Jedno tylko było dla mnie jakimś pocieszeniem. Wierzyłam, że u mego męża była to tylko pomyłka, że i on, jak ja, nie wyrzeknie się szlachetnych prawd i osiągnięć wielkich ludzi na szlaku humanistycznego rozwoju kultury ludzkiej.

Czekało mnie powolne uśmiercanie w sobie poety i w ogóle żadnej możliwości pracy twórczej.

Ale wszystko jest w Bożym ręku, dlatego życie jest takie ciekawe!

A gdzieś tam stała nasza kołyska, tak wtedy myślałam. Nasz dom w Żłobowcach. Pamiętam, jak tata woził nań drzewo aż zza Niemna. Kłody były żywiczne, grube. Sanie zapadły się do Niemna razem z tatą i potężny barczysty tata długo leżał w pościeli z odmrożonymi nogami. Potem stawiano dom, poświęcono podmurówkę, położono tam, wzorem przodków, święcone ziele. Rozstałam się z chatą w 1937 roku, odjeżdżając z synem do męża. Po wywiezieniu naszych rodziców

naszą chatę z nieznanych przyczyn przewieziono do Gudziewicz. Rościsław przeniósł ją na powrót, żeby mama, gdy powróci, miała gdzie mieszkać. Ale mama nie wróciła i chatę znowu przewieziono, na ten raz do Wołkowyska, na ulicę Wileńską. Wtedy przewieziono również naszą stodołę na garaż. Był tam Zarząd Eksploatacji Dróg, a teraz nawet nie wiem, co tam się mieści.

Czasem przychodzę i patrzę na nią z dala i zdaje mi się, że widzę tatę z odmrożonymi nogami, jak zwozi tęgie bierwiona na dom dla siedmiorga swoich dzieci. Było w nim dźwięcznie, i było tragicznie, bo krwawa przyszłość wdzierała się już w naszą człowieczą świadomość przeczuciem dni grozy. Ta chata wychowała wysokich, dorodnych i dobrych braci moich i ogrzała wiecznym ciepłem serce moje białoruskie, zahartowała je w dobru i prawdzie, której nie zmogli żadni wrogowie ludzkości. Myślałam: ktoś z nas odejdzie, ktoś pozostanie na tej ziemi, w tej chacie i będzie czekać na nas, gdy przyjedziemy w wielkie święto na groby naszych drogich rodziców, i wszystkim nam będzie jak w młodości, i pamięć rodziców będzie błogosławić drogi nasze i prostować nasze pomyłki. My – Słowianie, my – Białorusini, wśród których żywa jest pamięć przeszłości i do których nasi przodkowie personalnie przychodzą od wieków na Dziady[227], żeby razem być w gościnie. Wszelkie zło odchodzi w niebyt i pozostaje czysta pamięć o najlepszym. Chodzimy po ziemi i słyszymy jakby głosy współczucia i dobrej rady dziadów naszych pośród szerokiego pola.

Odebrali nam nawet to. Wyśmiali wiarę naszą, obyczaj nasz i mowę naszą na naszej ziemi. A nasze Dziady jednak przychodzą do nas co jesień… Dopokąd będą do nas przychodzić, dotąd będziemy ludźmi.

Życie nasze było pracą i bólem, ale było i pieśnią, której nie znają inne narody. Śpiewano wszędzie i śpiewali wszyscy. Śpiewali – więc żyli! Teraz u nas śpiewa tylko wóda na biesiadnym stole, ryczy bezmyślnie, gdy dusza nasza milczy i pieśń nie porusza serca. Czemu nie śpiewamy? Czemu głos ludu sparaliżowało, jak nie było nawet za okrutnej pańszczyzny? Kiedyś mąż powiedział naszej synowej Wali[228]: „Ty jeszcze nie zaśpiewałaś w naszej chacie, dlatego tyś jeszcze nie nasza". Bardzo czekał, kiedy nasza „córa" zaśpiewa… Nie jakieś „modernowe", obce pieśni, a coś naszego, z duszy ludu…

No więc Zlata Praha pozostanie za nami. Miałam z nią własne porachunki. Stare mury i kamienie mówiły mi więcej niż żywa współczesność. Były nagrodą za pozostawiony kraj ojczysty. Teraz zostaniemy pozbawieni i jednego, i drugiego. Pozbawią nas wszystkiego i będę tylko numerem 0-287, który naszyją mi na

plecach i po którym będę wywoływana na nieludzkie mrozy nieludzkiego kraju reniferów i Komiaków.

Kto dał prawo, kto dał prawo wyrywać człowiekowi duszę i przekabacać, przenicowywać na obcy ład odwieczną duszę narodu? Czy wolno sądzić o wartościach tym, którzy nie mają pojęcia o prawdziwych wartościach człowieczeństwa? Gdzieś tam jeszcze myślano o nas, ktoś tam jeszcze chciał ratować nas. Byli to obcy ludzie, a nas już los gnał na północ rozkazami Stalina i jego sługusów. W Pradze szalała rewolucja i padały ostatnie szańce niepodległości, której nie anulowali nawet bezwzględni okupanci Niemcy. Krzyczeli jeszcze na ulicach członkowie Czeskiego Sokoła – siła i duma narodu, ale i oni zamilkli w obliczu przebiegłej brutalnej siły.

Dwadzieścia pięć lat przeżył mój mąż w tym mieście i pośród tego narodu. Myślał już po czesku jak po białorusku. Teraz wyrywano go z korzeniami, i bardzo go było mi żal. Ludzi, których nie dało się złamać, należało zniszczyć. Później powie mi jakiś dziennikarz, który dostał się na śledztwo w słynnej „Amerykance", że to żadna różnica, czy jesteśmy z obywatelstwem czeskim, czy z innym. Jest to sprawa kilku lat i wszystko tu będzie – rosyjskie… Jedno państwo… Jakaś hybryda Europy i azjatyckości – pomyślałam.

Ano, człowiek to zwierzę, które kiedyś mogło żyć na drzewie, potem w jaskini, więc jakiś czas przetrwa i tutaj, ale to będzie regres! Ogon nam pewnie nie urośnie, ale wartości duchowe ulegną przytępieniu lub zanikną ze szczętem. Szczęście ludzkie to rzecz indywidualna, jak i narodów. Ale strasznie ciężko jest rozstawać się z tym, co sercu miłe, ojczyste, wrodzone… Czy bezduszne, bezmyślne hasła zastąpią nam święto naszych przodków? Ruinami patrzyły w przyszłość stare nasze zamki, miasta i świątynie. Niszczono je, burzono wielką przeszłość, jak chciał kiedyś sam Führer: zniszczyć wszystko i potem głosić, że Niemcy przynieśli kulturę. I zniszczył wszystko, tylko dalsze jego plany wprowadzali w życie już inni kolonizatorzy. Dzieje odwiecznego Wołkowyska poczynają się od Bagrationa[229]… Tak wszędzie i ze wszystkim. Pojawili się nowi Goebbelsowie, nie ustępujący tamtemu w łgarstwie i zapiekłej propagandzie. To, co ludzie nazywają wolnością, zostało wyrwane nam z serc.

Gehenna

Nasz człowieczy los jest nam dawany zapewne przy narodzeniu. Nie da się go obejść ani objechać koniem, jak u nas mówią. Wiele razy już mogłam się o tym przekonać przez lata mego życia, tak jak i o tym, że moje przeczucia, to byli wierni przyjaciele, którzy uprzedzali mnie przed nieszczęściem. Kraj, z którego pochodzę i moje środowisko były ściśle powiązane z ziemią, z naturą, z jej żywiołem, z przesądami i sprzyjaniem takich sił, które podświadomie wyczuwają tylko dzikie zwierzęta i w mniejszym stopniu zwierz domowy, zwłaszcza pies. Pamiętam, że w ojcowym chutorze Żłobowce nigdy mi nie było smutno. Odczuwałam towarzystwo drzew, roślin i matczyną przychylność do mnie szerokiego obsianego pola wtulającego się w zmierzch. Było mi ciasno i smutno nawet w niewielkim miasteczku Wołkowysk, gdzie chodziłam do szkół, brakło mi ciepłej obecności moich niemych przyjaciół – szerokich łanów, drzew, żywizny, nie mówiąc już o naszej rodzinie, do której byłam przywiązana do bólu. Nie wiedziałam, co wypada, co należy, co wolno, co modne, wiedziałam tylko i ceniłam w duchu to, co kocham. A ponad wszystko na świecie kochałam moich rodziców i Ojczyznę, którą podówczas pojmowałam jako mój naród. Kochałam wiatr i ziemię, dawne pieśni, ciche wieśniaczki, konie i młodość. To było dawno.

Od dziesięciu lat jestem już w Pradze, mam dobrego męża i wielkiego już i rozumnego syna, ale serce moje należy do mojej Ziemi i to ona mnie ostrzega. Od trzech lat nie mam spokoju. Drżę i żyję rozdygotana, gdy słyszę język rosyjski. A gdy widzę ludzi sowieckich w mundurach, serce zamiera i pragnę być tam, gdzie ich nie widać. Raz szłyśmy ze znajomą Czeszką, panią Teskovą wieczorem po Pradze i nagle zrobiło mi się bardzo niedobrze, ogarnął mnie niepokój, aż zatrzymałam się, nogi nie chciały iść. Okazało się, że mijałyśmy sowiecką ambasadę, o czym nie miałam pojęcia. Moje dobre pole było ze mną, szeptało do mnie…

Jesteśmy w Wimperku[230] na granicy Czech i Niemiec. Mężowi dano tam pracę na pół roku, po zwolnieniu z zakładów, w których pracował w Pradze. Syn uczył się w gimnazjum czeskim i mieszkał na kwaterze u Ukraińców Kuczyńskich w Pradze. A ja trochę jestem w Wimperku, to znowu jadę do syna. Beze mnie

ciężko i jednemu, i drugiemu. A z Wimperku tak blisko do granic wolnego świata, gdzie nie porywa się ludzi, gdzie ludzie żyją może nie bogato, ale swobodnie, nie boją się ani w nocy, ani w dzień czegoś przerażającego, od czego zamiera mi serce i czego sama jeszcze nie pojmuję. Ja się nie boję, odwagi mi starczy i zdecydowania w życiu. To nie strach. Przeżyłam wojnę, nie sprzeniewierzywszy się, nie splamiwszy swego białoruskiego czystego sumienia. To coś gorszego, jakaś nieuchronność, jak męki piekielne w piekle za życia. Mąż przyjmuje chorych w swoim gabinecie, ale gdy jedziemy do chorego za Wimperk, za każdym razem rodzi się u mnie nadzieja, że nocą przekroczymy granicę, i zaczynam wolniej oddychać, pragnę jedynie, żeby z nami był syn i nic mi więcej nie trzeba. Ale to tylko takie marzenia. Mąż nie ma takich przeczuć. Podobno lekarze ich nie miewają. To nie poeci…

5 marca 1948 roku było mi straszno już z samego rana. Przygotowywałam się do urodzin mego męża przypadających 8 marca. Zamówiłam mu tort w cukierni, wybrałam na kartki cukierki i inne drobiazgi, które lubi, ale nic mnie nie cieszyło. Wisiała nade mną jakaś czarna nieuchronność jak chmura, paraliżowała kroki. Nawet modlitwa nie przynosiła ulgi. Nie zdążył mi mąż poczynić rano jakiejś uwagi, jak gorzko się rozbeczałam i musiał mnie pocieszać jak dziecko. Obiad minął na pozór spokojnie. Ale gdy mąż wyszedł po południu jak co dzień do pracy w kasie chorych, nie mogłam już ze sobą wytrzymać. Co pół godziny rozlegały się dzwonki, to z sąsiedniej Kwildy proszono, żeby przyjechał, to pytano, kiedy mąż będzie w domu itp. Był piątek, przygotowałam kolację i pomyślałam po raz pierwszy, że jest post i czy to nie grzech szykować bite kotlety z ziemniakami i zsiadłym mlekiem?

Po kasie chorych zaczynały się u nas przyjęcia wieczorne w gabinecie męża, a później, gdy wszyscy już odeszli, zawsze razem szliśmy na wizyty domowe. Tego dnia taka wizyta była konieczna. Od kilku dni już chodziliśmy lub jeździli za Wimperk. Umierała tam młoda dziewczyna chora na raka. Była po operacji i serii naświetlań, zostawało jej tylko podawać środki przeciwbólowe, w odpowiedniej kolejności, żeby skuteczniej działały. Chora, jej mąż i dzieci oczekiwali nas jak zbawienia. Z chwilą przyjścia lekarza ucichał nieznośny ból, kobieta przestawała jęczeć. Najserdeczniejszymi słowami prosili nas, żebyśmy przyszli. Mnie poprosili osobno i obiecałam im, że przyprowadzę męża.

Tym razem nabrzmiewała prawdziwa tragedia, nie odchodził już mocz. Po zastrzykach jak zwykle zrobiło się chorej lepiej. Mąż chorej poprosił nas na kilka

słów w dyskrecji. Wyszliśmy na dwór. W górach czuło się już wiosnę. W świetle księżyca połyskiwały kałuże i niebo było usiane gwiazdami. Było prawie ciepło. Człowiek ten oparł się o odrzwia, poważny, znużony, blady i powiedział mniej więcej tak: „Kocham swoją żonę ponad wszystkie słowa, ale nie mogę już patrzeć, jak potwornie cierpi. Od jej choroby mam wrzody na żołądku, opadłem z sił, pochorowały mi się dzieci. Proszę więc pana doktora o spowodowanie, żeby więcej już nie cierpiała. Proszę o zastrzyk, żeby jej ból uciszył się na zawsze". Mąż popatrzył na niego poważnie i powiedział, że tego uczynić nie może. „Dlaczego?" – głucho spytał człowiek zduszonym głosem. „Dlatego, że przysięgałem" – odparł mu doktor. „Ale przecież ludzie dobijają zwierzę, które cierpi. Czy pan nie zna litości?" – „Jedna milionowa jest szansa, że tego dnia w nocy ktoś wynajdzie lek na raka i dla tej jednej milionowej ja nie zrobię tego" – spokojnie odpowiedział mąż. Obiecaliśmy nazajutrz wyrwać się jak najwcześniej, żeby przynieść konającej ulgę. „Przyjdzie!" – zapewniłam go i ja, gdy do mnie zwrócił się z żarliwą prośbą. Ledwo odprowadziłam zmęczonego męża do domu. Był wyczerpany z chronicznego niewyspania i zrobił się nerwowy. Niebo lśniło jasnymi gwiazdami, ziemia czerniała już bez śniegu, a jeszcze bez trawy.

Niewesoło minęła kolacja, którą mąż jadł sam. Ja znowu zaczęłam płakać. Była już jedenasta wieczór. Kilka dni wcześniej rwałam się do Pragi. Tam była rewolucja i drżałam o syna. Mąż cały czas uspokajał mnie, telefonował do syna w Pradze i mnie tam nie puszczał. Syna zostawiliśmy pod opieką dobrego człowieka, pana Křivonoski, i wolno było sądzić, że nie pozostawi chłopczyka bez swej pieczy w tym niepewnym czasie. Jednak ja, właśnie teraz, o jedenastej godzinie w nocy, zerwałam się, że jadę do syna i z płaczem pakowałam walizkę. Nie sposób było mnie zatrzymać. Wdziawszy krótki zgrabny kożuszek, w chusteczce i leciutkich pantofelkach wybiegłam na ulicę, żeby zdobyć u naszego znajomego rzeźnika trochę kiełbasy czy mięsa, o które w Pradze jest jeszcze trudniej. Nie zdążyłam odejść od drzwi, jak podszedł do mnie mężczyzna i poprosił, żebym nigdzie nie wychodziła, że tak trzeba. Ze zdziwieniem powiedziałam, żeby odstąpił ode mnie, że nikt nie ma prawa mnie zatrzymywać. Ulicą szedł jakiś mężczyzna i ten go zawołał, żeby pomógł mu zatrzymać mnie. Mężczyzna biegiem uciekł. Powiedziałam, że zawołam męża. Kiedy ten typ zabronił mi tego, podeszłam do ściany domu i ramieniem nacisnęłam dzwonek do naszego mieszkania. Mąż wyszedł. Zajmowaliśmy pierwszą kondygnację domu. Nad nami mieszkał ktoś inny. Człowiek, który mnie zatrzymał, poszedł z nami mówiąc, że nie jest sam, że oni

już przychodzili, i teraz jego koledzy są obok w kawiarni i zaraz do nas przyjdą. Zatelefonowałam o pomoc na milicję. Wtedy facet wstał i pokazał mi jakieś swoje papiery wywiadowcy czy kogoś w tym rodzaju. Zadzwoniono do drzwi. Mąż otworzył i do mieszkania weszło 6 osób. Powiedzieli, że jesteśmy aresztowani i kazali nam oddać papiery i broń. Pokazałam im na stos igieł i strzykawek, które miałam przygotować na jutrzejsze przyjęcia pacjentów i powiedziałam: „Oto broń lekarza. Jakiej jeszcze chcecie?". Mąż się skonfundował, biedak, on znał życie lepiej ode mnie i nasłuchał się o tym nieludzkim systemie. „I wam nie wstyd? Siedmioro na jednego słabego, spracowanego, zmęczonego lekarza?" – kontynuowałam oburzona. Robiąc powierzchowną rewizję wyjaśnili nam, że władze wojewódzkie cały dzień starały się nas usprawiedliwić i ratować, ale nie dały rady. Z Moskwy nadeszła depesza i sowieci żądali wydania nas. Czesi – wedle ich słów – byli bezradni.

Ubraliśmy się i poprowadzono nas do sądu, gdzie spisano nasze personalia, a potem pod strażą – do więzienia, które mieściło się w starej wieży starożytnego zamku wimperskiego. Kilka dni wcześniej z tego zamku skoczył i zabił się jakiś inżynier, gdy przyszli go aresztować. Miał rację… Strażnicy więzienni grali w karty. Od towarzystwa odłączyła się kobieta wagi nie mniej niż 120 kilogramów, zabrała moją torebkę i powyjmowała wszystko z moich kieszeni. Mąż był lekarzem również w tym więzieniu…

W brudnej, zielonej od pleśni celi, na pomoście pokrytym zmiętą słomą siedziały dwie młode Niemki za przekroczenie granicy, która była tuż obok. Usiadłam i dopiero teraz uświadomiłam całą tragedię swego osamotnionego dziecka w tym mieście i w tym narodzie, i więcej już o niczym myśleć nie byłam w stanie… I chyba w ogóle nie myślałam, to zamierając, to cucąc się z bólu, z jakiegoś namacalnego odczuwania tej czarnej otchłani, w którą spycha nas mój bezgraniczny, bezkompromisowy patriotyzm, los mego ludu, dla którego żyć znaczyło konać za życia od Polaków, od Rosjan, od Niemców… A teraz przyszło zaznać tego i od Czechów. W objęciach potężnego zwycięskiego państwa Wschodu Czesi szybko zapomnieli o humanistycznych ideałach Masaryka i chętnie brali na siebie rolę sługusów krwawego Stalina i jego systemu. Niewiele było wyjątków. Zarobki i w ogóle pieniądz to dla nich wartość, przed którą całkiem naturalnie ustępują wszelkie pryncypia…

Nazajutrz przyniesiono mi z mieszkania moją niewielką Biblię na cienkim papierze, ale czytać nie mogłam niczego. Niemeczki poszły pomagać grubej

dozorczyni, a ja patrzyłam przez zakratowane okno, zdawało mi się, w stronę granicy, gdzie byli ludzie, którzy mogli wyratować naszą rodzinę, gdybyśmy jadąc do chorych pobłądzili i przekroczyli granicę… Widać, nasz los zdeterminowany został wysoko… Uświadomiłam sobie, że za Białoruś trzeba cierpieć, a gdy zajdzie konieczność, to i umrzeć. Cofać się i kajać się nie wolno! Niedola naszego ludu nieporównanie cięższa trwa już wieki.

Przychodzono do nas w odwiedziny. Między innymi chora Niemka, którą leczył mąż, co mnie szczególnie wzruszyło, bo w Wimperku było ich mało. 8 marca przyniesiono nam tort, który zamówiłam wcześniej dla męża. Gdy wyprowadzono nas na dwór na spacer, mąż powiedział, że mało rozmyśla, że wciąż odsypia bezsenne lekarskie noce i uprzedził mnie, że nasze cierpienia mogą się przeciągnąć… Mnie wywołano do nadzorców i dano papier i pióro, żebym wreszcie napisała do syna. Pisałam spokojnie, ale wszystko we mnie szlochało z bólu. Wieczorem w dzień mężowych urodzin przyniesiono do naszej celi parę butelek wina z naszego mieszkania i tort. Przyprowadzono męża i tak siedząc obok siebie w przeczuciu długiej, może wiecznej rozłąki, z myślą o swoim nieszczęsnym dziecku, razem z nadzorcami, grubą babą i Niemeczkami myśmy „uczcili" ten dzień. Mąż się trzymał, ja też starałam się nie wystawiać na próbę jego sił swym przerażeniem, naszą wprost rozpaczliwą sytuacją.

Wezwał nas czeski sędzia, po co – już nie pamiętam, zapamiętałam tylko jego obojętną, prawie wrogą twarz i nie powstrzymałam się, żeby nie powiedzieć, że poetów wsadzają do więzień tylko barbarzyńskie narody i ludzie małoduszni. Wtedy jakby nieco się otrząsnął ze swej tępoty, ale dał mi poznać, że jest tylko ślepym narzędziem w „słowiańskich" rękach wielkiego „Ruska", do którego kierowało swe nadzieje i zanosiło modły kilka pokoleń jego niedalekowzrocznych przodków… Tak się zaczynał koniec „gościny" czeskiego narodu wobec bezdomnej i bezwolnej białoruskiej rodzinki, wszystkich przyjaznych odruchów naszych czeskich przyjaciół i ostatecznego chamskiego poniżenia, którego tam doznawali wszyscy nie umiejący mówić czysto po czesku – przed wojną, w czasie wojny i po niej… Wielkoduszność w polityce jest właściwa tylko prawdziwym narodom, Czesi zaś wyglądali korzyści z najbliższych dni. Sprzedać nawet całkiem niewinnych ludzi, to było dla nich nic nowego…

W ciągu tych wszystkich dni nieogarnionej niedoli własnej miałam przed oczyma twarz tamtej kobiety, która konała gdzieś tam w męce bez pomocy. Nikt owej nocy nie wynalazł leku, który by ją uratował i nikt nie ulżył jej

w cierpieniach zastrzykiem przeciwbólowym. W porównaniu z jej losem, nasz los nie był jeszcze taki najgorszy. Gdy mnie prowadzono do sędziego, zauważyłam, jak nadzorca taszczył na górę naszą maszynę do pisania. Znaczy, że już rozkradano nasze mieszkanie. Były tam rzeczy, trochę mojej biżuterii, książek i nowo nabyte przez męża stoliki i instrumenty medyczne, i szafki do jego prywatnego gabinetu. W pokoju leżały niedokończone akwarele i moje rysunki kredkami, mikroskop, trochę mebli, pościeli. Maszynę do pisania i parę bardziej wartościowych rzeczy sędzia pozwolił przekazać znajomym, resztę, zdaje się, rozkradziono. Tego nadzorcę widziałam, kiedy przewieziono nas z innymi więźniami do miasta Pisek[231]. Reprezentował władze, był członkiem narodneho vyboru i szeroko posługiwał się swoją władzą jak wielu mu podobnych, to znaczy kradł co się dało i gwałcił niemieckie dziewczęta zatrzymywane za przekroczenie granicy. Jedną nieletnią przy tym pokaleczył, za co na krótko trafił za kratki. Był to otyły wstrętny drab, jakich wiele wtedy powypływało na wierzch. Czesi starali się dorównać swemu nauczycielowi ze wschodu w metodach walki o komunizm.

Na dziewiąty dzień powiedli nas konwojem przez Wimperk do pociągu. Odwożono nas do Piska, do obwodu. Ludzie patrzyli na nas ze współczuciem. Na jednym przystanku głośno zrobiło się na peronie. Jeden z konwojentów wyszedł i powróciwszy oznajmił nam z bólem, że ich ulubiony minister spraw zagranicznych Czechosłowacji Jan Masaryk wyskoczył oknem. A tak niedawno jeszcze mówił, że dla nich nie może być Wschodu i Zachodu, że dla jego narodu są wszystkie cztery strony świata. Taki teraz żyć nie mógł. Starszy konwojent zamyślił się, młodszy siedział i płakał. „To gorzej jak w 1938 roku" – powiedział i popatrzywszy na nas zaczął nas przekonywać, że podejmą starania, żeby nas nie wydawać, że właśnie dlatego wiozą nas do Piska, bo mają nadzieję jeszcze nas uratować; w innym wypadku powieźliby nas prosto na granicę. Na stacji w Pisku konwojenci przestali rozmawiać z nami i przykazali srogo iść przodem. Ulice od wiosny jeszcze były szare i puste. Czas był przedwielkanocny i na ścianach domów plakaty obwieszczały wielkimi literami „GEHENNA", jak gdyby witały nas zapowiedzią czekających nas losów w najbliższych latach. Dla nas rozpoczynała się prawdziwa „Gehenna"…

Więzienie w Pisku mieściło się w starym murowanym klasztorze nad samą rzeką Otawą. Dzień i noc szumiał tam wodospad i okropnie darły się czajki. Zdaje się, że jeszcze dziś słyszę ich beznadziejny jęk i odczuwam zimno i wilgoć nieopalanych cel w murach z zamierzchłej przeszłości. Byliśmy pierwszymi więźniami

nowej rewolucji. W celach siedzieli przeważnie ludzie skazani za okupację. Były to chore Niemki – ofiary sowieckich gwałtów, były i Czeszki. Jak się później okazało, były to złe, zgorzkniałe, zawistne kobiety, które z ochotą donosiły jedna na drugą i podlizywały się naczalstwu. Szczególnie niemiła okazała się wielka młoda Niemka Olga, przebiegła i przewrotna. Były też sympatyczne kobietki, wieśniaczki. Za co siedziały – same dobrze nie wiedziały: są Niemkami czy Czeszkami. Jedna z nich, skazana na dwa lata pani Doulova, blisko się ze mną zaprzyjaźniła. W jednym końcu klasztoru był kościół i myśmy z nią nieraz chętnie o tym rozmawiały. Jej dorośli synowie nie zapominali o matce, tylko że z naszym przybyciem zabroniono przekazywania paczek. Zrobił to jakiś naczelnik Houska, któremu zdawało się, że więźniowie wyglądają na dobrze odżywionych. Pani Doulova pierwsza podeszła do mnie, gdy mnie prawie półprzytomną wprowadzono do celi. Gdy nas przyprowadzono do więzienia i przekazano nadzorcy, ten zaryczał na mnie takim dzikim wrzaskiem, jak nikt jeszcze i nigdy w życiu. Na to akurat przyjechał Jura z panem Křivonoską, którzy nie zastawszy nas w Wimperku, jechali w ślad za nami. Podprowadzono mnie z mężem do krat, za którymi na zewnątrz stali oni. Ja, nie mogąc wymówić słowa, opadłam na kolana i, zdaje się, płakałam, błagając szeptem syna, żeby przebaczył nam swą dolę sierocą, na którą go skazaliśmy. Chłopczyk był blady, ale spokojny. Głaskał mnie chyba rączką przeciśniętą przez kraty. Jedzenia, które nam przywiózł, konwój wziąć nie pozwolił. Prawie bez zmysłów odprowadziła mnie nadzorczyni do pokoju, gdzie rozebrała mnie do naga szukając broni palnej w fałdach ciała i taką mnie później wrzuciła do celi, wskazawszy mi żelazne legowisko w kącie. Upadłam na kolana i w duszy mej był Bóg, syn i ból, i jakieś okropne otępienie, jak zapaść pamięci, która już odgrodziła mnie na zawsze od wczorajszego dnia. W tym właśnie momencie podeszła do mnie dobra staruszka.

Młodsze kobiety więźniarki chodziły prać bieliznę i prowadzano je do innej pracy w mieście, a staruszki i jeszcze te bez wyroków, jak ja, darły pierze przy długim drewnianym stole w pustym i niemal lodowatym pokoju. Wiosna do więzienia przenikała powoli. Grube mury broniły jej dostępu do naszych cel i wszystkie bardzośmy marzły. Łóżko było twarde, żebrzaste i posłanie, które mi dano na okrycie, zimne i szorstkie. Klasztor miał dwie kondygnacje, na których przebywali nasi bracia mężczyźni i wieczorami stamtąd donosił się niemożliwy wrzask nadzorców, spośród których szczególnym zbydlęceniem wobec ludzi odznaczał się niejaki Zoubek. Wyróżniał się też wyjątkową nienawiścią do mojej osoby.

Klasztor miał wielkie przejścia podziemne, po których, powiadały kobiety, snują się nocami cienie powieszonych Niemców i Niemek, i dlatego tak ryczą nadzorcy i jęczą więzione kobiety, które za jakieś wykroczenie albo i bez włóczą tam do karceru. Noce były długie i bezsenne. Los Jury i jego dziecięcą twarzyczkę wciąż miałam przed oczyma nieodstępnie przez całą noc. A chłopczyk wyrósł, spoważniał. Nigdy nie płakał rozmawiając z nami. Wszyscy, i naczalstwo, i więźniowie znali go i podziwiali. Czasem pytał mnie: „Czy ty piszesz, mamo?". Mówię: „Nie". – „Cóż ty, mamo? Nie wolno biblijnych talentów zakopywać w ziemi!". Albo popatrzy na zegarek i opowiada, że ma spotkanie z pewną damą, z którą powinien omówić sprawy, które dotyczą nas. A wieczorem powinien rewizytować wicekonsula polskiego, który był u niego i obiecał opiekę nad nim i nad naszą sprawą. I tak odchodził, samotny w obcym mieście i narodzie.

Gdy przywieziono nas do Piska, zaraz następnego dnia śledczy odczytał nam akt oskarżenia, na podstawie którego sowieci zażądali od Czechosłowacji naszej ekstradycji. Tutaj z przerażeniem dowiedziałam się, że my oboje z mężem jesteśmy „przestępcami wojennymi", i jako tacy, według tego wielce wymownego sowieckiego dokumentu, odpowiadamy niemal za wszystkie wydarzenia wojenne z wybuchem wojny włącznie! Było to tak niedorzeczne, że nie sposób było powstrzymać się od śmiechu. Cały czas występując przeciw hitleryzmowi wszystkimi środkami, całą mocą swego pióra, patrzyłam spokojnie na całe to łgarstwo, bo czegokolwiek by mi nie przypisywano, to co ja napisałam w te straszne lata pozostawało dokumentem moich działań. Później dopiero zrozumiałam, że takie metody stosują oni wobec ludzi idei; tych, którzy pomagali Niemcom niszczyć Białorusinów, traktowali znacznie łagodniej! Zawierzali im, robili z nich w łagrach dzierżymordów nad nami, donosicieli. To było towarzystwo odpowiednie im duchowo i pod względem metod upodlania ludzi. Oskarżenia były na tyle bezpodstawne, że chciało mi się je po prostu wyśmiać, i napisałam podanie do obwodu wyjaśniając, że wszystko to jest wyssane z palca, i jeśli, jak oświadczyli Czesi, w świetle czeskiego prawa jesteśmy niewinni, a byliśmy obywatelami czeskimi, to jakże można i po co wydawać nas obcemu państwu? Z obwodu odpowiedziano mi, że oni nie są kompetentni do rozstrzygania w tej sprawie, podali pełny tekst telegramu czy telefonogramu na temat wydania nas i poradzili odwołać się do wyższej instancji, bodaj do sądu najwyższego, co też bezzwłocznie uczyniłam.

Biedny mój mąż usychał bez paczek i papierosów i nadzorcy się nad nim znęcali, a ja tymczasem wyjaśniałam w miarę możliwości sprawę naszego losu.

I odpowiedź nadeszła. Brzmiała mniej więcej tak: jeśli my jesteśmy obywatelami CSR, a w świetle wszelkich praw jesteśmy niewinni, to należy nas zwolnić i wypłacić nam odszkodowanie z tytułu bezprawnego pozbawienia wolności. Przeczytałam to nie wierząc własnym oczom, jakie to logiczne. Przesłałam papier mężowi. Nadzorcy zaczęli winszować nam rychłego uwolnienia, ale… Ale sowieci potrzebujący hekatomby ofiar, jakimś sposobem zmusili Czechów do podeptania własnych praw i wydania im nas. Gdzieś tam nawet czescy komuniści nie zgodzili się na odebranie nam obywatelstwa i scedowali tę czynność na maleńkie Prachatice[232]. Ciężkie to było rozczarowanie…

Żal mi było syna, ale żal też i męża. Na moje prośby o ucieczkę na zachód twierdził uparcie, że jest socjalistą itd., a gdy brakło mu już argumentów, to skarżył się, że Amerykanie jedzą same konserwy, a on ich nie znosi. Często później wspominał te amerykańskie konserwy, gdy w Pisku rąbał czarne kartofle i oblizywał twardego śledzia, na którego kiedyś nie mógł patrzeć. Opowiadał, jak mu raz przez karmnik podano śledzie do celi, których nigdy nie miał w ręku, więc wyślizgnęły mu się wszystkie na podłogę.

Gdy przyjeżdżał Jura i porozmawialiśmy trochę ze sobą, ja go wciąż pytałam, jak on się odżywia, a on mnie pytał, jak ja śpię. Nie byłam zwyczajna wygód w życiu, jedynie nie mogę spać na twardym. Moja pościel musi być miękka, czysta, najlepiej na siatce, a tyle lat przyszło mi męczyć się na narach!.. Poduszka ze strużyn i żadnego prześcieradła przez lata całe… O swoim synu zapominałam tylko wtedy, gdy zasypiałam, a i to ktoś mnie troskliwie i ostrożnie wprowadzał we śnie w krąg jego zainteresowań i osamotnienia. Odczuwałam prawie całą jego bezradność w życiu w obliczu żmijowej przebiegłości i taktyki wroga. Pozostawało mi tylko zdać się na siłę wyższą i ufność w pomoc Bożą. Byliśmy niczym w lwiej paszczy i uważam za cud, że wraże kły nie zacisnęły się na naszych gardłach

Jura często przyjeżdżał do tego Piska. Czasem spojrzę na twarze nadzorców, jakieś złagodniałe i po ludzku uśmiechnięte, i wtedy czuję, że synek jest znowu tutaj, że jego czystość i głęboki ból odmienia nawet serca wrogów. Czasem bywało tragicznie. Pamiętam jak razu pewnego po odsunięciu Beneša nowy prezydent Czechosłowacji Gottwald[233] uświetnił swoją prezydenturę amnestią dla więźniów. Chłopczyk porozmawiał z nami. Dozorczyni pozwoliła mu dać mi pakiecik z amerykańskim śniadaniem pod warunkiem, że zjem je przy niej. On był zadowolony. Rączkami przez kraty ocierał mi łzy, a sam nigdy nie zapłakał. Mężny był, ale jak się okazało, tylko przy nas. Owego dnia akurat Gottwald uwalniał swych

politycznych akolitów i mały chłopczyk stał pod więziennym murem i na próżno wyglądał między amnestionowanymi swych rodziców. Kobiety z mojej celi wracały z pracy i widziały jak on osamotniony, biedny, płakał z rozpaczy pod tym więzieniem, stojąc na próżno do późnego wieczoru.

Tymczasem wiedząc, że uratowanie nas jest niemożliwe, nasz kum zabierał chłopczyka do Polski. Podpisaliśmy upoważnienie, że oddajemy syna pod jego opiekę. On mi przekazał zaciśniętą w paluszkach maleńką figurkę świętego Antoniego, gdy przyszedł się pożegnać. Trochę lżej mi było, że wyjedzie do Polski. Zdawało się, że tam łatwiej się uratuje. Na sobie mi nie zależało, gotowa byłam wziąć na siebie najgorsze cierpienia, jakie znoszą w milczeniu bojownicy za swoją Ojczyznę. Nie wiedzieć po co i na co los włączył w to cierpienie również mego męża i to właśnie było bolesne i nie do przyjęcia. Gdy inni wyjeżdżali na Zachód, on uparcie twierdził, że jemu jako socjaliście będzie dobrze przy nowej władzy w Czechach. Tak też myśleli prawie wszyscy Czesi, a mnie serce marło od strasznych przeczuć wschodnich Oświęcimiów, gdzie zamiast w piecach spalano ludzi polarnym mrozem, zdziczeniem dozorców na miarę reżymu, któremu służą, pracą ponad ludzkie siły, niemal całkowitym zakazem korespondencji (wolno dwa listy na rok) i ćwierć stulecia łagru za patriotyzm, czyli śmierć za życia…

W Pisku nie było więźniów politycznych, więc biblioteka więzienna obliczona była na winnych pospolitych wykroczeń przeciw ludzkim prawom. Nie mogłam czytać tych płyciutkich romansideł podlanych ubiegłowieczną ckliwością i pewnego razu powiedziałam o tym mężowi podczas widzenia. Obecny przy naszej rozmowie sędzia (taki przepis) przysłał mi do celi kilka ciekawszych książek, między innymi tomik poezji Baudelaire'a[234]. Uwaga moja zatrzymała się na wierszu, w którym odpływa statek i ludzie od swych bliskich odpływają na zawsze. Słów nie pamiętam, ale ten wiersz był przepowiednią mego losu, nieludzko okrutnego w bezlitosnym osamotnieniu.

Nadszedł dzień, kiedy lizuska, Niemka Olga, nieszczęsna dziewczyna i donosicielka z natury, przeniuchała gdzieś u naczalstwa, że mnie odwiozą, żeby wydać w ręce Rosjanom. To już wisiało w powietrzu i ja byłam na to przygotowana. Nadziei na ratunek nie było i trzeba było ruszyć na spotkanie wszystkiemu, co od wieków nieśli Rosjanie swoim nieszczęsnym sąsiadom, niewiele ustępując swemu duchowemu przyjacielowi Adolfowi Hitlerowi. Naród rosyjski skarlały do płazów pełza teraz wokół stalinowskich buciorów, liżąc stopy wielkiego krwiopijcy i wydając na męki niezliczonych swoich braci. Tu jest judaszem nie każdy trzynasty

i nie każdy piąty! Niewiele pomylę się, jeśli powiem, że tu judaszem był co drugi. Nie mając możliwości żyć uczciwie w normalnych warunkach egzystencji i wzrostu, Ruski miał tylko jeden sposób wybicia się ponad innych rabów – donosicielstwo. Donosił więc od kołyski i od kołyski wysławiał bezmyślnie okrutnych tyranów ludzkości, siejących nienawiść do Boga i Człowieka wśród swoich współobywateli, upodobniając ich w czynieniu zła do samego „wodza i nauczyciela". Pojęcie „Człowiek", na którego poziom wyniosło nas chrześcijaństwo i osiągnięcia ludzkiego rozumu jako część „Bożego dzieła", zdegradowano do śrubki w piekielnej stalinowskiej maszynie, poprzedzającej krematoria Oświęcimia i przewyższającej je liczbą ofiar. Nikt już prawie nie protestował. Wszelki sprzeciw był wyniszczony obiema rękami samych Rosjan, a kto nawet powiedział słowo sprzeciwu, to powiedział je tylko raz… Drugi raz już się nikomu nie udało, bo takich chwytano, sądzono i zsyłano na pustkowia, gdzie wszystko, poczynając od klimatu, było przemyślnie przyporządkowane masowemu niszczeniu ludzi nie tylko moralnie, ale i fizycznie. Oto co mnie czekało.

Konwój przyszedł po nas jeszcze za ciemna. Miał rozkaz prowadzić nas ze skutymi rękami, o czym nas uprzedził, ale czego z jakiegoś powodu nie zrobił, chociaż ja nie protestowałam, bo jaka różnica, skoro rzecz dotyczy fanatyków? Szliśmy niosąc nasze worki i ja potknęłam się na drodze. Pękł mi obcasik mego pantofla. I tak tam już pozostał Czechom na pamiątkę o słowiańskiej gościnie…

Wieziono nas pociągiem. Ludzie przyglądali się nam z obojętnością, czasem wrogo. Jan Masaryk dawno już spoczywał na cmentarzu i jego byli poddani szukali teraz innych dróg do „sytego" żywota. Myśmy z mężem milczeli. Konwojenci byli kamienni, nieprzyjaźni. Kiedy mąż poprosił do toalety i jeden z konwojentów go poprowadził, to drugi, spojrzawszy na mnie jakoś po ludzku, powiedział mi, że ponieważ jestem mocniejsza duchem od męża, on pragnie przygotować mnie, że jesteśmy wiezieni w celu przekazania nas sowietom. Wszystko we mnie zmieniło się w lód. Była to już naga surowa prawda: sunęły już ku gardłu krwawe szpony Stalina… Nie zapłakałam. Skamieniałam i jakiś przypływ rozpaczliwej odwagi ogarnął całą moją osobę. Czułam, że ruszam na nierówny bój. Przyjmowałam wyzwanie bez kropelki strachu w sercu. Odpędzałam tylko uparcie myśl o synu. Z tym bólem nie poradziłam już sobie nigdy w całym moim życiu… Powoli przygotowałam męża na to przeznaczenie. Zbladł, ale nie zemdlał, tak jak i ja.

Zostaliśmy przywiezieni do Pragi. Po ulicach chodzili członkowie Sokoła, pewnie ostatni zlot Sokolstwa. Bladzi jak papier staliśmy w końcu tramwaju.

Pół roku pobytu w Pisku pozostawiło ślad. A później wszystko odbywało się jak zwykle. Nie kazano tu nam tylko rozbierać się do naga i obrzydliwe palce dozorczyni nie tykały się moich włosów i ciała, jak to robiono ze mną w Pisku. Było to praskie więzienie policyjne, dokąd nas przywieziono. Przystosowane zostało do czasowego przetrzymywania złodziei i prostytutek. Konwój przekazując nas dał nam do podpisania jakiś papier złożony we dwoje. Mąż nie zgodził się podpisać i zażądał, by mu pokazano o co chodzi. Okazało się, że prachaticki „obec" (rada gminy) oświadcza, że właśnie ona, ta rada, pozbawia nas czeskiego obywatelstwa[235]. Co miały wspólnego z nami Prachatice, nie rozumiem nawet dzisiaj. Nie pamiętam, czyśmy to w końcu podpisali, możliwe że tak, w jakimś zobojętnieniu do wszystkiego co nas otacza.

W więzieniu były brudne łóżka, ale ciekawi ludzie. Były to członkinie Sokoła, które miały odwagę wykrzykiwać hasła niezgodne z duchem wschodu oraz dziewczęta oskarżane o organizowanie zamachu na jakiegoś komunistę z KC. Tego zamachu dokonał zdaje się pewien młody student, który wieczorami pięknie i wzruszająco śpiewał swojej dziewczynie „Dobrú noc, má milá". Wszyscy my razem z tą dziewczyną w jednej z cel słuchałyśmy z przyjemnością tej piosenki, podziwiając męstwo i siłę chłopca. Siedziała z nami również jedna z córek Kruliš-Randy, czeskiego magnata, Eva, młoda rozumna kobieta, która, zdaje się, dźwigała w swym sercu całą odpowiedzialność za to, co się działo w jej ukochanej ojczyźnie. Różnie w niej bywało, ale po raz pierwszy straszna łapa wschodu zaciskała w brudnych swych szponach serce Republiki, starając się przekreślić w sercach Czechów drogie im imię Masaryka – ojca i syna. Czesi zaczynali pojmować całą grozę swego położenia i nienawiść do wschodu zastąpiła dawne słowianofilstwo. Często przychodziły do celi kobiety i płakały, że trafiły do więzienia za politykę. Gdzieś schowano Beneša i ludzie przeczuwali, że nieszczęsny prezydent żywy stamtąd nie wyjdzie. Do mnie jakoś po dziecięcemu przylgnęła młoda Żydówka, która z Węgier uciekała przez Pragę do Palestyny i wylądowała z nami. Ona nie znała języków i ze strachu nie odchodziła ode mnie… W celi zabronione były płacze i narzekania. Robiono wszystko, żeby zachować w zdrowiu ludzkie nerwy swoje i innych, bo cierpienia zaledwie się zaczynały. Ta dewiza młodych Czeszek bardzo mi dopomogła później na Północy. „Keep smiling!"[236] – często powtarzałam sobie w najtrudniejszych chwilach życia. Podczas gdy Czesi wzorem swoich wschodnich opiekunów szykowali odpowiednie więzienia dla więźniów politycznych, dzielne czeskie dziewczęta pomagały mi przeżyć chwile rozłąki z Zachodem

i pozostawiły dobre wspomnienia o lepszej części swego narodu. W tym policyjnym więzieniu w Pradze przebyliśmy miesiąc, czy półtora. W jednej z cel siedział mój mąż, ale teraz miał on co palić, bo tu było wolno, więc czuł się nieco lepiej. Syn był już w Polsce i zdawało się nam, że sercem i myślami zawsze jest przy nas. Śniło mi się, że idę z nim brzegiem rzeki, dokoła woda i deszcz na nas leje, idziemy długo, co, jak to się okazało później, zapowiadało lata rozłąki i męki i Bóg tylko wie, czy nie jeszcze ciężej było samotnemu dziecku w powojennym Wrocławiu…

Trwożnie biegł czas w czeskim policyjnym więzieniu w Pradze. Zlot Sokoła, który w tym czasie odbywał się w Pradze, dopełniał obficie liczbę więźniów. Czesi dawno już zrozumieli, że znowu utracili tragicznie wolność, i teraz na zlocie płomiennie i masowo występowali w obronie niepodległości swojej republiki, przeciw przemocy. Za te protesty i hasła byli aresztowani. Trzymali się mężnie. W celi obok siedziała młodziutka córka Heleny Koželuhovej, znanej działaczki Chrześcijańskiej Partii Czechosłowacji. Dziewczynę schwytano na granicy, gdy starała się uciec po przewrocie. Posadzono ją, biedactwo, w celi prostytutek, w której był brud, wszy i ciasnota. Słyszałam, że czeskie prostytutki okazały się dobrymi patriotkami. Pomagały więźniarkom politycznym, przekazywały informacje na zewnątrz i z zewnątrz do więzienia. O dziewczynie mówiono, że trzymała się dzielnie, choć ją bito.

Pewnego wieczoru jakiś śledczy kryminalista otworzył drzwi naszej celi. Spojrzałam na niego zdziwiona, a on aż zamarł na progu. Był to pan Pešek, pacjent mego męża, wielce mu zobowiązany i wdzięczny. Prowadził dochodzenie i przyszedł wywołać na śledztwo pewną dziewczynę z naszej celi, która już całą dobę płakała, zatruwając nam i bez tego ciężki nastrój. Zatrzymano ją w kawiarni razem z jej kawalerem, który, jak się później okazało, ukradł auto, którym wesoło woził ją po Pradze. Wizyta pana Peška miała dla nas tę dobrą stronę, że ten dobry człowiek zaczął zaopatrywać w paczki, które były identyczne z tymi dla mężczyzn z pośpiesznie zakupionymi artykułami, wśród których było dużo papierosów, zarówno dla mnie, jak i dla męża. Mąż, który wycierpiał męki bez kurzywa w Pisku, miał teraz co palić, bo przy pierwszej okazji przekazywałam mu swoje papierosy. Nigdy nie zapomnę wykrzywionej bólem twarzy pana Peška, gdy prowadzono nas na okazanie sowieckiemu przedstawicielowi, który ponuro i tępo oglądał swoje ofiary. Wykrzywił mu twarz jakiś przeraźliwy ból i pociekły po niej łzy. Poznawszy mniej więcej sposoby działania przedstawicieli tego nowego ładu,

musiał wyobrażać sobie nasze przyszłe cierpienia. Jeszcze gorzej czuliśmy się ja i mąż. Piekło, które nas czekało, wstrzymało mi łzy i oddech. Los syna świdrował mózg i szarpał nerwy. Tylko przywoławszy na pamięć wszystkie cierpienia mojej Ojczyzny i niezliczone ofiary wszystkich wrogich okupacji zmobilizowałam wszystkie siły ducha, żeby przetrwać nawet najgorsze i wytrwać.

A najgorsze było już za drzwiami. Pewnego dnia rano poinformowano mnie o odjeździe. Było to jak wyrok śmierci. Nie starczyło mi siły i padłam na kolana. Schowawszy głowę w dłonie z całej mocy prosiłam Boga o litość nad moim dzieckiem oraz o siły dla nas. Przed nami widziałam przepaść z całym nieludzkim nonsensem, gdzie nad kodeksem ludzkich prawd stoi rozkraczony krwawy Stalin, któremu ogłupieni Rosjanie zlizują krew z jego szponów, krew swoich ojców i synów przelaną dla jego zachcianki bez potrzeby. Nadziei na ratunek – żadnej. Bo żeby się uratować, należało wtłoczyć się w ten tłum, wyrzuciwszy z duszy wszystkie zdobycze ludzkiej kultury, stać się takim samym kopanym psem i z okropnych swych łap zmywać łzami krew swego rodu wyniszczonego przez tyranów.

Wsadzono nas do ciężarówki, którą więźniowie nazywają „Antonem", zielonej, szczelnie zamkniętej, i z kilkoma chłopcami, którzy najpewniej przeskrobali coś w wojsku, czy może zbiegli z niego, odwieziono nas do sowieckiego obozu dla przemieszczenia pochwyconych przez nich na Zachodzie ofiar. Na drewnianej bramie, za którą czerwieniały wrzeszczącymi natrętnymi hasłami drewniane baraki, pysznił się napis: „Dobro pożałowat'"(Witajcie!), jak gdybyśmy rzeczywiście jechali w gości do zwykłych ludzi z ludzkimi obyczajami i chociażby minimalną kulturą. Na drewnianych stołach niczym nie przykrytych stały żelazne miski z jakąś kapustą i nakrojony chleb. Ludzie wymęczeni w różnych kazamatach, bladzi, ktoś jadł, ktoś już zaczynał chwalić ojczyznę. Spoglądając na nas z dziką satysfakcją przechadzali się „naczelnicy", wypełniający plan siłą i oszustwem wywabianych z Zachodu ofiar.

Wreszcie podjechała ciężarówka z wysokimi burtami. Wsadzono nas na dno. Z przodu i za nami na deskach opartych końcami na burtach siedziało z automatami skierowanymi na nas po czterech „wyzwolicieli". Mąż oparł na moich kolanach swoją wychudzoną bladą twarz i sierpniowe litościwe słońce głaskało jego posiwiałą głowę. Zlata Praha, nasze mieszkanie i cząstka lepszych naszych czasów pozostała daleko za nami. Wieziono nas dalej od syna i od Europy – od granicznego Wimperku, na kraj świata do Workuty. A póki co wieziono nas do Wiednia. Droga była długa. Spotkanych ludzi niewiele. Z kobiet oprócz mnie

wieziono jakąś staruszkę, którą siłą zabrano od dzieci obywateli czeskich, a reszta to byli dość młodzi mężczyźni. Wymieniali między sobą znaczące spojrzenia i czuło się, że gotowi są rzucić się na konwój i ratować siebie, ale automaty w piersi i w plecy oraz wsparcie w kabinie niweczyły jednoznacznie sens szalonego ryzyka. W czas obiadowy jedliśmy chleb. Obiad konwojentów różnił się tylko tym, że oni opychali się całymi bochnami chleba posypanego cukrem. Nie było czym go zapić. Próbowali po czeskich wioskach wyprosić wiadro, żeby zaczerpnąć wody, ale Czesi wiadra im nie dali, nauczeni niejednym już przykładem bezczelności i złodziejstwa. Czescy strażnicy graniczni patrzyli na nas ze smutkiem w oczach, jakbyśmy byli wiezieni na szafot, a nie do ojczyzny, i przeprowadzali nas za swoją granicę w milczeniu.

Na pustych zżętych już polach zaczęły się winnice, i gdy słońce zaczęło zachodzić, przyjechaliśmy do Wiednia. Z dna ciężarówki patrzyłam na miasto czarne i złote, całą swą kulturą i wyglądem tak różne, tak odmienne od tych ludzi, którzy wieźli nas skazanych na cierpienie. Wysadzono nas dwoje w jakimś pałacu czy zamku, zdaje się w Neuwienerstadt, gdzie zapamiętałam tablicę na ścianie z napisem, że kiedyś tam w czerwcu spadł śnieg. Spaliśmy w jakiejś sieni, a naszego dość niespokojnego snu strzegli z pewnego od nas oddalenia uzbrojeni konwojenci. Pamiętam, że następnego dnia był piątek, 13 sierpnia, i lał deszcz. Z rana przyjechał po nas samochód ciężarowy i popędził z nami w kierunku Wiednia. Na jednej z ulic w zieleni ogrodu stała willa, a powitalne na niej „Dobro pożałowat'" przeraźliwie jasno informowało o jej obecnych rezydentach. W głąb tej willi, w której podziemiach cierpiały udrękę setki więźniów, ciśnięto nas. Czarną falą runęła na mnie groza nie do opisania.

Siedziało w celi kilka Niemek, z podejrzeniem przeważnie o szpiegostwo. Znałam trochę niemiecki. Podzieliłam między nie część jedzenia, które miałam ze sobą i nawiązałam z nimi znajomość. Czas przysłonił mi już ich twarze, ale jedną z nich pamiętam dobrze – to była jakaś artystka i zawodowa szpieg Ele Winkler. Była to dość ładna bestia, pozbawiona kompletnie zasad moralności i etyki. Niemki od razu dały mi do zrozumienia, że ona szpieguje również w sowieckiej celi, i zalecały ostrożność. Wszystkie my jak bydło poniewierałyśmy się na podłodze w strupach i brudzie i tylko ona jedna miała łóżko i pierzynę, gdzie najczęściej walała się goła, albo stroiła różne prowokacyjne figury przed szklanym okiem judasza, drażniąc nagością żołnierzy konwojentów. Ciągle obnosiła się ze swą miłością do sowieckiej władzy i Stalina i do swego męża, zawodowego

szpiega, który siedział gdzieś obok. Była to jakaś niewyżyta sadystka. Spostrzegłszy, że ja się modlę, zaczęła mnie prześladować jakimiś wrzaskami, „modlitwami" do szatana. Goniła po celi i wyła: „Teufel, Teufel"[237] – wyglądając często na szaloną. Do naszej celi zaglądali dozorcy, wywołując do roboty. Starałam się zawsze wyrwać się choć na parę godzin, żeby łyknąć powietrza i dowiedzieć się czegoś o mężu i w miarę możliwości dopomóc mu w czymkolwiek. Na drugi dzień mego pobytu w podziemiach wyprowadzono mnie do naczalstwa. Jakiś wojskowy, chyba dość wysokiej rangi, spotkał mnie słowami: „Oto jest pani w naszych rękach". – „Wielkiej radości z tego mieć nie będziecie" – odparłam mu z całą świadomością i powagą. Zapytał mnie jeszcze, co myślę o Gottwaldzie, który już zastąpił Beneša na urzędzie prezydenta Czechosłowacji. Nie chciałam wywnętrzać się o nim, powiedziałam tylko krótko, że niełatwo być prezydentem w cieniu Beneša. Na pytanie o czeską partię komunistyczną odpowiedziałam, że ona jest liczna, lecz jakościowo niewiele warta. Wojskowy rozmawiał ze mną dość oględnie i odważyłam się zapytać go, co z naszymi walizkami, które zostały nam zabrane i nie mamy ich. Po kilku dniach walizki skądś przywieziono w zdumiewającym porządku. Mówiono, że w tym więzieniu znajduje się centrala Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na całą Europę Środkową. Tu podsądnym dawano wyroki po 10, 15, a najczęściej po 25 lat. Nas z jakichś względów nie sądzono, zostawiając tę przyjemność Mińskowi.

Karmili nas jakimś gęstym pęcakiem i chlebem. Z rana – czarną kawą. W dzień starałam się spać, za to nocą zaczynała się tragedia. Nad nami bez końca trwały dochodzenia. Można było zrozumieć nawet poszczególne zdania, a już jęki bitych i kwieciste rosyjskie wulgarne przekleństwa nie ścichały do rana. Sowieccy śledczy, jak nocni drapieżcy, żerowali tylko nocą. W dzień było cicho, tylko popisywała się czymś nienormalna Winkler i czasem zadzwonił tramwaj, jadący mimo naszej willi i pasażerowie przejeżdżający obok nie podejrzewali nawet, jakie tu znosimy męki. Miesiącami bez mycia i w ogóle bez wody, bez powietrza w ciasnocie i brudzie, nieszczęśnicy, których czekał los jeszcze gorszy.

Do roboty chodziłam zwykle z Lizą, austriacką wieśniaczką, która za coś otrzymała 15 lat pozbawienia wolności. Płakała po swoich dzieciach i ziała nienawiścią do wrogów i do Ele Winkler razem z nimi. Praca nie była lekka, przeważnie mycie po remoncie czy bieleniu albo pranie bielizny. W takim wypadku zwykle prałyśmy coś swojego, a z kuchni przynosiłyśmy do celi jakieś jedzenie, które dzieliłyśmy równo między sobą. Dowiedziałam się, że mąż jest gdzieś w pierwszej

celi. Porozumiałam się z więźniami z obsługi tego tajnego więzienia, że go czasem wywołają do skrobania ziemniaków, dadzą mu papierosa, coś do zjedzenia. Za to prałam im zanoszone koszule poza swoją robotą. Był w tej obsłudze również młody więzień lekarz. Poprosił mnie i Lizę, żebyśmy poprały koszule więźniom, którzy tu już od roku pokutują w brudzie. Koszule były czarne od tłustego brudu, ale patrzyłam na nie przez łzy, na próżno wypatrując wśród nich koszuli męża. Jakież było moje zdziwienie, gdy Frau Liza odmówiła mi pomocy. Ona, biedaczka, tak serdecznie nienawidziła wrogów z ich narodowością, że nie potrafiła pomóc więźniowi Rosjaninowi i długo musiałam jej wyjaśniać los nieszczęsnych. Pomagała mi, ale różnicy między jednymi i drugimi nijak pojąć nie mogła. Raz, sprzątając jakiś gabinet, usłyszałam przez radio, że uciekł Zenkl[238], lider narodowych socjalistów, i zrobiło mi się weselej. Kiedy indziej podeszłam do okna i zobaczyłam dziesięcioletnich mniej więcej chłopaków grających w piłkę. Zawirował przed oczyma obraz syna i ledwie mnie doprowadzono do celi. Mąż mi później mówił, że wywoływano go do obierania kartofli, ale do kuchni chodził niechętnie.

Czas płynął. Nocne koncerty robiły się coraz dziksze, dni krótsze i chłodniejsze. Na śledztwie o nic szczególnego mnie nie pytano i widać było, że cała ceremonia z sądem nade mną odbędzie się w Sojuzie. Odstręczający był dla mnie widok Austriaczek, tępych i niedobrych, siedzących ze mną. W ich towarzystwie czułam się nieznośnie. Krąg ich zainteresowań sprowadzał się do spraw osobistych i aktualnych ich wyroków, które w porównaniu z Zachodem były niewiarygodne. Były to kary po 25, po 15, po 10 lat. Niższych się nie spotykało. Wszystkie nieszczęsne czekała niewola i wywózka do łagrów „Made in USRR", to znaczy gdzieś daleko od większych miast, w dzikiej tajdze czy tundrze, gdzie obok pracy ponad siły i bestialskiego reżymu zabija jeszcze sam klimat. Te kobiety, które cudem znalezioną igłą wyszywały na swych chusteczkach do nosa najobrzydliwsze słowa z rosyjskiego leksykonu, nie miały już ni wiary, ni nadziei na ratunek. Nie stać już je było nawet na śmiałe marzenie o jakimś cudownym ocaleniu. Brały wszystko realnie i widać było, że są gotowe pójść na każdą podłość, gwoli pozostania przy życiu. Tylko jedna Liza nie znała miary swej nienawiści i swego bólu po mężu, po domu i po dzieciach.

Pewnego dnia nas wywołano i ciasnym „czarnym krukiem"[239] przerzucono gdzieś do wielkiego więzienia, gdzie już było więcej kobiet, przeważnie Niemek. Te były ciekawsze, z ostro zarysowaną nienawiścią do wszystkiego co rosyjskie. Do mnie, nie wiem z jakich przyczyn, odnosiły się bardzo dobrze. Ich nienawiść

była moją nienawiścią, ich tajemnice – moimi. Po trzech dniach pobytu zebrano nas, zrewidowano i wypuszczono do wielkiej sali. Ujrzałam swego męża – był niemożliwie wychudzony, z głową ogoloną na zero. Starał się uśmiechać i to było jeszcze bardziej przerażające. Gdy nas ustawiono na podwórcu, Greta Adam, piękna i młoda, krzyknęła na cały głos po niemiecku: „Frau Łarysa! My tu jeszcze wrócimy, wrócimy, tu! Obowiązkowo!". Potwierdziłam jej to. Przed odjazdem z tego więzienia, zdaje się, że był to Szapron, nas z grubsza szmonali, to znaczy zrewidowali nas i nasze rzeczy. Nadeszła moja kolej. Moje zagubione i odnalezione ponownie walizki napchane były rożnymi rzeczami, które z naszego mieszkania przynieśli uprzejmie pani Kopecka i pan Křivonoska, którym pozostawiliśmy klucze. Było tam wiele zbędnych drobiazgów, ale była między innymi piękna, nowa, ofiarowana mi przez pewną Czeszkę Biblia. Była wydana na cieniutkim papierze gdzieś w Ameryce. Ona, jak i Ewangelia po białorusku, którą mąż mi kupił na moją prośbę zaraz po naszym weselu, były moimi podręcznymi książkami. Tę Biblię przyniesiono mi jeszcze do więzienia w Wimperku i ja, wdrapawszy się na szeroki parapet zakratowanego okna wieży zamkowej, patrząc na las, czytałam tę Biblię przez łzy i wciąż rozważałam, czy nie wyskoczą z tego lasu w swoich „dżipach" Amerykanie i nie rozniosą na cztery wiatry tej nieludzkiej ciemnicy Ale nie w głowie było tym sympatycznym Amerykanom nasze zniewolenie, więc nam pozostawała jedynie Biblia oraz pełna mąk i cierpienia droga Chrystusa.

I oto wywlekli tę książkę, jak rzecz jakąś jadowitą, nie wiedząc co z nią dalej zrobić i jakim cudem tu się znalazła. Wtedy zaczęłam prosić po cichu tych żołnierzy, żeby mi nie bacząc na wszystko tę książkę zostawili. Coś mi odburknęli ze złością, ale Biblii dali spokój. Jak też i listom od syneczka.

Rozmieszczano nas w samochodach ciężarowych wciąż się starając, żebyśmy ja i Dżeni Greczynka siedli koło swoich mężów. Mąż Dżeni, niewysoki, ale dobrze zbudowany sympatyczny Grek stał, biedak, w trzewikach bez sznurowadeł, z parasolem, jedną ręką przytrzymując spodnie, bo i pasek mu zabrano.

Powieziono nas za Wiedeń, gdzie na uboczu stał cały pociąg na „żywy towar" dla „zwycięzców". Podprowadzano ciężarówki do drzwi wagonów, kładziono pomost i po nim zaganiano zniewolonych. Jacyś skośnoocy konwojenci z jazgotem wymachiwali automatami jak bizunami nad łysymi głowami więźniów i zdawało mi się, że to czasy i obyczaje Batyja[240], nie bacząc na pociąg – żałosne osiągnięcie ludzkości. Wagony były poprzedzielane kolczastym drutem na trzy części. Z lewej strony kobiety, było nas trzydzieści. Z prawej – mężczyźni, ponad czterdziestu

(siedzieli jeden na drugim), a pośrodku – konwojenci. W przegrodach pozostawiono tylko dziury, jak dla psa. Trzeba było stawać na kolana i dopiero do „przedziału" na brzuchu przepełzać. Podarłyśmy na sobie odzienie, poraniłyśmy głowy. Toaletę także urządzono nam nie byle jaką: wydłubano dziury w podłodze wagonu. To wszystko. Dla nas, Europejek, była to upokarzająca tortura i myśmy, nie bacząc na sprzeciwy konwojentów, zasłaniały się czym się dało, albo czekałyśmy nocy. Wodę do picia podawano nam przez druty, pożywienie tak samo. Nie było łyżek ni misek. Koło tego wagonu nasi „opiekunowie" nazbierali brudnych, pordzewiałych puszek po konserwach, pewnie jeszcze ubiegłorocznych, z których jadłyśmy co dzień niewyszukany pęcak, którym nas żywiono. Mężczyźni oparzali sobie wargi, bo z tych blaszanek musiało się pożywić po kilka osób. Wodę dawano nam byle jaką, od której brało na wymioty. Nasz pociąg miał opiekuna lekarza i całą zgraję czekistów, wychudzonych, z chytrymi świdrującymi oczami, na których strach było patrzeć. Zaglądali i do naszego wagonu i natrząsali się jak im się chciało z biednych Niemeczek, które wieźli „na białe niedźwiedzie". Na odjeździe chwycił mnie płacz straszny, nieludzki. Zdawało mi się, że już nigdy nie ujrzę syna, jak zapędzą mnie nie wiedzieć dokąd i zaduszą, a dziecko, myślałam wciąż, pozostanie osamotnione w tym szerokim bezlitosnym świecie. I właśnie wtedy podszedł ów „doktor" i pyta Niemki dlaczego tak płaczę, odjeżdżając „na rodinu"[241], więc mówią mu o chłopczyku, a ten na to: „To nic, będzie bandytą". Było to powiedziane nie bez kozery. „Doktor" widocznie znał się na rzeczy, bo jak się później dowiedziałam, oni przyłożyli wiele starań, by moralnie i fizycznie zniszczyć nieszczęsnego chłopca.

Z Niemek interesujące były kobiety – Austriaczki Frau Rene i Frau Fini. To ostatnia – zwyczajna dozorczyni domu, bardzo bolała nad niedolą Austrii, szczerze nienawidząc jej „wyzwolicieli" i wierząc, że Bóg dopomoże jej powrócić. Odwracała się też ze wstrętem od Ele Winkler i niejakiej Hery, którą wciąż podszczypywał „doktor", co jej się podobało.

Pociąg długo stał na Węgrzech i gdy podniosłam swą zapłakaną twarz, spotkałam się z niezwykle współczującym bardzo ludzkim spojrzeniem jakiegoś węgierskiego kolejarza, aż mi pocieplało w sercu.

Ele Winkler marzyła na głos o tym, że w Sowietach mają piękne futra i ona właśnie w takim wróci do domu i jeszcze wyjdzie za mąż za szpiega, których w tym pociągu pełno, rzuci swego starego szpicla, który jest tutaj z nią razem, bo się skompromitował i do Ameryki go nie wpuszczą. A Frau Fini modliła się do

świętego Stefana[242], przez którego kraj nas wieziono i aż zgrzytała zębami ze zmartwienia.

Tak nas przywieziono do Lwowa. Pociąg się zatrzymał. Zaczęto wyładowywać wagony. Ogarnęło mnie zdumienie: taka masa ludzi! Koło stosu wyładowanych czerwonych pluszowych mebli stał gruby sowiecki generał, cały w medalach, i tłuste brzuszysko rysowało się spod bluzy jak ogromny bochen. A obok pędzono okrutnie wynędzniałego generała niemieckiego, który musiał niemało przejść w podziemiach tamtej strasznej willi i teraz pod sytym i bezczelnym wzrokiem „zwycięzcy", wsparty na ramionach ziomków, ledwie powłóczył nogami. Taki jest już los pokonanych… Wreszcie zobaczyłam swego męża, z czoła i z twarzy spływały mu strużki krwi. Szedł jak Chrystus, blady i skrwawiony, a obok szczerzyły zęby sowieckie rozjuszone owczarki, którymi witało nas „Otieczestwo"[243].

Zaprowadzono nas do ogromnego chlewa, gdzie nas sortowano i rozdzielano. Tam po raz pierwszy ujrzałam masę zniewolonych dzieciaków, równie sponiewieranych, bladych i strasznych jak my i tylko bardziej od nas nieszczęśliwych, bo to jeszcze dzieci!..

Wreszcie puszczono nas do łagrowej zony. Byliśmy na Ukrainie i to się czuło. Ukraina zaludniała wtedy łagry. Najpierw przeglądano mężczyzn. Gdy przyszła kolej na nas, zobaczyłam porozrzucane na ziemi papierki. Jakieś znajome… Podniosłam je i okazało się, że to były listy naszego syna Juraczki, które właśnie odebrano mężowi i rzucono tutaj w strzępach… Tym razem swoją Biblię schowałam pod palto, które włożyłam specjalnie, choć było gorąco, schowałam też listy syna, i na razie tak wszystko obroniłam. Skrzywiony czekista, który nas obmacywał, tylko wybałuszył na mnie oczy, a mężowi zabrał pióro i zegarek, i jeszcze jakieś drobiazgi. Lekarz Ukrainiec, pewnie spośród więźniów, sprawdził nam oczy i ręce, i jakaś nieprawdopodobnie uperfumowana siostra pielęgniarka, Rosjanka, brzydka jak noc, poszukała nam w głowach insektów. Wreszcie wtopiliśmy się w ludzki gąszcz na podwórcu, gdzie „Rodina" wydawała nam po misce jakiejś kapusty warzonej na śmierdzących rybich kościach. Miski przechodziły z rąk do rąk, a my z mężem spoglądaliśmy po sobie i myśleliśmy, co też będzie dalej. Ktoś sprzedawał papierosy po sto sztuk w paczce za rzeczy. Swoje rzeczy miałam przy sobie, więc dawaj wymieniać na papierosy. Zgromadzili się ludzie, wszyscy proszą zapalić, więc rozdaliśmy tym sposobem tę setkę, a dla męża wymieniłam następną setkę. Do nas wciąż podchodził chwaląc sowiecką zupę jakiś korpulentny Niemiec w amerykańskiej kurtce na kożuszku i we wszystkim, wprawdzie mocno

wyszmelcowanym, ale amerykańskim. Był to mąż Ele Winkler. Okazało się, że to małżeństwo zawodowych szpiegów sprzedało sowietom wielu Austriaków, w tej liczbie Janajka i Dżenię. Grecy uczyli się w Wiedniu i widocznie w ciężkich czasach dorabiali spekulacją. Na tym polu zbliżyli się do nich również Winklerowie. Pewnego razu zaprosili oni biednych Greków na kolację obiecując im znakomite niemieckie danie – pieczoną gęś. Po wojnie na taki smakołyk Grecy nie ulękli się wyprawy nawet do sowieckiej strefy Wiednia. Padał deszcz, opowiadała mi później Dżeni, Janajka wziął wielki parasol, żeby się nic nie stało błękitnemu płaszczykowi i takiemuż kapelusikowi Dżeni. Wyszli z tramwaju, koło domu spotkał ich Winkler, przywitał ich wesoło i serdecznie, i póki całował z obu stron pachnącą rączkę Dżeni, podjechał sowiecki „czarny kruk", pojmali ich oboje i zamiast smacznej pieczonej „Gans" pewnie i sardela im tej nocy nie przeszła przez gardło. Janajka za coś tam otrzymał 15 lat, a Dżeni, całkowicie niewinnej, wlepiono lat 7 – najniższy wymiar kary tylko dla niewinnych ze stalinowskiego kodeksu owych czasów.

Był już jesienny wieczór księżycowy, a myśmy wciąż siedzieli z mężem trzymając się za ręce. Koło nas – Ukrainiec, któremu dostało się 25 lat za to, że jego żona, Czeszka, przesiedlając się z Ukrainy, przewiozła go w worze z sieczką. Każdy ma swego mola, który go gryzie. Myśmy dręczyli się tym, że człowiek, któremu powierzyliśmy swego syna, oddał go moim siostrom, które powróciwszy z zesłania zamieszkały we Wrocławiu. Były to niefrasobliwe dziewczęta o słabej woli, i wiedzieliśmy, że syn może z nimi źle skończyć.

My z mężem nie poczuwaliśmy się do żadnej winy. Byliśmy członkami Białoruskiego Komitetu Samopomocy, ale jako ludzie bez obywatelstwa musieliśmy być gdzieś zarejestrowani, więc jakaż różnica, czy w rosyjskim Vertrauenstelle[244], czy w białoruskim Komitecie? Wszyscy mężczyźni, poczynając od Żydów, byli u Niemców pod szczególnie surowym nadzorem, a ja, jako poetka, tym bardziej. Na wschód mąż został wysłany nie z własnej woli, a za sprawą czeskiej mobilizacji, a przy tym wypędzono go z Białorusi, zabroniwszy mu nawet praktyki lekarskiej. Żeby oszczędzić mu nerwów i sił, poradziłam mu nie przyznawać się do Komitetu. Niechaj już całe odium spocznie na mnie, bo byłam przecież skarbnikiem Komitetu. Tak też postanowiliśmy. Nie byliśmy jeszcze sądzeni, oczekiwało nas śledztwo.

Późnym wieczorem doszła i do nas kolejka oddania rzeczy i udania się do kobiecych baraków. Pożegnałam się z mężem, Popłakaliśmy się… Potem poprowa-

dzono nas – kobiety do łaźni. Był tam tylko prysznic. Wodę puszczał jakiś Żyd. Prawie cała administracja tego obozu to byli Żydzi. Tylko trudno było się zorientować, kto z nich wolny, a kto więzień. I właśnie ten Żyd zaczął wymyślać Niemkom i z zemsty za wszystkie Oświęcimie puszczał na nas to gorącą, to zimną wodę… Myśmy podniosły nieziemski lament, aż wreszcie ja go wyłajałam jak należy i zagroziłam, że znajdę na niego bicz! Tak samo, kiedyśmy przyjechały na sowiecką granicę, wbiegli do nas z wrzaskiem jacyś sowieccy żołnierze: „Diewuszki! Diewuszki!". Wtedy im powiedziałam, że sądzę, iż przyjechałyśmy do kulturalnego państwa i nas tu nikt nie skrzywdzi. „Da, da, my kulturnyje" – odpowiedział któryś z nich, zamykając nasz bydlęcy wagon. Frau Rene za to mi dziękowała.

Po łaźni odłączyłam się od swoich Niemek. Poprowadzono mnie do jakiegoś baraku, puszczono na korytarz i wymieniono numer drzwi. Korytarz długi. Podeszłam wolno do jednych drzwi, zajrzałam przez „judasza" do środka i zamarłam z wrażenia! Przecieram oczy i patrzę dalej, a tam jak w czarodziejskiej bajce! Siedzą na tłumoczkach cudowne, urodziwe ukraińskie dziewczęta, młodziuteńkie, w wyszywanych bluzeczkach, z warkoczami, i coś smętnie śpiewają. Izba wielka i dużo ich, dużo! I jakaś czystość i świętość od nich bije, że nie oderwać oczu! Serce mi zamarło… O, Ukraino moja, sercu droga! Za co takie cierpienia znosisz od swych wrogów?

Drzwi znalazłam, otworzył mi jakiś korpulentny wysoki kryminalista, jak się później dowiedziałam, Wala. Zamknął je ponownie na klucz i znalazłam się w niewielkim pokoiku, w którym z braku miejsca siedziały koło swych tłumoczków kobiety. Spały. W kącie stał ogromny kibel. Jedyne miejsce dla mnie wypadło koło niego, między dwiema Ukrainkami. W kąciku koło pieca siedziała na tłumoczku leciwa kobieta niezwykłej urody. Jej czarno-białe warkocze niemal sięgały do ziemi. Nie spała. Ukrainki mi powiedziały, że to ihumenia (przełożona) bazyliańskiego monasteru, Matka Marta. Zaczęły mnie wypytywać skąd i kim jestem, a gdy powiedziałam im, żem Białorusinka z Pragi czeskiej, to one mnie wyszturchały do samego śmierdzącego kibla. „Pani jest durna! – mówiły do mnie. – Co panią tutaj przygnało? Chciało się do raju? To ma pani raj. Proszę podziwiać!" Roześmiałam się, i gdy opowiedziałam nowym przyjaciółkom, jak tutaj trafiłam, usłyszałam tylko westchnienia współczucia. Posunęły się ile tylko mogły, żebym miała wygodniej, opowiedziały o swoich tragicznych losach i chyba posnęłyśmy. Ale jakiż tam sen, jeśli nam po głowach biegały długie ogoniaste szczury, które przegryzały nawet trzewiki pod głową, a po ścianach pełzały tysią-

ce opitych krwią pluskiew, przed którymi nie było ratunku. Rano była pobudka. Chodziłyśmy do kibla myć się. Potem przyniesiono jakąś lurę na śniadanie, dano po kawałku chleba, jakiegoś nie z mąki, niewypieczonego, który należało przy tym podzielić na cały dzień. Zaczęłam się rozglądać po celi, i wzrok mój znów się zatrzymał na dostojnej szlachetnej postaci Matki Marty. Po śniadaniu, a było jeszcze szaro, wyprowadzono nas na spacer po obozowym dziedzińcu. Zobaczyłam tam długie węże ustawionych piątkami w kolumny nieszczęśników, a wśród nich – nieletnie dzieci i kaleki o kulach, siwi dziadkowie i stareńkie babusie, i młodzież blada, nerwowa z bólu, po śledztwach, nienawidząca okupantów, z bojowym upartym ogniem w oczach starych Kozaków. Wokół placu stały baraki. Trudno było wyobrazić sobie, że w nich zmieściło się tylu ludzi, a wyprowadzono zaledwie ich część!

Matka Marta przywołała mnie do siebie i ja jej wszystko szczerze o sobie opowiedziałam. Musiała widocznie od razu mi uwierzyć, bo między nami zawiązała się ciepła nić zaufania. Zaprzyjaźniłam się również z innymi Ukrainkami. Ożyłam! Nie były to już cyniczne swarliwe Austriaczki, lecz ideowe, czyste jak łza, bojowe dziewczęta i kobiety ze śladami pobicia na ciele. Kładłyśmy się na podłodze, okrywałyśmy się jakąś huculską parcianką zgrzebną, żeby nas było mniej słychać i rozmawiałyśmy godzinami. Dech mi zapierało od ich odwagi, męstwa i katuszy. One to wszystko odbierały jak rzeczy naturalne, myśląc tylko o Ukrainie. Stare kobiety, którym zabrano wszystko, nawet dzieci, za to tylko, że karmiły swych synów powstańców, niosły swój krzyż godnie i w milczeniu. Dzieci z odrazą wspominały „Moskali", jak robili obławy, pacyfikowali wsie, zapędzali je do łagrów. Siedziała z nami dziewczynka lat dwunastu. Ona z dziesięcioletnim braciszkiem uciekła z zesłania na Ukrainę od głodu. Ich pojmano i przez więzienia, jak wielu innych, wracano z powrotem gdzieś do Komi czy do Kazachstanu. Dziewczynce przynoszono paczki, a chłopcu czasem pozwalano przyjść do naszej celi, żeby sobie podjadł, bo w jego celi głodne złodziejskie dzieciaki wszystko by mu od razu odebrały. Przyzwyczaiłyśmy się do chłopczyka, był nad wiek poważny. Kiedyś powiedział do mnie, że bardzo wierzy, że ich „żółto-błękitna" flaga zawiśnie kiedyś nad Kijowem. O, daj ci to, Boże, dobry chłopcze! Rozumny był to chłopczyk i miał tam jeszcze takiegoż koleżkę. Z rana dawałyśmy im po pajdce chleba. Nie wolno go było zjeść od razu, bo na przedzie cały dzień, a schować chleba tak samo nie można, bo złodziejskie żuliki zabiorą. Więc zmyślni chłopcy z rana sprzedawali jedną pajdkę chleba, a wieczorem kupowali ją znowu. Dzielili

się wszystkim i mam nadzieję, że przeżyli. W tym obozie przesyłowym czuło się walkę. Panowała atmosfera jak z tragedii greckiej – szlachetnego bohaterstwa. Tu wszystko dyszało ukraińskim rozpaczliwym pragnieniem wolności i walką. Kobiety śpiewały, modliły się razem i nigdy nie płakały. Igłami z rybich ości czy cudem jakimś przechowaną prawdziwą igłą wyszywały na skrawkach materiału tragiczną historię tych czasów. Na te cuda poszło trochę również mojej bielizny. Były to Madonny z modlitwą u dołu, serca przebite mieczem, z których kapała krew na ziemię ukraińską, mogiły pomordowanych mężów i synów z napisami i wieńcami cierniowymi i rozerwane na rękach dziewczyny – Ukrainy – łańcuchy. Kiedyś powstanie muzeum walki i cierpienia tej ziemi i ludzkość pokłoni się babulom pobożnym i mężnym „koronowanym" dziewczętom. Koronowanie… Czekiści stawiali pod murem dziewczęta i ostrzeliwali im korony wokół głowy. Siwiały od tego, traciły rozum, a jedna „koronowana" Wolha została na zawsze ze śladem po kuli w czole.

Z Matką Martą zadzierzgnęłam szczerą przyjaźń. Nie bacząc na swoje 64 lata była ona „najmłodsza w celi, a może i w całym łagrze". Zawsze dobrze poinformowana w sprawach polityki i łagru, służyła wszystkim pomocą i radą. Nawet młodziutkie dziewczęta z wyrokami dzieliły się z nią treścią liścików od swych kochanych, w których pomiędzy wierszami była mowa i o innych sprawach. W tym właśnie czasie, a był to rok 1948, zabito jakiegoś duchownego, który był przeciwny unii i o tym głównie toczyły się rozmowy. Matka Marta co dnia – poza świętami i tzw. sowieckimi „wychodnymi" – otrzymywała od sióstr zakonnych z miasta paczki. Drogo to ją kosztowało, bo musiała dzielić się nimi z „administracją", ale u Matki Marty zawsze coś się znalazło nie tylko dla mnie, ale i dla męża mego, któremu ta cudowna osoba potrafiła przekazać artykuły spożywcze do zupełnie innego baraku. Żydzi to naród obrotny, za pieniądze zrobią wszystko, co chcesz. A przy tym, jak się później przekonałam, oni uznali mego męża za swego. Był chudy, zarośnięty, czarny i rzeczywiście odbiegał nieco urodą od swojej rasy. Przemiła i genialna Matka Marta zdołała nawet zrobić tak, że pewnego razu jakiś sierżant przyprowadził męża do naszego baraku. Była niedziela i myśmy wspólnie odprawiali mszę. Ja wyszłam i mogliśmy długo ze sobą porozmawiać. Mąż opowiadał, jak Grek Janajka ze swymi austriackimi przyjaciółmi i „administracją" baraku dali popalić Winklerowi. Odłupcowali go na kwaśne jabłko, zdarli z niego wszystkie amerykańskie rzeczy, które od razu „zawłaszczyła administracja" i w ten sposób choćby w części

tylko pomścili niepoliczone krzywdy. Jak każdy sprzedajny człowiek, on sprawił zawód także sowietom, którzy zapomniawszy o wcześniejszych ich „zasługach", a może w ich wyniku, schwytali tę parę i razem z innymi powieźli ich na „białe niedźwiedzie". Opowiedział mi mąż, jak sprzedał swoją koszulę w paseczki, bo „koszul w paseczki nie lubi"… za paczkę jakiegoś tłuszczu, którego nie może jeść, a swoje praskie buty przehandlował tak: poproszono go, żeby przez okienko na jedzenie przekazał jakiemuś kupcowi jeden but na miarę. Tego buta już nie zwrócono, a w nocy wyciągnięto mu spod głowy drugi but. Wspominał pewnie potem tę wykwintną koszulę popelinową, nosząc sowieckie koszule z worka, pewnie tak samo, jak amerykańskie konserwy, których tak się bał. Jurkę staraliśmy się nie wspominać, bo to było ponad nasze siły. Nie dało się go nie wspominać, ale można było tylko nie mówić o nim.

Z mężem spotykałam się często. Baraki obchodziła jakaś lekarka, która poza białym chałatem i aspiryną nic więcej nie miała, ale sam fakt jej istnienia już uświadamiał „zgniłym burżujom" wyższość sowieckiej medycyny. Za błękitną piżamkę w kwiatki, którą baptystka Roza przerobiła na modną bluzeczkę dla lekarki, eskulapka łaskawie brała mnie do noszenia stoliczka z jej niewyszukanymi opatrunkami i myśmy kierowały swoje kroki zawsze tam, gdzie był mój mąż. Wymiana spojrzeń, uścisk dłoni, kilka słów, podana dyskretnie karteczka – wszystko to były wielkie emocje, które pomagały żyć. Ja byłam jeszcze pod śledztwem, wolno mi było iść z bakiem z drugą więźniarką w parze po wrzątek. Szłyśmy zawsze powoli, żeby jak najdłużej pobyć na powietrzu, coś nowego usłyszeć, czym można będzie pocieszyć swoich w celi.

Oprócz Matki Marty wielkie zainteresowanie moją osobą zaczęła przejawiać starsza naszej celi – Rosjanka. Była skazana na parę lat, jakaś artystka czy coś w tym rodzaju, ale tak dalece niesympatyczna, że wprost nie do opowiedzenia. Jako starsza celi kazała mi przenieść moje klamoty do niej i spać obok niej. „Ach jakie wszystko u pani zagraniczniutkie – nie przestawała wydziwiać – proszę mi sprzedać tę sukienkę jedwabną, dam za nią kilogram prawdziwego masła dla męża". Za masło dla męża można było kupić mnie i moja miła praska sukieneczka przeszła do rąk starszej. Długo naradzałyśmy się z Matką Martą jak się ratować od tej wiedźmy i Matka Marta zdecydowała, że dla świętego spokoju muszę wszystko wytrzymać, bo to człowiek niebezpieczny dla całej celi i Matka Marta sama składa jej daninę. A Walka, nasz złodziejski naczelnik, często zaglądał do naszej celi i podszczypywał starszą wesoło.

Pewnego razu niosłyśmy wrzątek, a Walka rozmawiając z kimś od serca strzelił taką wiąchą wymyślnych rosyjskich przekleństw, że można było spalić się ze wstydu. Ale zobaczywszy mnie strasznie się zawstydził. „Proszę mi wybaczyć – prosił – ja przecież pani nie dostrzegłem". Zdziwiła mnie trochę jego złodziejska delikatność, ale pozostało dobre wrażenie. Raz wywołał mnie do sieni baraku i tak uprzejmie zapytał czy nie sprzedałabym ze swych rzeczy sukieneczki dla jego ukochanej. Zgodziłam się i on szybko otrzymał pozwolenie, by mnie zaprowadzić do tak zwanej „kapciorki". Rzeczy były w porządku i wyjęłam jedną ze swych sukienek, najbardziej kolorową, a do tego chusteczkę do nosa i jeszcze jedną sukienkę dla baptystki Rozy, bo nie miała czego na siebie założyć, i wyszliśmy. „Ile jestem pani winien?" – pyta Walka. – „Nie znam waszych cen – odpowiadam. – Jeśli ma pan pieniądze, to proszę je dać memu mężowi, one mu na pewno potrzebne; jeśli nie, to proszę tak wziąć. A tu jeszcze chusteczka ode mnie na pamiątkę". Wyjaśniał mi przez całą drogę, że jest synem inżyniera, ale uczciwie pracując – to 600 rubli, a kradnąc – to kilka miesięcy rozkosznego życia, a potem parę lat odsiadki, ale opłaca się. „Jestem złodziejem" – powiedział, a ja przekonywałam go z żarem, że z niego będą jeszcze ludzie. A był człowiekiem dobrym, uczciwym, lepszym od wszystkich swoich rodaków na wolności. Przyszedł do nas po kilku dniach, wywołał mnie i poważnie uprzedził na temat starszej naszego baraku mówiąc, że jest specjalnie podstawiona, żeby mnie śledzić… „Nic pani nie mówiłem" – zakończył rozmowę i pobiegł. Za późno było. To i owo mogła już ze mnie wyciągnąć. „Jacy ładni i schludni byli ci niemieccy chłopcy" – mówi do mnie. A ja, durna, mówię: „Co pani, to barbarzyńcy, zwierzęta, ale te Dżony w beretach, w tych swoich odprasowanych bluzach, weseli jak dzieci, dobrzy jak sama Ameryka" – i ciągnę, i ciągnę te pochwały. Gorzko mi się one później odbiły. Nie mogłam pojąć, że bogata, kulturalna Ameryka jest o wiele groźniejsza dla nich od rozbitej właśnie Germanii. Odbiło mi się to podczas śledztwa, gdzie traktowano mnie jak kosmopolitkę, tak mnie zresztą ochrzcili. Matka Marta temperowała mnie i przestrzegała, że muszę wytrzymać „komplementy" starszej. Życzenia i rady Matki Marty były dla mnie święte, więc przemagałam się i rozmawiałam z tą kanalią, wysłuchując jej łgarstw, tylko już o Dżonach milczałam.

Po trzech tygodniach naszego pobytu we Lwowie szykowano daleki etap. Walka uprzedził nas, że pojedziemy. Koło nas była cela młodych chłopaków, którzy dobrowolnie uciekli do Sowietów. Pewnego razu usłyszałam, jak jeden Żyd twierdził, że wszyscy oni – to szpiedzy. W żaden sposób nie mieściło mu się

w głowie, że ktoś normalny może chcieć tu się znaleźć z innych powodów. Byli tu Rosjanie, Ukraińcy i nawet jeden Francuz. Matka Marta położyła mnie koło swych nóg i ja zasnęłam. Szyła mi worek, bo znając warunki na etapach obawiała się o moje walizy. Dała mi ze sobą torebkę sucharów, dziesięć rubli, a ja wymieniłam coś z odzieży u jednej dziewczyny za kawałek słoniny. Starsza celi milczała, a ja pilnowałam tylko swych rzeczy, żeby jej się znowu nie zachciało czegoś „zagraniczniutkiego". Matce Marcie zostawiłam na pamiątkę ciepłą długą koszulę nocną i ciemną chustkę. Pożegnałyśmy się ze sobą bardzo serdecznie, a ja dobrze zanotowałam w pamięci jej lwowski adres. Na podwórcu przed etapem podszedł jeszcze do nas dozorca Żyd i dał mi jeszcze kilka paczek papierosów od Matki Marty, za co zabrał mi ostatnią dziesiątkę, chociaż, przypuszczam, na papierosy Matka Marta mu pieniądze dała. Dała i za fatygę.

Znowu siedzieliśmy w specjalnych zakratowanych przedziałach. Za mną siedziały kobiety, które wieziono gdzieś na Północ, skąd pouciekały. Rzeczy nie miały, tylko trochę żywności, wielką miłość do Ukrainy i nadzieję, że wrócą do domów. Jakże nienawidziły one tę obcą ziemię, dokąd wleczono je siłą, zabrawszy im wszystko prócz tych toreb żebraczych. Sowieckie pociągi miały zawsze kilka wagonów dla więźniów. Były to wagony specjalnie podzielone na mocno okratowane cele, w których na dole i na górze wieziono ludzi stłoczonych jak śledzie w beczce. Na początku wagonu – toaleta, do której wpuszczano więźniów nie wedle ich potrzeb, a wedle kaprysu konwojentów, dla których katusze więźniów były dziką rozkoszą. Również wodę przydzielano według kaprysu konwoju i więźniowie czasem marli z pragnienia, a kaloszy od walonków używali jako toalety. Na drugim końcu był jeszcze karcer, w którym nad więźniem znęcano się szczególnie. Tam też gdzieś były i „apartamenty" dla konwojentów.

Ilości więźniów, ich przewóz, punkty przesyłowe, łaźnie (banie) – to było dobrze zorganizowane przedsiębiorstwo, zaplanowane w ogromnej skali jak część działalności państwa i prawidłowość „mądrego" marksizmu. Od tego wiało zgrozą, ale też i satyrą, i robiło się nawet trochę radośnie na myśl, jak nisko stoczył się wróg całej ludzkości w swych metodach niszczenia człowieczeństwa. To nie ma i mieć nie może przyszłości, bo pomordowani nie milkną wraz ze swą śmiercią, lecz głośno wołają do sumienia całego świata o wysokim poziomie uczłowieczenia. Wszystko, co stało się już normalne przy obsłudze tego przedsiębiorstwa i dla wszystkich macherów tego państwa, przeciętnemu Europejczykowi ściska gardło wielkim bólem nad bezkarnie przelaną krwią niewinnych. Niedawni „zwycięzcy"

z Europy, dziś nasi konwojenci, do swojego narodu, jeszcze wczoraj dręczonego i upokarzanego przez Niemców, zwracają się takimi piętrowymi wyzwiskami, że skóra cierpnie od nieludzkich, wyrafinowanie brudnych słów, gdzie wszystko jest znieważone, splugawione, nawet to, co dla człowieka zawsze pozostaje święte, jak matka, jak Bóg. Niepojęty sadyzm rozpościera się krwawo od Stalina do konwojentów i wzajemnym udręczeniom w tej krainie nie ma końca i miary. Gdy mnie, już skazaną, wieziono na północ, widziałam całe pociągi z tak zwanymi „wagonzakami" (wagonami więziennymi) i tysiące łagrów wzdłuż drogi żelaznej do Workuty. Ponad obciosane przez polarne wiatry rachityczne chojaki górowały wieże i nic więcej, tylko wieże, i wieże strażnicze…

A na razie wieziono nas do Mińska. Pod wieczór byliśmy już w Baranowiczach i jakiś naczelnik, ujrzawszy nas, wykrzyknął: „Cziemodannoje nastrojenije!" (walizki w polu widzenia). A to stąd, że zamiast sowieckich worków na sznurkach zobaczył prawdziwe walizki, więc nie mógł tego nie wykrzyczeć.

W Baranowiczach więzienie było wielkie, drewniane. Wszystko tu było z drewna: i kadź na wodę i przesławny sowiecki kibel – parasza. Magazynu na rzeczy tam nie było, podobnie jak nie były jeszcze wprowadzone pozostałe sowieckie porządki i moje rzeczy po szmonie dano mi do celi. Siedziało w niej już kilka kobiet, przeważnie młodych. Jedna z nich przedstawiła się jako partyzantka. Jej język był do tego stopnia nafaszerowany niecenzuralnym mięchem, że robił wrażenie osobliwej mowy, „dialektu" partyzanckiego i tylko dziw brał, jak mógł tego słuchać stary białoruski las… Kobiety o wszystko mnie wypytywały, a późnym wieczorem zaczęły z wolna napadać na mnie, przechwalając się swoją partyzanckością i popatrując w stronę moich walizek. W końcu nachwaliwszy się swoimi zasługami przed władzą sowiecką, zabrały się do dzielenia między siebie moich rzeczy jako trofeum wojennego, ale jakiś towarzysz otworzył okienko i ostro je skrzyczał. Kazał im mnie nie ruszać i odczepiły się. Oszukane, warczały jak kotki, ale z dobrego serca rozdałam im jakieś drobiazgi i nastrój się ułagodził. Jeszcze zdążyły przed snem dać mi niezły koncert partyzancki, którego wysłuchałam z ciekawością. Myślałam wciąż, co tam z moim mężem? Wczesnym świtem wyprawiano nas dalej. Było nas około pięćdziesięciu osób. Przydzielono nam po kawałku chleba, po surowej rybie i kawałeczku cukru. Ciekawe było, że jakiś oficer zapytał mnie, czy nie mam chusteczki? Chusteczkę miałam, więc nasypał mi do niej miseczkę cukru. Był to gest królewski z jego strony! Cały ten cukier oddałam mężowi, ale wdzięczność zań długo grzała mi serce. Popędzono nas

w kolumnie marszowej, z psami, gdzieś aż pod górkę, gdzie kazano nam usiąść na ziemi, żeby nie było nas widać. Konwój był nie surowy, swojski, i myśmy przypadły do ziemi jak kuropatwy. Nadszedł wreszcie pociąg i nas znowu załadowano do tych zwierzęcych klatek, męża tym razem niedaleko ode mnie, i powieziono do Mińska. Jechaliśmy przez Białoruś. Pociąg na stacjach stawał i klatki się zapełniały. Baby po wioskowemu zawodziły, a synkowie mężnie i ponuro załazili do klatek. „Mamusiu – mówił mąż – jesteśmy na Białorusi, powąchaj, czy czujesz swojskie powietrze?" – „Odczuwam – mówię – aż nadto, ale też czuję, że będę je odczuwała jeszcze bardziej, dlatego chciałabym znaleźć się teraz jak najdalej od tego powietrza, na drugiej stronie kuli ziemskiej".

Do Mińska przyjechaliśmy rano. Koło pociągu znów zjawili się konwojenci z psami i te pieseczki dość nieprzyjaźnie na nas spoglądały, połyskując ostrymi kłami. Znowu kazano nam przysiąść i pochylić głowy, a potem poprowadzono do innego wagonu, gdzie przesiedzieliśmy do wieczora. Rozmawialiśmy przez ściankę z mężem, żegnaliśmy się. Chciałam go przygotować, żeby się nie bał za bardzo – gdy śledztwo będzie przewlekłe i nie wytrzymam katuszy, to postaram się nie żyć. Był tak poruszony, tak przerażony, że omal nie padł trupem na miejscu, więc obiecałam mu, że przeżyję. Jeszcze raz pożegnaliśmy się w „czarnym kruku". Ulica była oświetlona, pełno przechodniów, więc pośpiesznie wprowadzono nas za bramę mińskiego więzienia, do tzw. „Amerykanki". Z teatralną uprzejmością powitał nas jakiś więzienny naczelnik, który zdziwił się bardzo, że nie ma z nami syna i szczerze tego żałował… Od jego słów ciarki mi pobiegły po skórze, a serce przygniotły złe przeczucia… Rozdzielono nas z mężem. Mnie poprowadzono jakimś labiryntem korytarzy, bardzo się przestraszyłam, ale po chwili wepchnięto mnie do celi, która miała formę grobu z przykutym stołem i takimiż przykutymi i odłożonymi narami po bokach. Wzór na to więzienie sowieci wzięli od Amerykanów, jak mi potem powiedziano, i nie jeden tysiąc Białorusinów w beznadziejności i wśród cierpień zapoznawał się z istotą marksizmu-leninizmu u jego najpierwotniejszych źródeł… Cały Mińsk rozbili atakujący Niemcy, a tej przeklętej budowli nie tknęła na nasze nieszczęście ani jedna bomba! Przesiedziawszy tam kilka miesięcy, obmyślałam plan, jak z tej katowni zrobimy kiedyś muzeum czy kaplicę, gdzie ludzie będą wspominać swych męczenników w dni zaduszne.

A tymczasem siadłam na przykutym stołeczku i zaczęłam myśleć o mężu. O synu staraliśmy się nie myśleć i nie rozmawiać. To było nieznośnie bolesne, prawie fizycznie, i szarpało nerwy. W drodze z Baranowicz do Mińska konwój,

tym razem już białoruski, przerzucał rzeczy męża. Słyszałam ze swojej klatki, jak mąż ich prosił: „Bierzcie co chcecie, ale zostawcie mi moje książki, one są przecież medyczne, proszę was, zostawcie, zostawcie…". Było mi wstyd za męża, że tak się poniża dla książek. Nie wiem, czy tamten konwój książki mu zostawił, ale wiem, że zabrano mu i sweter, i spodnie najlepsze, i na ogół zabrali, co kto chciał…

Mnie przerażał bandytyzm i samowola. Jeszcze tamtej nocy wprowadzono mnie do celi na dole więzienia. Było tam kilka kobiet i jedna z nich, Żenia Szostak[245], znała mnie z prasy. Zaopiekowała się mną, umyła mnie, pokarmiła. Zauważyłam, że źle widzę. Oprócz Żeni były w celi jakaś Nela z Mińska, Nadzia Jewtuchowa z Połocka i staruszka bibliotekarka z Mińska, która bardzo się martwiła o koty osierocone… W celi było czysto i współwięźniarki były dla mnie miłe.

Zaczęły się przesłuchania. Mój śledczy, niejaki Kogan, Żyd, był przebiegłym czekistą. Nie krzyczał na mnie, ale wciąż do mnie zagadywał, agitował mnie, wspominał partyzantkę, wychwalał władzę sowiecką. Słuchałam, ale surowa rzeczywistość przemawiała do mnie mocniej. Opowiadał czasem o humanitaryzmie sowieckiego śledztwa, a z boku rozlegały się wyzwiska, przekleństwa, jęki, płacz kobiecy… Wtedy milknął. Pewnego razu przyszedł na przesłuchanie ruchliwy jakiś typ w cywilu, który wypytywał mnie dociekliwie o Ostrowskiego. Zaczął mi wytykać tendencje niepodległościowe, więc mu powiedziałam, że według sowieckiej konstytucji każda z sowieckich republik ma prawo nawet oddzielić się od Związku, więc co w tym dziwnego? Ostrowskiego znałam mało i nie idealizowałam go, więc powiedziałam temu facetowi, co o nim myślę. Przesłuchania i agitacja trwały dalej. Moje poglądy w sprawach politycznych, dostatecznie utrwalone zachodnią demokracją, analizą dyktatury hitlerowskiej oraz innych krwawych reżymów totalitarnych, były osadzone we mnie na tyle mocno, że śledczy nie mógł sobie dać ze mną rady. Raz przyszli na przesłuchanie jacyś wojskowi, wyraźnie wyższej rangi, chociaż mało się na tym znam. Powiedzieli mi, że nie lubiłam hitlerowskich funkcjonariuszy. A jaki jest mój stosunek do sowieckich? Odparłam, że są nie do przyjęcia. – „Dlaczego?" – „Są niehumanitarni". – „Jak to niehumanitarni, my w więzieniach prześcieradła wydajemy!" – „Tak – powiadam – i 10, 15, i 25 lat więzienia dla swojej młodzieży, odbierając jej wszelką szansę ludzkiego życia i szczęścia". O nic więcej mnie nie pytali. Wyszli. Raz wpadł do tamtego śledczego podczas przesłuchania jakiś młody wojskowy, który powiedział, że na Zachodzie mnie drukują, pamiętają. Mówię mu: „Pewnie przedrukowują".

Gdy śledczy pisał protokół, który nie zgadzał się z tym, co mówiłam, powiadałam zwykle: „Proszę pisać, co pan chce, pańskiego prawa nie uważam za prawo, a pana – za prawnika w dosłownym tego terminu znaczeniu".

Niczego nie mataczyłam, bo wina moja dotyczyła tylko Komitetu Samopomocy w Pradze, w którym byłam skarbnikiem. Tego nie negowałam. Zresztą Kogan pokazał mi archiwum Komitetu, które jeszcze w 1942 roku „zaginęło" z mieszkania Jermaczenki. Byłam wielce zdumiona! Wysłuchawszy o telegramie do Hitlera Kogan powiedział mi, że Jermaczenka za nazwisko Geniusz w tamtym telegramie otrzymał wielkie pieniądze! Uśmiał się szczerze ubawiony i powiedział, że Jermaczenka już od 1921 roku pracował w niemieckim wywiadzie, ale ja odniosłam wrażenie, że pracował również dla wywiadu sowieckiego… Tamten telegram nadał do Hitlera on sam, podpisawszy go nazwiskiem mego męża, bo go nieoczekiwanie, jak tylko wszedł na salę, zrobiono przewodniczącym tamtego zgromadzenia, na którym Jermaczenka odczytał ów telegram. Nikt z Białorusinów go nie podpisał, ale na blankiecie, nad tekstem telegramu były wywiedzione przez kalkę nazwiska wszystkich Białorusinów, obecnych i nieobecnych na owym zgromadzeniu. Poczułam się obrzydliwie. Takie państwo i stoi na kłamstwie, na oszustwie, na podrobionych dokumentach… Hadko! W obliczu najstraszniejszych niebezpieczeństw, omotani nazistowską przewrotnością, ludzie mieli odwagę nie podpisać tamtego telegramu, a tu nagle pojawiają się ich podpisy przekalkowane i wszystko, co w tych ludziach było głęboko ludzkie – podły podstęp zamienia w mierzwę… Przypomniał mi się Wolfson, stary Żyd, który razem z rodziną uratował się dzięki temu maleńkiemu Komitetowi i także uczestniczył w tamtym zgromadzeniu jak wszyscy, którzy otrzymali polecenie obecności: co by on powiedział na to, gdyby zobaczył swój podrobiony podpis pod tamtym telegramem do Hitlera…

Kogan czasem mówił o sobie, o tym, że jego rodzice, biedni Żydzi, dali wykształcenie wszystkim swoim synom, w tej liczbie i jemu. Mówił, jacy to uczciwi i dobrzy ludzie. Kiedy indziej ubolewał, że nie było mnie podczas wojny na Białorusi, za co powinnam odpowiadać, bo mogłam wnieść znaczący wkład do walki z faszyzmem itd. Słuchałam. Kiedy jednak zaczynał atakować religię, radziłam mu odstąpić od beznadziejnych usiłowań, motywując to tym, że wielu już było mądrzejszych od niego w ciągu tych niemal 2000 lat, którzy walczyli z religią i poginęli, a religia, wiara chrześcijańska, szerzy się i ratuje narody. Wtedy on fukał i mówił, że wierzący są tylko jego starzy rodzice. „No i widzi pan – mówię –

niedawno pan ich chwalił, że potrafili dobrze wychować synów, to znaczy, że religia uczyniła ich takimi!". Nie miał już nic do powiedzenia. Kiedyś wspomniał, że w Słonimiu mój mąż miał jakieś przyjaciółki. „Niemądry – powiadam. – Gdyby żył samotnie cały rok i nikogo nie miał, to dopiero byłoby nienormalne, bo to przecież młody mężczyzna i szczęście, że nie jest mnichem!".

Razu pewnego zaciągnął mnie ten Kogan w środku nocy do zastępcy szefa Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, niejakiego Nowika[246]. Tamten umiał po białorusku i wciąż nawracał tego, że kiedyś Adamowicz napisał o mnie i o moim zbiorku wierszy „Od niw ojczystych" bardzo krytyczną recenzję. Recenzja nie była nieprzychylna, ale zawierała wypowiedzi moich braci, którzy mnie nie chwalili, i tego właśnie obiema rękami uchwycił się ten Nowik. Tego też wysłuchałam, ale metody wielkich podłości i małych podłostek stawały się dla mnie coraz bardziej odpychające. Poznawałam system sowiecki, który po prostu się przede mną obnażał. Nie było nic w nim ani z wielkoduszności, ani z humanitaryzmu.

Z wolności przychodzili nowi aresztanci. Opowiadali, jak bieduje lud, jak wznosi się nowe mieszkania dla pracowników Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, po stalinowsku upiększane z zewnątrz, po stalinowsku, dla małych i wielkich Beriów[247]. W pierwszej kolejności dla nich, ze wszystkimi wygodami, a lud – prawie w ziemiankach i nad nim – żadnej litości. Tu się tego słowa nie używa – ono jest „burżuazyjne". Kult Stalina, kult „naczalstwa" – poniżające rabskie pozostałości niewoli tatarskiej. „Nie ma rzeczy niezastąpionych", czyli „Wszystko da się zastąpić". Człowiek też. To – dewiza sowietyzmu. Znaczy to, że poetę może zastąpić traktorzysta, matkę rodzoną – chwacka dozorczyni z kolonii dziecięcej, a zakatowanego ojca – ojciec narodów i zabójca nr 1 – Stalin. Życie toczy się w sztucznej koleinie, człowiek zdezorientowany zapomina, że jest człowiekiem. Postęp – to mądrość. Ale ktoś powiedział, że tego nie robią uczeni, bo uczeni eksperymentują na psach. Sowieci – na ludziach.

Jestem prawie rok w więzieniu. W niczym nie potrafili dogadać się ze mną na swoją korzyść. Zmieniają mi wciąż dochodzeniowców: Żyda Kogana na Żyda o jakimś ukraińskim nazwisku, i przenoszą mnie do pojedynki, do przybudówki, gdzie na okienko przylatuje czasem ptaszek. Jest mi lepiej. Ze mną w moich myślach wszyscy moi bliscy, wszyscy przyjaciele. Potem rzucają mnie do innej pojedynki, gdzie w bardzo ciasnej celi siedzi już straszne stworzenie. Jak tylko weszłam, stworzenie buchnęło płaczem, bo się mnie boi, bo mi nie ufa itp. Patrzę z politowaniem na pryszczatą twarz i mówię, że z moim imieniem i w moim

wieku hadko słuchać czegoś takiego! Dziewczyna mi się wyraźnie nie podoba. Nie znając przewrotności życia, nie umiem się domyślić, że to tak zwana etatowa nasiadka, której moi śledczy nakazali takie postępowanie. Siedzi ona podobno za SBM[248]. Śledztwo przeciąga się, bo papiery do zeznań dodatkowych świadków posłano aż na Jenisej. Wywołują ją do śledczego, jakoś niewyraźnie się uśmiecha i spogląda na mnie ironicznie. Nadchodzi wieczór, noc, a pościel jedna. Cała cela to jej żelazne łóżko i przejście pod ścianą. Koło drzwi kaloryfer, a w drugim kącie szafeczka. Pytam: „To gdzie ja mam spać?" – „Śledczy powiedział, że pod łóżkiem" – odpowiada mi pryszczata Nela Hardziej i jej obrzmiała twarz wykrzywia się sadystycznie. Na progu nocy dozorca otwiera drzwi i wsuwa nary, które trzeba ułożyć jednym końcem na kaloryferze, a drugim – na szafce. Dni biegną, nie rozmawiam z tą dziewczyną w dziurawych na łydkach pończochach, która już nie ryczy gorzkimi łzami, tylko mi się przygląda i prowokuje. Opowiada mi, że bardzo kocha Białoruś Zachodnią, bo stamtąd pochodzi jej ojciec, którego w 1937 roku rozstrzelano, a był jakoby profesorem. Matka podobno jest sprzątaczką w jakimś urzędzie. Ma brata i ma Sieńkę – absztyfikanta, i jest Lila Sporyk, jej przyjaciółka. Drży o Sieńkę, żeby nie odkochał się… Uczy się w instytucie języków obcych, na angielskim. I znowu zaczyna o Białorusi Zachodniej. Słucham, milczę. Dni biegną. Dali nam domino, więc gramy w nie. Wszystko tu dla mnie – obce i dzikie. Gdy zaczynamy grę, mówię: „Ja będę Churchill[249], a ty Rosjanin. Kto wygra?". Gdy wygrywam ja – cieszę się i śmieję. To moja jedyna pociecha w tej norze na złość im wszystkim, całemu temu nieludzkiemu systemowi! Wywołuje mnie śledczy i powiada: „Myli się ten, kto liczy na wojnę" itd. „Aha – myślę sobie – wiem już, kim ty jesteś, bestio pryszczata…". – „Musi pani wiedzieć, że Gruzini żyją długo i towarzysz Stalin nie prędko umrze" – powiada. Milczę i myślę, że Bóg wie lepiej…

Nelkę ode mnie zabierają i trzy tygodnie siedzę sama. Lepiej się czuję pojedynczo – odpoczywam. Po rozprawie, gdy siedziałam w celi z wyrokami, dowiedziałam się, że ta Nelka niejedną ofiarę miała na sumieniu. Była skazana na trzy lata za „rozgłaszanie tajemnic państwowych" i wysługiwała się teraz takim sposobem. A ta „tajemnica" teraz, gdy dano jej zadanie śledzenia i donoszenia na Lilę Sporyk, która u nich mieszkała, to ona, jakoby, powiedziała o tym tej Lili i obie razem te donosy fabrykowały, do czego później komuś Lila się przyznała. O tym wszystkim opowiedziały mi dziewczęta.

Kiedyś w domu w wiejskiej cerkwi w Wołpie widziałam wysokiego chłopaka, ze wsi Łazy, zdaje się. Był to tępy, ciemny typ, który nawet marzyć nie mógł o jakimś zbliżeniu się do mnie czy do mego towarzystwa. Ten człowiek obecnie był ważną osobą w mińskim więzieniu i teraz znęcał się nade mną z największą satysfakcją jak skończony sadysta. Przychodził do mojej celi i odprowadzał mnie osobiście do łaźni, gdzie był obecny przy naszej kąpieli, palił w odwszalni nasze rzeczy i wyśmiewał się z nas. Biedne dziewczęta omal nie płakały… Zbliżał się czasem do mojej celi i oblewał mnie pomyjami połajanek, ciesząc się z mego uwięzienia. Przerażające!.. Kiedy mnie skazano i wyrok 25 lat obozu pracy ITŁ[250] zawisł nad naszą rodziną, nogi mi odmówiły posłuszeństwa. Naczelnik „Amerykanki" kazał mi się zbierać do więzienia dla tych z wyrokami. Wzięłam walizkę i zachwiałam się. Kazał temu fagasowi pomóc mi. A ten się wyzwierzył, że nie będzie pomagać dziedziczce, którą nareszcie skazano na śmierć… itd. Naczelnik więzienia, jakiś Rosjanin, sam wziął moją walizkę i zaniósł do samego „czarnego kruka"…

A na razie przeniesiono mnie do innej celi, gdzie było kilka dziewcząt, przykute nary i wybite okno. Nowy sędzia śledczy jął wywoływać mnie częściej i pisać, i notować… Była w celi niejaka Olha Hiełach z Orszy. Przywieziono ją z jakiegoś łagru specjalnie na rozpracowanie mojej osoby. Gdy protestowałam wobec jej szykan, zaczynała walić mnie pięściami po głowie. Zauważyłam, że robi to na rozkaz śledczego. Była to straszna, choć nie stara jeszcze kobieta, na której łagier wycisnął najplugawsze piętno, głównie bezwstydne słownictwo i kompletną amoralność. Rano dawali nam chleb i czaj, na obiad – wstrętną zupę na cuchnącej rybie, po której bez przerwy dostawałam torsji. Wyschłam na szczapę, tylko grzbiet mi wystawał. Miałam piżamę mężową, którą parę razy miał na sobie mały Jurka. Zwijałam jej nogawki i kładłam sobie pod głowę. Doznawałam uczucia, jakby syn mój mnie wspominał… Jedzenie roznosiła nam babka, siedząca z jakiegoś paragrafu cywilnego. Milczała, ale widać było, że mi współczuje. Ta babka za czyimś pozwoleniem dawała mi czasem termofor. Mnie chyba truto. Bardzo mi dokuczała wątroba. Wszędzie w więzieniach lekarzami byli Żydzi, ale najgorszy był chyba wtedy w 1948 roku w mińskim więzieniu okrągłym. Nikt nie znał jego nazwiska. Wołano na niego po prostu Pinia. Gdy mnie do niego zaprowadzono, nawet nie spojrzał na mnie, tylko powiedział, że kiedyś dobrze się odżywiałam, a teraz mój organizm przejada wątrobę i dlatego mnie boli, więc on mi niczym pomóc nie może… Nigdy nikomu nie pomógł i zdaje się, że to on mnie podtruwał za pośrednictwem jedzenia.

Nocą w celach paliło się światło. Świecono nam w oczy, żebyśmy się nie powiesili, ale człowiek nad skrajem mogiły nie bardzo chce umierać. Im bardziej go katują, tym silniej pragnie żyć. Nocą często rozlegał się krzyk: „Za co mnie bijesz?". Kogoś dręczono, kogoś bito… Okrutne!..

Pewnego razu, już w 1949 roku, wywołano mnie i poprowadzono gdzieś daleko do góry. Konwojenci, przeważnie paskudni ludzie, zmuszali nas do trzymania rąk z tyłu. Było mi tak ciężko iść. Widocznie ktoś musiał iść na spotkanie, bo konwojent tak gwałtownie odwrócił mnie, że rąbnął moim czołem w ścianę. Pociemniało mi w oczach… A on wlókł mnie dalej… Wreszcie wprowadził mnie do gabinetu Canawy, straszliwego stalinisty, który siedział w gabinecie wyścielonym okropnymi zielonymi dywanami i obitym drzewem. Siedział ten krwiopijca za biurkiem, a z lewej przy innym stole siedział Czech i spoglądał na mnie tryumfująco. Był ze mnie cień, sama skóra i kości, trochę męstwa w sercu i reszta – złość. Canawa spytał mnie o personalia, jak to oni zwykli robić, i kazał zrzucić kapturek z głowy. Nie zrzuciłam. Wtedy zaczął krzyczeć: „Kto to Abramczyk?" – „Mój przyjaciel" – mówię. „Kto Abramczyk, kto Abramczyk?" –„Demokrata" – odpowiadam. „A ty wiesz, co to demokracja?" – wrzeszczy. – „Ustrój państwowy, oparty na trzech pryncypiach rewolucji francuskiej" – odpowiadam i wymieniam te pryncypia po francusku, po czym pytam ironicznie, czy może przetłumaczyć. „Nie, nie potrzeba!" Wprawdzie na samym początku zapytał mnie, w jakim języku ma ze mną rozmawiać, czy po rosyjsku, czy przywołać tłumacza czeskiego? A ja mu na to: „Ponieważ pan jest ministrem państwa białoruskiego, proszę rozmawiać po białorusku!". On dostał szału! Dokoła widziałam stojących mężczyzn, jakichś wojskowych, którzy ledwo wstrzymywali się od śmiechu, gdy on powiedział: „Pani wystarczająco dobrze mówi po rosyjsku". Co prawda ja powiedziałam wtedy, że mój rosyjski jest daleki od doskonałości. No, ale właśnie zaczyna się: „Oddaj archiwum! Oddaj archiwum BRL!" – „Nie mam go – odpowiadam – i nie wiem gdzie jest". – „Bić ją! Przesłuchiwać dzień i noc!" – wrzeszczy nieszczęsny genecwali[251]. A ja, cień człowieka, wyprostowałam się i mówię do niego: „Bez woli Bożej włos mi z głowy nie spadnie. Nie boję się pana". – „Wy jejo isportili, ona siebia dierżyt kak dama"[252] – wrzeszczy kat. A ja krzyczę, że Bóg jest ze mną i nie boję się. Później myślałam, skąd się wzięła siła?

Mnie wyprowadzono i tam dopadli mnie śledczy. Niejaki Choroszawin, którego wtedy zrobiono naczelnikiem wydziału śledczego, krzyczał: „Bić ciebie będę sam, majtki z ciebie ściągnę". A drugi, jakiś wykrzywiony, straszny, jęczał:

„Powiesić ją na ulicach Mińska!” – „Jeszcze nie wyrosła ta brzoza, na której będziecie mnie wieszać – krzyczę – wszystkich nas nie powywieszacie!”. A oni omal nie linczują mnie i wrzeszczą: „Ty chcesz na nasze miejsce!”. Ach, myślę, oto co was boli! Wam lud niepotrzebny, wam miejsce w głowie! I chwyciła mnie taka złość! A ja myślałam, że ze mną koniec już, że tak osłabłam i organizm mój bicia nie wytrzyma. Wiodą mnie, a ja chcę krzyknąć do męża, pożegnać się z nim, bo on siedział gdzieś w tym więzieniu. Ale nie zrobiłam tego, pomyślawszy, że może nie wytrzymać wieści o mojej śmierci. W celi straciłam całą siłę ducha i padłam na kolana, jak zawsze przed narami i zamarłam, absolutnie zamarłam w modlitwie, jakbym przestała żyć. Z kolan wstałam już jak inny człowiek, jakiś na nowo silny i zupełnie spokojny. Dla mnie teraz istniała tylko moja Ojczyzna, gdzieś tam byli moi dalecy przyjaciele, mój syn, brat, który jedyny wyniósł życie z wojny. Spokój panuje nad ludźmi, miasta w feerii świateł, człowieczeństwo, a u mnie – rozpaczliwy bój ze wszystkimi siłami bestialskiej reakcji, nie, nie o siebie, o Ojczyznę moją, o prawdę naszą, o naród nasz zniewolony, miotający się jak ryba w sieci, żeby jakoś przeżyć. Nie wiedziałam, że nie strasznie jest iść na śmierć za Ojczyznę, to lekka, pogodna, prawie świąteczna śmierć. Wszystko miałam ze sobą: moje serce i Prawdę moją. Jestem potomkiem pragnących wolności. Wielu z nas legło pomostem do przyszłych dni naszej Ojczyzny, więc jakież mam prawo bać się zginąć za sprawę, za którą polegli oni? I Canawa, i Kogan, i Choroszawin, i powykręcany sadysta, i ten wyrodek z Łazów koło Wołpy – wszyscy oni przestali być straszni, są nikczemnie mali wobec ogromu naszego losu, który pragniemy zdobyć. Pod wieczór znowu odmyka się karmnik i nosowy głos konwojenta pyta: „Kto na G?”. Spokojnie poszłam na spotkanie losu. „Ręce do tyłu!”. Szłam lekka, nawet nogi się nie uginały. Na ten raz przywiedli mnie do gabinetu mego drugiego sędziego śledczego, gdzie spotkał mnie pokręcony sadysta i jeszcze kilku katów. Znowu obiecali powiesić mnie na ulicach Mińska, ale spoglądałam na nich spokojna i czekałam, co dalej. „Wi poet?”[253] – odezwał się Żydek śledczy. – Wi wierszoklet! U nas w dziesięciolatkach lepiej dzisiaj piszą, nu?”. Obecni zanosili się od śmiechu z tego, a on jakoś podejrzanie się krzywił. Wreszcie towarzystwo opuściło gabinet, obrzuciwszy mnie wrogimi spojrzeniami, a śledczy milczał. Czekałam spokojnie obiecanego bicia. Zobaczyłam na biurku suszkę, pomyślałam niechcący, że jak mnie tylko zaczepi, schwycę tę suszkę i trzasnę go w łeb, i będę z nim bić się do końca! Ale od moich wojowniczych zamiarów „uratowało” tego Żydka jego zachowanie. Nieoczekiwanie wpatrzył się we mnie spokojnie

i powiedział: „No, proszę mówić, co pani chce, będę notować". Potem zapytał mnie powściągliwie o BRL i ja mu powiedziałam najniezbędniejsze. On pisał. O biciu więcej nie było mowy.

Wciąż we mnie żył duch rozpaczliwej dzielności. Zdawało mi się, że trafiłam do jakiegoś zoo między dzikie zwierzęta, gdzie trzeba wyżyć zachowawszy ludzką twarz i lepiej umrzeć, niż stracić człowieczeństwo… Długo mnie nie wywoływano. Grywaliśmy w celi w domino. Słuchałam opowiadań tych, co siedziały ze mną. Im się Zachód podobał. Kto był tam nawet w ciężkim czasie wojennym, był zdania, że życie tam jest znacznie ciekawsze. Mnie uważały wprost za szczęściarę. Mówiły: „Pani chociaż pożyła, ponosiła ładne stroje, widziała ludzi, a my co? Biedowałyśmy i harowały". Przerażenie mnie ogarniało od tych słów. Wartość życia i to, że jest ciekawe, w moim pojęciu nie tym się mierzyła; te kobiety były chore, spragnione życia i jego radości za wszelką cenę, w tym za cenę sumienia. Nie znały wyższych prawd i głębszych przesłań egzystencji. To rozumiały tylko Ukrainki wieśniaczki z więzienia przesyłowego we Lwowie, a ja bardzo do nich tęskniłam… Było mi zimno, więc poprosiłam ze swych rzeczy jakiś drobiazg. W tym celu należało napisać prośbę i podać ją przez karmnik. Dali mi papier i napisałam po białorusku, co mi potrzebne. Jakież było moje zdziwienie, gdy mi zwrócono prośbę z uwagą, że „po czesku nie rozumieją" i żeby napisać po rosyjsku… Więc białoruską mowę na Białorusi uważa się za mowę czeską! Czegoś takiego nie oczekiwałam nawet od bolszewików! „O, Białorusi moja!.." – jęknęłam z głębi serca…

Mieszkańcom Mińska czasem przynoszono paczki, ale żadnej wizyty, żadnego listu nikomu otrzymać nie pozwalano, choćby więzień siedział od lat! Sadyści nie znali żadnych ludzkich odruchów. Jedyne, co do nich docierało, to wychwalanie Stalina i komunizmu. O Leninie wtedy się nie wspominało. Ludzie się tym ratowali. Nie raz Kogan dawał mi do zrozumienia, że dla mnie byłby to nie tylko ratunek, ale i kariera. Wiedziałam, że w przeciwnym wypadku grozi zguba synowi, mężowi i wszystkim naszym bliskim, ale zaprzeczyć swemu człowieczeństwu, wyrzec się Chrystusa i utożsamić się z tym zoo nie mogłam. Straszny był dla mnie już sam ich wygląd, ale nieporównanie straszniejsze było ich spustoszenie duchowe i brak jakichkolwiek odruchów ludzkiej dobroci. Nie mogłam zapomnieć z jaką radością stwierdzał Kogan, iż ma już dość materiału dowodowego, żeby mnie skazać. Więc nie o winę moją czy brak mojej winy im chodzi, tylko im potrzebny jest materiał, żeby mnie skazać, uwięzić… O, humanizmie XIX-wieczny! Jakżeśmy daleko odeszli od ciebie!

Nareszcie mnie wywołują. Za stołem pełnym papierów siedział jakiś trzeci sędzia śledczy. Siedział i milczał. Przybiegł Kogan, usiadł, kartkował jakieś czasopisma i warczał przez zęby, że są dwa rządy i dwaj prezydenci białoruscy za granicą. Milczałam, bo do mnie nikt się nie zwracał, i on wyszedł. Obcy sędzia śledczy nadal siedział, a ja naprzeciwko niego i tak przesiedzieliśmy dzień, oczywiście, w milczeniu. Mówiono mi potem, że oni tak postępują ze wszystkimi pod koniec śledztwa, a ja już tyle hipotez przemyślałam wtedy!..

Wreszcie moja rozprawa sądowa. Wszystkie nadzwyczajne wydarzenia u mego taty miały miejsce w lutym i tata nie lubił tego miesiąca. Zauważyłam, że ja to odziedziczyłam, po ojcu. Wiedziałam, że sądzić mnie będą nie inaczej jak w lutym. 7 lutego wymieniłam za jakiś różowy drobiazg z mojej bielizny trochę papierosów dla męża, kawałek chleba i cieniuteńki plasterek słoniny. Wsadzono mnie do wybitnego osiągnięcia sowieckiej kultury – „czarnego kruka", przywieźli do jakiegoś domu i wprowadzili do środka. Była tam zagródka dla nas, ławy dla kogoś, stół dla sędziów, trochę wyżej i na obdartych ścianach wąsaty „ojciec narodów". Było kilku konwojentów. Prawie jednocześnie wzięto mego męża. Konwojent od razu na niego naskoczył, a ja równie brutalnie osadziłam go i widocznie się przestraszył, bo zamilkł. Wszedł sąd, nam kazano wstać i siąść, i rozpoczęto oskarżanie. Dokładnie już nie pamiętam, ale winą moją był – Komitet Samopomocy w Pradze, a męża – to, że był w Słonimiu (delegowany). Coś mówiono, a mąż chudy, straszny, bez zęba z przodu, nikogo nie słuchał, tylko spoglądał na mnie przez łzy i szeptał: „Mama, mamunia, mam tu dla ciebie, przyniosłem czosneczek, on jest tak podobny do lilii, które ty kochasz. Myśl, że to kwiatuszek, lilia. Trzeciego przecież była rocznica naszego wesela, ja wyprosiłem ten czosneczek u baptysty…". Dałam mu swoje podarki i prawie nie zwracaliśmy uwagi, co do nas mówią oprycznicy. To był Sąd Najwyższy BSRS przy prokuratorze wojskowym. Siedziała tam też jakaś baba, a przewodniczącym sądu był jakiś Szewczenko. Ta zbieżność nazwisk hycla i geniusza wytrąciła mnie z równowagi. W końcu dano ostatnie słowo mężowi i on się w słowach zaplątał, i popłynęły mu łzy. Szturchnęłam go w bok, ale płakał… Moje ostatnie słowo było pełne złości, wypomniałam im śmierć rodziców i całą ich surowość i niesprawiedliwość, niemal kłóciłam się z nimi, bo i rozmawiać nie było z kim. Sąd wyszedł. Ale nie zdążył wyjść, jak powrócił. Wyrok po prostu był już gotowy i proces, i sąd były czystą komedią! To prawie jak u Hitlera, a może nawet prymitywniej, pomyślałam. Odczytano nam wyrok po 25 lat obozu pracy każdemu, bez konfiskaty

majątku z tej przyczyny, że go nie mamy. A ów Szewczenko między innymi zaczął nawijać: „Łarysa, my za organizacje złodziejskie dajemy po lat 10, my powtórzymy rozprawę. My nie mielibyśmy dla pani miejsca, gdyby pani była z nami, ale pani z tymi bandytami. Proszę pisać, powtórzymy rozprawę". Nie, oprawco, nie będę z takimi jak ty!!!

Sąd odszedł, zaczynał się zmierzch, ktoś podglądał pod oknami. Pozostawiono siedzących nas na miejscach, konwojenci ucichli. Rozmawialiśmy, wspominaliśmy syna, ale co można powiedzieć w chwili beznadziejnej rozłąki, gdy oderwawszy syna rozdzielają nas kanibale z rodziną, ze światem, z kulturą, ze wszystkim… Tak stoi się nad mogiłą, znad której odchodzi się w pustkę… Wreszcie nas wyprowadzono, nawet konwojenci pojęli, że sądzono nas za nic, ale że tu „nie Czechosłowacja"… Wyprowadzono nas na zaśnieżoną ulicę. Paliły się latarnie, szliśmy razem, konwojenci z nami. Droga była jak na Golgotę. Jakoś poprosiłam męża, żeby mnie zapomniał, że będę wdzięczna każdej kobiecie, która ulży jego cierpieniu i samotności. Śmiesznie było myśleć o sobie przed otwartą mogiłą, chciało się jedynie, żeby temu drugiemu było lżej, lepiej. Niewidzialny kroczył z nami syn. Nie wymienialiśmy jego imienia, bo chyba byśmy pomarli od tego… Przywieźli nas pod jakieś więzienie, gdzie mąż już przebywał od trzech tygodni. Na mnie czekał „kruk". Uścisnęliśmy się. Zachybotałam się na nogach, jak podczas burzy…

Zawieziono mnie na powrót do tej „Amerykanki". Naczelnik więzienia wyprawiając mnie na sąd powiedział do mnie, że dadzą mi trzy lata. Teraz podszedł do mnie i powiedział, że chciał, żebym była silna, dlatego skłamał… Zostałam sama, i myśli o znęcaniu się nad nami, o synu, o straconym życiu odbierały rozum. W głowie kołatały słowa:

W co łzy swe, w co ból swój przemienisz
Poetko, Łaryso Geniusz?

Przyszedł naczelnik. Przyniesiono moje rzeczy. Mój krajan z Łazów[254] wyłajał mnie po chamsku i naczelnik sam odniósł moje rzeczy do „kruka". Przewieziono mnie do więzienia dla skazanych, do jakiegoś byłego pałacu z wieżami, i wpuszczono do celi kobiecej. Jak się później zorientowałam, krajan z Łazów przywłaszczył wiele moich rzeczy, a jasne rękawiczki męża, które przypadkiem trafiły do mnie, zdarł do reszty.

Urodzona w polu, wychowana w polu, często wyobcowana wśród ludzi, mogłabym żyć całkiem szczęśliwie, gdybym tylko słuchała głosu własnego serca.

Ono mi podpowiadało zawsze nieomylną taktykę, a ja często próbowałam myśleć kategoriami innych ludzi, i to mnie wiodło nie tam, gdzie trzeba…

W więzieniu byłam sama i już nie instynkt, a czytelne sny mnie prowadziły, mocowały, uprzedzały. To nie śmieszne, to naprawdę tak! Przed aresztowaniem śniła mi się cerkiew i wiedziałam, że to więzienie. Nic nie mogło mnie uratować. Bóg odebrał rozum memu mężowi i to był mój los. W Pisku przed każdą nieprzyjemnością przestrzegał mnie zawsze ktoś spośród moich zmarłych, zwłaszcza przed przesłuchaniem. Śnił mi się mój los – długa rzeka, woda, deszcz i ja z Jurą, przemoczeni na skroś brniemy i brniemy w wodzie… Raz mi się przyśniło trzęsienie ziemi i jakaś kobieta powiedziała mi, że nasza rodzina zostanie podzielona… I tak się przecież stało! To znowu widzę we śnie miotłę i obcy kodeks prawny, i przez okno wpada trochę światła: losy pani nieco się rozjaśnią, powiedziano mi, lecz będą panią sądzić podług cudzych praw, Czesi wydadzą panią… Mój czeski sędzia śledczy miał suchoty, był wychudzony i straszny, choć młody. Pewnego razu przyśniło się mnie, jak on przyszedł do naszej celi i powiada: „Nasze losy są jednakowe. Ja mam gruźlicę, a pani – rany Chrystusowe". To było zrozumiałe. A w Mińsku przed każdym cięższym przesłuchaniem koło mnie zbierali się moi rodzice, bracia, którzy poginęli: to krzyczeli na mnie, po co tutaj trafiłaś, to radzili, to współczuli, to otaczali mnie po prostu i prowadzili do Żłobowców do naszej chaty i zawsze byłam nie sama. Przed sądem przyśnił mi się sędziwy dziadek. Prosił, żebym nie płakała, że będę siedzieć 15-18 miesięcy, i nasypał mi garść orzeszków cedrowych, tylko nie chciał, żebym je liczyła… Pewnie było ich tyle, na ile lat opiewał wyrok. Nie wszystkie sny dziś pamiętam, ale były one niemal prorocze.

W celi kobiecej zostałam bardzo mile spotkana. Wiele kobiet o mnie słyszało. Nakarmiono mnie tym i owym z paczek, przejęły się moją niedolą, bo same też były w podobnych tarapatach życiowych, i gdyśmy się już nagadały, całkiem spokojnie zasnęłam, nie bacząc na pół wieku łagru w prezencie od Moskali. Prędko mnie stamtąd zabrano, bo poszłam do lekarza i on zobaczył na moich rękach austriacki jeszcze pewnie świerzb. Przerzucono mnie do brudnej celi, gdzie z ostrzyżoną dziewczyną złodziejką smarowano mnie jakąś siarką. Później powieziono mnie na etap. Zobaczyłam męża. Janaczka! Bydlęcy zakratowany pociąg wiózł nas w stronę Polski, do Brześcia. Wielkie więzienie z czerwonej cegły, mieszczące w sobie tysiące więźniów, pochłonęło i nas. Raz ostatni ujrzałam męża, gdy nas rozdzielano. Potem już go więcej nie spotkałam. Jego droga ostrzyżona głowa i szczerba w zębach zastygły w mej pamięci na długie lata.

Schody i piętra brzeskiego więzienia… Na jednym z nich cela kobiet skazanych, przeważnie Polki, ale są i nasze z grupy Demacha i Romańczuka. To łączniczki. Dano im po 90, po 100 lat więzienia. Bierze się najwyższą ze wszystkich orzeczonych razem wziętych, więc otrzymały po 25 lat, jak i my. Mnie zapraszały na jedzenie, pomagały, czym która mogła. Opowiadałam im filmy, różne historie, lubiły mnie. Obok byli mężczyźni. Dopukiwali się do nas. Któregoś razu powiadomili, że mego męża położono do szpitala. Przypadłam do tej ściany i w tej pozycji przyłapał mnie konwojent. Dano mi 5 dni karceru. Okropna pojedynka w podziemiach więzienia. Pusto, tylko słup kamienny wkopany w ziemię i zimno. 20 deko chleba i talerz obrzydliwej lury na dobę. Obok – krzyki nienormalnych. Drą się jak opętani, są bici. Mogę zrozumieć, że wylewają sobie kible na głowy, gryzą ściany, przerażające!.. Nie mogę zrozumieć, po co dręczą tych nienormalnych, i tak już przez Boga skrzywdzonych? Widać dręczycielom samym rozumu brakuje – bydlęta! A czas już się skłania ku wiośnie. Na szerokim lśniącym parapecie osiadł kurz. Gdzieś w cerkwi zadzwoniono na wieczorne nabożeństwo i niebo pojaśniało za zakratowanym oknem. Słońce jeszcze nie zachodzi. Serce przepełnia pragnienie modlitwy i palcem po czarnym zakurzonym parapecie zaczęłam rysować głowę CHRYSTUSA w cierniowej koronie. Głowa wyszła przepięknie i kropelki krwi pociekły jak gdyby po JEGO świętym obliczu. Powstał bardzo ładny obraz, jakby samo natchnienie prowadziło moją rękę i zapłakałam. W tym momencie z hukiem otwarto drzwi celi i rozjuszony oficer sowiecki chwycił mnie za szyję z wściekłym rykiem, wskazując na Chrystusa: „Kto to jest, kto to jest?" – „Chrystus" – odpowiadam. Oficer bluznął na Chrystusa takim plugawym przekleństwem, jakie prymitywnej kreaturze może podpowiedzieć tylko absolutna bezsilność w obliczu niedosiężnej wielkości ducha. Nie mogę tego powtórzyć. „Jeszcze pięć dni karceru dać jej za te rysunki!" – wyszczekał nieszczęsny, ścierając rękawem z parapetu głowę CHRYSTUSA. A za oknem grały słodko dzwony i przybliżały dzień PAŃSKIEGO ZMARTWYCHWSTANIA. Tamten straszny czekista nieraz później zaglądał do naszej celi, zbliżył się do mnie, gdy wywożono mnie na etap i z wściekłą nienawiścią zasyczał: „Kosmopolitka…". Przyzwyczaili się do łamania ludzi na pierwszy rozkaz, a ja postanowiłam bronić swego duchowego kręgosłupa do końca moich dni, bo człowiek z przetrąconym kręgosłupem to już nie człowiek.

Wrócono mnie do celi. Popatrzyłam na człowieka, którego razem ze mną prowadzono, i który, biedak, odsiedział swoje za mnie, bo to on do nas wystukiwał

wiadomości. Był to średniego wzrostu mężczyzna, tęgawy, lat może dwudziestu siedmiu. Spotkałam się z nim później na etapie. Na imię miał Losza, nazwiska nie pamiętam, ale okazał się dobrym człowiekiem i też zasądzonym na 25 lat. Niedługo pobyłam w celi. Po tygodniu wywołano mnie na etap. Zgromadzono nas, tych na etap, do wielkiej sali. Mego męża nie było. Serce mi zamarło, pomyślałam, że wciąż leży chory. Nie miałam kogo zapytać, bo nikt zresztą by mi nie odpowiedział.

Na etap wyruszało koło stu osób, wśród których tylko trzy kobiety. Mnie zaciekawili księża. Byli to ksiądz Łazar i ksiądz Józefski. Ksiądz Józefski był szczupły, wysoki, trochę niespokojny; odwrotnie ksiądz Łazar z Brześcia: rozmowny, pogodny duchem, bystry i, zdawało się, człowiek bardzo dobry. Poczuliśmy do siebie wzajemne zaufanie. Gdy nam wydawano chleb i po kilka łyżeczek cukru na etap, człowiek, który odmierzał cukier jakimś maluteńkim czerpaczkiem, wyjmując wolniutko ten czerpaczek z woreczka mówił do mnie: „Pani mąż został wyprawiony w kierunku na północ już tydzień temu. Wszystkiego najlepszego". A więc mąż był mniej więcej zdrowy, skoro został wyprawiony. Zrobiło mi się smutno: mąż był chudzielec, sama skóra i kości – prawdziwa ofiara bolszewickich katuszy. Wiedziałam, że jest nieustępliwym i uczciwym człowiekiem, i obawiałam się, jak on tam wyżyje ze swym kapryśnym usposobieniem i dziecięcą wręcz ufnością do ludzi. Wyczytujący moje papiery ten łotr oficer zdążył mi jeszcze nawymyślać. Wreszcie nas powiedli. Opuszczaliśmy to polskie nowe gmaszysko więzienne, wybudowane specjalnie w „stylu modernizmu", by dręczyć tam wszystkich niezadowolonych ich nieludzkim stosunkiem do nas, do narodów zniewolonych. Potem siedzieli tam oni jak my, bo na ich miejsce przyszli inni, którzy również nie mieli ochoty oglądać niepodległej Białorusi i Ukrainy. Prowadzili nas przez miasto z workami, tobołkami, a mnie – z walizkami, które, co prawda, niósł teraz Losza. Kiedyś w Pradze odwracałam głowę, gdy z okiem tramwaju widziałam, jak gestapowcy pędzą Żydów z takimi właśnie jak nasze tobołkami. Wtedy płakałam. Teraz – nie! Łatwiej jest samemu znosić udrękę niźli patrzeć, jak męczy się inny człowiek… Z naprzeciwka szli ludzie. Jakiś „zdobywca Europy" w oficerskim szynelu, długim jak spódnica na wiejskiej babie, niósł pod pachą bochenek chleba w kształcie cegły i pochyliwszy głowę nawet nie spojrzał w naszą stronę, a młody konwojent popatrzył na nas ze współczuciem, podczas gdy inni surowo „wykonywali swój obowiązek" i jedni ze swymi psami, inni – z automatami gnaliby tak nawet swych ojców rodzonych… Opuszczaliśmy Białoruś, ten kraj po

ichniemu „swobodny", z którego wywożono ludzi dokąd chciano na nieludzkie katusze, któremu moskiewskim buciorem, po barbarzyńsku, po Stalinowsku przydeptywano wątłe narodowe gardło, i kraj się już dusił w agonii.

Umieszczono nas w znanych mi już apartamentach „wagonzaku", dopychając nami i tak już pełne „klatki". Z Niną Kamberską i jeszcze jedną kobietą ciężarną trafiłyśmy do klatki po sąsiedztwie z księżmi. Mogłyśmy z nimi rozmawiać. Ksiądz Łazar[255] znał wiele języków, ale nie uważał za potrzebne znać na Białorusi język białoruski. Niech mu wybaczy to Pan Bóg, który póki co nam, Białorusinom, dał możność cierpieć za swobodną swoją przyszłość, w którą my wierzymy sercem całym. Był katolicki Wielki Piątek i wszyscy byliśmy trochę pod tym wrażeniem. Księdza skazano na 10 lat, a za co – sam nawet dobrze nie wiedział. Za to znał dzień swego aresztowania jeszcze przed aresztowaniem oraz dzień, w którym będzie zwolniony. Znał to wszystko z proroczego snu, z którego wiele się już sprawdziło. Koło nas jechał jeszcze jeden Losza. Wedle jego opowieści, został schwytany, gdy lądował na Białorusi, zrzucony z desantem, tak że był jeszcze w kombinezonie. Jechał tam jeszcze dobry student białoruski nazwiskiem Borys. Tym sposobem powstała nas niewielka grupka. Staraliśmy się pomagać sobie nawzajem za każdym razem, gdy nas wywoływano na kolejny etap z kolejnej stacji przesyłowej.

Księdza Józefskiego i kobietę ciężarną wysadzono koło Homla w Chalczu[256]. Był to obóz, jak się potem dowiedziałam, specjalny dla mamek, czyli dla kobiet w odmiennym stanie. Charakteryzował się tym, że umierało w nim 90 procent urodzonych dzieci więźniarek. Tam, jak i w innych miejscach, gdzie były takie dzieci, zawsze jakaś siostra, pracownica KGB, dawała im czasem proszek. Ten proszek wywoływał wszystkie symptomy zapalenia płuc, zżółknienie twarzy, i dziecko umierało. Często o tym słyszałam. Była tam pewna Białorusinka, żona Żyda. Opowiadała mi, że jej synek przeżył tylko dlatego, że był Żydem. Miał opiekę i mąż szybko dzieciątko zabrał. W innych łagrach noworodki w ten sposób umierały, gdy miały być odebrane przez krewnych. Mają na przykład przyjechać po odbiór dzieciątka, a tu ponowne objawy zapalenia płuc i dziecko przed odebraniem go kona. Pewna dobra dziewczyna rosyjska, Szura (nazwiska nie pamiętam), której mąż, chirurg, oszalał, gdy ją ciężarną zabrano, powiedziała mi, że i z jej córeczką zrobiono tak samo. Gdy ona rodziła, powstały wielkie pęknięcia krocza, których taka właśnie siostra kazała nie zaszywać, bo nie będzie miała już okazji bycia kobietą, a tym bardziej matką… Szura, wysoka, piękna i młoda, była

zawsze smutna i wciąż miała przypadłości kobiece. Podobnie postępowano na Północy i mężczyźni prosili nas, żebyśmy liczyły, ile tam dziatek umierało. Oni wiedzieli o tym.

Wieziono nas dalej. Pierwsze więzienie, do którego trafiłyśmy po drodze, to więzienie w Orle. Gdy moje rzeczy zabierano do magazynu, więźniowie pracujący w obsłudze powiedzieli mi, że tą drogą przejechał już ktoś o nazwisku Geniusz, doktor. Podziękowałam za wiadomość. A więc Jankę wiozą na północ… W Orle wzięto mnie i Ninę do więzienia drewnianego, do celi pełnej kobiet. Stał tam niewiarygodnie wielki drewniany kibel, zapełniony po brzegi, odpowiednio aromatyczny, i kobiety w celi były w większości całkiem oberwane, choć kilka było lepiej ubranych. Spotkały one nas bardzo serdecznie, z łezką w oku, jak nigdzie więcej. Podzieliły się chlebem i jakimiś racuszkami z ziemniaków i jeszcze z czegoś, i trudno było je rozgryźć, ale rozgryzione dawały się jakoś pożuć. Wiele z nich siedziało za samogon, który pędzono z buraków, żeby wyżywić dzieci, bo chłopy nie wróciły z wojny. Rade były z tego, że tutaj chociaż mają chleb, i płakały tylko po dzieciach. Te kobiety były ze wszystkim pogodzone, uważały swoją ziemię za nieszczęśliwą jak w tatarskiej niewoli, a czas okupacji, straszliwej okupacji, uważały za najszczęśliwszy w swym surowym nieludzkim życiu, bo mogły wtedy siać i żąć na swoim. Nie bały się niczego. Były wśród nich dwie nauczycielki z Orła i żona przewodniczącego kołchozu, która, gdy odjeżdżałam, dała mi 10 rubli na drogę, może się przydadzą. Siedziały one dlatego, jak mówiły, że ktoś siedzieć musiał i los padł na nie. Oprócz nich były tam Niemki z Powołża i Tatarki. Te dziewczęta uciekły z miejsca, dokąd przesiedlone zostały ich narody. Dostały za to po 20 lat katorgi i wszystkie je, jak się potem dowiedziałam, powieziono do Workuty.

Przebywszy u nich kilka tygodni, pożegnałyśmy się z tymi niemal świętymi kobietami. Wieziono nas dalej. Nasza mała grupka znowu spotkała się cała na etapie i mogliśmy trochę porozmawiać. Tutaj ksiądz odświętował spokojnie swoje święta. Właśnie w Wielki Piątek, gdyśmy ze sobą rozmawiali przez ściankę w „wagonzaku", podszedł do niego oficer i zapytał, za co jemu, oszukańcowi, który ogłupia lud, dali ten wyrok? „Wedle grafiku – odpowiada ksiądz – podeszła moja kolej i wzięto mnie". – „No to idź teraz i umyj podłogę w korytarzu, nauczysz się pracować". – „Ja wszystko umiem zrobić – powiada ksiądz – natomiast pan, oprócz tego, że potrafi nosić swoje epolety i dręczyć ludzi, do niczego więcej zdolny nie jest…". Oficer zagryzł wargi i gdy biedny ksiądz Łazar umył ów korytarz

wzdłuż wszystkich okratowanych klatek z nami – zwierzakami, dali mu karcer, żeby i tam pobył. Więc spotkawszy się z nami ksiądz powiedział, że nie było tam tak straszno. On tam spał sobie, a w klatce koło nas było ich ponad dwudziestu, jeden na drugim, więc było mu gorzej. Nas znowu posadzono w pobliżu siebie, więc czas od czasu przerzucaliśmy się słowami. Do toalety puszczano nas rzadko. Czasem nie puszczano przez dłuższy czas, co było szczególną uciechą dla konwojentów, którzy odpowiednio komentowali pośpiech nieszczęsnych i podrwiwali sobie z księdza.

Przywieziono nas do miasta Gorki, do tzw. „daczy Sołowjowa" – tak bodaj nazywał się tam główny kagebista. Długo czekaliśmy, zanim nas tam przyjęto i rozlokowano, bo nagromadziło się dużo więźniów, szczególnie przestępców pospolitych. Jakaś para przymościła się tuż koło nas i na oczach wszystkich zabrała się do działań miłosnych. Losza poprosił nas nie odwracać się w tamtą stronę. Borys wyjął ze swojej ubogiej walizeczki dwie szpulki nici, żebym je wzięła, bo mogą się przydać. Dzieliliśmy się wszyscy, kto czym mógł. W końcu pożegnaliśmy się. Nas wieziono osobno. Życzyliśmy jedynie sobie nawzajem „do następnego spotkania!"

Ech, te Gorki, przeklęte Gorki!.. Tam nawet rewidowano nas nie po człowieczemu. Było to wręcz badanie ginekologiczne nieszczęsnych ofiar przez lepiące się od brudu ordynarne dozorczynie. W celach były różne kobiety. Pewna złotowłosa Niemka z Kijowa, w kwiecie wieku, Elza, przywitała mnie bardzo mile. Wywdzięczyłam jej się znajomością z Micinami z Kijowa. Micinowie to jedyni ludzie z Kijowa, których znałam. I oni okazali się bardzo bliskimi przyjaciółmi „Goldene Else", jak ona sama siebie nazywała. Z Micinami poznałam się w Pradze. Uciekli od swych ziomków, którzy zdążyli już im zalać sadła za skórę. Sama Ksienia Micina była zdaje się krewną niemieckiego kompozytora Schumanna[257]. Jej córka Halina była bardzo dobrą pianistką. Miałam okazję być świadkiem na jej ślubie w Pradze i wraz z mężem i synem gościć na jej skromnym wojennym weselu. Elzie miałam co opowiadać. Była bardzo rada usłyszeć o swych przyjaciołach. W celi była jeszcze ukraińska studentka Lusia Wasilkowska. Ta cicha dziewczyna z Ukrainy Wschodniej, jak się dowiedziałam, była w łagrze donosicielką. Nie wiem, czy była nią już wtedy w Gorkim, ale to całkiem możliwe. Wyprowadzano nas na spacer na dziedzińcu podobnym do zamkowego. Lusia trzymała się mnie. Przypadła mi do serca. W powietrzu czuło się wiosnę. Niebo było bardzo rozjaśnione. Mnie po ponad rocznym pobycie w więzieniu bardzo chciało się powietrza.

Nareszcie mnie i Lusię wywołano na etap. Etap zebrał się niemały. Szukałam oczyma swych etapowych przyjaciół. Nikogo widać nie było. Jak się potem dowiedziałam, obu Loszów i Borysa powieźli na kopalnie do Workuty. W końcu pośród kryminalnych wypatrzyłam księdza Łazara. Był niepodobny do siebie. Kapelusz miał w dziurach, palto oberwane, a na nogach już nie trzewiki, a jakieś nędzarskie chodaki z gumy. Z ramion zwisała pusta torba. Ujrzawszy mnie ksiądz ruszył biegiem nie zważając na wrzask dozorców, oczy mu rozbłysły radością, że chociaż kogoś z nas zobaczył. Głos księdza drżał wstrzymywanym szlochem. Wyszedł z piekła i ujrzał znowu ludzi. Nie mógł opisać, biedak, tych potworności, które przeżyć musiał w celi pośród kryminalistów, którzy go ogołocili, odarli z szat i znęcali się nad nim. „Jestem księdzem – mówił – znam grzechy człowieka, jego upadek na dno, ale o czymś, takim, co tu zobaczyłem, nie mogę nawet opowiedzieć nikomu, tak to wszystko jest odrażające. Nigdy o niczym takim nie czytałem i nie słyszałem. Pocieszające jest tylko to, że taką młodzież zniewolił najstraszliwszy wróg ludzkości i ona go zniszczy". Żal było patrzeć na biednego księdza, który tyle przecierpiał. Mówił, że chciał przywołać do karmnika nadzorcę więziennego, chwycić go za kudły i młócić jego łbem o drzwi, żeby mu do tych dziesięciu lat wyroku dodali jeszcze piętnaście, jak wszystkim porządnym ludziom. Bo w takim towarzystwie sowieckiej młodzieży z dziesięcioletnimi wyrokami on nie przeżyje. Szczerze zazdrościł nam, skazanym na 25 lat łagru…

Wieziono nas dalej. Rzeczy nasze były gdzieś u konwojentów, którzy, przetrząsnąwszy moje walizy, zaproponowali, żeby im je oddać, bo i tak zostaną zagrabione. Dali mi rzeczy, żebym przełożyła je do worka, który uszyła mi droga Matka Marta. Wieczorem, coś opowiadając, złodziejka wykradła jeszcze sukieneczkę z mojego worka, ale mnie to już nie obeszło. Naczelnik konwoju powiedział mi, że wiózł już tędy mego męża, który trzymał na kolanach jakąś Niemkę… Wypróbowany chwyt kagebistów, którzy nieustannie przeżuwają ten temat w różnych wariantach, brukając wszelkie uczucie swymi krwawymi łapami. Później ten naczelnik stanął koło naszej klatki i zaczął wyśpiewywać przygnębiające ruskie pieśni. Wył tak bez przerwy aż do północy. Pewnie miał jakąś własną zgryzotę. Ciągle tylko widzieć tysiące więźniów i wlec ich jeszcze na straszliwą północ… Niektórych więźniów po drodze wysadzano, innych zabierano. Teraz już cały pociąg składał się z „wagonzaków". Ta gałąź przemysłu: handel ludźmi – była w Związku Sowieckim świetnie zorganizowana jako dziedzina priorytetowa. A tam gdzieś Amerykanie organizowali pomoc ludziom po wojnie czy urucha-

miali potężny przemysł… Cóż, kogo Bóg chce pokarać – temu rozum odbiera… Wreszcie przywieziono nas do jakiegoś drewnianego rozrzuconego miasta i wyrzucono na ulicę, po której poprowadzono piątkową kolumną do takiegoż drewnianego więzienia. Tutaj także zdałam swoje rzeczy do przechowalni, ale o mężu tu nie słyszano, pewnie więc został zatrzymany gdzieś na punkcie przesyłowym, lecz skoro trafił na tę drogę żelazną, to albo mnie dogoni, albo prześcignie…

Cela, do której nas przywiedziono, była niewielka i przepełniona. Na narach, pod narami, na podłodze – gęsto, że palca wetknąć się nie da. Na etap należy grubo się ubierać, bo kryminalni wszystko wykradną. Tym razem włożyłam na siebie swój szary angielski kostium, palto i kapturek. Stałam w kącie i myślałam, gdzie może być mój mąż. W tym momencie podeszła do mnie młoda Polka i zaprosiła na nary, na których ulokowało się większe towarzystwo. Rej wiodła kobieta tknięta już siwizną, z orlim profilem, w łagrowych łachach i w okropnych łapciach, lecz nie bacząc na to wyglądająca najszlachetniej z całej więźniarskiej czeladki. Zapytała mnie, kim jestem i jakiej narodowości. Odpowiedziałam: „Czy to nie wszystko jedno?", ale nadal dopytywano się o to, więc mówię: „Mojej narodowości wy, Polacy, nie uznajecie, nie lubicie; jestem Białorusinką!" – „A jak się pani nazywa, kim pani jest?" – „To państwu nic nie powie…" – „A może?"– powiedziała Grażyna Lipińska[258], ta właśnie szlachetna kobieta, której twarz wyrażała i siłę, i ból. Wymieniłam swoje nazwisko i pani Grażyna aż zakrzyknęła: „Pani jest naszą poetką!". I potoczyła się rozmowa o wszystkim. Panią Grażynę wieziono z północy do Karagandy, a nas – na północ. Miała doskonałą pamięć i opowiedziała mi kto tędy przejeżdżał już w ubiegłym stuleciu, gnany przez Moskali po powstaniach. Był to Kirow, czyli stara ponura Wiatka, przez którą gnali kiedyś piechotą nieszczęsnych naszych przodków tacy sami, tylko dzisiaj bardziej zdziczali, odczłowieczeni Moskale… Dowiedziałam się od pani Grażyny, że z nami tu jest generał Wojciechowski[259], którego także przerzucają do Karagandy…

Wieczorem panią Grażynę i połowę przepełnionej celi wywołano na etap. Uścisnęłyśmy się. Wcześniej pani Grażyna wszyła mi do palta swój adres. Była rozumnym doświadczonym więźniem. Przechowałam jej adres aż do wyzwolenia. Wypadł mi w domu z podartego już palta. Zostałam na narach ze znajomą pani Grażyny, młodą kobietą bodaj z Białegostoku, która opowiedziała mi, czego nie zdążyła opowiedzieć pani Grażyna, o tym, że 300 Polek posadzono za AK i że w czasie okupacji pani Grażyna była w Mińsku głównym przedstawicielem rządu polskiego w Londynie… Znaczy, że w czasie wojny nie tylko swoje terytorium,

ale i nasze zamierzali już zawłaszczyć po Niemcach… O, kraju mój! Ilu wrogów rozdziera ciebie na części, zapominając o tym, że ty także w końcu masz prawo być wolnym! Pani Grażyna powiedziała mi wprawdzie wiersz o tym, że Białoruś – to siostrzyca Polski, ale ja znałam już z praktyki „rodzinny" stosunek Polski do naszego narodu. To było przerażające… A teraz i oni, i my jesteśmy całkowicie „w szponach GPU", jak pisał kiedyś Olechnowicz[260]. Wspólny wróg – to już powód, żeby się nie kłócić…

Po mniej więcej tygodniu powieźli nas dalej. Horyzont stawał się coraz bardziej pusty. Poginęły miasteczka i wioski, sterczały tylko ostre wierzchołki świerków, wysmagane wiatrami i purgą. W tej pustoszy coraz gęściej nad horyzontem sterczały wieże strażnicze. Wieże wokół łagrów, wieże coraz wyższe nad coraz niższym lasem. Coraz mniej brzóz, coraz bardziej mizerne sosenki i świerki… Tym sposobem znaleźliśmy się w Incie[261], w Komi ASRS. Ksiądz jechał z nami. Milczeliśmy, bo to nieznane, co nas czekało, paraliżowało nawet słowa…

Brniemy wreszcie w śniegu i przez kałuże. Już maj, prawie połowa jego. Konwój z psami pogania nas jak bydło. Wleczemy swoje wory. Stajemy przed bramą. Wyczytują nasze nazwiska. My musimy w odpowiedzi podać swój paragraf, termin i obowiązkowo koniec okresu skazania. To już taka azjatycka szykana, żeby każdy pamiętał, jak długo będzie wlec się przez tundrę z kilofem i łomem, pędzony przez konwojentów z odpasionymi owczarkami. Mnie koniec wyroku przypadał na rok 1973. Ale wszystko jest w mocy Najwyższego i ci, którzy nagrodzili mnie takim podarunkiem, dawno już sami gniją w niepoświęconej ziemi…

Otwarto bramę. Spotyka nas kierownictwo. Z daleka przyglądają nam się bracia w niedoli, bo każdy etap to źródło wiadomości. Wymieniam z księdzem smutne spojrzenia. Nasze rzeczy wyrzucono już na drogę w błoto. Moja różowa i błękitna praska bielizna nie osłoniła tym razem mego skarbu, który przewiozłam cudem przez wszystkie etapy – czeskiej Biblii. Chwycił ją naczelnik łagru Żyd Szapiro i począł wrzeszczeć, że przywieziono nas tu pracować, nie modlić się. Kartkował ze złością i nienawiścią moją najdroższą książkę. Raptem spostrzegł na ziemi krzyż księdza Łazara, jego modlitewnik i jeszcze jakieś rzeczy niezbędne w powołaniu i służbie księdza. Tu młody wyłysiały Szapiro, wyprany już ze wszystkiego co ludzkie, zaczął pryskać śliną, oszalał. Ksiądz powiedział mu spokojnie, że odebrawszy nam nasze modlitewne dewocjonalia nie zabierze nam z serc Wielkiego Odwiecznego Boga. On zawsze będzie z nami. Później widywałam proszki zawinięte w kartki mojej czeskiej Biblii i innych ksiąg modlitewnych.

Bandyci i złodzieje nigdy niczego nie mieli i nie będą mieć. Nawet papieru do zawinięcia aspiryny…

Z innymi kobietami poprowadzono mnie do łaźni. Byłyśmy wszystkie wychudzone, zamiast piersi u kobiet wisiały ubogie woreczki z żółtej skóry. Przez wszystkie etapy ganiano nas do łaźni (do bani), gdzie mikroskopijnym kawałeczkiem nie mydlącego się mydła wielkości łyżeczki do herbaty, w obecności mężczyzn, szorowałyśmy pod zimną najczęściej wodą swoje kości i skórę, nie zwracając na nich uwagi. Otępiałyśmy na ich obecność, nie uważając ich wprost za ludzi.

Rozprowadzono nas po barakach. A baraków było tam pełno, wąskich i długich, w których brzuszyskach na podwójnych narach, jeden nad drugim mieściły się setki więźniów. Nocą na drugi bok odwracali się wszyscy razem, tak było ciasno. Żadnych prześcieradeł! Dawano sienniki wypchane strużkami z niewielkimi klockami i takież z wiórów poduszki. Jak umarlakom. Na jedzenie chodziłyśmy w szeregu do stołówki, gdzie w żelaznych miskach dawano nam strawę niewiele lepszą lub wręcz gorszą od więziennej. Nie było łyżek. Ktoś podszedł do mnie i zaproponował kupno łyżki za rację chleba. Dałam swoją rację, a sama siadłam na dworze i piłam, piłam powietrze.

Z Białorusinów nie spotkałam nikogo. Zaraz po etapie podszedł do mnie Czech. Później podchodzili też inni Czesi, którzy wypytywali mnie o Pragę. Moja wątroba, prawie wykończona przez mińskiego lekarza Pinię, znów zaczęła dokuczać. Położono mnie do łagrowego szpitala. Na dworze była zawierucha, zimno za oknami, a ja póki co leżałam, otrzymując ociupinę masła i kąsek białego chleba należne chorym. Jakiś młody Łotysz mył tam wciąż podłogi i uważał się za szczęśliwca, bo w kopalniach jest nieporównanie gorzej. Dowiedziawszy się kim jestem, mówił otwarcie o tym, że oni nam kiedyś zabiorą obwód witebski, a ja mu dowodziłam, że prawie 100 tysięcy Białorusinów-Łatgalów oraz ich terytorium czas najwyższy zwrócić naszemu narodowi. Jakże pragnie każdy żuczek i robaczek uszczknąć chociaż kęs z bochna naszej ziemi, i jakie to niesprawiedliwe! Zdawało mi się, że tylko ja sama jedna przeciwstawiam się pokusom sięgania po nasze, i dlatego powinnam być i rozumna, i przebiegła. Muszę wiele widzieć, przeżywać w milczeniu wszystko, co los mi przyniesie i każdy swój dzień, każdy krok ofiarować Białorusi… Śmieszne, jedna chora kobieta i cała zdziczała nieludzkość przeciwko mnie. Leczył mnie lekarz więzień, Polak. Jego nazwiska nie pamiętam, zaczynało się na „A". Był to, moim zdaniem, Żyd, młody i bardzo szanowany. Razu pewnego zatrzymał się w naszej sali, poprosił mnie do okna i wskazał

na horyzoncie ciemnogranatowe kontury Uralu… Zapatrzyłam się w nie, a doktor mówił: „Musimy wyżyć, musimy przechytrzyć wroga, bo tylko w ten sposób możemy się uratować sami i uratować z niewoli ludzkość. Powiozą mnie stąd, a tam będzie łagier męski OŁP[262] nr 1, z którym powinienem nawiązać łączność, żeby pracować".

Wypisano mnie. W baraku było odstręczająco zimno. Powoli zaczynałam zwykać się ze swą dolą. Zapoznałam się z Litwinami i wsłuchałam się w ich modlitewne śpiewy i w szczegóły przerażającego śledztwa, jakiemu są poddani. Ponownie zaprzyjaźniłam się blisko z Ukrainkami, zwłaszcza z najbiedniejszymi zwykłymi kobietami, które uparcie przestrzegały obyczaju, prawdy i swojej wiary. Nikogo się nie bały i niczego dobrego od wroga się nie spodziewały.

Raz do baraku przyprowadzono wysoką szczupłą Żydówkę z etapu. Miała na ramionach niezmiernie wielki jak na jej posturę wór, mocując się, żeby go zdjąć. Podeszłam i pomogłam jej. Była to Komuneła Markman z Gruzji, także z wyrokiem 25 lat ITŁ. Rozgadałyśmy się, ale niebawem przeprosiła mnie, bo musi znaleźć tutaj żonę doktora z Czech. Więc szukała mnie! Do dziś nie jestem pewna, czy już wtedy nie była ona, tak jak Luda Wasilkowska, zaangażowana i przystawiona do mojej osoby przez KGB… Zaczęła mi opowiadać, jak tylko co jechała z moim mężem i obiecała mu, że mnie znajdzie. Męża powieźli na Workutę, 300 kilometrów dalej na północ… Zrobiło mi się beznadziejnie, nieznośnie straszno. Nie ulżyło i to, że wywołano nas wszystkie na podwórze w celu sprawdzenia. Dotąd po dwa razy w dzień ustawiali nas i sprawdzali w barakach. Na dworze była plucha, zimno i błoto po kostki. Dokoła wielkiego czworoboku tego osobliwego osiedla, na wysokich równych słupach były fachowo rozpięte druty. Dwa rzędy słupów i na nich gęsta najeżona sieć drutu kolczastego. Między rzędami słupów gładko jak na asfalcie, ani trawki, ani kamyczka. Żeby łatwiej było strażnikom-kogutkowym, którzy dzień i noc „prezentują się" na wieżach, zauważyć ewentualną ucieczkę… A tam z reguły żadnych ucieczek nigdy nie było. Tundra, błota, straszliwe odległości od osiedli ludzkich, druty i pałki oddanych Stalinowi tępych konwojentów skutecznie wstrzymywały jakikolwiek nasz krok…Właśnie zaczęto nas wyprowadzać na apel. Szli mężczyźni, szły kobiety, młodzi chłopcy, dziewczyny – prawie uczennice, babuleńki sędziwe i staruszkowie u schyłku żywota. Ciągnęły kolumny sinych chudych więźniów. Nigdy nie sądziłam, że te baraki mogły wcisnąć w siebie taką ilość nieszczęśników. Padał śnieg z deszczem i kilkutysięczny ludzki sznur ustawiony w piątki, przez cztery godziny, zanim wszystkich

nie policzono, deptał i deptał rzadkie miesiwo z błota i śniegu, prawie tak jak niedawno jeszcze w Oświęcimiu i na Majdanku. Nauki Hitlera nie poszły w las… Cóż to będzie? Dokąd dojdzie ludzkość na tych drogach, pod takim przywództwem partii i jednostek?

Nie mogłam zapomnieć pewnej białoruskiej kobiety na etapie. Miała 93 lata, ale była to kułaczka, której dzieci nie zabrały ze sobą na zsyłkę. I tę babuleńkę w długim kożuchu, ale jeszcze krzepką dosyć, żeby wejść do wagonu, gnano teraz gdzieś het, za dziećmi. Obawiam się, że skonała na którejś stacji przesyłowej, jak inni… Kiedyś w Pradze ja, wieczny narodnik, oburzałam się czasem na nadmierną cywilizację, że zabija w ludziach zdrowe instynkty ziemi. „Überkultiviert”[263] – jak mówili na to Niemcy. I oto tutaj nie musiałam już tęsknić do „zdrowych instynktów”. Miałam przed sobą odrażający, potworny, zamocowany techniką i stalinowskimi ideami prymityw, jaki nie śnił się nawet ordzie Czyngis-chana…

Gdy wiatr mi przyniósł zza rogu baraku modlitewny śpiew dwóch dziadków, rozpłakałam się.

Łagier

Łagier na Incie, dokąd nas przywieziono, tzw. OŁP nr 5, pozostający we władzy mówiącego przez nos gęgacza Szapiry, był tylko łagrem przesyłowym, gdzie sortowano ludzi na inne OŁP-y tego łagru, który z niewiadomego powodu nazywał się Minłag[264]. Myśleliśmy czasem, czy nie oszukują nas psiajuchy? Na piątym zatrzymać się było bardzo trudno. Obok Szapiry panowali tam więźniowie lekarze, którym nieźle się żyło. Dokonując segregacji więźniów pod kątem potrzeb naczalstwa bardziej, niż stanu zdrowia badanych, korzystali ze znacznych przywilejów, włącznie z marzeniem wszystkich uwięzionych – posiadania łagrowych żon – w rozumieniu nie platonicznym. Ciężarne kobiety odsyłano do łagru kobiecego OŁP Inta. Było to tzw. miasto, wybudowane niedawno przez więźniów nad rzeką o tej samej nazwie. Drewniane, gdy ja przyjechałam, baraki i domy ręce więźniów przetworzyły sukcesywnie w wielopiętrowe bloki. Właśnie w Incie

znajdował się zarząd tych OŁP-ów, których naczelnikiem głównym był Kozłow – spasiony wół, mieszkający w wytwornej, jak na Intę, willi w pełnym komforcie, ze swoją progeniturą. Jego imię, jak i jego wygląd były znienawidzone przez nas, więźniów. Wokół Inty mieściły się wszystkie łagry, które obsługiwały liczne kopalnie i budowały Intę. Wśród nich był jeden kobiecy, do którego właśnie pognano nas w szyku zwartym pod nadzorem psów. Taki sam kwadrat, obudowany drutami jak na 5., z bestialskimi kogutkowymi na wieżach strażniczych, z wartownią i bramą, przez którą wypuszczają nas do roboty i wpuszczają, gdy wracamy. Gdyśmy podeszli bliżej, ujrzeliśmy niskie długie baraki, koło nich nary, tobołki i snujących się ludzi. Była to kolejna spośród nieustannych dezynsekcja, czyli odpluskwianie. Okazuje się, że te stworzenia mnożą się nawet przy 40-stopniowym mrozie. W narach i w ścianach była ich niezliczona ilość! Wyparzanie nar wrzątkiem było wieczną udręką dla nas po ciężkiej pracy poza zoną. Bolszewickie łagry są tak zorganizowane, że więźniowie nie mają ani chwili wolnej. Oprócz dezynsekcji ganiają do odwszania, na sprawdzanie stanu, szmony (rewidowanie pomieszczeń), sobotniki, niedzielniki, do stołówki, do łaźni, po cukier, którego dawano szczyptę na 20 dni, i po który biegaliśmy ochoczo. Kromka zakalcowatego chleba posypana szczyptą cukru była nieopisanym luksusem w naszym ubogim menu.

Podczas gdy nas rewidowano (który to już raz!) i sprawdzano dokumenty podchodzili do nas biali i czarni ludzie. Czarni – młode robotnice, które na wietrze i słońcu pod tym niskim niebem zdążyły już przemienić się w Uzbeczki. Mnie dostrzegły moje Niemki z Wiednia i podniósł się pisk radości. Miałam jeszcze tego rubla z Orła i dałam im go jako gościniec. Oddałyśmy rzeczy do magazynu, nas popędzono do łaźni, a potem do baraków. Nazajutrz dano nam sukienki z szarego, wyblakłego płótna, obuwie z płótna żaglowego, kurtki i pończochy „koloru zorzy porannej", w których wyglądałyśmy jak bociany. Miałyśmy zapomnieć, że jesteśmy kobietami, a pamiętać jedynie, że jesteśmy rękami do kilofa – siła robocza… Rabsiła, jak nas zwano. Dano nas z Ludką do brygady Ilgi Dindons, w której były same Łotyszki. Ilga była tępa i odpychająca, podlizywała się „naczalstwu" i całą co najcięższą robotę zwalała na innych, a w brygadzie – na nas. Nie nawykła do ciężkiej pracy fizycznej, wycieńczona przez więzienie ledwie przeżyłam te pierwsze dni w brygadzie przebrzydłej Ilgi.

Na OŁP-ie znalazła się również Roza, baptystka z lwowskiej przesyłki. Spotkałam ją całkiem nieoczekiwanie, gdy szła w mojej sukience. Roza zaprosiła

mnie do swego uprzywilejowanego baraku dla szwaczek. Byłam bardzo głodna i z radością przyjęłam poczęstunek Rozy – chleb z cukrem. Szeptałyśmy po cichu, bo Roza bardzo bała się swojej przełożonej, również więźniarki. Ale ta przełożona podeszła jednak do nas i jęła wypytywać mnie, jakiej jestem narodowości itp. Moje odpowiedzi obudziły w niej czujność, a gdy powiedziałam, że jestem z Pragi, zainteresowała się żywo, kogo tam znałam z Białorusinów. Parę nazwisk wymieniłam, a resztę dopełniła ona. Dopiero się zdziwiłam! A gdy wymieniłam własne nazwisko – omal nie rzuciła się na mnie z pięściami, krzycząc, jakże śmiałam ja, poetka, trafić tu, dlaczego nie ukryłam się, nie uciekłam? Okazało się, że Łotyszka Lucja Antonowna Lepacis (zdaje się) była Białorusinką z domu Kłahisz. Prawie rok uczyła się w Pradze, a jej brat ukończył tam studia. A ona teraz jest kierowniczką tej szwalni. Dla żon naczalstwa ona z nieba spadła: obszywa je rękami nieszczęsnych łagrowych dziewcząt… Ona jedna mieszka nie w baraku, a w oddzielnym pokoiku i ma osobistą służącą, starszą Frau Busch, z którą razem i jedzą, i sypiają… Roza drży przed nią… Wszystko to nie podobało mi się… I zimą, i latem te sowieckie damy każą sobie szyć wyłącznie kwieciste suknie z krepdeszynu. A co? Miały pieniądze to szyły sobie w ogromnych ilościach. Próżno byś szukał tu kostiumu czy sukienki wełnianej odpowiedniej do klimatu – wszystko musiało być paradne, pretensjonalne i krzykliwe. Kwalifikowane szwaczki szyły dobrze. A krawcowa amatorka, sprytna Lucja Antonowna umiała żyć. Była jednym z pierwszych łagrowych przygłupów-cwaniaków, za jakich miano więźniów pracujących w administracji łagru. Był to stały kontyngent ludzi, którzy nigdy nie wychodzili poza zonę, a tylko czasem wymieniali się między sobą przygłupawymi miejscami: szefa stołówki, dyspozytora, zarządcy, lekarki, siostry pielęgniarki, strażniczki pożarowej itd. Ostatnimi w tej hierarchii były dyżurne, świniarki, różne sprzątaczki czy szewcy, ale i ci mieli labę, bo codzienne wyprawy poza zonę, jak podówczas – bez wolnych dni, bez jakichkolwiek ocieplaczy w tundrze przy 40-stopniowym mrozie – to było zatracenie…

Z Białorusinek na naszym OŁP-ie były Maria Iwanowna Zarecka, żona Michasia Zareckiego[265], wprawdzie wtedy nazywała się Kasiankowa[266], Kacia Hrynkiewicz, Taisa (nazwiska nie pamiętam) i jeszcze parę osób. Zbliżyłam się trochę z Taisą.

Obok, kilometr mniej więcej od nas, był męski OŁP nr 1, tam był DOK[267], na który czasem chodziły brygady od nas. Razu pewnego poprowadzono tam i nas. Lato na północy jest chłodne, zwodnicze, więc pod spódnicę włożyłam jeszcze

pasiaste spodnie od mężowej piżamy i zawiązałam praską chusteczkę, bo „mundurowych" jeszcze wtedy nie było. Sunie pas transmisyjny tego DOK-u, a mnie Ilga postawiła na odrzucanie opiłków z pasa. Robota niezbyt ciężka, powiewa wietrzyk, macham łopatą ile trzeba. Widzę, podchodzi do mnie mężczyzna niewysoki, rudawy, twarz znajoma… Tak! Ten człowiek był u nas w Pradze… Człowiek zbladł, podbiegł do mnie i wyrwał mi łopatę z rąk. „Nie mogę patrzeć na łopatę w pani rękach, Łaryso Geniusz!" – zakrzyknął z bólem w głosie. „Nic – mówię. – Z nią także umiem się obchodzić" – i poprosiłam łopatę z powrotem… Był to Siamion Romańczuk[268]. Do końca pracy nie odchodził od nas z Taisą, przyprowadził jeszcze Fiedzię Wialondę i Piotra Raszetnika[269], a gdy syrena odtrąbiła koniec dnia pracy, poszedł z nami. Jeszcze nas nie odprowadzano, więc siedliśmy na okrąglakach i gadaliśmy. Ostrożnie, ale stanowczo dopytywał się Siamion jak tu trafiłam. Przeraził się śmiertelnie, gdy powiedziałam, że dobrowolnie. Wszystko mu pokrótce wyjaśniłam i wtedy wyrwało mu się ciężkie westchnienie i słowa: „Ach, gdybym mógł wziąć sobie panine 25 lat, a dać pani moich pięć, które mi jeszcze zostały!" – „Każdy ma swój własny los – mówię – ja mam swój termin, a pan swój". – „Boże, żeby chociaż waszą brygadę przypisali do DOK-u – jęknął Siamion – żebym mógł widywać panią…".

Następnego dnia znów nas tam poprowadzono. Siamion był blady, drżały mu ręce. Przyznał się, że w nocy miał temperaturę 38 stopni. Przez cały czas łagrowej katorgi nie chorował, a tu załatwiła go łopata w moich rękach… Znowu po pracy siedzieliśmy na bierwionach. Opowiadał, jak uciekał z więzienia w Mińsku, jak go znowu złapali. Mówił o bezpłodnym ciężkim pobycie w łagrach dla przestępców pospolitych z kryminalnymi, gdzie nie było możliwości jakiejkolwiek pracy politycznej i że teraz on uczyni wszystko co możliwe przeciwko wrogom ludzkości… „Żal mi pani, ale skoro już pani tu trafiła, to proszę nam pomóc, proszę pisać dla nas, bo umieramy z głodu ojczystego słowa…". O to mnie prosić nie trzeba było…

Następnego dnia Siamion powiadamia mnie, że szykują ucieczkę. Przeraziłam się. Pytam: „Po co to?" – „Dla chwały Białorusi"– odpowiada Siemion. – „A ile procent szans na to, że się uda?"– „Pięć" – odpowiada Siamion. „Nie. Nie! Nie wolno nam oddawać życia dla próżnych gestów, musimy żyć i jeśli iść na coś, to trzeba żeby to było pewne". Obiecał, że mnie posłucha, ale pod warunkiem, że i ja się włączę do pracy. Prosił, bym mu pisała listy miłosne. Wyjaśnił mi, że tu za wszystko się karze, nie karze się tylko za miłość, że oni zhańbili to słowo, poni-

żyli. Gdy dumny Francuz czyni królową prostytutkę, którą kocha, to dzisiejszy Rosjanin gotów z królowej zrobić prostytutkę…Umówiliśmy się, że gdy będzie potrzeba, to Białoruś w swoich listach i notatkach będziemy nazywać „nasza gospodarka", a przyjaciół, których na OŁP-ie było 200 osób, będziemy nazywać „synowie"… Pewnie z tego powodu nasi zaczęli mnie nazywać „matką"…

Czas biegł. Na DOK więcej nas nie poprowadzono i Siamiona już więcej nie widziałam, ale biegły do nich moje grypsy, moje wiersze, które od razu nazwali glukozą. Gdy długo nie ma wiersza, piszą: matko, glukozy! Mężczyźni, którzy całymi latami nie widzieli kobiet i nie słyszeli ojczystego słowa, odżyli, okrzepli… A wiersze leciały. Gdy wypadło jakieś święto, czy tak, po prostu, zawsze starałam się coś im posłać. Nakazałam to również dziewczętom. To wyszyjemy im torbeczki na chleb białoruskim chabrem, to na cukier, to chusteczkę. A nici nie było. Idę i proszę Lucję Antonowną… Zdobędzie gdzieś wielki kłąb różnych nici, aż oczy mi się rozbiegają, ale niechętnie dawała mi jedną, dwie niteczki, chociaż wiedziała po co. Czasem robi mi uwagę, że chodzę po jej podłodze w swych buciorach ciężkich i brudnych. Zapłaczę i długo do niej nie idę, wtedy ona czyni mi wymówki. Nie lubiłam jej. Do niej i do Zareckiej nie docierały nasze patriotyczne poczynania. Były w jakimś stopniu zadowolone swoim losem, nie myślały więc ani o ojczyźnie, ani o innych współwięźniach. Jedna nieźle zarabiała na swoich klientkach i naczalstwie, druga wyszywała dla córki makatki i chorowała.

Inta – to tak zwane osiedle miejskiego typu w Komi ASRS. Centrum byłych obozów Minłagu, jego zarząd. Gdy tam przybyłam, były to drewniane budynki i nędzne budy, które byli niewolnicy, nie mając prawa powrotu do domu, budowali na mieszkanie dla siebie. Później dopiero zaczęto wznosić tu budynki z cegły według projektów więzionych niemieckich i bałtyckich architektów. Wybudowano także jakąś wieżę, lśniącą od lampek. Powiadają, że projekt jej zrobił jakiś Szwed na pamiątkę swego tu uwięzienia. Pewnie dano mu w ciężkich czasach zwiększoną rację lub pozwolono napisać do domu. Niezbyt drogo ich kosztowało życie i cała wiedza więźniów. Umieli ich wykorzystać. Mówił mi pewien Żyd, którego jakoby okrutnie nienawidzi Stalin, że wiele obiektów miało pod swoją „pieczą" MGB[270]. Zagarniali po prostu jakieś przedsiębiorstwo i planowali, jakie im kadry są tam potrzebne. Wedle takiego planu dokonywali arbitralnych aresztowań potrzebnych im ludzi poczynając od wybitnych specjalistów. Jako wynagrodzenie, bodziec do pracy, wykorzystywano nieco obfitszą rację i trochę bardziej ludzkie warunki wegetacji i robota szła. MGB zawłaszczało premie, a ludzie

pozbawieni wolności i jakiegokolwiek życia osobistego, nie mówiąc o szczęściu, starali się dla nich jak mogli, żeby tylko przeżyć. Mówi się, że śmierć Stalina położyła temu kres. Była też w Incie ogrodzona dacza, taki sobie pałacyk Kozłowa, naczelnika wszystkich łagrów na Incie, gdzie mieszkał z rodziną jak udzielny kacyk. Liczni funkcjonariusze patrzyli nie mrugnąwszy okiem na kolumny nieszczęsnych kobiet, które przez długie lata wbijały oskardami w wieczną marzłoć swoją młodość, zdrowie i życie. Incińskie damy na nas, więźniarki, patrzyły z odrazą, a ich potomstwo obrzucało nas epitetami w rodzaju „kontra" czy „faszystki". A myśmy kuły kilofami jakąś siwą zlodowaciałą glinę. Zdawało nam się, że od tych ciężkich dwuręcznych młotów kowalskich, gdy je dźwigamy, żeby wziąć zamach, obrywają się nam w trzewiach wnętrzności. Jak szare człekopodobne bałwany w portkach waciakach, walonkach i kurtach, śmiertelnie zmorzone waliłyśmy się w śnieg, dobywałyśmy, która miała, zamarznięty kawałek racji i gryzłyśmy. Przy święcie jakimś brałyśmy w kieszeń trochę cukru i posypawszy nim garść śniegu rozkoszowałyśmy się słodkością. Dzieliłyśmy się na grupki, bo i w naszej nieszczęsnej kompanii więcej było „stukaczy"– donosicieli niż dobrych ludzi. Ich werbunek, to cel życia i gwóźdź systemu KGB. Powiadają, pewnie nie bez podstaw, że na mnie pracowała połowa łagru. Byłam im solą w oku, czymś co w ich świecie nie miało prawa istnieć. Sama nie znając strachu budziłam odwagę w innych i, co więcej, budziłam ją w łagrze męskim. Przeżyć – to dla mnie było śmiechu warte, ważne było przywrócić uwięzionym wiarę w to, że są ludźmi lepszymi od tego łajdactwa, które nas dusi zapędziwszy w śniegi. Byłam taktowna, uczciwa, dobra, dlatego im straszna nie byłam. Wierzono mi i słuchano mnie. Prawie każdy list z wolności przynosił łzy. To dodano lat do wyroku, gdy ktoś prosił o skrócenie, to chłopy wyrzekały się żon czy partyjni rodzice – dzieci. Co prawda – nigdy nie wyrzekały się matki. Nawet sowieckie matki pod tym względem zasługują na szacunek. Znałam tylko jeden przypadek, gdy matka definitywnie wyrzekła się córki. Każdy ze swoją biedą przychodził do mnie i koło moich nar powstawała kolejka. Później pogoniono mnie na górne nary z zakazem schodzenia na dół.

Nasze życie było niepewne, nieustannie nerwowe, nastroszone. Mało, że nas obszukiwano, wyprowadzając za zonę i znowu do niej wpuszczając (co czasem przypominało badanie ginekologiczne na mrozie), ale okresowo i ponad normę rewidowano nas w barakach. Trzęśli nary, wywracali pościel, rozrzucali rzeczy. Czasem napadano wieczorem na przepełniony barak, zaganiano wszystkich

w jeden kąt i zaczynano działać. Towarzyszyły temu niewiarygodne wrzaski Kirianowa czy Proswietowa i wizg słynnej nadzorczyni Dusi, która nadawała tej operacji charakter prehistoryczny. Zagrabiali wszystko, co wpadło im w łapy, a gdy natrafiali na notatki, obrazki święte itp., to BUR[271] jak w banku. BUR – to więzienie w samym łagrze. Izolacja, gdzie więzień otrzymywał 200 gramów chleba na dobę, na trzeci dzień – miseczkę lury i dalej – po tyleż chleba na dobę. Po BUR-ze więźniowie wychodzili „pijani", czasem ich wynoszono, a czasem wywlekano. Tak właśnie ledwie przywrócono do życia ukraińskie dziewczęta, które na Boże Narodzenie poszły z kolędą po łagrze, śpiewając: „Spi, Isusie, spi na sini, daj Boh szczastia Ukraini". Hojny Kozłow nagrodził biedaczki dwudziestoma dniami BUR-u. Dziewczęta mogły kajać się, plwać na religię i swoje obyczaje, ale to były Ukrainki. Cierpiały uparcie, dopóki na wpół żywych nie wywleczono ich z BUR-u. Przeklinałyśmy donosicieli, przed którymi nie było ratunku. Donosicielki były i wśród Ukrainek, ale nieliczne. Wspólnota ukraińska była imponująco solidarna, szlachetna, spójna. Uznały mnie wyłącznie za swoją i ja w łagrze przeważnie rozmawiałam w ich języku. Mnie i Oli Moroz (Ukraince) zabroniono suszenia naszych łachmanów w suszarni, ale dyżurne po cichu brały je od nas i pomagały nam jak tylko mogły. Często ostrzegały nas, gdy usłyszały coś przeciwko nam w suszarni, która była klubem dla wszystkich uprzywilejowanych elementów w łagrze.

Nam pisać pozwalano dwa razy do roku. Ja pisałam do mężowego ojca w Zelwie. Staruszek długo nie odpowiadał i ludzie mówili, że on wyrzekł się był nas do reszty. Dziwić się nie ma czemu. Powiadają, że był taki powszechny strach, taka atmosfera stworzona, że ludzie wyrzekali się wszystkiego, nawet rodziców, nawet własnych dzieci, żeby tylko przeżyć. Później staruszek pisał do nas. Listy były mniej więcej takiej treści: „Droga Łaryso, mnie jest znacznie gorzej jak wam. Już sobie zrobiłem trumnę, leży u mnie na strychu. Żonę swoją pochowałem podług wszystkich prawideł religii, ale kto mnie pochowa?..". Stary pisał nieprawdę. Miał zapasy i dużo czego zostawił po śmierci obcym, bardzo nieuczciwym ludziom, żeby przekazali nam. Byli to Archimowiczowie, nasi nabożni katolicy. Ledwieśmy tym nabożnym wyrwali naszą starą chatę. Gdyśmy powrócili z łagru, nasza chata była zajęta. Archimowicz osiedlił w niej troje lokatorów, a sam pobiegł w te pędy na milicję z donosem, że jesteśmy elementem antysowieckim i trzeba nas na powrót odesłać do Komi… Musiałam pisać do Mińska, do prokuratury głównej, żeby nam pozwolono jak najprędzej wyjechać do Czechosłowacji.

Wtedy nakazano zwrócić nam chatę i testament rodziców. Był tam napisany paragraf, wedle jakiego chata należała potomstwu. I jeszcze ręką Archimowicza było dopisane, że on zobowiązuje się zwrócić chatę synowi, wnukowi albo synowej zmarłego. Zelwiański adwokat i prokurator, podkupieni przez Archimowicza, przekręcili sens tego artykułu i dopiero wyjaśniła nam go jakaś komsomołka, nad podziw uczciwa i sumienna prawniczka. Był spisany przez władze po śmierci ojca akt dotyczący ruchomości po nim itp. Ale to „władze" zakamuflowały, a myśmy milczeli, bo drżeliśmy po łagrach…A ten Archimowicz wyjechał z rodziną do Polski, wywożąc nasze rzeczy i naszą krzywdę. Ale Archimowicz miał syna Romana i ten Roman pewnego razu przyniósł nam paczkę starych rodzinnych zdjęć, za które jesteśmy mu wdzięczni do dziś. Straszny był jego syn Piotr i jeszcze straszniejsza córka – tyleż nabożni, ile nieludzcy. A myśmy jakoś żyli.

Odeszłam od tematu. A więc aresztowani 5 marca 1948 roku w Wimperku, wydani sowietom 12 sierpnia 1948 roku, przywiezieni do Mińska w październiku, sądzeni na jednej rozprawie 7 lutego 1949 roku z paragrafów 58 i 4 sowieckiego kodeksu. Paragraf 58 to grupowa organizacja, a 4 – coś na kształt: „Wiedząc, że na zmianę kapitalizmu ma przyjść komunizm, trzymał się jednak burżuazji…". Znienawidzony Kogan powiedział mi, że z tego paragrafu mógłby na 25 lat skazać Churchilla, gdyby trafił w jego ręce. Churchilla nie lubili. Tym sposobem, mając wspólnie z mężem pół stulecia moskiewskiej kary, rodzinę rozdartą na trzy części wlaliśmy się w szary nędzarski tłum więźniów dalekich łagrów lodowatej północy. Mąż był w Workucie, o czym wiedziałam od Ełki Markman. Ja byłam na Incie i mąż o tym nie wiedział. Kogan proponował mi na śledztwie, żebym się rozwiodła z mężem i zaczęła pisać po rosyjsku. Kolejny raz pożałowałam człowieka, którego los uczynił moim mężem i który w gruncie rzeczy cierpiał przeze mnie i przez swoją głupotę – wiarę w socjalizm. Mąż i, co ważniejsze – syn… Boże mój, co miałam począć, nieszczęsna? Nie, nie wolno mi było iść na żadne ustępstwa, jesteśmy przecież bojownikami, i Naród nasz, i Ziemia nasza, i wszystkie zdobycze humanistyczne ludzkości, i prawda, i Bóg – od tego się nie odstępuje nawet w obliczu śmierci. Cóż, zobaczymy, co przyniesie czas. Kogan kiedyś powiedział mi po donosach Nełki Hardziej, że Gruzini żyją bardzo długo i Stalin trzyma się dobrze, ale ja wiedziałam, że ten „ojciec narodów" przetrzyma wszystkie modły i pochwały ogłupionych poetów i wszystkich bezmyślnych idiotów, ale jęku zakatowanych milionów – nie wytrzyma.

No więc łagier. Długo wloką się półgłodne dni roboty poza zoną u tej przeklętej Ilgi Dindons (zapamiętałam to nazwisko!). Gdy bardzo mi się chciało jeść, modliłam się. W tej krainie, w której nigdzie i nigdy nie było chrześcijańskich świątyń, drogę przez tundrę myśmy przekładali, ale Bóg szedł za nami, i jak mówiła mi prosta Mołdowianeczka, mniszka Gala, On nigdy nie opuszcza tych, co mocno w Niego wierzą, i chleba nam da, i północ ogrzeje, i odmieni serca wrogów, obudzi sumienia, więc prosiłyśmy Boga, żeby obudził w nich sumienia i by uświadomili sobie, co czynią z człowiekiem. Byłaby to dla nich piekielna kara. Bo po co oświęcimskie krematoria, kiedy w pokojowym czasie miliony młodych ludzi giną na mrozie z głodu. Zamieniają się w otępiałe bydlęta w niewolniczej pracy, oderwani na dziesięciolecia od swych rodzin, od przyjaciół, od świata… Marksizm w praktycznym wcieleniu.

No więc chodzimy na DOK. Posyłają nas tam już drugi dzień. Romańczuk, stały pracownik DOK-u wita nas roziskrzonymi oczyma, a gdy kończy się robota i znowu czekamy na konwój siedząc na bierwionach koło wartowni, przychodzi z przyjaciółmi Chwiedorem Wialondą i Piotrem Raszetnikiem i mówi, że ani razu nie zachorował podczas całego pobytu w łagrach, a tej nocy miał temperaturę, i tylko dlatego, że ja znalazłam się tu, w tym piekle, i jak mogłam do tego dopuścić? Zaczął ostrożnie i z obawą wypytywać mnie, jak się tu znalazłam. Wydawało się pewnie biedakowi, że zawitałam tu z dobrej woli, a może z zachwytu dla „najmądrzejszego i najgenialniejszego spośród wszystkich wieków i narodów". Opowiedziałam, jak to się z nami stało i Romańczuk westchnął z ulgą. „Bardzo żałuję, że pani jest tutaj – powiedział – ale skoro już tak się stało, to proszę nam pomóc, Łaryso Geniusz, proszę pisać. Ach gdybym mógł wziąć pani wyrok sobie, a pani oddać tych pięć lat, które mi zostały!" – kończył kolejnym westchnieniem. Rzecz w tym, że z początku dawano maksimum po 10 lat, jeśli nie był to już wyrok śmierci, a ćwierć stulecia na człowieka te kanalie umyśliły dopiero po tej swojej „pobiedzie". Żeby okazać narodowi nie wielkoduszność względem tych, którzy zdołali przeżyć katusze hitleryzmu, lecz coś jeszcze straszniejszego od hitleryzmu, coś, czego by nawet ten wyrodek ludzkości nie spłodził, gdyby zwyciężył. Tu katusze katorgi nie znały granic i każdy, nawet najniewinniejszy skazaniec, obrobiony przez śledczych według rozkazu z góry, nie poznawał sam siebie i chwytał się za głowę. Nigdy więcej w życiu nie spotkałam Romańczuka, tego naszego promiennego bohatera, który myślał tylko o jednym – o swojej Ojczyźnie, i żył tylko nią i dla niej. Więcej nas na DOK nie prowadzano.

Zaczęła się korespondencja. Cieniutkie grypsy nosiły dziewczęta, które chodziły na bliższe obiekty. Noszenie grypsów było niebezpieczne, ale życie bez nich było zupełnie niemożliwe i każda z nas to rozumiała. Cierpiały dziewczęta i BUR, i głód, i nędzę, ale były spolegliwe względem siebie nawzajem i pomocne. Moje grypsy nosiła przeważnie niejaka Żenia Wróblewska z Warszawy. Młoda piękna dziewczyna, Rosjanka. Nie podobała mi się, bo nie była solidarna i często utrzymywała, że każdy, żeby przeżyć, powinien dbać o siebie i iść przez łagier przebojem, nie zwracając uwagi na resztę skazańców.

Grypsy od Romańczuka były płomienne i ciekawe. Kipiały wręcz pragnieniem wolności i walki, a przy tym między wierszami czytało się wstrzemięźliwe w słowach głębokie uczucie do mojej osoby. Nie dziwiło mnie to. Takie były okoliczności. Romańczuk pierwsze swoje pięciolecie odsiedział w łagrach dla kryminalistów, wśród złodziei i bandziorów, zdemoralizowanych, bezideowych wykolejeńców. Dlatego, trafiwszy do łagru więźniów politycznych, uznał, że znalazł się w społeczności ludzi dobrych. O święta naiwności! Najgorszy bandzior nie jest tak straszny, jak te „dzieci" Stalina, które straciwszy względy „najmędrszego", nie żywią innych uczuć i zainteresowań poza tym, by powrócić do utraconych łask… Wszelkimi sposobami… Romańczuk zaczął działać, zorganizował protest i powstanie w łagrze przeciwko bezprawiu i szykanom, skupiał więźniów. Wiem, że był związany z jakiś pułkownikiem czy generałem rosyjskim Pawłowem i Bolesławem Rutkowskim, Polakiem, który później wydał Romańczuka. Zdaje się, obaj go wydali. Polak nawet w łagrze niszczył zwykle każdy przejaw myśli białoruskiej, w pełnej zgodzie z wrogiem, tak dalece zakorzenione w nich było pragnienie kolonizacji Ukrainy i Białorusi.

A póki co leciały nasze gorące grypsy, szczególnie moje wiersze, mężne duchem, pełne gotowości do zmagań ze złem. Byliśmy zaprzyjaźnieni, na Piotra lub inne czyjeś imieniny starałyśmy się posłać jakikolwiek drobiazg: torbeczki wyszyte chabrami na chleb, na cukier, chusteczkę do nosa czy paseczek-zakładkę do książki. Na to prułam swoją praską garderobę lub wypraszałam po parę niteczek u skąpej i, jak się potem okazało, zdrajczyni Lucji Antonowny Kłahisz[272]. Chłopcy byli wdzięczni, że ich poważamy, zwłaszcza za wiersze. Niestety zaginęły te wiersze, prawie zapomniane, i przypominam sobie piąte przez dziesiąte. A musiały być płomienne, skoro ludzie żyli nimi, więc też posyłałam wciąż nowe jakieś co pewien czas, gdy pisali: „Prosimy przysłać prędzej glukozę!". I znowu biegła za druty dusza moja, ta moja „glukoza", którą żyli moi zniewoleni bracia.

Nie myśleliśmy, co będzie jutro, żyliśmy chwilą i wspólną nadzieją na lepsze. Gdybyśmy nie żywili nadziei, nie zmagali się – chyba byśmy pomarli z tej łagrowej gnuśności. Zmagać się – znaczyło żyć! OŁP nr 1, ten łagier, w którym był Romańczuk, znajdował się naprzeciwko naszego kobiecego łagru i ich druty i strażnice mieliśmy przed oczyma.

I oto pewnego razu pod jesień przeniesiono nas dalej od nich, za lasek. Tam była całkiem pierwotna jeszcze tundra i przed nami było wybieranie torfu pod nowe budynki i drogi Inty. Prawie cała tundra – to trzęsawisko i żeby dostać się do twardego gruntu należało zdjąć nawarstwienie mchów. To nawarstwienie było niekiedy grube na pół metra, a czasem i na półtora. Zimą mrozy skuwały ten mech z siwą gliną i musieliśmy go kruszyć kilofami, toporami lub przeklętymi ciężkimi młotami kowalskimi i na własnych grzbietach w nosiłkach wynosić go z wyrobiska na wielkie stosy. Dopiero na tak „wytorfowanym" gruncie kładziono drogi, drążono szyby, wznoszono budowle.

Z naszym przejściem do innego łagru urwała się cała moja korespondencja. To było smutne. Zżyłam się już z Ukraińcami, szczególnie z miłą Lucynką Wowk. Byłyśmy w jednej brygadzie, razem jadłyśmy i spałyśmy. Lucyna była czarującą dziewczyną i miała wyjątkowo łagodny wyrok: pięć lat. Siedziała za to, że mąż jej był w banderowskim podziemiu. Ledwo wyszła za niego za mąż, on poszedł walczyć. A dziewczyna jest w odmiennym stanie! Tu się do niej zabrano: gdzie jest mąż? Lucynę posadzono. Jakiś durnieńki chłopek z ich wioski oświadczył w MGB, że to on jest ojcem dziecka, ale mu nie uwierzono. Gdzieś w domu u starych ciotek chowała się jej córeczka Katrusia. Na śledztwie pokazano jej zdjęcia zabitego męża, ale ona wciąż żyła nim, miłością do niego i upartą wiarą, że on żyje. Spośród inwalidek przyjaźniła się z nami Kacia Hrynkiewicz z Mińska i trochę Maria Zarecka. Były też inne Białorusinki, ale przeważnie słabe i nieciekawe, oprócz jednej Taisy, której mąż był szewcem, a ona bodaj nauczycielką. Taisa była mądrą i ludzką kobietą. Romańczuka znała osobiście.

Wreszcie późną jesienią otrzymałam gryps. Byłam wstrząśnięta. Gryps był tym razem osobisty, wyłącznie dla mnie, nie było w nim mowy o „gospodarce" (Białorusi), ani o „dzieciach" (przyjaciołach). Romańczuk pisał po prostu, że wszyscy go zdradzili, sprzedali, pali mu się ziemia pod nogami i że jedyne co zachował, to wiara we mnie. Zapłakałam z bezradności i bólu. Przypomniało mi się, jak podobne słowa mówił do mnie umierający wujaszek Zacharka, składając na moje kobiece barki niezmierne obowiązki.

Czas płynął. Nie było więcej żadnych spraw, żadnych grypsów. Chciałam wierzyć, że wszystko jakoś się ułoży. Aż wywołały mnie jakieś damy z kierownictwa. Przyczyną rozmowy były rzekomo moje drobiazgi, złota obrączka ślubna, złoty krzyżyk na złotym łańcuszku, który mi przysłał z Anglii brat Alosza, jedyny z całego naszego rodu, który przeżył wojnę. Krzyżyk był cudownej roboty artystycznej. Był poza tym zwykły ręczny zegarek. Wszystko to zabrano mi podczas rewizji i wszystko niewątpliwie przepadło, bo mi tego nie zwrócono. I damy z jakiegoś powodu mnie o te rzeczy pytają. Wiedziałam, że myślą o czymś całkiem innym. Zaczęły mnie wypytywać jak do mnie się odnoszą Rosjanki z łagru i co ja o nich myślę. Odpowiedziałam, że jakkolwiek by się do mnie nie odnosiły i cokolwiek bym o nich nie myślała, ja im tego nie powiem. Pytały, czym się zajmuję, odpowiedziałam, że studiuję psychologię różnych narodów w łagrze: co są warte… Zaczęły kręcić nosami. Wreszcie zapytały, czy wiem o wielkich budowach w Sojuzie? Powiedziałam, że ich „ludzie pracy" większość swego życia spędzają w ubogich mieszkaniach, w ciasnych przepełnionych dziurach i dla nich wielkie budowy nie mają znaczenia, dopóki ludzie mieszkają jak bydlęta… Jak długo zamierzam przebywać w łagrze? „A to zależy ode mnie, kiedy mi się zechce przerwać tę nić życia…" – „A w czym pani pokłada nadzieje?" – zapytały. „W Zorzy Polarnej" – mówię, żeby coś im powiedzieć. „To niech pani nadal pokłada te swoje nadzieje w Zorzy Polarnej" – wieloznacznie powiedziała jedna z nich patrząc mi w oczy z uporem… I tu mnie zmroziło, bo raptem przypomniał mi się Romańczuk… Od Lucji Antonowny dowiedziałam się, że jedna z kobiet, w krótkim czarnym kożuszku, podobna do Żydówki, nazywała się chyba Harbunowa czy Harbatowa i była niby z Mińska. O moich drogich drobiazgach już nawet nie myślałam.

Czas biegł. Nadeszła surowa zima. Mnie pozostawiono w zonie razem z innymi. Miałyśmy zorganizować w naszym obozie działalność kulturalną. Nie pomyślawszy, zostałam. Do grupy inicjatywnej weszły Tamara Wierakso[273] – tancerka baletowa z Kijowa, Kuźniacowa, żona jakiegoś komika[274] z Teatru Małego w Moskwie, Łarysa Donati[275] – aktorka z Gorkiego, młoda i bardzo ładna, no i ja. Wszystkośmy wspólnie opracowały i dawałyśmy specjalne koncerty, w których do mnie należała konferansjerka i teksty różnych piosenek. Pomagałam także rysować dekoracje, odziewać baleryny w stroje z marli itp.

Razu pewnego zimą przed takim koncertem Ukrainki wywołały mnie do innego baraku. Po prostu Lucynka z dziewczętami nagotowały gdzieś w kotłowni

kaszy pszennej i zapraszały mnie na poczęstunek. W ukryciu wcinałyśmy jak najwyszukańszy przysmak tę postniutką kaszę, ciesząc się nawzajem miłą kompanią, gdy weszła dyżurna od naczalstwa, niejaka Zinka – suczka i zausznica donosicielka i zawezwała mnie na wartownię. W czym rzecz, myślę sobie, w czym zagwozdka? Na wartowni siedzieli jacyś funkcyjni nieznajomi i nasz oper. Nic złego o nim nie słyszałam. Jedna moja znajoma była kiedyś u niego dyżurną i powiedziała, że on mnie ceni, a więźniom współczuje. Ale oper teraz wyszedł, a na jego miejsce przyszedł ktoś inny. Mnie zawsze wzywano do trójki funkcjonariuszy. Dlaczego do trójki – nie wiem. Za stolikiem siedział niewysoki siwawy wojskowy. Po zwyczajowym sprawdzeniu personaliów popatrzył na mnie przenikliwie i powiedział: „Proszę mówić!". Milczę, bo skąd mogę wiedzieć, czego ten łotr ode mnie oczekuje? „Proszę mówić, albo nie mówić, kary śmierci pani nie uniknie". Mocno podkreśla „nie mówić" – i patrzy na mnie uparcie. Skąd ja znam tego człowieka? Skąd? Co za absurd? Ja go znam ze snu! To on mnie wyciągał z jamy we śnie, gdy szłam pustą tundrą od jednej cerkwi do innej! Wpadłam do jamy, z której nie mogłam się wydostać, i to on, on! Ten sam siwawy mężczyzna z czarnymi lśniącymi oczyma wyciągnął mnie z tej jamy za rękę. Co za koszmar! „No więc dlaczego pani milczy?" – „Nie wiem, o co chodzi, proszę pytać". – „No więc kim jest Pawłow, kim jest Rudkowski, proszę mówić, bo powie pani w więzieniu, zmusimy!" – „Zgiń, przepadnij – myślę – ty potworze nieszczęsny". Mówię: „Nie znam takich ludzi". – „Proszę mówić. Kara śmierci pani nie minie" – powtarza. Ach tak? To wiedz, kacie: „Zabraliście mi moją Ojczyznę, mego syna, mego męża! Życie już nie ma dla mnie żadnej wartości, więc na co czekacie? Bez woli Bożej włos mi z głowy nie spadnie i ja się was nie boję!" – krzyczę jak nie ja i żadnego strachu. „To Pawłow nie w jednej sprawie z panią?" – „Nie – mówię – nie znam takiego!" – „To może pani iść. Resztę powie pani w Incie". I wszystko! Wytoczyłam się z tej wartowni. Zaczynał się koncert i powinnam była ubierać tancerki. Idę ja na tę scenę, kolana się pode mną uginają, ale milczę. Widzę, stoi na sali oper, patrzy na mnie, omal nie krzyczy z bólu. Estonka Elwira niesie mi papierosa, chociaż wszyscy wiedzą, że nie palę w ogóle. Czyżbym tak fatalnie wyglądała? Dostaję drgawek, uciekam gdzieś w kąt i ryczę jak zwierz. Wstyd mi, ale tak się stało. W łagrze wszystko już wiedzą. Jakim sposobem? Cóż, zabiorą mnie, ale mam rzecz bezcenną: to fotografia, na której mąż, syn i ja. Przysłał mi ją w jednym ze swych strasznych listów ojciec męża. Muszę ją zachować. Ja już nie wyjdę… Biedny drogi Siamion, co za tragedia… Nazajutrz miłe Ukrainki poniosły

fotografię, żeby ją przekazać Białorusinom w męskim łagrze. Czekałam, kiedy mnie zabiorą na te tortury w Incie. Wciąż mnie nie brano. Usychałam i milczałam.

Pewnego razu przyszła do mnie fryzjerka łagrowa Dzina i powiedziała, że golił się u niej pułkownik całego incińskiego MGB i pytał, czy ona mnie zna i jaka jestem według niej. Dzinka odpowiedziała, że jestem starszą, bardzo taktowną, spokojną kobietą. On jej powiedział, że to jest najniebezpieczniejsza ptaszka w całym łagrze, że przygroził już jej „sucharkami" (więzieniem), i radzi jej przycichnąć… Jak się okazało, był to ten typ, który mnie był wezwał. No i nie zabrano mnie. Romańczuk prosił mnie, żebym pisała do innych tylko za jego wiedzą, dla uniknięcia donosicieli. Trzeba było podnieść na duchu zjadaczy… kaszy, żeby zaczęli myśleć. Pisać tylko epistoły miłosne dla zmylenia czujności kontrolerów, a cała reszta – między wierszami. Zmuszać ludzi do myślenia.

W Incie była jedna droga. Co dzień ciągnęły nią długie węże kolumn więźniów na roboty i z roboty. My – na wybieranie torfu, do kopania rowów wzdłuż drogi lub pod wodociąg czy gazociąg w Incie. Czasem – do czyszczenia śmietników w osiedlu. Wtedy dziewczęta z krajów nadbałtyckich mawiały: „Ależ naczalstwo! Gramy zjadają, a kilogramami s….". A żona żydowskiego rabina, przemiła Mina Borysowna, mówiła: „U nas był święty Haman, jemu g…. wylewano na głowę. A nam gorzej! Gdy walimy kilofami ono nam wpada wprost do ust…". Mężczyźni szli do kopalń długim czarnym sznurem. Wszystkich nas prowadzano przeważnie z psami. Szli także mężczyźni na budowy. Ciągle żeśmy się z nimi mijały po drodze, przekazywałyśmy grypsy, chociaż konwojenci szału dostawali ze złości i niekiedy strzelali.

Raz kopałyśmy w Incie kanał pod coś tam, a opodal mężczyźni, oczywiście nasi, więźniowie, stawiali dom. Poleciały z kamykami grypsy. Pisał do mnie z tamtej strony jakiś Polak. Przekazał od Siamiona słowa: „Idziemy na dno, trzymamy się mocno". Siedział ten Polak z nimi w Incie w więzieniu. Pisał już od siebie, że oni mnie osłaniają, oszczędzają. Moja sytuacja nie była straszna, bo chłopcy nie wciągali mnie do żadnej sprawy, potrzebowali ode mnie tylko wierszy, wierszy i jeszcze raz wierszy – ojczystych, białoruskich. To znaczy – agitacja, a za to dają 10 lat. Cóż mi mogli podrzucić, skoro mam już ćwierć wieku. Do tego jeszcze byłam obcokrajowcem i bez obywatelstwa, ale nie ich. To i tylko to uratowało mi życie… Więc Siamion cierpiał, a z nim i inni…

Latem nas daleko nie prowadzano. Ale gdy dowiedziałam się o wpadce chłopaków, odechciało mi się być w tej ich kultbrygadzie[276], a przy tym wszystkie moje

przyjaciółki Ukrainki zatrudnione były przy robotach ogólnych. Więc napisałam podanie, że nie chcę już być w tej brygadzie. Po kilku dniach Tamara Wierakso, nasza brygadzistka, zwróciła mi to podanie. Ale ja się uparłam, że tam nie będę, i mnie za karę dano do ciężkiej brygady pierwszej kategorii, do najgorszych prac.

Koło naszej zony niedaleko był klub żołnierski, w którym pod jesień sądzono chłopaków. Mówiono, że było ich 60 osób razem z wolnymi. Wydaje się, że Inta była pierwszym zalążkiem buntu więźniów. Później była Workuta, straszny Norylsk i inne łagry. Droga jest tylko jedna, więc gdy wiozą skutych chłopców, zawsze z naprzeciwka idzie któraś z naszych brygad. Chłopcy przekazują nam pozdrowienia. Przeważnie Białorusince Łarysie Geniusz. I tak prawie co dnia. Wieczorem przychodzą dziewczęta różnej narodowości i wszystkie przynoszą mi te pozdrowienia. A ja zaniemogłam z bólu, że nie jestem tam, że nie z nimi razem… Nareszcie dzień, gdy płonę od temperatury, gdy mnie wprost pali, nie wyprowadzają mnie do roboty. Leżę. Wieczorem wracają brygady. Do mnie nikt nie zachodzi, łagier milczy. Aż po cichu zaglądają jedna po drugiej, współczują mi… Skuci chłopcy już z wyrokami, prosili, żeby mi przekazać, że zasądzono ich na śmierć… 12 osób… Romańczuk przekazał mi swoje ostatnie przyjacielskie słowa i wtedy sowiecki oficer uderzył go w twarz. Lecz skazaniec zdążył jeszcze zapytać: „Po co mnie bijesz?..".

Milczałam jak grób, otępiała z bólu.

Tak oto pierwsi Białorusini podnieśli pierwszy wielki bunt przeciw przemocy. Zginęli. A „zjadacze… kaszy", ich współwięźniowie, którzy się od nich odcięli, mieli im za złe, że ośmielili się wystąpić wobec takiej przemocy. Słuchałam i czytałam z odrazą wypowiedzi różnych Piotrów Raszetników, Hińków i innych wyrodków sprzedajnych i wstrętnych.

Niech ich Bóg i ziemia nasza kiedyś osądzi!

Chłopcy jeszcze siedzieli w BUR-ach, jeszcze ich nie od razu zabito. Zdążyli jeszcze przekazać ludziom wieści o mnie, dla nawiązania łączności. Wciąż nie wierzę, jak ta Lucynka, która nie wierzy do dziś, że Siamiona zabito. Niewysoki, mocny jak dąb, krągłolicy chłopiec z duszą oddaną Białorusi. Jakże mogę go zapomnieć? Uciekał z mińskiego więzienia, w którym słyszał, jak Kastuś Jezowitow[277] pewnej nocy krzyknął: „Żegnajcie, przyjaciele. Ja, białoruski generał Jezowitow umieram, skazany przez bolszewików na najwyższy wymiar kary…". Do łagrów zaganiają jak zaganiali tych, których nie zdążyli uśmiercić Niemcy i sowieckie karne kompanie. Serce bolało, i nie trudno było cierpieć z nimi, trudniej

byłoby w tym czasie, jak to robili inni, rozpierać się wygodnie w błękitnych ekspresach, zalewając gorzałką nieczyste sumienie.

Długo po tej rozprawie interesowali się mną konwojenci, starali się mnie zatrzymać, zaczepić pytaniem, czy jestem z Czech. Jeden z nich często podchodził do naszej brygady przy pracy i mówił mi, że ja – to rozum. Inny prosił, żebym mu napisała wiersz o pewnej więźniarce naszej, którą kocha, a która nigdy nie zostanie jego żoną. Pamiętam kilka słów z tego wiersza:

Dogasają smutno płomyki żałosne,
Ulatują myśli z dymem rozwiewane,
Tyś mą ukochaną, bliskaś mi jak siostra,
Dlaczego nie możesz żoną być kochaną?

Wszystkie moje wiersze, jak mi później powiedziano, ktoś przekazał czekistom, widocznie jednak i wśród nich byli tacy, którzy czytali je nie na próżno, jak ci konwojenci.

Sprawa Romańczuka, ten sąd… Do dziś nic prawie o niej nie wiem. Ilekroć próbowaliśmy kogoś o to zapytać, bladł ze strachu, nawet w łagrze. Chwiedar Wialonda, któremu do 10 lat kary dorzucono jeszcze 15, przeżył i mieszka, jak mi mówiono, gdzieś w okolicy Baranowicz. Podobno często popija. Nie dziwię mu się. Kiedyś, pamiętam, na tym DOK-u ten wynędzniały od cierpień i głodu człowiek podszedł do mnie i powiedział, że gdy czyta moje wiersze, mimowoli staje na „zważaj" (baczność). Mówiono, że wszystkich razem było ich 60 osób, a z kobiet – ja jedna. Ktoś mnie tam jednak osłonił. Mówiono mi też, że gotowi mnie byli skierować do łagrowego szpitala dla „psychicznych", żeby tylko uchronić przed sądem, ale nie sądzono mnie. Podobno chłopców rozstrzelano w Incie, a potem ich odkopano, żeby im powyrywać złote zęby. Tak mi opowiadano jeszcze w łagrze. I jeszcze mówiono, że najmocniej w śledztwie trzymałam się ja, to wtedy, w rozmowie z tym pułkownikiem. Wszystko to kiedyś ktoś będzie musiał zbadać, żeby ludzie wiedzieli.

A lata biegły: zima – lato, zima – lato… Jednakowe do otępienia… Inta była centrum tzw. Minłagu. Dookoła niej były tzw. OŁP-y – nr 1, 2, 3, 4 itd. Jeden z nich był kobiecy, nasz. Działały stare i otwierano nowe kopalnie, rozbudowywała się Inta. Pewnie niejedna zmiana więźniów musiała lec na Incie, bo grzebalnik jest rozległy. Zapewne karczowali czy ścinali pierwotny las, bo pozostawili po sobie ogromne grubaśne pniaki, które musiałyśmy wyciągać ze zmarzliny pod

kołchozowe pole. Bo tam też był kołchoz, pasły się krowy, rosła wczesna kapusta, rzepa pastewna i rzadziutkie, wodniste w smaku drobniutkie ziemniaki. Przy nas tu nie było już na pagórkach potężnego lasu. Dokoła – tundra tylko i trzęsawiska, a gdzie trochę wyżej – brzózki i świerczki z gruntownie wyczesanymi przez wiatry wierzchołkami. Na swoje robocze obiekty chodziłyśmy przeważnie z psami. Nosiłyśmy sznury i kołki, które wbijałyśmy w ziemię, na nich napinałyśmy sznur i tam pracowałyśmy. Najciężej było nam z 25-letnimi wyrokami. Zdarzało się, że kujemy kilofem po 14 godzin w tundrze bez żadnego ogniska na trzaskającym mrozie. Bez żadnego ogrzewania, które wprowadzać zaczęto dopiero po śmierci Stalina. Długi czas pracowałyśmy bez wolnych dni. Konwojenci byli różni, w większości nieludzcy, ale z czasem dziewczęta ich porozmiękczały i na dalszych obiektach można już było z nimi wytrzymać. I nawet śpiewali w rytm hymnu sowieckiego:

Ten związek niezłomny oprawców z więźniami
Od Inty na całą rozszerza się Ruś, itd.

Najgorsi byli konwojenci z rekrutów. Idą przez Intę wyrostki, kobiety nasze patrzą na nich i płaczą, bo synów zostawiły gdzieś tam bez matek, więc machają im szarym w byle jakim odzieniu z wolności. Ale oto wbijają ich w mundury wojskowe i musztrują, i indoktrynują w duchu komunistycznym, aż chłopcy wyrodzą się w bestie, w katów, w Hitlerów na nas. Nafaszerowani regulaminem reżymowym, wyprowadzając nas do pracy, powtarzają wyuczone: „Krok w prawo, krok w lewo – próba ucieczki. Strzelam bez uprzedzenia". Często, gdy taki konwojent ma z więźniem porachunki, prowokuje go: „Wyjdź z szeregu!". Wiedziałyśmy, że nie wolno tej komendy wykonać, bo stąpisz krok i zastrzeli, i powie: próbowała uciekać, i jemu uwierzą. Czasem trzymali nas w tundrze do nocy, natrząsali się z nas, strzelali w górę, na boki, a myśmy stały jak ściana i śpiewałyśmy. Ukrainki śpiewały swoje pieśni z powstania, buntownicze, gniewne: „Chłopcy biją się, nie poddają się, idą w bój i śmieją się. Chłopcy, pójdziemy i walczyć będziemy za wolność Ukrainy, za kraj nasz rodzinny!". Gdyśmy się już naśpiewały i porządnie na mrozie skostniały, a konwojenci przy nas, wtedy dopiero ciemną nocą prowadzą nas do baraków. Czasem strzelali i zabijali. Na Incie pewnego razu przy rozładunku węgla jakaś kobieta podała maszyniście list, żeby wrzucił do skrzynki. Gruzin konwojent spostrzegł to i zbladł. Chwycił automat. Kobieta padła na kolana uniósłszy błagalnie ręce… Zastrzelił ją… Matkę pięciorga dzieci… Kanalia dostał

nagrodę i dwa miesiące urlopu do swojej Gruzji, która zrodziła nieszczęsnej Rosji nie tylko Stalina… Cóż, „ziemia nasza rozległa i obfita"… Ale czas płynął i nasze dziewczęta powoli zmieniały obyczaje nawet konwojentów. Zobaczą kontrolera – uprzedzą, zrozumieją całe kłamstwo, którego ich uczono w celu gnębienia nas. Przyjrzą się chłopcy, przekonają się, gdzie ludzie nieszczęśni, a gdzie bydlęta w ludzkiej skórze i wtedy tylko zaczynają nas rozumieć i współczuć nam, i postrzegać swoją własną niedolę i cierpienia tu, na końcu świata marznąc razem z nami. Ale kończy się termin ich służby i nas nękają nowi dzicy i wściekli dręczyciele. Niewiele z nimi rozmawiałam. Czasem coś powiem, kiedy zapytają, to aż zazgrzytają ze złości zębami i boją się zwracać potem do mnie, a gdy po dobremu proszą o wiersz, wtedy mówię im:

Więc mnie pilnuj, stój wiernie na straży,
Tylko miej przykazanie za ster:
Jeśli nawet ktoś tobie rozkaże,
Nie mierz nigdy w moją dumną pierś.

Zdawało mi się, że tacy już nie są zdolni strzelać w nas. Długo szeptali konwojenci między sobą przy ognisku (u nich były ogniska), spoglądając w moją stronę po tej strasznej rozprawie nad naszymi chłopcami. Musieli widocznie konwojować tych biedaków i dużo o nich wiedzieli.

A czas pełzł. Dni były strasznie długie i ciężkie, ale lata przelatywały prędko. Co dzień ciężkie roboty, niedojadanie, dokuczliwy mróz. Czasem człek tak zmarznie, że wydaje się sam sobie soplem lodu. Kobieca gładka twarz robiła się szorstka, jakby porastała włosiem. Płaczemy wtedy jak przed agonią i ogrzewamy się łzami. Kiedy trzeba na stronę, konwojent często każe robić to przy nim. Zmarznięte ręce nie potrafią rozpiąć watowanych spodni, a cóż dopiero zapiąć!.. Pomagamy sobie wzajem, ratujemy siebie i ręce nasze robią się jak martwe kłody. To gdy zimno jest. A krótkim polarnym latem – wybieranie torfu, karczowanie pni albo pędzą nas na rzekę, gdzie wyciągamy osękami spławiane drewno lub zaganiają nas do wody i zanurzone czasem po szyję w lodowatej wodzie brniemy i popychamy naprzód kilometrami zwalone do rzeki kłody. Wtedy żyje w nas tylko jedna myśl: gnać by tak tą rzeką przeklętego „ojca" tej Rosji sowieckiej i strzelać mu grochem w potylicę, dopóki nie zdechnie. Niewola… A gdy się uświadomi sobie, że tak właśnie pokutuje czterdzieści milionów ludzi (tak mówili mi kompetentni: 40-45 milionów), to świat zwariował. Jak mogą żyć te kulturalne

narody w wysoko cywilizowanych krajach, jak mogą spać i jeść, gdy głos tylu milionów kona w niekończących się przestrzeniach kraju, który nie ma prawa do istnienia, bo nigdy nie znał człowieczeństwa w stosunku do osoby ludzkiej, tylko przemoc i nahajki, zastąpione dzisiaj automatem, który stał się symbolem tego systemu. 45 milionów młodych najlepszych ludzi, mózg i sumienie tego kraju, jego siła. Jeśli wziąć całą ludność Związku Sowieckiego i odliczyć 100 milionów mniejszości etnicznych, które z reguły łagrów nie zasiedlały, to znaczy, że to z Ukrainy, z Białorusi, z krajów nadbałtyckich i z samej Rosji tyle najlepszych sił. A co pozostaje? W łagrach – wojsko, dobrze przy tym wyszkolone, i kadra dowódcza, ale wszystko milczy, nikt im oczu nie otwiera, nie uświadamia, etos wojska marnieje w rozkładzie i ratuje się jeszcze tym, że tak jak niegdyś, pada na twarz przed Czyngis-chanem i akceptuje bezapelacyjnie wszystkie jego niedorzeczne rozkazy. Nie ma sacrum, jest jedno wielkie łgarstwo, w którym trzeba się doskonalić, kto to potrafi. W tym państwie wiele rzeczy przypomina mroczne czasy Czyngis-chana. Tu trzeba być rzemieślnikiem, lekarzem, pożytecznym dla „herrschende Volk"[278], jak mawiali Niemcy. Inni mogą ginąć. Ważny jest ten, kto od 30. roku (a były lata 50.), jeszcze go chwalą, dają większe racje, póki może kruszyć kilofem wieczną marzłoć, a jak zaniemoże – na zwał. Strach pomyśleć: albo ślepe posłuszeństwo ślepej tyranii, albo głowa do piachu.

Boże mój! Od dzieciństwa napełniłeś moją duszę litością, umiłowaniem prawdy i sprawiedliwości, dałeś mi sumienie i rozum! Jakże więc ja, która znam prawa Twe Boskie i ludzkie, mam się godzić na tyranię Czyngis-chanów po Masaryku, po Abrahamie Lincolnie[279], po Tołstoju[280], po Rabindranacie Tagorze[281]? Nie, nie! Jestem człowiekiem, gdziekolwiek jestem, dokądkolwiek mnie zapędzą, i w tym mi, Panie Boże, dopomóż. Przylgnęłam sercem do ukraińskiego żywiołu zwykłych dziewczyn i kobiet, oderwanych żywcem od ziemi i rodzin. Były szczere, niezachwiane i czyste, jak woda z karpackich strumieni i przez to silne nie do pokonania. One nie potrzebowały rozumieć, rozgryzać wroga, rozmawiać z nim. One raz go poznały i raz na zawsze odrzuciły jak obmierzłe przeciwieństwo życia, wręcz zgubne dla życia i ludzkości. Można by go wyśmiać, tego wroga, ale nie było nam do śmiechu, a zgodzić się z nim – nigdy. Inaczej zachowywały się Ukrainki z warstwy inteligenckiej. Też były przeważnie niezachwiane, ale izolowały się od łagrowej masy, uważały się za lepsze od tamtych, podczas gdy było całkiem odwrotnie. Mnie lubiły i jedne, i drugie, choć Bogiem a prawdą, jak mi się zdaje, lubiły mnie wszystkie, jeśli nie otwarcie, to na pewno w sercu, i ja to odczuwałam!

Nawet te, które działały na moją zgubę, donosząc na mnie, a ich było więcej, niż można by założyć. Donosić na mnie nie było zbyt łatwo, bo ja sama mówię każdemu w oczy to, co myślę, a słowo to doprawdy żywa substancja! A przykład działa jeszcze dosadniej. W łagrze każdy jest jak na dłoni, samo życie łagrowe odsłania wnętrze człowieka, człowiek tu jest jak otwarta księga, wszyscy nawzajem znamy się na wylot. A ludzie są ludzie, oni jak rośliny chylą się ku słońcu, ku dobru, ku prawdzie. Wieki chrześcijaństwa otwarły ludzkie dusze, one pragną światła, odrzucając mroki średniowiecza, z którym wszyscy tu mieliśmy do czynienia podczas przesłuchań, a i teraz też. Przed nami lata katuszy, żadnej nadziei na zbawienie, a człowiek wciąż pragnie zostać człowiekiem.

Białorusinek w porównaniu do Ukrainek było u nas na OŁP-ie niewiele. Myślę, że oprócz Taisy, wszystkie pozostałe były zastraszone i kupione. Trzymały się ze mną, ale żadnej z nich nie można było zaufać. Poleciłam im pisać do przyjaciół i odpowiadać na ich grypsy, a chłopcom – opiekować się wybrankami. Liczne z takich „par" później się pobrały. Przyświecał temu cel, żeby zapobiec zapominaniu mowy ojczystej, a także by obudzić poczucie obowiązku wobec „swoich" jako źródło ciepła duchowego na tej dalekiej północy. Eksperyment bardzo się udał. Wszystkie listy czytałyśmy wspólnie i często razem na listy odpowiadałyśmy. To czyniło nas jedną rodziną. Wielu mężczyzn adresowało swe listy do mnie. Czasem były to grypsy nafaszerowane emocjami i wtedy miałyśmy uciechę. Odpowiadałyśmy, żeby nadawców nie zranić, a najważniejsze – wytrzymać i wszystko przeżyć. Śmieszne było i to, że trudno się było zakochać w bezkształtnym szarym stworze w starych wacianych portkach, w okropnych wojłokach, obu z jednej nogi, okutanych strzępami chust, zasmarkanych, zsiniałych, często z obandażowanymi od mrozu nosami, nieszczęsnych, żałosnych ofiarach marksizmu-leninizmu. Ale w wyobraźni naszych przyjaciół byłyśmy aniołami-męczennicami. Biedowałyśmy, że im tam ciężko w kopalniach, a oni – że my niczym nie osłonięte pracujemy po 10 godzin na trzaskającym mrozie. W kopalniach przynajmniej zaciszniej. Było regułą, że nie wolno wyprowadzać ludzi przy temperaturze poniżej 40 stopni mrozu, ale nas wyprowadzano, i wtedy – choć konaj w otwartej tundrze.

Później zaczęła się prowokacja. Ujrzawszy zorganizowaność Białorusinów zaktywizowano przeciwko mnie cały batalion donosicieli i prowokatorów. Doszło do tego, że zaczęłam otrzymywać grypsy pod wpływem niejakiego Hińka, że Białorusini nie potrzebują arystokracji i obszarników, takich jak ja itp. Szczególnie

zajadle atakowali naszą, jak myśmy mówili, białoruską rodzinę jakiś oberdonosiciel Szapował[282], Kanwiega, S. [283], który był przystawionym do nas prowokatorem. Należał do organizacji „Czajka". Była to organizacja młodzieży na Słonimszczyźnie. S., jak się później dowiedziałam, zdradził tę organizację już w śledztwie. Było ich 20 osób, zdaje się, chcieli mowy białoruskiej w szkole. Zapędzono ich, nawet szesnastolatków, „na białe niedźwiedzie". Mówią, że na śledztwie trzymali się godnie, budzili podziw swą niezłomnością i patriotyzmem.

My wszyscy byliśmy dla sowietów znienawidzoną niewolniczą masą. Czy ktoś kolaborował z Niemcami, czy tylko wierzył w Boga, czy choćby tylko chciał mówić w swym macierzystym języku, czy wreszcie dla hecy opowiedział straszny sen o Stalinie – wszystkich traktowano jednakowo, z wyjątkiem tych, którzy szczerze przysięgali na wierność „ojczulkowi Stalinowi" i ziali nienawiścią do całego pozostałego świata. Ci ostatni zostawali przeważnie łagrowymi „przygłupami" i ich rękami nas przeważnie dręczono. Z rolą „przygłupów" godziły się głównie Rosjanki, choć zdarzały się innej narodowości.

Była taka Finka Lila Birklan, wstrętna dziewucha. Pewnego dnia wprowadzono w łagrze innowację. Zebrano dużo dziewczyn dwudziestopięcioletnich i dano je do oddzielnego baraku pod jeszcze ostrzejszy nadzór, stworzono taki barak karny. Prowadzano je osobno na szczególnie ciężkie prace, zamykano je na dzień, na noc i w ogóle wyprawiano z nimi co chciano. Mnie nie zabrano. W czasie tych ciężkich prac najokrutniej znęcała się nad nimi właśnie owa Finka. W końcu ten barak karny rozpuszczono. Miało się już ku wiośnie. Dziewczęta tak się od przygłupów łagrowych nacierpiały, że postanowiły za wszelką cenę odemścić się przynajmniej na tej Fince. Zmówiły się jeszcze w karnym baraku, że sypną tej Birklan w oczy tłuczonym szkłem, jak to robili więźniowie kryminalni, żeby gadzina świata więcej nie zobaczyła. Prawie zawsze w każdej ważniejszej sprawie zasięgano mojej rady. I właśnie zjawiła się „delegacja". Ja wysłuchałam ich. Powiedziałam, żeby mi przyniosły to tłuczone szkło. Przyniosły mi w chusteczce sporą garść. Należało się śpieszyć przed nadejściem krótkich wiosennych nocy. Wtedy powiadam im: „Dzieci, a czy warto ginąć nam przez taką szmatę?" – „Warto – mówią. – Innej rady nie ma". Sama wiem, że warto. Ale tak mi się żal zrobiło tych drogich dziewczątek, zwłaszcza szczególnie pięknej, miłej Litwineczki Jadiale, że zaczęłam je powściągać. „Straszna rzecz – mówię. – A czy próbowałyście słowem? Trzeba na początek powstrzymać je słowem". – „Co pani, Łaryso Antonowna, one, te hieny i słowa?! Kto by się odważył rozmawiać z hienami? Sprzedadzą

jak nic!" – „Ja będę sama rozmawiać" – mówię. Zamarły dziewczęta, gdy pewnego dnia zaprosiłam Birklan na łagrową drogę i wszystko jej powiedziałam, a jeszcze i to, jak ona doradzała strażniczkom trzymać mnie w BUR-ze, z dala od ludzi. Birklan zbladła. Klęła się na wszystkie świętości, że jest niewinna. Poradziłam jej nie zapędzać dziewcząt do kilofa, gdy sami konwojenci nie robią tego, nie dawać im nieludzkich norm, nie donosić, bo w przeciwnym razie spotka ją to, co miało stać się dzisiaj. Nie zakapowała mnie i przez rok, gadzina, była jak człowiek. Ale potem powróciła do swego procederu. Mnie wywieziono do karnego łagru, i gdy po dwóch latach przywrócono mnie do Inty, to pierwsza uściskała mnie i wycałowała Jadiale. W Incie już po trosze ludzi uwalniano i ona, wysoka, smukła, miła powiedziała do mnie: „Jakże pani dziękuję za powstrzymanie mnie od oślepienia tej kobiety! Jak mogłabym patrzeć w oczy swemu dzieciątku, które może kiedyś Bóg mi da urodzić…". Gdzie ona dziś, ta moja Szatria?.. Taki właśnie miała pseudonim.

Litwini odnosili się do mnie szczególnie dobrze. Czasem, gdy leżała moja torbeczka z kromeczką chleba, podkradali się do niej i podkładali mi kawałeczek „lašeniukas", słonina po litewsku, a ja to zauważałam dopiero w pracy i wtedy zbierało mi się na łzy.

Dni mijały pełne niepokoju i przygnębienia. Naczalstwo wymyślało wciąż nowe, coraz bardziej wyszukane metody gnębienia nas. Na koniec naczepiono nam na plecy numery. Czarne cyfry na białej szmacie. Miałam numer „0-287". Gdy konwój był trochę lepszy, a zaczynała się purga i nie można było pracować, a przy tym za wcześnie na powrót do łagru, wymyślałyśmy co się dało, i żeby nie zamarznąć – mocowałyśmy się, tarzałyśmy się w śniegu. Nie dziwię się, że strażnicy patrzyli na nas jak na wariatów. A czasem się czepiali mnie, żebym im mówiła jakąś improwizację, więc pewnego razu powiedziałam im wierszyki na każdy numer. Na swój jeszcze pamiętam:

Monogramy – tak tu bywa
Nam na plecy się naszywa.
Choć to wielce tajny szyfr
Z czterech ułożony cyfr:
Zero-dwójka-osiem-siedem,
Dla mnie – znaną wróży biedę.

Wiele nawymyślałam różnych epigramów, ale się pozapominały. Byliśmy niewolnikami i o tym nam stale przypominano brutalnie, po proletariacku. Wtedy mówiłam im:

Jeśli człowiek jest rozumny,
Lecz z sercem złamanym,
Prędzej będzie niewolnikiem,
Niźli rabów panem.

Chodziła czasem z nami do pracy Polka, pani Teresa. Zwykle ona bywała wiecznym przygłupem i znajdywała z naczalstwem wspólny język, ale czasem z jakichś powodów wyprowadzano i ją. Była to osoba dość sympatyczna i inteligentna. Kiedyś pewnie też dość ładna, bo wciąż się zamartwiała, że teraz za nią „nikt pewno szaleć nie będzie…". Pewnego razu, gdyśmy kruszyły kilofami szczególnie brudne śmietniki koło kwater kierownictwa, ona mnie niezwykle uprzejmie poprosiła o wiersz. Więc powiedziałam jej wiersz w jej własnym języku:

Lęk mię przenika, gdy widzę śmietniki,
Co rąk zmęczonych czekają poety,
Rozpacz ogarnia, gdy widzę tę psiarnię,
Co mnie na śmietnik prowadzi z bagnetem.

Wierszy białoruskich tu nie cytuję, bo część ich zachowała się mimo wszystko nie tylko w pamięci.

Byłam łagrową encyklopedią i często zwracano się do mnie w sporach. Stoimy raz przemokniętą od świeżego śniegu szarą gromadką pod ścianą jakiegoś incińskiego „pałacu", przed nami przejeżdżają studebakery, przechodzą mieszkanki Inty. Dziewczęta z krajów nadbałtyckich i Ukrainki krytycznie oceniają ich stroje, niegustowne, pretensjonalne w tym nieludzkim klimacie. A Rosjanki bronią się i protestują, że ich stroje lepsze jak w Europie! „I samochody?" – pytają Ukrainki. – „Tak, i samochody". – „Ta, pani Łarysu, skażyte wy: je u ich marki swoich maszyniw?"– Mówię: „Je". W tym momencie moje dziewczęta nosy spuściły na kwintę… „A jaka ż u ich marka?" – „Jaka? Czorny woran" (Czarny kruk) – odpowiadam. I dopiero wybucha śmiech!

Jakiś naczelnik łagrowy Polakow, gad nad gady, zabronił nam chodzić łagrową drogą, którą sam chadzał ze strażniczkami, a nam pozostawała jedynie droga wzdłuż szeregu latryn, które szalone Litwinki na państwowe święta nie

zapominały „upiększyć” państwową gwiazdą. Wszystkie czuły się upokorzone i bardzo oburzone tą szykaną, dopóki im nie wytłumaczyłam jasno, że na naszej drodze śmierdzi latrynami, a na tamtej drugiej śmierdzi naczalstwem, więc co jest gorsze? Wszystkie się zgodziły, że lepsze są latryny…

Idziemy kolumną piątkową przez Intę i widzimy plakat: mister Churchill, kapitalista, trzyma zapaloną żagiew, a nad nim ręka robociarza z jakimś żelastwem, ale tak, że ta ręka jest dokładnie nad żagwią. Miła Łotyszka Laima Kretulis, która dzień w dzień chodziła ze mną w szeregu przez dwa lata, spogląda na mnie i szepce: „Niech pani spojrzy, jak on trzyma jeszcze to żelastwo, kiedy ten mu wyraźnie mocno przypieka?”. Po chwili dzielimy się spostrzeżeniem z innymi. Laima była wspaniała, smukła, wysoka i bardzo uczciwa. Miała chorą przyjaciółkę, a zbliżała się wiosna i było mokro. Jej przyjaciółka, jak wszystkie, trzewiki ma brezentowe, które w dzień są pełne wody, a pod wieczór zamarzają razem z nogami. Przychodzi kiedyś Laima i prosi o odpuszczenie grzechów: jakiemuś przygłupowi ukradła trzewiki w dalekim baraku z żalu nad chorą przyjaciółką… Pilnie wpatruje mi się w oczy. Mówię jej: „Zuch z ciebie, dobrze zrobiłaś. Tamtej świni dadzą nowe, a Milda będzie miała ciepło w nogi. Kiedy mnie i Laimie dawano normę, często żeśmy się kłóciły. Laima miała gruźlicę i ja ją oszczędzałam. Ale ja byłam znacznie od niej starsza, to ona oszczędzała mnie. Kiedyś kazano nam odrzucać śnieg. Nigdy w życiu nie widziałam tyle śniegu na raz, po prostu góry! Rzucamy go i rzucamy, i ja słabnę. Laima widzi to i prosi mnie, żebym odpoczęła. Ja – nie. Nie mogę jej zostawić samej. Ona długo mnie prosi, a wreszcie z dziką złością rzuca się na mnie, zwala mnie na ziemię i siłą odbiera łopatę. Wtedy wstaje i oczy ma pełne rozpaczy… Laima jest dobra.

Mam nerwy napięte. Nie dają mi spokoju. Bywa że nocą przychodzi kilka dozorczyń z odczłowieczonym bez reszty Proswietowem. Śpimy. Ale mnie ściągają z nar, Proswietow załazi z nogami na mój nędzarski siennik i zaczyna trząść i wytrząsać całą moją żałosną pościel i wszystek mój łachmaniarski majątek. Wyrzuca nawet strużyny z poduszki, na której śpię od lat jak nieboszczyk. Zabierają mi zwykle każdy strzęp papieru, każdy ogryzek ołówka. Prowadzą mnie do BUR-u. Tam gospodarzy jedyny ludzki człowiek, niejaki Kobylin. Nie przyjmuje mnie bez dowodu winy, bez rozkazu opera. Tak mnie prowadzają prawie do rana. Wracam cała rozdygotana. Ale na dyżurze w baraku Ukrainka i jeszcze jakaś koło niej. Mają oczy pełne żalu, ból wypisany na czystych obliczach: „Wytrzymać, wytrzymać, pani Łaryseczko, prosimy wytrzymać…”. Rodzi się ulga od tych ludzkich

słów tak czasem niezbędnych. Do rana wciąż dreszcze, a rano do roboty. O procesie nadal nie mówią, czasem szepną. Żenia Wróblewska opowiada, jak ją wzywano. Pytali, co ja pisałam, co posyłałam na pierwszy OŁP? Ona powiedziała, że chusteczki, torebeczki, kartki miłosne i nic poza tym. Ją ciągają, ale ona twierdzi wciąż to samo, bo cóż innego może powiedzieć? Jakiż mądry był Siamion: za „miłość" nie sądzą… Opowiadała, jak pewnego razu na DOK-u zajrzała do męskiej suszarni (była siostrą pielęgniarką na obiekcie), tam leżał ten Pawłow. Zaczął opowiadać jej o potrzebie zmagania się, o tym, że nikt nie będzie nas ratować, musimy się ratować sami itd. Żenia powiedziała, że przestraszyła się tej rozmowy i od razu opowiedziała o tym swemu znajomemu na DOK-u, nie wiedząc, że to donosiciel. Donosicielem był też niejaki Michaił Borysowicz, przygłup łagrowy. Donosili też i różni Szapowałowie, bo któż oddał czekistom wszystkie moje wiersze, o których wiedzieli tylko Białorusini… Wszędzie zdrada za większą rację, za robotę w zonie, za gęstszą lurę.

Polacy nie mogli pogodzić się z prawami Białorusinów do ziemi białoruskiej, niszczyli nas wszędzie, również w łagrach. Przerzucali jak piłkę nasze ziemie między sobą Polacy i Rosjanie. Oni wszyscy żyli z nas w luksusach. Żaden z nich nie żył dla nas, może z wyjątkiem Fedorowskiego[284]. Doprowadzili nasz naród do nieprawdopodobnej nędzy, do dna poniżenia. Hromadę niszczyli i jedni, i drudzy planowo i w porozumieniu, wszystkich działaczy. Ścinali i ścinali, jak głowy, rodzącą się inteligencję narodu. Ofiary padały w milczeniu, nikt nie krzyczał i nie protestował w naszej sprawie, nawet w straszliwym 37. roku nikt nie bronił naszych pisarzy, nikt nie protestował przeciw Berezie Kartuskiej. Szli bić się za Polskę, za swoje pęta… Następował Hitler, był potworny, ale czyż mniej potworny był dla nas Stalin? Hitlerowskich ofiar jeszcze nie znaliśmy, gdy stalinowskie przewyższały wszelkie wyobrażenia o samowolnym legalnym terrorze. Nie było wyboru: dwie bestie w ludzkim ciele. Opowiadano, że gdy do Białegostoku po sowietach przyszli Niemcy, to Polacy wyszli spotykać ich z kwiatami, a jeden Niemiec, który umiał po polsku, mówi im: „Nie ojciec poszedł, nie matka przyszła…". Miał rację. Pozostawało tylko jakoś przeżyć, oszczędzić naród fizycznie, nie dać nieszczęsnych na zatracenie.

Boże! Daj mi siły, żebym mogła chociaż im powiedzieć swoje czyste, prawdziwe słowo, odpowiednie do naszej niedoli… Jak przeżyć hitleryzm i mimo to mówić? Mówić tak, jak nakazuje serce. Powstrzymuję ból, żeby się nie mścić. Na to nie czas. Mego ojca zniszczyli sowieci, wywieźli całą moją rodzinę. Potem

się dowiaduję, że wszyscy trzej moi bracia – na froncie. Boże mój, co za ironia. Jakże na próżno poleje się nasza krew. Nas po prostu wyniszczą obiema rękami. Z początku brat Rościsław pomaga partyzantom, bo żałuje swoich ludzi. Oni go słuchają, radzi im, żeby chociaż zachowali swoje wioski. A czy sioła jego uchowały, czy pamiętały? Później rzuciły w niego kamieniem, jak w swoją ojczystą mowę, jak w swoje prawa, w zdrowy rozum. Wygrali nie bohaterowie, a chytrusy, ci którzy potrafili napluć na swoje, a lizać pięty dyktatorowi, który wygrał. Nawet swoją rdzenną Białostocczyznę oddali, podzielili nasz jedyny skarb, Puszczę Białowieską, razem z żywymi braćmi rozdarli ją na pół. To za partyzantkę? Coście umyślili sobie, partyzanci? Czyście w ogóle umieli myśleć? Bohaterowie myślą o narodzie i o państwie, sługusy – tylko o własnej wygodzie. Nie spotkałam rodaków, którzy by kochali bestię – Hitlera, takich nie było. Takich nikt nie widział! Durni jakichś, owszem, w policajach, których oni, gady, wykorzystywali dla swoich brudnych spraw. Może idąc na służbę nie wiedzieli nawet jak zostaną wykorzystani, jak zostaną upokorzeni przez wymóżdżonych nazistów. Straszna tragedia! Stalin – Hitler: i jedno, i drugie nieludzkie i żadnej trzeciej możliwości dla narodu…

W moim życiu nie było dla mnie rzeczy niemożliwych. Potrafiłam wyjść z każdych kłopotów, bo każdemu umiałam dowieść logicznie swej słuszności. Tylko od sowietów nie mogłam się uratować, bo tu była tylko jedna możliwość: sprzedać swoje sumienie, czarne nazwać białym, wyrzec się Chrystusa i upaść na twarz przed Stalinem. Nie, nie, nie!!! Wybacz mi, chłopcze mój mały, synku mój przeze mnie opuszczony… Pragnę, byś kiedyś mnie zrozumiał, żebyś wybaczył mi swoje cierpienia. Nie miałam wyboru, synu – Ojczyzna i jej los ważniejszy jest od ciebie, ode mnie, od naszego taty…

Wejrzeć tylko w położenie naszego narodu: zaginieni czy rozproszeni po Niemczech z niemiecko-polskiej wojny, wyniszczeni bezlitośnie przez Niemców zarówno w kraju, jak i na froncie sowieckim, zdziesiątkowani w 37. roku, wygubieni w batalionach karnych, dwakroć wywożeni jako kułacy, tysiące skazanych po wojnie w niezliczonych łagrach, ci co od razu pouciekali do Polski, ci, co wyjechali tam na podstawie umowy w czasie pokoju i ci wszyscy, którzy zaludnili ziemie dziewicze, Kazachstan, Donbas… Oderwani wraz z białoruskim odwiecznym Wilnem, na żywca odcięty kawał Białorusi i oddany Łotyszom Dźwińsk i z nim sto tysięcy Białorusinów, nie mówiąc już o Smoleńszczyźnie. Spustoszony kraj, do którego ściąga się na siłę obcy element, oczywiście, nie do czarnej roboty.

Znieważani i pozbawieni głosu przyjmują bez protestu obcą mowę i obce porządki. Znowu żyją naszym kosztem jak nigdy jeszcze dotąd. Giniemy. Jeszcze jedno nasze nieszczęście – katolicy. Ludzie, którzy słowa nie umieją po polsku, bo ich mowa od wieków była białoruska – zrobili się Polakami. Księża szli do nas nie tylko z Bogiem i krzyżem, szli jako kolonizatorzy, dzielić i niewolić lud, odbierać mu jego świadomość narodową, jego mowę.

Biedni, ciemni moi bracia, każdy z nich na rozkaz tych, którym się zaprzedał z własnej woli, zaprowadziłby mnie na szafot. A ja nie śpię po nocach i myślę, że gdy przetrwamy i doliczymy się jakiegoś minimum rodaków, to stanie się cud! Nas się rodzi bardzo mało. Krwawe łapy sowieckich ginekologów patroszą nieprzerwanie biedne kobiety. Taki system, że nie sposób mieć dużo dzieci, do tego nie ma gdzie i nie ma jak. Matka na państwowej posadzie i maleństwa głosu nie mają… Pracując jako siostra szpitalna z przerażeniem patrzyłam na trupki w śmietniku, w rzece Zelwiance. Gdy czyszczono kloakę, ich główki zatykały węże asenizacyjne i trzeba było je dodatkowo czyścić… O, moi nienarodzeni Kupałowie[285], może Bohdanowiczowie[286], a może i Kastusie[287]… Zostały żubry w Białowieży, jakich przynajmniej nie nauczą mówić po rosyjsku, bo to nie ludzie.

Raz zaszła do nas nauczycielka z Wołkowyska, nie chcę wymieniać jej nazwiska. Jej mąż jest Białorusinem i żal mi go. Przekonywała mnie, że trzeba żyć, trzeba zwrócić się do „naczalstwa", plunąć na rodaków, bo są jak chorągiewki na dachu, jak nie ludzie itd. Powiedziałam jej, że nie zamierzam swoim przykładem potwierdzać jej teorii, niech wie o tym. Wedle jej słów, jest człowiekiem, który dużo może, jest powiązana tak czy inaczej z kastą naczalstwa poczynając od władz obwodowych, i wszyscy oni nie nasi, i wszyscy są z jednej paczki. Zapytałam ją: „Jeśli już jesteśmy tacy do niczego, nikczemni, pasywni, to niech pani powie, czy pozwolono by nam mieć na przykład w Wołkowysku swoje szkoły?" – „To ja mogę pani powiedzieć – 'nikogda'[288]!". Obiecała odwiedzić nas ze swym mężem. Musiałam prosić jej krewniaków, żeby lepiej nie pokazywała mi się na oczy. Nie mamy prawa popędzić ich do wszystkich diabłów, tych maruderów i własowców, którzy usadowili się tutaj jako „nacja panująca", weszli w rolę „Kulturträgerów". Takich, co to mają grzeszki, doskonale wykorzystuje się do brudnej roboty, do wynarodowienia. Oni są jak pijawki na ciele ludu. Dla nich – wszystkie przywileje, poczynając od ziemi pod ziemniaki i siano dla krów. I to w małym miasteczku, a cóż dopiero w miastach? Jest, co prawda, u nas Akademia Nauk, ale na całą Białoruś, jak szeroka i długa, nie ma ani jednego dziecięcego żłobka

w macierzystej białoruskiej mowie… Są szkoły z angielskim, francuskim językiem wykładowym, ale na całą stolicę Mińsk nie ma ani jednej szkoły z białoruskim językiem wykładowym… Czyżbyśmy mieli zaginąć? Jakże mi żal mego ludu, nie ma już dokąd się cofać! O Boże, do którego nawet modlić się nam nie dają w ojczystej mowie. O, Rzymie, którego księża nie idą do nas ze słodkim i wiecznie mądrym Słowem Bożym i miłością, a z polityką wynaradawiania tych, którzy usiłują i pragną przetrwać jako naród, jako ludzie lepsi…

Oderwałam się od łagru. Tak nie chce mi się pisać o nim, tak ciężko jest powracać myślami do tego piekła. Boże, który w bezdennej beznadziejności zabrałeś krwawego Stalina, zlituj się nad ludem, którego ziemia przesiąknięta jest łzami i krwią jego zamęczonych synów. To dom nasz, to ziemia przodków naszych i myśmy przetrwali tu wieki. Za nami śledzą, nas prześladują, nas, którzy myślimy o narodzie, i godzą nożami w nasze serca…

A w łagrze mijały lata. Najczęściej zdejmowanie torfu. „Trzeba budować – mówili konwojenci – my tu jeszcze przywieziemy i Anglików, i Amerykańców, dla nich budujemy…". Niezły apetyt! A tymczasem arcybiskup Canterbury[289] szukał punktów stycznych swojej wiary z komunizmem i swoich myśli z myślami Stalina i jemu podobnych. O tym czytaliśmy w gazecie Komi ASRS, jakiejś tam, pewnie „Siewiernej"[290] Prawdzie. Ach, sir z Canterbury, mówiliśmy, gdyby tak ciebie przegonić trochę na naszym miejscu, to byś wiedział może, nierozumny staruszku, z kim należy rozmawiać i do kogo się zwracać, i o co zabiegać dla ludzkości na twym odpowiedzialnym stanowisku. Nie wyciągaj ręki do tych, którym nie podałaby swojej mądra praktyką życiową prosta ukraińska kobiecina. To się na debaty nie nadaje, jak nie nadaje się do życia. Ktoś powiedział, że gdyby robili komunizm uczeni, to by go najpierw wypróbowali na psach… „Taki element, który tutaj przemarzł, nam już nie straszny" – mawiało naczalstwo.

Daleko pozostało to, co się nazywa życiem, a to takie proste: głos syna, mąż powracający z pracy, wspólne obiady, koleżeńskie wieczory. Radio i miękki fotel, wygodne łóżko, cisza, ciepło, książka. Serce boli, gdy to wspominam, po prostu serce przestaje bić i cały organizm ogarnia paraliż, gdy zaczynam tylko myśleć o synu. Śni się wielka cela, więźniowie, więźniowie, a pośród nich mój syn, już młodzian, blady, wymizerowany. Podchodzi do więźniów i mówi: „Ja wam dam prosa, a wy mi kawałeczek słoniny…". Co za sen? W każdym łagrze jest wróżbitka, jakaś starsza mądra kobieta, która objaśnia sny. Zwróciłam się do takiej. Spojrzała na mnie smutno i mówi: „Gdzieś posadzili paninego syna, niespokojnego

chłopca, i prosi jedzenia u ludzi, proso – to prosić". I była to prawda, o czym dowiedziałam się później.

Jestem chora. Brygada nasza wychodzi na obiekt, a mnie zostawiają w baraku. Dyżurne szorują miotłami drewniane deski podłogi, palą w piecach, na które węgiel jest surowo normowany nawet tutaj, gdzie się go wydobywa. Zasnęłam i z krzykiem porwałam się z nar, krzyczę, szukam syna, który jak mi się wydaje, był tutaj tylko co, jeszcze czuję na ramieniu dotyk jego ręki i słowa: „Wstawaj, mamusiu, poniesiemy z tobą na Nowy Rok choineczkę na cmentarz…". Boże mój, cóż to znaczy? Cała jestem rozdygotana, a przez drzwi wpada stado dozorczyń i zaczyna się szmon czyli rewizja. Posłanie na narach całe przetrzęsione i porozrzucane, mnie obmacują. Wytrenowane ręce wymacują zaszyty w waciaku obrazek święty, oblicze Matki Boskiej. Kiedyś wyszyły mi go na szmatce Ukrainki we Lwowie. Jaka szkoda! Mam jeszcze jeden, ale tego szczególnie mi żal, bo na nim były wyszyte trzy litery: BBB (Boże, Broń Białoruś).

Dziś Wigilia. Wracają brygady. Komuś udało się przenieść pod buszłatem małą choineczkę. Boże mój, Święty Wieczór… „Pani Łarysoczko, zrobymo Swiatyj Weczir"[291]. A ja wciąż jeszcze mam w oczach syna. Jak dobrze, że można jeszcze komuś pomóc, zwłaszcza dzisiaj… Dziewczęta od dawna już gromadziły sardelę. Nie zjadały kawałeczków ryby. Gdzieś w suszarni czy kotłowni ugotowały kutię i kompot. Ktoś ma konserwy, ktoś inny jabłka czy garść orzechów z paczki. Wieczór. Stoi choineczka na jedynym stole. Prowizoryczne stoły zrobiłyśmy z nar, takież ławy już przykryte. Jest i kawałeczek prosfory, ktoś inny ma opłatek. Przyjęcie już na stole, wszyscy świąteczni. Wcześniej postarałyśmy się wydobyć jakieś drobiazgi z naszych worów przechowywanych w magazynie gospodarczym. Jest nas około czterdziestu osób, wszystkie wyciszone, po chrześcijańsku uroczyste. Jestem w białej bluzce na pierwszym miejscu, do mnie należy serdeczne przywitanie gości. Wspólna modlitwa. Wstaję. Cisza… Nie potrafiłabym powtórzyć tego dzisiaj, co mi wtedy podyktowała nasza dola gorzka i zwodnicza, miłość do rodzin naszych i ziemi, tęsknota za nimi i ta siła, która każe nam nie poddawać się i przezwyciężać przemoc. W oczach mam syna. Gdy nadchodzą dozorczynie, u nas wszystko już pochowane i tylko w sercach jasność, a po ich wyjściu nie milkną długo kolędy.

Nadchodzi Nowy Rok. Do mnie wszyscy odnoszą się jakoś dziwnie, mijają, milczą. Cały łagier… Boże, co się stało? Ełka zaprasza mnie do kina, kupuje bilet. Nie pamiętam, co pokazywano. Ona pochyla się do mnie i prosi, żebym nie

zaczęła krzyczeć, każe dać słowo. Daję. Wtedy mi mówi, że przyszedł telegram o śmierci taty mego męża. Dadzą mi ten telegram po Nowym Roku. Nawet łagrowe przygłupy współczują… Jakoś tak jak z tym sądem nad moimi przyjaciółmi. Zamieniam się w sopel lodu, ale nie krzyczę. Ełka prosiła mnie, żebym się trzymała, bo mogę w tym szoku powiedzieć coś, czego mówić nie wolno. Donosiciele tylko na to czekają. W baraku jęczę, mówię to, co powiedziałby każdy normalny człowiek na moim miejscu! To przez nich, przez nich giniemy pojedynczo, zapomniani, chorzy. Ełka w panice, a ja pluję na wszystko, czym mnie straszą! No więc… choineczka na cmentarz na Nowy Rok… Śpij spokojnie, drogi tato mego męża, wieczne odpoczywanie tobie, drogi mój, który byłeś i moim tatą, drogi mój zadręczony, zastraszony, opuszczony i okradziony nawet po śmierci.

Chłopcy już zarabiali i któryś z nich przekazał mi trochę grosza. O jakże poczułam się bogata! Kupiłam od kogoś okulary, bo bez nich już nie mogłam czytać, i zamówiłam u mniszek w obozie panichidę po tacie. Nie płaciło się im, tylko kupowało się w kramie łagrowym trochę cukierków, jakich herbatników kruchych, jeśli były w sprzedaży, i po całym nabożeństwie żałobnym odprawionym jak należy częstowało się wszystkich obecnych.

Wybiegłam nieco w przód, to już musiało być po śmierci Stalina lub tuż przed nią. Jakieśmy były głodne! Jak pragnęło się bulby, zwyczajnych parowanych kartofli, którymi na Białorusi karmi się świnie. Gdy naszą brygadę brano na „przechowalnię warzyw" dla naczalstwa, rzucałyśmy się wprost na kartofle. „Pani Łarysoczko, a można nam krasty?"[292] – pytały się drogie Ukrainki. „Ile wlezie – powiedziałam. – Wolno nam brać wszystko z jedzenia i łachmanów, żebyśmy nie pozamarzały, to żaden grzech, nam oni zabrali wszystko". Czasem przysyłano cebulę z Gorkiego i myśmy się na nią rzucały jak na jabłka i gryzłyśmy nie czując, że gorzka – tak smakowała. Czasem była marchew, a czasem kapusta, którą zjadałyśmy całymi główkami, aż nas rozdymało.

Opowiadano, że najgorzej było po 45. roku. Panował głód i ludzie marli. Szczególnie wielu marło więźniów z krajów nadbałtyckich. Bardzo źle znosili udrękę głodu. Trupów nie oddawano. Chowano między sobą, żeby na zmarłych otrzymać racje. Mówiono, że ktoś podjął próbę ucieczki. Starczyło mu siły, żeby dobiec do pola z turnipsem. Jest na północy taka odmiana wodnistej brukwi. Utknął tam. Był nieprzytomny, pożerał ten turnips z piaskiem i gdy go naganiając zastrzelono i otwarto jamę brzuszną „w celach naukowych", w trzewiach tego

śmiertelnie wychudzonego „muzułmana" było tyle turnipsu, że z punktu widzenia „naukowego" było to całkiem niewiarygodne.

Pewnego razu do przechowalni warzyw przywieziono ziemniaki z Białorusi. Jakeśmy się im przyglądały! Konwój okazał się przyjazny i pozwolił nam ugotować je w jakimś brudnym wiadrze. Jedliśmy je jak tort, jak najwymyślniejszy delikates. Smakowały jednakowo przedstawicielkom wszystkich narodowości. Każda z nas schowała po ziemniaczku i, przeszedłszy pomyślnie szmon, zaniosłyśmy je naszym chorym w zonie, jak często szmuglowałyśmy cebulę, czosnek czy w ogóle coś, co dało się zjeść.

Jest w tym państwie kategoria społeczna, która się zowie „błatnyje" – złodzieje, złoczyńcy. Trzymano ich w osobnych łagrach „kryminalnych". Przerażający element, który miał na sumieniu wszystkie kategorie grzechów i wszystkie potępione przez religię i przez kodeks ludzkich praw zwyczajowych przestępstwa, poczynając od zabójstwa. Być może był to rodzaj protestu wobec sowieckiego ładu, ale ten właśnie ład potrafił ich wykorzystać przeciwko nam, tak zwanym „kontrom", czy też innym ludziom idei. Jednym słowem, przeciwko normalnym ludziom. „Błatniacy" w swych łagrach przymierali głodem, więc tak czy owak zdechnąć trzeba, to może jednak lepiej tam, gdzie są ci polityczni z paczkami. No i wystarczyło jakiejś Kowalskiej krzyknąć na cały głos, że ona nie jest człowiekiem sowieckim, lecz, dajmy na to, wnuczką Trumana[293] (był wtedy prezydentem), jak ją chwytano, rzucano do więzienia i dawano jej za taką zdradę 25 lat! Oczywiście, zsyłano takich do naszych łagrów. Te Trumanowe krewniaczki były najgorszym postrachem dla nas, poczynając od ich słownictwa. Mogły nas okraść, zabić, zarżnąć. Ich „najwyższy wymiar kary" ani się od tego nie zmniejszał, ani rósł. Miały własny żargon gęsto przepleciony przeróżnymi wiąchami ruskich piętrowych przekleństw. Właśnie takim kreaturom powierzano funkcje naszych brygadzistów czy strażników. Anna Pietrowna Skrypnikowa, z którą spotkałam się w Dubrawłagu w Mordowskiej ASRS, niekiedy wypowiadała się szczerze o łagrowym kierownictwie i porządkach. Wtedy ją zamykano w BUR-ze z kryminalistami, którzy rzucali się na staruszkę (przebyła w łagrach 22 lata) i rozbijali jej głowę do krwi. Później na jakimś etapie Ukrainki, którym zafundowano kryminalistów, dały im taki wycisk, że tego rodzaju praktyki nieco ukrócono. Kryminalni jednak szanowali ludzi odważnych oraz takich, których szykanowało naczalstwo. Trafić, na przykład, na tablicę honorową w łagrze to była dla nich największa hańba, zwłaszcza gdy byli „w zakonie". Nie lubili pracy, a gdy trzeba było

coś rozrzucić, rozwalić wtedy mówili: „Burzenie to nie budowanie, serce nie boli". Z tych różnych powodów dość dobrze odnosili się do mnie. Pamiętam taką jedną Kaćkę, czarną, wysoką, która pewnego razu z dumą oświadczyła, że poważa mnie, bo jestem takaż odważna jak ona i nikogo się nie boję. Zaczęła mi opowiadać, jak udusiła koło latryny swoją kumpelkę, a później pomagała zgładzić jeszcze kogoś tam… Naliczyła 6 osób. Nigdy by do niej nie dotarło, że ja omijałam robaka na ścieżce, bo on także chce żyć, i że moja odwaga płynie z całkiem innych źródeł i diametralnie różnym celom służy. Gdy nas, niespokojny element, mieli wywieźć na „Nową Ziemię" (tak mówili), to Fryma Borysowna, którą sądzono jako Żydówkę, bo chciała zatruć studnie w Leningradzie – wszystko, oczywiście, wyssane z palca – przeraziła się, że właśnie tam ją kryminalni zarżną. Kryminalnych to oburzyło, więc przyszli do mnie i mówią: „Proszę nie bać się nas, my panią szanujemy, i jeśli panią powiozą z nami na „Nową Ziemię", my pani nie skrzywdzimy, ale tę Frymę Borysowną, k….., wykończymy tu na miejscu". Musiała Fryma Borysowna wykupić się jakoś u naczalstwa, bo nigdzie jej nie wywieziono, za to nas wysłano do Abiezi z kryminalnymi, ale to było później.

A tymczasem biegła moja korespondencja z łagrami męskimi. Później zaczęłam wiązać korespondencyjnie przyjaciół między sobą, żeby powstała cała sieć kontaktów między nami. Pisały też już na całego nasze dziewczęta. Siedziały za to w BUR-ach, ale pisały, bo tak lżej było żyć. Powstała u nas spójna białoruska rodzina. Jak mogłyśmy, tak podtrzymywałyśmy siebie nawzajem. Często, gdy przechodziłyśmy koło, na przykład, OŁP-u nr 1 do pracy, przyjaciele mnie poznawali i różnymi gestami zapewniali o swej jedności, niezłomności i braterstwie. Niewiele z tego dostrzegałam przez łzy, a dziewczęta, nawet „stukaczki", do tych przejawów więzi rodzinnych wśród Białorusinów odnosiły się niemal nabożnie. Rodzina nasza doprawdy była czymś nabożnie wzniosłym, godnym naszej Matki Białorusi. Lecz tak się działo do czasu. Wróg się przeraził i począł werbować różnych Szapowałów, innych dezorientować, zastraszać i rozrzucać po różnych łagrach. Jednak nic dobrego nigdy do końca nie ginie. Ono żyje i dzisiaj. Nie pomylę się, jeśli powiem, że Białorusini trzymali się najszlachetniej i najsilniej.

Czas pełzł, przyszła jesień, wożono nas na różne obiekty, czasem po 12 kilometrów. Wtedy „pisałam" w pamięci swe wiersze. Pamięci w żaden sposób nie mogły przetrząsać dozorczynie, jak również dusz naszych i serc. To wielkie szczęście. Gdy mi się trafiał papier i ołówek, a jeszcze chwila zacisza bez naczalstwa i delatorów, wtedy przepisywałam swoje wiersze i rozsyłałam do przyjaciół.

Cząstka mej duszy – jako glukoza dla nich. A jak okrutnie mnie śledzono! Grypsiki pisane drobniutkim pismem zszywałam i chowałam we włosach, w wacie waciaka, w butach, w trzewikach itp. Odważne dziewczęta napełniały grypsami rękawicę i rozchylając szeroko waciak na szmon tak manewrowały, żeby rękawica nie trafiła tym żmijom na oczy. Gdy kazano zdjąć obuwie, potrafiły sprytnie dwa razy zdjąć but z tej samej nogi, żeby w tym drugim przenieść grypsy. Na obiektach, gdy niedaleko pracowali mężczyźni, myśmy na przykład wynosząc torf potrafiły uszkodzić swoje nosiłki czy taczki. Robota stawała, wtedy jeden z konwojentów ściągał do nich mężczyzn. Ci z kolei mocowali gipsem czy deszczułką z gwoździem w jakim kąciku czy rogu swoje grypsy. Myśmy łatwo kilofem dobywały cenny ładunek i rozdawały komu trzeba. Pozostałe odnosiłyśmy innym w zonie. Dzień bez grypsu był dniem żałobnym. Gdyby nasza nienawiść nie rozładowywała się w tych działaniach, porozrywałaby nas jak dynamit. Dewizą naszą było angielskie „keep smiling". Wiedziałyśmy, że płacząc prędzej się wykończymy. Wynajdywałyśmy powody do śmiechu, żeby zapomnieć obrzydłe otoczenie. Cóż mogło nas, nieszczęsne, czekać jeśli nie śmierć od tego najstraszliwszego ze wszystkich Gruzinów przez wszystkie wieki. Wolność pachniała nam ciepłem domowym i chlebem, tylko nie perfumami! Nienawidziłyśmy ich, wzdrygałyśmy się na najlżejszy ich ślad w powietrzu. Rzecz w tym, że wszyscy czekiści, sędziowie śledczy i ten ich gatunek bardzo zabiegał, żeby pachnieć różnymi różami, goździkami. Zagłuszali tym fetor własnych sumień, czy może chcieli się tym sposobem wyróżnić pośród tej niewolniczej masy, cuchnącej potem – nie potrafiłam tego zdefiniować. Długo potem perfumy przypominały mi te kanalie i ich psy. A wszystkie dobre, miłe pieski przypominały mi tamte owczarki, którymi spotkano nas na dworcu w Mińsku, które nas osaczały w naszych zonach i w komitywie z konwojentami odprowadzały nas do roboty na obiektach.

Jesień. Rankiem wyruszają brygady, długi ich sznur i ponurzy jak deszczowe niebo konwojenci. Prowadzili nas niedaleko. Już podczas pracy poczuliśmy, że coś się musiało stać, bo konwojenci nasi dostali szału. Po powrocie do zony dowiedzieliśmy się, że koło Inty zastrzelono Halę Gotes. Była to Polka. Do 10-letniego wyroku dołożono jej jeszcze trzy za jakąś wcześniejszą sprawę łagrową, ale ona i ten termin już dopracowywała… Jak żal!.. Miała cudowną córeczkę Natę. Życie i instynkty są nieporównanie silniejsze od naszych idei, gdy udręka ciągnie się całe dziesięciolecia, wiec w łagrze były dzieci, i to niemało. Były to dzieci kobiet, które z wolności zostały zabrane w odmiennym stanie. I dzieci z przypadkowych

spotkań z kierowcami podczas ładowania piasku na obiektach czy wyładowywania węgla itp. Takie właśnie dzieciątko miała od Ukraińca Hala. Łagier nasz groźnie zamilkł. Nienawiść, pragnienie zemsty i przygnębienie własną bezsilnością wypływały łzami ze wszystkich oczu. Pierwsze przyszły do mnie Polki: „Co robić, pani Łaryso, co robić?". Halę rzucono na wartownię, a że ta była przechodnia i ciasna, ludzie przestępowali przez jej zwłoki. Z Zosią Andruszkiewicz, dobrą dziewczyną, poszłyśmy prosić, żeby oddali nam Halinę. Dozorcy po dłuższym namyśle pytają mnie, czy mogę zaręczyć za spokój w zonie. Powiedziałam, że mogę. Wydano nam zwłoki. Błyskawicznie ustaliliśmy co kto robi. Znalazły się jakieś kwiatki, w zonie niebawem pojawiły się nawet wieńce, my z Zosią umyłyśmy ciało. Maleńka ranka poniżej brzucha. I wszystko. Ich brygada podbierała ziemniaki, te takie wodniste, rzadziutkie… Ciężarówka, do której je zsypywano, stała za ogrodzeniem ze sznura, którym żeśmy zawsze same musiały się otaczać. Poszła je wysypać i Hala, i wyszła poza ogrodzenie: zastrzelono ją[294]… Dziewczęta przychodziły, kładły palce na ranę, szeptały coś, przysięgały. Moskwiczanka Regina Tarasowa, której matka była Francuzką, przyniosła z paczki wielki kawał batystu. Mała Nataszka nic o mamie nie wiedziała i wciąż o nią pytała, więc ją jakoś pocieszano, oszukiwano. Wieczorem złożyłyśmy Halę całą w białym batyście na łagrowy sfatygowany wózek, przykryłyśmy wieńcami i wszystkie razem odprowadziłyśmy ją na wartownię. Wrzasnęła dziko na nas dozorczyni, gdyśmy ostatni raz całowały martwą twarzyczkę: „Jutro zastrzelimy wam następną…". Dumnie milczące, wzięłyśmy to sobie pod uwagę, obiecując w duchu pomstę. Na wartowni podług prawideł uderzono trupa młotkiem w głowę (może żywa?) lub przebito bagnetem. Wreszcie powieziono ją na męski OŁP na sekcję zwłok. W Sowietach wszystko jest „po naukowemu". Zosia Andruszkiewicz chciała Nataszkę Haliny przybrać za córkę, ale jej nie pozwolono…

Następnego roku wszystkich wywieziono za zonę, ale nas z Jelizawietą Rodionowną zostawiono. Ona była żoną premiera Rosyjskiej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Sowieckiej. Jej męża rozstrzelano po wojnie, a ją jako żonę rozstrzelanego skazano na 10 lat łagrów. Była z nią Oksana Kubatkina, jej mąż był zdaje się jakimś generałem od KGB. Oksana Kubatkina była wielką zwolenniczką bat'ki Stalina, nie bacząc na to, że on skazał na śmierć jej męża (jednego z inicjatorów 25-letnich wyroków dla swoich ziomków) i porozrzucał po łagrach całą resztę rodziny. Starała się szczerą pracą zamanifestować swe oddanie rządowi. Ta jej praca polegała przeważnie na zaganianiu do roboty innych, bo sama była

brygadzistką. Radziła sobie z tym w ocenie naczalstwa znakomicie, zaś oceny innych nie interesowały ją. Wspaniale posługiwała się plugawymi przekleństwami, żeby dowieść swej przynależności do proletariatu, ale zgrzytała zębami, czytając listy syna, który również był w łagrze. Młodszy był przy starej babce, a ich oboje nazywano wrogami ludu. „Nie myślałam, nie wiedziałam, że u nas dzieją się takie rzeczy" – narzekała często Kubatkina. Rodionowna była osobą bardzo taktowną i sensowną. Miała trzy córki. Starszą jej narzeczony, nie przeraziwszy się wszystkich represji, nie zawahał się wziąć za żonę, młodsze zaś mieszkały u jej siostry. „Łaryso Antonowna, wzywano mnie w pani sprawie i powiedziałam im, że Lucja Antonowna – to mieszczanka, podczas gdy pani – to prawdziwie głęboki umysł…" – „Przysłużyła mi się pani nie najlepiej" – zaśmiałam się.

Tak więc jesteśmy razem w zonie, a dziś mają zabierać z zony dzieci dwuletnie i starsze. Mają je rozwozić do domów dziecka. Większość matek wywieziono z zony, ale nie wszystkie. W jednym zakątku naszego łagru był drugi łagier też odrutowany kolczasto i z wartownią. Tam mieszkały tzw. wolne dzieci. Zarządzało nimi wolne naczalstwo i bardziej zaufane przygłupy. To były dzieci urodzone przez kobiety jeszcze na wolności lub które zaszły w ciążę w łagrze. Tylko na czas choroby wolno było położnicy mieć noworodka przy sobie, potem je zabierano i matkę dopuszczano do dzieciątka tylko na karmienie. Po skończonym karmieniu kontakt z dzieckiem był dozwolony tylko raz w tygodniu, jeśli nie wymyślono jakiejś epidemii. Matki zrozpaczone biegały wzdłuż ściany z kolczastego drutu i często wprost rzucały się na te druty. Odwieczne święte macierzyństwo i jego naturalne przejawy były tu karane i wyśmiewane. A biedne matki pośpieszają z pracy tam, gdzie są ich dzieci. Z mizernego przydziału cukru, który otrzymują, warzą jakieś nieprawdopodobne cukierki, chowają kawałeczki ryby, herbatniczków czy co mogą wyprosić od tych, którzy otrzymują paczki, albo i przywłaszczyć… Koło dziecięcej zony nieustający płacz, a dzieci, jak pisklęta do kwoki, blade, wystraszone rwą się tylko do mam, i chociaż widzą je nader rzadko, poznają swoje mamy i bardzo je kochają. Mamy umierają ze szczęścia koło nich. I oto dzisiaj te dzieci zostaną zabrane. Patrzymy z przerażeniem, jak nad łagier nadlatuje chmara gawronów i krąży nad nami. Zrobiło się ciemno od nich, zakrakały, zawrzeszczały i nam mróz pobiegł po skórze. Do zony wjechały autobusy, rozszczekały się psy, bluznęli przekleństwami konwojenci i począł się płacz, lament, wycie rozdzierające duszę, jak na przedśmiertnych mękach. Takiego lamentu nie bywa nawet po zmarłych. Struchleliśmy. Podejść bliżej nie było wolno. Rozjuszeni

konwojenci gotowi otworzyć ogień. A gawrony wciąż krążyły i krążyły, krakały, nie uciszało się ptactwo, jak gdyby przejęte bólem człowieczym. „Nie wiedziałam, nie wiedziałam, że coś takiego u nas jest możliwe…" – szeptała pobladła Rodionowna. – „A za co zabito pani męża?" – zapytałam. „Współczuł swemu narodowi, pragnął dobra dla niego" – cicho wyszeptała w odpowiedzi.

Autobusy odjechały, krzyk stawał się ochrypły, przyduszony. Gdy podeszłam do baraku, trwały jeszcze zabiegi cucenia omdlałych… Na narach leżała prawie nieżywa Sonia Świda. Pracowała w łagrowej aptece i czarniutką swą Katiuszę udało jej się zatrzymać przy sobie dłużej. Ojcem Kati był lekarz, jakiś przedstawiciel mniejszości narodowych. Sonia często mawiała: „Kacia ma cudowne włosy, ale muszę jej zaplatać czterdzieści warkoczyków, jak nakazuje tradycja jej ojca". Sonia dla niej rysowała książeczki, pisała bajki. Miała tylko ją jedną na całym świecie. Teraz leżała prawie nieżywa. Nie wyła. Była kiedyś damą i jeszcze nią zostawała. Tylko dobywała z siebie nieczłowiecze jakieś agonalne stękanie… Jeszcze gorzej było, gdy do zony powróciła reszta matek. Długo nie ucichało lamentowanie… Rodionowna i Kubatkina były okrutnie oburzone. Można by pomyśleć, że one tam, na górze, doprawdy nic nie wiedziały o liczbach niewolników i o ich udrękach. Obie zresztą, gdy się ze mną żegnały, miały jedną i tę samą prośbę do mnie: „Łaryso Antonowna, proszę panią, niech pani pozostanie na zawsze taką, jaką pani jest". I ja im to z chęcią przyobiecałam. A dziatki w tych domach dziecka pozamieniano. Rodzinom, które przyjechały po odbiór dzieci, często oddawano nie to dziecko. Z domu przysyłano fotografię i wybuchał lament. Dziecko jakiejś rosyjskiej matki zawieziono aż hen, do Galicji. Jaki był los Natki[295], nie wiadomo. Całkiem możliwe, że może już nie żyć… Jeszcze Polki zwróciły się do mnie, żebym dla nich napisała wiersz o Halinie Gotes. Prosiły, żeby był po rosyjsku, żeby wszyscy mogli przeczytać. Powiozły go ze sobą do Polski. Nie pamiętam całego wiersza, tylko to:

Dzień jesienny od rana zalewał się łzami.
Pod naczalstwa nadzorem zajadłym
na wykopki z widłami, na torf z kilofami
szły pracować kobiece brygady.
Konwojenci gotowe do strzału Mosiny
z bagnetami ostrymi na broni
prosto w plecy tych kobiet nieszczęsnych, niewinnych,
nie we własnej kierują obronie.

Naganiają kobiety jak w stado owieczki,
pokrzykując im wciąż do znudzenia:
„Krok na lewo, na prawo – to próba ucieczki.
Strzelam celnie i bez uprzedzenia".
Ciągną szare, zmoknięte, bez słowa, bez siły:
„Naprzód, mać twoja taka-owaka!"
Deszcz je moczył, a z oczu im łzy się toczyły
i ściekały na torf po waciakach.
....
Halę zastrzelili.
Może gdzieś za morzami rząd jakiejś kolonii
w tej połowie dwudziestego wieku
na safari pozwoli dać ognia do słonia…
A tu możesz strzelać do człowieka!
Zastrzelili, spisali to życie ad acta,
zaoszczędzą jedną rację chleba.
Jak ktoś bolał nad życiem, to tylko Minłag tam,
i polarne łzawiło się niebo.
Przysięgały na wszystkie świętości dziewczyny:
„Pomsta! Pomsta za strzał ten niedługo!.."
Lecz odpowiedź im dała już zła nadzorczyni:
„Jutro my zastrzelimy wam drugą!"
Ale myśmy klęczące przy Hali wierzyły:
„Nim się jutro zaspane przebudzi,
będzie nasze! W nas dobro zgromadzi swe siły.
Jutro lepsi tu będą już ludzie…"

Ciężko o tym pisać. A ofiar były tysiące, mogilnik po nich ogromny.

Była w naszym łagrze jeszcze jedna zona: dla świń. Też były karmione według racji, lecz u nich racja była suta, normalna i w porównaniu z nami one żyły jak „gatunek panów". Każda świnia miała swoją klatkę i wszystkie świńskie wygody, kulturalnie, jak tu powiadają, i przykładnie. Nie wiem, kto jadał mięso z tych świń, myśmy jadły sardelę i śmierdzące podroby z reniferów[296]. „Olenina (o'Lenina, o'Stalina)"[297] – mówiłyśmy. Poza tym jadłyśmy kiszone dolne czarne liście kapusty incińskiej, z piaskiem, notabene. Główki były dla naczalstwa. Tę kapustę

obłędnie przesalała Flądra, pewna nasza rodaczka od siedmiu boleści, niejaka Nowik. Flądra – dlatego, że jedno oko miała wyłupiaste (Pan Bóg szelmę skarał). Jeszcze była jedna taka Raisa Nowikowa oraz Maria Mielnik, która kiedyś była specjalną niemiecką Mädchen für alles[298] i katem, a w łagrze – Judaszem. Gwoli sprawiedliwości nie powinno się ukrywać „swoich": właśnie te zapamiętałam z najgorszej strony, każdą na swój sposób… A jeszcze jadałyśmy zupy z naci rzodkiewki ze zgniłą rybą. Można spróbować ugotować taką zupę, żeby wiedzieć, jaki ma smak… zresztą czegośmy tam nie jadały!.. Ale dawano nam też po oładce na oleju, nazywając to szumnie „pączkiem", głośno to zachwalając! A reszta racji – nie zawsze podobna do ludzkiego chleba i jeszcze żuj-pluj, czyli owies z plewami, z którego zupa, kasza, a w święto – nawet kotlety. Zachodziłyśmy w głowę, jak ci Anglicy mogą to jeść całe życie. Z pewnością jednak nie jedzą tego na sucho z plewami i nie postne. Może trafiałoby się nam też coś lepszego, ale przy łagrach żywiło się mnóstwo naczalstwa, zwłaszcza wokół zaopatrzenia. Racji świńskich to bractwo nie zjadało, więc wygrywały na tym świnie…

Katorgą dla nas były etapy. Przyjeżdżali kupcy. Zwykle byli to bossowie z łagrów, które obsługiwały budowy. Każdy szef łagru potrzebował pozbyć się starych i zdobyć młodszych. Nas zaganiano brygadami. Najpierw oglądały nas łagrowe lekarki czy lekarze (ci ostatni – skończeni łajdacy) badający nas na ciężarność, nie myjąc rąk… Potem obnażone do pasa podchodziłyśmy do stołu, za którym zasiadali lekarze, kupcy i naczalstwo. Zaglądano nam w zęby, obmacywano, kręcono głowami i albo brano nas na ewidencję etapową, albo krzywiąc się odrzucano. „Towarem chodliwym" byli podówczas urodzeni w roku 1930. Niekiedy wywożono takich aż do Karagandy. Wszędzie to samo! Do nas przybywały uzupełnienia z wolności, i to dość obfite… Na Incie długo była z nami Sonia Radek. Była przygłupem. Francuzka Piret gwoli „sławy Francji" starała się pracować razem ze wszystkimi. Była wiecznie nadęta, a może pycha ją rozsadzała, że jest kimś lepszym od nas… Rozmawiała z nią niejaka Uhrymowa (chyba tak), która wraz z mężem z patriotycznych przesłanek powróciła z Francji „do Ojczyzny". Ich z Odessy, zdaje się, wprost ze statku dano na Intę. Pracowała jako artystka malarka. Malowała karykatury na temat różnych łagrowych wykroczeń, na przykład jak matki przeciskają się przez okienko w drucie kolczastym do swoich dziatek. Oczywiście ani ta, ani inne tego typu karykatury jakoś nas nie śmieszyły… Była z nią również jej siostra Wołkowa, która starała się przekonać mnie, że „epoka" stalinowska to najsławniejszy czas historii Rosji. O czym więc było tu rozma-

wiać z durniem? Przyjaźniłam się blisko z Lucyną, a gdy ją odwieziono do Abiezi, zaprzyjaźniłam się z dobrą kobietą Olgą Fociuk, z Olgą Moroz, ze swoimi dziewczętami, wobec których, szczerze mówiąc, żywiłam pewne obawy, z małymi wyjątkami. Wywierano na nie szczególny nacisk, a my – jak koty w worku. Często któraś z nich mówiła do mnie: „A teraz pokłócimy się, nie będziemy ze sobą rozmawiać ani spotykać się …". Dziękowałam takiej dziewczynie za to, bo wiedziałam, że każą jej na mnie donosić, więc wygodniej było się „pokłócić".

Taktyka się nie zmieniła, tak postępują ze mną i dziś. Dziś także chodzą po ludziach i wymyślają na mnie różne rzeczy, podobnie jak w łagrze. I tu, i tam nie dawano temu wiary.

Różnie bywało, ale w łagrze byłam słuchana. Organizowałyśmy bardzo dobre koncerty: baletowe, montaże z oper, estradowe. Raz zaproponowałyśmy dać coś ukraińskiego, myślałyśmy co, ale jedna z moskwiczanek tak brzydko się wyraziła o mniejszościach narodowych białoruskiej i ukraińskiej, że nas zwaliło z nóg. Koncert gotowy, a widownia pusta! Brygady nie ruszyły się z miejsca… Wystarczyło, że powiedziałam tylko: „Dziewczyny, tam dla nas nie ma miejsca…". Była to cudowna jednomyślność. Nawet przygłupy nie poszły… Później dawałyśmy również numery ukraińskie: pieśni, coś z „Zaporożca za Dunajem"[299] i chyba też z „Szelmuszki".

Naszą brygadę skierowano do jednostki wojskowej. Tam coś czyściłyśmy, porządkowałyśmy, a młodsze dziewczęta wzięto do mycia stołówki żołnierskiej. Zwykle szły tam niechętnie, chyba że na dworze zamieć. Wybiegły stamtąd jakieś podniecone z błyszczącymi oczami i od razu zaczęły szeptać, że słyszały w radiu, że zachorował Stalin. Nasza grupka – Ukrainki, ja i dziewczyny z republik nadbałtyckich – natychmiast zbiegłyśmy się, nie wiedząc jak powstrzymać swoją radość. „Wylew krwi do mózgu". Boże, Boże, czy choć dobrze zapamiętałam? Przecież to chyba śmiertelne, czyżby to koniec katuszy? Czyżby nas Pan Bóg wysłuchał? Kubatkina zaczęła zawodzić, inne przygłupy z żalem na twarzach, a myśmy ożyły! Podeszła do mnie zdeklarowana donosicielka Afanasjewa i mówi: „To był geniusz, nie uważa pani?". I co tu powiedzieć, a nuż jeszcze ożyje ta kanalia… Więc mówię: „Różne są geniusze, jasne i ciemne. Ten był najciemniejszy…". Wracamy do zony. Idzie nam się lekko, nadzieja maluje już wolność, syna, męża i wszystko co ludzkie, człowiecze. W zonie maratońskim biegiem śpieszę do wydziału sanitarnego do pierwszej lekarki: „Czy wylew do mózgu zawsze jest śmiertelny?". Prawie zawsze!!! Boże mój! Znaczy „kat wszech czasów" już nie wstanie.

Dla nas – święto. Jak dobrze, że dla niego nie ma ratunku!.. Kubatkina w walizie z rzeczami trzymała jego portret, których pełno było we wszystkich gazetach. Wydobyła go i płacze. Nieszczęsna dwulicowa kobieta posiadła wszystkie arkana przewrotności, żeby tylko zachować życie, chociaż zmarły już nie ożyje. „Rzuć go do diabła – mówimy – już jest nie straszny…". Śmieje się, zaczyna wierzyć w to, w co jej, Kubatkinej, uwierzyć trudno…

I już go nie ma… Gdzieś w Moskwie chowają go, a nam kazano w pracy stać przez minutę w milczeniu. Trudno tak stać, trudno milczeć, gdy Bóg uczynił sprawiedliwość. Spoglądamy na mordy konwojentów, uśmiechamy się: biedne wy sierotki bez swego „bat'ki", czy nie wstyd wam za wszystko?.. Nas wypuszczą jeszcze nie prędko, ale już powiał cieplejszy wiatr i ludziom lżej się oddycha.

Często mnie wzywają i pytają, na przykład, czy Natalla Arsienniewa[300] jest komsomołką, czy znam Klimowicza[301] itp. Właśnie zostawili mnie w zonie, pewnie znowu czegoś ode mnie chcą, ale czego? Z obiadu wzywają do opera. Wchodzę, siedzi niewysoki, niepokaźny człowiek w mundurze wojskowym i mówi: „Proszę usiąść, mam do pani sprawę. Tak mi było pani żal, że pozostawiłem dla odpoczynku". Wygląda, jakby nie kłamał. Wchodzi oper i od razu wrzask: „Wstać! Czemu pani nie wstaje, jak wchodzę!" – „Przyjechałam, a właściwie wywlekliście mnie z Europy, a tam kobiety, nawet uwięzione, przed mężczyznami nie wstają". Trzęsie mnie całą, a mały człowieczek w mundurze bełkoce: „I u nas kultura, i u nas bardzo kulturalnie…". Pytał zdaje się o Kałoszę[302], wszystko bardzo łagodnie, nic z gburowatości. Gdzieś tam już rodził się nowy chruszczowowski duch, ale wszystko to jeszcze bardzo oszukańcze i wierzyć nie było wolno nikomu i niczemu. Tu człowieczeństwa nie było i nie będzie, tu chytrość. Potem znowu przyjechał jakiś rudy „towarzysz", nawet nie zapytałam, kim był. Ten mnie zapytał, czy zdążyłam już polubić ludzi sowieckich. „Jakich? – pytam. – Proswietowa?" Powiedziano mu kim był Proswietow. Ten pozwolił mi pisać, lecz nie o kilofie, nie o łopacie, tylko po prostu o miłości do ojczyzny sowieckiej… O ironio!.. „Pani jeszcze oczy błyszczą" – mówi ten rudy. O tak! One mi będą długo jeszcze błyszczeć nienawiścią i pragnieniem pomsty na samo tylko wspomnienie o takich dyplomatach. Nagadałam mu tak, że aż pozapisywał. Kubatkinej i Rodionowej pozwolił wyjechać do Moskwy. Mnie poradził tylko, żebym korzystała z biblioteki, podczas gdy nie miałam okularów i nawet nadziei na ich zdobycie. Nie wiem kim był ten człowiek, ale miałam wrażenie, że oni wreszcie pojęli, że siedzę za nic. I jeszcze jedno zrozumiałam, że skoro pytają mnie, czy zdążyłam polubić ludzi

sowieckich, to znaczy, że mnie stąd nie puszczą… Dawno bym już wyszła z łagru, gdyby to było w Europie, nawet komunistycznej. Tam była jakaś logika w ludziach, jakaś konsekwencja, a tu o losach człowieka decydował Stalin i siła uczuć do niego. Nie, to w żadnym wypadku było dla mnie nie do zaakceptowania. Moja miła przyjaciółka Halina Wallace, żona kogoś z ambasady amerykańskiej, prosiła mnie: „Ty byś chociaż trochę pomilczała, a zobaczysz, że będzie ci lepiej, proszę cię, nie wypowiadaj się". Gdy pewien konwojent, którego za nieludzki stosunek do więźniów przezwałyśmy „Hitler", znęcał się nade mną mówiąc: „Ot, hrabina…" – to Halina podchodziła do mnie i sama na cały głos powiadała: „Tak, on ma rację, ty się po prostu wyróżniasz spośród nich…". Ona nauczyła się budować piece, co dawało jej możność przebywania w zonie, co by nie powiedzieć, w cieple.

Zeki odchodzili na etapy, przybywali nowi. Moja Olga Fociuk przebywała w jakiejś obcej brygadzie i rzadkośmy się widywały. Razu pewnego zjawiła się u mnie z dziwną prośbą. Jej brygadzistka prosiła bardzo, żebym do niej przyszła. „Jeszcze czego! – mówię. – Jak potrzebuje, to niech sama przyjdzie". Ale pani Ola tak prosiła, że wreszcie poszłyśmy. Spotkało nas czarnookie, smutne i bardzo ładne dziewczę. Była to Białorusinka Żenia Poźniak. Wzięli ją za SBM[303], gdy miała dokładnie 16 lat, i już kończyła swój wyrok – ciężkich 10 lat. Dosłużyła się do brygadzistki, ale wedle słów pani Oli, była bardzo ludzka. Poczęstowała nas jabłkami, najpewniej z paczki. Ja wymówiłam się, bo młodym gnilec jest straszniejszy, ale ona uparła się mówiąc: „Mnie się nie odmawia!" Zamyśliłam się. U nas niczego nie odmawia się tylko kobietom ciężarnym… „O co chodzi?" Żenia spojrzała mi z głębi swej duszy w oczy i przemówiła: „Proszę być mi jak matka. Jestem w biedzie. Mam rodzoną matkę, ale jej nie mogę tego powiedzieć, nie przeżyłaby…". Żenia była już w piątym miesiącu ciąży. Te, którym kończył się wyrok, wysłano w tundrę na sianobranie. Naczelnik, jakiś były kierownik budowy spośród więźniów, niemłody już i odpychający typ, szykanami, natrząsaniem się i nękaniem pracujących z dala od wyższego naczalstwa robił z ludźmi co chciał. Zakochał się w Żeni, krążył wokół naszej zony i czekał kiedy ją zwolnią. Wiedział, że ona jest w ciąży od niego. A ona go głęboko nienawidziła, brzydziła się jego moralnym upadkiem i nie była w stanie nawet o tym rozmawiać. Co miała począć? Powiedziałam krótko: dziecko należy urodzić, bo to jest przede wszystkim jej dziecko. Właśnie tu, gdzie wszystko jest zabijane poczynając od wolności człowieka, a kończąc na samej osobie ludzkiej – należy ratować życie. Sprawa

została postanowiona, Żenia się zgodziła bez oporu. Ale ja mam własną rodzinę białoruską, przede wszystkim dziewczęta. Opowiedziałam im wszystko spokojnie, włącznie ze swym postanowieniem, i począł się bunt! Nie może być tego dziecka, nie wolno go tu urodzić, trzeba je zniszczyć i zatrzeć ślady. Cóż, podejście do sprawy praktyczne i nader „po ludzku"… Nie mogłam tylko zrozumieć, jak mogą tak myśleć i mówić kobiety… Powiedziałam im, co o tym myślę ja i że maleństwo będzie żyło! „Odmawiamy poparcia dla takiego stanowiska!"– „No i dobrze. Ja to podtrzymuję. To piąty miesiąc. Nie można zabić tego dziecka…". Myśmy z Żenią wzięły na siebie ogromną odpowiedzialność. Ona już siedziała w baraku mamek i wyszywała. Wyszywała przygłupom, którym wciąż wszystkiego było mało. Za rację one wykorzystywały potrzebujących i szyły, szyły, szyły… szykowały sobie wyprawki, ale jakże one mogły patrzeć na te rzeczy – owoc niedoli łagrowej – w swoich domach? Zresztą kto takie bezduszne kobiety kiedy pokocha… A Żenia wyszywała dla nich i dla naczalstwa i miała nawet kopiejczynę z tego dla przyszłego dzieciątka. Powiadomiłam o tym przyjaciół i myślę sobie, co oni powiedzą? Jedni napisali od razu, że nie może być tego dziecka, bo ono nigdy w życiu nie powie z własnej woli „Żywie Biełaruś!"[304], a tylko „Wsiegda gotow!"[305] itd. Inni napisali: „Nam się to nie podoba, ale gdy powiesz, matko, to pomożemy". Jeszcze inni radowali się, że może to będzie jakiś poeta czy poetka, i jeśli będzie dziewczynka, to żeby Żenia dała jej najdroższe dla nich imię – Łarysa… A Żenia zacięła usta i nie narzeka, wszystko znosi, taktowna i mądra. Boże mój, przecież to jest życie, i niejedna, która tak Żenię piętnuje, ma na swym sumieniu nieporównanie więcej… Razu pewnego idziemy z roboty, a koło wartowni czeka na mnie chmara dziewcząt i winszują mnie z narodzinami mego wnuka! I tak być powinno! Żenia była lwica, nie matka, zazdrosna o swe dzieciątko i zakochana w nim. Niestety, zaatakowała ją gruźlica, musiała położyć się do szpitala i na pewien czas opuścić dzieciątko. Nie zgodziła się. Chciała chociaż tylko karmić je i doglądać!..

Miałam zostać karnie wywieziona. Nikt nie wiedział dokąd. Mówiono, że na „Nową Ziemię". Poszłam do Żeni. Ona rozpowiła dzieciątko i z płaczem padła twarzą na ciałko w dygocie i jękach. Podniosłam ją, pożegnałyśmy się. Kilka swoich rubli położyłam koło dzieciątka i wyszłam półżywa z tego szpitala. Sprawa skończyła się niedobrze. Żenia, pamiętając wypowiedzi przyjaciół, nie zwróciła się do nikogo z naszych. Była u jakiejś znajomej. Wielu chciało się z nią ożenić, ale żądali, żeby ona swe dzieciątko oddała do domu dziecka. Żenia nie zgadzała się

na to, a takimi mężczyznami pogardzała. Później zachorowała razem z dzieckiem. I gdy znaleźli się w obliczu najgorszego, zajrzał tam Gruzin Aleksiej. Z początku zaczął ratować dziecko, a potem i Żenię. Wreszcie ożenił się z nią. Czy go kochała, nie mogłam jej o to pytać. Byłam bardzo zła na naszych chłopców za to, że nie umieli się zdobyć na dobroć i wielkoduszność.

Po kilku latach, gdy mnie znowu przywieziono do Inty i myśmy z panią Olą, już wolne od konwojentów, chodziły czyścić w Incie śmietniki, pewnego razu, skończywszy wcześniej pracę, zaszłyśmy do Żeni. Mieli małą chatkę, marzenie wszystkich łagierników. Jura wyrósł, cały był jak Żenia, czarnooki i bardzo ładny. Aleksiej reperował instalację, a mały chodził za nim i postukiwał młoteczkiem.

„Proszę spojrzeć, jak mi mój syn pomaga" – powiedział z uśmiechem Aleksiej i do swej szerokiej piersi przytulił jego małą twarzyczkę. Musiałam bardzo się wysilić, żeby nie zapłakać przy nich. Później poprzynosiłam im swoje łagrowe drobiazgi, bo nas, „obcokrajowców", gromadzono już na bardzo daleki etap. Zawieziono nas do Dubrawłagu, do Poćmy w Mordowskiej ASRS.

Co się teraz dzieje z owym Jurą, nie wiem. Żenia napisała do przyjaciół, że swemu synowi da imię syna tej, którą bardzo kocha… Dziś jestem przykuta do Zelwy, do męża, do resztek starej chaty, ale moje serce nieraz zatęskni i westchnie do nich, tak bardzo mi drogich, bo bardzo ludzkich. Z radością przekonałam się, że Gruzja jest kolebką nie tylko Stalinów, ale i Aleksiejów.

Etap zapowiadał się daleki. Fryma Borysowna biegała po naczelnikach i zalewała się łzami, żeby tylko jej nie zabrano. Recydywistki kryminalistki przybiegały zapewnić mnie, że nikt mnie nigdy nie skrzywdzi. Niektórych zaczęto już z łagrów zwalniać, a nas zostawiano po kilka razy w zonie z przyczyny różnych formalności. Brygady powracały z pracy, a nam poprzyczepiano blachy z numerami i robiono zdjęcia. Wszyscy patrzyli na to z przerażeniem i wyraźną ulgą, że ich nie ma wśród fotografowanych… Przyjaciele moi byli zrozpaczeni. Wyrywali się pod drutami z roboty, żeby mnie jeszcze zobaczyć, bo nikt przecież nie wiedział, dokąd nas powiozą. Ja, Ola Moroz, Mila Bak jechałyśmy za to, że organizujemy ludzi, inne – pod różnymi pretekstami. Trzymałyśmy się jak zawsze. Ode mnie usłyszeli wiele prawdziwych słów, w niczym nie przypominających żalu za grzechy… Łagier płakał. Dziewczęta zbierały dla nas pieniądze. Ludzie rzucali się nam na szyje i lamentowali jak po nieboszczykach. Żal było z nimi się rozstawać. Tyle się z nimi przeżyło!.. Wreszcie konwojenci poprowadzili nas na stację i tu – zagadka: dokąd nas teraz porywają? Nikt nam teraz nie powie. Nasz konwój onie-

miał. Pociąg gna przez tundrę dalej i dalej na północ. Wokół coraz mniej lasu, coraz więcej krzewów… Przywieziono nas do łagru dla inwalidów w Abiezi. No cóż, to jeszcze nie takie najgorsze. Wprawdzie tu dotąd amnestia nie dotarła – bo to jeszcze bardziej na krańcu świata.

Zapomniałam napisać, jak po śmierci Stalina pewnego razu zebrano nas i po długim niepokojącym milczeniu zakomunikowano, że zdejmują nam numery i pozwalają na pisanie do domu co miesiąc. Dotąd wolno było tylko dwa razy w roku. Niektórzy piszczeli, płakali z radości, wysławiali partię itd. Ja poczyniłam złośliwą uwagę, że doprowadzono nas do tego, że nie mamy do kogo pisać i że numer nam nie ciężki… Wszyscy patrzyli na mnie ze złością, potępiając za jawną niewdzięczność i tylko jeden z kierownictwa popatrzył na mnie smutno z wyrazem poczucia winy na twarzy, jak gdyby w nich także budziło się coś człowieczego. Jeszcze zanim nas wywieziono, trzeba było mocno trzymać swój łagier, a także inne łagry, dopóki nas trochę słuchano. Czy się chce, czy nie, ludzi trzeba było zwalniać z łagrów. W radiu wyliczano przestępstwa Stalina, ludzie słuchali i klęli: za co nas tu trzymano paranoją i łgarstwem? Łagry zafalowały i naczalstwo przestraszyło się silnych jednostek na wolności. Sięgnięto w łagrach do prowokacji. Dzikich, przebiegłych azjatyckich prowokacji. Przekierować narastający gniew z wroga prawdziwego na samych siebie! To dopiero sztuka! Na przykład Ukraińcy biją się w łagrze z Litwinami! Biją się o słowa, ktoś coś powiedział i już jedni drugich załatwiają za drutami. Gdy jest po wszystkim, wtedy naczalstwo „mediuje" pomiędzy ofiarami jego prowokacji. Łagry polityczne, Boże! Ale co się dziwić: ludzie zdziczeli, rozbestwili się w ciągu dziesięcioleci bydlęcej wegetacji. Myśmy z Olą Moroz, Birutą Stumbryce i innymi roztropnymi dziewczętami nie dopuściły w swoim kobiecym łagrze do czegoś podobnego, chociaż objawy początkowe miały miejsce.

Bardzo rozumną dziewczyną była u nas Maria Martynowna, ale nazwisko jej, niestety, zapomniałam. To była Łotyszka, szlachetna, twarda i bezkompromisowa! Nienawidziła przygłupów i cały system zniewolenia i utrzymywania w niewoli widziała na wskroś. „Wie pani, Łaryso Antonowna, jak będę na wolności, w moim domu nie będzie teraz drogich mebli, ale na ścianach będą portrety moich ulubionych działaczy, przede wszystkim Winstona Churchilla, i to w każdym pokoju. Jeśli ludzkość go nie posłucha – zginie, i to zginie w wielkiej niesławie". Lubiłyśmy z nią rozmawiać o historii i na wszystkie inne tematy.

Listów nie otrzymywałam. Tata męża zmarł[306], mąż nie wiedział, gdzie ja jestem, a syna, jak żeśmy się później dowiedzieli, posadzono za chuligaństwo i bito

go, i pastwiono się nad nim jak chciano, tym razem polskimi rękami. Wszędzie istnieją szumowiny i wyrodki, i Polska także tą właśnie kategorią swych obywateli dogodziła swoim „wyzwolicielom", jak sami siebie wiecznie reklamują. Wiadomość o losie syna dotarła między wierszami również do Abiezi. Biedakowi musiały widocznie zaszkodzić moje wiersze, które konfidenci w rodzaju Szapowała wydali kanaliom na Incie. Przestraszono się, że syn pójdzie w ślady matki. Więc postanowiono załatwić chłopca tak, by się już nie dźwignął do pionu… Biedny mój syn, ale ja musiałam podjąć zmagania, żeby wszystkie dzieci na całej ziemi mogły być wychowywane i dorastać przy rodzicach, jak dorastają dzieci w świecie cywilizowanym, poznając zasady dobra, prawdy, honoru i miłosierdzia.

Czasem przywożono do nas kino. Za wejście trzeba było płacić, ale każdy się starał oglądać. Raz był film o młodym Caruso[307] i myśmy długo śniły o nim. Do kina puszczano przede wszystkim przygłupów oraz brygady robocze wykonujące plan.

W kultbrygadzie przebyłam prawie zimę. Z Tamarą Wierakso pracowało mi się dobrze. Była bardzo rada z każdego mego udanego wiersza. Do jednego z nich dobraliśmy muzykę i ona inscenizowała go jako numer baletowo-wokalny. Ciekawe to były koncerty, niekiedy na wysokim poziomie. Ale w tej brygadzie zgromadziło się też sporo donosicieli, jak Mara Ahranowicz, która łowiła mnie na słowach, czepiała się mnie i donosiła do naczalstwa. Zresztą nie ona jedna… Mówię na przykład: „Po co obawiać się mniszek nieszczęsnych, czyż zagrażają potężnemu państwu" – jak już Mara podnosi krzyk, że ja mówiłam o słabości Związku Sowieckiego. Ulokowano ją przy mnie i strach było powiedzieć słowo, tak wszystko przekręcała. A biedne mniszki, przeważnie Rosjanki, ciągle zapędzano do BUR-u i okrutnie prześladowano. Pewnego razu jakoś spotkałyśmy się z nimi i nakłaniały nas, żebyśmy nie pracowały, bo one uznają jedynie pracę na zasadzie dobrowolności, dlatego też nie akceptują kołchozów. Raz przywieziono około 30 mniszek, które nie chciały niczego państwowego na siebie włożyć ani spożywać. W niewoli – nie chciały nawet iść do łaźni, więc zaciągano je tam siłą. Wydzielano do tego brygady. Dziewczęta ciągną te nieszczęsne chudziny w ich własnych łachmanach, łata na łacie, a one wynędzniałe, straszne, tylko jęczą: „Hospodi pomiłuj, Hospodi pomiłuj!..". Zobaczyłam je kiedyś w łaźni, to były szkielety z wielkimi krzyżami na piersiach, przerażające, sczerniałe. Nawet Wiktor Hugo[308] nie potrafiłby opisać tej nędzy, w jakiej one wegetowały. Kiedyś zabrano im ich łachmany i spalono, a wydano im państwowe. Na dworze był 40-stopniowy

mróz. Nie wdziały ich. Strach było patrzeć, jak nagie w ten straszny mróz biegły do baraku. W Abiezi umierały przy mnie te męczennice. Gdy w barakach zainstalowano głośniki radiowe i rozwieszono hasła, one, nieszczęsne, nie mogły tego znieść, i jakkolwiek były potulne, jednak hasła pozrywały, a głośniki po prostu porozbijały. Wtedy im podsadzano dziewczęta do pilnowania ich, ale myśmy były sercem z mniszkami i gdy było trzeba, „straż" wychodziła, a mniszki rozprawiały się z radiem. A te stareńkie, w niewiarygodnych łachmanach, uciekały do odrażających latryn i tam, jak szare tobołki, siedziały całymi dniami w cuchnącym brudzie. Brygady na noc zbierały je i siłą odprowadzały do baraków. One jęczały boleśnie, tak nienawidziły wszystkiego, do czego je zmuszano. Nikomu i w nic nie wierzyły. Dziewczęta złościły się na nie, bo po pracy, po wszystkich szmonach, po kolejnej bitwie wrzątkiem z pluskwami, które masowo mnożą się również na północy, musiały jeszcze siłą wlec nieszczęsne mniszki, żeby nie pozamarzały na śmierć. Wciąż pościły, zjadały swój „chlebuszek", modliły się i czezły w oczach. Takich niezłomnych jak one więcej nie spotkałam. Raz utraciwszy zaufanie, nie mogły i nie chciały więcej słuchać żadnych kłamstw. Po prostu umierały. Na ogół wierzyło się ludziom, którzy nie wyrzekli się Boga. Tylko tacy byli niezłomni i współczujący. Byli niezawodni. Bardzo mocno, choć nie z taką determinacją, trzymali się grekokatolicy. Było wielu baptystów, którzy stanowili zwartą grupę, ale zajmowali się tylko sobą. Wyróżniali się różnorako, choćby tym, że wiecznie płakali i lamentowali. Zgromadzą się w końcu łagru koło latryn i podniosą taki lament i zawodzenie koło „jerozolimskiej ściany płaczu", że mróz idzie po skórze. A nam płakać nie wolno było, bo musiałyśmy wyżyć. I pomagać każdemu człowiekowi bez różnicy narodowości, konfesji, przekonań, po prostu ratować człowieka moralnie. Baptyści werbowali mnie gorzej niż naczalstwo… „Musi pani być z nami – mówili – pani przecież jest taka jak my". I gdy nader natarczywie na mnie nacierali, powiadali, że to Bóg daje mi znak, że czas przystać do nich… Werbowali sobie „wyznawców", no i jedna moskwianka poszła do nich. Oni otrzymywali paczki z wolności i była to okoliczność zachęcająca. Wdziała kobieta długą suknię, włosy schowała pod chustkę i wszystko robiła jak inni tak długo, aż umarł Stalin. A później, gdy zaczęto puszczać po trochu ludzi do domów, zrzuciła całe przebranie i poszła do Wierakso, do kordebaletu, i wyczyniała tam takie numery, że widzowie się zaśmiewali. Była tam też taka jedna bardzo pobożna, która zanudzała mnie napomnieniami, że muszę o niczym nie myśleć, niczego nie pragnąć – ni wojny, ni wyzwolenia, ni pomsty na wroga – i dowodziła

mi uparcie, że ja wciąż o tym myślę, i żebym się jak najprędzej z tego wyzwoliła. Wyglądało to nader dziwnie i nie bacząc na jej ascetyczną twarz odnosiłam wrażenie, że ona też jest z kordebaletu, tyle że nie od Wierakso… Inni byli mniej więcej normalni, ale nie współczuli bliźnim, z wyjątkiem swych „współwyznawców"… W ogóle dużo było różnych sekt, na przykład „plasuny". Przyjechał raz etap, rozmieszczono kobiety na narach i raptem pod wieczór kilka z nich zeskakuje i poczynają jakieś szalone tany, niczym pijani goście weselni. Myślałyśmy, że są niespełna rozumu, że może to odmiana pląsawicy, a to sekta „plasuny"… A wierzyć było tak prosto: modlić się, kochać ludzi i wyżyć ze wszystkimi.

Nigdzie tak jak tutaj nie było oczywiste, że „wiara bez działania martwa jest", a bez miłości do bliźniego – tym bardziej. Czasem myślałam, jak by się czuł i co by w tych warunkach czynił jakiś prawdziwy amerykański misjonarz? Jaką by tu zastosował taktykę? Wiedziałam jedynie, że nie zawsze należy być gołębiem, a w tym wypadku – lepiej być lisem. Nie czas był pchać się na rożen, lecz, jak mawiał ów lekarz, trzeba było wroga przechytrzyć. Dziwne, że oni najbardziej bali się religii. Na książeczki do nabożeństwa, na modlitewniki i obrazki święte urządzali po prostu obławy. Kiedyś leżałam chora, w baraku zostały też inne dziewczęta i modliłyśmy się. Weszły dozorczynie, wśród których najgłupsza i najsroższa była niejaka DUńka. Zaczął się szmon. Ujrzawszy modlitewnik, rzuciła się na dziewczynę jak hiena. Dziewczyna zaczęła uciekać, skacząc po górnych narach, a Duńka za nią w swoich buciorach. Modlitewnik rzucono mnie i ja go ukryłam, a sama zaczęłam jęczeć. Duńka go nie znalazła i ze złości omal nie wyła. Dozorczynie w ogóle były potworne. Gdy jednemu z nadzorców, niejakiemu Kirianowowi, urodziło się dziecko, nikt się nie pytał: chłopiec czy dziewczynka, tylko: konwojent czy dozorczyni? Nikt nie mógł sobie wyobrazić, że z tych wyrodków może przyjść na świat coś ludzkiego. Kirianow po śmierci Stalina, jak mówią, poszedł do szkoły oficerskiej. Będzie właściwy człowiek na właściwym miejscu… Poczynając od nieludzkiego wyrazu twarzy.

Więźniów w łagrze nie bito. Mnie raz tylko bił niejaki Iwanow za to, że nie chciałam iść myć podłogi do baraku wojskowego. I nie poszłam! Ale już jęczałam ile sił, aż odskoczył ode mnie i przestał bić. Znęcano się nad nami moralnie w sposób wyszukany. Odbierano nam spokój, szarpano nerwy na wszelkie sposoby, ganiano nas i poniżano. Co dzień kazano nam powtarzać termin końca kary. U mnie to „święto" przypadało na rok 1973! Ano, musieliśmy o tym pamiętać. Nas okropnie ubierano, zabierano wszystkie nasze papierki, zabijano każdą

radość. Nie sposób wszystko to opowiedzieć… Nikt z nich nie miał dla nas litości i to przerażało najbardziej, bo to oznaczało, że na ziemi nie będzie już ludzi, tylko kaci i ofiary… Wprawdzie i dzisiaj nie jest mi lepiej: nękają mnie z jeszcze większą premedytacją, sadystycznie, jak kiedyś… Wierzą tylko w siłę, a reszta według nich nie ma znaczenia. Tej siły nikt jeszcze nie ruszył z miejsca, jest akceptowana, podczas gdy jęk milionów niewolników kona w tundrze, w pustyniach i stepach tej obarczonej ogromem i dzikością krainy, która sama siebie skazuje na katusze nie znając im miary.

Po bojkocie koncertu znowu mi zagrożono „sucharami" i wpakowano do jakiejś brygady, w której nie mogłam złapać tchu. Wracając po pracy, swoje nary zastawałam jak po trzęsieniu ziemi. Całe chamstwo znęcało się nade mną w nocy, te przygłupy. Wreszcie nie wytrzymałam i poszłam do naczalstwa. Był tam jakiś Białorusin, bo co i raz wyrywały mu się białorusycyzmy. Właśnie jemu wyłożyłam swoje poglądy. „Lepiej mnie już zabijcie, nie pozwólcie każdemu dręczyć mnie, to takie podłe…". Rezultat był taki, że dano mnie do brygady tynkarzy Marii Mielnik – kobiety wyjątkowo nikczemnej. Wiedziałam o tym i stałam się chytrzejsza. Przyjaciele pisali grypsy, ja im – wiersze, które parzyły mi dłonie, i trzeba je było rozsyłać, żeby adresaci żyli i myśleli jak ja. Naprawianie i bielenie pieców to fraszka, ale kazano mi tynkować sufit. Rzucę roztwór na sufit, a on mi chlap z powrotem na oczy… Z wapnem po prostu nie umiałam sobie poradzić. Wreszcie przyjaciele przysłali mi okulary górnicze, a ja nieco też poduczyłam się tej niełatwej sztuki i już zrobiło się lżej. Mielnik nie puszczała mnie od siebie, a jej koleżanka, niejaka Nadzia Karawa, uprzedziła mnie, że Mielnik swędzą ręce, żeby mnie zadusić w nocy za to, że jestem przeciw jej „ojczyźnie ukochanej". Można sobie wyobrazić, jak ja tam się czułam, wiedząc wszystko o jej wysługiwaniu się Niemcom… Tu już samego rozumu było za mało, wiele zależało od szczęścia.

Z Olgą Moroz miałyśmy podobne losy i taką samą popularność wśród dobrych ludzi. W łagrze była też Angielka Katty, żona jakiegoś ważnego towarzysza. Miała na wolności dwóch synów, męża, który się jej wyrzekł, jak się zdaje, i, jako prawdziwa komunistka, żywiła niezachwianą miłość, którą ze Stalina przeniosła teraz na Lenina. Brała wszystko na rozum, ale opowiedziałam jej razu pewnego treść filmu „Dwa tysiące kobiet", który oglądałam w Pradze, i to ją poruszyło nie na żarty. Katty była szczupła, subtelna, rudawa i niezła. Jak my wszystkie, czyściła latryny, a było co czyścić… i rozdrabniać kilofem… Latryna – to również w pewnym sensie wstęp do komunizmu: długi rząd otworów, a tam „twórczość kolektywna",

poczynając od samego rana, i kolejka, i lekcja poglądowa, i okazja do głębszej refleksji…

Jeszcze w Mińsku niejaka Bołbat, mińszczanka, utrzymywała, że w łagrach zrodzi się prawdziwy komunizm, w który ona głęboko wierzyła, i właśnie się zaczynał od wspólnych nar, gdzie z powodu ciasnoty wszyscy na komendę przewracali się z jednego boku na drugi, od wspólnego karmnika, bani, czyli łaźni, roboty, aż do owej obrzydliwej latryny, którą strach wspomnieć… A gdzieś tam w świecie przecież żyły kobiety rozkapryszone, strojące się w wyszukane fasony sukien i pewnie narzekające na swój los… Gdyby zobaczyły naszą rzeczywistość choćby we śnie, nie znałyby granic własnej osobistej szczęśliwości… Być ze swymi dziećmi, być z mężem, mieć swój dom, gdzie chleba do woli na stole i cicho, cicho jak w świątyni…

Chrześcijanie rozpoznawali się nawzajem. Niezależnie od konfesji, każdy wierzący skłaniał się ku takim jak on. Na północy panował automat, ten sam co w literaturze, w zabawach dziecięcych do naszych dni. Tak, automat równa się siła: każdy tępy półgłówek może trzymać w podległości setki najlepszych bezbronnych ludzi i robić z nimi co zechce. Zmuszać ich na przykład do przemieszczania gór śniegu z miejsca na miejsce do absolutnej utraty sił czy wręcz strzelać koło nas, a gdyśmy mieli nieostrożność odejść na bok – strzelać w nas. Te automaty tak długo zaglądały nam w oczy, że dziś one wydają się nam symbolem komunizmu, przeciwko któremu pozostawał nam – krzyż. Jedyny niezawodny, nieustraszony, który nie opuścił nas w ciężkich próbach – nasze męstwo i nasza siła. I właśnie w tym złowrogim czasie same nakazywałyśmy sobie: ani kroku w bok od nauki Chrystusa i ani słowa – inaczej! Jest wszak na świecie człowieczeństwo, w którym pokładamy nasze nadzieje, bośmy poznawały jedynie do końca okrutne twarze Czyngis-chanów i z nimi nam nie po drodze.

Pewnego razu naczalstwo kazało przygłupom wybrać kobiety czterdziestoletnie i wywieźć je oddzielnie za zonę do Inty, bo młode za bardzo wpadają tam chłopom w oko. Wybrano nas, ale nie tak po prostu. Otóż koło wartowni zgromadzono przygłupów i szumowiny, których nigdzie nie brak. I cała ta prostacka gawiedź zaczęła nas wyśmiewać, opatrując nieprzystojnymi wulgarnymi komentarzami. Naczalstwo zacierało ręce, a pewna miła spokojna dziewczyna Łotyszka płacząc z oburzenia szeptała do mnie, że takiego poniżenia nie doznała nawet na okrutnym śledztwie. Wtedy, spojrzawszy ze złością na pewną bezzębną dziewoję, powiedziałam: „Spójrz na siebie w lusterku i na te tu obce tobie kobiety: one są jak

dziewczęta przy tobie, a ty przy nich – bezzębny gnijący pień". Szczucie ustało i tylko tzw. dyspozytorka spośród więźniarek, piegowata i wstrętna Gala Tiereszczenko, długo jeszcze dusiła się ze śmiechu. A obok niej stała dwudziestopięciolatka Tamara Olechnowicz, której chudy długi nos także wstrząsały chichoty.

Była też w łagrze Amerykanka Alisa Aleks Maksimowa. Bardzo młoda i całkiem siwa. Śmiano się z niej, bo potrafiła swoją skąpą racją chleba podzielić się z głodnymi wronami krążącymi nad łagrem, tłumacząc to tym, że w Ameryce kocha się zwierzęta i ptaki tak jak ludzi. Alisa była bardzo inteligentna i cudownie opowiadała. Na etapach i w Abiezi była nas mała grupka i myśmy się separowały trochę od innych, tocząc szczere rozmowy i starając się o pogodny ich nastrój. Alisa, którą wydała jej własna macocha, miewała ataki tęsknoty, wtedy przychodziła do mnie, żeby mi powiedzieć, że chyba odbierze sobie życie. Miałam na to jedyną radę. Wyjmowałam kawałeczek chleba i coś do chleba, gdy miałam, pożułyśmy sobie i Alisa znów mogła żyć. Z nią czułam się bezpiecznie i lekko, a na etapach po prostu nie rozłączałyśmy się, bo nie ufałyśmy innym. Wożono nas razem jako „obcokrajówki". Była też w łagrze jakaś kochanka Berii, która pragnęła ze wszystkich sił dowieść nam, że ona i tylko ona coś w tym łagrze znaczy i jest absolutnie niewinna. Gdy była w dobrym nastroju, opowiadała jak się całował Stalin i jak pachniały jego wąsy. O Berii jakoś milczała. Był to okrutny kobieciarz, więc tylko snuła opowieści o tych limuzynach z moskiewskimi pięknościami, wjeżdżających na dyplomatycznych numerach na Kreml, i tylko dziwne było, że i ona tam się uwijała wokół tych krwawych bestii. Niektóre kobiety, jak Sonia Tarasienko, która całe prawie życie spędziła w łagrach, była zupełnie niepodobna do swych sióstr. Chodziła w spodniach, głos miała gruby i twarz całą pomarszczoną nie po kobiecemu. Było takich kilka, i to było bardzo smutne. Najstraszniejsza była Niemka, szpiegówa, Kat'ka. Niby ładna nawet dziewczyna, ale na kilometr promieniowała strachem. Pracowała tylko w pracowni krawieckiej. Mówią, że wydawała nawet konwojentów, a także naczalstwo, cóż dopiero współwięźniów! Wyjechała do Niemiec razem z innymi dobrymi i gorszymi dziewczętami z Austrii i Niemiec. Ostatnio Niemki zaczęły otrzymywać paczki przez Czerwony Krzyż, listy i zdjęcia, i żyły jedynie nadzieją rychłego powrotu do domu. Opakowania ich paczek podziwiałyśmy jak jakieś ozdoby wnętrz mieszkalnych.

Po śmierci Stalina zaczęła się wymiana trup koncertowych pomiędzy łagrami. Atrakcją była trupa kobieca. Dziewczęta zaczęły jeździć po OŁP-ach. Dla mnie była to okoliczność szczególnie pożądana, gdyż moi przyjaciele przekazywali mi

prawdziwą glukozę i cukierki. Czasem pieniądze dla nas wszystkich, a kiedy indziej jakiś materiał. Pewnego razu kupił wiele metrów materiału sam Kostia Szyszeja[309]. Był to żółty jak jajecznica perkal w duże czerwone kwiaty. Podzieliłyśmy go pomiędzy siebie i poszyłyśmy co która mogła. Ja zrobiłam z tego pokrowiec na kołdrę, bo Matka Maria przysłała mi watę. Pod łagrowym kocem bardzo przemarzałam. Kostia pytał, czy mi się prezent podobał. Kazałam wszystkim napisać mu podziękowanie i że każdej się materiał podoba, a sama wyraziłam mu wielką wdzięczność dodając, że gdyby mój rodzony syn coś mi chciał sprezentować, to kupiłby właśnie taki materiał, bo mężczyźni taki właśnie mają gust. Ta moja kołdra podobała się żonie Prokofiewa. Była Hiszpanką i mówiła, że ich flaga jest taka – czerwono-żółta. Była to starsza osoba, jeszcze piękna, pisali do niej synowie, a sam Prokofiew chyba rozszedł się z nią. Jesienią budowaliśmy zaporę koło Inty, na kilka metrów wysoką. Był tam i lód, i błoto, i myśmy targały na wierzch zapory ziemię na nosiłkach, ślizgając się i padając w błoto. Laima nie mogła złapać powietrza, inne dostawały epilepsji lub ataku serca. Bardzo starały się tylko Litwinki. Kozłow wszystkim dawał po papierosie.

Bywały czasem chwile wzruszające. Pracujemy na bazie ORS-a[310], a co to jest, do dzisiaj nie bardzo wiem. Zbliża się Nowy Rok, a my oczyszczamy zonę od nieprawdopodobnej ilości śniegu. Zdaje się, że ta baza zaopatruje Intę, a głównie jej naczalstwo, w artykuły spożywcze. Zbliżał się wieczór, niebo robiło się czerwone, liliowe, żółte i w ogóle nieopisanie piękne, ale mróz kąsa przez waciaki, więc dygocemy. Odrzucanie śniegu to jednak nie walenie kilofem, bo z łomem i oskardem nawet przy 40-stopniowym mrozie spocisz się, a tu zebrałyśmy się w stadko i grzejemy się słowami, marząc o powrocie do zony, takeśmy zmarzły. Koło nas uwijają się pracujący na wolnej stopie oraz kryminalni, którzy pracują na tej bazie bez konwoju. Poznajemy ich po tym, że są jak my w waciakach. Opodal stoi i przygląda się nam wysoki zgrabny młodzieniec, o twarzy niezbyt regularnej, ale sympatycznej, z wyrazem zdecydowania i inteligencji. Gdzieś nam znika, ale po chwili jest znowu i podchodzi ku nam, choć zbliżać się do nas nie wolno. Gdy jest przy nas, rozpina waciak i na zlodowaciały arktyczny śnieg wysypują mu się najprawdziwsze południowe mandarynki. Oniemiałyśmy, a po chwili rzuciłyśmy się na nie jak dzikuski, wyrywając ze śniegu, rozdeptując i wyszarpując sobie nawzajem ten cud południa na dalekiej północy. Młodzieniec, który dla nas tę radochę ukradł u sytego naczalstwa, na szczęście odszedł i nie oglądał naszych wątpliwych zachowań. Jednak mało która

z nas zjadła całą mandarynkę, bośmy zaniosły je do zony i oddałyśmy dzieciakom w zonie, wziąwszy sobie każda po jednej cząsteczce. Myśmy potrafiły jajko wielkanocne podzielić na 30 cząstek, żeby starczyło dla całej brygady. W Wielki Piątek przed kolejną Wielkanocą pognano nas do sprzątania peryferii Inty. Jeszcze były góry śniegu, ale słoneczko już trochę grzało. Prawie wszystkieśmy pościły, i w sercach nam jaśniało bliskie wielkie święto. Chrystus, On jeden był zawsze z nami i myśmy to czuły. Gdy było nam najciężej podczas śledztwa czy w innych okrutnych okolicznościach, szeptałyśmy z ufnością: „Ciało i Krew Chrystusa, bądź mi pomocą". I myśmy tę pomoc odczuwały. Bóg mógł odmienić dusze naszych dręczycieli, wierzyłyśmy w to. Oto zmordowane siadamy na śniegu jak te kuropatewki, coś mówimy do siebie. Podchodzi do nas, zamieniwszy przedtem kilka słów z konwojentem, jakiś mężczyzna i podaje nam wielki pakunek! Były w nim śledzie, chleb i ze dwa kilo kiełbasy. Okazało się, że pracowałyśmy koło jakiejś wytwórni kiełbas w Incie i nasi byli współwięźniowie, pracownicy wytwórni, tak zapragnęli nas uradować. Dziewczęta wszystko to przyniosły do mnie, żebym rozdzieliła. Śledzie rozdałam wszystkim po równo, a kiełbasę przeniosłyśmy do zony i później świętowałyśmy razem Wielkanoc…

Niekiedy bywało ekstremalnie nie do zniesienia. Poprowadzono nas wiosną kopać kanały tam, gdzie wywożono nieczystości. Tam od zawsze był łagier, chyba rówieśnik władzy sowieckiej. Było to trzęsawisko ludzkich odchodów. W te dni nic nie mogłyśmy przełknąć. Miałyśmy to na twarzach, na ustach, cuchnęłyśmy fetorem nie do odmycia. Później kazano nam kopać głębokie rowy, też było ciężko, ale nie obrzydliwie…

A chłopcy rzucali nam grypsy, które łowiłyśmy z upragnieniem. Litwinki przenosiły je z samozaparciem. Co prawda za miłość nas nie za bardzo karano. Więc gdy trzeba było podziałać poważniej, robiłyśmy to pod przykryciem miłości. Sowieckim sędziom śledczym niezwykłą frajdę sprawiało grzebanie się w romansach i awanturach. Można im było nie dać chleba, ale nie wolno było pozbawiać ich przyjemności obśmiania cudzych perypetii miłosnych. Przestudiowałyśmy te ich skłonności i posługiwałyśmy się tą wiedzą w budowaniu siatki kontaktów. Te kanalie miały inną jeszcze słabość: przemyślnie aresztować swe ofiary. W tym mieli się za mistrzów. Kobietę, na którą polowali, zapędzali w sytuację bez wyjścia. Po czym upajali się jej przerażeniem i bólem, gdy sobie uświadamiała, że nie ma wyjścia. No i gdzieś w kinie, na dworcu, czy na spacerze zgarniali taką

dziewczynę bezbronną, w letniej sukieneczce, i mogli ją nawet udusić… Chwalili się potem wyczynami swoich wywiadowców…

Po śmierci „najmędrszego" pojawiło się u nas więcej Żydów. Byli to leninowcy. Starali się przekonać mnie do „wielkości" tych idei… O, Nieba! Ja przecież widziałam je w praktyce i prędzej uwierzę własnym oczom niźli ich słowom! Ale gdy zapadałam na zdrowiu, oni dawali mi glukozę, po której odżywałam. Razu pewnego Gruzinki i Żydówki sprawiły mi niespodziankę. Na moje urodziny, o których nikt nie wiedział, podarowały mi ołówek i kilka zeszytów (prawdziwy skarb!), a gdy wróciłam z pracy, zaprowadziły mnie na kuchnię, gdzie był stół nakryty specjałami z żydowskich i gruzińskich paczek i nawet z prawdziwym tortem biszkoptowym. Byłam zdumiona. W innych latach winszowały mi różne narodowości, a raz swoje białoruskie dziewczęta z rana przed rozprowadzaniem na roboty przyniosły mi „tort" i swoje upominki: chusteczki do nosa, ołówki, szczoteczkę do zębów itp. Tort był typowo łagrowy. Kobietom chciało się popisać kulinarnymi umiejętnościami… To był tort ze zmielonych i wysuszonych racji chleba, zamieszany na słodkiej wodzie i przełożony powidłem z suszonych jabłek z jakiejś ukraińskiej paczki, z wierzchu posmarowany margaryną i posypany cukrem. Był to przysmak niezwykły, ale dziś bym go nie zjadła… Dziewczęta nie kryły wzruszenia, łzy miały w oczach… Chciałam rozdzielić tort między wszystkie, ale powiedziały, żeby go przechować, a wieczorem zjemy go razem. Nasza brygada pracowała w zonie, remontowałyśmy piece. Postawiłam tort na górne nary i przykryłam ręcznikiem. I tu – szmon! Ale jaki! Naczalstwo z Inty! Najpierw wbiegł Kirianow, podniósł nary i jak nie walnie nimi, sprawdzając, czy posypią się z nich pluskwy. Podszedł do moich nar. Gdy je podniósł, tort podskoczył, gdy trzasnął nimi, tort się spłaszczył! O Boże! Z BUR-u teraz przecież nie wylazę…Ale on jakoś go ze złości nie zauważył, szukał pluskiew. A za nim już wali hurma dozorczyń i dopiero teraz odbędzie się szmon… Ja chwytam tort i do suszarni z nim, a tam roztwór wapienny w korycie, bośmy remontowały piec. Ja ten tort do ręcznika, z wierzchu nakryłam papierem, papier obłożyłam cegłami, a na cegły – postawiłam roztwór. Swoje łyżki postawiłam między kwiaty, bo na stole stał bukiet z wierzbówki i w ten sposób je uratowałam… Sama stanęłam z kielnią nad korytem i pracuję. Przetrząsnęły wszystko, ścierwa, ale zajrzeć pod koryto nie domyśliły się… Wieczorem przyszły moje dzieci… Choć weź i płacz! One biedne trzy dni nie jadły swoich „pączków", swojej ryby, swego cukru. Wszystko to gromadziły, chowały na ten dzień, dobre moje, takie szczęśliwe,

że oto jesteśmy razem, nawet Lucję Antonownę zaprosiły. Dużo nas. Milczymy, rozmawiamy, nawet podśpiewujemy, ale najcenniejsze – w sercu i na zawsze. Tak ów rok spotykałyśmy w swoje Boże Narodzenie. Ponad 30 Białorusinek, stół własny w stołówce (Stalina już nie ma!), przed każdą narysowana kartka z życzeniami i słowami z Ewangelii czy z inną odwieczną mądrością i pełny stół! Dozorczyni pyta: „Czyja brygada?"– „Łarysy Geniusz", – odpowiadają dziewczęta dziwnie bez strachu, z dumą, i popatrują na mnie, z oddziału karnego, która ma być właśnie wysłana, a radio w stołówce gra akurat „Radzima maja darahaja"[311]. Pierwszy raz słyszę tę pieśń i omal nie płaczę. Jednak gdzieś choć trochę jeszcze żyjemy, ktoś jeszcze tak mocno, tak szczerze nosi w sercu naszą Białoruś.

Jeszcze inne urodziny, ale te były, jak się zdaje, wcześniej. Brygady w zonie, lato, kwitnie wierzbówka. Z rana przychodzą z powinszowaniami niemal wszyscy łagiernicy, wszystkie narodowości. Nie mam gdzie ustawiać bukietów. Litwineczki narysowały Jurę, który siedzi samotnie nad Niemnem. Częstujemy się razem ich prezentami, potem białoruskimi, ukraińskimi, rosyjskimi, łotewskimi itd. I tak do wieczora. Byłam oszołomiona dobrymi słowami, serdecznymi uczuciami. Ełka napisała: „Poeta – dla poety" – wszystkie cytaty o poezji, zwłaszcza swego ulubionego Majakowskiego[312], wielkie dwa arkusze. Cały wysoki stożek powinszowań. Nazajutrz od przyjaciół za pośrednictwem dziewcząt, które nie wiedziały, wiersz pod tytułem „Zniewolona matka zniewolonych synów" – jak oni na rękach poniosą mnie do domu… Świetliste marzenia patriotów, wspaniałych moich synów… Chowam ten wiersz wśród swoich rzeczy w magazynie gospodarczym. Nocą napadają na mnie i ciągną do magazynu. Wydobywam powoli swoje rzeczy, a ten gryps, tak mi drogi, odrzucam w kąt. Dozorczyni podnosi gryps. Wzywa mnie wstrętny głupi oper. „Do kogo był pisany ten gryps? Do kogo?"– „Nie do mnie – mówię – ale o mnie!". Zapamiętaj, gadzie, te słowa Synów o mnie! Oddaje mi prawie wszystko, ale tego tak mi drogiego grypsu, ani listu od Ełki nie zwraca. Dobrze, że chociaż nie BUR… Mówi mi coś o terminie wyroku, więc mu odpowiadam: „Wszystkie drogi wiodą z zony, a więc na wolność". – „Nie, wszystkie drogi wiodą do komunizmu" – koryguje mnie oper, bo tacy jak on innych horyzontów nie znają…

Umiem szyć czapki i rękawice. Szyję je z łachmanów dla najbiedniejszych kobiet i to sprawia mi radość… A jak tam mój mąż, mój syn? Pewnie im zimno?.. A cała moja rodzina? Odjeżdżając, zostawiłam w domu oboje rodziców, trzech braci, trzy siostrzyczki. To było w końcu 1937 roku, jechałam do Pragi, do męża.

Oni nie płakali, a mnie płacz rozdzierał pierś. Oni nie poeci. To poeci wszystko przewidują. Teraz tata mój, korpulentny, krzepki i dobry, aresztowany w 39. roku, zabity w grodzieńskim więzieniu, mama zmarła na zesłaniu w Kazachstanie w 45. roku. Ukochany spośród braci Rościsław, metr dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wysoki, z głową jak złocisty snop żyta, zginął pod Berlinem 28 kwietnia 1945 roku. Młodziutki Arkadzi, który razem z Alaksiejem poszedł do armii Andersa, spoczął w polskiej bratniej mogile w Loreto koło Rzymu, maleńka Lusia w 1954 roku zmarła zagadkowo we Wrocławiu, Alaksieja wspaniałomyślnie przygarnęła Anglia, a Ksienia i Nina padły ofiarami prowokacji w Polsce, podobnie jak mój syn… Mąż całkiem samotny gdzieś w Workucie, jak się już później dowiedziałam, i ja… Tyle że ja nie jestem sama, ze mną zawsze ludzie, szczególnie Ukraińcy, których tak bardzo cenię, i dobry Bóg ze mną… A po łagrze – i mój mąż…

A póki co przechodzę do nowego łagru, do inwalidzkiej Abiezi.

Jeszcze nie wiem nic o śmierci mojej ukochanej najmłodszej siostrzyczki Ludmiły, nie wiem jeszcze na pewno (tylko ze snów), że w polskim więzieniu siedzi mój syn i jest mu ciężko… W Abiezi wybiegli nam na spotkanie kalecy, różne garbuski, staruszeczki. Tu są oddziały chorych gruźlików, ponad 40 chorych psychicznie, mają odgrodzony barak, dokąd nam wstęp wzbroniony. Nie ma tu ni wołu, ni konia. Same kobietki transportują na sobie i wodę, i węgiel, i artykuły spożywcze, i nieczystości. Tu najwięcej, jak i wszędzie, Ukrainek, już wymizerowanych, sczerniałych, ale jakież one dobre, miłe dla dobrych ludzi i jakże okrutne i złośliwe dla niedruhów. One są wszechwiedzące, wiedzą o wszystkim na ziemi. To cierpienie odsłoniło im oczy na wszystkie przejawy ich życia.

Więc jestem w Abiezi, ale myślami wciąż jeszcze w Incie. Nie mogę zapomnieć, jak do mnie podeszła bardzo piękna rosyjska dziewczyna Ania Bondarienko. Idąc do pracy tak starała się zawiązać chusteczkę, żeby czubek jej nad głową rysował się ładnie z daleka, a buszłat dopasowywała do figury. Chciała się podobać ni to sosenkom, ni to mężczyznom, którzy na nią spozierają, ni to samej sobie. Razu pewnego przyszła do mnie milcząca, długo stała, po czym cichutko zapytała: czy ją wysłucham, czy zechcę jej pomóc i czy ją zaakceptuję nie bacząc na to, że jest Rosjanką? Jakież to śmieszne! Aniu miła moja, dobra dziewczyno, czy jest, czy może tu być różnica pomiędzy wami wszystkimi, takimi drogimi… „Jesteś mi jak dziecko – mówię – i zawsze pozostaniesz cząstką mego serca". Łzy mi popłynęły. Takie pytania były nie na miejscu. Stanęły mi w oczach i długo

stały Stasele Miliauskaite i Zosia Budritie – litewskie studentki, które mnie uważały za bardziej swoją niż moje dziewczęta. A Szatria… Podejdzie czasem, gdy chodzę samotna, i mówi mi wszystko, o czym myślę, tak dalece mnie znała… A inne… Polka Maria, młodziuteńka, wysoka, jasna: „Pani Łaryso, czy to prawda, że takie jak ja adorują teraz Najświętszy Sakrament w kościele. One są pewnie jak anioły i tak chciałabym być z nimi, ale pewnie nie będę, bo za bardzo wyrosnę… A bywa mi tak zimno, i wtedy płaczę, i łzy mi zamarzają… Czy wytrzymam do 25 lat?". Miłe oczęta wpatrują się w niebo i taki żal na ślicznej twarzyczce… A Maria, Białoruska, sowiecka patriotka, ale takie czyste, nie zakłamane stworzenie. Biegnie do mnie z każdą jaśniejszą wiadomością i sama jaśnieje… A Nusia Zarecka, mała Ukraineczka, która niemal ze łzami w oczach pyta, czy to prawda, że w Ameryce tak zabijają Murzynów, jak pokazywano nam w filmie według scenariusza jakiejś Estonki? Uspokajam ją, wyjaśniam, dziewczę mi wierzy i już jej lżej. Wciąż uczy się wierszy na pamięć i zamierza je kiedyś recytować ludziom, i jest skazana… na 25 lat: jej sędzią śledczym był syn Kowpaka[313], a ona miała może 18 latek, a może i mniej… Ale były i inne. Na przykład przyjechała jakaś pielęgniarka z Workuty, zadbana (w pracach ogólnych zatrudniana nie była), wciąż czyjaś kochanka… Wpycha się do naszego towarzystwa. Nadchodzą imieniny Teresy. Ona manipuluje słowami, wreszcie recytuje cudowne wiersze – coś o białych „ptakach". Jesteśmy zachwycone, przepowiadam je Ełce, która zna ponad dwa tysiące wierszy, czym często ogrzewa mnie na obiektach, i nagle wybucha śmiechem! To wiersz, prawdopodobnie, Tiutczewa[314]… Okropny babsztyl!

Remontujemy drugą wartownię. Nosimy żwir pod podłogę. Położyłyśmy deskę i po niej przez okno – tak prędzej i lżej. Odchodząc ktoś rzucił deskę na druty. Nocą alarm. Budzą nas, ustawiają w dwuszereg, sprawdzają brygadę, a potem cały łagier. To nie żarty. Pracowały tak blisko drutów i była deska tam, i była Geniusz tam. Czy nie przelazł kto? Nazajutrz zjawia się u mnie słynna „deklamatorka", przysiadła i zaczęła mowić: „Ot, żeby tak uciec przez druty, zajść w Incie do jakiejś chaty, tam zabić ludzi, zabrać od nich ubranie i paszporty i uciec na wolność…". Słuchałam, słuchałam i mówię: „Zatknij się, babo, i idź, skąd przyszłaś! Metody, o których mówisz, warte są ciebie i tych, którzy cię posłali. Zanadto według siebie wszystko obmyśliłaś. Śpijcie spokojnie, my i tak wyjdziemy i jeszcze przeżyjemy wszystkich donosicieli…".

Na obiekcie sprawdzają konwój, jakiś major długo się koło nas kręci, a potem pyta mnie, czy poznaję, jakiej on jest narodowości. Skądże ja mogę wiedzieć?

„Ja Komi – powiada, – widzi pani, jacy teraz jesteśmy, a jacyśmy byli!" – „Tak – powiadam – byliście hodowcami reniferów, ludźmi, i kraj wasz był wam miły i może dla innych też, a teraz jesteście jednym odrażającym łagrem, i wy jesteście bez porównania gorsi niż byliście, jesteście dzikusy, nie ludzie, gotowi sprzedać za grosze czy garść mąki każdego nieszczęśnika, próbującego wyrwać się stąd…". Zamilkł i odszedł… Myśmy często widywali tych Komi. Bardzo nie lubili, gdy mówić im „Zyrianie". Jeździli w malicach – takich skórzanych narzutach do ziemi i długimi batami poganiali renifery. Były tam też dziewczęta w białych wyszywanych czapkach, z warkoczami. Najczęściej jeździli w gromadzie, a ujrzawszy nas – krzywili się i odwracali głowy ze wstrętem. Tak ich wytresowano. A dla nas z kolei stanowili dziką egzotykę. Pewnego dnia wyprowadzono nas z innymi brygadami na Intę. Pracujemy, a koło nas kręci się naczalstwo. „Pani popełniła przestępstwo, więc trzeba pracować" – mówi mi jakiś typ w oficerskim szynelu do pięt. „Nic to – mówię, – koło historii kręci się, dziś my, jutro wy…". Aż podskoczył: „Czy pani wie, co robią Amerykanie? Oni napalmem Koreę spalają". – „Nie wiem, co tam gdzieś ktoś robi. Widzę, że tu spala się mrozami i marzłocią miliony ludzi, co wcale nie lepsze…". Rozkazał odwrócić się plecami, zapisał numer. O nazwiska nas wtedy nie pytano. Chłopcy coś tam robią przy szybikach koło naszej zony, z nimi kręci się opodal Sławka Prystawka. Rzuciliśmy grypsy i je zabrano, a w nich mój wiersz! Przerażenie! Najechało naczalstwa, mnie do BUR-u. „Oto co ona narobiła, kontrrewolucja!". A w wierszu było o tym, że u nas w maju kwiat wiśni osypuje się jak tutaj śnieg o tej porze, i jak dobrze byłoby być teraz w ojczystej Białorusi itd. Przegłodziłam się porządnie w tym BUR-ze, ale ktoś im tam przełożył pewnie ten wiersz, bo spoglądali na mnie już bez łajań, w milczeniu…

Oczyszczamy ze śniegu obiekt, a tuż za ogrodzeniem – nasi z OŁP-u nr 3. Oczyścimy plac, wybierzemy torf, a oni będą po nas budować. Chłopcy poznali mnie. Przerwali pracę, podeszli, stanęli, patrzą. Konwój drze się na nich, strzela, a oni krzyczą: „Nie bój się, matko, on nie pośmieje zabić nas w zonie pracy". A ja w dygocie cała, lękam się o nich. Lecą grypsy… „Mama, jesteśmy szczęśliwi, że mamy rodzinę, nam jest lżej. Inni kradną, degradują moralnie. Wczoraj jeden napadł na konwojenta podczas zbiórki, postrzelili go, oszalał z tej nędzy, z samotności. A my się, mamo, trzymamy…" itd. Gryps był pisany łacinką, taki ciepły, dobry, schowałam go. Wprawione palce dozorczyń wymacały gryps. Kuzniecowa, szefowa BUR-u sroga i straszna. Przed nią przygłupy klękają, gdy coś przeskrobią.

Nie daruje im! Wzywa mnie. Ale ja przecież przepraszać nie będę, mogę, jeśli zechcę, co najwyżej odpowiedzieć na pytanie. „No co?" – pyta. Milczę. „Co mam z tobą zrobić?"– rozważa. „Cóż – odpowiadam – przekroczyłam reżym, proszę wymierzyć karę!". Chudą zawziętą twarz okrasza uśmiech. „Proszę posłuchać, Geniusz, gdyby pani napisała skargę odwoławczą, może by panią puszczono do domu?" – „Pani kierowniczko, ile pani puściła? Ludzie piszą i piszą, i co z tego mają?"– „To oni. Ale gdyby pani spróbowała…". I z tym mnie zwolniła. Nikt nie mógł uwierzyć, że stać ją było na taki nietypowy dla niej krok. Powiedziała mi, że przetłumaczono jej treść grypsu. Nas z tego miejsca zabrano.

A lekarki były złe, szczególnie niejaka Głafira. Zwichnęłam nogę. Spuchła mi i nie wchodziła do wojłoka, więc dano mi zwolnienie. Opuchlizna nie schodzi. Muszę przedłużyć zwolnienie. Głafira się wścieka: „Widziałam jak pani zgrabnie porusza się po zonie, nic pani nie jest". – „Ja zawsze jestem zgrabna i paść zamierzam tylko raz, żeby już nie wstać, a dopóki noga mi nie wchodzi do walonka, proszę o zwolnienie!" Siedzi taka kociuba za przepierzeniem z marli w oddziale sanitarnym, ma jeszcze sprzątaczkę dla siebie, a wredniejsza jest od dozorczyń… A tamtą Kuzniecową, powiadają, przygłupy kilka razy załatwiły donosami, więc odbija to sobie na łagiernikach, a ja jak gdyby przywróciłam jej zaufanie.

Razu pewnego odśnieżałyśmy zonę w pobliżu drutów. Porozstawiano pracujących. Miałam przed sobą górę śniegu, i gdy się wszystkie rozeszły w głąb zony, podszedł do mnie konwojent i powiedział, że jest z Mohylewszczyzny i zna mnie. Chwycił łopatę i począł szybko odrzucać śnieg. Spocił się. Usłyszał, że nadchodzi inny konwojent, więc odszedł wolnym krokiem…

Był wielki etap. Wszystkie młodziutkie moje dziewczęta dokądś wywożono. Przeważnie Litwinki, Ukrainki, a wśród nich – taka miła Lena, Elitie, Litwineczka. Miała 19 lat. Zabrano ją z mężem Ignasiem, którego bardzo kochała i tylko o nim wciąż mówiła. Miłe dziecko było zbite na śledztwie, ale najgorsze było latanie, opowiadała. „Jak to latanie, droga Elitie?" – spytałam. „A więc stawia śledczy taboret na taborecie i tak aż pod sufit, a na górze sadza mnie. Potem wyrywa ostatni przy podłodze i ja lecę…".

Spotkałam je później. „O, pani Łaryso – mówiły one – zawieźli nas do lasu, gdzie sosny pod niebo, dali piłę, siekierę i normę, i choć ty płacz, ale później żeśmy się wprawiły, tylko że przed nami był tam łagier dla kryminalnych mężczyzn, którzy nigdy nie wykonywali swoich norm, i musiałyśmy za nich wykonać niedorobiony plan bezpłatnie. Byłyśmy wykończone, ale ktoś doniósł o tym wyższemu

naczalstwu i wyratowano nas. Co oni z nami wyczyniali, co wyczyniali…” – z wielkich oczu Elitie polały się łzy…

Czasem zdarzały się dobre przygłupy. Jedna taka Natasza miała nawet swój kącik, dokąd wpadałyśmy ogrzać się, obmyć się. Miała zawsze trochę chleba. Tam spotkałam się z Sonią Świdą, która była jakąś krewną żony Taraszkiewicza. Grywałyśmy z nią w szachy. Ale kiedyś zapytała mnie, czy SBM i Samopomoc – to to samo? To wzbudziło moją nieufność. Kogo to mogło interesować? I zaczęłam się jej obawiać… Długo znałyśmy się również z Lusią Wasilkowską, z którą spotkałam się w Gorkim. Niestety, moje podejrzenia, że to donosicielka, potwierdziły się. Ale ona nie była wredna. Kiedyś omal mnie nie uderzyła, bo przekonywałam ją, że tutaj także panuje kapitalizm, tyle że kapitał jest w jednym ręku i nikt go nie kontroluje… Ona mnie się wystraszyła i siłą zmusiła mnie do zamilknięcia.

Wielkanoc, a my jesteśmy poza zoną. Śnieg, mrozek, kilof i łopata… Zrobiło się tak smutno, że napłynęły wspomnienia: Praga, mąż, syn… Mąż jest w pracy i ja go oczekuję, odsłaniam firankę z okna, patrzę na limuzyny i wspominają mi się dalekie chaty. Wychylam za nie czarkę wina i marzę, że kiedyś dowiodę tym swoim wioskom, jak potrafię za nie cierpieć i wszystko wycierpieć.

Jednym słowem – „tiul firanki odchyliwszy z okna, z pełną czarą ku słońcu podjętą, zadumana stoję samotna” – i ślę te słowa do swoich wiosek. Dalej ten wiersz zapomniałam, ale kończył się jakoś tak:

Północ. Zamieć. Święto Zmartwychwstania.
A tu ból aż wylewa się z brzegów,
Bo przede mną kilof i kopalnia…
Ale myśli me do chat tych biegną.
Jak przed laty komunii przyjęcie
Z jasnej czaszy koło Carskich Wrót
Piję ból swój jak największe szczęście
Za kochany mój Krywicki lud!

Oto mniej więcej treść tamtego wielkanocnego wiersza. Szkoda. Długo pamiętałam ten wiersz, ale wszystko się zapomina pod napływem nowych zdarzeń i gorzkich doświadczeń. Dużo się zapomina.

Abież

Abież to nie łagier pracy, tylko inwalidzki, ale co silniejszych wysłano od razu na sianokosy. Latem trawa na północy rośnie dzień i noc. Ale jest jakaś wodnista, wysoka. Na Incie nas też wożono kosić siano. Kręciłam ja tę kosę w rękach, a później wzięłam zamach i poszło… Mama mnie nauczyła wszystkiego. Mówiła, że dobrze jest wszystko umieć, ale nie wszystko robić. Jak mi się to w życiu przydało! Ja nie stękałam. Na sianokosie najgorsze są meszki i komary. Jak nalezie ich na całe ciało, to po prostu tańczymy dzikie tańce z bólu. Zawiązujemy rękawy, długie nogawki spodni, a one tną, aż spuchniemy, i nawet w oczy. Konwojenci mają „nakomarniki". Od komarów można ratować się choćby dymem, od meszki – niczym. Rodziły się w nas czasem słodkie marzenia: przywiązać by tu do drzewa tego wąsacza, gdy jeszcze żył, i patrzeć jak się wije, albo dozorczynie razem z Proswietowem i Kirianowem… Od takich marzeń robiło nam się trochę lżej. Właśnie Olę Moroz z Milą wzięto na takie sianobranie, a mnie dano na kuchnię do chochli. Dwa tysiące kobiet i tyle razy trzeba było machnąć chochlą trzy razy w dzień. I jeszcze ciągać kotły. I jeszcze myć naczynia… Za to dostajemy trochę więcej ryby, przetworów pomidorowych, chleba i zupy. Przynajmniej robota czysta i ja się poprawiam. Pod białym chałatem mam zawsze ładną bluzeczkę, a z rzeczy praskich – dobrze zawiązana chusteczka na głowę. W łagrze – same kaleki, przykro na nie patrzeć. Albo sędziwi starcy, niektórzy bardzo mądrzy. Wszyscy tu jeszcze są pod wrażeniem naczelnika OŁP-u, niejakiego Pietrusienki. Był tu carem i bogiem, i tyranem dla kobiet. Staruszki były palaczkami w piecach, wszystko taszczyły na sobie i okropnie się go bały. Pietrusienko był zwierzem, atakował kobiety, sadzał je do BUR-u, na dworze zadzierał im spódnice i „rewidował". W każdym baraku siedziała jedna kobieta na „uwadze". To znaczy, że gdy wchodzi jego wysokość Pietrusienko, ona się zrywa i krzyczy na cały głos: „Uwaga!". Biada tej, która przyległa lub nie zerwała się na czas! BUR jak w banku. Był tak potworny, że jedna kobieta spadła z górnej nary i poważnie się potłukła, bo on się jej, biedaczce, po prostu przyśnił… Ludzie zastraszeni, przybici zatracali do końca swe człowieczeństwo. Dziwne rzeczy się zdarzały. Wychodzi rano z baraku pewna moskwiczanka, a była Wielkanoc, i widzi jak na ścieżce za łagrem idzie konwojent

i żegna się, żegna się, żegna się znakiem krzyża… Dziw nad dziwy! Ale pewna śmiała ślicznotka rzadkiej urody obiecała biednym kobietom, że wygoni Pietrusienkę… I wypędziła. Była to Lena, córka słynnego generała sowieckiego Siemionowa i Japonki. Piękna jak zorza poranna, i do tego rozumna. Podobno mówiła po rosyjsku osobliwie pięknie i wykwintnie. Ja jej nie widziałam. Przebywała teraz w ogrodzonym korpusie dla chorych psychicznie, i podobno nie była to symulacja z jej strony. Otóż zwróciła się do tyrana, okiem na niego rzuciła – i stracił dla niej głowę i pewność siebie. Wszystkim o tym powiedziała. Pewnej nocy wzięła buszłat, rzuciła na druty ogrodzenia, uśmierzyła psy. Była szpiegiem najwyższej klasy, a strażnikom do głowy nie przyszło, że inwalidzi mogą zdobyć się na próbę ucieczki, więc drzemali sobie na swoich strażnicach, czy może marzyli o awansach, gdy tymczasem pięknotka wspinała się na druty ogrodzenia i przelazła przez nie! Nigdzie nie uciekała, bo jedyna droga wiedzie przez tundrę, której strzegą tysiące czworonogich i dwunogich psów. Gdy chłopcy zorganizowali ucieczkę, połapano ich. Pogryzionych przez psy rzucono ich koło bramy łagrowej jako przestrogę dla innych. Nie wolno było do nich się zbliżać. Marli w straszliwych męczarniach. Lena wiedziała o tym. Poszła z rana do zarządu łagrów w osiedlu Abież, powiedziała kim jest i oświadczyła, że bardzo tęskni do swego ukochanego – Pietrusienki… Tym sposobem to mężne dziewczę wyzwoliło nieszczęsnych, umęczonych, zahukanych inwalidów. Lenę osadzono w korpusie psychiatrycznym, była więc bodaj pierwszą ofiarą niesławnej praktyki zamykania mądrych i niewinnych za podwójnymi kratami. O niej krążyły legendy.

W tym łagrze był jeszcze jeden fenomen: wolny mężczyzna! Był to Niemiec, doktor Steyer, chirurg. Miał swoje państwo w państwie: korpus chirurgiczny całkowicie izolowany od reszty łagru, gdzie operował kogo trzeba i nie trzeba. Różnie o nim mówiono, jedni chwalili go, inni, którzy po jego operacjach stali się kalekami – przeklinali. Pewna lekarka powiedziała mi, że to szarlatan, który nie zna nawet anatomii i jest tu osobą dziwną. Niektóre chore kobiety po prostu operował, bo, jak mówiono, bez operacji nie mógł żyć. Wszystkim, czy trzeba czy nie trzeba, usuwał macice, czyniąc je bezpłodnymi. Leżały u niego, gniły po półtora roku, a zwykłe usunięcie wyrostka robaczkowego kończyło się pooperacyjnym zainfekowaniem rany i trzymiesięcznym leżeniem. Tu sprawa miała się inaczej: autoklaw obsługiwała sanitariuszka, Litwinka Kostia. Miała klucze od sali operacyjnej i bez jej woli Steyer nie miał prawa do niej wejść. Według mnie, autoklaw, który oglądałam, był zepsuty. Rany chorym zaszywano nićmi numer dziesięć,

do zwykłego szycia. Chorych zawsze tam było pełno, rany gniły. Steyer zmieniał opatrunki nie przestrzegając antyseptyki i mnożył zakażenia. Coś tu musiało być na rzeczy.

Jeszcze w Incie zaniemogłam. Miałam obrzęk macicy, który narastał. Uczenie nazywa się to fibromioma, czyli mięśniak. Dokuczał mi, a po dźwiganiu ciężkich kotłów – ból się nasilał. Ale nosiłam te kotły w Abiezi, machałam tą chochlą rozlewając zupę, odmierzając kaszę. Szefową kuchni w stołówce była Rosjanka, kobieta dorzeczna. Było bardzo czysto, obiady lepsze niż w Incie. Inwalidki koło każdego baraku miały ogródki z marchewką, z buraczkami, i wszystko to szło do wspólnego kotła. Świnie tutaj były częściowo także dla nas. Czasem porcje były mikroskopijne, ale były. Kto otrzymywał paczki, sam sobie gotował w kuchni. Była taka kuchnia także w Incie i raz upieczono mi tam placki. Coś robiłyśmy w jednostce wojskowej i postawiono mnie do wytrząsania mąki z worków. W każdym zostawało jej po trosze i nawytrząsałam ponad kilogram. Te przaśniki bardzo mi smakowały i częstowałam nimi dziewczęta. Jeszcze w Incie otrzymałam też paczkę ze Lwowa od Matki Marty Leśniak. Obok smakołyków była w paczce miękka poduszeczka i ja odżyłam. Przestała mnie boleć głowa.

W Abiezi było także dużo Białorusinek. Ale bardzo były rozproszone. Wystraszone swoim SBM-em[315] i surowo zań ukarane, chciały żyć, chciały do domu. Mało która z nich rozumiała losy swego narodu i to, że trzeba było w zmiennych warunkach żyć i myśleć o narodzie. W łagrze żadnej polityki nie uprawiałyśmy. To nie był czas na to. Starałyśmy się tylko wyżyć pozostając sobą, to znaczy ludźmi myślącymi. Wiedziałyśmy kim jesteśmy i starałyśmy się zachować honor, który naszemu narodowi odebrano i podeptano. Rozumny, uczciwy Białorusin odnajdzie drogę ku jaśniejszej doli swojej i Ojczyzny, gdy będzie trzeba. Tylko innym gospodarzami w naszej chacie być nie pozwolimy i zniewolenia nie zniesiemy.

Nikt nie wiedział kim jestem – po prostu poetka i więzień. Moje nazwisko z wolności nie miało nic wspólnego z moim nazwiskiem łagrowym. Ono powstawało osobno i hartowało się w niedoli. Wiedziano tylko, że mam syna i że mąż jest w niewoli. To była moja słabość i moja siła. Zastygnąć jednak w niedoli nie wolno mi było, i nie było potrzeba. Musiałam myśleć, żyć i pomagać żyć innym. Moje myśli – to moje wiersze.

Pamiętam, raz na wigilię u Polaków, gdzie było prawdziwie ciepło i miło, poproszono mnie o wiersze. Posypały się ode mnie z głębi serca. Po białorusku, tak jak wszędzie i zawsze.

„Za co dano pani taki wyrok?”– pyta mnie jakiś śledczy w łagrze. „Mam honor cierpieć za Białoruś…”. To działało. Swoi myśleli, powracali do nas, obcy nas szanowali. To nie była polityka haseł, instynktów nienawiści, raczej polityka rozumu, prawdy i serca. Niekiedy przyjaciele mówili mi, że jestem marzycielką, że bez polityki obejść się nie można. Zgadzam się. Ale w tym wypadku tak było lepiej. To były rachuby długofalowe. Wszystkie słowa i czyny nie raz jeszcze zweryfikuje czas. Prawdziwy Białorusin nie zmyli drogi, a celem jego jest to jedno: Białoruś.

Coraz mi ciężej było pracować. Bolało mnie w krzyżu – ani usiąść, ani stać. Posłano mnie do lekarzy. Oglądano mnie, dawano maści, ale ból nie ustępował. Tymczasem do Abiezi przyjeżdżali mężczyźni z kancelarii, była też miejscowa kultbrygada. Częstowałyśmy mężczyzn zapiekanym na ich cześć makaronem, kapustą i herbatą. Stosunki wyraźnie się zmieniały. Jeszcze w Incie, jak opowiadały dziewczęta, które były w zonie, przyszli jacyś naczelnicy, współczuli niewolnicom, nawet podawali rękę… Nie był to oczywiście Kozłow i jego zgraja… Gdzieś z głębi tej ziemi poczęło kiełkować człowieczeństwo, w ludziach budziło się sumienie, ale nie u wszystkich.

Posłano mnie na wizytę do Steyera. Ujrzawszy mnie bardzo się zdziwił i był poruszony. Zdiagnozował moją chorobę i z miejsca kazał zostać na kuracji stacjonarnej. Pani Łucka, Ukrainka, z którą się zaprzyjaźniłam, była trochę przestraszona, ja – nie! I nagle – operacja. Nocą zjawili się u mnie wszyscy z mojej rodziny we śnie. Tata, mój wielkolud tata porwał mnie na ręce i poniósł gdzieś z czarnej zachmurzonej Abiezi i cały aż dygotał ze strachu, przyciskając mnie do swej piersi… „Nie, nie chcę operacji, w ogóle nie chcę” – powiedziałam. – „Nie, pani poleży sobie w szpitalu – powiedział Steyer – a potem się zobaczy. Dam tu pani pracę, będzie pani rozdawczynią pokarmów dla chorych oraz dla mnie. Teraz tu roznosicielką jest straszna kobieta, Polka, pani Nika. Ona mnie nienawidzi, a ja jej. A pani tu odpocznie i skrzywdzić pani nie pozwolę”. Pracowała tam też Katty, Angielka, którą wywieziono z Inty wcześniej. Była sanitariuszką u Steyera i bardzo dobrze doglądała chorych. Niestety, przyjaźniła się z Niką. Nika była z Wilna, niesympatyczna dama, jej nienawiść przeszła także na mnie. Nie wiem ile w tym prawdy, ale Steyer mi mówił, że ona chciała zdobyć jego serce… Z mojej strony Steyerowi nic nie grozi, a że ja go nigdy nie „sprzedam” on dobrze wiedział sam. A więc na razie operacji nie będzie. Nocą – tata znowu przy mnie. W Abiezi pogodnie i cicho, on objął mnie, pomachał ręką i odszedł samotnie w stronę lasu…

A więc wszystko będzie dobrze. A mnie tam było dobrze, chorzy tacy przyjaźni, tacy swoi. Na naszej sali – Sława Hrabianiuk. Ma coś z płucami, kiedyś wycięto jej dwa żebra i teraz się pogorszyło. I jeszcze Ukrainki sympatyczne leżą na wyciągach – problemy z kręgosłupami. Rozmawiamy, weselimy się. Ze Steyerem pracuje wolna złośliwa siostra i bardzo piękna i miła Ukrainka Anieczka. Zła Kostia śpi nie z nami. Steyer od Niki uwolnił się, a od Kosti nie może. Serwuję Steyerowi to, co wszystkim, ale ładnie układam na talerzu. Nie znosi kaszy i powiada, że jak wróci do Berlina to zabroni podawania kaszy na stół, a że wróci – bardzo w to wierzy. Rozmawiam z nim szczerze o wszystkim. Lubi bardzo mieć kwiaty w swoim pokoju, „Die grüne Ecke", zielony kącik. A kwiatów w Abiezi dużo, zaś wdzięcznych pacjentów u Steyera jeszcze więcej, więc w wazonach zawsze stoją kwiaty. Nika gdzieś w brygadzie, a co tam się dzieje w zonie, nawet nie wiem, chociaż przychodzą dziewczęta do mnie, ale mamy swoje sprawy białoruskie. Matka Marta przysłała mi w paczce katgut, penicylinę i szczoteczkę do mycia rąk chirurgowi, bo mył je bardzo wytartą szczotką, ale operację odkładamy. „Pani mi nie dowierza?" – zapytuje mnie Steyer… „Nie, ja nie ufam Kosti i tej wolnonajemnej, która z nią bez przerwy szepce i asystuje panu podczas operacji. Boję się ich i boję się operacji". O swoim śnie nie wspominam, to moja tajemnica, moja siła. Dawno nie czułam się w takim zaciszu od naczalstwa, tak mi dobrze. O Steyerze różnie mówią, na przykład, że zakochał się w młodziutkiej Ukraince itp. Mnie to nie obchodzi. Ja osobiście nic złego w nim nie widzę. Jest uczciwy, oddany pacjentom, mądry. Mnie jest dobrze, ale ciężko Oli Moroz. Żeby tak ona mogła tu odpocząć trochę razem ze mną. Właśnie akurat potrzebna jest sanitariuszka. Mówię doktorowi jak jest, że Ola jest pod ostrym nadzorem jak ja. Mówi mi w odpowiedzi, że i on jest skazany na 25 lat, że i on jest pod zaostrzonym nadzorem, ale spróbuje ją wziąć.

I Ola jest z nami, i jest nam radośnie. Steyer zna się na mocnych ludziach i rad jest, że pomógł Oli. Katty i pani Nika posiniały ze złości, wolnonajemna siostra – jak zwierz! Właśnie czepia się mnie. Rozlewam mleko chorym, ciężko chorym. Trochę go zostaje. Daję je w jej obecności słabiutkiej babci. I ona donosi na mnie, że rozdaję mleko komu nie należy… Co ja mogę dowieść na swoją obronę? Co my w ogóle możemy dowieść? Wzywają mnie na operację. „Nie ufam pani – mówię do wolnonajemnej siostry. – Skoro pani tak kłamie, to i zabić pani może". Wypisują mnie ze szpitala do brygady i zarazem zabierają Olę. A tak pragnęłam, żeby ona odpoczęła…

Jestem w brygadzie. Chodzimy poza zonę do przechowalni warzyw, przebieramy ziemniaki. Przemarzły. Tu dają ziemniaki również dla nas, a w Incie dla nas sypano do rowu i przykrywano śniegiem. Gotowano nam je zmarznięte i śmierdzące. Posyłano nas do ich obierania, i gdy rozmarzały, były jak purchawki. Tak zepsuć! Świnie by u nas jeść tego nie chciały, a myśmy jedli… Pod wiosnę gniły, czerniały i też myśmy jedli. A tu nam gotowano dobre ziemniaki. W zasieku napisane jest, że są białoruskie. Pali się w piecu, dziewczęta pieką sobie po ziemniaczku… Mówię: „Jak wam smakują kartofelki z mojej ziemi?". Częstują mnie, a konwojent pyta, skąd jestem. Nie bardzo mu chcę odpowiadać. Pyta jeszcze raz. Mówię, że z Białorusi. Dopytuje się coraz bardziej o szczegóły, aż doszliśmy do Gudziewicz i on poprawił mnie, że odpust tam na Zielną, a na Piotra w Wołpie. Znaleźliśmy jego krewniaków w naszej wsi i on sam jest z Masztalerzy. Mówi, że tak bliskiego mu człowieka na północy jeszcze nie spotkał, i jak gdyby przepraszając mnie dodaje, że musiałby nawet swego ojca konwojować, gdyby mu rozkazano. Spoglądam na niego z żalem, ale rada jestem, że tleje w nim jeszcze iskierka ludzkiej białoruskiej kultury ludowej, że mu głupio i wstyd, że wobec swoich musi pełnić taka psią służbę…

Później w innej jeszcze karnej zonie konwojent przywołał mnie do swej wyszki i powiedział, że ta mała zona służy do sprawdzania nas, kogo wypuszczą, a kogo posadzą na zawsze, że on wie, kim jestem i chce, żebym była chytra. Był to młody Litwin. Gdy odwożono mnie do Abiezi, to samo mi mówiła Maria, Białorusinka, która była blisko naczalstwa. Radziła mi pisać choć trochę oględniej, bo inaczej czeka mnie zguba… Ale niedługo wypadło mi tam popracować. Jakoś z rana przysłano po mnie do KWCz[316]. Nie poszłam, więc przyszli po mnie powtórnie, żebym tam pracowała. Nie chciałam za żadną cenę. Przedtem ze złości poszłam do naczelnika, chociaż wiedziałam, że to niedobry człowiek, i zapytałam go, czego ode mnie ta wolna siostra chciała? Czyżby zabrano mnie stamtąd za tę resztkę mleka dla babci? Co oni sobie myślą i czego chcą? Byłam brutalna. Powiedział mi tylko, że tamto mleko nie ma tu nic do rzeczy, że sprawa w czymś innym… Tego się spodziewałam, przykro tylko, że Katty donosiła, bo że tak postępowała pani Nika – to nie dziwi… Żal było Oli i Steyera. No i nie dali mi spokoju, i musiałam tam iść robić jakieś zabawki na choinkę w osiedlu i szykować kostiumy na koncerty. Już tam pracowała pani Jadzia, leciwa była współpracownica Piłsudskiego, sympatyczne Łotyszki i Ukrainki. Ciekawie było. A doktor dał znać, żebym dyskretnie zajrzała do niego. Sprawa była ważna. Doktor wyczytał w gazecie,

że ONZ coś postanowiła pozytywnego dla nas więzionych tu obcokrajowców i że spodziewa się, że nas niebawem wypuszczą. Drugi raz wezwał mnie, bo przygotowywano nowy etap i bał się, żeby mnie nie pognali gdzieś na koniec świata. Radził zahaczyć się w charakterze sanitariuszki, bo ze szpitali brać nie będą. Posłuchałam jego rady, ale mnie nie wzięto na sanitariuszkę, lepiej, powiedzieli, być siostrą gospodarczą. Tym sposobem przeszłam do korpusu szpitalnego. Etap jechał do Karagandy. Wywieziono Olę Moroz i dużo, dużo bliskich mi dziewcząt. Nie dali mi spokoju ci z KWCz, musiałam im pisać czastuszki i inne rzeczy. Chcieli wierszy, ale nie do wierszy mi było. Korpus był wielki, wszyscy pojechali na etap, zostali tylko chorzy chronicznie w naszym korpusie. Całej obsługi – ja i jedna sanitariuszka na tyle ludzi! Lekarka – jakaś Rosjanka, baptystka. Bardzo mi się dobrze z nią pracowało, ale roboty było dużo. Choćby tylko samej wody nawozić ile trzeba było. Ale gdy miała przybyć jakaś komisja, moi chorzy ożywiali się, spełzali z nar i pomagali mi ile kto mógł. Było rodzinnie i bardzo czysto. Różne narodowości, różni ludzie i „klasy", ale niedola jedna wspólna jednoczyła nas. W szpitalu wielu chorych ze śledztwa, to nerki odbite, to boki, to kości, to głowy. Sporo jest symulantów, ale otrzymują paczki i tak dekują się, a my ich obsługujemy. Jest w szpitalu toaleta, ale sikają i do słoików, i siostra gospodarcza, bo sanitariuszka jest jedna, musi zbierać to wszystko po nich i wynosić, umyć je, gdy leżą ledwie żywe, jak te mniszeczki, chore na zapalenie płuc i najczęściej umierające. Tu jest ich około 200, mają swój barak, żyją w nim po swojemu, modlą się, poszczą. Przy rozdawaniu posiłków dawałam ich porcje osobno i niosły je do swego baraku. Mięso, którego one nie spożywały, kazano mi przekazywać różnym brygadom. Hala, Mołdawianka, bardzo się dziwiła, że nie jestem z nimi. Nie mogłam iść do nich, bo oprócz modlitwy miałam o czym rozmyślać. Rozbijały głośniki radiowe tak samo jak w Incie, zrywały zakłamane hasła, takie jak: „Ofiarną pracą – wyzwolisz siebie", tak samo ich pilnowano, tak samo marzły zimą w latrynach w swych łachmanach łata na łacie. Bezbronne wróbelki, a duchem – siłaczki. Woreczek kości, a za nic w świecie nie spocznie na państwowej pościeli. Właśnie leżały u mnie. Dobrze, że Matka Marta przysłała mi poduszeczkę i powłoczki. Naciągam swoją powłoczkę i tym sposobem jakoś przekonam, żeby się położyła. Zagląda mi świetlistymi oczyma do duszy, widzi mój ból, a może i mój podstęp i milknie uciszona. Nie dawało się ich uleczyć. Jak świece gasły u mnie na rękach. Przychodziły mniszeczki, odprawiały modły nad nimi i wynosiłyśmy leciuteńki trupek w skrzyneczce, który odsyłaliśmy na autopsję.

Wszystko „po naukowemu"… Leżała taka mniszka staruszeczka u Steyera razem ze mną w jednej sali. Miała raka dwunastnicy. Pewna Litwinka dobrze odżywiona dzięki paczkom z wolności gotowa była oddać jej krew, ale staruszka nie zgodziła się na zmieszanie swej krwi prawosławnej z krwią litewską. Jak myśmy jej nie perswadowali, ona uparcie twierdziła, że przyjmie tylko moją krew. Steyer śmiał się, ale nie wyraził zgody, gdyż miałam zbyt niski poziom hemoglobiny.

Tymczasem przywieziono do nas Niemki z Workuty. Miały już własne paczki, listy z domu i odzież. Osiedlono je w oddzielnych barakach, których było wiele. Legły ciężarem na nasz OŁP. Jak ich nie prosiłyśmy, nie chciały nam w żaden sposób pomóc, były wręcz butne, „naród panów". Doskonale rozumiały, że nam, kobietom, ciężko ciągać wszystko dla nich, myć, gotować, karmić i czyścić, ale co im tam do wycieńczonych leciwych Ukrainek? One czuły się kimś lepszym od nas i przykro im było na nas patrzeć. Sytuacja była taka, że musiałyśmy same się ratować nawzajem. Na dobroć tych Frau naiwnością było liczyć, tak jak na dobroć ze strony naszego naczalstwa. Tylko któraś z dziewcząt przychodziła czasem podyżurować nocą koło naszych chorych. Mówiła, że w Workucie wypalała w piecach cegłę. Tymczasem przyszedł list od męża i była tam kartka od mojej siostry, w której pisała, że Jura w tej samej szkole, co i Łarysa… To było jasne jak słońce, nogi zrobiły mi się jak z waty, ale mój mąż tego nie zrozumiał i myślał, że Jura rzeczywiście uczy się… Myślałam, że padnę, ale nie płakałam, tylko myślałam, jak ratować swoje dziecko… Niemki wyjeżdżały, Steyer przyszedł pożegnać się ze mną, był wzruszony i widać było, że to dobry człowiek. Prosiłam go wcześniej, żeby się dowiedział, co z moim synem, ale wiadomości od niego nie było. Często w rozmowach wspominał przeszłość i mówił, że Niemcy muszą się rehabilitować wobec ludzkości za to, co narobili przez tę wojnę, że muszą zdecydowanie wejść na drogę humanizmu.

A z KWCz nie dawali mi spokoju, wciąż im trzeba było, żebym coś napisała. W Incie na jakieś święto puszkinowskie też o to samo prosili, ale w gazetce ściennej wydrukowali mój wiersz bez mego nazwiska. Mimo to przychodziły kobiety i dziękowały za wiersz rozpoznawszy moje pióro. Tutaj natomiast drukowano mnie i nawet podsuwano tematy, ale to mi się nigdy nie udawało.

W Abiezi też stworzyłyśmy swoją rodzinkę. Była Ola Stołbcowa, bardzo dobra dziewczyna z Kopyla, Lusia Krasnodubska[317], miłe dziewczę, Lodzia Kowalczuk[318], która już odsiedziała swój wyrok i trzeba było myśleć o niej, i inne. Razem urządzałyśmy naszą kutię[319] i kolejne moje urodziny. Miałam z Inty parę groszy

przynajmniej na cukierki dla nich. Lodzię poznałam zaocznie z Kostusiem Szyszeją, który z nią się ożenił[320]. Ale zanim do tego doszło, ona pracowała wolnonajemnym elektrykiem w Abiezi. Była młodziutka, śliczna, siedziała za organizację „Czajka". Skazano ją, gdy miała 16 lat[321]. Więc dyżurując w Abiezi jako elektryk otoczyła swoją dziuplę drutem pod wysokim napięciem, żeby nikt się do niej nie śmiał zbliżyć, jako że amatorów łatwych podbojów nie brakło. Tym sposobem doczekała się swego Kostusia, którego jeszcze musiała reedukować na swój ład, jak mówiono. Porządna dziewucha! Najmilsze było jednak spotkanie i znajomość z Matką Josifą Witer[322], współpracownicą metropolity Szeptyckiego[323] i również – jak Matka Marta – przeoryszą klasztoru. Była to kobieta o wszechstronnych zainteresowaniach, co bardzo ubarwiło moje życie. Przywieziono ją z Norylska, gdzie odbywała katorgę. Matka Josifa była chora na gruźlicę – w czasie śledztwa przez trzy miesiące siedziała po kolana w wodzie. Ona na pewno już sama o sobie nie pisała, a miała o czym. Mąż mój mówił, że tak pięknej i tak mądrej kobiety nigdy w życiu nie widział i nie spotkał. Ale ja tutaj trochę się pomyliłam. Matkę Josifę spotkałam nie w Abiezi, a w Mordowskiej ASRS w rok później, a tutaj były inne siostry – Ukrainki – niezwykle ideowe.

Pewnego razu znowu przyśnili mi się wszyscy swoi. Mama wyciągnęła do mnie ręce, ale do niej biegło czarne źrebię z twarzyczką mojej najmłodszej siostrzyczki Lusi i mama przytuliła Lusieńkę i zabrała ją ze sobą… Przez Matkę Martę otrzymałam list z Polski od siostry Niny, w którym ona pisała o śmierci Lusi. 22 maja 1952 roku znaleziono ją martwą ze śladami krwi, otrutą gazem. Nikt nie wie jak się to stało, ale każdy wie, że to była zbrodnia. Przeżyłam nieludzką udrękę. Ale tym razem nie płakałam na głos, snułam plan. Lusia była urodziwą zdolną dziewczyną, pracowała. Urodziła się, gdy myśmy już podrastali, ja miałam 15 lat. Złościliśmy się trochę, że mama ma małe dzieciątko, wstydziliśmy się nawet, tępe, nierozumne stworzenia… A dzieciątko rosło, odbyły się wielce wystawne chrzciny, do Żłobowców zjechał cały nasz ród. To było na Wielkanoc. Gdy przyjechałam na wakacje ze szkoły, dzieciątko leżało cichuteńkie, nigdy nie płakało. Mama cała zajęta przy gospodarstwie, a dzieciątko doglądały jak chciały służące. Pewnego razu zawaliły ją poduszkami i o mały włos nie zadusiły maleństwa. Bardzo ją wtedy pokochałam. Przed jej przyjściem na świat zmarł mój maleńki braciszek Juraczka. Miał przecudne błękitne oczy. Penicyliny wtedy nie było, a on zachorował na zapalenie płuc. I ja sama przystrajałam go kwiatami. Mama nie mogła. Ja go i do doktora woziłam, sama dzieckiem będąc, bo ja wszystko mogłam.

I oto Lusieńka, Puca, jak myśmy ją nazywali, taka niezwykle dobra, otwarta i ciekawa dla mnie jak sama nasza ziemia, jak poezja. Bardzo ciężko mi było w szkole bez niej i bez mamy, i w ogóle bez Żłobowców. Tam każdy krzaczek rozmawiał ze mną. A dziecko rosło, mądrzało i nie odchodziło ode mnie. Wybudowali rodzice nowy dom i nam obu dano oddzielny pokoik – najstarszej i najmłodszej. Byłyśmy nierozłączki. Wszystko dla niej szyłam, wszystko jej maleńkiej oddawałam. A gdy miała sześć latek, objęła mnie za szyję pewnego razu i zaszeptała: „Łareczko, będę na ciebie mówiła mama, tylko cichutko, bo mamę bolałoby serce, jakby się o tym dowiedziała". Ale mama wiedziała o tym w Kazachstanie, gdy konając powiedziała o tym Lusieńce i oddała ją mnie pod opiekę. Widziałam Lusię na górze Śnieżce, na granicy między Polską i Czechami. Spotkałyśmy się tam jako turyści i nie mogłyśmy rozmawiać. Chcieliśmy ją zabrać do Czechosłowacji, było to w 1947 roku, ale druga siostra Nina nie dała mi jej, bojąc się, że Polacy ją posadzą. A Czesi bardzo mi chcieli pomóc. Pozwolili mi później wysłać paczkę do Polski, i ja te oberwane moje siostry, niedawne zesłanki z Kazachstanu, pięknie przyodziałam. Moi znajomi w Polsce dali im mieszkanie, pracę, pomoc, i oto nas aresztowano i wywieziono do łagrów na koniec świata, a głupie moje siostry spoili i kupili ci, co rozpijają, kupują i sprzedają głupców i handlują głupcami. One zapomniały o mojej pomocy, o własnych cierpieniach, o śmierci rodziców i braci, o naszej poniewierce łagrowej i myślały wyłącznie o sobie samych i o tym, o czym im myśleć rozkazano. Rozkazodawcy wiedzą, co było z Lusią i zacierają ślady.

Teraz moje dziecko w więzieniu, moja siostra w ziemi – ile można znieść i gdzie się podziać z takim cierpieniem nieludzkim? Ledwo przeżyłam śmierć rodziców i braci, o czym dowiedziałam się jednego dnia, potem rozdarto i zniewolono naszą rodzinę, a teraz jeszcze to… Boże mój! Gdzie kres tej niedoli?

Znowu mnie ciągają. Tym razem jakiś Żyd, jakiś ważny naczelnik. Namawia mnie po dobroci, żebym zwróciła się na piśmie o ułaskawienie lub ze skargą odwoławczą, żeby mnie nareszcie wypuścili. „Jak długo porządni ludzie mają jeszcze siedzieć?" – krzyczy mi, że puszczą nas do Czechosłowacji czy tutaj, tylko żebym napisała, on chce wiedzieć, że mnie przekonał. Nie, nie i jeszcze raz nie! Ja siedziałam za nic i niech oni mnie proszą, żebym im przebaczyła! Płaczę i uciekam. Przez cały czas pobytu w łagrze nie prosiłam ich o nic! Mnie nie mieli prawa sądzić i oni o tym dobrze wiedzą i niechaj wrócą mnie tam, skąd wzięli! Co tu się wyprawia? Czego oni chcą? Przecież oni nie znają współczucia i ja wiem o tym,

oni chcą mnie oszkapić, chcą mnie po prostu tutaj zostawić, wypuścić na moją prośbę, aha, oto jak to wygląda… Muszę robić tak, żeby mnie odwieźli do Europy, tam syn i ludzie bardziej ludzcy i nie ma Komi. Jakie fartowne te Niemki i ci wszyscy, którym udało się wyrwać stąd! Stalina już nie ma, ale oni tu się rodzą jak grzyby po deszczu i kto wie, czy znów z jakiegoś duchownego seminarzysty nie wykluje się podobny czort? Nie, nie, tylko uparcie starać się, żeby jak najdalej stąd! My, Białorusini, sentymentalne skrzypki, rozkisamy bez Ojczyzny i gnamy do niej na zatracenie. Nas można wyłuskać tak do ostatniego, pijanych miłością do wioski! Trzeba żyć rozumem i świętość uczuć utaić głęboko na dnie duszy. Tutaj najważniejsze – pozostać człowiekiem, potem dopiero być socjalistą, proletariuszem lub kim kto chce. Ale człowiekiem trzeba być przede wszystkim, a tutaj się nie daje!

Rany w duszy ogniem pieką, mąż nie zginie, pisze że pracuje jako lekarz i tak można żyć, ale syn mój w niedoli, mój mały syneczek… „Mamo, piłem wódę, byłem jak bydlę – powie mi później – inaczej by mnie oni nie wypuścili…”. Tak. Oni wypuszczają tylko, gdy w człowieku zabite jest już sumienie, a za granicę – tylko przysięgłych swoich delatorów, to wszystko skądś wiem, ale wiem to na pewno. Przechytrzyć wroga i nie zostać w jego krwawych łapach narzędziem w jego własnych geszeftach. Mnie oni już nie oszukają. Ale nie wiem, jak mój mąż? Niepokoi mnie to. I chciałabym zapomnieć już o nim, bo wyczuwam z jego listów, że jesteśmy różni, że różnimy się jako ludzie. Pisze mi o Workucie, o spotkaniu, o szczęściu tu na Północy…

Jakież tu może być szczęście, człowieku, gdy tutaj wszystko stoi na oszukańJstwie, na trupach, gdy tu konieczna jest walka!

Przypisy

1 Żłobowce (Žłobaŭcy) – folwark, który otrzymał ojciec Łarysy Geniusz (Hieniuš) Anton Mikłaszewicz (Mikłašević) od swego ojca Pawła; tam 9.08.(27.07.)1910 r. urodziła się Ł. Hieniuš. W 1939 r. dom przeniesiono do Wołkowyska, gdzie znajduje się dotychczas (ul. Sowiecka 7).

2 Wołkowysk (Vaŭkavysk) – miasto rejonowe (w okresie międzywojennym powiatowe) w obwodzie grodzieńskim w Republice Białoruś.

3 Wołpa (Voŭpa) – miasteczko 25 km od Wołkowyska, leżące na trasie Wołkowysk – Grodno, liczące ok. 1,5 tys. mieszkańców.

4 Zielenkiewiczowie – przyjaciele Aleksandry i Antona Mikłaszewiczów z Aleksandrówki.

5 Ojciec Ł. Hieniuš – Anton Mikłašević, ur. w 1882 r. w Krynkach na Białostocczyźnie, posiadał folwark Żłobowce. 21.10.1939 r. został aresztowany przez władze sowieckie i skazany na 6 lat łagru. Skierowano go do m. Bijsk w Kraju Ałtajskim. Los nieznany.

6 Księstwo Połockie – pierwsze ruskie księstwo udzielne ze stolicą w Połocku, wyłoniło się z Rusi Kijowskiej w końcu X w. i istniało jako niezależny byt państwowy z przerwami do 1394 r. W historiografii białoruskiej uważane jest za pierwszy prabiałoruski twór państwowy, stanowiąc część białoruskiego mitu historycznego i narodowego.

7 Ksienia Mikłaszewicz (Mikłašević) – siostra Ł. Hieniuš, ur. w 1912 r., po II wojnie światowej mieszkała we Wrocławiu pod zmienionym imieniem Kazimiera, zmarła 7.09.1970 r. we Wrocławiu (Л. Генiюш, *Лiсты з Зэльвы*, Гародня – Wrocław 2012, s. 145, 173, 420).

8 Rościsław Mikłaszewicz (Raścisłaŭ Mikłašević) – brat Ł. Hieniuš, ur. w 1918 r., zginął jako żołnierz Armii Radzieckiej 28.09.1945 r., pochowany w zbiorowej mogile w Amalienfeld pod Barnim na terenie Niemiec (Л. Генiюш, *Лiсты з Зэльвы*, Гародня – Wrocław 2012, s. 215-216, 411).

9 Żyrowicze (Žyrovičy) – miasteczko leżące 10 km na południe od Słonimia, 138 km od Grodna, liczące ok. 2,5 tys. mieszkańców, znane ze znajdującego się tam sanktuarium prawosławnego i ikony Matki Bożej Żyrowickiej.

10 Gudziewicze (Hudzievičy) – wieś w rejonie mostowskim obwodu grodzieńskiego, przed I wojną światową posiadał tam folwark dziadek Ł. Hieniuš Paveł Mikłaševič.

11 Herkules – przenośnie o bracie Rościsławie; nawiązanie do bohatera mitów greckich Herkulesa, syna Zeusa i Alkmeny, który miał nadzwyczajną siłę.

12 Arkadź Mikłaševič – brat Ł. Hieniuš, ur. w 1921 r., był w armii W. Andersa, zginął 27.07.1944 r. we Włoszech, pochowany w Loreto (Л. Геніюш, *Лісты з Зэльвы*, Гародня – Wrocław 2012, s. 216, 411).

13 Sławaczka – zdrobnienie imienia Raścisłaŭ.

14 Alaksiej Mikłaševič – brat Ł. Hieniuš, ur. w 1923 r., był w armii W. Andersa, po demobilizacji mieszkał w Londynie i pracował jako aktor w teatrze; zmarł w 2011 r. (Л. Геніюш, *Лісты з Зэльвы*, Гародня – Wrocław 2012, s. 411).

15 Ludmiła (zdrob. Lusieńka) – siostra Ł. Hieniuš, ur. w 1925 r., po II wojnie światowej mieszkała w Polsce, zmarła w zagadkowych okolicznościach 2.05.1955 r. (Л. Геніюш, *Лісты з Зэльвы*, Гародня – Wrocław 2012, s. 126, 420); Ł. Hieniuš w różnych miejscach podawała różne lata śmierci: 1952, 1954.

16 Nina – siostra Ł. Hieniuš, ur. w 1913 r., po II wojnie światowej mieszkała w Polsce, kilka razy odwiedzała Ł. Hieniuš w Zelwie (Л. Геніюш, *Лісты з Зэльвы*, Гародня – Wrocław 2012, s. 216, 420).

17 Właścicielka majątku Aleksandrówka (Alaksandraŭka).

18 Mowa o Józefie Piłsudskim (5.12.1867 Zułów – 12.05.1925 Warszawa), Naczelniku Państwa (1918-1922), naczelnym wodzu armii polskiej od 11.11.1918 r., pierwszym marszałku Polski od 19.03.1920 r., dwukrotnym premierze Polski (1926-1928, 1930), popularnym polityku.

19 Białoruska Włościańsko-Robotnicza Hromada – największa i najbardziej popularna partia białoruska powstała w 1925 r., licząca ok. 100 tys. członków, zdelegalizowana w 1927 r. Jej przywódców i działaczy aresztowano w styczniu 1927 r. i sądzono w 1928 r. w Wilnie.

20 Michaś Wasilok (Michaś Vasilok; właśc.: Michaił Kaścievič) – poeta białoruski, ur. 14.11.1905 r. w Bobrowni (Babroŭnia) na Grodzieńszczyźnie. Debiutował w Wilnie na łamach pisma „Małanka" w 1926 r. W okresie międzywojennym ukazały się dwa zbiorki poezji: *Šum baravy* (Wilno 1929) i *Z sialanskich niŭ* (Wilno 1937). Po II wojnie światowej mieszkał w Grodnie, gdzie zmarł 3.09.1960 r. W tekście mowa o jednym z dwóch wspomnianych wyżej zbiorków wierszy.

21 „Demon" – poemat Michaiła Lermontowa z 1841 r. Tytułowy demon (szatan), upadły anioł, zakochuje się w pięknej kobiecie, którą przed zgubą ratują niebiosa.

22 Mowa o Janie Geniuszu (Janka Hieniuš; 24.02.1902 Krynki – 19.02.1979 Zelwa) – mężu Łarysy Hieniuš, lekarzu, absolwencie medycyny na Uniwersytecie Karola w Pradze; po studiach pracował jako lekarz w Pradze, w czasie wojny wszedł w skład praskiej filii Białoruskiej Samopomocy Ludowej; w 1948 r. wraz z żoną został aresztowany i pozbawiony obywatelstwa czechosłowackiego, wywieziony do ZSRR i skazany na 25 lat łagrów. Zesłany do Workuty, a w 1953 r. – do Mordowii. Został zwolniony przed terminem (w 1956 r.), mieszkał i pracował w Zelwie.

23 Białoruska piosenka ludowa.

24 Stefan Mikłaszewicz (Ściapan Mikłašević) – stryj Ł. Hieniuš z Pietrewicz, działacz komunistyczny.

25 Mikołaj Mikłaszewicz (Mikałaj Mikłašević) – stryj Ł. Hieniuš z Pietrewicz.

26 Lina Żyżun (Lina Žyžun) – koleżanka Ł. Hieniuš.

27 Janka Hieniuš – przyszły mąż Ł. Hieniuš.

28 Mowa o wojnie domowej w Hiszpanii (1936-1939).

29 Zelwa (Zelva) – miasto rejonowe w obwodzie grodzieńskim nad rzeką Zelwianką, liczy ok. 7 tys. mieszkańców.

30 Maksim Tank (właśc.: Jaŭhien Skurko) – poeta białoruski, ur. 17.09.1912 r. w Pilkowszczyźnie na Miadziolszczyźnie, debiutował w 1932 r.; w l. 30. wydał w Wilnie zbiorki poezji: *Na etapach* (1936), *Žuravinavy ćviet* (1937), *Pad mačtaj* (1938). Po II wojnie światowej mieszkał w Mińsku, w l. 1948-1966 był redaktorem naczelnym pisma „Połymia", od 1966 r. był pierwszym sekretarzem, a w l. 1971-1990 prezesem zarządu Związku Pisarzy Białorusi (Sajuza Piśmiennikaŭ Biełarusi). Zmarł 8.08.1995 r. w Mińsku.

31 Janka Kupała (właśc.: Jan Łucevič) – poeta, klasyk literatury białoruskiej (7.07. 1882 Wiazynka – 28.06.1942 Moskwa). Debiutował w języku polskim; pierwszy wiersz w języku białoruskim napisał w 1904 r., a opublikował w 1905 r. Publikował wiersze w „Našaj Nivie" (1906-1915). Po I wojnie światowej osiadł w Mińsku w BSRR i włączył się aktywnie w budowę państwowości białoruskiej.

32 Rząd Białoruskiej Republiki Ludowej – od 1919 do 1923 r. w Kownie, następnie w Pradze. BRL (Biełaruskaja Narodnaja Respublika) – państwo białoruskie, obwieszczone 25.03.1918 r. w Mińsku. Formalnie przestało istnieć po traktacie w Rydze, 18 marca 1921 r.

33 Białoruska Rada Szkolna (Biełaruskaja Školnaja Rada) – białoruska organizacja społeczna, z której powstało Towarzystwo Szkoły Białoruskiej (Tavarystva Biełaruskaj Školy); działało w latach 1921-1937.

34 Bronisław Taraszkiewicz (Branisłaŭ Taraškievič; 20.01.1882 Maciuliszki na Wileńszczyźnie – 29.11.1938) – białoruski działacz narodowy, autor gramatyki białoruskiej (1918), tłumacz *Pana Tadeusza* A. Mickiewicza i *Iliady* Homera na język białoruski, poseł na Sejm RP (1922-1928), przywódca Białoruskiej Włościańsko-Robotniczej Hromady. W 1933 r. w ramach wymiany więźniów politycznych wyjechał do ZSRR. Został rozstrzelany w 1938 r. Patrz: A. Bergman, *Rzecz o Bronisławie Taraszkiewiczu*, Warszawa 1976.

35 Anton Hryniewicz (Anton Hrynievič; 3.05.1877 Iwanowszczyzna – 8.12.1937) – białoruski działacz narodowy, autor białoruskich śpiewników; po I wojnie światowej w Wilnie wykładał muzykę w gimnazjum białoruskim, był sekretarzem Towarzystwa Szkoły Białoruskiej; w 1925 r. wyjechał do BSRR, gdzie w Mińsku pracował w Instytucie Kultury Białoruskiej, a następnie w Akademii Nauk BSRR; w 1933 r. został aresztowany, a następnie rozstrzelany.

36 Kanczewski (Kančeŭski) – białoruski kooperator w Duksztach; być może chodzi o Ihnata Kanczewskiego (1896 Wilno – 21.04.1923), autora eseju *Adviečnym šlacham* (Wilno 1921).

37 Dukszty – miasteczko na Litwie, w okresie międzywojennym w granicach II RP, administracyjnie najpierw w woj. nowogródzkim, a następnie w woj. wileńskim.

38 Wasil Zacharka (Vasil Zacharka; 1.04.1877 Dobrosielce – 14.03.1943 Praga) – prezydent BRL na emigracji w l. 1928-1943, od 1923 r. mieszkał w Pradze, w l. 1918-1919 minister finansów we władzach BRL.

39 Aleksander Dzmitryjew (Alaksandr Dźmitryjeŭ) – białoruski działacz w Kownie, przedstawiciel BRL w Berlinie.

40 Hilary Dworczanin (Iłaryjon Dvarčanin) – młodszy brat Ihnata Dvarčanina, studiował w Instytucie Technologicznym (Wydział Rolniczy Uniwersytetu Karola w Pradze), nielegalnie przekroczył granicę do BSRR; był zastępcą dyrektora w Białoruskim Rezerwacie Państwowym (Biełaruski dziaržaŭny palaŭničy zakaznik), w 1934 r. zesłany na Sołowki, gdzie został zakatowany w 1941 r.

41 Liudijimas (lit.) – zaświadczenie.

42 Wacław Łastowski (Vacłaŭ Łastoŭski; 8.11.1883 Koleśniki pod Głębokiem – 23.01.1938) – białoruski działacz narodowy, autor *Karotkaj historyi Biełarusi* (Wilno 1910), od grudnia 1919 r. do 1923 r. premier rządu BRL w Kownie. W l. 1923-1927 r. w Kownie wydawał pismo „Kryvič", w 1924 r. wydał *Padručny*

rasijska-kryŭski (biełaruski) słoŭnik, w 1926 r. – *Historyja biełaruskaj (kryŭskaj) knihi*. Od 1927 r. mieszkał w Mińsku – był dyrektorem Białoruskiego Muzeum Państwowego, pracował w Instytucie Kultury Białoruskiej, kierował Katedrą Etnografii Akademii Nauk BSRR, był sekretarzem AN BSRR; w 1929 r. został zwolniony z pracy, w 1930 r. – aresztowany i zesłany do Saratowa na 5 lat, gdzie pracował w bibliotece uniwersyteckiej; w 1937 r. aresztowany powtórnie i rozstrzelany.

43 Franciszek Skoryna (Francišak Skaryna; 1490? Połock – 1551?) – czołowy przedstawicielu białoruskiego renesansu, drukarz i tłumacz; związany był z Pragą. Znajduje się tam jego pomnik oraz tablica pamiątkowa na budynku Biblioteki Narodowej. Był autorem przekładu Biblii na język starobiałoruski oraz jej drukarzem i wydawcą.

44 Piotr Geniusz (Piotr Stanisłavavič Hieniuš; ? – 31.12.1952 Zelwa) – ojciec Janki Hieniuša, teść Ł. Hieniuš (Л. Геніюш, *Лісты з Зэльвы*, Гародня – Wrocław 2012, s. 417).

45 Mowa o wyborach do parlamentu – Sejmu i Senatu w 1935 r., w których do żadnej z izb nie wszedł żaden Białorusin.

46 Roś – miasteczko w pow. wołkowyskim.

47 Mowa o Jerzym Geniuszu (Jurka Hieniuš), w przyszłości lekarzu i prozaiku białoruskim, mieszkającym w Białymstoku, gdzie zmarł 21.11.1985 r.

48 Mowa o ojcu chrzestnym Jurki Hieniuša.

49 Malicka – matka chrzestna Jurki Hieniuša.

50 o. Dawid Jakobson (1878-1939) – protojerej, proboszcz prawosławnej parafii w Zelwie; we wrześniu 1939 r. został aresztowany i bestialsko zamordowany przez sowietów. M. Filipowicz, *Zbrodnia w Zelwie*, „Biuletyn IPN", 2004, nr 12, s. 80-83.

51 Safona – poetka antyczna starożytnej Grecji z przełomu VII i VI w. p.n.e. Prawdopodobnie Autorka miała na myśli czasy Jana Kochanowskiego, który w trenie VI tak pisał o swej zmarłej córce Urszuli:

Ucieszna moja śpiewaczko, Safo słowieńska,
na którą nie tylko moja cząstka ziemieńska,
ale i lutnia dziedzicznym prawem spaść miała.

52 Bereza Kartuska (Kartuz-Biaroza) – miasteczko na Polesiu. W l. 1934-1939 w byłym klasztorze zakonu kartuzów znajdował się obóz odosobnienia dla więźniów politycznych.

53 Mowa o Pelagii Zacharce (4.09.1890 Wołasawa – 11.08.1937 Praga), z domu Leuta. Jej brat Aleksander ożenił się z Elżbietą (Jelizawietą) Mikłašević, kuzynką Ł. Hieniuš.

54 Maria Kreczewska (Krečeŭskaja; ur. 20.03.1883 r. w Mińsku – ?) – żona Piotra Kreczewskiego, prezydenta BRL w latach 1923-1928.

55 Piotr Kreczewski (Piotra Krečeŭski; 7.08.1879 Dubno – 6.03.1928 Praga) – białoruski działacz narodowy, nauczyciel; ukończył seminarium duchowne w Wilnie, pracował jako nauczyciel w szkołach cerkiewno-parafialnych w Jałówce, w Struzie na Grodzieńszczyźnie. W 1918 r. uczestniczył w obwieszczeniu BRL, był członkiem pierwszego rządu BRL, pełnił funkcje państwowego kontrolera, ministra finansów, był przewodniczącym Centralnej Białoruskiej Izby Handlowej. Od 13.12.1919 r. był przewodniczącym Rady BRL (prezydentem), także na emigracji – do 1928 r.

56 Eserzy – członkowie Partii Socjalistów-Rewolucjonistów, powstałego w 1901 r. w Rosji ugrupowania politycznego, którego założycielami byli rewolucjoniści wywodzący się z tzw. narodników. Celem politycznym eserów była republika demokratyczna, w której dominowałaby klasa chłopska.

57 Mowa o zjeździe białoruskiej emigracji w Berlinie w październiku 1925 r., na którym uznano, że jedyną reprezentacją narodu białoruskiego są władze w Mińsku. Deklarację taką podpisali emigracyjni działacze białoruscy poza W. Zacharką i nieobecnym P. Kreczewskim.

58 Zmicier Żyłunowicz (Źmicier Žyłunovič, właśc. Ciška Hartny; 4.11.1887 Kopyl – 11.04.1937 Mińsk) – białoruski pisarz i działacz BSRR w latach 20.; w styczniu-lutym 1919 r. był premierem Tymczasowego Robotniczo-Chłopskiego Rządu BSRR; w BSRR był redaktorem gazety „Sawieckaja Biełaruś", pisma „Połymia", dyrektorem Wydawnictwa Państwowego BSRR i Archiwum Państwowego BSRR, wiceministrem Ludowego Komisariatu Oświaty BSRR, członkiem Instytutu Kultury Białoruskiej, akademikiem Akademii Nauk BSRR; członkiem Centralnego Komitetu Wykonawczego BSRR (1921-1931); 15.11.1936 r. aresztowany, popełnił samobójstwo w szpitalu psychiatrycznym w Mohylewie.

59 Aleksander Ćwikiewicz (Alaksandr Ćvikievič; 1888 Brześć – 30.12.1937) – działacz BRL, minister spraw zagranicznych, od 1925 r. premier rządu emigracyjnego BRL, w 1925 r. wrócił do Mińska, pracował w ministerstwie finansów BSRR, był sekretarzem Instytutu Kultury Białoruskiej, od 1929 r. pracował w Instytucie Historii AN BSRR; w 1930 r. aresztowany i zesłany na Sybir. W 1937 r. aresztowany powtórnie i rozstrzelany w Mińsku.

60 Lavon Zajac – działacz BRL (03.1890 Dołhinowo – 23.09.1935), ukończył uniwersytet w Petersburgu, w rządzie BRL sekretarz państwowy, szef kancelarii, po 1921 r. na emigracji, w 1925 r. przyjechał do Mińska, był konsultantem mini-

sterstwa finansów BSRR. Aresztowany w 1930 r. i zesłany do Ufy; w 1935 r. aresztowany powtórnie, zmarł w więzieniu.

61 Włodzimierz Prokulewicz (Uładzimir Prakulevič; 1887 Krasnołuki koło Czasznik – 20.08.1938) – działacz BRL, uczestnik powstania słuckiego w 1920 r.; od 1921 r. w Wilnie, skąd został wysiedlony przed wyborami do Sejmu Wileńskiego w 1922 r., sekretarz rządu emigracyjnego BRL w Pradze; w 1926 r. wrócił do Mińska; w 1930 r. aresztowany i zesłany na 5 lat do Świerdłowska; w 1938 r. aresztowany powtórnie i rozstrzelany.

62 Mowa o pracy „Hałoŭnyja momanty biełaruskaha ruchu" Wasila Zacharki.

63 Vítězslav Hradil – czeski lekarz dermatolog i wenerolog.

64 Tomaš Garrigue Masaryk (7.03.1850 – 14.09.1937) – prezydent Czechosłowacji w l. 1918-1935.

65 Edvard Beneš (1884-1948) – minister spraw zagranicznych Czechosłowacji w l. 1918-1935, premier w l. 1920-1921, prezydent w l. 1935-1938 i 1946-1948. W okresie drugiej wojny światowej prezydent Czechosłowacji na uchodźstwie.

66 Obecnie: ul 5 Maja 70.

67 Wcielenie Austrii do III Rzeszy (Anschluss) dokonane 12-13 marca 1938 r.

68 Mowa o towarzystwie sportowym „Sokół". Czeski „Sokół" był najstarszą w krajach słowiańskich organizacją sokolską (założony został w 1862 r.). Miał podnosić sprawność fizyczną oraz rozbudzać ducha narodowego, dzięki czemu przyczynił się do wzmocnienia tożsamości narodowej Czechów. W międzywojennej Czechosłowacji był – z racji swych wcześniejszych zasług – organizacją cieszącą się szczególnym szacunkiem władz i społeczeństwa.

69 Mowa o Zaolziu, przyłączonym do Polski w październiku 1938 r.

70 Édouard Daladier (1884-1970) – francuski działacz polityczny, w l. 1924-1940 trzykrotny premier Francji, jeden z sygnatariuszy układu monachijskiego podpisanego na konferencji w Monachium 30.09.1938 r., który przyznawał III Rzeszy część terytorium Czechosłowacji – Kraj Sudecki.

71 Arthur Neville Chamberlain (1869-1940) – polityk brytyjski, w l. 1937-1940 premier Wielkiej Brytanii, główny inicjator układu monachijskiego.

72 Emil Hácha (1872-1945) – polityk czechosłowacki. Po układzie monachijskim i emigracji E. Beneša (1938) sprawował urząd prezydenta Czechosłowacji. Szantażowany przez Hitlera, podpisał w Berlinie dokument o przyłączeniu Czech i Moraw do Rzeszy mimo braku upoważnień ze strony rządu i parlamentu. Po wkroczeniu wojsk niemieckich do Pragi w marcu 1939 r. został mianowany

prezydentem utworzonego przez Hitlera Protektoratu Czech i Moraw. Po wyzwoleniu Czechosłowacji aresztowany, zmarł w więzieniu.

73 Łesia Ukrainka (właśc. Łarysa Kosacz-Kwitka; 25.02.1871 Nowogród Wołyński – 1.08.1913 Surami – Gruzja) – poetka ukraińska.

74 Patrz przypis 5.

75 Połówki (Pałaŭki) – wieś w pow. grodzieńskim (obecnie w rejonie mostowskim), niedaleko której znajdował się folwark Żłobowce.

76 Uładak Lucik – sąsiad Mikłaszewiczów, wydał władzom sowieckim ojca Ł. Hieniuš.

77 Włodzimierz Mikłaszewicz (Vałodzia Mikłaševič), brat ojca Ł. Hieniuš, aresztowany przez sowietów i osadzony w więzieniu w Grodnie.

78 Wital Mikłaszewicz (Vital Mikłaševič) – syn Włodzimierza Mikłaszewicza.

79 Czyngis-chan (ok. 1155-1227) – władca mongolski, twórca i długoletni władca imperium mongolskiego, jeden z największych zdobywców w dziejach świata.

80 Tomasz Hryb (Tamaš Hryb; 19.03.1895 Palany, Oszmiańszczyzna – 25.01.1938 Praga) – białoruski działacz narodowy, sekretarz I Ogólnobiałoruskiego Zjazdu w 1917 r., członek władz BRL; od 1921 r. na emigracji Kownie, a od 1922 r. – w Pradze, gdzie ukończył Uniwersytet Karola oraz działał w białoruskich organizacjach. Związany z białoruskimi eserami. Wydawał w Pradze periodyk „Iskry Skaryny", doktoryzował się na Uniwersytecie Karola w Pradze w 1926 r. z tematu „Otazká národa i národnosti (Sociologický rozbor národnosti)" – „Problem narodu i narodowości. (Socjologiczna analiza narodowości)". W l. 1935-1938 pracował w archiwum białoruskim w Pradze.

81 Alexander Fleming (1881-1955) – szkocki bakteriolog i lekarz, wynalazca penicyliny.

82 Iwan Jermaczenka (Ivan Jermačenka; 13.05.1894 Kopoczówka koło Borysowa – 25.02.1970 Delray, Floryda, USA) – białoruski działacz narodowy, dyplomatyczny przedstawiciel BRL w Konstantynopolu, zakładał dyplomatyczne przedstawicielstwa BRL w Bułgarii i Jugosławii; w 1926 r. ukończył Uniwersytet Karola w Pradze i działał tam w białoruskim ruchu emigracyjnym; w l. 1941-1943 był przewodniczącym Białoruskiej Samopomocy Ludowej i doradcą komisarza generalnego Białorusi Wilhelma Kube; latem 1944 r. ewakuował się do Niemiec, a stamtąd w 1948 r. emigrował do USA; był jednym z organizatorów Białorusko-Amerykańskiego Komitetu Pomocy w South River i aktywnym białoruskim działaczem emigracyjnym. Patrz: Сьведка, *Сьв. Пам. Д-р Іван Ермачэнка*, „Беларуская Думка", 1969-1970, nr 12-13, s. 40-42.

83 Wasil Rusak (Vasil Rusak; 1896 – po 1946) – uczestnik Powstania Słuckiego w 1920 r.; od 1923 r. w Pradze, studiował agronomię w Wyższej Szkole Technicznej; zajmował się przedsiębiorczością, fundował wydawanie pisma „Iskry Skaryny", wydał *Biełaruski śpieŭnik* (1934); w 1946 r. aresztowany przez radziecki wywiad i skazany na 10 lat więzienia; dalszy los nieznany.

84 Piotr Bakacz (Piotra Bakač; 1910 – ?) – białoruski działacz społeczno-kulturalny; absolwent Uniwersytetu Karola w Pradze, autor podręcznika do jęz. niemieckiego dla Białorusinów (1941), członek Białoruskiej Centralnej Rady; w 1946 r. aresztowany przez wywiad radziecki.

85 Aleksander Kałosza (Alaksandr Kałoša; 1905-1985) – inżynier, studiował w Pradze, zastępca przewodniczącego Białoruskiego Komitetu Samopomocy w Berlinie, członek Białoruskiej Centralnej Rady; w 1947 r. otrzymał obywatelstwo czechosłowackie, którego pozbawiono go w 1948 r. i deportowano go do ZSRR, gdzie skazano go na 25 lat więzienia; zwolniono go w 1956 r.; wyjechał do Czechoslowacji.

86 *Nie pahasnuć zorki ŭ niebie* – białoruski hymn narodowy, słowa J. Kupały, muzyka L. Rogowskiego.

87 Mowa o Pogoni.

88 Mowa o biało-czerwono-białym sztandarze.

89 Włodzimierz Tomaszczyk (Uładzimier Tamaščyk; 15.04.1900 Ozierany Wielkie, Białostocczyzna – 9.06.1970 New York, USA) – działacz białoruski, od 1949 r. prawosławny duchowny, biskup Białoruskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej na emigracji (o. Vasil); od 1930 r. w Czechosłowacji, studiował na wydziale rolniczym w Instytucie Politechnicznym; od 1934 r. pracował jako asystent w Praskim Instytucie Zoologii; był sekretarzem prezydenta BRL Wasila Zacharki; w czasie okupacji niemieckiej był zastępcą redaktora naczelnego gazety „Novaja Daroha" w Białymstoku, działał w Komitecie Białoruskim w Białymstoku – pewien czas był jego przewodniczącym; latem 1944 r. udał się na emigrację do Niemiec, a w 1951 r. – do USA.

90 Jan Slavik (1885-1978) – czeski historyk i archiwista, w okresie międzywojennym najlepszy w Czechosłowacji specjalista od najnowszych dziejów Rosji i ZSRR. W latach 1925-1939 był dyrektorem Rosyjskiego Zagranicznego Archiwum Historycznego, powołanego przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych Czechosłowacji. Rosyjskie Zagraniczne Archiwum zajmowało się kompletowaniem dokumentów, rękopisów, książek, czasopism i gazet oraz korespondencji prywatnej z okresu pierwszej wojny światowej oraz wszelkich materiałów dotyczących historii i kultu-

ry rosyjskiej, ze szczególnym uwzględnieniem wydawnictw emigracyjnych. Archiwum posiadało swoje przedstawicielstwa we wszystkich niemal centrach emigracji rosyjskiej, od 1928 r. pieczę nad jego działalnością sprawowało czechosłowackie MSZ. W Archiwum znajdowały się między innymi niezwykle cenne archiwa partii eserów (protokoły, programy, publikacje itd.), protokoły Dumy Państwowej Rosji z okresu rewolucji lutowej 1917 r., prywatne archiwa generałów Denikina, Aleksiejewa, admirała Kołczaka i wielu innych. Tu również znajdował się najbogatszy zbiór publikacji emigracyjnych. W 1945 r. znaczną część zbiorów przekazano ZSRR. Paradoksalnie, gromadzone latami dokumenty rosyjskiej, i nie tylko, diaspory okazały się pomocne NKWD przy aresztowaniu i eksterminacji dawnych emigrantów. Obok archiwum rosyjskiego działały również archiwa innych grup narodowych z byłego Imperium Rosyjskiego (np. Archiwum Kozackie (Dońskie), wydające regularnie roczniki naukowe oraz szereg książek i prac z zakresu historii kozackiego ruchu dońskiego). Na bazie literatury, jaką zgromadzili emigranci z Rosji, w 1927 r. została powołana do życia Biblioteka Słowiańska w Pradze (dzisiaj oddział Biblioteki Narodowej Republiki Czeskiej).

91 Dmytro Doroszeńko (1882 Wilno – 1951 Monachium) – ukraiński działacz narodowy, historyk i publicysta; minister spraw zagranicznych Ukraińskiej Republiki Ludowej (1918); docent na uniwersytecie w Kamieńcu Podolskim (1919), skąd emigrował w 1919 r. do Wiednia; od 1921 r. profesor Wolnego Uniwersytetu Ukraińskiego w Pradze, w l. 1926-1936 profesor Uniwersytetu Karola w Pradze, w l. 1936-1939 – profesor teologii prawosławnej na Uniwersytecie Warszawskim. W czasie II wojny światowej w Pradze kierował Społecznym Muzeum Niepodległości Ukrainy; od 1945 r. w Monachium profesor Wolnego Uniwersytetu Ukraińskiego, w l. 1947-1950 w Winnipeg; w l. 1945-1951 – prezydent Ukraińskiej Akademii Nauk na emigracji.

92 Wiktor Czernow (7.12.1873 Chwałyńsk [sam podawał Nowoużensk], gub. Saratowska – 15.04.1952 New York, USA) – rosyjski eser; teoretyk i jeden z przywódców partii eserów; od 1899 r. w ruchu rewolucyjnym (narodnik), w 1894 r. aresztowany i zesłany do guberni tambowskiej, w l. 1899-1917 na emigracji, założył zagraniczny oddział partii eserów, w l. 1902-1905 wydawał jego organ prasowy „Rewolucyonnaja Rossija", uczestniczył w międzynarodowych konferencjach socjalistycznych w Zimmerwaldzie (1915) i w Kientalu (1916); po rewolucji lutowej 1917 r. w Rosji, minister rolnictwa w Rządzie Tymczasowym, przeciwnik bolszewików, przewodniczący Konstytuanty – po jej rozpędzeniu organizator antybolszewickich wystąpień na Powołżu i Uralu (1918-1919); od 1920 r. na emigracji – najpierw w Estonii, potem w Niemczech, a od 1923 r. w Pradze; w czasie

II wojny światowej uczestnik ruchu oporu we Francji, po wojnie w USA. Napisał m.in. *Zapiski rewolucyoniera* (Berlin 1922, *Kostruktiwnyj socyalizm* (Praha 1925), *Rożdienije rewolucyonnoj Rossii* (Praha 1934), *Pieried buriej* (New York 1953).

93 Być może chodzi o córkę rosyjskiej działaczki emigracyjnej Tatiany Rodzianko (1888 Piotrogród – 1933 Praha).

94 „Iskry Sakryny" – białoruskie pismo wydawane w Pradze w l. 1931-1935 przez Białoruskie Towarzystwo im. F. Skaryny. Ukazało się 5 numerów.

95 Teodor Kławsuć (Fiedar Kłaŭsuć) – ur. w 1900 r. na Wileńszczyźnie, absolwent gimnazjum w Nowogródku w 1922 r., student praskich uczelni.

96 W Pradze studiowali Michał i Aleksander Wituszka (Vituška). Michał był inżynierem, Aleksander – lekarzem. Obaj przebywali po ukończeniu studiów w Czechosłowacji, działając w białoruskich stowarzyszeniach.

97 Piotr Astapkiewicz (Piotr Astapkievič) – inżynier, studiował w Czechosłowacji, po studiach pozostał, działając w latach trzydziestych w białoruskich organizacjach.

98 Żoną I. Jermačenki była Viera Šafer.

99 Córki I. Jermačenki: Tania (wyszła za mąż za Michaela Britta) i Zina (wyszła za mąż za Stanleya Laskowskiego).

100 Oceny Ł. Hieniuš osoby I. Jermačenki wydają się jednostronne. Inaczej jego osoba wygląda chociażby w pośmiertnych wspomnieniach o nim opublikowanych w: „Беларуская Думка", 1969-1970, nr 12-13, s. 40-42. Być może wpływ na tak krytyczną ocenę działalności I. Jermačenki ze strony Ł. Hieniuš miała też powojenna propaganda, ukazująca jako kompromitację, podjętą jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej, opcję niemiecko-białoruskiej współpracy, a jej białoruskim zwolennikom przypisująca miano faszystów.

101 Białoruski Komitet Samopomocy – Białoruska Samopomoc Ludowa, białoruska organizacja założona 22.10.1941 r. na podstawie zarządzenia komisarza generalnego Białorusi Wilhelma Kube. Wg założenia miała to być wyłącznie organizacja o charakterze dobroczynnym, niosąca pomoc ofiarom wojny; w połowie 1942 r. stała się organizacją o charakterze kulturalno-oświatowym; w marcu 1943 r. ograniczono jej działalność do ochrony zdrowia i pomocy materialnej ludności.

102 „Ranica" – gazeta białoruska, która była wydawana w Berlinie w l. 1939-1945; na jej łamach 28.04.1940 r. debiutowała Ł. Hieniuš.

103 Wicia (Wiktor) Trofimiuk – cioteczny brat Ł. Hieniuš, uczestnik wrześniowej obrony Warszawy w 1939 r.; w czasie okupacji niemieckiej był w majątku Jarylówka; po wojnie mieszkał w Warszawie; był taksówkarzem.

104 Mowa o Mikołaju Łapickim, którego żoną była siostra Wici Trofimiuka – Walentyna (30.12.1909 Jaryłówka – 2000 USA). M. Łapicki ur. 13(26).01.1907 r. w Hrelikach, pow. wilejskiego, od 1923 r. uczył się w seminarium duchownym w Wilnie, w l. 1930-1934 studiował teologię prawosławną na Uniwersytecie Warszawskim; wyświęcony na duchownego prawosławnego w 1934 r.; był proboszczem w Oszmianie, a następnie w Stefanpolu na Dziśnieńszczyźnie; od 1942 r. – w Mińsku, brał udział w II Ogólnobiałoruskim Kongresie w czerwcu 1944 r.; ewakuował się do Niemiec, a w 1950 r. emigrował do USA – był proboszczem w South-River, redaktorem i wydawcą pisma „Carkoŭny Śvietač". Zmarł 8.08.1976 r.

105 Jaryłówka (Jaryłaŭka) – obecnie wieś w pow. białostockim woj. podlaskiego (gmina Gródek).

106 Według naocznych świadków było nieco inaczej – patrz: H. Głogowska, *Był sobie dwór…*, „Czasopis", 1994, nr 10, s. 11.

107 We wrześniu 1939 r. uczestniczył w obronie Warszawy. Wrócił 17 września do Jaryłówki i był świadkiem zabójstwa rodziców i brata; po wojnie mieszkał w Warszawie.

108 W 1924 r. w Żyrowiczach koło Słonimia w budynku pobazyliańskim utworzono Państwową Szkołę Rolniczo-Leśną. W okresie międzywojennym była to jedna z dwóch szkół średnich kształcących w Polsce leśników. Słuchacze mieli w niej wykłady teoretyczne, praktyki i wojsko. Po ukończeniu szkoły należało zaliczyć roczną praktykę w większym gospodarstwie rolnym. Szkoła działała do 17 września 1939 r.

109 Arbeitsamt – niemiecki urząd pracy.

110 Mowa o Marii i Włodzimierzu Trofimiukach.

111 Linia Maginota – system fortyfikacji francuskich, zbudowanych w latach 1929--1934 (umacniany do 1940 r.), na granicy z Niemcami i Luksemburgiem.

112 Mowa o Michasiu Zabejdzie-Sumickim (14.06.1900 Szejpicze koło Prużany – 21.12.1981 Praga) – białoruskim śpiewaku, który od 1940 r. mieszkał w Pradze i był solistą Teatru Narodowego. Po drugiej wojnie światowej zwerbowany jako tajny agent komunistycznych służb Czechosłowacji o pseudonimie operacyjnym „Jan".

113 Przebywająca w Pradze w okresie międzywojennym liczna emigracja rosyjska (głównie uchodźcy z ogarniętej po przewrocie bolszewickim 1917 r. wojną domową Rosji) znajdowała się pod opieką władz Czechosłowacji; miała możliwości realizacji celów o charakterze oświatowym, naukowym i społeczno-kulturalnym; m.in. prowadziła szkołę rosyjską.

114 Michaił Szołochow (24.05.1905 Krużylino – 21.02.1984 Stanica Wieszeńska, obwód rostowski) – pisarz rosyjski, debiutował w 1924 r. opowiadaniem „Rodinka" („Znamię"), autor powieści *Cichy Don* (1928, 1932, 1940), za którą w 1965 r. otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury. W l. 70. XX w. Aleksander Sołżenicyn zarzucił mu plagiat *Cichego Donu*, którego autorem w rzeczywistości miał być Fiodor Kriukow, zamordowany przez bolszewików w 1920 r.

115 *Ad rodnych niŭ* – zbiór wierszy Ł. Hieniuš, wydany w Pradze w 1942 r.

116 Obermedizinalrat (niem.) – dosł.: wyższy radca medyczny – tytuł nadawany lekarzom i dentystom w uznaniu zasług zawodowych.

117 Oberregierungsrat (niem.) – dosł. wyższy radca rządowy – kategoria urzędników wyższego zaszeregowania.

118 W październiku 1941 r. został przewodniczącym Białoruskiej Samopomocy Ludowej.

119 Drukowano je w gazecie białoruskiej „Novaja Daroha" wydawanej w Białymstoku.

120 Mowa o Wasilu Zacharce.

121 František Tichý (1886-1968) – czeski filolog, slawista i historyk literatury; zajmował się językiem i literaturą Ukraińców w Zakarpackiej Ukrainie.

122 Zbiór wierszy Ł. Hieniuš (Mińsk 1967).

123 Aleksiej Wołk (Alaksiej Vołk) – dziekan Katedry Filologii Białoruskiego Uniwersytetu Państwowego w Mińsku. W liście do Zośki Vieras z 9.02.1970 r. Ł. Hieniuš pisała; „Mówili mi chłopcy, że pod koniec sierpnia bardzo mnie zwymyślał docent Vołk, nazywał „faszystowskim lizusem", „burżuazyjną nacjonalistką". Cóż, niechaj wyją, bo kto przestaje z wilkami, nauczy się wyć".

124 Eudokia Łoś (Jeŭdakija Łoś; 1.03.1929 Staryna koło Uszaczy – 3.07.1977) – poetka białoruska, debiutowała w 1948 r.

125 Wasil Bykow (Vasil Bykaŭ; 19.06.1924 Byczki – 22.06.2003 Mińsk) – pisarz białoruski, uważany za jednego z najwybitniejszych pisarzy współczesnej literatury białoruskiej.

126 Befehl (niem.) – rozkaz.

127 Być może chodzi o Mikołę Lewickiego, przedstawiciela emigracji ukraińskiej w Czechosłowacji, który zajmował się działalnością redakcyjną i wydawniczą.

128 Witaut Tumasz (Vitaŭt Tumaš; 7(20).12.1910 Śpiahlica, pow. wilejski – 30.04.1998 USA) – białoruski działacz narodowy; ukończył Gimnazjum Białoruskie w Wilnie, studiował medycynę na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie; W l. 1939--1941 był przewodniczącym oddziału Białoruskiego Komitetu Samopomocy

w Łodzi; w 1941 r. (od lipca do listopada) – burmistrzem Mińska; od 1943 r. w Berlinie redagował gazetę „Ranica", po wojnie na emigracji w USA – był jednym z organizatorów Białoruskiego Instytutu Nauki i Sztuki, redagował pismo „Zapisy" i gazetę „Biełarus", zajmował się skorynoznawstwem i historią druku, był prezesem Fundacji im. P. Kreczewskiego.

129 Mowa o P. Bakaczu (patrz przyp. 84).

130 Mikołaj Abramczyk (Mikałaj Abramčyk; 16.08.1903 Syczewicze pod Mołodecznem – 29.05.1970 Paryż) – prezydent BRL w l. 1943-1970; w 1924 r. rozpoczął studia w Pradze; w czasie II wojny światowej organizował w Berlinie Białoruski Komitet Samopomocy, wydawał gazetę białoruską „Ranica"; po II wojnie światowej mieszkał w Paryżu, założył białoruską organizację „Chaŭrus".

131 Herman Wilhelm Göring (12.01.1893 Rosenheim – 15.10.1946 Norymberga) – niemiecki działacz nazistowski, w czasie drugiej wojny światowej dowódca niemieckiego lotnictwa (Luftwaffe).

132 Słonim – miasto na Białorusi.

133 Eliasz Lewkowicz (Haliaš Leŭčyk, właśc. Ilja Laŭkovič; 20.07.1880 Słonim – 1944 Warszawa) – poeta białoruski, debiutował w 1908 r. w „Našaj Nivie".

134 Akt obwieszczenia niepodległości Białorusi.

135 Prawidłowa nazwa: Biełaruski zamiežny archiŭ (Białoruskie Archiwum Zagraniczne) – oficjalnie otwarte w 1928 r. jako samodzielna instytucja na bazie materiałów zebranych przez Mikołę Wierszynina (Viaršynin), który został jego kierownikiem. Mieściło się w budynku Pałacu Toskańskiego w Pradze (Plac Loretański 102). Status prawny otrzymało w maju 1933 r. Jego kuratorem został profesor Jan Slavik. Było finansowane przez rząd czechosłowacki. Powstało w Pradze przy utworzonej tu w 1921 r. Białoruskiej Hromadzie, organizacji zrzeszającej białoruską młodzież, która przyjechała na studia do Czechosłowacji. Po rozwiązaniu się Białoruskiej Hromady w 1924 r., a także w związku z przyjazdem w listopadzie 1923 r. z Kowna czołowych białoruskich działaczy emigracyjnych, członków Rady BRL, dokumentacja wytworzona i zgromadzona przy Białoruskiej Hromadzie przeszła od 1924 r. pod opiekę nowo powołanego stowarzyszenia społeczno-kultralnego białoruskiej emigracji – Białoruskiej Rady w Pradze (władze Czechosłowacji nie wyrażały zgody na pobyt członków Rady BRL jako oficjalnych przedstawicieli emigracyjnego rządu białoruskiego). W 1925 r. do archiwum praskiego dołączono przywiezione z Litwy archiwum kowieńskie z lat 1920–1923. W porównaniu z archiwum rosyjskim, ukraińskim, Kozaków dońskich czy nawet Kozaków kubańskich archiwum białoruskie prezentowało się

skromnie. Wg stanu z 1933 r. liczyło 2 tys. stron dokumentów, 800 książek i broszur, 300 roczników gazet. Mieściło się w czterech skrzyniach, a jego wartość szacowana była na ok. 50 tys. koron, podczas gdy dla porównania wartość archiwum rosyjskiego w dziale książek szacowana była na 2,5 mln koron, a w dziale czasopism na ok. 3,5 mln koron. Dlatego nawet po przejęciu w 1928 r. Zagranicznego Archiwum Rosyjskiego przez czechosłowackie MSZ (w skład którego zaliczano także pomniejsze archiwa innych narodów czy grup etnicznych byłego Imperium Rosyjskiego), archiwum białoruskie, jako najskromniejsze obok archiwum Kozaków kubańskich, nie zostało ujęte do finansowania z funduszy MSZ Republiki. Pracownicy archiwum białoruskiego (Mikoła Wierszynin) oraz Kozaków kubańskich (P. Makarenko) otrzymywali skromne wynagrodzenie (ok. 8 tys. koron rocznie) z funduszu Rosyjskiej Akcji Pomocowej (Ruská pomocná akce). Mikoła Wierszynin pracował w białoruskim archiwum do śmierci – 1934 r., a po nim funkcję tę przejął dr Tomasz Hryb, który otrzymywał bardzo skromne wynagrodzenie ze środków Czerwonego Krzyża (do 1938 r.). Po śmierci T. Hryba archiwum białoruskie pozostawało bez kierownictwa i pracowników z powodów finansowych. 9 marca 1939 r. zasoby archiwów (rosyjskiego, ukraińskiego, jak i białoruskiego) zostały przekazane Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i przewiezione z Toskańskiego Pałacu (siedziby MSZ) do budynku MSW (zachował się protokół przekazania zasobów podpisany przez prof. Jana Slavika). Zasoby Białoruskiego Archiwum Zagranicznego na pewno były jeszcze w Pradze w sierpniu 1945 r., gdy strona czechosłowacka już przekazała sowietom w „darze" archiwa rosyjskie i ukraińskie. W zachowanym dokumencie z 28 sierpnia 1945 r. znajdujemy następujący fragment: „Ze słowiańskich archiwów, znajdujących się w archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, pozostaje jeszcze tzw. Białoruskie Archiwum, jednakże w stosunku do niego nie poczyniono dotychczas żadnych dyspozycji". Można tylko się domyślać, że z czasem spotkał je taki los, jak archiwa rosyjskie i ukraińskie. Inny kierunek przemieszczenia wydaje się w owym okresie nieprawdopodobny. Zob też: А. Сурмач, *Белорусский заграничный архив*, [w:] *Russian, Ukrainian and Belorussian Emigration between the Word Wars in Czechoslovakia. Results and Perspectives of Contemporary Research. Holding of the Slavonic Library and Prague Archives*, Praha 1995, s. 85-97.

136 Centralna Rada – Białoruska Centralna Rada, biał. Biełaruskaja Centralnaja Rada, niem. Weißruthenischer Zentralrat – namiastka rządu białoruskiego utworzona za pozwoleniem niemieckich władz okupacyjnych w l. 1943-44. Proklamacja Rady odbyła się w Mińsku 21.12.1943 r., na prezydenta BCR decyzją władz okupacyjnych został powołany Radosław Ostrowski. Rada otrzymała sta-

tut, w którym określana była mianem przedstawicielstwa narodu białoruskiego, jej podstawowym zadaniem miała być mobilizacja wszystkich sił białoruskiego narodu do walki z bolszewizmem. Miała kompetencje głównie doradcze i była zmuszona do konsultowania podejmowanych decyzji poprzez składanie odpowiednich wniosków do władz okupacyjnych. Jednak w takich dziedzinach jak opieka społeczna, kultura i szkolnictwo Rada została uprawomocniona do samodzielnego działania i wydawania we własnym imieniu odpowiednich rozporządzeń. Zob.: J. Turonek, *Białoruś pod okupacją niemiecką*, Warszawa 1993.

137 Konstanty Jezowitow (Kastuś Jezavitaŭ; 17.11.1893 Dyneburg – 25.03.1946) – białoruski działacz narodowy; ukończył Instytut Nauczycielski w Witebsku, uczestnik obwieszczenia Białoruskiej Republiki Ludowej 25.03.1918 r., członek Rady BRL, sekretarz ludowy ds. spraw wojennych w pierwszym rządzie BRL, od 1919 r. przewodniczący misji dyplomatycznej BRL na Łotwie i w Estonii. W okresie międzywojennym mieszkał w Rydze i zajmował się białoruską działalnością narodową (w l. 1923-1924 był dyrektorem gimnazjum białoruskiego w Lucynie). W czasie II wojny światowej działał w ruchu białoruskim na Łotwie, w czerwcu 1944 r. uczestniczył w II Ogólnobiałoruskim Kongresie Narodowym w Mińsku, był dowódcą głównego zarządu wojennego Białoruskiej Centralnej Rady. W czerwcu 1944 r. ewakuował się do Rygi, a stamtąd w sierpniu 1944 r. – do Berlina. 26.04.1945 r. został zatrzymany przez wywiad radziecki i odesłany do Moskwy, a stamtąd w listopadzie 1945 r. – do Mińska. Zmarł w szpitalu więziennym w czasie śledztwa.

138 Ławrientij Fomicz Canawa (1900-1955) – członek WKP(b), generał lejtnant, wysoki funkcjonariusz radzieckich organów bezpieczeństwa, m.in. zastępca ministra bezpieczeństwa państwowego Siergieja Ogolcowa i jego następcy Siemiona Ignatiewa, naczelnik 2. Zarządu Głównego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego Związku Radzieckiego w l. 1951-1952. Jeden z największych zbrodniarzy stalinowskich.

139 Stanisław Hrynkiewicz (Sanisłaŭ Hrynkievič; 23.02.1913 Nowy Dwór, Sokólszczyzna – 18.04.1966 Cleveland, USA) – lekarz, działacz białoruski; ukończył gimnazjum w Grodnie, studiował medycynę na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, ukończył ją w Berlinie w czasie II wojny światowej; we wrześniu 1939 r. jako kapitan Wojska Polskiego trafił do obozu jenieckiego, skąd został zwolniony w 1941 r., w latach wojny aktywnie działał w ruchu białoruskim – był sekretarzem Białoruskiego Komitetu Samopomocy w Berlinie; po wojnie na emigracji w USA.

140 o. Isakij (Iwan Wasiliewicz Winogradow; 1895-1981) – archimandryta, były oficer armii carskiej, służył w soborze św. Mikołaja w Pradze; w 1945 r. został aresz-

towany i deportowany do ZSRR, gdzie 2 lata siedział więzieniu, następnie służył w Azji Środkowej.

141 Gajda – ewidentna pomyłka Autorki, jaka zdarza się przy pisaniu wspomnień z perspektywy kilkudziesięciu lat. Wspominany czeski konsul na Litwie to na pewno Jaroslav Galia (1875-1941), absolwent konserwatorium muzycznego w Pradze. Po ukończeniu studiów wyjechał do Rosji i tam otrzymał posadę dyrygenta opery w Rostowie nad Donem. Po dwóch latach został nauczycielem muzyki w gimnazjum w Noworosyjsku. Od 1902 r. był samodzielnym dyrygentem w noworosyjskim garnizonie. W tamtych czasach muzyka odgrywała w życiu wojskowym niebagatelną rolę, posiadanie dyrygenta z wykształceniem muzycznym zdobytym w czeskich konserwatoriach (traktowanego jak jeszcze jeden czeski, ceniony w Rosji „produkt eksportowy"), znacząco podnosiło prestiż pułku wśród lokalnej społeczności. J. Galia pozostał przy dyrygenturze wojskowej. Nauczał też muzyki w szkole kadetów w Irkucku. Tam zastały go obie rosyjskie rewolucje. Był przewodniczącym Towarzystwa Czechosłowackiego w Irkucku, a po zajęciu miasta przez czesko-słowackie oddziały w czerwcu 1918 r. pośredniczył w rozmowach między czechosłowackimi a rosyjskimi władzami. Z legionistami powrócił do Pragi, aby następnie ubiegać się o przyjęcie do służby dyplomatycznej w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Czechosłowacji. W latach 1921-1928 pełnił funkcje konsula, następnie chargé d'affaires na Litwie, a w okresie do 1931 do 1936 r. w Estonii. Łarysa Hieniuš przyjechała do Pragi jesienią 1937 r. i zapewne dopiero dowiadywała się m.in. od Wasila Zacharki o wcześniejszym okresie funkcjonowania Rady BRL – w tym także w Kownie. W tym czasie, w drugiej połowie lat trzydziestych, w polityce czechosłowackiej głośnym było inne, podobnie brzmiące do Galii nazwisko, które brzmiało Gajda. Obaj mieli podobne życiorysy – pobyt w carskiej Rosji. Radola Gajda (1892-1948) brał także aktywny udział w walkach Legii Czechosłowackiej. W powojennej Czechosłowacji R. Gajda, po rezygnacji ze służby wojskowej, założył partię faszystowską (1927), z ramienia której w latach 1935-1939 był posłem do parlamentu.

142 Ksenofont Buśko (Ksienafont Buśka; ur. 30.01.1901 r. na Mińszczyźnie) – absolwent gimnazjum w Nowogródku w1921 r., następnie na studiach w Pradze, po ukończeniu których pozostał w Czechosłowacji.

143 Jerzy Burak (Jurka Burak; ur. 7.04.1900 r. na Mińszczyźnie) – ukończył gimnazjum w Nowogródku w 1922 r., następnie odbył kursy maturalne w Josefovie pod Pragą. Studiował w Czechosłowacji, w której pozostał po zakończeniu edukacji.

144 Michał Wituszka (Michaś Vituška; 1907 Nieśwież – 2006 Monachium) – działacz polityczny i wojskowy, jeden z liderów Białoruskiej Partii Niepodległościowej.

Uczył się w białoruskich gimnazjach w Klecku i w Wilnie, studiował na uniwersytecie Karola w Pradze i na Politechnice Warszawskiej; major Białoruskiej Obrony Krajowej; po 1945 r. organizował na terenie BSRR podziemie niepodległościowe i antyradzieckie. Później mieszkał w Niemczech Zachodnich.

145 Olga Viaršynina – córka Mikoły Viaršynina.

146 Mikołaj Wierszynin (Mikoła Viaršynin, właśc. Wieramiej; 1878 Naliboki pow. nowogródzki – 6.05.1934 Praga) – przedstawiciel BRL w Pradze. Był emigrantem politycznym. Podczas rewolucji 1905 r. był członkiem Białoruskiej Socjalistycznej Hromady. Po stłumieniu rewolucji w 1906 r. opuścił rodzinne strony i od 1908 r. przebywał w Pradze. Tu, pod zmienionym nazwiskiem, podjął pracę nauczyciela języka rosyjskiego i języka polskiego w jednej z praskich szkół. W l. 1919-1921 czynnie zaangażował się w pracę tworzących się struktur dyplomatycznych BRL, a następnie aż do śmierci w 1935 r. pracował w archiwum białoruskim. Trudno przecenić rolę M. Wierszynina jako przedstawiciela BRL w Pradze nie tylko na początku lat dwudziestych, ale i później, gdy BRL stała się już tylko niezrealizowaną do końca ideą. Jego zasługą były stypendia rządu czeskiego dla Białorusinów i to, że rząd BRL od końca 1923 r. znalazł schronienie w Pradze. Był głównym pośrednikiem między władzami Czechosłowacji, a białoruską społecznością w Pradze. Wszystkie pisma skierowane w jej imieniu do instytucji państwowych i urzędów były jego autorstwa. Mieszkał z rodziną skromnie, a mimo to – jak wspominali potem byli białoruscy studenci praskich uczelni – jego dom był zawsze otwarty na ich potrzeby. Szlachetna postać, chyba niedoceniona przez Ł. Hieniuš.

147 Reinhard Tristan Eugen Heydrich (1904-1942) – wysoki dygnitarz III Rzeszy, szef Sicherheitsdienst, Sicherheitspolizei i RSHA (policji politycznej i aparatu terroru III Rzeszy), SS-Obergruppenführer i generał policji. 27 maja 1942 r. Heydrich został ciężko ranny w zamachu dokonanym na przedmieściach Pragi przez czeskich i słowackich cichociemnych – J. Gabčika, J. Kubiša i J. Valčíka (pod kryptonimem operacja Anthropoid). Osiem dni później Heydrich zmarł w wyniku zakażenia krwi. W ramach odwetu za jego śmierć czeskie wsie Lidice i Leżaki zostały zrównane z ziemią, a ich ludność wymordowana bądź wywieziona do obozów koncentracyjnych.

148 Piotr Nikołajewicz Sawicki (15.05.1895 Czernihów – 13.04.1968 Praga) – rosyjski geograf, ekonomista, geopolityk, kulturolog, filozof, poeta, działacz społeczny, jeden z głównych działaczy euroazjatyzmu. Od 1920 r. na emigracji, w l. 1940. dyrektor rosyjskiego gimnazjum w Pradze. W 1945 r. aresztowany i skazany na

8 lat łagrów. Karę odbywał w Dubrawłagu w Mordowii. W 1956 r. zrehabilitowany; wyjechał do Czechosłowacji.

149 Mowa o Lenie Mikłaševič.

150 Daniłowce (Daniłaŭcy) – wieś w rejonie wołkowyskim.

151 Mowa o rodzinie o. Mikołaja Łapickiego, który ożenił się z Walentyną Trofimiuk.

152 Jan Dylewski (Jan Dyleŭski; ur. w 1902 r.) – w 1922 r. zdał maturę, przybył do Pragi z grupą białoruskiej młodzieży w 1923 r. z obszaru Sowieckiej Białorusi, nielegalnie przekraczając granicę. Wstąpił na wydział lekarski Uniwersytetu Karola w Pradze, z powodzeniem kończąc studia.

153 Gerhard Erren – ur. dnia 4.03.1901 r., w l. 1941-1942 był komisarzem okręgu Słonim. SS-Sturmbanführer. W 1973 r. zamieszkiwał w Bergedorf. Od dnia 2.04.1973 r. toczył się przed sądem w Hamburgu proces przeciwko G. Errenowi i innym odpowiedzialnym za eksterminację w byłym okręgu Słonim. „Przegląd Prasy Zagranicznej", 1973, nr 6, s. 14 i nr 7, s. 7.

154 Ostland – Komisariat Rzeszy Wschód (niem. Reichskommissariat Ostland) – nazwa organizmu okupacyjnego powstałego w 1941 r. po agresji III Rzeszy na ZSRR. W skład Komisariatu wchodziły tereny Białorusi i państw bałtyckich. Istniał on jako zwarta jednostka administracyjna od grudnia 1941 do kwietnia 1944 r.

155 Patrz przyp. 50.

156 „Novaja Daroha" – gazeta białoruska wydawana w Białymstoku w l. 1942-1944, redagowana przez Teodora Iljaszewicza (Chviedar Iljaševič). Sprawozdanie z koncertu w gazecie z 30.05.1943 r. zamieścił Leon Bohusz.

157 Borodzicze (Barodzičy) – wieś w rejonie zelwieńskim w obwodzie grodzieńskim.

158 Aleh Łojka (1.05.1931 Słonim – 19.11.2008 Słonim) – białoruski pisarz i eseista.

159 Hałubianka-Bučynskaja – doktor, ukończyła studia w Pradze.

160 Kongres białoruski w Mińsku odbywał się w czerwcu 1944 r.

161 Adolf Klimowicz (Adolf Klimovič; 1900 Kluszczany – 24.11.1970 Kluszczany) – białoruski działacz narodowy, działacz Białoruskiej Chrześcijańskiej Demokracji, ukończył gimnazjum białoruskie w Wilnie, studia rolnicze w Pradze, w l. 1932-1939 redagował pismo białoruskie „Samapomač"; w czasie II wojny światowej pracował w Białoruskiej Samopomocy Ludowej w Lidzie; w 1952 r. aresztowany w Wilnie i skazany na karę śmierci, którą zamieniono na 25 lat łagrów. W 1957 r. wrócił najpierw do Borysowa, a w1960 r. do Wilna.

162 Mikołaj Szczors (Mikoła Ščors; 1913 Nowy Świerżeń – 22.12.1995 USA) – białoruski działacz studencki, narodowy, społeczny. Ukończył gimnazjum w Stołpcach, zaś w 1938 r. studia medyczne na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. W l. 1935-1937 był przewodniczącym Białoruskiego Związku Studenckiego. Redagował pismo „Maładaja Biełaruś". Reprezentował poglądy chadeckie. Pracował jako lekarz w Wilnie. Po upadku Polski jesienią 1939 r., na przełomie 1939/1940 r. wszedł w skład kierownictwa Komitetu Białoruskiego w okupowanej Warszawie. 19.06.1941 r. stanął na czele nowo utworzonego Białoruskiego Centrum Narodowego w Berlinie. Kiedy po ataku wojsk niemieckich na ZSRR 22.06.1941 r. okazało się, że Niemcy nie zamierzają budować niepodległego państwa białoruskiego, powrócił do Warszawy, kontynuując działalność w Komitecie Białoruskim. Latem 1944 r. ewakuował się do Niemiec. Po zakończeniu wojny wyemigrował do USA, gdzie działał w emigracyjnych organizacjach białoruskich. Od 1950 r. przewodniczył Zjednoczonemu Białorusko-Amerykańskiemu Komitetowi Pomocy, od 1951 r. – Białoruskiemu Komitetowi Kongresowemu Ameryki, zaś od 1958 r. – Związkowi Białorusko-Amerykańskiemu. Ponadto pełnił funkcję wiceprezydenta Amerykańskiego Stowarzyszenia Chirurgów.

163 Mosty – miasteczko nad Niemnem.

164 Kongres odbywał się w budynku opery białoruskiej.

165 Mowa o Michale Wituszce. Patrz przyp. 144.

166 Natalia Arsienniewa (Natalla Arsieńnieva; 20.09.1903 Baku, Azerbejdżan – 25.07.1997 Rochester, USA) – poetka białoruska, absolwentka gimnazjum białoruskiego w Wilnie, żona białoruskiego działacza narodowego Franciška Kušala, w l. 1924-1937 mieszkała w Chełmnie na Pomorzu, autorka zbioru wierszy *Pad sinim niebam* (Wilno 1927). W 1940 r. zesłana z synami do Kazachstanu, skąd wróciła w 1941 r. W czasie II wojny światowej mieszkała w Mińsku i pracowała w „Biełaruskiej Haziecie". W 1944 r. emigrowała na teren Niemiec, skąd w 1950 r. wyjechała do USA, gdzie pracowała fizycznie, pisała wiersze, zajmowała się przekładami i działała w białoruskim ruchu narodowym na emigracji. W 1979 r. w USA ukazała się antologi jej poezji *Miż bierahami*.

167 Mowa o Natalli Arsieńnievej i Francišku Kušalu.

168 Franciszek Kuszel (Francišak Kušal; 16.02.1895 Pierszaje, powiat miński – 25.05. 1968, Rochester, USA) – białoruski działacz narodowy, członek Białoruskiej Komisji Wojskowej; w okresie międzywojennym oficer Wojska Polskiego w Słonimiu, Chełmnie, Rawiczu; we wrześniu 1939 r. aresztowany przez władze radzieckie; przeżył obóz w Starobielsku; w czasie okupacji niemieckiej był twórcą Biało-

ruskiej Krajowej Obrony (Biełaruskaj Krajovaj Abarony); w 1944 r. ewakuował się do Niemiec, a następnie do USA.

169 Jurka Vićbič (właśc. Hieorhi Ščarbakoŭ; 2(15). 06.1905 Wieliż, gub. witebska – 4.01.1975 USA) – białoruski pisarz i działacz narodowy; w 1944 r. ewakuował się do Niemiec, w 1946 r. był jednym z inicjatorów białoruskiego stowarzyszenia literackiego na emigracji „Szypszyna", zajmował się działalnością wydawniczą; w 1949 r. wyemigrował do USA.

170 Radosław Ostrowski (Radasłaŭ Astroŭski; 25.10.(6.11.).1887 folwark Zapole, pow. słucki – 17.10.1976 USA) – prezydent Białoruskiej Centralnej Rady. Od 1917 r. organizator i dyrektor gimnazjum białoruskiego w Słucku; w l. 1924-1936 – dyrektor Gimnazjum Białoruskiego w Wilnie; od 1936 r. – nauczyciel w Łodzi, od 1940 r. przewodniczący oddziału Białoruskiej Samopomocy Ludowej w Łodzi; od 1941 r. – burmistrz Smoleńska, Briańska, Mohylewa; po II wojnie światowej w Niemczech, od 1956 r. w USA.

171 Mowa o rodzicach Antona Adamowicza (Anton Adamovič; 13(26).06.1909 Mińsk – 12.06.1998 USA), białoruskiego krytyka literackiego, po II wojnie światowej na emigracji.

172 Aleś Sałaviej (właśc. Alfred Radziuk; 1.05.1922 Krysawa, rej. dzierżyński – 21.01.1978 Melbourne) – poeta białoruski, po wojnie na emigracji – do 1948 r. w Salzburgu w Austrii, następnie w Australii.

173 Mowa o o. Mikołaju Łapickim.

174 o. Jazep Bałaj – protojerej, proboszcz mińskiego soboru katedralnego, uczestnik soboru Białoruskiej Cerkwi Prawosławnej (1942).

175 Raus, russische Schweine! (niem) – Precz, świnie rosyjskie!

176 Mojsiej Siedniow (Masiej Siadnioŭ; 19.08.(1.09)1915 Mokraje, pow. klimowicki – 5.02.2001 Glen Cove, USA) – poeta i prozaik białoruski, w czasie wojny pracował w redakcji gazety „Novaja Daroha" w Białymstoku; uczestniczył w kongresie białoruskim w Mińsku w 1944 r. Po wojnie na emigracji w Niemczech, od 1949 r. – w USA.

177 Piotr Mironowicz (Piotra Miranovič; 21.09.1902 Stremki, pow. drysieński – 20.12.1990 Brooklyn, New York, USA) – artysta malarz; ukończył gimnazjum białoruskie w Dyneburgu i Akademię Sztuk Pięknych w Rydze (1937); był nauczycielem i zajmował się malarstwem; od połowy 1944 r. w Austrii, od 1950 r. na emigracji w USA.

178 Jazep Najdziuk (12.05.1909 Bojdaty, pow. wołkowyski – 14.02.1984 Inowrocław) – białoruski działacz narodowy, autor historii Białorusi *Biełaruś učora i siańnia* (Wilno 1939; Mińsk 1944), *Paznavajma historyju biełaruskaha narodu* (Biełastok – Inaŭrocłaŭ 2010); w l. 1927-1939 – dyrektor drukarni białoruskiej im. F. Skoryny w Wilnie, w czasie wojny w Mińsku – dyrektor departamentu ds. podręczników szkolnych, w 1944 r. wyjechał z Mińska do Niemiec, skąd w 1945 r. przyjechał do Polski i osiadł w Inowrocławiu, gdzie był dyrektorem Drukarni Kujawskiej i działaczem społecznym.

179 Fabian Jeremicz (Fabijan Jaremič; 20.01.1891 Dulowce, pow. wołkowyski – 29.06.1958 Kolonia Wileńska) – białoruski poseł na Sejm II Rzeczypospolitej w l. 1922-1935, jeden z przywódców Białoruskiego Związku Włościańskiego, wydawca i autor gazety „Sialanskaja Niva" (1925-1930); w czasie okupacji niemieckiej był burmistrzem Borysowa; po wojnie aresztowany przez NKWD i zesłany do łagru; w 1956 r. wrócił do Wilna.

180 Łazy – wieś w rejonie grodzieńskim.

181 Lida – miasto rejonowe w obwodzie grodzieńskim na Białorusi.

182 Pola – Apolonia Jeremicz, z d. Urban (1899–1980 Warszawa), w ramach repatriacji wyjechała z córką Walentyną do Polski, mieszkała w Warszawie.

183 Mowa o Walentynie Jeremicz-Dlouhy (2.09.1919 Wilno – 29.06.1990 Warszawa), po wojnie mieszkała w Warszawie, była lekarką.

184 Najdziukowie mieszkali w Wilnie przy ul. Nowopopławskiej 28. By tam trafić z dworca na piechotę przechodziło się koło Ostrej Bramy.

185 Mowa o Aleksandrze Najdziuk, z d. Kolado (13.12.1910 Petersburg – 21.09.1953 Wilno) i jej dzieciach: Reginie (ur. 9.02.1933 r. w Wilnie), Łucji (ur. 13.12.1942 r. w Wilnie) i Janie (28.01.1938 Wilno – 27.06.2008 Wilno). Jazep Najdziuk udał się na emigrację, a jego żona z dziećmi została w Wilnie.

186 ks. Adam Stankiewicz (Adam Stankievič; 24.12.1891 (6.01.1892) Orlenięta, pow. oszmiański – 29.11.1949 Tajszet, obw. irkucki) – białoruski działacz chadecki; w 1944 r. aresztowany przez władze sowieckie; w 1949 r. aresztowany powtórnie i zesłany do Ozierłagu.

187 Konstanty Kalinowski (Kastuś Kalinoŭski; 2.02.1838 Mostowlany, Białostocczyzna – 22.03.1864 Wilno) – jeden z przywódców powstania styczniowego 1863-1864; powieszony w Wilnie; uważany za bohatera narodowego Białorusi.

188 Nawiązanie do Michaiła Murawjowa (1796-1866), którego ze względu na stosowany terror nazywano „wieszatielem".

189 Insterburg – obecnie Czerniachowsk w obwodzie kaliningradzkim w Rosji.

190 Königsberg – obecnie Kaliningrad.

191 Jewgienij Aleksandrowicz Lacki (15.03.1868 Mińsk – 7.07.1942 Praga) – historyk literatury rosyjskiej i znawca folkloru białoruskiego, ukończył gimnazjum w Mińsku i uniwersytet w Moskwie (1893); w 1917 r. wyjechał do Finlandii, w l. 1920-1921 był w Szwecji, od 1922 r. – w Pradze, był kierownikiem Katedry Języka Rosyjskiego i Literatury na Uniwersytecie Karola, w l. 1927-1929 w piśmie „Slavia" zamieścił cykl artykułów „Natatki pa biełarusaznaŭstvu", był jednym z recenzentów pracy doktorskiej Franciszka Hryszkiewicza „A. J. Herzen a Slovanstvo" – „A. J. Hercen i Słowianie", obronionej na UK w 1931 r.

192 Dmitrij Mereżkowski (1866-1941) – pisarz rosyjski.

193 Teffi (właśc. Nadieżda Łochwicka; 1872-1952) – pisarka rosyjska.

194 Zinaida Gippius (1869-1945) – pisarka rosyjska.

195 Aleksander Błok (1880-1921) – poeta rosyjski.

196 Mikołaj Minkiewicz (Mikoła Minkievič; 1909-1980) – działacz społeczny, podczas II wojny światowej dyrektor Białoruskiej Szkoły Medycznej w Baranowiczach, osobisty lekarz Radosława Ostrowskiego; od 1944 r. na emigracji w Argentynie i USA.

197 Platon Żarski (Płaton Žarski; 1901-?) – docent językoznawstwa, w czasie II wojny światowej mieszkał w Mińsku, pracował w Białoruskim Towarzystwie Naukowym, uczestniczył w II Ogólnobiałoruskim Kongresie w Mińsku w czerwcu 1944 r.

198 Nur für Deutsche (niem) – Tylko dla Niemców.

199 Oleś Oleksander (właść. Ołeksandr Kandyba; 4.12.1878 Werchosula, gub charkowska – 22.07.1944 Praga) – poeta ukraiński, od 1919 r. na emigracji, od 1923 r. – w Pradze.

200 Oleg Łaszczenko – dziennikarz ukraiński.

201 Autorka pomyliła imię. Przewodniczącym Komitetu Samoobrony w Pradze był Wasil Rusak, a nie Aleksander Rusak – poeta.

202 Nadzieja Abramowa (Nadzieja Abramova; kwiecień 1907 Mińszczyzna – 18.02. 1979 Monachium) – od 22.06.1943 r. przewodnicząca Związku Młodzieży Białoruskiej; ukończyła Instytut Medyczny w Mińsku, pracowała w klinice psychiatrycznej; w czasie okupacji niemieckiej łączyła praktykę lekarską z działalnością społeczną, od połowy 1942 r. kierowała referatem opieki nad dziećmi w Białoruskiej Samopomocy Ludowej; w 1944 r. ewakuowała się do Niemiec; pod zmienionym nazwiskiem Teodorowicz pracowała w Instytucie Studiów nad ZSRR w Monachium.

203 Jan Stankiewicz (Janka Stankievič; 26.11.1891 Orlenięta, pow. oszmiański – 16.07.1976 USA) – białoruski działacz narodowy, językoznawca; ukończył Gimnazjum Białoruskie w Wilnie (1921), Uniwersytet Karola w Pradze (1926), poseł na Sejm (1928-1930), w czasie okupacji niemieckiej współpracował z AK, w 1944 r. ewakuował się do Niemiec, w 1949 r. – wyemigrował do USA.

204 Rahnieda (Rogneda, Gorysława, Anastazja) – żyjąca w X w. kniaziówna połocka, córka księcia Rogwołoda, jedna z żon wielkiego księcia kijowskiego Włodzimierza, matka Iziasława; Ł. Hieniuš poświęciła jej poemat opublikowany w gazecie „Ranica" 30.05. i 20.06.1941 r.

205 Iziasław Włodzimierzowicz (Iziasłaŭ; 978 – 1001) – kniaź połocki w l. 986-1001, syn Włodzimierza Wielkiego i Rognedy, wnuk Rogwołoda, założyciel połockiej linii Rurykowiczów – Iziasławiczów.

206 ROA – Russkaja Oswoboditielnaja Armia, potocznie zwana „własowcy" od nazwiska generała Andreja Własowa, dowódcy oddziałów wojskowych, utworzonych za zgodą niemieckich władz okupacyjnych w czasie II wojny światowej. ROA była sformowana przede wszystkim z radzieckich jeńców wojennych, którzy jako żołnierze Armii Radzieckiej trafili do niewoli głównie na początku wojny ojczyźnianej, cofając się na wschód. Na jej czele stanął generał Andrej Własow, który trafił do niewoli w 1942 r. i razem z generałem Władimirem Bojarskim 27.12.1942 r. zaproponowali niemieckiemu dowództwu utworzenie ROA w celu „wyzwolenia Rosji od komunistów". Komendantem Sztabu mianowano pułkownika Fiodora Truchina, jego zastępcą generała W. Bojarskiego. W dowództwie ROA znaleźli się też byli oficerowie armii carskiej i tzw. białej emigracji rosyjskiej. ROA podlegała Wehrmachtowi. Pierwsza dywizja została sformowana 23.02.1944 r. ROA liczyła ok. 120-130 tys. żołnierzy. W celu przygotowania kadr oficerskich dla ROA w 1943 r. powołano w Dobendorfie szkołę Ostpropaganda-abteilung zur besonderer Verwendung, przez którą przeszło ok. 5 tys. osób. ROA w dn. 5-8.05.1945 r. uczestniczyła m.in. w wyzwalaniu Pragi spod okupacji niemieckiej. Posiadała własną symbolikę – krzyż św. Andrzeja i flagę w kolorach biało-niebiesko-czerwonym. Rozkazem z 12.05.1945 r. ROA rozformowano, zostawiając jej żołnierzy na pastwę losu. Wielu z nich trafiło do ZSRR, gdzie sądzono ich jak zbrodniarzy wojennych. Patrz: J. Mackiewicz, *Kontra*, London 1993.

207 Mowa o Marii Stankiewiczowej (z d. Novakova; ur. 20.10.1900 Česky Brod, Czechosłowacja – 1982 USA), studiowała psychologię w USA, pracowała w bibliotece (na podstawie informacji syna Jurki Stankiewicza).

208 Jurka Stankiewicz (Jurka Stankievič; ur. 18.03.1928 w Wilnie), po II wojnie światowej w USA, ukończył elektronikę i pracował w tym zawodzie, obecnie mieszka w Pradze (Czechy); Wiaczesław (Viačka), ur. 15.09.1932 w Wilnie, ukończył elektronikę i pracował w tym zawodzie, obecnie mieszka w New Jersey (USA), Bogusław ur. 16.09.1938 r. w Wilnie, po II wojnie światowej w USA, obecnie mieszka w Virginii (na podstawie informacji Jurki Stankiewicza).

209 Piotr Ściennik (1914 – ?) – nauczyciel, kierownik SBM na Wileńszczyźnie, mieszkał w Pradze, gdzie po wojnie został aresztowany i deportowany do ZSRR; dalszy los nieznany.

210 Zapewne mowa o rodzinie Piotra Mikuliča (1922-1981), działacza społecznego, muzykologa; od 1948 r. mieszkał w Australii.

211 Aleś Kuczar (właść. Ajzik Kuczar; 27.06.1910 Prudziszcza, Mińszczyzna – 9.04. 1996 Mińsk) – białoruski pisarz., dramaturg, scenarzysta, ukończył Białoruskie Technikum Pedagogiczne w Mińsku (1929), studiował na Białoruskim Uniwersytecie Państwowym (1929-1932), w l. 1932-1936 był redaktorem gazet i radia; w l. 1938-1941 – starszym wykładowcą Mińskiego Instytutu Pedagogicznego, w czasie II wojny światowej pracował w partyzanckich gazetach i w sztabie ruchu partyzanckiego; w l. 1945-1948 był zastępcą redaktora naczelnego gazety „Litaratura i Mastactva", od 1938 r. – kierownikiem działu w piśmie „Nastaŭnickaja Hazieta", w l. 1951-1960 – redaktorem Wydawnictwa Państwowego BSRR, od 1960 r. – konsultantem literackim Związku Pisarzy Białorusi, w l. 1960-1968 – członkiem kolegium redakcyjno-scenariuszowego w wytwórni filmowej „Biełaruśfilm", od 1968 r. był na emeryturze.

212 Mowa o masowym niszczeniu inteligencji białoruskiej w BSRR w ramach czystek stalinowskich w l. 1937-1938 (patrz. H. Głogowska, *Rozstrzelana inteligencja*, „Czasopis", 2003, nr 1, s. 38-41).

213 Związek Młodzieży Białoruskiej (Sajuz Biełaruskaj Moładzi) – za zgodą okupanta niemieckiego ZMB (SBM) działał podczas II wojny światowej (1943-1944) na obszarze Okręgu Generalnego „Białoruś". Pomimo, że jego organizacja była wzorowana na strukturze Hitlerjugend, Związek Młodzieży Białoruskiej wychował w tamtym czasie najbardziej patriotycznie myślące pokolenie młodzieży białoruskiej. Jego członkowie organizowali później życie białoruskie na emigracji. Ci, którzy pozostali w BSRR, byli napiętnowani jako zdrajcy i kolaboranci, a po kilku latach pobytu w łagrach zmuszeni zostali do skrywania swoich postaw narodowych.

214 KPZB – Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi – ugrupowanie polityczne działające w l. 1923-1938 na terenie północno-wschodniej II RP, część składowa Komunistycznej Partii Polski.

215 Laurence Adolph Steinhardt (1892-1950) – dyplomata amerykański; ambasador USA w Peru, ZSRR, Turcji, Czechosłowacji i Kanadzie.

216 Zdeněk Fierlinger (11.06.1891 Ołomuniec – 2.05.1976 Praga) – czechosłowacki dyplomata i działacz polityczny (socjaldemokrata), premier Czechosłowacji w l. 1945-1946, wicepremier w l. 1948-1953 i minister spraw kościelnych (1951--1953), wieloletni przewodniczący Zgromadzenia Narodowego (1953-1964); w l. 1937-1945 przebywał na placówce dyplomatycznej w ZSRR. Przyjmuje się, że wtedy został agentem NKWD. Jako przewodniczący ČSSD (1946-1947) opowiadał się za ścisłą współpracą z komunistami – doprowadził do połączenia ČSSD z KSČ; zasiadał w Komitecie Centralnym KSČ (do 1966 r.).

217 Mowa o gazecie „Biełaruskija Naviny".

218 Mikołaj Hussowski (1475/1485-1533) – piszący po łacinie poeta okresu wczesnego renesansu. Pochodził z Husowa koło Łańcuta. Był mianowany notariuszem publicznym kreacji apostolskiej dla Wielkiego Księstwa Litewskiego. Autor m.in. poematu *Carmen de bisonte (Pieśń o żubrze).*

219 ks. Jozef Tiso (1887-1947) – słowacki ksiądz katolicki, w l. 1939-1945 pełnił funkcję prezydenta całkowicie zależnej od Niemiec Republiki Słowackiej. Wprowadził w kraju rządy totalitarne, popierał istnienie organizacji słowackich wzorowanych na formacjach i organizacjach hitlerowskich, był współodpowiedzialny za wywózkę słowackiej ludności żydowskiej do obozów koncentracyjnych, po wojnie skazany przez sąd czechosłowacki na karę śmierci za zdradę i udział w zbrodniach wojennych.

220 Janka i Łarysa Geniuszowie otrzymali czeskie obywatelstwo 27.07.1947 r.

221 Franciszek Olechnowicz (Francišak Alachnovič; 9.03.1883 Wilno – 3.03.1944 Wilno) – białoruski dramaturg, aktor, publicysta; w l. 1926-1933 przebywał na zesłaniu na Wyspach Sołowieckich, do Wilna powrócił w ramach wymiany więźniów politycznych (został wymieniony na Bronisława Taraszkiewicza, autora gramatyki języka białoruskiego i tłumacza *Pana Tadeusza* i *Iliady* na język białoruski). Wydał wspomnienia z pobytu na Sołowkach *W szponach GPU* (1935) i *Prawda o sowietach* (1937). W czasie okupacji niemieckiej w Wilnie był redaktorem naczelnym gazety „Biełaruski Hołas". Został zastrzelony przez nieznanych sprawców we własnym mieszkaniu w Wilnie. Symboliczny jego grób znajduje się na cmentarzu Rossa w Wilnie.

222 Befehl ist Befehl (niem.) – Rozkaz to rozkaz.

223 Walerian Aleksandrowicz Zorin (1902-1986) – dyplomata sowiecki, ambasador w Czechosłowacji w l. 1945-1947.

224 „Reczańka" – popularna białoruska piosenka ludowa.

225 „Lavonicha" – popularny białoruski taniec ludowy.

226 Eufrozyna (Jeŭfrasińnia) Połocka – żyjąca w XII w. księżniczka Księstwa Połockiego, święta mniszka prawosławna szczególną czcią otaczana na Białorusi, pierwsza kobieta kanonizowana na obszarze wschodniosłowiańskim.

227 Dziady – zwyczaj ludowy Słowian i Bałtów, wywodzący się z przedchrześcijańskich obrzędów słowiańskich. Jego celem było nawiązanie kontaktu z duszami zmarłych i pozyskanie ich przychylności. Dziady obchodzono dwa razy w roku – wiosną (Radaŭnica) i jesienią (w listopadzie). Adam Mickiewicz białoruski obrzęd „dziadów" wykorzystał w dramacie „Dziady".

228 Walentyna Geniusz (z d. Zielonko) – żona Jerzego Geniusza, syna Ł. Heniusz.

229 Autorka ma na myśli radziecką ofensywę Armii Czerwonej z 1944 r., opatrzoną kryptonimem Operacja Bagration (na cześć gruzińskiego księcia i rosyjskiego generała Piotra Iwanowicza Bagrationa (1765-1812), który poległ w bitwie pod Borodino). Daje do zrozumienia, że w sowieckiej narracji historycznej gloryfikuje się jedynie dokonania państwa sowieckiego, pomijając i lekceważąc przeszłość.

230 Wimperk – miasteczko w południowo-zachodnich Czechach, gdzie na ul. Beneša 161 mieszkali Hieniušowie.

231 Pisek – miasto w Czechach, w kraju południowoczeskim, nad Otawą.

232 Prachatice – miasto w południowo-zachodnich Czechach.

233 Klement Gottwald (1896-1953) – czechosłowacki polityk komunistyczny, prezydent Czechosłowacji w l. 1948-1953.

234 Charles Pierre Baudelaire (1821-1867) – poeta i krytyk francuski, parnasista zaliczany do grona tzw. „poetów przeklętych". Prekursor symbolizmu i dekadentyzmu.

235 Obywatelstwo czechosłowackie Łarysa i Jan Geniuszowie stracili 1.04.1948 r. decyzją MSW Czechosłowacji.

236 Keep smiling (ang.) – bądź uśmiechnięty; zachowaj pogodę ducha.

237 Teufel (niem.) – diabeł.

238 Peter Zenkl (1884-1975) – czeski polityk, przewodniczący Partii Narodowo-Socjalistycznej (1945-1948) i wicepremier w rządzie Gottwalda (1946-1948).

W 1948 r. wyemigrował do Niemiec Zachodnich, a później przez Londyn do USA, wieloletni działacz emigracyjny.

239 „Czarny kruk" (ros. czornyj woron; również „czarna Marusia") – potoczna, powszechnie stosowana nazwa radzieckiej karetki więziennej do przewozu aresztowanych, mającej postać autobusu czarnej barwy, podzielonego na jednoosobowe celki. Środkiem biegł wąski korytarz, po którego obu stronach znajdowały się liczne, wąskie drzwiczki. Poszczególne cele były nieoświetlone i tak ciasne, że ledwo mieścił się w nich skulony człowiek. Okna zamalowywano, by więźniowie niczego nie widzieli. Wejście znajdowało się z tyłu.

240 Batu-chan (? – ok. 1255) – drugi syn Dżocziego, najstarszy wnuk Czyngis-chana. Od 1227 r. chan mongolski. Organizował zbrojne wyprawy przeciwko Bułgarii (1236), Rusi (1237), Polsce (1241) oraz Węgrom, Chorwacji i Dalmacji. W l. 1236-1237 podbił step połowiecki (Kipczak) i Bułgarów nadwołżańskich. W 1238 r. rozbił księstwa riazańskie i włodzimierskie, w 1240 r. zdobył Kijów. Twórca potęgi tureckiej i założyciel zjednoczonego państwa Złotej Ordy (1251). Dla Autorki symbol azjatyckiej ekspansji i okrucieństwa.

241 Na rodinu (ros.) – do ojczyzny.

242 Stefan I Święty, zw. Węgierskim (ok. 969-1038) – książę Węgier od 997 r., król od 1001 r. z dynastii Arpadów. Pierwszy węgierski władca koronowany na króla. W ciągu swojego panowania zjednoczył węgierskie plemiona w jedno feudalne państwo. Znacznie powiększył terytorium Węgier oraz doprowadził do końca proces ich chrystianizacji. Założyciel dwóch arcybiskupstw oraz ośmiu biskupstw, święty Kościoła katolickiego.

243 Otieczestwo (ros.) – ojczyzna.

244 Vertrauensstellung (niem.) – dosł. stanowisko oparte na zaufaniu.

245 Żenia Szostak (Ženia Šostak; 27.04.1922 Zapole, Nowogródczyzna – 20.11.1998 Nowogródek) – ukończyła Gimnazjum Białoruskie w Wilnie (1939); w 1948 r. aresztowana (była wtedy studentką medycyny w Mińsku) i skazana na 25 lat łagrów; z zesłania wróciła w 1956 r., ukończyła medycynę, pracowała jako lekarz w Nowogródku.

246 Nowik (Novik) – zastępca ministra bezpieczeństwa państwowego BSRR na przełomie lat 40. i 50.

247 Ławrientij Pawłowicz Beria (1899-1953) – sowiecki działacz partyjny i państwowy, jeden z głównych organizatorów i kierowników represji politycznych w ZSRR w l. 1930-1950.

248 Związek Młodzieży Białoruskiej za czasów okupacji niemieckiej – przyp. tłum. Patrz przyp. 213.

249 Winston Leonard Spencer Churchill (1874-1965) – brytyjski polityk, premier Wielkiej Brytanii w l. 1940-1945 i 1952-1954.

250 ITŁ (ros. isprawitielno-trudowoj łagier) – obóz poprawczo-robotniczy.

251 Genecwali (gruz.) – towarzysz.

252 Wyście ją zepsuli, ona zachowuje się jak dama – ros., przyp. tłum.

253 Pani jest poetą? – pytanie zadane po rosyjsku z żydowskim akcentem – przyp. tłum.

254 Patrz przyp. 180.

255 Ks. Stanisław Łazar (30.04.1905 Domuraty k. Białegostoku – 20.12.1988 Brześć, BSRR) – uczył się w gimnazjum ks. salezjanów w Różanymstoku, w Pińsku, gdzie w 1929 r. wstąpił do seminarium duchownego; święcenia kapłańskie przyjął w 1935 r. Był wikariuszem w Kobryniu, Iwieńcu ((1935-1937), Prużanach (1937-1938); od 1938 r. – w Brześciu n. Bugiem pracował jako katecheta. W czasie okupacji niemieckiej zajmował się tajnym nauczaniem, był aresztowany przez Niemców i odsiedział pół roku w więzieniu. W nocy z 28 na 29.08.1948 r. w Brześciu został aresztowany i skazany na 10 lat łagrów. W 1949 r. trafił do Minłagu (Komi ASRR), skierowany do kopalni węgla. W 1951 r. wysłano go do łagru k. Uchty, gdzie pracował przy wyrębie lasu. Zwolniono go 10.07.1954 r. Wrócił do Brześcia i zajmował się posługami duszpasterskimi. W 1959 r. pozbawiono go prawa do służby kapłańskiej. Pracował przy budowie mostu na Muchawcu. W połowie lat 60. przywrócono mu prawo do posług kapłańskich. Pracował do śmierci jako kapłan. Był gorliwym obrońcą wiary i polskości.

256 Chalcz – wieś w rejonie wietkowskim obwodu homelskiego licząca ponad 1 tys. mieszkańców.

257 Robert Schumann (1810-1856) – niemiecki kompozytor i pianista okresu romantyzmu.

258 Grażyna Lipińska (z d. Sokołowska) – żołnierz Legionów Polskich, Związku Walki Zbrojnej i AK, szef wywiadu AK na Wschodzie, podpułkownik Wojska Polskiego; ur. 12.04.1902 r. w Warszawie, od 1918 r. mieszkała we Lwowie, gdzie uczyła się w Państwowym Gimnazjum Żeńskim im. J. Slowackiego i brała udział w obronie Lwowa. Studiowała chemię na Uniwersytecie Jagiellońskim i na Politechnice Warszawskiej, którą ukończyła w 1928 r. Pracowała jako nauczycielka w szkołach średnich w Warszawie, od 1935 r. była dyrektorką szkoły zawodowej

w Grodnie, gdzie zastał ją wybuch II wojny światowej. Za udział w obronie Grodna we wrześniu 1939 r. została aresztowana przez władze sowieckie i uwięziona w Mińsku. W czerwcu 1941 r. przeszła drogę śmierci Mińsk – Czerwień, z której udało jej się zbiec i przedostać do Warszawy, gdzie włączyła się w działalność w ZWZ i AK. W styczniu 1942 r. wyjechała na Wschód do pracy w wywiadzie. W 1944 r. została aresztowana przez NKWD i oskarżona o szpiegostwo na rzecz Anglii i przynależność do AK. W łagrach przebywała do 1956 r. Po powrocie stamtąd do Warszawy pracowała w Bibliotece Politechniki Warszawskiej. Zmarła 30.11.1995 r. w Warszawie.

259 Siergiej Wojciechowski (1883-1951) – rosyjski i czeski generał, dowódca białych, uczestnik wojny domowej w Rosji. 12.05.1945 r. został aresztowany przez NKWD, skazany za antysowiecką działalność, przebywał w więzieniu na Butyrkach, później w łagrach w rejonie Gorkiego, a następnie w łagrze pod Irkuckiem, gdzie zmarł z wycieńczenia i gruźlicy. Miejsce pochówku jest nieznane.

260 Patrz przyp. 221.

261 Inta – miasto w północnej Rosji, w Republice Komi, założone w 1954 r. Do tego czasu była osadą robotniczą, swoistym centrum i symbolem życia łagrowego. Obecnie mieszka tam ok. 40 tys. mieszkańców.

262 OŁP (ros. osobyj łagiernyj punkt) – oddzielny punkt obozowy.

263 Überkultiviert (niem.) – zbyt wyrafinowany, doprowadzony do stanu bardzo odległego od natury.

264 Minłag (ros. Minieralnyj Łagier) – Obóz Mineralny, nazwa obozu pracy przymusowej w Incie w Komi ASRR. Przed 1.05. 1948 r. nosił nazwę Obóz Specjalny nr 1 (Osobłag nr 1).

265 Michaś Zarecki (właśc. Kasiankoŭ; 20.11.1901 r. Wysoki Haradziec k. Tołoczyna na Witebszczyźnie – 29.10.1937 Mińsk) – białoruski pisarz, w l. 20. aktywnie działał w organizacjach literackich „Maładniak" i „Połymia"; do 3.11.1936 r. pracował w AN BSRR, kiedy to został aresztowany, a rok później rozstrzelany. Debiutował w 1922 r. opowiadaniem w gazecie „Sawieckaja Biełaruś", pisał opowiadania, powieści i dramaty. W l. 1989-1991 w Mińsku jego twórczość wydano w czterech tomach.

266 Kasiankoŭ – prawdziwe nazwisko Michasia Zareckiego.

267 DOK (ros. dieriewoobrabatywajuszczij kombinat) – kombinat przetwórstwa drzewnego.

268 Siemion Romańczuk (Siamion Ramančuk; 1916-1951?) – białoruski działacz wojskowy, jeden z aktywistów BKA; aresztowany w 1946 r.; próbował zorganizować powstanie w Incie; wg niesprawdzonych informacji został rozstrzelany.

269 Piotr Raszetnik (Piotr Rašetnik; 1926-2008) – uczestnik białoruskiego ruchu niepodległościowego, członek SBM; aresztowany w 1948 r. i skazany na 25 lat; po wyzwoleniu mieszkał w Baranowiczach.

270 MGB (ros. Ministierstwo Gosudarstwiennoj Biezopasnosti) – Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego.

271 BUR (ros. barak usilonnogo reżima) – barak o zaostrzonym rygorze.

272 Lucja Kłahisz (Tetere) – działaczka teatralna w przedwojennej Łotwie.

273 Tamara Wierakso – primabalerina Teatru Opery i Baletu w Kijowie.

274 Kuźniecow – komik z Teatru Małego w Moskwie.

275 Łarysa Donati-Sawieliewa-Tarchowa (ur. 1925) – rosyjska aktorka teatru komediowego w Gorkim (obecnie Niżny Nowogród); aresztowana 6.07.1948 r., skazana na 8 lat łagrów.

276 Brygada kulturalna – przyp. tłum.

277 Patrz przyp. 137.

278 herrschende Volk (niem.) – naród panujący.

279 Abraham Lincoln (1809-1865) – prezydent USA w l. 1861-1865.

280 Aleksy Tołstoj (1828-1910) – pisarz rosyjski.

281 Rabindranath Tagore (1861-1841) – indyjski poeta, prozaik, filozof, kompozytor, malarz i pedagog.

282 Szapował – wspominał o nim Mikołaj Kanasz (Mikoła Kanaš) ze Żłobina w liście do Michasia Czarniawskiego (Patrz: Каментарыі, [w:] Л. Геніюш, *Споведзь*, Мінск 1993, s. 268-269). M. Kanasz (1926-2006) w czasie okupacji niemieckiej należał do SBM, za co po wojnie został aresztowany i zesłany do Inty, gdzie w 1949 r. korespondencyjnie poznał Łarysę Hieniuš. Pierwszy raz spotkali się w 1954 r. Po odbyciu kary M. Kanasz mieszkał w Komi ASRR. Na Białoruś wrócił w 1973 r. Mieszkał w Żłobinie. Jego ocena Szapowała diametralnie różni się od oceny Łarysy Hieniuš. Według M. Kanasza, Szapował był Białorusinem i uratował mu życie w obozie pracy. Uprzedził go, że jest obwiniany o sabotaż i zaprowadził go do lekarza, któremu dał polecenie ratowania „chłopca". W tym liście M. Kanasz uważał, że Ł. Hieniuš była nadzwyczaj podejrzliwa w stosunku do ludzi i bez szczególnych podstaw uważała niektórych za donosicieli.

283 S. – pewnie pod tym inicjałem ukrywa się Wasil Suprun (10.03.1926 Głowsiewicze k. Słonimia – 2.05.2007 Słonim) – poeta, krajoznawca. W czasie wojny ukończył białoruską szkolę powszechną, 3-miesięczne kursy nauczycielskie, uczył się w seminarium nauczycielskim w Słonimiu. W 1943 r. debiutował wierszem „Pieśnia na čužynie", opublikowanym w „Baranavickiej Haziecie". Po wojnie w 1944 r. został dyrektorem szkoły w Miżewiczach pod Słonimiem. W l. 1946-1947 był inicjatorem powstania i przywódcą patriotycznej organizacji młodzieżowej „Czajka", za co 6.06.1947 r. został aresztowany i skazany na 25 lat więzienia. Karę odbywał m.in. w Workucie i Incie. W 1953 r. nawiązał kontakt korespondencyjny z Ł. Hieniuš (pisząc wierszem). W 1956 r. został zwolniony z więzienia i wrócił na Białoruś. Mieszkał w Słonimiu, pracował na budowach, zajmował się poezją i krajoznawstwem. W latach 90. ukazały się 3 zbiorki jego wierszy oraz zbiór poetyckiej korespondencji z Ł. Hieniuš (Супрун Васіль, Геніюш Ларыса, *Незабыўныя „ксівы". Вершы з падпольнай канцлягернай перапіскі з Ларысай Геніюш*, Гародня 1998, Менск 2008). Ostrość oceny innych ludzi, czyniona przez Ł. Hieniusz, bywa niekiedy zaskakująca.

284 Michał Fedorowski (1835-1923) – etnograf i folklorysta amator, badacz białoruskiej kultury ludowej.

285 Kupałowie – mowa o poetach białoruskich o randze wieszcza narodowego Janki Kupały (patrz przyp. 31).

286 Nawiązanie do wybitnego poety białoruskiego Maksima Bohdanowicza (Maksima Bahdanoviča).

287 Nawiązanie do Konstantego Kalinowskiego (patrz przyp. 187).

288 Nigdy – ros. przyp. tłum.

289 Honorowy zwierzchnik Kościoła anglikańskiego.

290 Północnej – ros., przyp. tłum.

291 … urządzimy Wigilię – ukr., przyp. tłum.

292 …czy wolno nam kraść? – ukr., przyp. tłum.

293 Harry Truman (1884-1972) – prezydent USA w l. 1945-1953.

294 M. S. Łastiwka z Ukrainy w liście do M. Kanasza stwierdziła niedokładności w opisie zabójstwa Haliny Gotes, przedstawionym przez Ł. Hieniuš: „Byłam przy tej zbrodni… (…) Dotychczas pamiętam i każdego dnia modlę się za jej duszę… A oto jak było. 17 września, w poniedziałek, tylko rok trochę zapomniałam, być może, 53. Naszą brygadę zaprowadzono do kopania ziemniaków na pole „im. Kozłowa", tak je nazywaliśmy… Rozstawiono nas po bruzdach z łopatami. Z brzegu była Hala, a ja obok niej następna. Nie kopałyśmy jeszcze nawet pół

godziny, gdy nagle, ni z tego ni z owego, rozległ się strzał. I natychmiast Hala z krzykiem: „Oj, siostrę, siostrę!" – chwyciła się za brzuch i upadła. Wszystko to widziałam. Rzuciłam się do niej, ale sam zabójca, młody strażnik, przybiegł, chwycił mnie za kołnierz i odrzucił z krzykiem: „Uchodi, a to i tiebia ubju!" – i odpędził do grupy, która zebrała się koło nadzorującej nas kobiety. Mocno zaczęłyśmy krzyczeć i wołać o pomoc lekarza. Ale ona i strażnicy okrążyli nas i nigdzie nie wypuszczali. A Hala tymczasem czołgała się po ziemi, a za nią ciekła krew nawet przez watowane spodnie.. Tak ona, pokutując, rzeczywiście doczołgała się za tzw. zonę… (…) Tak oto Hala zginęła za nic. A strażnicy, by usprawiedliwić zabójcę, podali wersję, że wyszła ona za zakazaną zonę, ale to czyste kłamstwo!" (*Каментарыі*, [w:] Л. Геніюш, *Споведзь*, Мінск 1993, s. 269-270).

295 Mowa o córce zastrzelonej Haliny Gotes – przyp. tłum.

296 Renifer – po rosyjsku „oleń" – przyp. tłum.

297 Jelenina Stalina jak świnina – przyp. tłum.

298 Mädchen für alles (niem.) – dosł. dziewczyna (służąca) do wszystkiego; osoba, którą się posługują, wyręczają, we wszystkich (również nie należących do jej obowiązków) sprawach.

299 Pierwsza opera ukraińska wystawiona w 1863 r. Kompozytor – Semen Hułak-Artemowski.

300 Patrz przyp. 166.

301 Patrz przyp. 161.

302 Patrz przyp. 85.

303 Związek Młodzieży Białoruskiej – pod okupacją niemiecką – przyp. tłum. Patrz przyp. 213.

304 Niech żyje Białoruś! – biał., przyp. tłum.

305 Zawsze gotów! – ros., przyp. tłum.

306 Piotr Geniusz (Piotr Hieniuš) zmarł 31.12.1952 r. w Zelwie.

307 Enrico Caruso (1873-1921) – tenor włoski.

308 Wiktor Hugo (26.02.1802 Besancon – 22.05.1885 Paryż) – pisarz, poeta, dramaturg i polityk. Uznawany jest za jednego z najważniejszych reprezentantów literatury francuskiej i czołowego przedstawiciela romantyzmu francuskiego; autor m.in. powieści „Nędznicy" (1862).

309 Konstanty Szyszeja (Kościa Šyšeja; 17.09.1922 r. Kraskoŭskija Hory pod Szczorsami na Nowogródczyźnie – 11.12.2004 Wilno) – białoruski działacz narodowy w czasie II wojny światowej, członek Białoruskiej Obrony Krajowej (pierwszego

białoruskiego eskadronu) – białoruskich formacji wojskowych, zorganizowanych w 1943 r. pod okupacją niemiecką. Ukończył szkołę powszechną w Szczorsach, w 1942 r. ukończył kursy buchalterskie w Lubczy, pod pseudonimem „Wieras" należał do podziemnej Białoruskiej Partii Niepodległościowej (Biełaruskaja Niezależnickaja Partyja), latem 1944 r. uczestniczył w kursach wywiadowczych w Dalwitz; z 27-osobową grupą desantową 17 października 1945 r. został zrzucony na Białoruś w okolicach Woronowa; zatrzymano ich pod wsią Opita koło Juraciszek i po kilku dniach odesłano do Mińska do więzienia „Amerykanka", skąd po dwóch miesiącach odesłano do wiezienia w Homlu. W sierpniu 1945 r. został skazany na 10 lat łagru i przewieziony do więzienia w Orszy, a stamtąd trafił do łagru Czarne Jezioro koło Jercewa w obwodzie archangielskim. Stamtąd po pół roku trafił do łagru Pawłusz Jezioro, skąd odesłano go do łagru Inta, gdzie odbył resztę kary. Po odbyciu kary osiadł w Wilnie, ożenił się z Leokadią Kowalczuk, także zesłaną do łagru za przynależność do białoruskiej młodzieżowej patriotycznej organizacji „Czajka". O losach K. Szyszei patrz: *Арол і чайка*, [w:] С. Шарэцкі, *Іх лёсы звязаныя з Вільняй*, Вільнюс 2001, s. 81-285.

310 ORS (ros. otdieł rajonnogo snabżenija) – oddział zaopatrzenia rejonowego.

311 *Ojczyzno moja droga* – biał., przyp. tłum.; pieśń Juryja Siemieniaki do słów Anatola Astrejki.

312 Władimir Majakowski (1893-1930) – poeta rosyjski.

313 Sidor Kowpak (1887-1967) – jeden z organizatorów ruchu partyzanckiego na Ukrainie w czasie II wojny światowej.

314 Fiodor Tiutczew (1803-1873) – poeta rosyjski.

315 Patrz przyp. 213.

316 KWCz (ros. kulturo-wospitatielnaja czast') – oddział kulturalno-wychowawczy – przyp. tłum.

317 Lusia (Ludmiła) Krasnodubska (ur. 1928 r. w. Kraŭcy na Dziśnieńszczyźnie), siostrzenica białoruskiego działacza okresu międzywojennego Janki Pačopki, uczyła się w szkole podstawowej w Szkuncikach k. Hermanowicz. W czasie okupacji niemieckiej rozpoczęła naukę w seminarium nauczycielskim w Postawach, kontynuowała po wojnie w uczelni pedagogicznej w Głębokiem; należała do SBM, a po wojnie do Sajuza Biełaruskich Patryjotaŭ; aresztowana w lutym 1947 r. i skazana na 10 lat pozbawienia wolności, zesłana do łagru, m.in. w Abiezi, skąd trafiła do Kazachstanu. Zwolniona w 1956 r. Wyszła za mąż za Rosjanina Iwana

Gałkina, mieszkała w Kazachstanie (Patrz: *Людміла Краснадубская*, [w:] *Гарт. З успамінаў пра Саюз Беларускіх Патрыётаў (Глыбокае, Паставы. 1945--1947 г.),* Менск 1997, s. 189-213).

318 Leokadia Kowalczuk (Lodzia Kavalčuk), ur. 2.06.1928 r. w Cierechowszczyźnie, pow. słonimski; po wyjściu na wolność wyszła za mąż za K. Szyszeję, od 1959 r. mieszka w Wilnie.

319 Wigilię prawosławną – przyp. tłum.

320 „Jeśli być bardziej dokładnym, to trzeba koniecznie podkreślić, że Kościę z Lodzią najpierw zapoznali chłopcy, którzy siedzieli w Incie razem z nią na podstawie tej samej sprawy. Gdy Kościa wyszedł na wolność, pomógł im skontaktować się z Lodzią, ale i od tego czasu sam zaczął pisać do niej listy. A gdy zwolniono Lodzię, ona rzeczywiście przyjechała do Inty załatwiać dokumenty z rekomendacją Łarysy Hieniuš, by znaleźć tam Kościę i zwrócić się do niego o pomoc, a poetka swoją drogą poprosiła go o pomoc w tej sprawie dobrej i pięknej dziewczynie" (*Арол і чайка*, [w:] С. Шарэцкі, *Іх лёсы звязаныя з Вільняй*, Вільнюс 2001, s. 251).

321 Lodzia Kavalčuk podczas aresztowania 16.06.1947 r. miała 19 lat Osadzono ją w więzieniu w Baranowiczach. Sądził ją Trybunał Wojskowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych obwodu baranowickiego w dn. 16-18 1947 r. Skazano ją na 10 lat więzienia. Z Baranowicz przewieziono ją do więzienia w Orszy, a stamtąd na Północ do obozu Kyłtawa, w marcu 1948 r. – do obozu koło stacji Rakpas, a stamtąd do minłagu Abieź (*Арол і чайка*, [w:] С. Шарэцкі, *Іх лёсы звязаныя з Вільняй*, Вільнюс 2001, s. 249-251).

322 s. Josifa (imię świeckie Olena Witer; 11.01.1905 Mikłaszów – 15.11.1988 Lwów) – zakonnica, ihumenia greckokatolickiego klasztoru studytek w Jaktorowie (1932-1939) i Lwowie (1939-1940). Represjonowana w l. 1940-1941 i 1945-1956. Po odzyskaniu wolności miała zakaz powrotu do Lwowa. Ponad 30 lat służyła w nielegalnie działającym klasztorze w Skałacie.

323 Andrej Szeptycki (1865-1944) – greckokatolicki arcybiskup metropolita lwowski i halicki.

Posłowie

Poetka i autorka wspomnień Łarysa Geniusz (z domu Mikłaszewicz) urodziła się 9 sierpnia 1910 r. w folwarku Żłobowce (Žłobaŭcy) w guberni grodzieńskiej w dość zamożnej prawosławnej rodzinie chłopskiej. Wówczas w Imperium Rosyjskim obowiązywał stary styl i należy domniemywać, że jest to data zgodna z nim[1].

Wspomnienia Łarysy Geniusz podzielone są na 6 części, z których 5 związanych jest z konkretnymi miejscami: Żłobowce, Zelwa, Praga, Inta, Abieź. Nazwy miejscowości wskazują na ich znaczenie w życiu poetki, a jednocześnie odtwarzają przestrzeń geograficzną, której dane jej było doświadczyć. Tylko tytuł jednej części, „Gehenna", oddaje stan ducha Łarysy Geniusz, której los nie szczędził cierpień w drodze z wolności do niewoli, przemierzając jednocześnie pod przymusem szlak z Czechosłowacji do radzieckich łagrów.

Wspomnienia są rozpięte między sielanką dzieciństwa spędzonego w domu rodzinnym a zsyłką na daleką północ ZSRR. Pisane były w Zelwie, miasteczku położonym nad rzeką Zelwianką w rejonie wołkowyskim, gdzie poetka osiadła po powrocie z łagru. Pobliskie rodzinne Żłobowce dla Łarysy Geniusz stały się rajem utraconym – po 17 września 1939 r. władze radzieckie potraktowały jej rodziców jak „kułaków" i „wrogów ludu" – aresztowano jej ojca, matkę z młodszym rodzeństwem Łarysy zesłano do Kazachstanu, folwark znacjonalizowano (utworzono kołchoz), dom i stodołę przeniesiono do Wołkowyska. Pozostały jedynie fundamenty z prowadzącymi do domu schodami, obora i kilka drzew.

Życie w rodzinnych stronach, urozmaicone „bieżeństwem"[2] na Ukrainę w latach I wojny światowej, stanowi niewiele ponad 10 procent całości wspomnień. Poetka przedstawiła swoją rodzinę oraz ogólną sytuację na ziemiach białoruskich, które po traktacie w Rydze znalazły się w składzie II Rzeczypospolitej. Wspomniała

1 Patrz: *Беларускія пісьменнікі. Біябібліяграфічны слоўнік*, t. 2, Мінск 1993, s. 173.

2 Masowe uchodźstwo ludności prawosławnej z zachodniej części Imperium Rosyjskiego w głąb Rosji w latach I wojny światowej.

o powolnym budzeniu się świadomości narodowej wśród Białorusinów, o ich przywiązaniu do ziemi i tradycji, o stosunku polskich władz do Białorusinów i rosnącej wśród ostatnich niechęci do państwa polskiego.

W centrum ruchu białoruskiego Łarysa Geniusz znalazła się po wyjściu za mąż za Jana Geniusza i po wyjeździe w 1937 r. do Pragi, stolicy Czechosłowacji. Jan Geniusz ukończył rosyjskie gimnazjum w Grodnie w 1921 r. i skorzystał ze stypendium proponowanego przez władze czechosłowackie białoruskim maturzystom z Polski. Liczba studentów Białorusinów, studiujących w latach dwudziestych w Czechosłowacji, głównie na Uniwersytecie Karola w Pradze, sięgała setki. Stypendia te były zasługą Mikoły Wierszynina i emigracyjnych władz Białoruskiej Republiki Ludowej. Po 1921 r. na emigracji w Pradze znaleźli się politycy białoruscy, nie uznający BSRR i podziału ziem białoruskich na mocy traktatu w Rydze. Wśród nich byli prezydenci BRL Piotr Kreczeŭski (1923-1928) i Wasil Zacharka (1928-1943) oraz inni działacze białoruscy (m.in. Tamasz Hryb, Wasil Rusak, Iwan Jermaczenka), którzy wraz z białoruskimi studentami organizowali życie społeczno-kulturalne w Pradze, wydawali pisma białoruskie „Biełaruski Student" „Iskry Skaryny", „Pramień", „Pierawiesła", „Biuleteń Zahranicznaj Hrupy Biełaruskich Eseraŭ", „Biuleteń Rady BNR"; istniało Białoruskie (Krywickie) Towarzystwo Kulturalne im. Franciszka Skoryny, Białoruskie Archiwum Zagraniczne, Zrzeszenie Białoruskich Organizacji Studenckich, Grupa Zagraniczna BPSR, Towarzystwo Rada Białoruska[3].

Jan Geniusz – jak pisała Łarysa Geniusz – w 1935 r. był już absolwentem Uniwersytetu Karola, ale przed nim były jeszcze egzaminy państwowe. 3 lutego 1935 r. wziął ślub z Łarysą Mikłaszewicz w cerkwi w Wołpie. 21 października 1935 r. urodził się syn Jurka (Jerzy). Pod koniec 1937 r. wyjechał on z matką do ojca do Pragi i zamieszkał u Wasila Zacharki w Modrzanach.

W Pradze, dzięki Wasilowi Zacharce, Łarysa Geniusz znalazła się w środowisku białoruskiej emigracji politycznej, która spotykała się przy okazji świąt narodowych (np. 25 marca) i towarzysko. Spostrzeżenia poetki, dotyczące różnych osób, oparte były na krótkotrwałej obserwacji, bądź obarczone poglądami jej męża, charakteryzującego się inercyjną postawą wobec zaangażowania żony w ruch białoruski po przyjeździe do Pragi.

3 Patrz: H. Głogowska, *Białoruska Praga*, „Czasopis", 1997, nr 10, s. 17-19.

Z pobytem Łarysy Geniusz w Pradze związany też jest jej debiut literacki w 1940 r. na łamach wydawanej w Berlinie białoruskiej gazety „Ranica" . W czasie wojny, w ciągu dwóch lat, stała się ona na tyle dojrzałą poetką, że w 1942 r. w Pradze ukazał się zbiorek jej wierszy „Od niw ojczystych" („Ad rodnych niŭ"). Wiersze Łarysy Geniusz ukazywały się nie tylko w „Ranicy", ale także w innych pismach białoruskich, np. w gazetach „Nowaja Daroha", wydawanej w Białymstoku, „Biełaruskaja Hazieta" – w Mińsku, „Biełaruski Hołas" – w Wilnie. W 1943 r. na łamach białostockiej „Nowaj Darohi" poetka informowała czytelników o śmierci Wasila Zacharki.

Mimo okropności wojny rodzinie Łarysy i Jana Geniuszów udało się wyjść z niej cało. Koszmar zaczął się po wojnie – w nowej zmienionej rzeczywistości społeczno-politycznej. Ich rodzinne strony w wyniku przesunięcia granic znalazły się w Białoruskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Czechosłowacja, podobnie jak i Polska, znalazła się w radzieckiej strefie wpływów. Klęska Niemiec i zmiana systemu politycznego w Europie Środkowo-Wschodniej przyniosły zmiany w ideologii państwowej. Wszystkich, którzy działali w ruchu białoruskim w czasie okupacji niemieckiej, a Niemcy pozwalali na zajętych ziemiach białoruskich na istnienie szkół i instytucji białoruskich, administracji białoruskiej, organizacji młodzieżowej – Związek Młodzieży Białoruskiej (Sajuz Biełaruskaj Moładzi), na wydawanie prasy i książek białoruskich, posądzano o kolaborację z Niemcami, za co groziła kara śmierci (do 1948 r.), więzienie bądź zesłanie do łagrów. Znaczna część działaczy białoruskich wobec wkraczania wojsk radzieckich i wycofywania się Niemców podjęła decyzję o emigracji z Białorusi. Odbywający się 27 czerwca w Mińsku II Ogólnobiałoruski Zjazd zgromadził białoruskich działaczy rozsianych po Europie. Przyjechała nań z Pragi Łarysa Geniusz. Znaczna część jego uczestników w obawie przed prześladowaniami ze strony władz radzieckich opuszczała ziemie białoruskie na zawsze. Wśród nich wyjeżdżała także do Pragi Łarysa Geniusz – przez Wilno, Prusy…

27 lipca 1947 r. Łarysa i Jan Geniuszowie otrzymali obywatelstwo czechosłowackie. Była to dla nich nadzieja na pozostanie w Czechosłowacji. Wokół panowała atmosfera niepewności i strach przed prześladowaniami. 5 marca 1948 r. Łarysa i Jan Geniuszowie zostali aresztowani w Wimperku, a 1 kwietnia 1948 r. pozbawieni obywatelstwa czechosłowackiego, co dało podstawę do wydania ich władzom radzieckim. Deportowano ich do ZSRR – w Mińsku przesłuchiwał Łarysę Geniusz ówczesny minister bezpieczeństwa państwowego BSRR Ławrentij Canawa.

7 lutego 1949 r. Sąd Najwyższy BSRR skazał Łarysę i Jana Geniuszów na 25 lat łagrów. Poetka trafiła na Północ – do Inty, a następnie do Abiezi w Komi ASRR, a jej mąż – do Workuty. Ich synem Jurką zaopiekował się jeszcze w Czechosłowacji ojciec chrzestny, zabierając go do Polski.

Łarysa Geniusz opisała przeżycia związane z ich aresztowaniem, deportacją i przesłuchaniami. Są one niezwykle wzruszające, pełne ekspresji, obrazowo pokazują mechanizm funkcjonowania aparatu represji w ZSRR, który był wszechwładny wobec białoruskiej inteligencji narodowej. Na dalekiej Północy łagrowe życie w skrajnych warunkach hartowało ludzi, rodziło nadzieje i przyjaźnie, ale też ujawniało ludzkie słabości takie, jak zawiść, nienawiść, zdrada, kłamstwo, donosicielstwo, złodziejstwo. We wspomnieniach poetki przewija się plejada anonimowych, a jednocześnie wyrazistych postaci różnych nacji, także Białorusinów. Łarysa Geniusz w obozie pisała wiersze i listy do białoruskich patriotów, którzy trafili na zsyłkę za podziemną działalność niepodległościową w okresie powojennym oraz za działalność w Związku Młodzieży Białoruskiej. Ta więź narodowa dawała wzajemną nadzieję i jednoczyła ludzi w beznadziejnych warunkach zesłania.

W ZSRR po śmierci Józefa Stalina w 1953 r., a zwłaszcza po XX Zjeździe KPZR w 1956 r. nastąpiła odwilż polityczna. 1 lipca 1956 r. Łarysa i Jan Geniuszowie znaleźli się na wolności, podobnie jak i wielu niesłusznie skazanych białoruskich patriotów oraz przedstawicieli innych narodów. Osiedli w Zelwie, w rodzinnym domu Jana Geniusza. Łarysa Geniusz nie przyjęła do końca życia obywatelstwa ZSRR, była bezpaństwowcem. W latach 1959-1961 pracowała jako pielęgniarka w szpitalu w Zelwie, jej mąż był lekarzem do 1976 r. (zmarł w 1979 r.).

Po powrocie w rodzinne strony Łarysa Geniusz nawiązała kontakt z dawnymi współwięźniami i białoruskimi działaczami na emigracji. Pisała wiersze, stała się autorytetem moralnym dla całego pokolenia literatów białoruskich i inteligencji białoruskiej. Prowadziła bogatą korespondencję. W Zelwie jej gośćmi bywali Wasil Bykaŭ, Maksim Tank, Uładzimir Karatkiewicz, Danuta Biczel, Alaksiej Karpiuk, Alaksiej Maraczkin, Jaŭhien Kulik, Alaksiej Piatkiewicz… Uczono się od niej patriotyzmu, a jej wspomnienia były lekcją historii Białorusi. Zachęcona do spisania wspomnień m.in. przez znajomego z Inty Mikołę Kanasza pod koniec 1976 r. zaczęła je drukować na maszynie do pisania[4]. Potem był u niej Michaś

4 С. Чыгрын, *Пісьмы Міколы Канаша – вязьня сталінскіх лагероў*, „Czasopis", 2012, nr 10, s. 38.

Czarniaŭski, miński archeolog i historyk, który także wyraził prośbę o spisanie wspomnień. Gdy odwiedził Łarysę Geniusz latem 1982 r., otrzymał od niej gotowy maszynopis[5].

Łarysa Geniusz zmarła 7 kwietnia 1983 r. w szpitalu w Grodnie. Spoczęła na cmentarzu w Zelwie. Jej spuścizna została przekazana do Centralnej Biblioteki Naukowej Akademii Nauk Białorusi w Mińsku. Pozostały po poetce wydane za jej życia zbiorki wierszy. W 1990 r. w piśmie „Maładość" (n-ry 1-6) opublikowano jej wspomnienia, udostępnione przez Michasia Czarniaŭskiego. Ponieważ były one bez tytułu Janka Sipakoŭ (odpowiedzialny sekretarz) nazwał je „Spowiedź". Pod tym tytułem ukazały się także w wydaniu książkowym w Mińsku w 1993 r.

Łarysa Geniusz nadal pozostaje symbolem białoruskiego patriotyzmu, sumieniem narodu. Jej bogata spuścizna epistolarna doczekała się wydania w dwóch tomach: „Kab wy wiedali. Z epistalarnaj spadczyny (1945-1983)" (Minsk 2005) i „Listy z Zelwy. Z epistalarnaj spadczyny (1964-1983)" (Harodnia – Wrocław 2012). W 2010 r. na stulecie urodzin poetki wydano w Mińsku dwutomowy „Zbor tworaŭ".

Helena Głogowska

5 М. Чарняўскі, "*Благаславенны родны дом...*", [w:] Л. Геніюш, *Споведзь*, Мінск 1993, s. 3.

Fotografie i dokumenty

Zdjęcia:

1, 3, 14-47, 49 – prywatne archiwum rodziny Geniuszów.

2, 4-8, 10-13, 48 – Centralna Naukowa Biblioteka im. Jakuba Kołasa Narodowej Akademii Nauk Białorusi, Dział Unikatowej Książki i Rękopisów (CNB NANB DzR)

9 – NARB (Państwowe Archiwum Republiki Białoruś, Mińsk), fot. M. Ocytko



fot. 1. Łarysa Geniusz. Praga 1939 r.



fot. 2. Janka i Łarysa Geniuszowie z synem Jurką na jednej z praskich ulic, 1938 r.
(F. 31, vop. 1, adz. zach. 779, l. 1)

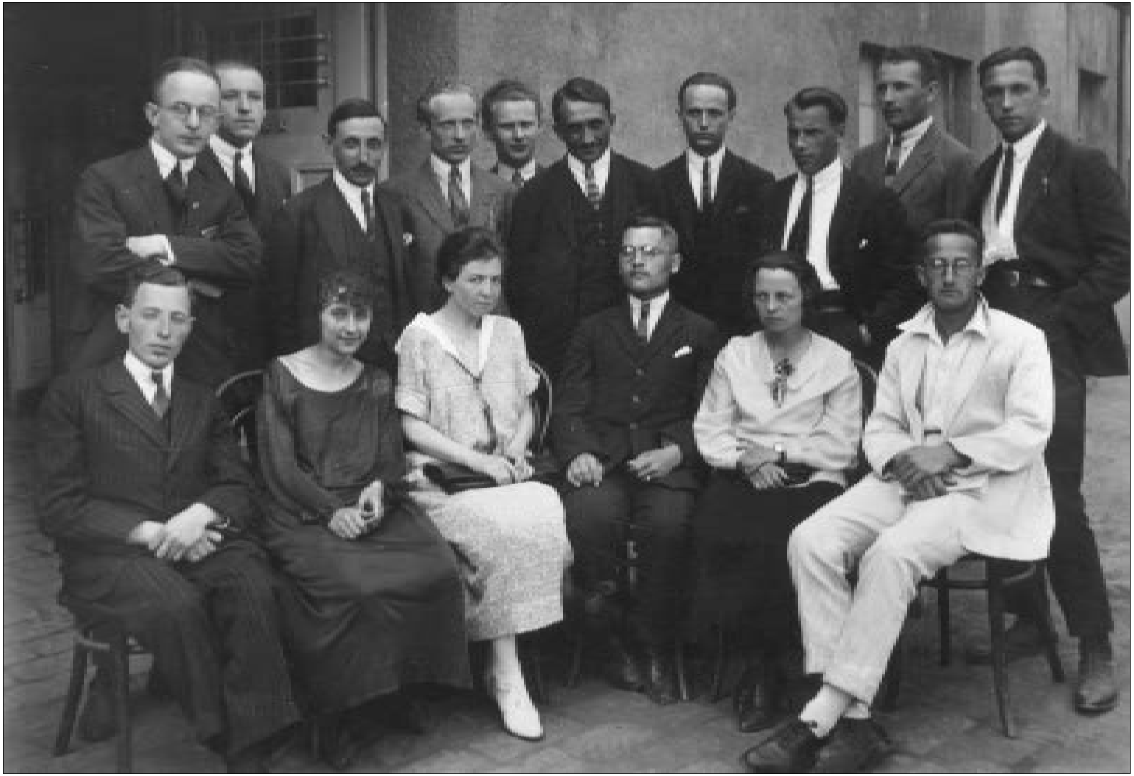


fot. 3. Łarysa Geniusz z synem Jurką



fot. 4. Fotografia ze zbiorów Adolfa Klimowicza, prawdopodobnie grupa białoruskich studentów. W górnym rzędzie pierwszy z prawej Janka Geniusz (F. 5, vop. 1, adz. zach. 69, l .2)

fot. 5. Samorząd studencki w akademiku w Pradze (Studentská samospráva v Studentskom domove), Praga, 1923/24. W drugim rzędzie pierwszy z prawej – Janka Geniusz (F. 31, vop. 1, adz zach. 775, l. 2)

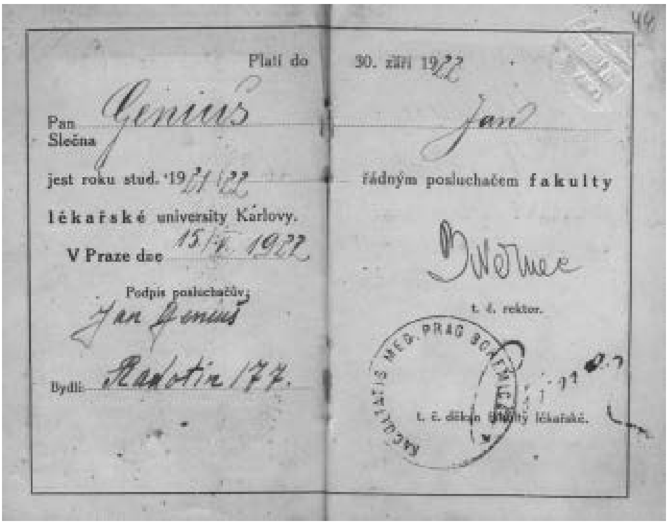




fot. 6. Jedna z uroczystości z udziałem białoruskiej społeczności w Pradze, 1926/27 r. (?) (na fotografii widoczni są studenci zrzeszeni w Białoruskiej Hromadzie oraz członkowie Białoruskiej Rady w Pradze – m.in. w pierwszym rzędzie od prawej: trzeci – Piotr Kračeŭski (Piotr Kreczewski), piąty od prawej – Mikoła Viaršynin (Mikołaj Wierszynin, właśc. nazwisko Wieramiej) (F. 16, vop. 1, adz. zach. 168, l. 1)



fot. 7. Legitymacja studenta Uniwersytetu Karola w Pradze Janki Geniusza (b.d.) (F. 31, vop. 1, adz. zach. 967, l. 42-43)



fot. 8. Legitymacja Janki Geniusza jako studenta Wydziału Lekarskiego UK, Praga, 1922 r. (F. 31, vop. 1, adz. zach. 967, l. 44)





fot. 9. Paszport studenta praskich uczelni Mikoły Czarnieckiego, wydany w imieniu Białoruskiej Republiki Ludowej, 1923 r. (F. 459, vop. 1, adz. zach. 29, l. 4)

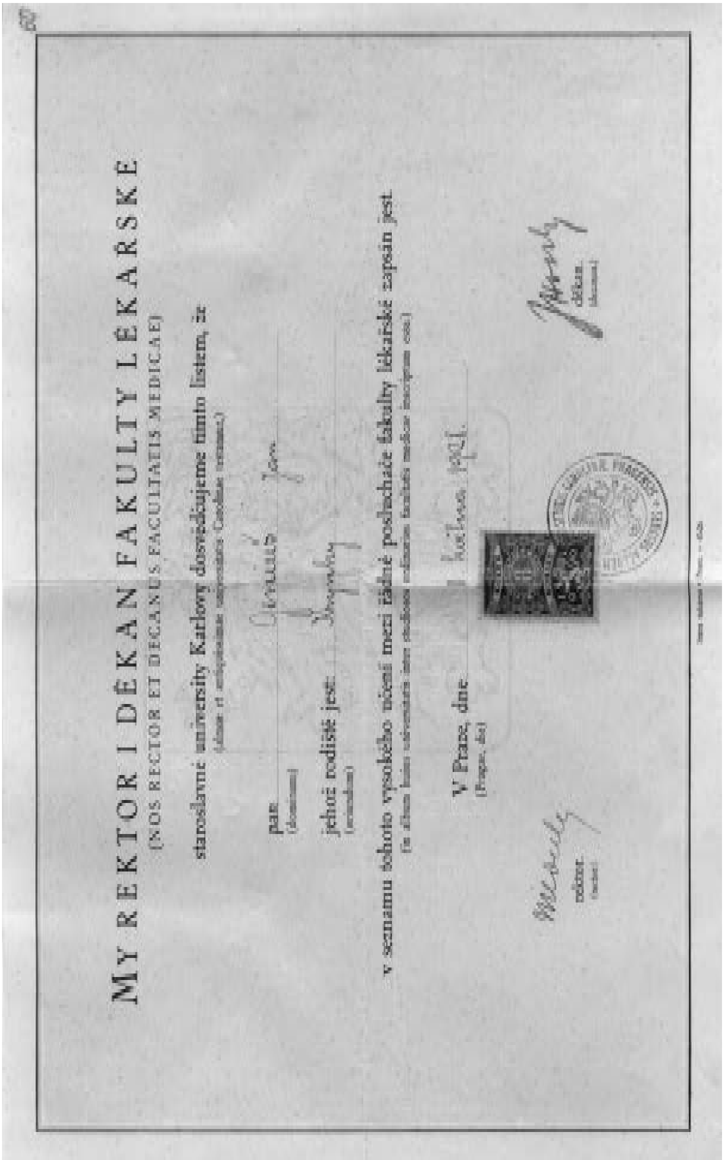


fot. 10. Legitymacja skautowska Janki Geniusza z okresu studiów w Pradze, rok akademicki 1922/23 (F. 31, vop. 1, adz. zach. 967, l. 52)



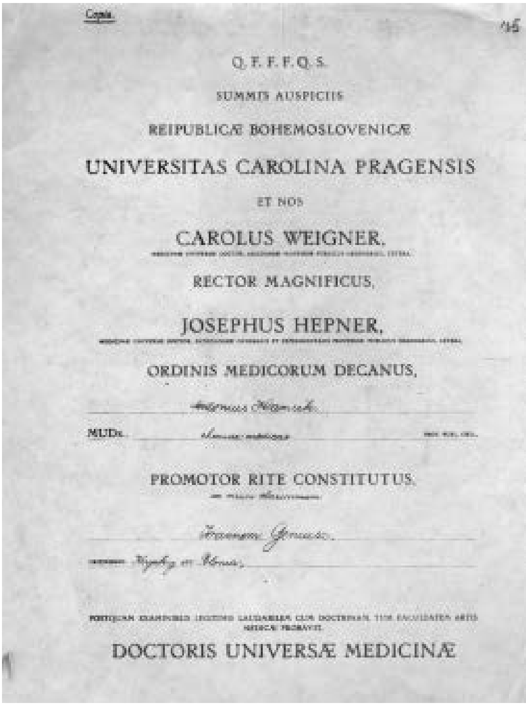
fot. 11. Legitymacja studenta Janki Geniusza, uprawniająca do ulgowych przejazdów środkami komunikacji miejskiej w Pradze, Praga, rok akademicki 1924/25 (F. 31, vop. 1, adz. zach. 967, l. 57)





fot. 12. Dyplom poświadczający ukończenie studiów medycznych przez Jankę Geniusza, Praga, 1928 r. (F. 31, vop. 1, adz. zach. 967, l. 60)

fot. 13. Kopia dyplomu uprawniającego Jankę Geniusza do prowadzenia samodzielnej praktyki lekarskiej, Praga 1936 r. (F. 31, vop. 1, adz. zach. 967, l. 75)



Copia

Q. F. F. F. Q. S.

SUMMIS AUSPICIIS

REIPUBLICÆ BOHEMOSLOVENICÆ

UNIVERSITAS CAROLINA PRAGENSIS

ET NOS

CAROLUS WEIGNER,

RECTOR MAGNIFICUS,

JOSEPHUS HEPNER,

ORDINIS MEDICORUM DECANUS,

MUDr.

PROMOTOR RITE CONSTITUTUS,

DOCTORIS UNIVERSÆ MEDICINÆ



Datum Pragae die

(L. S.)

WEIGNER m. p.

HEPNER m. p.



fot. 14. Łarysa Geniusz z pacjentami szpitala w Zelwie. Ok. 1960 r.



fot. 15. Na podwórku w Zelwie z sąsiadami. Pierwszy z prawej stryjeczny brat Janki Geniusza Józef Tukalski. Zelwa, lata 50. XX w.



fot. 16. Od lewej Adam Maldzis, Łarysa Geniusz, Iosif Bahina (późniejszy red. gazety „Grodzieńska Prawda")

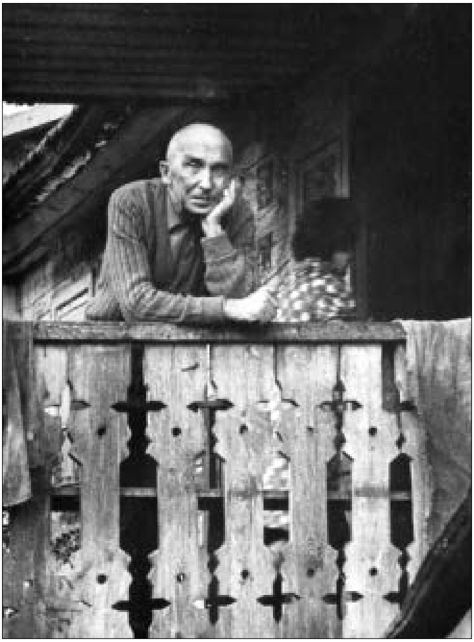


fot. 17. Łarysa i Janka Geniuszowie



fot. 18. Łarysa Geniusz

fot. 19-20. Janka Geniusz









fot. 21-22. Łarysa i Janka Geniuszowie





fot. 23-24. Łarysa i Janka Geniuszowie



fot. 25. Łarysa i Janka Geniuszowie
oraz siostra Łarysy Geniusz – Nina Mikłaszewicz



fot. 26. Łarysa i Janka Geniuszowie ze znajomą



fot. 27. Na ganku rodzinnego domu w Zelwie. Hanna Furs, Łarysa Geniusz, Olga Cieraszczatawa, Aleksander Jaroszewicz, lata 70.



fot. 28. Łarysa Geniusz z sąsiadką Zosią Kalinowską



fot. 29. Aleksander Żamojcin (przewodniczący kołchozu), osoba niezidentyfikowana, Jadwiga Kupraszewicz (?) z synem Michałem (Łarysa Geniusz była jego matką chrzestną), Adam Maldzis



fot. 30. Janka, Walentyna, Aleksander, Łarysa, Jurka i Michał Geniuszowie



fot. 31. Łarysa i Janka Geniuszowie



fot. 32. Łarysa i Janka Geniuszowie z Pauliną Miadziołką



fot. 33. Łarysa Geniusz



fot. 34. Łarysa i Janka Geniuszowie



fot. 35. Jurka Geniusz, Łarysa Geniusz, Siarhiej Paniźnik



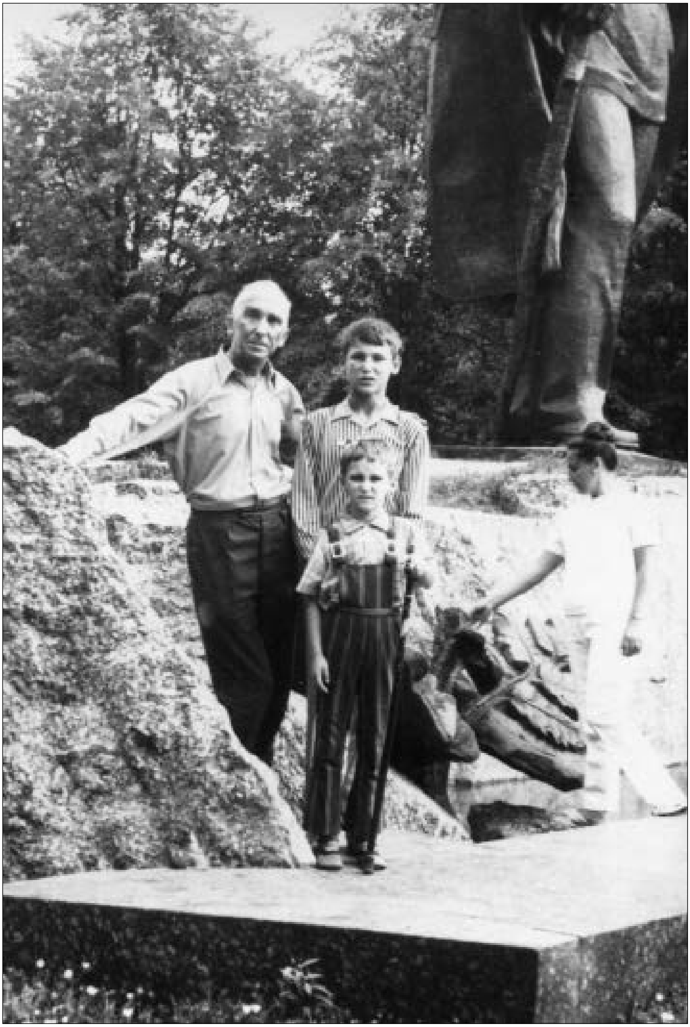
fot. 36. Janka i Łarysa Geniuszowie na wycieczce w Puszczy Białowieskiej



fot. 37. Jurka Geniusz, Łarysa Geniusz, Mikoła Praszkowicz



fot. 38. Łarysa i Janka Geniuszowie



fot. 39. Wycieczka z wnukami do Mińska: Janka, Michał, Aleksander i Walentyna Geniuszowie



fot. 40. Łarysa Geniusz z Walentym Sawko na podwórku w Zelwie



fot. 41. Białystok – syn Łarysy – Jurka Geniusz



fot. 42. Łarysa Geniusz z synem Jurką



fot. 43. Łarysa Geniusz z synową Walentyną



fot. 44. Łarysa Geniusz z wnukiem Michałem



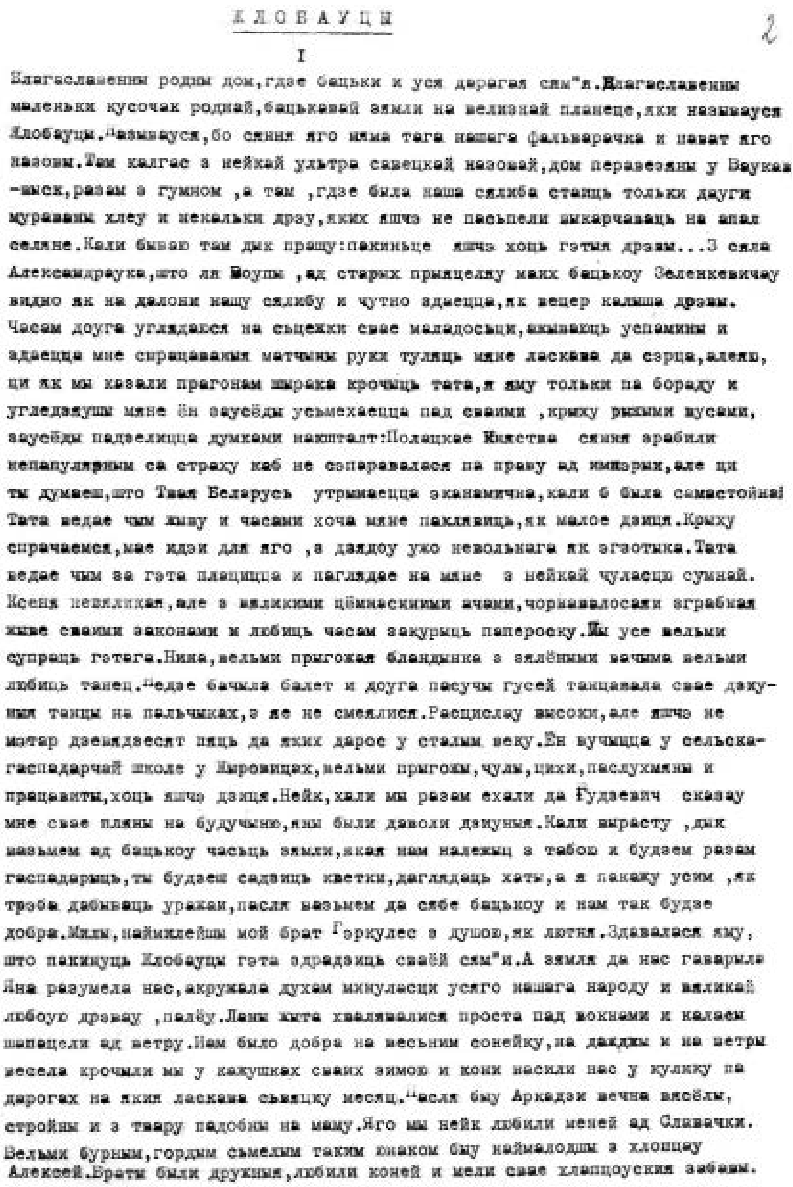
fot. 45. List Łarysy Geniusz do wnuka Michała



fot. 46. Łarysa Geniusz z Piotrem i Uładzimiram Tukalskimi



fot. 47. Łarysa Geniusz z Piotrem Sawczukiem, 1971 r.



ЖЛОБАУЦЫ

I

Благаслаўленны родны дом, гдзе бацькі і уся дарагая сям"я. Благаслаўленны маленькі кусочак роднай, бацькавай зямлі на велізнай планеце, які называўся Жлобаўцы. Называўся, бо сяння яго імя тага нашага фальварачка і навет яго назовы. Там калгас з нейкай ультра савецкай назовай, дом перавезены у Ваўкавыск, разам з гумном, а там, гдзе была наша сялиба стаяць толькі даўгі мураваны хлеў і некалькі дрэў, якіх яшчэ не пасьпелі выкарчаваць на апал селяне. Калі бываю там дык прашу: пакіньце яшчэ хоць гэтыя дрэвы... З сяла Александраўка, што ля Воупы, ад старых прыяцелю маіх бацькоў Зеленкевічаў відно як на далоні нашу сялибу і чутно здаецца, як вецер калыша дрэвы. Часам доўга углядаюся на сьцежкі свае маладосьці, выклікаючы успаміны і здаецца мне спрацаваныя матчыны рукі туляць мяне ласкава да сэрца, але ці як мы казалі прагонам шырака крочыць тата, я яму толькі па бараду і углядаючы мяне ён заўсёды усьмехаецца пад сваімі, крыху рыжымі вусамі, заўсёды падзеліцца думкамі накшталт: Полацкае Княства сяння зрабілі непапулярным са страху каб не сапераваліся па праву ад імперыі, але ці ты думаеш, што Твая Беларусь утрымаецца эканамічна, калі б была самастойнай! Тата ведае чым жыву і часамі хоча мяне пакляпаць, як малое дзіця. Крыху спрачаемся, мае ідэі для яго, а дзядоў ужо невольнага як эгзотыка. Тата ведае чым за гэта плаціцца і пагладае на мяне з нейкай чуласцю сумнай. Ксеня невялікая, але з вялікімі цёмнасінімі вачамі, чарнавалосая зграбная жыве сваімі законамі і любіць часам закурыць папяроску. Мы усе вельмі супраць гэтага. Ніна, вельмі прыгожая бландынка з зялёнымі вачыма вельмі любіць танец. Недзе бачыла балет і доўга пасучы гусей танцавала свае дакуманыя танцы на пальчыках, з яе не смяяліся. Расціслаў высокі, але яшчэ не мотар дзевядзесят пяць да якіх дарос у сталым веку. Ён вучыцца у сельскагаспадарчай школе у Жыровіцах, вельмі прыгожы, чулы, ціхі, паслухмяны і працавіты, хоць яшчэ дзіця. Нейк, калі мы разам ехалі да Ґудзевіч сказаў мне свае пляны на будучыню, яны былі даволі дзіцячыя. Калі выpacту, дык возьмем ад бацькоў часьць зямлі, якая нам належыць з табой і будзем разам гаспадарыць, ты будзеш садзіць кветкі, дагледаць хаты, а я пакажу усім, як трэба дабываць ураджай, пасля возьмем да сябе бацькоў і нам так будзе добра. Мілы, наймілейшы мой брат Ґеркулес з душой, як лютня. Здавалася яму, што пакінуць Жлобаўцы гэта здрадзіць сваёй сям"і. А зямля да нас гаварыла Яна разумела нас, акружала духам мінуласці усяго нашага народу і вялікай любоў'ю дрэваў, палёў. Лясы жыта хваляваліся проста пад вокнамі і каласы шапацелі ад ветру. Нам было добра на веснім сонейку, на дажджы і на ветры весела крочылі мы у кажушках сьвіх зімой і коні насілі нас у кулікі па дарогах на якіх ласкава сьвяціў месяц. Чэсля быў Аркадзі вечна вясёлы, стройны и з твару падобны на маму. Яго мы нейк любілі меней ад Славачкі. Вельмі бурным, гордым сьмелым такім юнаком быў наймалодшы з хлопцаў Алексей. Браты былі дружныя, любілі коней і мелі свае хлапцоускія забавы.

fot. 48. Pierwsza strona maszynopisu wspomnień Łarysy Geniusz
(F. 31, vop. 1, adz. zach. 193, l. 2)



fot. 49. Łarysa Geniusz

Nota wydawnicza

Oryginał wspomnień Łarysy Geniusz w języku białoruskim, sporządzony cyrylicą, w wersji maszynopisowej jest zdeponowany w Dziale Rękopisów i Unikatowej Książki w Bibliotece im. Jakuba Kołasa Białoruskiej Akademii Nauk w Mińsku. Ów oryginał stanowił podstawę do przygotowania tłumaczenia w języku polskim.

Polskiemu czytelnikowi osobliwa może wydawać się pisownia nazwisk białoruskich. Nazwisko samej Autorki wspomnień pojawia się w książce w dwóch wersjach: na okładce i w tekście narracji występuje jako „Geniusz". Ta forma występowała w dokumentach Jana Geniusza, wydanych jeszcze w okresie II RP oraz w tych, jakimi posługiwało się małżeństwo Geniuszów podczas pobytu w Czechosłowacji. Formy tej używał także syn Jana i Łarysy, Jerzy (Jurka) oraz posługuje się nią do dzisiaj rodzina Jerzego (Jurki) Geniusza. Wydawca wspomnień przyjął założenie, że w przypisach do tekstu, imiona i nazwiska białoruskie w miarę możliwości będą podawane także w brzmieniu białoruskim, wyrażonym niejednokrotnie czcionką łacińską, z uwzględnieniem osobliwości łacinki białoruskiej (czyli ze znakami takimi jak np. ŭ, š – sz, č – cz). Język białoruski ma bowiem to do siebie, że może być zapisany zarówno cyrylicą, jak i czcionką łacińską. Zatem w przypisach Czytelnik spotka się m.in. z formą „Hieniuš", która oddaje wymowę nazwiska Autorki w jej języku ojczystym (głoska „g" w języku białoruskim nie występuje). Także w przypadku innych Białorusinów, jacy pojawili się na kartach wspomnień Łarysy Geniusz, ich imiona i nazwiska pojawiają się w przypisach w zapisie białoruskim.

Podobną zasadę wydawca przyjął także w odniesieniu do nazwisk w języku czeskim.

Jako synonimiczne uznano także określenia „sowiecki" / „radziecki".

Spis treści